

ARCHIWA KRYJĄ TAJEMNICE, KTÓRYCH UJAWNIENIE  
MOGŁOBY PRZEWRÓCIĆ HISTORIĘ ŚWIATA DO GÓRY NOGAMI



MANUSKRYPT  
JANNA  
ZEGLARZA

ANDRZEJ DUDZIŃSKI

BUKOWY LAS



Nowicki zamknął oczy. Usłyszał, jak zgrzytnęły łańcuchy kotwic, rozwinęły się białe żagle, chwytając wiatr. Z brzegu przypatrywali się temu zakonnicy i królewski namiestnik. „Marina” i „Sarna”, smukłe i lekkie nabierały szerszego oddechu i wypływały na pełne morze, lśniąc z dala białymi skrzydłami żagli.

Przedtem Jan nie opisywał swoich snów. Trudno powiedzieć, co było w dalszej części manuskryptu, ale do tej pory Jan jawił się jako człowiek nad wyraz praktyczny i mocno stąpający po ziemi... Z jakiego powodu nagle w dzienniku okrętowym pojawiła się relacja ze snu?

Robert zamyślił się. Nie zwrócił uwagi, że Nadia szykowała się do wyjścia. Gdy była przy drzwiach, powiedziała:

– Poczytaj sobie na razie sam, ja muszę na chwilę wyjść.

– Co się stało?

Na jej twarzy pojawiło się wahanie.

– Muszę się z kimś spotkać.

Nowicki poczuł, że traci dobry nastrój. A więc jednak, jest ktoś...



ANDRZEJ DUDZIŃSKI

MANUSKRYPT  
JANA  
ZEGLARZA



Copyright © for the Polish edition by Andrzej Dudziński and  
Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2012

ISBN 978-83-63431-04-4

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Katarzyna Kondrat

Korekta: Agnieszka Smolińska

Redakcja techniczna: Adam Kolenda

Wydawca: Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl), e-mail: [biuro@bukowylas.pl](mailto:biuro@bukowylas.pl)

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z  
ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki tel. 22 721 30 11, fax 22  
721 30 01

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [fk@olesiejuk.pl](mailto:fk@olesiejuk.pl)



## Tórshavn

Robert Nowicki stał na górnym pokładzie promu „Norröna” i patrzył w bezkresne przestworza Atlantyku. Był typowy dla tej strefy letni dzień, z dużym zachmurzeniem i krótkotrwałymi roz pogodzeniami. Chłodny powiew wiatru spowodował, że zaciągnął mocniej kaptur kurtki przeciwdeszczowej. Według informacji, którą ogłoszono z mostku, znajdowali się około pięćdziesięciu mil od Tórshavn, stolicy Wysp Owczych, do której zmierzali. Mimo iż ze wszystkich stron otaczała ich woda, nietrudno było rozpoznać, gdzie znajduje się ląd. Zdradzały go wyniosłe kolumny chmur piętrzące się nad archipelagiem. Wiejący nad oceanem południowo-zachodni wiatr trafiał na przeszkodę w postaci wysokich skał. Prąd powietrza kierował się w górę i tworzył wały chmur widoczne z dalszej odległości.

Pewnie w taki sposób kierowano się do wysp w dawnych czasach, gdy jeszcze nie znano kompasów i sekstansów, a wyznaczanie kursu na oceanie według gwiazd było tylko orientacyjne. Żeglarze obserwowali więc chmury i w ten sposób rozpoznawali kierunek, w którym należało płynąć.

Robert wszedł na „Norrönę” w norweskim porcie w Bergen. Do pokonania było ponad sześćset kilometrów. Noc spędził w ogólnej kabinie, zwanej kuszetką. Bez specjalnych luksusów, ale w miarę wygodnie, na tyle, na ile mógł liczyć przeciętny turysta.

Wszedł do toalety, włączył światło i spojrzał w lustro. Miał zmęczone oczy. Krył się w nich pewien rodzaj zakłopotania. Były nieśmiałe?

– Nieśmiałe... – uśmiechnął się. Nie, z pewnością, śmiałości mu nie brakowało. Może nie był zbyt przebojowy, ale umiał bronić swoich racji.

Jak na czterdzieści cztery lata wyglądał całkiem nieźle, choć jeśli miałby być szczerzy – a przed sobą nie musiał niczego ukrywać – mógłby powiedzieć, że w mężczyźnie, który patrzył na niego z lustra, nie było nic

niezwykłego. Wszystko mieściło się w normie – od wzrostu metr osiemdziesiąt do ciemnych włosów i niebieskich oczu. Kiedyś, gdy więcej czasu spędzał na świeżym powietrzu, jego cera była bardziej ogorzała.

Był szczupły i wysportowany. Wyglądał na kogoś, kto nie stroni od codziennych ćwiczeń. Sweter, który miał na sobie, z pewnością nie należał do tanich i zupełnie nie pasował do spłowiałych dżinsów, ale mimo wszystko wydawał się tworzyć z nimi całość. Przygłodził dłonią włosy, wśród których dostrzegł kilka nitek siwizny. Zmarszczki na czole świadczyły o latach pracy wymagającej koncentracji.

Uśmiechnął się z pobłażaniem. Starzał się, nie był już młodym chłopakiem, który zadziwiał swoje koleżanki nadzwyczajną tężyzną, choć czasy, kiedy tak bywało, nie wydawały mu się zbyt odległe.

Cieszył się, że ma tyle lat, ile ma... Cieszył – to nie było właściwe słowo. Akceptował swój wiek, akceptował siebie takiego, jakim był. I gdy czasem wracał pamięcią do przeszłości, nie żałował niczego, co z upływem lat stało się jego udziałem. Nawet te najbardziej gorzkie chwile na coś się przydały, bo dzięki nim lepiej poznał siebie. Ból, który ze sobą przyniosły, sprawił, że mógł spojrzeć na swoje życie z innej perspektywy. Nie, zdecydowanie nie chciałby niczego zmienić. Nie snuł wyobrażeń, co by było, gdyby mógł cofnąć czas i mieć znów dwadzieścia kilka lat.

Wtedy wydawało mu się, że jest bardziej żeglarzem niż naukowcem. Podczas studiów w instytucie historii zaczął udzielać się w akademickim jachtklubie. Żeglowanie było spełnieniem marzeń z dzieciństwa. Wydawało mu się, że żagle dają niezależność, własny kawałek przestrzeni, który może zagospodarować po swojemu, tak by samodzielnie decydować o sobie.

Szybko okazało się, że jako żeglarz był bardziej utalentowany niż jako historyk. Tak w każdym razie wówczas się wydawało. Więcej czasu poświęcał żaglom niż książkom. Profesor, który z racji jego umiejętności często dobierał go do swojej załogi, uznał, że mógłby połączyć swoje pasje sportowe z dziedziną, którą studiował.

– Historia i żeglarstwo? – Robert nie był zapalony do tego pomysłu. – Jest już tylu historyków żeglarstwa...

– Ale wśród nich zaledwie garstka zajmuje się epoką wielkich odkryć geograficznych. W każdym razie w naszym kraju jest ich niezbyt wielu.

Jego pracę magisterską trudno było zaliczyć do perełek, ale niektórzy pod wpływem opinii profesora uznali ją na tyle interesującą, że w instytucie zaproponowano mu asystenturę. Dzięki temu Robert nadal mógł zasilać

załogę jachtu dowodzonego przez zwierzchnika. Nie spieszył się z wyborem tematu pracy doktorskiej. Tak naprawdę zasugerowano mu go. Nie był porywający, ale Robert nie mógł narzekać, że nudził się lub że pisał ją wbrew sobie.

Dysertację traktował jak grypę lub mutację – trzeba było przez to przejść, tym bardziej że doktorat stanowił paszport do dalszych poczynąń żeglarskich. W klubie akademickim miał już ugruntowaną pozycję. Dużo ważniejszą niż w instytucie. Poza tym jako żeglarz miał dużo większe powodzenie u kobiet niż jako asystent czy adiunkt. Nie o kobiety zresztą chodziło. Jako beniaminek profesora nie musiał się o nic martwić. To życie martwiło się, by było mu dobrze i by spełniały się jego marzenia. Żeglarstwo to sport, który można uprawiać długo. Wydawało mu się, że czas przestał płynąć i że zawsze tak będzie.

Odmierzał go przygotowaniem do kolejnych zawodów regatowych.

Popadł w rutynę. Jako adiunkt właściwie spoczął na laurach i specjalnie tego nie ukrywał. Jego praca ograniczała się do zajęć ze studentami. Nie starał się nadzwyczajnie, a ćwiczenia traktował jako swobodne pogawędki na różne tematy, tylko pobieżnie związane z głównym wątkiem zajęć. Nigdy się nie przygotowywał, a zaliczenia robił automatycznie, na podstawie obecności.

Wyjazd do Stanów Zjednoczonych i udział w Mackinac Race, największych na świecie regatach na zamkniętych wodach, okazał się dla niego przełomowy. Nie z powodu osiągnięć sportowych, bo ich jacht został sklasyfikowany dopiero pod koniec drugiej setki. Poznał tam kilka ważnych osób. Na mecie na wyspie Mackinac jego załogant, ówczesny dyrektor instytutu historii, spotkał swojego przyjaciela z University of Illinois. Profesor Howard Kemplick też był żeglarzem i ich znajomość, mimo iż obaj byli historykami, oparta była przede wszystkim na wspólnej pasji.

Po powrocie do Chicago, skąd wyruszyli na regaty, profesor Kemplick zaprosił Roberta na zwiedzanie kampusu. Pokazał mu swoją bibliotekę, w której poczesne miejsce zajmowały dzieła z historii wielkich odkryć geograficznych. O niektórych Robert tylko słyszał, że istnieją. Tutaj mógł je zobaczyć, dotknąć, a nawet przeczytać. Widząc ożywienie polskiego adiunkta na widok starych woluminów, polecił mu kilka antykwariatów, gdzie można było trafić na podobne rarytasy. Nowicki szybko się przekonał, że nie są na jego kieszeń. Ale kto szuka, ten znajduje. Od sprzedawcy, studenta z pomarańczowymi dreadami, dowiedział się, że w

jednym z muzeów od czasu do czasu organizowane są wyprzedaże starych książek, które z różnych powodów, najczęściej zniszczenia, wycofywane są z bibliotek. Można je było kupić za bezcen. I rzeczywiście, niedługo potem trafiła się podobna okazja. Między współczesnymi zniszczonymi kryminałami i romansami znalazł kilka prawdziwych „skarbów”. Wśród nich wydane w 1844 roku w Londynie „Życie, podróże i odkrycia Sir Francisa Drake’a” spisane przez Johna Barrowa. Szczególnie zajmujące okazały się podróże bohatera po wodach i lądach Indii Zachodnich w 1567 roku. Pochłoniął je w ciągu nocy.

Ta książka sprawiła, że wszystko w jego życiu się zmieniło. Przyznano mu roczne stypendium na University of Illinois, za czym stał oczywiście profesor Kemplick, któremu przypadł do gustu zapal młodego Polaka i jego zachwyty nad starymi księgami.

Kanwą badań Roberta w ramach stypendium stały się korsarskie dokonania Sir Francisa Drake’a oraz jego pełne awantur życie. Bogactwo literatury, jaką odkrywał na półkach uniwersyteckiej biblioteki, podsycało chęć pracy. Jedno źródło prowadziło do następnego, a każde kolejne odkrywało przed nim nieznane obszary dotąd nieogarniętej wiedzy. To uruchamiało wyobraźnię, która z łatwością przenosiła go do zapomnianego świata. Dzięki pomocy chicagowskich historyków udoskonalał także swój warsztat badawczy, poznawał nowe sposoby weryfikacji danych, uczył się od znanych badaczy, podpatrywał nowe metody, przyswajał sobie narzędzia...

Nowicki wiedział, że stypendium na UIC jest dla niego jako naukowiec ogromną szansą. Nigdzie w Polsce nie miałby dostępu do tak unikatowych źródeł. Był pewien, że dzięki materiałom, które udało mu się zgromadzić, nie będzie miał w kraju zbyt wielkiej konkurencji. W tamtych czasach większość starszych naukowców, jeszcze z komunistycznego rozdania, posługiwała się co najwyżej językiem rosyjskim. Znajomość angielskiego nie była zbyt powszechna. Gdyby na jego miejsce trafił jeden z dawnych dożywotnich „marcowych docentów”, którzy jeszcze nie tak dawno znajomość języka zachodniego traktowali na równi z podejrzeniem o szpiegostwo i zdradę stanu, nawet nie wiedziałby, jak się poruszać po systemie organizacji nauki obowiązującym na Zachodzie.

Drugim po Drake’u tematem, jaki go pochłoniął, było ustanowienie pierwszej kolonii angielskiej w Nowym Świecie, Wirginii, z jej bohaterem kapitanem Johnem Smithem, zakochaną w nim Pocahontas i pierwszymi



Polakami, którzy przyczynili się do budowy fortu i huty szkła. Zadawał pytania i szukał odpowiedzi, robił to, o czym marzy każdy wytrawny historyk. Poznał smak odkrycia naukowego. Uczelnia przestała być dla niego przechowalnią i poligonem działań dydaktycznych. Poczł sens i radość pracy.

Materiały zgromadzone w trakcie badań przeprowadzonych w Chicago wystarczyły Robertowi na dwie książki, które zyskały aprobatę środowiska i sprawiły, że nie był już anonimowy. A to zaowocowało kolejnymi stypendiami. Podczas pracy za granicą poznał wielu naukowców, nie tylko w swojej dziedzinie.

Kilka dni po czterdziestych urodzinach otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Był już po rozwodzie i jego życie wypełniała obecność różnych kobiet, ale żadna nie zagościła w nim na dłużej. Może dlatego, że wcale mu na tym nie zależało.



Wyspy zobaczył po południu, w chwili gdy wiatr rozwiął chmury. Oczom pływających ukazał się niezwykle widok. Dziesiątki tysięcy ptaków morskich poderwały się z urwisk skalnych. Mewy, nurzyki, alki, fulmary, głuptaki, maskonury, wydrzyki i rybołówki rozpoczęły szaleńczy taniec. Nadlatywały nad pokład całymi stadami, niczym eskadry samolotów, kołując i zawracając, wzbijając się w górę i nagle spadając pionowo ku wzburzonej powierzchni wody. Pomyślał, że jeśli jakieś miejsce na świecie zasługiwało na miano ptasiego raju, to było ono właśnie tutaj.

Każdy mijany wyłom skał przybrzeżnych odsłaniał coraz to nowe wzgórza i zdawało się, że one nigdy się nie skończą, bo z za najdalszego wyłaniały się kolejne. Wszystkie wzniesienia pokryte były kępami wrzosów i skałami. Nie było widać drzew.

Minęli półwysep i z za załomu skał ukazało się Tórshavn. Słońce oświetlało skupisko kolorowych domków ułożonych na zboczu. Był to widok przypominający ilustrację z książek dla dzieci i nawet przyszło mu do głowy, że pewnie większość bajek, które czytał w dzieciństwie, musiała się dziać w takiej właśnie scenerii.

Prom sprawnie doszedł do przystani i zacumował. Z perspektywy górnego pokładu Robert obserwował tłoczących się przy trapie turystów, którzy jak najprędzej chcieli zakosztować uroków archipelagu. On sam nie

spieszył się. Miał wakacje i każda chwila, którą mógł mieć dla siebie, była bezcenna. Miasteczko widziane z górnego tarasu promu miało swój urok. Przyglądał się wszystkiemu, jakby stał przed wielkim ekranem, na którym rozgrywały się codzienne scenki, niby zwyczajne, a jednocześnie niezwykle. Chłonał je, smakując jedną po drugiej. Błękitny żaglowiec z napisem „Norðlysið”, co w miejscowym języku farerskim znaczyło „Zorza Polarna”, właśnie cumował przy nabrzeżu. Przy relingu stało kilkunastu rozradowanych wycieczkowiczów, wśród wychodzących z „Norröny” przybyszów goniły się dwa psy. Taksówkarze proponowali swoje usługi, a kilkoro tubylców, podobnie jak w Zakopanem przy dworcu PKP, oferowało tańsze niż w hotelu noclegi.

Gdy zszedł na ląd i rozejrzał się wokół, zobaczył na twarzach tubylców szerokie uśmiechy. Mimo często padającego deszczu można tu być szczęśliwym. I to było dla niego najważniejsze.

Zarzucił worek żeglarski na ramię. W dłoni dzierżył spory neseserek z laptopem, aparatem fotograficznym i oprzyrządowaniem, które zwykle woził ze sobą. Gdy mijał postój taksówek, zagadnął go jeden z kierowców. Robert pokazał mu kartkę z adresem i zapytał o cenę. Mężczyzna rzucił jakąś liczbę, na co Robert uśmiechnął się, minął tubylca i ruszył w głąb miasta.

Przy „Zorzy Polarnej” stał jej szyper, wysoki blondyn, żywe odzwierciedlenie malowniczego stereotypu korsarza, choć z dobrotliwym uśmiechem. Wpuszczał na pokład błękitnego szkunera kolejną grupę turystów.

– Może też się skusisz? – zagadnął Roberta. – Płyniemy do jaskiń podwodnych...

– Innym razem – odrzekł wymijająco.

– Trzymam cię za słowo. Urlop?

– Można tak powiedzieć.

– W takim razie, prędzej czy później i tak trafisz na mój szkuner.

– Mam nadzieję.

– Nadziei trzeba pomagać zdecydowanym działaniem – rzucił korsarz z przekonaniem.

Obok pojawiły się dwie pary. Nowicki ruszył dalej, mijając siedziby firm turystycznych, między innymi Smyril Line, właściciela promu, którym przed chwilą przybył do Tórshavn. Na przystankach autobusów SSL stało kilkanaście osób z bagażami, czekając na swoje kursy. Zaczął czytać

rozkład jazdy, mając nadzieję, że będzie mógł skorzystać z usług miejscowego przewoźnika, ale szybko okazało się, że autobusy tej firmy zapewniają transport po wyspach, ale nie po miasteczku, które liczyło raptem czternaście tysięcy mieszkańców. Tutaj wszędzie było blisko i jeśli ktoś nie korzystał z samochodu, mógł dotrzeć w wybrane miejsce na piechotę.

Zaskoczył go widok starego fortu Skansin. Jego historia sięgała 1580 roku, kiedy to wzniesiono warownię mającą strzec portu przed piratami. W XVIII wieku rozbudowano ją, stawiając bastiony i opatrując je armatami. Bardziej współczesne elementy stanowiły dwa brytyjskie działa z czasów drugiej wojny światowej, gdy na terenie Skansin mieściło się dowództwo brytyjskiego garnizonu okupującego Wyspy.

Malownicza uliczka z mnóstwem małych sklepików i kafejek wprowadziła go na zieloną starówkę stolicy – Tinganes, gdzie osiedlili się pierwsi przybysze. To właśnie tutaj, na skalistym półwyspie, ponad tysiąc lat wcześniej zbierał się Althing, rada starszych, z czasem zmieniona w parlament, po islandzkim najstarsza tego typu instytucja na świecie. Już w X wieku na kamiennym cyplu pod gołym niebem prowadzono debaty polityczne, rozstrzygano spory, ustalano kary i planowano przyszłe zamierzenia.

Z tego miejsca kilka wieków później rządziła Wyspami krwiożercza rodzina duńskich wyzyskiwaczy Gabelów, urzędników nadzorujących królewski monopol handlowy. Pomalowane na brązowo i kryte trawiastymi dachami budynki pochodziły z XVIII wieku. Dziś Tinganes była dzielnicą władzy, w której mieściły się siedziby rządu i premiera. Podległe im ministerstwa ulokowano w różnych częściach miasta.

Robert szedł wolnym krokiem i rozglądał się ciekawie. Spacer po wąskich i krętych uliczkach, wśród kameralnej zabudowy zdominowanej przez zielenie dachów, ciepłe barwy elewacji i kipiące kolorami przydomowe klomby – mimo ciężkiego bagażu – sprawiał mu przyjemność.

Minał dwukondygnacyjny dom, częściowo murowany, z dobudowanym drewnianym piętrem oraz widocznym na jednej ze ścian monogramem króla Danii Christiana V i nazwiskiem przeklinanego przez Farerczyków Frederika Gabela. Nieopodal, przy placu u bram starówki stał najstarszy budynek Tórshavn – Munkastovan, czyli dom mnichów. Został zbudowany w XIII wieku. Dwa wieki później rezydujący w nim franciszkanie przenieśli się kilka kilometrów dalej na południowy zachód, do Kirkjubøur,

gdzie rozpoczęto budowę katedry św. Magnusa, a przy niej budynków zakonu. Mury pochłonęła w XVIII wieku lawina i teraz siedziba klasztoru mieściła się w oddalonej od centrum cichej dzielnicy Tórshavn. Tam właśnie się kierował.

Przechodząc przez Tinganes, Robert odniósł wrażenie, że to osobliwe miejsce. Bodaj jedyna dzielnica rządowa, jaką widział, bez limuzyn, wart honorowych i czyhających reporterów. Mijając starszego mężczyznę w ubraniu przeciwsturmowym, który obdarzył go grzecznościowym uśmiechem, pomyślał, że mógł to być po prostu mieszkaniec stolicy, ale i na przykład członek gabinetu. Gdyby nie wiedział, jaki charakter ma ta dzielnica, pomyślałby, że mieszkają tu zwyczajni ludzie. Co rano wychodzą do pracy, dbają o kwiaty w swoich ogródkach, a w weekend spotykają się z sąsiadami na grillu. A jednak to tutaj podejmowano najważniejsze decyzje dotyczące przyszłości archipelagu i jego mieszkańców.

Przy siedzibie narodowych linii lotniczych Atlantic Airways zobaczył szyld Izby Turystycznej Wysp Owczych, a nieopodal pomnik przedstawiający jednego z najważniejszych bohaterów narodowych Nólsoyara Palla z wizerunkami kruka i ostrygojada. To właśnie ostrygojad był narodowym ptakiem Farerczyków. Swego czasu jego podobizna widniała na fladze narodowej. Powodem szacunku, jakim darzyło się tutaj te niepozorne ptaki, była satyryczna ballada stworzona przez Nólsoyara Palla.

Szedł wąskimi uliczkami, przyglądając się wystawom stoisk z pamiątkami dla turystów. Między nimi ulokowały się sklepy ze sprzętem żeglarskim i wędkarskim. Gdzieś widać było wejścia do kafejek. W oknie jednej z nich zauważył dziewczynę siedzącą przy laptopie. Ucieszył się, bo wyglądało na to, że mieli tu dostęp do internetu. Dziewczyna pochwyciła jego wzrok, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i choć on ponownie się uśmiechnął, odwróciła twarz, zasłaniając ją pofalowanymi rudymi włosami. Skupiła uwagę na ekranie komputera. Szkoda. W jej oczach było coś, co przyciągało uwagę. Zaśmiał się na głos. A więc wciąż jeszcze zwracał uwagę na kobiety?

Mijając rząd sklepików i knajpek na Mylnugota, doszedł do Torsgota, która po kilkunastu krokach doprowadziła go do Niels Winthersgota. Skręcił w nią i kierując się na południowy zachód, przeszedł wolnym krokiem jeszcze kilkaset metrów.

Potem zapytał o drogę do klasztoru i starsza kobieta wyjaśniła mu przyzwoitym angielskim, jak powinien się tam dostać.

– Daleko?

– Jak dla kogo, dla pana kwadrans na nogach – mrugnęła łobuzersko. Znów się roześmiał. Wyglądało na to, że miejscowi mają poczucie humoru i potrafią z niego korzystać, także w kontaktach z obcymi.

Rzeczywiście, piętnaście minut później był już przy drzwiach klasztoru. Budynek nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był spory, podobny do wielu innych w okolicy, miał dwa piętra i nadbudówki z oknami pod strzelistymi wykuszami. Dach pokryty był darnią.

Otworzył mu ubrany w ciemny dres młody mężczyzna, któremu Robert wyłuszczył cel swojej wizyty.

– Wiem o panu, ojciec przeor uprzedził, że ma pan dziś przyjechać. Proszę...

Zakonnik mył podłogę, stąd dres, a nie habit. Wprowadził gościa do skromnego pokoiku, służącego mnichom zapewne do spotkań z członkami rodzin i przyjmowania innych osób świeckich. Chwilę później pojawił się przeor w czarnym habicie przepasanym białym sznurem z trzema węzłami. Przedstawił się jako Gilbert Roscoe i powitał przybysza ze spokojnym uśmiechem. Robert wręczył mu list polecający od profesora Svensona i to przełamało wszelkie lody. Przeor zaprosił go na skromny poczęstunek.

– Oczywiście jest pan naszym gościem, profesorze, ale gdy przebywa u nas profesor Svenson, on również stosuje się do naszych reguł, choć nie jest katolikiem.

– Rozumiem, obiecuję, że nie będę sprawiał problemów, tylko muszę wiedzieć, na co zwracać uwagę.

– Chodzi o pory modlitw, posiłków i stałych zajęć. Pana one oczywiście nie obowiązują, ale dobrze by było, także ze względu na braci, gdyby nie opuszczał pan budynku między kompletą a prymą, a nawet tercją.

Robert był nieco zdezorientowany.

– To znaczy w jakich godzinach?

– Przed ósmą rano i po ósmej wieczorem... No, powiedzmy, że teraz, latem, po dziewiątej.

Profesor pokiwał głową, dając do zrozumienia, że nie powinno być z tym kłopotu.

– Poza tym alkohol, palenie tytoniu, odwiedziny kobiet... To, niestety, nie wchodzi w rachubę.

Chciałbym też od razu zapytać, czy zechce pan uczestniczyć w naszym porządku liturgicznym dnia?

– Chodzi o wspólne modlitwy?

– Między innymi...

– Przyznam, że niekoniecznie.

– A jest pan w ogóle wierzący?

– Zostałem ochrzczony, ale obawiam się, że nie udało mi się dostąpić łaski prawdziwej wiary.

Na twarzy przeora pojawił się spokojny, dobrotliwy uśmiech.

– Rozumiem. I tak bywa... Chociaż myślałem, że skoro pan z Polski...

– I w Polsce zdarzają się takie osoby jak ja...

Ojciec Roscoe pokiwał głową ze zrozumieniem i wskazał dłonią drzwi.

– Zapraszam do refektarza na skromny posiłek... To nasza kolacja.

– Dziękuję, chciałbym jeszcze później z ojcem porozmawiać. Profesor Svenson wspominał mi o skarbach waszej biblioteki.

– A i owszem, sam wiele ksiąg przeglądał, niektórymi się zachwycał.

– Będę mógł je obejrzeć?

Przeor uśmiechnął się znowu. Zainteresowanie polskiego profesora najwyraźniej przypadło mu do gustu.

– Myślę, że nie będzie przeszkód. A wie pan, że swego czasu, o ile mnie pamięć nie myli, w drugiej połowie XV wieku, w naszym klasztorze przebywały dwie pana rodaczki?

– Naprawdę?

– Nie pamiętam ich imion, będzie trzeba to sprawdzić.



Refektarz nie był zbyt wielki, ale na tyle wygodny, że swobodnie mieścił długie stoły ustawione w kształcie podkowy, przy których siedziało szesnastu mnichów. Byli w różnym wieku. Seniorzy i mężczyźni przed trzydziestką. Robert rozpoznał zakonnik, który otworzył mu drzwi. Teraz był w habicie i zerkał na przybysza ciekawie znad talerza. Profesorowi wydawało się, że na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. W refektarzu panowało milczenie. Jeden z mnichów wstał od wspólnego stołu, zbliżył się do stojącego w kącie stolika i otworzył leżącą nań księgę. Przerzucił kilka kart i zaczął recytować wersy w starej mowie Cycerona. Robert znał łacinę, której uczył się jeszcze w liceum, a później podczas studiów. Udoskonalił ją

jednak dopiero w trakcie licznych stypendiów. Większość tekstów, jakie wykorzystywał w swoich badaniach, została w oryginale napisana po łacinie. Nie mówił biegle w tym języku, ale czytał swobodnie i był w stanie rozróżnić, czy tekst był napisany kunsztownym stylem czy jego prostą, niemalże plebejską odmianą. Czytane przez zakonnika wersety ze św. Franciszka zachwycały maestrią i wyszukaną formą.

Przeor wskazał Robertowi wolne krzesło wśród mnichów, a sam stanął na szczycie podkowy, na swoim miejscu. Lektor przerwał czytanie, a pozostali jedzenie i powstali. Przeor pobłogosławił im, po czym usiadł wygodnie. Mnisi poszli za jego przykładem, przy czym wszystko odbyło się bez najmniejszego szmeru. Lektor zaczął od następnego wiersza. Jeden z braci podsunął Robertowi koszyk z chlebem i wazę z zupą.

Po kolacji nastąpiła krótka prezentacja gościa. Zakonnicy przyjęli jego obecność zwykłym skinieniem głowy. Mieli teraz czas wolny. Do rozpoczęcia wieczornych kontemplacji pozostał kwadrans. Rozeszli się do swoich pokojów, nie wiadomo dlaczego nazywanych celami, niektóre bowiem – jak profesor zauważył, przechodząc – były urządzone całkiem przytulnie. Jeden z zakonników ćwiczył hantlami, a inny

– Robert rozpoznał w nim tego, który otworzył mu drzwi – ze słuchawkami na uszach i z zamkniętymi oczami słuchał muzyki na mp3, profesorowi zdawało się nawet, że lekko podryguje.

– Bracie Grden!

Mnich otworzył oczy. Ojciec Gilbert pogroził mu dobrotliwie palcem i mężczyzna natychmiast ściągnął słuchawki z uszu.

– Za kwadrans medytacja w kaplicy.

Grden skłonił się ze wstydliwym uśmiechem, jakby przyłapano go na gorącym uczynku.

Mnisi odpoczywali po całym dniu pracy. Większość z nich miała swoje stałe zajęcia w hospicjum, które prowadził zakon. Inni na zmianę pracowali w ogródku i gospodarstwie za miastem. Hodowali owce, trzodę chlewną i kury. Mieli też ogród, w którym uprawiali warzywa. Wszyscy na zmianę pełnili dyżury porządkowe i pracowali w kuchni pod kierunkiem stałego kucharza.

Przeor wskazał Robertowi jego pokój na poddaszu. Był niewielki. Mieściło się tam wąskie żelazne łóżko z materacem z wełny owczej, szafa na ubrania, stół i krzesło. Na ścianie zawieszono prostą drewnianą półkę, gdzie stała metalowa miska, podobna do tych, z jakich jedli w refektarzu.

- Nie ma luksusów, ale nic innego nie możemy panu zaproponować.
- Niczego więcej nie oczekiwałem – powiedział Nowicki. – To mnie w pełni zadowala. Bardzo dziękuję.
- Bardziej u nas dbamy o doskonalenie ducha niż zaspokajanie potrzeb ciała.
- To zrozumiałe.
- Jeśli pan chce zobaczyć bibliotekę, proszę przyjść do mnie po nieszporze.

Robert znów zrobił niepewną minę.

- To znaczy?
- Po siódmej.
- Dziękuję ojcu przeorowi.
- Będę czekał, a tymczasem proszę się rozgościć.

Gdy Robert został sam, szybko ocenił, że będzie mu wygodnie. Wprawdzie wspólna toaleta znajdowała się piętro niżej, a łazienka na parterze, ale w końcu nie zamierzał tu spędzać reszty życia. Jak na wakacyjną przygodę, która nadarzyła się *ad hoc*, nie powinien wybrzydzać.

Krzesło było twarde i takie najbardziej lubił, stół przestronny, a na półce zmieściły się najpotrzebniejsze przybory. W szafie znalazł lampę, ale bez żarówki. Pewnie należała do poprzedniego lokatora. Postanowił wyjść po zakupy i uzupełnić to, czego brakowało. Pomyślał, że potrzebuje paczki dobrej herbaty, dzbanka do gotowania wody – grzałkę miał bowiem swoją – oczywiście żarówki i zgrzewki wody mineralnej.

Podniósł roletę wiszącą na oknie. Jego oczom ukazał się widok opadającej ku morzu równiny, a w oddali zobaczył następną wyspę. Zza ciemnych chmur wyrzało właśnie przedwieczne słabe słońce, które rozpięło tęczę między wyspami.

To właściwie zbieg okoliczności, że znalazł się w tym miejscu. Tak wiele czynników na to się złożyło...



## Fundacja Nansena

Taksówkarz minął kolumnadę „Domus Media” w centrum Oslo i zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej przy zbudowanym na tyłach placu żółtym klasycystycznym gmachu z napisem „Domus Academica – Universitetet i Oslo”. Mieścił się tam wydział prawa, ale ze względu na reprezentacyjny charakter budowli i jej usytuowanie w centrum stolicy, tam właśnie odbywały się najważniejsze wydarzenia uczelni.

W westybulu byli już wszyscy. Robert wszedł jako ostatni, a portier odebrał od niego nakrycie.

Niektórych już znał. Skinął głową profesorowi Li Xiangowi, z którym poznali się podczas stypendium na University of Illinois. Profesor Sean O’Donan na jego widok uśmiechnął się serdecznie i podszedł z wyciągniętą ręką. Odbywali razem staż na Uniwersytecie w Barcelonie. Wtedy właśnie mieli okazję nieraz dyskutować o wyprawach [Giovanniego Cabota](#), włoskiego żeglarza pływającego pod brytyjską banderą, znanego jako John Cabot. O’Donan był prawdziwym ekspertem do spraw poszczególnych wypraw Włocha i znał na wylot historię poszukiwań Przejścia Północno-Zachodniego. Ostatnio interesował się wyprawami swojego ziomka, św. Brendana.

Na czerwonej kanapie w pobliżu wielkiego kryształowego lustra siedział profesor Hektor Gomez z Santiago de Chile. Trzymał na kolanach otwarty neseserek i przeglądał jakieś dokumenty. Przybycie Nowickiego odnotował lekkim skinieniem głowy. Znali się z widzenia, ale nigdy nie zamienili ze sobą ani słowa. Nieopodal, tyłem do pozostałych siedział rozparty na krześle tęgi mężczyzna przed czterdziestką, z czarnymi włosami postawionymi na żel. Czytał gazetę otwartą na wiadomościach sportowych, a ruchliwa mimika jego pospolitej twarzy zdradzała emocje.

– Kto to? – Robert zapytał Irlandczyka, wskazując na tajemniczą postać.

– Giuseppe Vincenzi. Myślałem, że go znasz.

– Słyszałem o nim, oczywiście, ale jeszcze nigdy go nie spotkałem...

Robert obrzucił Włocha ciekawym spojrzeniem. Ostatnio w ich świecie było o nim głośno. Młody, rzutki, świeżo upieczony profesor Uniwersytetu w Genui, umiejący zabiegać o swoje interesy. Mówiło się o nim, że idzie przez życie jak burza. Kariera stanowiła dla niego sens istnienia. Młody wilk, głodny sukcesów. Niepokorny indywidualista, gotowy podważyć najbardziej oczywiste dowody, sprawnie posługujący się swoim aparatem badawczym. Do bólu logiczny, zdecydowany negować oczywistości w imię potwierdzenia nawet najbardziej karkołomnej hipotezy. Wychodził z założenia, że jeśli wszyscy mówią, że coś jest dobre lub coś jest złe, może zachodzić przypadek, że to wszyscy popełniają błąd... Bo są w zbiorowej hipnozie i powtarzają czyjeś opinie, nie biorąc pod uwagę, że nawet największe autorytety mogą się mylić.

Znakomity szachista z tytułem arcymistrza i triumfator kilku międzynarodowych turniejów, był bezwzględny fanem Krzysztofa Kolumba i jego dokonań.

Pracownica recepcji podała kawę, ale Robert nie zdążył jej dopić, ponieważ drzwi do wielkiej sali otworzyły się i zaproszono przybyłych do środka. Wystrój sali przypominał wnętrze Białego Domu, który Nowicki zwiedzał jako turysta. Rozsiedli się w głębokich fotelach. Za stołem prezydialnym pojawił się profesor Harald Svenson, prezes Fundacji Nansena, obok zasiadł rektor uniwersytetu w Oslo Geifr Eltingsrut, a po jego drugiej stronie Sigmund Petersen, główny sponsor grantu, znany duński potentat przemysłu stocznioowego i pasjonat historii wielkich odkryć geograficznych. Za nimi, w drugim rzędzie, zasiadło siedmiu członków zarządu Fundacji Nansena. Gdy Svenson wygłosił powitalną formułkę, odpowiedziały mu oklaski. Był oczywistym autorytetem, człowiekiem instytucją w dziedzinie badań historycznych. Właściwie nie istniały dla niego rzeczy nie do załatwienia. Nie było przed nim zamkniętych drzwi. Arbiter elegancji wśród najwybitniejszych historyków na świecie, na co dzień oprócz funkcji prezesa fundacji pełnił obowiązki dyrektora Instytutu Archeologii, Konserwacji i Nauk Historycznych stołecznego uniwersytetu. Przez lata prowadził dział konserwacji i wówczas zadbał, aby jego zakład

badawczy wzbogacił się w nowoczesne zaplecze. Po latach, jako znakomity naukowiec i menedżer, został mianowany dyrektorem całego instytutu.

Siedzący z jego lewej strony rektor uniwersytetu, profesor Geifr Eltingsrut, przypomniał, że na kierowanym przez niego uniwersytecie studiował, a później nauczał jeden z najwybitniejszych podróżników wszech czasów, Fridtjof Nansen, który otrzymał w [1922](#) roku [Pokojują Nagrodę Nobla](#).

– Chciałbym, abyśmy pamiętali, że nasza fundacja i grant, który dziś przyznamy, nosi imię tego wielkiego człowieka, a to zobowiązuje – rzekł.

Petersen zaznaczył, że od kilku lat granty trafiają w ręce najwybitniejszych historyków, a on z uwagą przygląda się prowadzonym przez nich badaniom i liczy, że także w tym roku środki z grantu przyczynią się do rozjaśnienia kolejnych białych plam w historii odkryć geograficznych.

Svenson nie chciał tracić czasu. Natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Dla porządku, przypominam – rzekł – że do biura fundacji wpłynęło ponad dwieście wniosków z osiemdziesięciu krajów. Po wnikliwej selekcji wyodrębniliśmy pięć tematów, które chcielibyśmy szerzej omówić na tym posiedzeniu. Ich autorów jeszcze raz serdecznie witam...

Odpowiedziały mu oklaski.

– Po prezentacjach nastąpi przerwa, a później ogłosimy laureata i beneficjenta. Kolejność wystąpień rozstrzygnęło losowanie. Jako pierwszy głos zabierze profesor Sean O'Donan. Prosimy...

Irlandczyk nie ukrywał emocji. Każdy jego gest, gorączkowe spojrzenie i napięcie na twarzy mówiły jasno, jak bardzo przeżywa swój udział w posiedzeniu. Zebrał notatki i zapinając marynarkę, wszedł na mównicę. Rozejrzał się po zebranych i na jego ustach pojawił się sympatyczny uśmiech.

– Do trzech razy sztuka – powiedział. – Jestem tu po raz trzeci i mam nadzieję, że tym razem szczęście będzie po mojej stronie...

Profesor wskazał na stojący obok pusty ekran i natychmiast z rzutnika wyświetlono mapę północnego Atlantyku. Po kilku kurtuazyjnych zwrotach O'Donan przeszedł do rzeczy.

– Na początku [X wieku](#), w [Lotaryngii](#), powstał anonimowy tekst „Navigatio Sancti Brendani”, czyli „Żegluga Świętego Brendana” – mówił stanowczym głosem, dając słuchaczom do zrozumienia, że świetnie porusza się w temacie, a jego pewność siebie budziła zaufanie. – Dzieło składa się z

29 rozdziałów i wszystkie poświęcono opisowi wyprawy Brendana na zachód w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej. Podczas podróży Brendan wraz z towarzyszami odwiedzili wiele wysp i doświadczyli fantastycznych przygód, spotykając rozmaite potwory morskie. Po latach udało im się w końcu dopłynąć do cudownej wyspy będącej ziemskim rajem, gdzie rzekomo spędzili rok. Owa wyspa miała być rozległa, obfita w wiecznie świeże owoce i zboża, pełna źródeł i szlachetnych kamieni...

Svenson gestem przerwał mu wywód.

– Znamy legendę o świętym Brendanie. Jakie są założenia pańskich badań, profesorze?

– Zaraz do tego dojdę... Wraz z początkiem odkryć geograficznych żeglarze portugalscy i hiszpańscy

rozpoczęli poszukiwania legendarnej [Wyspy Świętego Brendana](#). Po odkryciu [Madery](#) i [Wysp Kanaryjskich](#) spodziewano się, że leży ona w niedalekiej odległości od nich.

O'Donan wziął do ręki wskaźnik, demonstrując zebrany obszar na mapie oceanu, gdzie szukano zaginionego lądu.

– Wraz z pojawianiem się coraz dokładniejszych map Atlantyku legendarna wyspa zmieniała swoje położenie i ostatecznie uznano, że jest nią ósma, znajdująca się najbardziej na zachód w stosunku do pozostałych, wyspa [Archipelagu Kanaryjskiego](#). Przylgnęła do niej wówczas nazwa San Borondón.

Portugalczyki nie ustawiali jednak w jej poszukiwaniu. Mimo że nikt do niej nie dotarł i nikt nie widział jej na własne oczy, jeszcze na początku [XVIII wieku](#) umieszczano ją na mapach, a portugalscy królowie finansowali ekspedycje badawcze.

– Pańskie wnioski?

– Poszczególne wyspy opisane w utworze identyfikowano m.in. z [Wyspami Owczymi](#), [Islandią](#) i [Azorami](#). Doszukiwano się też opisów kontynentu amerykańskiego...

Svenson niecierpliwym gestem przerwał jego wywód.

– Chce pan dowieść, że święty Brendan tam dotarł?

– Sądzę, że jest to prawdopodobne. Dysponuję argumentami, które warto by zweryfikować.

– Słuchamy...

– Za jeden z głównych uważa się fragment z rozdziału XIV o „zagęszczonym morzu”, którym miało być rzekomo [Morze Sargassowe](#), a

także informację z rozdziału XVIII o „wyspie winnej latorośli”, rzekomo [Winlandii](#), odkrytej pod koniec pierwszego tysiąclecia przez wikingów, czyli prawie czterysta lat po świętym Brendanie.

Z drugiego końca sali dało się słyszeć lekceważące prychnięcie. Wszyscy zwrócili oczy w tamtym kierunku. Zażywny profesor Vincenzi głośno wycierał nos, czyniąc przy tym błazeńskie miny.

– Winlandia, wikingowie... panowie, dajcie spokój. To poważne sympozjum czy kółko miłośników baśni skandynawskich? – rzucił niby pod nosem, ale tak, aby wszyscy słyszeli.

Svenson zmierzył go surowym wzrokiem.

– Profesorze Vincenzi, komisja nie udzieliła panu głosu. Podczas prezentacji nie przewidujemy dyskusji nad argumentami merytorycznymi poszczególnych wystąpień. Pańskiego... występu również nie.

Na twarzy Włocha pojawił się kabotyński uśmiech.

– Przepraszam – powiedział zaczepnym głosem, wyjął chusteczkę i głośno opróżnił nos.

Svenson pozostał niewzruszony.

– Prosimy kontynuować, profesorze O’Donan.

Irlandczyk zerknął do notatek i podjął przerwany wywód:

– „Navigatio Sancti Brendani” powiela znany od starożytności archetyp marzeń o położonych w zachodniej części Atlantyku [Wyspach Szczęśliwych](#), sama zaś wyspa była jedynie alegorycznym wyobrażeniem [raju](#). Niektórzy badacze w przeszłości uważali także, że utwór jest swobodną kompilacją religijnej wizji i autentycznych relacji z podróży irlandzkich żeglarzy, uzupełnioną opowieściami z [sag](#) skandynawskich oraz motywami klasycznymi z „[Odysei](#)” i „[Eneidy](#)”.

– Jaki jest więc cel pańskich badań? – zapytał Petersen.

– Chcę wyjaśnić wszystkie możliwe aspekty wyprawy świętego Brendana. Według legendy Brendan po przyjęciu święceń kapłańskich modlił się o to, aby móc podróżować do nieznanymi krajów.

W następstwie miał widzenie, w którym anioł pokazał mu pewną wyspę. Święty dwukrotnie wyruszał na morze w poszukiwaniu tej cudownej krainy. Pierwszą podróż odbył w skórzanej łodzi, ale nic nie odnalazł. Drugi raz wyruszył z innymi pielgrzymami w łodzi zrobionej z drewna. W dzień [Wielkanocy](#) wynurzył się wieloryb, na którego grzbiecie święty Brendan i jego towarzysze odprawili [mszę](#). Po obrzędzie wieloryb zanurzył się i odpłynął. Wcześniej jednak Brendan obłaskawił dzikie

zwierzę, podobnie jak robił to z wirami wodnymi. Święty przywrócił również do życia jednego z mnichów, który zmarł po tym, jak diabeł przedstawił mu wizję piekieł. Podczas podróży święty Brendan spotkał olbrzyma, którego ochrzcił, odstrasząc przy okazji myszy i ogromnego morskiego kota. W końcu jednak zakonnicy dotarli do wyspy widzianej w objawieniu przez świętego Brendana. Na miejscu spotkali pustelnika odzianego w pióra. Napisano też, że po powrocie do Irlandii Brendan nie pozostał w swym klasztorze, lecz zamieszkał w odludnym miejscu niedaleko miasta [Limerick](#). A to świadczyłoby o tym, że odkrył nieznane lądy, poznał je i zdołał wrócić do Europy.

– Interesujące... – rzekł Petersen, który dotąd milczał. – A fakty, daty, miejsca na mapie... Konkrety?

– Według hipotezy, wyprawa wyruszyła z północno-zachodniej Irlandii w roku [545](#) i początkowo osiągnęła [Szetlandy](#), [Wyspy Owcze](#), a następnie [Islandię](#). Kolejnym punktem, do którego dotarł Brendan, była [Grenlandia](#), skąd po dłuższym błędzeniu na otwartym morzu powrócił na Islandię. Nie był to jednak koniec wyprawy. Z Islandii podróżnicy dopłynęli do wyspy [Rockall](#), a następnie, żeglując na zachód, dotarli do jakiegoś wielkiego lądu, prawdopodobnie kontynentu amerykańskiego, zapewne w okolicach

[Nowej Fundlandii](#). Po pięciu latach żeglugi wyprawa miała powrócić przez [Azory](#) do Irlandii. W [551](#) roku święty Brendan miał wypłynąć ponownie do Ameryki Północnej, docierając do wybrzeża [Labradoru](#).

– Jakie są możliwości udokumentowania tych dokonań?

– Można to zrobić w dwojaki sposób: weryfikując dokumenty z tamtych czasów, a także empirycznie.

Na twarzach członków komisji pojawiło się zaniepokojenie.

– W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku odbyła się wyprawa zorganizowana przez Anglika Tima Severina, w której wzięło udział pięciu uczestników. Podróżowali łodzią skórzaną, zbudowaną na wzór tej, którą pływał święty Brendan. Jednostka została skonstruowana według wszelkich dostępnych opisów i wykonana z całą starannością oraz dbałością o szczegóły. W ciągu trwającej dwa lata podróży udało im się osiągnąć stały ląd kontynentu amerykańskiego. To dowód, że i święty Brendan wraz ze swoimi mnichami mógł tam dotrzeć.

Svenson obrzucił spojrzeniem pozostałych członków komisji.

– Pytania?

Rektor Geifr Eltingsrut pokręcił głową. Na twarzy Petersena pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

– Dowodzenie, że Amerykę odkrył święty irlandzki może być odczytane jako jeszcze jeden argument, że kościół wszędzie był najpierwszy, nawet w Ameryce...

Vincenzi parsknął śmiechem, ale surowe spojrzenie Svensona ucięło tę nieposkromioną reakcję.

Następnie na mównicy pojawił się profesor Xiang z Uniwersytetu w Szanghaju. Rozłożył notatki i zanim zaczął mówić, złożył sztywny ukłon. Potem próbował udowodnić, że Ameryka została odkryta 70 lat przed Kolumbem, a dokonali tego Chińczycy za panowania dynastii Ming.

– Jaki jest zatem cel badań, które chciałby pan przeprowadzić dzięki uzyskaniu grantu?

– Punktem wyjścia jest skatalogowanie i dokładne porównanie czternastu chińskich map z obrysem linii brzegowej Ameryki, pochodzących sprzed 1492 roku. Chodzi także o zbadanie, w jaki sposób moi przodkowie dowiedzieli się o stałym lądzie na Atlantyku na wiele lat przed Kolumbem. Należałoby też sprawdzić, czy wyprawa Zhu Di była możliwa z punktu widzenia ówczesnych możliwości technicznych?

Na swoim miejscu niespokojnie poruszył się Vincenzi.

– Proszę wysokiej komisji... To może od razu uznajmy, że ląd odkryty przez Kolumba znany był wcześniej ludzkości jako legendarna Atlantyda – powiedział nerwowo. – Legendarna, z całą swoją nieprawdopodobną cywilizacją, utopijną demokracją...

Svenson powstrzymał go gestem.

– Odbieram panu głos, profesorze. Regulamin fundacji mówi, że oceną projektów zajmuje się komisja, a nie współpretendenci.

Vincenzi spostrzegł, że się zagalopował.

– Oczywiście, panie przewodniczący.

– Panu profesorowi Xiangowi już dziękujemy. Następnym prelegentem będzie wnioskodawca z Santiago de Chile, profesor Hektor Gomez.

Na mównicy pojawił się ciemnowłosy przystojny Latynos w znakomicie skrojonym garniturze Kenzo.

Jego ciemna cera doskonale kontrastowała z niebieskimi oczami. Nowickiemu przemknęło przez myśl, że pewnie któryś z jego przodków pochodził z Europy. Za plecami profesora, na ekranie pojawiło się wybrzeże Chile i spory obszar Oceanu Spokojnego.

Monotonnym głosem, jakby miał przed sobą grupę studentów, Gomez przedstawiał punkt po punkcie koncepcję odkrycia zachodnich brzegów Ameryki Południowej w III wieku przed naszą erą przez żeglarzy egipskich, którzy mieliby tego dokonać na rozkaz Ptolemeusza III.

Rektor Eltingsrut pokiwał głową z umiarkowanym zapałem.

– Bardzo interesujące – rzekł.

Profesor Vincenzi zaczął kaszleć. Wyglądało to tak, jakby zabrakło mu powietrza. Trudno było jednak dostrzec, czy był to atak duszności czy tłumiony śmiech.

Petersen ponownie spiorunował go wzrokiem. Na twarzy Włocha odmalował się grymas ironii.

Chwila ciszy potrwała o kilka sekund zbyt długo. Svenson spojrział na Petersena oraz Eltingsruta i zapytał:

– Rozumiem, że nie ma pytań?

Petersen rozłożył ręce i uśmiechnął się rozbrajająco.

– W takim razie przechodzimy do kolejnej prezentacji. Profesor Nowicki z Polski, prosimy.

Robert poprawił krawat i pewnym krokiem ruszył w stronę pulpitu. Zerknął na ekran. Mapa, która wyświetliła się za jego plecami, pokazywała okolice Islandii, Grenlandii i Labradoru.

– Przedmiotem moich badań są szanse, jakie niemieccy żeglarze, Pining i Pothorst, mieli w dotarciu do stałego lądu po drugiej stronie Atlantyku...

Vincenzi ostentacyjnie ziewnął. Nowicki zerknął na niego i niezrażony kontynuował.

– Przypuszczalnie w roku 1474 lub rok później flotylla złożona z trzech statków, dwóch [duńskich](#) i jednego portugalskiego, pod dowództwem kaprów i łowców piratów niemieckiego pochodzenia, Dietricha Pininga i [Hansa Pothorsta](#), wyruszyła z osadnikami na Grenlandię. Byli przyjaciółmi od lat dziecińczych. Wychowywali się w Hildesheim. Dowódcą trzeciego żaglowca był [Portugalczyk João Vaz Corte-Real](#)... Wyprawa była finansowana w znacznej części właśnie przez króla Portugalii, który chciał mieć swój wkład w zasiedlenie wyspy i ewentualne nowe odkrycia terytorialne. Alfons V Afrykańczyk spodziewał się, że jeśli założy swoją faktorię na Grenlandii, będzie mógł zbudować bazę do dalszych eksploracji północnego Atlantyku.

Wysyłając okręt z osadnikami, ryzykował niewiele. O wiele mniej, niż gdyby podjął samodzielną wyprawę. Miał za sobą poparcie króla Danii. Jak



wiadomo, ślady po wyprawie Pininga i Pothorsta nie przetrwały. Chciałbym jednak na podstawie istniejących dokumentów prześledzić hipotetyczny szlak ich wędrówki, zrekonstruować go i sprawdzić, czy ktoś z ich załogi zdołał dotrzeć do Grenlandii. A jeśli tak, to jak potoczyły się, a właściwie hipotetycznie mogły potoczyć się losy członków wyprawy? Do tej pory nie było wiadomo, że celem ich wyprawy było przewiezienie osadników na Grenlandię. Wyjaśnili to dopiero niedawno niemieccy historycy.

Svenson pokiwał głową.

– Wiele wskazuje, że głównym nawigatorem flotylli był Johannes Scolvus, najprawdopodobniej Norweg, ale nie jest wykluczone, że był poddanym króla Portugalii.

– Ciekawe – rzekł cicho Petersen.

– Scolvus jako Norweg musiałby świetnie znać sagi normandzkie i zapewne słyszał o wyprawach Eryka Rudego, wygnanego z Islandii, który żeglując na zachód, dotarł najpierw do Grenlandii, a następnie do mitycznej Winlandii, czyli w okolice dzisiejszego stanu [Massachusetts](#). Mógł więc poprowadzić wyprawę tym szlakiem i wówczas miałby ogromne szanse, by dotrzeć do Ameryki.

Z głębi sali dało się słyszeć prychnięcie. Wszyscy odwrócili oczy i zobaczyli bezczelny uśmiech profesora Vincenziego. Widząc, że skupił na sobie uwagę zebranych, rozłożył bezradnie dłonie i udał, że wyciera nos. Nowickiego najwyraźniej wyprowadziło to z równowagi. Zbity z tropu, zrelacjonował cel swoich badań i dociekań, nie wchodząc już w szczegóły. Było widać, że chce jak najszybciej zakończyć wystąpienie, uważając zapewne, że Włoch źle mu się przysłużył.

Petersen zachowywał jednak stoicki spokój. Temat wyprawy Pininga i Pothorsta najwyraźniej wzbudził jego zainteresowanie.

– W jaki sposób uzyskał pan potwierdzenie, że w wyprawie obu Niemców brał udział Scolvus?

Nowicki był już rozkojarzony.

– No właśnie... Wspominają o tym źródła średniowieczne, a ostatnio potwierdził to Thomas Hughes w „German Historical Institute Bulletin”...  
– rzekł.

Svenson kiwnął przyjaźnie głową i uśmiechnął się.

– Proszę kontynuować.

Robert wziął głęboki oddech, by uspokoić nerwy. Zaczął przedstawiać poszczególne narzędzia i metody badawcze, które dawały największą

szansę na zweryfikowanie hipotez dotyczących dalszych losów osadników.

– Chciałbym sprawdzić – mówił – czy po osiągnięciu zachodniego wybrzeża Grenlandii w ogóle doszło do założenia osady? Być może załogi rozdzieliły się i część ludzi pozostawiono na Grenlandii, a reszta udała się na południowy zachód, docierając do wybrzeża kontynentu [północnoamerykańskiego](#).

Po chwili milczenia głos zabrał profesor Svenson.

– Założenie słuszne, ale nurtuje mnie, czy bierze pan pod uwagę, że w wyprawie Pininga mogło nie być Scolvusa?

– Uznaję, że dotychczas znane źródła są wysoce niepewne, mogło być więc i tak, jak sugeruje pan profesor...

– Ja niczego nie sugeruję. Pragnę tylko wiedzieć, jakie jest pańskie zdanie na ten temat.

– Chciałbym to właśnie dokładnie zbadać.

– To wszystko?

Nowicki sprawiał wrażenie, jakby był zbity z tropu.

– Założenia zawarte są w moim wniosku – powiedział niepewnie. – Nie sądzę, aby trzeba byłoby je powtarzać, tym bardziej że moje argumenty najwyraźniej bawią niektórych słuchaczy.

Vincenzi zarechotał jak trefniś:

– Setnie, panie profesorze, setnie, niech mi pan wierzy...

Nowicki rozłożył ręce. Sympatia Svensona była jednak najwyraźniej po jego stronie. Norweg uśmiechnął się do Polaka i poprosił:

– Mimo to, proszę, by pan kontynuował...

Robert dotknął kołnierzyka i odruchowo poprawił krawat, jakby chciał dodać sobie pewności.

– Można się spodziewać, że po osiągnięciu Labradoru wyprawa skierowała się na południe, zresztą zgodnie ze wskazówkami zawartymi w opisie zamorskich wypraw Eryka Rudego. Gdyby tak było istotnie, idąc za jego śladem, ludzie Pininga i Pothorsta, według wszelkiego prawdopodobieństwa, powinni byli trafić na Winlandię, czyli okolice dzisiejszego stanu Massachusetts.

– Zgodzi się pan z założeniem, że byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby w wyprawie, jako pilot nawigator, brał udział ów Norweg, Scolvus. Wydaje się, że on jako jedyny w tym towarzystwie mógł znać szlak Eryka Rudego.

– Oczywiście – podchwycił Nowicki. – Chciałbym też zaznaczyć, że pole badawcze tej wyprawy jest szersze, niż można się z pozoru spodziewać. Amerykańscy historycy Thomas Hughes i Russel-Wood z Hopkins University w Baltimore dowodzą, że wyprawa mogła dotrzeć nawet do Zatoki Meksykańskiej i odwiedzić którąś z wysp na Morzu Karaibskim.

Członkowie komisji wymienili spojrzenia. Po chwili profesor Svenson zadał ostatnie pytanie:

- Proszę określić cel pańskich badań?
- Prześledzić losy wyprawy i ustalić, co jest bezsprzeczne.
- Rozumiem... Pytania?

Petersen i Eltingsrüt nie mieli pytań.

Wreszcie przysła kolej na Włocha. Na mównicy czuł się jak u siebie w domu. Mówił ze swadą, swobodnie, często przerywając swój wywód dowcipem lub anegdotą. Wchodził w dygresje, z których zawsze potrafił logicznie wybrnąć, nawiązując do następnej kwestii. Był porywającym mówcą, co bez wątpienia stanowiło jego atut. Gdy się go słuchało, nie można było oprzeć się wrażeniu, że mimo tuszy i pospolitej twarzy był czarującym mężczyzną, który z pewnością odnosił sukcesy u kobiet. Dla Włocha musiało to mieć oczywiście fundamentalne znaczenie. Najważniejszym elementem jego twarzy obok wydatnych ruchliwych ust były jego oczy, którymi rzucał inteligentne i bystre spojrzenia.

– W 1984 roku w indyjskiej świątyni Puri – mówił – amerykański historyk zajmujący się porządkowaniem archiwum i bibliotek świątynnych trafił na manuskrypt spisany świeckim pismem, który po bliższej analizie okazał się niezwykle ciekawym dokumentem – zawiesił głos, jakby chciał spotęgować w słuchaczach jeszcze większe zaniekowanie. – Był to podyktowany przez Krzysztofa Kolumba opis jego podróży. Treść manuskryptu relacjonuje, uwaga!, jego piątą podróż do Nowego Świata. Piątą, podkreślam, a więc dotychczas nieznaną!

Rozejrzył się po obecnych, jakby chciał sprawdzić, czy jego oświadczenie wywarło odpowiednie wrażenie.

– Co więcej – podjął – udało się ustalić, że raport z Puri został spisany około roku 1510, a zatem już po śmierci Kolumba. Być może uczynił to skryba klasztorny na podstawie notatek lub opowiadań Kolumba, i w tej sytuacji mielibyśmy do czynienia z przekazem z drugiej ręki. Manuskrypt

znajduje się obecnie w Indiach, ale mój uniwersytet w Genui dysponuje kopiami i pełnym tłumaczeniem tekstu.

Miałem okazję zapoznać się z oryginałem i rozmawiałem ze zwierzchnikami klasztoru. Mam ich przyrzeczenie, że udostępnią manuskrypt do dalszych badań.

Oświadczenie Vincenziego wzbudziło ożywienie wśród członków komisji. Posypały się pytania.

Jedno z nich dotyczyło metodyki badań.

– Nie jestem w stanie zaproponować niczego nowego. Sądzę, że najwłaściwsze byłoby tu zastosowanie badań tradycyjnych, które zresztą dają najpewniejszy wynik. Metody weryfikacji faktów...

– Czy wiadomo, w jaki sposób ten tekst znalazł się w Indiach? – rzucił Geifr Eltingsrut.

– Dziś możemy z pewnością wykluczyć fakt, że Kolumb dopłynął do Indii – powiedział twardo Petersen.

– Ja bym tego nie wykluczał – rzekł Vincenzi z uśmiechem.

– Czyżby?

– Z treści manuskryptu wynika, że admirał dotarł w okolice dzisiejszej Panamy i w tym miejscu pokonał przesmyk między dwoma oceanami. Gdy osiągnął brzeg Pacyfiku, kontynuował podróż na wschód.

– Ciekawe... – rzucił Svenson. – Ale chyba przebył ten odcinek... pieszo.

– Przynajmniej częściowo. Manuskrypt z Puri wspomina o transportowaniu żaglowca lądem. W tym miejscu odległość między oceanami liczy około osiemdziesięciu kilometrów, a między brzegami są spore rozlewiska, jeziora i bagna. Dziś jest tam Kanał Panamski, ale w tamtych czasach okręt musiałby być transportowany lądem więcej niż połowę dystansu.

– Czyżby przywieźli ze sobą konie? Siła rąk ludzkich to jednak chyba zbyt mało na spory żaglowiec, biorąc pod uwagę dziesiątki kilometrów...

– Nie wykluczałbym tego, tym bardziej że podczas wcześniejszych wypraw Kolumba transportowano zwierzęta pociągowe, nie tylko konie. To zagadnienie jest jednym z tematów moich badań. Poza tym ważną sprawą jest kwestia finansowa ekspedycji. Na pewno tym razem nie stały za nią pieniądze królowej Hiszpanii. W takim wypadku jego wyprawa zostałaby zaliczona do oficjalnych i byłoby o niej powszechnie wiadomo. Ktoś inny wyłożył pieniądze.

– Kto?

– W tym rzecz! To również chcę zbadać. Może Portugalia? Albo Genua, rodzinne miasto odkrywcy?

A może jeden z władców arabskich lub któryś z książąt hinduskich? To bardzo prawdopodobne, ponieważ ten ktoś, inwestując w wyprawę, miał prawo liczyć na zyski.

– Przecież Vasco da Gama dopłynął do Indii, okrążając Afrykę w 1497 roku. Morska droga do Indii była więc odkryta.

Ten argument nie wytrącił Włocha z równowagi.

– Cóż z tego, skoro w tamtych warunkach zabierała ponad pół roku w jedną stronę. I nie była bezpieczna ze względu na korsarzy afrykańskich i arabskich. Trzeba pamiętać, że wówczas konkurencja między Portugalią, która była najmocniejszym mocarstwem kolonialnym, a Hiszpanią, która dopiero aspirowała do takiego miana, wykluczała jakiegokolwiek współdziałanie. Ta sytuacja wręcz wymuszała współzawodnictwo. Naturalne więc wydaje się, że Kolumb, który uważał, iż jemu należy się palma pierwszeństwa, choćby z powodu odkrycia nowych ziem na zachodzie – pragnąc ukoronować swój sukces, chciał być autorem nowej drogi, zachodniej, a nie wschodniej do Indii. Jak wiadomo, było to jego pierwotne marzenie, które sięgało czasów wczesnej młodości. Uważał, że zachodnia droga do Indii powinna być krótsza co najmniej o 3 miesiące od portugalskiej, wokół Afryki.

Profesor Svenson zerknął do papierów i w pomieszczeniu zaległa cisza.

Przeglądał poszczególne strony wniosku Vincenziego i można było odnieść wrażenie, że nie spieszy się, trzymając w napięciu obecnych. I że bawi go ta sytuacja. Tym bardziej, iż mina Włocha świadczyła o jego rosnącym zdenerwowaniu. Wreszcie Svenson zerknął na Włocha, a potem na siedzących obok członków komisji.

– Wydaje mi się, że właściwie moglibyśmy przyjąć ten argument, przynajmniej na tym etapie naszych rozważań. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Odpowiedziała mu cisza.

– W takim razie zamykam tę część posiedzenia komisji i ogłaszam przerwę do godziny dwudziestej, kiedy zapoznamy panów z werdyktem. Nieoficjalnie, podkreślam, bo uroczyste wręczenie grantu, jak wiecie, nastąpi jutro o godzinie dwudziestej w salach recepcyjnych „Oslo Fjord Sheraton Hotel”...

Dziękuję panom.

Skłonił się lekko, wstał i zabierając ze sobą skoroszyty z wnioskami, wyszedł z sali. Ktoś się uśmiechnął, ktoś inny westchnął z ulgą. Sigmund Petersen i Geifr Eltingsrut podnieśli się również i rozmawiając po duńsku, powoli wyszli do holu. Ktoś zaproponował drinka. Teraz mogli się odprężyć.

Nowicki musiał przyznać, że wystąpienie Włocha było efektowne i zrobiło na wszystkich wrażenie.

Dało się wyczuć, że Svenson nie pała do Vincenziego zbyt wielką sympatią, ale ci, którzy go znali, doskonale wiedzieli, że osobisty stosunek przewodniczącego komisji do kandydata nigdy nie przekładał się na ocenę merytoryczną jego wniosku. Robert był zły na siebie. Uległ prostej socjotechnice i pozwolił Vincenziemu, by ten wyprowadził go z równowagi. Zdekoncentrował się i nie użył wszystkich argumentów, które tak pieczołowicie przygotowywał przed wystąpieniem. Najgorsze było to, że się poddał. Odesłał członków komisji do tekstu swojego wniosku, jakby mu się nie chciało podjąć dyskusji.

Błąd! To mogło zrobić niekorzystne wrażenie. I na pewno zrobiło, choć, jak mu się wydawało, profesor Svenson darzył go chyba czymś w rodzaju przychylności. Petersen również dobrotliwie się uśmiechał, jakby chciał mu dodać otuchy. Ale on sam, zamiast podjąć walkę, zrezygnował z konfrontacji, nie próbując bronić swoich racji. Badacz, który nie jest pewien swoich argumentów, nigdy nie zdoła udowodnić stawianych hipotez. Bo sprawia wrażenie, że sam w nie nie wierzy.

Przy Robercie pojawił się O'Donan.

– Bob, powiedz szczerze, jak wypadłem?

Minęła chwila, nim Nowicki wrócił do rzeczywistości.

– Nieźle, poszło ci całkiem dobrze.

Irlandczyk poklepał go po ramieniu.

– Słuchaj, po drugiej stronie placu jest sympatyczny barek. Byłem już tam przed naszym posiedzeniem.

Zapraszam...

Robert wciąż przeżywał swoje złe wystąpienie, ale Sean nie dał mu zbyt wiele czasu do namysłu.

– Teraz już można, decyzje zapadają poza nami. Nie daj się prosić.

Chińczyk z kamienną twarzą wyszedł do recepcji, wziął swój czarny płaszcz i nie mówiąc nikomu ani słowa, opuścił pomieszczenie. Przed

wejściem czekał na niego samochód z konsulatu ozdobiony chorągiewką z barwami narodowymi. Widząc to, Vincenzi prychnął śmiechem i ze spokojem poprosił recepcjonistkę o kawę. Następnie zabrał się za studiowanie wyników włoskiej ligi piłkarskiej „Serie A”.

Jedynie profesor Gomez, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą począć, zapytał Seana, czy nie będzie miał nic przeciwko, jeśli zabierze się z nimi na drinka. Jowialny O’Donan od razu przeszedł z nim na ty, dodając, że przepiją do siebie, gdy Gomez postawi kolejkę.

Czas w barze minął szybko. Irlandczyk rozwodził się głównie nad tezami Vincenziego, przy czym nie żałował ani uszczypliwości, ani alkoholu, który nie należał w tym miejscu do najtańszych. Profesor Gomez był oszczędny w wyrażaniu opinii, a Nowicki wciąż rozpamiętywał swoje niefortunne wystąpienie. Gdy wrócili do gmachu uniwersytetu, recepcjonistka powiadomiła ich, że ogłoszenie wyników zostało przesunięte na dwudziestą drugą. Wrócili więc do baru.

– I tak uroczyste wręczenie grantu nastąpi jutro na gali fundacji w Sheratonie – rzekł Irlandczyk. – Ma być podobno premier, minister kultury, deputowani, konsulowie, a nawet, kto wie, może i sam następca tronu, Haakon Magnus Glücksburg.

O’Donan trącił łokciem nieco zadumanego Gomeza.

– Telewizja ma to transmitować. Będzie pompa!

O dwudziestej drugiej nie było jeszcze wyników. Svenson wyszedł do nich i przeprosił.

– Proszę o odrobinę cierpliwości. Tylko tyle mogę na razie powiedzieć. Nie umawiam się z panami na jutro, bo wiem, że żaden z was i tak by nie zasnął... Proszę wracać do hotelu. Jak tylko coś będę wiedział, natychmiast dam znać.

O trzeciej rano Robert odebrał telefon. Svenson powiedział krótko, że grant został przyznany Vincenzemu, ale decyzja nie była jednogłówna.

– Rozumiem – powiedział cicho rozczarowany Robert.

Po drugiej stronie zapadło kłopotliwe milczenie. Robert usłyszał chrząknięcie.

– Halo?

– Jak długo będzie pan w Oslo?

– Pojutrze wyjeżdżam.

– Chciałbym porozmawiać z panem przed wyjazdem. Czy moglibyśmy się spotkać u mnie w instytucie?

– Czy coś się stało? – zaniepokoił się Nowicki.

– Nie, nie – profesor zaprzeczył pospiesznie i w jego głosie pojawił się cieplejszy ton. – Zainteresował mnie pewien aspekt pana wypowiedzi. Chciałbym porozmawiać z panem prywatnie.

– Dziękuję za zaproszenie, oczywiście będę.

Przegrał, a więc tylko tyle udało się uzyskać. Znał smak porażki, ale teraz był wściekły na siebie, bo nie walczył, nie odpowiedział na wyzwanie tego Vincenziego. Najchętniej schowałby się przed całym światem. I tak właśnie robi! Jeszcze to spotkanie z profesorem Svensonem, zapewne kurtuazyjna kawka i rozmowa o niczym, jak zwykle w takich sytuacjach. Po południu samolot, a wieczorem będzie już u siebie w domu. Rzuci to wszystko w ką, odetnie się od świata, musi odpocząć.



Przyjęcie było prawdziwym balem, a Vincenzi okazał się królem życia. Żywiłowo reagował na wszelkie oznaki sympatii. Po kilku drinkach zatracił należny naukowcowi obiektywizm oraz wyczucie sytuacji. Wzbudzał uznanie swoimi wyczynami na parkiecie, tańcząc z kobietami, które znalazły się na uroczystości, ale kilka razy, szczególnie podczas wypowiedzi dla mediów po odebraniu dyplomu i czeku na ponad sto tysięcy euro, zachował się kontrowersyjnie, a nawet nonszalancko. Do profesora Svensona zwracał się jak do kumpla i nawet poklepał go po plecach, co wywołało na twarzy prezesa fundacji lekkie zażenowanie. Włoch nie ukrywał też, nie przebierając w słowach, że Petersena uważa za człowieka, którego należy „wycyckać” z kasy. Pieniądze zamiast „gnić w sejfach bankowych” powinny służyć realizacji pięknych idei, jakimi są między innymi badania naukowe.

To był jego wieczór i w obecności mediów Włoch czuł się panem sytuacji. Demonstracyjnie prezentował brak szacunku dla autorytetów i przekonanie o swojej nadzwyczajnej wartości, jako naukowca.

O'Donan przyglądał się tym scenom z niesmakiem.

– Podobno zwlekali z ogłoszeniem wyników, bo wypadł im jakiś sponsor.

– Wycofał się? – zapytał Nowicki.

– Jak się dowiedział, do kogo ta kasa ma trafić i na co będzie przeznaczona, trochę „wymiękł”... – Sean, gdy nie musiał być oficjalny,



przemawiał językiem swoich studentów i sprawiało mu to frajdę.

– Ale Vincenzi nie musi się tym martwić. Stoi za nim Colafiori, wiecie który... – mrugnął, a profesor Gomez tylko przymknął oczy. – Prezes Bractwa Krzysztofa Kolumba w Genui. Po tym granie obsypie go złotem, o ile można użyć takiego sformułowania. Badania Vincenziego to woda na jego młyn.

– Domyślam się. Ten Colafiori to, zdaje się, jakieś kolosalne pieniądze?

– Dwa banki, a on sam to filantrop i mecenas nauki. Ma hopla na punkcie Kolumba, bo podobno są jakoś spowinowaceni, ale nie znam szczegółów.

– Ciekawe – rzekł Nowicki w zamyśleniu. – Skoro mają takie środki...

– Ale potrzebują prestiżu.

Robert słyszał o Bractwie Krzysztofa Kolumba. Powinien był się spodziewać, że za Vincenzim stoi Colafiori. Było oczywiste, że dzięki grantowi Włoch będzie chciał potwierdzić tezę o pierwszeństwie Genuńczyka w odkryciu Ameryki, obalając nie tylko argumenty mówiące o prawdziwości wyprawy Pininga i Pothorsta, ale i dyskredytując hipotezy O'Donana, Li Xianga i Gomeza. Pieniądze na badania pełniły w tym wypadku rolę drugorzędną. Najważniejsze było uznanie środowiska i możliwości medialnego nagłośnienia wyników badań Vincenziego, a co za tym idzie, efekt propagandowy popularyzacji samej postaci Kolumba. Z drugiej zaś strony – i Nowicki musiał to szczerze przyznać – udowodnienie, iż Kolumb po raz piąty wybrał się za Wielką Wodę i tym razem osiągnął brzeg kontynentu, a następnie popłynął do Indii, wydawało się stanowić dużo większe wyzwanie i pokusę dla świata nauki, niż na przykład uporządkowanie wiedzy o wyprawie Pininga i Pothorsta.



Nazajutrz profesor Svenson przyjął Nowickiego w swoim gabinecie. Na spotkaniu obecny był także Sigmund Petersen. W bezpośrednim kontakcie wydawał się otwarty i prostolinijny. Nie ukrywał, że podczas głosowania optował za badaniami Nowickiego, bo Pining i Pothorst działali w imieniu króla Danii.

– Ale skoro komisja podjęła inną decyzję – rozłożył bezradnie ręce – trudno. Chciałbym jednak wyrazić swoje uznanie dla pańskich wysiłków. I

nadzieję, że nie ustanie pan w poszukiwaniach wyjaśnienia historycznej prawdy.

Rozmowa przyjęła mniej oficjalny charakter i w pewnej chwili Robert poczuł się swobodnie, jak podczas pogawędki z przyjaciółmi. Pod koniec spotkania, gdy zbliżał się czas odlotu jego samolotu do Gdańska, profesor Svenson zaproponował Polakowi spędzenie wakacji na Wyspach Owczych. Robert był zaskoczony ofertą.

– Mam inne plany wakacyjne – powiedział. – Nawiasem mówiąc, dużo skromniejsze, przede wszystkim pod względem finansowym...

Svenson i Petersen wymienili krótkie spojrzenia. Ich twarze wyrażały życzliwość.

– To nie jest problem – odrzekł Svenson. – Zamieszkałby pan w klasztorze pod opieką przeora, który jest moim dobrym znajomym.

Na twarzy Roberta pojawił się niepewny uśmiech. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Mają ciekawą bibliotekę. Nie będzie się pan nudził – powiedział Svenson. – A przeor byłby bardzo rad, gdyby pomógł mu pan w uporządkowaniu zbiorów. Choćby częściowo.

– Niech się pan zastanowi. – Petersen najwyraźniej przychylił się do pomysłu prezesa fundacji. – Poza tym „Owce” to jedno z najciekawszych miejsc na świecie.

Pochwycił ciekawe spojrzenie Roberta.

– Tam można przejechać się po jedynym moście na Atlantyku, a jak ktoś chce, to również tunelami pod oceanem.

# 3

## Księgi

Przeor siedział za dużym stołem, na którym stał nagi drewniany krzyż i dwa świeczniki. Kontrastował z nimi niewielki zgrabny laptop, na ekranie którego widoczne były jakieś zestawienia i tabele. Obok komputera leżał także brewiarz. Pod ścianą stały wielkie oszklone szafy, w których Nowicki dostrzegł grzbiety równo poukładanych ksiąg. Wskazał w ich kierunku.

– Słyszałem od profesora Svensona, że macie tu imponującą bibliotekę.

– Przesada. Profesor nadmiernie łaskaw, choć rzeczywiście w naszych zbiorach jest kilka starych druków i manuskryptów.

– Mógłbym je zobaczyć?

– Jeśli pan ciekaw, pewnie... Ale tutaj jest zaledwie niewielka część. Większość znajduje się w bibliotece, którą później panu pokażę.

– Ojciec przeor, jak wiem, również pasjonuje się starodrukami?

– Jestem ich miłośnikiem, ale nie mam w tym kierunku wykształcenia... Proszę, niech pan otworzy szafę i sięgnie po któryś...

Podeszli do największej szafy. Zakonnik wskazał na jedną z półek.

– Tu mamy nasze największe skarby... – dotknął pieśczośliwie jednego z grzbietów. – „Phaenomena”... – szepnął. Następnie przesunął dłoń w prawo i dotknął kolejnego, wytwornie zdobionego grzbietu.

– „Georgiki” Wergiliusza... A tutaj „Historia Anglorum”, „De rhetorica cognatione”...

Nowicki poszedł za jego gestem.

– Można?

– Oczywiście, bardzo proszę...

Profesor wyjął z szafy wskazaną księgę i otworzył ją z namaszczeniem. Stary gruby papier, wyblakły, niemal wklęsły druk, zdobione inicjały.

– To rzeczywiście cenny zabytek – potwierdził.

– O tę – przeor wskazał na kolejną, stojącą w tym samym rzędzie – zwracał się do nas Uniwersytet w Malmo, a i ci z Yale byli zainteresowani nabyciem.

– I co?

– Są u nas od setek lat i niech tak zostanie, o ile generał zakonu nie postanowi inaczej. Zresztą, mogą się jeszcze przydać.

Profesor rzucił zagadkowe spojrzenie.

– Poza wszystkim jest to lokata kapitału. Może jeszcze przyjdą ciężkie czasy i dla podratowania klasztoru trzeba będzie je zamienić na gotówkę...

– uśmiechnął się. – Ale tego ja już nie powiedziałem.

– A ja nie usłyszałem – zgodził się wesoło Robert. I zaraz potem zapytał:

– Bywało już tak w przeszłości?

– Nie często, ale bywało... W 1940 po pożarze spowodowanym bombardowaniem hitlerowskich samolotów. Wtedy, za zgodą generała zakonu, musieliśmy wyprzedać nieco majątku, by zyskać środki na odbudowę...

Nowicki oglądał księgi i słuchał opowieści przeora o dziejach zakonu. A jego losy były związane z historią archipelagu, który w 1380 roku jako własność korony norweskiej, wraz z podległymi jej terytoriami stał się częścią unii personalnej z Danią. Później Wyspy Owcze weszły w skład skandynawskiego mocarstwa złożonego ze Szwecji, Danii i Norwegii. Hegemonem tego triumwiratu była Dania. Za jej przyczyną w 1538 roku na Wyspach nasilił się ruch reformacyjny. Wpływy kościoła katolickiego były stopniowo ograniczane. Chodziło o ziemie, których znaczna część na Wyspach Owczych stanowiła własność zakonu i hierarchów. Specjalnym edyktem włączono je do dóbr korony duńskiej, a w 1540 roku wygnano z Wysp ostatniego biskupa katolickiego. W tym samym roku wyrugowano z życia język miejscowej ludności. Farerski został całkowicie zastąpiony duńskim. Także w liturgii luterańskiej, która zaczęła powszechnie obowiązywać na archipelagu. Duńczycy zarządzili poprzez swojego gubernatora, ograniczając właściwie zupełnie znaczenie lokalnej władzy. Wprowadzili też monopol handlowy nadzorowany przez rodzinę Gabelów. Handel z wyspiarzami był bowiem niezwykle intratny.

Potrzebne tu było niemal wszystko, począwszy od drewna, płodów rolnych i prostych narzędzi. W zamian wywożono ryby i wełnę.

Robert wskazał na księgi.

– W jaki sposób te cenne zabytki trafiły w wasze ręce?

– Część jeszcze przed nastaniem dominacji duńskiej, a później różnie. Zwykle przywozili je goście klasztoru jako dary wraz z różnymi relikwiami. Duńczycy, widząc, że nasze wpływy zostały zmarginalizowane, przestali nas prześladować. Oczywiście były różnego rodzaju ograniczenia, a nawet szykany, ale trzeba przyznać, że na ogół pozwalali nam żyć. Zdarzały się okresy, gdy nasi zakonnicy żyli niemal jak w podziemiu, wiele działań ukrywano, bo nie były mile widziane przez namiestnika korony.

Wtedy nawet nie wychodzili do miasta w habitach, bo groziło to karą albo pobiciem przez fanatycznych protestantów.

– Nie nastawali na wasz wyjazd z Wysp?

– Wystarczy, że wstrzymali budowę naszej katedry w Kirkjubøur i skonfiskowali część tamtejszych zabudowań klasztornych. Liczyli chyba na to, że sami odejdziemy. Po lawinie, która w XVIII wieku zeszła z gór i niemal zrównała z ziemią naszą siedzibę w Kirkjubøur, niecałe sześć kilometrów stąd na zachód... musieliśmy wynająć izby w prywatnych domach, by rozlokować mnichów. Były potrzebne pieniądze, żeby przetrwać. Wtedy również przydały się nasze księgi. Spieniężaliśmy je w Anglii, we Francji, nawet w Hiszpanii.

– Skąd ojciec zna takie szczegóły?

Gilbert Roscoe zrobił zagadkową minę, ale szybko się rozpogodził.

– Z kronik klasztornych, które prowadzone są przez zakonników od samych początków organizowania tego opactwa.

– To musi być pasjonująca księga.

– To są już całe półki ksiąg. Trzymamy je w specjalnie wydzielonym pomieszczeniu naszej biblioteki.

Początkowo były pisane po łacinie, a potem po duńsku, islandzku, nawet w miejscowym farerskim, gdy kronikarzami byli mnisi z tych stron.

– Pewnie działo się wtedy mnóstwo ciekawych rzeczy?

W głosie przeora pojawiła się nutka ironii:

– Jeśli spodziewa się pan, że kryją historie takie jak ta, którą opisał Umberto Eco w „Imieniu Róży”, to jest pan w błędzie. Większość to zwyczajne codzienne zapiski. Kto gdzie pracował, kto był chory, kto pełnił służbę w kuchni i co było na kolację... – zaśmiał się. – Kto przybył do klasztoru, kto odszedł, daniny i ofiary, wydatki... Ot, codzienność.

– Żadnych tajemnic, żadnych przygód?

– A pan, widzę, chętny usłyszeć...

– Myślę, że przez tyle wieków musiało się wydarzyć coś ciekawego. Te księgi z pewnością kryją wiele tajemnic. Jak i wyjaśnień. To jak zadawanie pytań i znajdowanie odpowiedzi.

– Być może, ale trzeba by najpierw dokładnie przeanalizować wszystkie kroniki, a kto miałby tyle czasu, cierpliwości i ochoty?

– Może kiedyś ktoś taki się znajdzie?

Przeor pokiwał głową i podniósł się ze swojego krzesła.

– Teraz zaprowadzę pana do biblioteki.

Po drugiej stronie korytarza znajdowało się kilka pokoi przechodnich. Ściany naprzeciwko wysokich okien zabudowano od podłogi do sufitu półkami, które szczelnie wypełniały książki. Pochodziły z różnych stron świata i wydano je w różnym czasie.

W pomieszczeniu panował specyficzny zaduch. Było tam jednak sucho. Robert nie wyczuł charakterystycznego zapachu zakurzonych ksiąg nasączonych wilgocią i odoru pleśni, które dawały się we znaki w magazynach wielu, nawet renomowanych bibliotek. W tych pomieszczeniach książki miały dobre warunki. Wnętrze było jednak rzadko używane i przez to niewietrzone. Być może dawniej ktoś palił tu tytoń i jego woń wgryzła się w tekturę okładek. Przeor wciągnął w nozdrza odrobinę powietrza.

– Zarządzę regularne wietrzenie – rzekł po chwili. – W słoneczne, suche dni warto wpuścić tu nieco świeżego powietrza.

Robert skinął głową i zajął się przeglądaniem zbioru. Egzemplarze z XIX wieku w zdobionych oprawach nie stanowiły wyjątków. Były też książki wydane współcześnie, na przestrzeni ostatnich sześćdziesięciu lat. Większość dotyczyła spraw religii, ale profesor zauważył też dzieła z dziedziny psychologii, socjologii, a nawet nauk ścisłych. Również z astrofizyki. Były nie tylko w językach skandynawskich, lecz także po angielsku i po niemiecku. Osobną szafę zajmowały książki w językach azjatyckich.

– Ktoś w klasztorze zna te języki?

– Bywali u nas ojcowie i bracia, którzy swobodnie czytali te teksty.

Pośrodku każdego z pokoi ustawiono stoły. Służyły do pracy, ale na nich również ułożone były książki.

Robert wziął jedną z nich, w wyjątkowo zdobnej oprawie. Otworzył ją z pieczołowitością. Chropowaty papier, wyblakły inkaust, postrzępione brzegi stronic... Ostrożnie przewracał kolejne strony.

– Czasem aż strach dotknąć – rzekł przeor – by papier nie rozszedł się w palcach. Były przechowywane w różnych warunkach, narażone na wilgoć, kurz... Dopiero od kilkudziesięciu lat są tutaj. Przedtem trzymano je w skrzyniach, w piwnicach, magazynach, w różnych warunkach, nie zawsze odpowiednich dla takich eksponatów. Wiadomo, jakie tu jest powietrze. Wilgoć z dużą zawartością morskiej soli. To fatalnie działa na papier, na starodruki i zabytkowe manuskrypty...

– A gdzie znajdują się te sławetne kroniki, o których ojciec przeor wspominał?

Zakonnik wskazał boczne drzwi między szafami. Otworzył je i włączył światło. W niewielkiej komórce stały regały, na których ustawiono setki woluminów.

– I tak nie mamy kompletu – powiedział. – Brakuje kilkudziesięciu tomów. Swego czasu jeden z ojców robił inwentaryzację i stąd wiadomo, czego nie ma.

– To precyzyjne dane?

– W miarę. Ustaliliśmy także i to, że w zachowanych księgach nie ma adnotacji o przerwach w prowadzeniu kroniki, na przykład ze względu na brak kronikarza czy środków. Brakuje poszczególnych tomów, a nawet roczników. Wiadomo, że te księgi istniały, ale w tej chwili są poza naszym zasięgiem.

Miejmy nadzieję, że kiedyś się odnajdą.

Robert pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Kroniki są dla nas ważne – ciągnął przeor. – Mówią o naszej tożsamości, o całych wiekach nieprzerwanego istnienia. Gdyby się odnalazły, z pewnością stanowiłyby okazję badawczą dla niejednego naukowca – uśmiechnął się.

– Może jeszcze nic straconego.

– Oby miał pan rację, profesorze. Pewnie czekają w którejś z piwnic, aż ktoś je ponownie odkryje.

Przeor popatrzył na Nowickiego i uśmiechnął się zagadkowo.

– A może zostały wywiezione?

– Wywiezione? – Robert spojrzał na niego badawczo. – Przez kogo?

– A przez kogóż by, jak nie przez Brytyjczyków?

– To ciekawe...

Przeor ze swadą opowiadał, jak podczas drugiej wojny światowej Wyspy Owcze wraz z Grenlandią stały się jedynymi obszarami Danii

pozostającymi poza okupacją hitlerowców. Niemcy mieli na nie chrapkę. Nietrudno zgadnąć, z jakiego powodu. Patrząc na mapę północnego Atlantyku, widać jasno, że Wyspy Owcze byłyby idealną bazą dla ich lotnictwa i marynarki, zwłaszcza dla U-bootów, które mogłyby kontrolować amerykańskie konwoje zmierzające do Europy.

– Te same walory położenia archipelagu dostrzegli również Brytyjczycy, lądując na naszych Wyspach tuż po zajęciu przez Niemcy Danii. Właściwie była to brytyjska okupacja, ale w rzeczywistości my również byliśmy z niej zadowoleni. Zyskaliśmy obrońców, a Anglicy strategiczny punkt na oceanie.

Kilkusetosobowy pułk urządził w jednym z fiordów bazę okrętów wojennych, a chroniła ich artyleria przeciwlotnicza. Zorganizowano punkty obserwacyjne i umocnienia, których pozostałości przetrwały do dziś. Potem zbudowano bazę lotniczą na wyspie Vagar. Zaprojektowanie lotniska na naszym terenie nie było proste. Wystarczy przypatrzeć się rzeźbie terenu poszczególnych wysp, by zrozumieć, że było to prawdziwe wyzwanie dla architektów i inżynierów. Ale udało się. Z lotniska korzystały maszyny kursujące na trasie z Ameryki do Wielkiej Brytanii.

– I angielscy żołnierze przy okazji zainteresowali się waszymi księgami?

– Nie, to nie tak... Niemcy wciąż mieli chrapkę na przejęcie archipelagu i rozpoczęli bombardowanie Tórshavn. Portu rybackiego, a także bazy okrętów angielskich. Wyglądało na to, że może się tu powtórzyć bitwa o Anglię. Wprawdzie lotnictwo Goeringa było już poważnie osłabione, niemniej Niemcy wciąż dysponowali siłą, która była w stanie zagarnąć nasze ziemie. Naloty nasilały się, zestrzelono kilka ich maszyn, ale też straty Anglików były dość poważne. Podczas jednego z takich powietrznych ataków ucierpiał klasztor. Praktycznie jedno skrzydło budynku trzeba było całkowicie odbudować.

– Pewnie wtedy zaginęły księgi? – zagadnął Robert.

– Nie, biblioteka ocalała. Ucierpiał zabudowania gospodarcze i część pomieszczeń dla zakonników.

– I wówczas zakon wystawił na sprzedaż skarby swojej biblioteki?

– Tak naprawdę chodziło o jedną księgę i odbyło się to bardzo dyskretnie. Jeden z angielskich książąt wyraził zainteresowanie pewnym egzemplarzem... Pozwoli pan, że kulisy zachowam w tajemnicy...



W każdym razie sytuacja była groźna. Wyglądało na to, że Niemcy tu wejdą, że to tylko kwestia czasu.

Ówczesny przeor postanowił ratować nasze najcenniejsze zbiory, wysyłając je do jednego z klasztorów franciszkańskich na terenie Irlandii, która zachowała neutralność. Uznał, że tam mają szansę przetrwać w rękach zakonu. Wiele cennych egzemplarzy spakowano wówczas do specjalnych skrzyń i księgi rozpoczęły swoją wędrówkę. Najpierw do prywatnych domów naszych przyjaciół, katolików, a stamtąd do bazy lotniczej. Miały być wysyłane samolotami, w których akurat znajdzie się miejsce, po jednej, dwie, trzy skrzynie, do Szkocji lub bezpośrednio do Irlandii. A na miejscu mieli odbierać je nasi bracia.

Gdy rozpoczęliśmy ewakuację biblioteki, naloty osłabły, a następnie zupełnie ustały. Jednak część pak prawdopodobnie odleciała z Wysp, bo później nie udało się wszystkich odzyskać. Nie wydaje mi się, aby te skrzynie zostały u naszych farerskich katolików, bo ze wszystkimi mieliśmy dobry kontakt. Tak czy inaczej, część księgozbioru przepadła.

– To interesująca historia. Wasza biblioteka wciąż wędrowała...

– Tak, to właściwe określenie. W każdym razie brakuje kilkadziesiątu tomów naszych kronik, i to z różnych lat. Część z XV wieku, ale też z XVIII i z początków dwudziestego...

Robert zainteresował się regałem, w którym za szkłem widać było stare rękopisy.

– Można?

Przeor wyjął jeden ze zwojów. Równe rzędy tekstu, liter i cyfr przedstawiały prawdopodobnie jakiś dowód matematyczny.

– To kopie – rzekł – ale sporządzone w XVI wieku, mają więc pewną wartość. Był u nas brat znający język arabski. Przetłumaczył kilka innych rękopisów. Najczęściej to kontrakty handlowe z Półwyspu Iberyjskiego, a także traktaty filozoficzne myślicieli z Sewilli. Kopie. Są też manuskrypty z sagami wikingów, opis podróży na Grenlandię... Pisma po hiszpańsku, włosku, sporo po portugalsku.

Oczywiście są to stare odmiany języków, z XV, XVI wieku, trudne do odcyfrowania przez współczesnych badaczy, niemających za sobą studiów językoznawczych...

– To zrozumiałe.

– Ale są też pisma w językach zupełnie nieznanymi, które w trudny do wyjaśnienia sposób znalazły się w naszym klasztorze. Jak pan chce, mogę

pokazać, szczególnie jedno...

Ojciec Roscoe podszedł do wąskiej szafy i wyciągnął sporą księgę oprawioną w cienkie poczerńnięte deseczki, spięte metalowymi skuwkami. Robert wziął ją od przeora. Nie spodziewał się, że będzie tak ciężka. Ważyła co najmniej siedem lub osiem kilogramów. Ułożył ją na stole, odchylił metalowe zapięcia i otworzył.

Gdy ma się do czynienia z tak rzadkim okazem, pierwsze dotknięcie wywołuje zazwyczaj silne emocje. Odczuwa się coś w rodzaju lekkiego drżenia, a zarazem wzruszenia, jakby się głaskało główkę noworodka.

Był to zbiór pergaminów i luźnych kart papieru, czasem nierówno przyciętych, później zszytych i po jakimś czasie oprawionych, ale widać było, że pierwotnie były różnych rozmiarów, bo większe pozaginano i potem zszyto na marginesach. Między nimi były też zapisane kawałki cieniutkiej kory.

Robert przewrócił kilka stron. Nie były pisane ozdobnymi literami, raczej wyrobionym charakterem pisma, którego używa się do sporządzania notatek. W niektórych miejscach litery były rozmyte i zatarte.

Wilgoć! To wróg starych rękopisów, czasem powodujący powstawanie grzyba, który zżera papier, a nawet pergamin.

Przekładał następne karty z papieru, ale po kilku napotkał opór, ponieważ przy bocznym marginesie, wzdłuż cięcia, zostały ze sobą zlepione. Papier, wilgotniejąc, tworzy lepłą masę i schnąc, zastyga.

W innych miejscach pergamin stwardniał, a inkaust skruszał i osypywał się. Tam tekst był nieczytelny gołym okiem.

Pergamin może przetrwać wiele stuleci, a na podstawie rozmieszczenia włókien i porów w jego strukturze można określić bardzo precyzyjnie czas i miejsce jego wykonania. Dokładnie wiadomo bowiem, w jakich okolicach i w którym stuleciu skóry danych owiec służyły do wyrobu pergaminu. Jego włókna układają się w wyniku naciągania, ale kiedy się go zmoczy, wracają do pierwotnej struktury.

Mikroskop może dać wiele zaskakujących odpowiedzi, nawet na najtrudniejsze pytania. O ile Robert mógł się zorientować na pierwszy rzut oka, księga mogła liczyć czterysta, a nawet pięćset lat.

– Nikt nie potrafił mi powiedzieć, w jakim języku napisano te teksty – rzekł ojciec Gilbert.

Nowicki przyjrzał się im z uwagą.

– Alfabet zdaje się być rzeczywiście łaciński, ale...

– Zagadka, jak z manuskryptu Voynicha, co? – uśmiechnął się przeor.  
– Jeśli ojciec pozwoli mi dłużej nad nim posiedzieć, może uda mi się coś ustalić.

– A ma pan ochotę?

– To gratka dla historyka...

Przeor nie krył zadowolenia.

– W takim razie nie widzę przeszkód.

Błyszczące oczy Nowickiego wyrażały podziękowanie, które przeorowi sprawiło dodatkową przyjemność. Wkrótce odszedł, pozwalając profesorowi zagłębić się w kartach tajemniczej księgi.

Na jednej z pierwszych stron profesor odnalazł na marginesach ornamenty, które przyciągnęły jego uwagę. Najwyraźniej poczynił je autor. Dawniej prawdopodobnie były barwne, jednak czas zabrał im kolory i wizerunki zszarzały. Wciąż jednak zachwycały misterną kreską. Autor chyba lubił rysować. Miał zresztą ku temu spore zdolności. Być może doskonalił się w tej sztuce pod okiem jakiegoś mistrza. Ręka sprawnie posługująca się piórem pozostawiła całe rzędy zdań. Co zawierały, o czym opowiadały?

Nowicki wziął lupę, by powiększyć poszczególne wyrazy. Niestety, człowiek posługujący się tym zdecydowanym charakterem pisma nie chciał powierzyć mu swoich tajemnic. Z pewnością jednak istniał język, który mógł być kluczem do tajemnicy. Jaki? Jeden z dialektów tureckich? A może jakaś odmiana języka z odległego zakątka Europy? Alfabet łaciński niczego nie przesądzał. A co, jeśli była to transkrypcja któregoś z lokalnych dialektów lub regionalnych gwar? W takim wypadku mógł liczyć jedynie na łut szczęścia, by odszyfrować zagadkę, którą kryła księga. Czy zawierała jakąś tajemnicę, czy też wydarzenia z czyjegoś życia, być może nawet bardzo niezwykłego, tego się nie dowie, póki nie ustali, w jakim języku została napisana.

Jeszcze przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad zagadką języka, a potem wrócił do ornamentów na marginesach. Stanowiły je motywy konwalii, [bratków](#), [chabrów](#), [dzwonków](#), [goździków](#), [koniczynek](#), [lili](#), [niezapominajek](#) i [róż](#), a także proste, wręcz schematyczne odwzorowania [tulipanów](#) i [akantu](#). Między nimi znalazł też owady, pszczoły i żuki. Jedną z wiodących kompozycji był element „drzewa życia” o nieskomplikowanym układzie gałęzi. Robert zwrócił uwagę, że poszczególne gałęzie i odnogi nie

krzyżowały się, nie nakładały ani nie przeplatały, nawiązując do najprostszych i przejrzystych zasad życia ludzkiego.

Przez chwilę miał wrażenie, że już gdzieś widział podobne motywy, ale pamięć nie mogła odnaleźć prawidłowego skojarzenia. Czuł jednak, że musiał się z nimi spotkać co najmniej kilka razy w jakichś zupełnie oczywistych sytuacjach.

Przewrócił parę stron pokrytych wyłącznie tekstem, wreszcie jego oczom ukazał się rysunek, którego precyzja go zaskoczyła. Mężczyzna w dziwnym obuwiu i o niepospolitej fryzurze, w której odznaczały się wystrzyżone pasy stojących w różnych kierunkach włosów, odziany w strój przypominający wzorzysty koc z frędzlami, ze świetnie oddaną muskulaturą, stał na tle palisady, wewnątrz której znajdowały się zabudowania. Nie były zbyt dobrze widoczne, bo zasłaniała je postać mężczyzny, ale profesor był pewien, że do tej pory nie widział domów o takim kształcie. Chyba że nie były to domy? Może jakieś magazyny albo zabudowania o innym charakterze? Między tymi obiektami widać było ludzi. Gesty wskazywały, że byli w ruchu. Za palisadą widoczne były uprawy rozdzielone precyzyjnie wytyczonymi miedzami. Ludzie z obrazka najwyraźniej dbali o porządek. W oddali widniała rzeka lub jezioro, choć mogło to być również morze, ponieważ horyzont zasłaniały chmury. Na wodzie widać było łódzie z wiosłującymi ludźmi. Gdzie płynęli i w jakim celu? Kim był ten mężczyzna? Odpowiedź na to pytanie krył zapewne tekst.



Nazajutrz po śniadaniu przeor zapytał Roberta, czy udało mu się coś ustalić na temat manuskryptu, ale profesor tylko rozłożył ręce. Rozmawiali na korytarzu. Bracia właśnie rozchodzili się do swoich zajęć, gdy obok pojawił się brat Grden. Tym razem nie miał słuchawek na uszach, ale uśmiechał się nad wyraz wesoło. Przeor przerwał rozmowę.

- Co się stało?
- Chciałbym zapytać, czy dziś po południu będziemy mogli wyjść...
- My, to znaczy kto?
- Bracia Noran, Marek, Prot, no i ja...

Przeor zwlekał z odpowiedzią, a Grden spuścił oczy i rzekł:

- Przed wyjściem na pewno skończę malowanie płotu. Będzie gotowy.

Ojciec Roscoe uśmiechnął się dobrotliwie, a Nowicki odniósł wrażenie, że traktuje młodego brata po ojcowsku.

– Znowu te wasze mecze?

– O ile ojciec przeor pozwoli...

– Jeśli rzeczywiście zadania zostaną wykonane i nie zaniedbasz codziennej modlitwy i kontemplacji...

Uradowane spojrzenie Grdena świadczyło wymownie, że zrobi wszystko, byleby nic nie stało na przeszkodzie w wyjściu na mecz.

– Macie być przed kompleta.

– Może się nie udać, jeśli będzie dogrywka...

– Bracie Grden! Mam wrażenie, że brat wystawia moją cierpliwość na wielką próbę.

– W żadnym wypadku. Bardzo dziękuję. Bóg zapłać – dodał pospiesznie i cofnął się w głąb korytarza.

Przeor rozłożył ręce, przy czym lekko się uśmiechnął, jakby chciał dać Nowickiemu do zrozumienia, że nie sposób oprzeć się kibicowskim nastrojom nawet wśród zakonników i że nic nie może poradzić na to, iż doczesność bierze górę nad duchowością nawet w takim przybytku, po czym oddalił się. Grden jakby tylko na to czekał. Widząc, że przeor znika w drzwiach kancelarii, zagadnął Roberta:

– Pan też idzie?

– Gdzie?

– No jak to? – Był wyraźnie zaskoczony, iż Polak nic nie wie. – Na stadion. Grają nasi przeciwko [KI Klaksvik](#).

Robert nie był zorientowany.

– Nasi, to znaczy kto? – spytał z głupia frant.

– B36 Tórshavn, oczywiście.

Robert najchętniej by się wykręcił.

– Będzie w telewizji?

– W telewizji? Tak, ale dopiero w powtórce, jutro rano na naszym lokalnym kanale. A dziś po południu na żywo. Rozgrywki naszej ligi... Powinien pan wiedzieć, że u naszych największą gwiazdą jest pana rodak...

– Rzeczywiście?

– Jest jednym z nielicznych zawodowców. Ryby łowi tylko dla przyjemności... Serio – dodał, widząc niedowierzanie na twarzy Nowickiego. – Jak pan chce się wybrać z nami, to wychodzimy o szesnastej.

– Dzięki za propozycję.

– Warto, naprawdę warto...

– Z pewnością – odrzekł grzecznie profesor. Na piłce znał się nie najlepiej, w telewizji oglądał mecze międzypaństwowe tylko od wielkiego dzwonu, a ligą nie interesował się w ogóle. O animozjach między kibicami Lechii Gdańsk i Arki Gdynia dowiadywał się z reguły z wiadomości nadawanych nazajutrz po meczach derbowych lub z lustracji zdevastowanych tramwajów, autobusów i wagonów SKM.

– U was na meczach też są zadymy?

– Właściwie to nie znam tego słowa – rzekł Grden z łobuzerskim uśmiechem – ale mogę pana zapewnić, że u nas nie ma takich emocji, jak na meczach w Anglii czy w Hiszpanii. Chociaż nasza piłka również stoi na bardzo wysokim poziomie...

– Z pewnością.

– Nasza reprezentacja narodowa wygrała z Austrią, zremisowała z takimi potęgami jak Chorwacja czy Irlandia Północna... A z pańskiego kraju gra w naszej lidze trzech zawodników. Z Brazylii dwóch.

– To chyba będę musiał się z wami wybrać?

– Nie ma innego wyjścia. Pożyczę panu szalik z barwami B36 Tórshavn.

Nowicki spojrział na zakonnika ze zdumieniem.

– Naprawdę? – bąknął niepewnie.

– Jasne, mam jeden zapasowy.

Umówili się na szesnastą.



## Dalmor

Na trybunach było niespełna tysiąc osób, ale atmosfera i emocje dorównywały tym, jakie widuje się podczas meczów o najwyższą stawkę. Kibice byli podzieleni na kilka sektorów, mimo to po barwach łatwo było odgadnąć, kto za kim optuje. Okrzyki, śpiewy, bębny i trąbki, a nawet wycie syren rozlegało się już na kilkadziesiąt minut przed pierwszym gwizdkiem. Na trybunach trwała prawdziwa feta, a spiker znakomicie bawił widownię. Większość kibiców przyszła tu dla rozrywki, nikt nie szukał zaczepki.

Robert owinięty szalikiem otrzymanym od brata Grdena został skierowany do sektora wypełnionego przez zwolenników B36 Tórshavn. Gdy ich pupile pojawili się na murawie, zaczęto śpiewać hymn klubowy. Grden i jego przyjaciele zakonnicy, w cywilnych ubraniach przyozdobionych emblematami B36 Tórshavn, śpiewali z pełnym zaangażowaniem na całe gardło. Obok Roberta stanął potężny mężczyzna z posępną twarzą. On również nie śpiewał i pewnie dlatego profesor zwrócił na niego uwagę. Był chyba jeszcze przed czterdziestką, miał czarne włosy, spadające puklami na kark, i silne bary. Patrzył z uwagą na płytę boiska, na której kapitanowie drużyn wymienili proporce, i wkrótce sędzia obwieścił gwizdkiem początek spotkania.

Akcje w wykonaniu obu drużyn nie były zbyt porywające, ale niektóre zwracały uwagę. Podobno, jak powiedział Grden, w obu drużynach grało kilku zawodników, którzy wcześniej z powodzeniem występowali w ligach europejskich. W pewnym momencie obrońca B36 Tórshavn podał prostopadle do napastnika i ten po szybkiej kontrze umieścił piłkę w bramce przeciwnika. Nad częścią stadionu wznosił się huragan wiwatów, a po drugiej stronie widowni jęk zawodu. Grden rzucił się Robertowi na szyję i ucałował go z dubeltówki w oba policzki. Spiker wymienił nazwisko

strzelca bramki. Okazał się nim zawodnik o polskich korzeniach. Nowicki zrozumiał radość zakonnika.

Potężny czarnowłosy mężczyzna zaklął pod nosem, ale na tyle wyraźnie, że Robert zrozumiał.

Uśmiechnął się. Mężczyzna pochwycił jego spojrzenie i nieco się zmieszał.

– Pan Polak?

– O, jak miło usłyszeć polską mowę – odparł profesor.

– Przepraszam, wymknęło mi się. Zresztą nie przypuszczałem, że ktoś mógłby to zrozumieć.

– No to miałem szczęście.

– Zależy, jak na to spojrzeć.

– Jest pan pierwszym Polakiem, którego tu spotykam.

– To chyba pan niedługo na wyspie?

Robert uśmiechnął się.

– Drugi dzień...

– No właśnie... Jest nas tutaj trochę, ale większość czasowo, przyjechali do pracy.

– Pan również?

– Niekoniecznie, a pan?

– Też niekoniecznie... Nie cieszy się pan, że nasz strzelił gola?

Olbrzym ożywił się.

– Jak to „nasz”? – W jego tonie dało się usłyszeć coś w rodzaju irytacji.

– Nasz? Mam się cieszyć?

Przecież to biało-zielony, a ja jestem z Gdyni.

Nowicki roześmiał się na głos.

– Nawet tutaj? Święta wojna, Arka-Lechia...

– Widzę, że orientuje się pan w lokalnych animozjach na Wybrzeżu.

– Jestem z Gdańska.

– Kibol Lechii?

– Ma to tutaj dla pana aż takie znaczenie?

Dryblas zmarszczył brwi.

– Zawsze i wszędzie.

Wbrew oczekiwaniom Roberta mężczyzna rozpromienił się.

– Ale przecież... Jak by na to nie patrzeć, byliśmy sąsiadami. – Wyciągnął do profesora potężną, spracowaną dłoń. – Ryszard Stanke, ale wszyscy mówią na mnie Dalmor.



– Robert Nowicki. – Profesor uściśnął rękę mężczyzny. – Kiedyś w Gdyni było przedsiębiorstwo o takiej nazwie...

– Jest jeszcze podobno, mają chyba ze trzy trawlerzy... Nie to co dawniej, jak ja u nich pływałem...

Wtedy to była flota...

Patrzyli na mecz, ale następne bramki jakoś nie padały. Gdy na boisku zrobiło się nudno, Dalmor zaczął wspominać.

– Pracowałem tam, a kiedy zrobili reorganizację, już nie zamustrowałem. Postanowiłem przyjechać tutaj. Akurat potrzebowali doświadczonych rybaków.

Wymienili znaczące spojrzenia. Potem bez słowa oglądali mecz. Zakończył się jednobramkowym zwycięstwem B36 Tórshavn. Grden cieszył się jak dziecko. Pozostali mnisi byli bardziej powściągliwi w wyrażaniu emocji. Jeden z nich wskazał znacząco Robertowi na zegarek. W tej samej chwili Dalmor zapytał:

– Wstąpimy gdzieś... pogadać? Zapraszam.

Profesor uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– Niestety, muszę wracać...

– Nie zmuszam... Do alkoholu podobnie, jak i do miłości – w kąciku ust pojawił się grymas – zmusić nikogo nie można, a w każdym razie nie powinno się...

Nowicki pokiwał głową.

– Nie w tym rzecz... Korzystam z gościnności osób, które przestrzegają pewnych zasad. Po prostu muszę wracać. Jestem pewny, że spotkamy się niebawem.

– To może być trudne, bo rzadko bywam w Tórshavn.

Na pożegnanie podali sobie ręce. Robert odniósł wrażenie, że po jego odmowie Dalmor niespecjalnie miał ochotę na ten uścisk.



Po powrocie do klasztoru wstąpił do biblioteki. Widząc pracującego tam mnicha, zabrał manuskrypt do swojego pokoju. Przy dobrej herbacie zaczął go szczegółowo oglądać.

Powoli sprawdzał stan każdej strony i robił notatki w komputerze. Po kilku kartach pergaminu pojawiał się papier, potem znów pergamin. Poszczególne karty nie były równo przycięte. Wyglądało na to, że

zapisywano je osobno i dopiero po jakimś czasie ktoś złożył je w księgę, która została oprawiona.

Najprawdopodobniej deseczki z metalowymi zapięciami, stanowiące obecne okładki, były już kolejną oprawą.

Nie mógł odczytać treści. Zastanawiał się, czy kolejność zapisów wynikała z intencji autora czy też kogoś, kto później ułożył je w zrozumiałym tylko dla siebie porządku. Czy stanowiły przypadkowy zbiór?

A może logiczny ciąg zdarzeń? Trudno było stwierdzić, czy były oryginałami czy wyszły spod ręki kopisty, a jeśli tak, to kiedy je sporządzono i dlaczego? I co stało się z oryginałami?

Zaczął przepisywać jedną ze stron. Wkrótce okazało się, że nie wszystkie wyrazy są czytelne, jakby autor pisał zbyt pośpiesznie. Zdarzało się, że końcówki słów zastępował zawijasami, które zapewne symbolizowały skróty ostatnich liter bądź ich ciągi.

Przeglądając strony, odnalazł kilka fragmentów napisanych staranniej. Przepisał je dokładnie, a następnie próbował głośno odczytywać, starając się porównać brzmienie poszczególnych wyrazów do słów w znanych mu językach. Niestety, jak na razie nic nie przychodziło mu do głowy.

Wyjął aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć pierwszych stron manuskryptu, a także rysunków.

Postanowił zasięgnąć opinii kolegi z uniwersytetu, językoznawcy. Marcin Konkol był zapalonym lingwistą. Znał biegle cztery języki, a kilkoma posługiwał się w mniejszym zakresie. Pracował w katedrze języka kaszubskiego, którym mówił od dziecka. Pochodził z okolic Pucka i w jego rodzinie kultywowano wszelkie tradycje kaszubskie. Z Robertem lubili się, choć trudno powiedzieć, że byli przyjaciółmi. Łączyła ich namiętność do żagli, ale Marcin nie miał takich sukcesów jak Robert. Pływał najczęściej na starej omedze po Zatoce Puckiej. Nie uczestniczył w regatach, ale był czynnym członkiem akademickiego jachtklubu. Robert postanowił poprosić go o konsultację.

Właściwie nie powinien tego robić bez wiedzy przeora, dlatego zapytał go o zgodę.

– Jeśli to rzeczywiście przyczyni się do odkrycia tajemnicy tej księgi, to proszę próbować – usłyszał w odpowiedzi.

Potem jeszcze chwilę rozmawiali na temat hipotez dotyczących zawartości manuskryptu.

– Zwrócił pan uwagę na rysunki? – zapytał przeor.

– Bardzo ciekawe... Też o tym myślałem. Nie kojarzą mi się z niczym, co widziałem do tej pory.

– Ani ja... Dziwny język, dziwne postacie... – Przeor wskazał Nowickiemu krzesło. – Zastanawiałem się, czy może to któryś z języków afrykańskich w transkrypcji łacińskiej. Albo narzecze jednego z ludów basenu Morza Śródziemnego?

– Albo na przykład Morza Bałtyckiego...

– Równie dobrze... – zgodził się przeor. – Jednak skandynawskie wykluczam. Już sprawdziliśmy – uśmiechnął się z zadumą.

Nowicki zastanowił się.

– Oprócz litewskiego, łotewskiego czy estońskiego jest jeszcze język [ingryjski](#), [liwski](#), [wotycki](#)... Ale to będzie trudne do sprawdzenia, bo dziś mówi nimi zaledwie po kilkaset osób...

Przeor rozłożył ręce.

– Przyznam, że nigdy nie zetknąłem się z tymi językami. Nawet ich nazwy są dla mnie zupełnie nowe...

Mogę panu jednak powiedzieć, profesorze, że po konsultacjach z osobami, które tę księgę miały w swoich rękach, na pewno możemy wykluczyć stary celtycki, stary normandzki, aramejski, arabski i turecki...

– Turecki? – zapytał Nowicki. – Tutaj?

Przeor uśmiechnął się.

– Tajemnica tkwi w dziejach naszego archipelagu.

Historia Wysp Owczych to był jego konik. Zanim wstąpił do zakonu, skończył historię na uniwersytecie w Kopenhadze. Miał być nauczycielem, ale zamiast szkoły wybrał franciszkański habit.

Mówił barwnie, spokojnym, głębokim i melodyjnym głosem.

– Nasz archipelag był wielokrotnie nawiedzany przez korsarzy. Wśród nich często bywali także wyznawcy Allacha, Turcy i Arabowie...

– Zapędzali się aż tutaj?

– Najwięcej piratów przyplęwało z Anglii i Francji, ale w XVI wieku nierzadko pojawiali się też egzotyczni goście. Ci zresztą byli najgorsi. Bo oprócz chęci zysku, kierowała nimi chęć zagarnięcia ziem, zniewolenia wyspiarzy i wprowadzenia wśród nich islamu. Byli bezwzględni i ich najazdy należały do najbardziej krwawych. Chrześcijanie zadowalali się zwykłym łupieżstwem na bezbronnych, wydawałoby się, Farerczykach. Tamci potrzebowali krwi...

Przeor jeszcze długo opowiadał o dziejach archipelagu, o budowie fortu, który miał dać odpór najeźdźcom, a także o wpływie reformacji na losy franciszkanów. W końcu zaczął również mówić o regule obowiązującej zakonników i o tym, w jaki sposób przekłada się ona na współczesne życie braci.

Na pytanie profesora o możliwość korzystania z internetu na terenie klasztoru odpowiedział wprost.

– Właściwie my sami mamy bardzo ograniczony dostęp. Jeśli chodzi o sprawdzenie poczty, to czasem, w drodze wyjątku... mogę panu udostępnić, ale jeśli chodzi o dłuższe przesiadywanie w sieci, proszę nam wybaczyć... Używamy go tylko w sprawach naszego hospicjum lub związanych z gospodarstwem i ogrodem. Utrzymywanie stałych kontaktów z cywilami nie jest wprawdzie wbrew regule, ale raczej nie kultywujemy tego zwyczaju. Szczególnie wśród młodszych braci... Chodzi też o przykład...

I zapobieganie pokusom.

– Rozumiem. – Robert pokiwał głową zrezygnowany. – Mam nadzieję, że gdzieś na wyspie jest jednak możliwość...

– Oczywiście, w każdym hotelu mają dostępną sieć. W kawiarniach i w restauracjach również. Warto też spróbować w niektórych barach i kafejkach. Turyści korzystają z internetu najczęściej właśnie w taki sposób.

Na twarzy Roberta pojawił się uśmiech. To była nadzieja na łączność ze światem. Podziękował przeorowi, wziął księgę i chciał wrócić do swojego pokoju. Przeor powstrzymał go jednak.

– Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pracował pan w naszej bibliotece. Tam będzie przede wszystkim wygodniej – rzekł oględnie, ale stanowczo.

– Nie chciałbym robić kłopotu. Ten pokój, który ojciec przeor mi przydzielił, wystarcza w zupełności.

I do wypoczynku, i do pracy...

Ojciec Roscoe chrząknął znacząco i znów na jego twarzy pojawił się surowy wyraz. Przestał być czarującym gawędziarzem, a stał się cerberem stojącym na straży ustanowionych reguł.

– Wolałbym, by pracował pan w bibliotece. Chodzi również o przykład, jaki dajemy naszym współbraciom. Poza tym... Proszę się nie obawiać. Nikt nie będzie panu tam przeszkadzał. Biblioteka stoi pusta już od lat.

– Dziś widziałem, jak ktoś tam pracował...

– Zapewne brat Michael, nasz bibliotekarz i kronikarz. Rzeczywiście bywa tam raz w tygodniu. Jego pomocnikiem jest brat Grden, więc na niego

też może się pan natknąć, ale przykażę mu, by zachował ciszę i nie przeszkadzał panu. Raz w tygodniu bracia korzystają z wypożyczalni, ale to w pomieszczeniu, gdzie są księgi religijne. Archiwalia, jak pan widział, znajdują się w innej części biblioteki, właściwie nieużywanej. Mamy tam też pracownię, którą jeszcze z dawnych czasów nazywamy skryptorium... Tam właśnie pracuje profesor Svenson, gdy nas odwiedza. Proszę, pokażę panu.

Przeszli przez dwa pokoje ze stołami i przeor otworzył mało widoczne drzwi między regałami. Za nimi znajdował się obszerny pokój z wielkimi oknami, od podłogi do sufitu, przez które było widać ogród, murek oddzielający go od szosy i kratownicę furtki w rogu pod rozłożystym krzakiem.

– Ładny widok, dużo zieleni.

– Widok z mojego pokoju jest ładniejszy – Robert powiedział to z uśmiechem, nie chcąc, by zabrzmiało to jak przekomarzanie się, ale przeor odebrał to chyba inaczej.

– Widok z pańskiego pokoju w ładny słoneczny dzień bez mgły jest niezwykle malowniczy. I jego lokatorzy twierdzą, że najpiękniejszy w całym klasztorze. Ale te okna również wychodzą na zachodnią stronę – powiedział z naciskiem i Robert zrozumiał, że nie ustąpi.

Rozejrzał się za kontaktem. Było zasilanie, a zatem mógł używać komputera. Podszedł do okna i w oddali zobaczył skrawek morskiej toni.

– Dalej jest już tylko... Ameryka?

– Nie, sąsiednia wyspa. W linii prostej tylko ona oddziela nas od brzegów Ameryki.

Robert uśmiechnął się.

– Mimo to piękny widok.

– Właśnie. Z pewnością będzie się tu panu znakomicie pracowało. Poza tym jest tu wyjście do ogrodu.

Przeor otworzył jedno z wielkich okien, które uchyliło się jak drzwi.

– Proszę...

U ich stóp było kilka schodków prowadzących na trawnik ze starannie utrzymanymi klombami.

Kamienna alejka wiodła w stronę muru, w którym tkwiła żelazna furta.

Przeor uśmiechnął się wyrozumiale.

– Tędy może pan wchodzić i wychodzić do miasta. Tą ulicą jest nieco ponad kilometr do starówki.

Profesor kiwnął głową uradowany. Był wdzięczny przeorowi. Dzięki temu będzie mógł wchodzić i wychodzić z klasztoru o dowolnej porze, kiedy tylko zechce.

Jeszcze tego samego popołudnia udał się do baru w hotelu „[Tórshavn](#)” . Zamówił kawę i włączył swój komputer. Odebrał zaległą pocztę, w której nie było nic szczególnego, i wysłał reprodukcje manuskryptu do profesora Konkola z kaszubistyki.

Było wcześniej, nie chciał jeszcze wracać do klasztoru. Postanowił wypić kolejną kawę. Gdy szedł z nią do swojego stolika, w przeciwległym kącie sali zobaczył młodą kobietę, która siedziała przed swoim laptopem. Miała długie, rude, zmierzwiłone włosy. To ją widział pierwszego dnia w oknie kafejki.

Nie zauważył jej, gdy wszedł, przyszła pewnie kiedy był zajęty przeglądaniem poczty. Piła colę i wydawało się, że jest tak pochłonięta czytaniem informacji na ekranie, że nie zwraca uwagi na to, co dzieje się wokół niej.

Miała interesującą urodę. Patrzył znad krawędzi komputera, jak podchodzi do niej kelnerka.

Rozmawiały po angielsku, a akcent dziewczyny zdradzał, że nie był to jej naturalny język. Nie pochodziła stąd, bo w takim wypadku rozmawiałyby po farersku. Dziewczyna zapłaciła za napój, spakowała komputer do plecaka i skierowała się do wyjścia. Robert odprowadził ją wzrokiem. Widział, jak z naturalnym wdziękiem zarzuca plecak, zasuwa zamek kurtki przeciwdeszczowej i odchodzi... A zatem tu nie mieszka. Przyszła skorzystać z internetu, tak jak on. Gdyby była mieszkanką archipelagu, miałyby internet u siebie. Gdyby mieszkała w którymś z hoteli lub była rezydentką schroniska młodzieżowego, miałyby internet i kawę na miejscu. Tańszą...

Wzbudziła w nim ciekawość. Zastanawiał się, gdzie mieszka? Po co przyjechała na Wyspy? Czy była z kimś, czy przebywała tu sama? Nie wyglądała na kobietę, która przyjechała tu w interesach.

Zachowywała się naturalnie i prosto. Miało się wrażenie, że jest we własnej skórze, nikogo nie udaje i mało ją obchodzi, co mogą sądzić o niej inni. Nie próbowała zwracać na siebie niczyjej uwagi. Robert odnotował również, że się nie uśmiechała.

Spojrzał za okno. Rozpogodziło się i nawet wyjrzało słońce. Postanowił spacerować się po urokliwej starówce i zwiedzić inne części Tórshavn.

Przy sklepie żeglarskim natknął się na Dalmora. Wychodził obładowany sprzętem, który właśnie zakupił. Nici do szycia żagli, szydła, karabińczyki, sprzączki i bloki do lin.

– Remont? – zagadnął profesor.

– Zgadza się, muszę naprawić żagle i wymienić kilka bloków w łodzi.

– Żeglujesz?

Dalmor zmierzył Nowickiego nieufnym spojrzeniem. Być może nie lubił osób, które tak bezpośrednio przechodziły na ty.

– Zdarza się.

– Masz swoją łódź?

Pokiwał głową.

– Też kiedyś trochę pływałem.

– Coś takiego? – rybak uśmiechnął się kpiąco. – Na Motławie?

– Nie tylko...

– O szczegóły nie pytam, aby nie wpaść w niepotrzebny zachwyty.

– Dasz się zaprosić na piwo?

– Kto wie?

– To pokaż mi jakieś dobre miejsce, gdzie można spokojnie pogadać.

– Niedaleko jest pub, gdzie zawsze można dostać polskie piwo. Żywiec albo Tyskie, Warka, Leżajsk, a nawet z naszych stron, Amber...

– No to prowadź!

Dalmor okazał się wspaniałym rozmówcą, świetnie znał miejscowe zwyczaje i sposoby łowienia. Nie tylko przemysłowego, na wielką skalę, ale również rekreacyjnego czy wręcz sportowego. Jeszcze w Polsce był zapalonym wędkarzem. Sporo wolnego czasu spędzał na jeziorach kaszubskich. Tutaj wyprawiał się na morze zarówno z siecią, jak i z wędką.

– Prawdziwą sztuką nie jest wcale złapanie na wędkę ryby, ale... ptaka... – rzekł.

– Ptaka? Na wędkę?

– Właśnie to chciałem powiedzieć.

– Jakiego ptaka? Na jaką przynętę?

– Przynęta? Odrobina słoniny wieloryba. Pokażę ci to przy okazji.

– Skąd znasz te sposoby?

– Od Trondura.

– Kto to jest?

– Nie wiesz? To najślynniejszy tutejszy artysta. Malarz i rzeźbiarz. A przy tym żeglarz i niezrównany rybak.

– Poznasz mnie z nim?

– Może kiedyś... Ale on nie tęskni do ludzi. Nie lubi obcych i trudno go przekonać do rozmowy. Poza tym nie mówi po angielsku.

– To jak z nim rozmawiasz?

– Powiedziałem, że nie mówi, nie powiedziałem, że nie rozumie.

Nowicki uśmiechnął się.

– A ty?

– Co... ja?

– Czasami też mam wrażenie, że nie przepadasz za ludźmi.

– Bo czasami nie przepadam...

Nowicki zamówił po jeszcze jednym piwie. Dalmor zaczął opowiadać, jak przed laty trafił na Wyspy.

Po kolejnej redukcji stracił pracę. Chciał się żenić, ale nie miał mieszkania. Potrzebował pieniędzy.

Wyjechał do Kopenhagi, nie znalazł jednak dobrze płatnej pracy. Trafił się kontrakt u armatora z Wysp Owczych. Pracował na kutrach. Ciężka robota od świtu do nocy. Dziewczyna miała na niego czekać, ale pół roku później okazało się, że ma innego. Już nie chciał wracać do Gdyni. Uważał, że nie ma po co.

Dostał pozwolenie na osiedlenie się w Tórshavn, za zaoszczędzone pieniądze kupił stary rozpadający się dom po zmarłym rybaku. Stał nieco za miastem, w pobliżu zrujnowanej przystani. Dzieci zabrały wdowę do Danii, a siedlisko sprzedały za pół darmo, byleby pozbyć się kłopotu. Dalmor je wyremontował i zamieszkał w nim. Naprawił także starą łódź, którą znalazł w hangarze. Zaczął wypływać na połowy. Ryby odstępował przetwórciom. Nie był bogaty, ale – jak mówił – starczało na piwo i bilet na mecz. Niczego więcej nie chciał.

– Niczego? – zdziwił się Robert. – A kobiety?

Wymienili spojrzenia. Rybak westchnął, jakby się zawahał, ale nie odpowiedział. Dopił swoje piwo i zaczął się zbierać.

– Muszę już iść.

– Kobieta?

Stanke nie odpowiedział.

– Dziecko?

Wzruszył ramionami.

– Pies?



Niepewnie się uśmiechnął i odgarnął nadgarstkiem czarne pukle włosów.

– Może trzy w jednym? – zagadnął Robert.

– Nie bierz mnie pod włos, profesor. Czy ja ciebie pytam, co tu robisz?

– Nie mam nic do ukrycia.

– Ja też nie, ale może nie o wszystkim chce mi się gadać.

Popatrzyli sobie w oczy. Niewyzywająco i bez zaczepki. Jakby chcieli się lepiej zrozumieć. To był moment, w którym każdy z nich mógł wstać i wyjść, nie oglądając się na drugiego, i mogło to oznaczać koniec znajomości. Żaden z nich jednak nie wstał. Milczenie przerwał Robert.

– Popływamy na twojej łodzi?

Na twarzy rybaka pojawił się cień uśmiechu.

– A chciałbyś?

– Chciałbym, żebyś mi pokazał, jak łowisz ptaki na wędkę, no i kilka fajnych miejsc, a poza tym słyszałem, że w którejś cieśninie między wyspami wciąż szaleje jakiś prąd.

Dalmor roześmiał się nieco rubasznie.

– Masz jak w banku, profesor. Zobaczę, jak ci rura mięknie ze strachu.



Nazajutrz w drodze na przystań znów zobaczył rudowłosą dziewczynę z plecakiem. Skinął jej głową i uśmiechnął się, ale ona odwróciła gwałtownie wzrok. Nie było w tym nic, co mogłoby go zachęcić.

Zobaczył, jak upycha niesforne włosy pod kaptur, chociaż nie padało. Potem odeszła boczną uliczką między parterowymi domkami.

Skierował się w stronę nabrzeża. Dalmor czekał już na niego. Jacht nie należał do zbyt okazałych, ale był solidny. Na burcie widniał napis „Arka”, a na maszcie trzepotały dwie flagi – Wysp Owczych i biało- czerwona.

– Arka?

– Przecież nie Lechia...

Robert westchnął z dobrotliwym uśmiechem i kręcąc głową, wszedł pewnie na pokład. Już po kilku ruchach Ryszard wiedział, że nie ma do czynienia z amatorem. Nowicki sprawnie przygotował główny żagiel do rozwinięcia, po czym fachowo zaciągnął węzeł. Dalmor pokiwał tylko głową.

– Rzuć cumy.

Robert wykonał polecenie i lekko wskoczył na pokład, czym najwyraźniej zaimponował skiperowi.

Skierowali się na północ.

– Dokąd idziemy? – zapytał Nowicki.

– Na „fujarkę”...

– Gdzie? – zdziwił się.

– Na Kalsoy. Miejscowi tak nazywają tę wyspę ze względu na jej kształt. Chcę, żebyś zobaczył klify.

Już z daleka zauważyli wąski i długi na 18 kilometrów grzebień skalny o stromych stokach i urwiskach, który wypiętrzał się z oceanu na wysokość dochodzącą miejscami nawet do 700 metrów.

Gdy podpłynęli bliżej, ich oczom ukazały się ptasie kolonie. Krzyk ich mieszkańców było słychać z daleka. Dziesiątki tysięcy gniazd oblepiały całe urwiska, a w niektórych miejscach ściany poznaczone były przez białe smugi ptasich odchodów. Na widok jachtu kilkadziesiąt ptaków zaczęło krążyć wokół masztu, zataczając szerokie kręgi. Dalmor wyjął z puszeki kawałek wielorybiej słoniny.

– Chcesz zapolować na fulmara?

– Chętnie zobaczę, jak ty to robisz.

Ryszard sprawnie wpiął w tłuszcz spory haczyk i rzucił go za burtę. Po wodzie rozszedł się zapach tranu, który w końcu przywabił ptaki. Jeden z nich usiadł na przynęcie i zaczął ją ostrożnie dziobać.

Skosztowawszy, zabrał się do pałaszowania przysmaku. Inne ptaki, widząc to, rzuciły się na słoninę i wkrótce powietrze wypełniło się ich krzykami. Zaczęły ją dziobać, usiłując rozerwać i zapewnić sobie chociaż kęs. Jeden z ptaków, chcąc przechytryć konkurentów, pochwycił całą zdobycz. Gdy próbował odlecieć, żyłka napięła się. Fulmar mocniej zacisnął dziób. Hak wbił się w jego podniebienie i w tym momencie Dalmor zaczął ściągać żyłkę z trzepoczącą się na jej końcu ofiarą. Chwilę później ptak z ukreconą szyją był już obdzierany ze skóry, a na haku niewinnie dryfował kolejny kawałek słoniny.

Schwytnięcie pierwszego ptaka zabrało Ryszardowi około pięciu minut. Na następnego potrzebował dziesięciu. Robert trzymał wędkę już ponad kwadrans i żaden z ptaków nie chciał się skusić, choć kręciły się w pobliżu pływającej na powierzchni przynęty.

– Musimy odpłynąć kilkaset metrów, bo tutaj chyba już żaden nie da się nabrać.

Dalmor podniósł kotwicę, wciągnął żagiel i siadł za sterem. Schylił się i przesunął bom nad głową, wiatr napiął żagiel i ruszyli cieśniną na północ. Zakołysało.

– To pewnie przyptyw. Atlantyk lubi tutaj poigrać podczas pływów... Jest jak otwarta śluza, a woda przedziera się między wyspami niczym rwący nurt.

Robert rozejrzył się. To nie była tylko sprawa przyptywu. Niebo pociemniało od ciężkich chmur. Fala stała się wyższa, a kilka minut później spienione grzywacze poczęły wykwitać tuż pod dziobem „Arki”.

Tryskały w górę, załamywały się w wodne bruzdy, a potem znów rosły, potężniały, groźne i niepowstrzymane.

– Chyba już dziś nic nie będzie z polowania na ptaki – rzucił Dalmor. – Wracamy.

Manewry zabrały mu nie więcej niż kilkadziesiąt sekund. W pobliżu nie było miejsca, gdzie mogliby się schronić. Podejście do klifu przy tak wzburzonej wodzie groziło roztrzaskaniem kadłuba. Pozostał powrót do Tórshavn. Z każdą chwilą wiało coraz bardziej. Pod tonami wody bijącej z furją jak taran „Arka” zataczała się ciężko, pochylała, dotykała spienionych fal to jedną, to drugą burtą. Raz po raz dziób ginał w białej kurzawie wodnego pyłu.

Dalmor zakomenderował:

– Zwijamy żagle, dalej pójdziemy na silniku.

Gdy ściągali grot, w kadłub uderzyła silna fala i Dalmora odrzuciło. Zawisł na bomie, a kolejny przechył spowodował, że wpadł do wody. Robert rozejrzył się za pływakiem ratunkowym, ale zanim go zdjął z uchwytu, minęło kilkanaście sekund. Spojrzył – za burtą nie było Ryszarda. Sprawdził po drugiej stronie. Tam także go nie było.

– Rysiek! – ryknął, chcąc przekrzyczeć huk wody i wiatru.

Zobaczył rękę wynurzającą się z toni kilkanaście metrów za rufą „Arki”. Ściągnął linę pływaka i rzucił go w stronę Dalmora. Za krótka! Nie sięgnął. Prąd porwał jacht i unosił go na środek cieśniny.

Robert musiał rzucić kotwicę. Szarpnęło jachtem, gdy dotknęła dna. Zdjął buty i skoczył do wody w ubraniu. Pochłoneła go ciemność i przejmujący chłód. Wynurzył się i rozejrzył, Dalmor był kilkadziesiąt metrów dalej. Znosił go prąd. Robert zaczął płynąć w kierunku kolegi. Nie liczył czasu, ale wydawało mu się, że dotarcie do skipera zabrało mu całą wieczność. Czuł, jak sztywnieją mu mięśnie.

Woda, nawet latem, rzadko przekracza w tych okolicach dwanaście stopni. Wychłodzenie ciała było więc kwestią niedługiego czasu. Dalmor wyraźnie słabł. Robert pracował równomiernie całym ciałem, starając się zachowywać wciąż to samo tempo. Doświadczenie zdobyte na kursach żeglarskich i ratowniczych teraz owocowało. Ryszard, gdy poczuł jego dotyk, zaczął współpracować. Powoli posuwali się w stronę jachtu. Wzburzona woda utrudniała im pracę. Dopiero po pięciu minutach byli na pokładzie. „Arka” wciąż rzucało, Robert podniósł kotwicę, a Dalmor usiadł za sterem i włączył silnik.

Śruba miała wzburzoną wodę i przez jakiś czas wydawało się, że stoją w miejscu, że mimo wysiłków silnika pracującego na najwyższych obrotach nie mogą wyrwać się z tej kipieli!

Woda przelewała się przez pokład. Na dziobie kotłowało się jak w garnku z gotującą się bielizną.

Zerwane z wiązań części oprzyrządowania wyskakiwały ponad potoki wzburzonej piany.

– Umocuj bom, bo nas pozabija! – krzyknął Ryszard.

Robert ściągnął drzewce liną i zablokował. Potem zaczął zwijać żagiel na tyle, ile było to możliwe w tych warunkach. Po kilku minutach perspektywa zaczęła się zmieniać. To znaczyło, że jednak odchodzili na południe, w stronę Tórshavn.

Dalmor miał w kabinie suche ubrania, przebrali się, zmieniając się przy sterze. Nowicki nie chciał założyć wełnianego ubrania, bojąc się, że za chwilę przemoknie, ale szybko się okazało, jakie zalety ma wełna z Wysp Owczych. Za sprawą niespotykanej zawartości lanoliny odzież była praktycznie nieprzemakalna.

Gdy wyszli z cieśniny, wiatr ucichł. Doszli do przystani bez specjalnych problemów.



Dom Dalmora stał na uboczu i był właściwie typowy, z czerwonymi ramami okien i dachem pokrytym zieloną darnią. Prosto z dworu wchodziło się do salonu, w którym główne miejsce zajmował spory kominek. Nieopodal był wydzielony aneks kuchenny z nowoczesnymi sprzętami. Przed kominkiem stały dwa wielkie stare fotele. Przy piecyku krzątała się

ciemnowłosa kobieta. Na powitanie profesora odpowiedziała milczącym skinieniem głowy.

– To mój przyjaciel z Polski – powiedział Dalmor. – Robert. Jest naukowcem.

Znów tylko skinęła głową.

– To jest Ina – rzekł gospodarz. – Jak widzisz, trochę nieśmiała.

Była już po czterdziestce, ale zachowała smukłą sylwetkę i sprężyste ruchy. Tylko jej oczy były smutne. Spuszczała głowę, jakby obawiała się spojrzeć na mężczyznę. Miała spracowane dłonie, pełne odcisków i zadrapań, z krótko obciętymi paznokciami. Nie była to delikatna dłoń, do jakich Robert przywykł u kobiet, które do tej pory go otaczały. Ale było w nich coś, co dawało poczucie pewności. Te dłonie potrafiły dać bezpieczeństwo.

– Piękna – powiedział po polsku.

– Tak. Czasem też tak myślę.

– Tylko czasem? Ona jest piękna... bezustannie...

Ryszard spojrzał na niego uważnie.

– Naprawdę tak myślisz?

– Do czego ci potrzebne moje potwierdzenie? Najważniejsze, że ty tak myślisz.

Zapadło milczenie. Dalmor spojrzał Robertowi w oczy, po czym obaj gwałtownie odwrócili wzrok.

– Mieszka w innym pokoju – wyjaśnił cicho gospodarz.

– Przygotowałam obiad – rzekła nieco szeleszczącą, niewprawną angielszczyzną. – Podać teraz?

– Tak, proszę – powiedział Dalmor, a profesorowi wskazał jeden z foteli.

– Whisky, brandy, czystą?

– Może czystą...

– Ina zaraz poda nam obiad. Przyrządziła knettir.

– Co to takiego?

– Rodzaj gotowanych pulpetów z mielonej ryby, z cebulką, solą i pieprzem. Ona dobrze gotuje.

– Nie wątpię. Inaczej byś jej nie trzymał...

Dalmor zeszywniał.

– Ina nie jest służącą... – powiedział cicho.

Robert zasepił się. Zrobił przykrość Dalmorowi.

– Nie chciałem cię dotknąć ani tym bardziej jej – rzekł.

– Wynajmuję jej pokój, a ona, jak ma ochotę, czasem coś ugotuje. Tylko tyle.

Dalmor powiedział coś do Iny, ale Robert nie zrozumiał. Było to chyba w tutejszym języku. Ona odpowiedziała jednym słowem, co sprawiło, że Dalmor się wyraźnie ożywił.

– Powiedziała, że na kolację przygotowuje rullupilsa ze skerpikjot.

– A cóż to za zwierzę?

– Owca... To jeden z najbardziej wyszukanych i cenionych tutejszych przysmaków. Farerczycy przyrządzają go najczęściej tylko na święta lub wyjątkowe uroczystości. Rolada jagnięca, zresztą sam się przekonasz... Chyba musiałeś wzbudzić jej sympatię. Jeszcze nigdy tego nie przygotowała.

– Robię to dla ciebie – powiedziała swoim angielskim – żebyś mógł godnie przyjąć swojego ważnego gościa.

– Rozumie po polsku? – zdziwił się Robert.

– Nie, zresztą nie wiem – odrzekł niepewnie. – Ale skąd by znała?

– No właśnie...

– Ja tu właściwie z nikim nie rozmawiam po polsku. Czasem po mszy w niedzielę, ale ona ze mną nie chodzi, bo nie jest chrześcijanką.

Dalmor rozlał alkohol do sporych kieliszków. Rozpalił w kominku i rozmowa sama się potoczyła.

Nowicki był ciekaw, jak poznał Inę.

– Jest Inuitką i jest inna niż białe kobiety. Naprawdę ma na imię całkiem inaczej, ale to zbyt trudne do wymówienia i ona wciąż mnie poprawiała. Miała mi nawet za złe, że kaleczę jej imię, więc skróciłem je po swojemu...

Przyjechała z Islandii. Była wdową. Jej mąż rybak zabrał syna i wypłynęli na morze. Nie wrócili.

Czekała kilka tygodni. Nikt nie znalazł nawet śladu po nich ani po łodzi. Ni wdowa, ni mężatka, wylała morze łez. Nie chciała pozostać na Islandii, znalazła pracę przy oprawianiu ryb na Wyspach. Mówiła słabo po angielsku, on też, ale dogadywali się. Zamieszkała z nim. Miał wyprane i ugotowane, był spokojny, ale nie był szczęśliwy.

– I tak odejdzie. Pewnego razu dowie się, że odnalazł się jej mąż albo syn... I zniknie. Wiem, że tak będzie...

– Chcesz, żeby tak było?

Dalmor mruknął coś niewyraźnie i wzruszył ramionami.

Ina nie siadła z nimi do stołu. Po obiedzie, który Nowickiemu bardzo smakował, poskładała naczynia i wyszła.

Rozmawiali o kobietach, o bolesnych wspomnieniach Dalmora z Gdyni, o jego zawodach i blokadzie wobec kobiet, która później się w nim wytworzyła.

Alkohol otworzył ich, zbliżyło ich wspólne przeżycie na morzu. Obaj płacili wysoką cenę samotności za nieumiejętność odnalezienia się w świecie. Żaden z nich nie potrafił ułożyć sobie życia. Może wyczuwali to instynktownie i dlatego zrodziła się między nimi nić porozumienia. W tej sprawie nie dzieliło ich wykształcenie ani wiedza, ani też doświadczenie na morzu.

Rozmawiali, sącząc czystą z sokiem grejpfrutowym. Przez półprzymknięte drzwi profesor zobaczył, jak kobieta rozpuszcza włosy. Opadły ciężko na plecy i rozsypały się, sięgając do kolan...

Spojrzał na Dalmora.

– Wiesz, że ona chce tego.

Dalmor parsknął, wyjął pośpiesznie papierosa z pudełka i zapalił.

– Gdyby nie chciała, nigdy nie pozwoliłaby ci tego zobaczyć.

– Tak myślisz?

Wypili...

– Nie chcesz przecież, żeby odeszła.

– Czasem myślę, że tak byłoby lepiej. Dla niej i dla mnie.

– Wiem, że nie chcesz...

– Nie wiem... Chyba nie...

Wyglądało na to, że Ryszard za wszelką cenę będzie wyszukiwał argumenty, by zaprzeczyć pokusie własnego szczęścia i temu, co mógłby dać drugiej osobie.

Robert przerwał mu gestem.

– Zadbaj o nią – powiedział. – Jest tego warta. Daj jej wszystko, co masz. Daj jej serce. Ona nie odejdzie.

– Odejdzie.

– Stracisz życie, najpiękniejsze chwile, które mógłbyś z nią przeżyć, na wyszukiwaniu przeszkód.

Dalmor łypnął na niego niepewnie. Ten wielki mężczyzna, silny, o niewzruszonej tężyznie był miękki jak wosk, gdy chodziło o kobiety. Profesor położył mu rękę na ramieniu.

– Nie bój się, odrzuć strach, bo miłość ci wystygnie. Przeżyj to...  
Nawet jeśli odejdziesz, przeżyjesz coś najpiękniejszego...

Gdy się żegnali, Ryszard powiedział:

– Dziękuję. Potrzebowałem tej rozmowy. I bardzo chciałem coś takiego usłyszeć.

– Nie zmarnuj tego.

Dalmor uśmiechnął się niepewnie.

– Ale jak to zrobić, żeby tego nie zepsuć?

– Nie kombinuj, bo przekombinujesz. Bądź sobą. I bądź dla niej dobry.  
Wtedy wszystko się uda...





## Robert

Gdy kładł się do łóżka w swoim pokoju na poddaszu, pomyślał, że ta rozmowa była pewnie tak samo potrzebna Dalmorowi, jak i jemu. On też potrzebował nadziei i wtedy, gdy tak żarliwie zapewniał Dalmora o konieczności dawania miłości, chciał przekonać siebie, że ma jeszcze szansę i że tak naprawdę bardzo chce ją mieć.

Wiedział, że jeśli sam sobie jej nie da, to życie mu jej nie podaruje. Ono jest łaskawe tylko dla tych, którzy pragną. Błogosławieni ci, którzy chcą i nie boją się marzeń... Zamknął oczy i zobaczył siebie z dawnych czasów. Dawnych? Może nie aż tak odległych w latach, jak by się wydawało. Ale dzielił go od nich багаż gorzkich doświadczeń. Czyżby był przeszkodą nie do pokonania?

Powodzenie zawodowe przeniosło się na sferę prywatną. Od czasu do czasu zdarzały mu się niezobowiązujące romanse. Podczas schadzki nakryła go Małgosia.

Najbardziej zabolalo go, że przeszła nad tym do porządku dziennego. Czyżby stał się jej obojętny? Czy w pogoni za sukcesem zawodowym przestał zauważać, że jego żona jest coraz dalej, że ma swoje sprawy, w których nie było już miejsca dla niego? Że być może w jej życiu pojawił się ktoś, kto wypełnił pustkę po mężu goniącym za powodzeniem?

Przekonał się o tym przez przypadek. Nie siliła się na nadmierną dyskrecję. Kilka szczegółów zdradziło, że w jej życiu jest jakiś mężczyzna. Robert nie wiedział, czy traktowała go poważnie, ale dowiedział się, kim jest. Był to młody reżyser, który zasłynął błyskotliwym debiutem. Co ją w nim pociągnęło?

Robert chciał z nią o tym porozmawiać. Unikała tematu. Traktowała go przyjaźnie, ale bez dawnej poufałości. Między nimi pojawiła się bariera.

Gdy kilka miesięcy później zniechęcony jej zachowaniem uległ wdziękowi swojej doktorantki, nie robił z tego tajemnicy.

Pokłócili się. Rozmawiali do świtu. W końcu około czwartej nad ranem zdał sobie sprawę z absurdalności sytuacji. Kochał Małgosię i tak naprawdę chciał być tylko z nią. Powiedział jej o tym, proponując, by zaczęli wszystko od nowa. Milczała. Wreszcie stwierdziła, że potrzebuje czasu. Tak powiedziała. Nazajutrz zadzwoniła z redakcji, że wyjeżdża.

– Służbowo?

– Nie, wzięłam urlop. Będę za kilka dni.

– Kiedy?

– Nie wiem – parsknęła zniecierpliwiona. – Za kilka dni! Muszę przemyśleć moje dalsze życie...

Z tobą... Lub bez ciebie.

– Jedziesz... z nim?

– Nie, chcę pobyć sama, bez waszego egoistycznego męskiego punktu widzenia, bez zawracania głowy.

To stało się tak nagle... Gdy wyjechała i wiedział, że przez najbliższych kilka dni nie wróci do domu, posprzątał swoje biurko, wygasił odtwarzacze, a odnalazłszy w sobie ciszę, zrobił rachunek sumienia. To sprawiło, że w jego hierarchii wartości wszystko wróciło na swoje miejsce. Z telefonu komórkowego wykasował numery kobiet, które wprowadzały w jego życie niepotrzebne zamieszanie. Uznał, że Małgosia jest dla niego najważniejsza. Nawet ważniejsza od kariery. Postanowił, że gdy wróci do domu, powie jej, że nie wyobraża sobie bez niej życia.

A potem był telefon z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Czy Małgorzata Brzeska-Nowicka to pańska żona?

– Tak.

– Mam przykrą wiadomość – głos w słuchawce cyzelował każdy wyraz.

– Pańska małżonka nie żyje.

– Słucham?

– Udało nam się ustalić, że jest na liście ofiar tsunami...

– Pan żartuje...

– Niestety nie. Bardzo mi przykro. Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

– Nawet nie wiedziałem, że wyjechała za granicę. Czy to pewne, że chodzi o moją żonę?

Głos beznamiętnym tonem odczytał dane Małgorzaty. Wszystko się zgadzało. Oprócz jednego. Nie było ciała. Był tylko jej paszport w hotelowej recepcji nad brzegiem morza. I żadnego innego śladu. Podobnie jak po dwustu tysiącach innych osób.

Pogrzeb był symboliczny. Jej rodzina chciała, by był jakiś grób. Tablica z nazwiskiem, pod którą można zapalić świeczkę. Po pogrzebie nigdy tam nie był. Wierzył, że Gosia żyje. Początkowo liczył, że to pomyłka, nieporozumienie, że w ciągu najbliższych tygodni informacji o zaginionych będzie coraz więcej, że wiele osób się odnajdzie, a wśród nich będzie i ona. Z biegiem czasu musiał jednak zaakceptować fakty.

Rozpacz sprawiła, że nie był do niczego zdolny. Nie mógł spać dłużej niż dwie, trzy godziny na dobę.

Gdy otwierał szafę i widział jej ubrania, drobiazgi na jej biurku, w oczach miał łzy. Nie miał odwagi niczego dotknąć. Nawet ołówka. Przez kilka miesięcy wszystko było tak, jak zostawiła. Ograniczał się do ścierania kurzu i to tylko wtedy, gdy słońce wpadające przez okno ujawniało jego istnienie. Stracił osiem kilogramów, odżywiał się kawą i sucharami. Zaczął palić, a w te noce, kiedy ból stawał się nie do zniesienia, sięgał po mocny alkohol.

Przestał pracować. Dzień spędzał przed telewizorem, zjadając zamówioną pizzę i starając się wyobrazić sobie świat bez niej. Stracił wolę życia, chciał przestać istnieć, pragnął umrzeć we śnie, by nie mierzyć się samotnie z przyszłością.

Mijały kolejne miesiące, w czasie których nie było żadnego znaku od niej. Pewnego wieczoru zadzwonił ten szczeniak. Przedstawił się jako kolega. Pytał, czy są jakieś wiadomości o odnalezionym ciele. Spławił go. Nie chciał z nim rozmawiać, bo przypominał mu o jego winie.

Przestał interesować się czymkolwiek. Po roku zdjął z półki w łazience kosmetyki Małgorzaty.

Odłożył do innej szafy jej ubrania, bo za każdym razem, kiedy ją otwierał, widział namacalne dowody jej istnienia. Z czasem zaczęły go coraz bardziej drażnić.

Miał wrażenie, że nie jest nikomu potrzebny. Nawet studenci traktowali go jedynie jak przeszkodę, przez którą trzeba było przebrnąć, by zaliczyć przedmiot i uzyskać pozytywną ocenę w indeksie. Przestał odczuwać sens robienia czegokolwiek.

– Odpocznij stary – powiedział dyrektor instytutu, klepiąc go po ramieniu. – Każdy z nas w którymś momencie czuje, że się wypalił, że musi zrobić sobie przystanek. Wierzę w ciebie, wiem, że wrócisz do pracy z nowymi pomysłami.

Urlop nic nie zmienił. Nieco ożywienia do jego życia wniosła propozycja rady wydziału, by rozwinął jeden z wątków swoich nieukończonych badań i sformułował go jako wniosek o grant do Fundacji Nansena w Oslo.

– Muszę? – zapytał po prostu, bo nie miał na to ochoty.

– Nic nie musisz.

– Chyba jeszcze nie jestem gotowy – rzekł.

– Rozumiem. Chcę ci tylko powiedzieć, że na radzie wydziału ustaliliśmy, że zanim wyznaczymy innego kandydata, najpierw zapytamy, czy ciebie to interesuje.

Westchnął ciężko. Dyrektor instytutu ciągnął niezrażony:

– Myślmy o twoim temacie związanym z rejsem Pininga i Pothorsta. Gdybyś odpowiednio umotywowował wniosek...

– Daj spokój...

– Byłbyś najlepszym kandydatem z naszego instytutu. Koledzy upoważnili mnie, abym złożył ci tę propozycję.

– Nie wiem, co powiedzieć...

– Nic nie mów. Po prostu napisz wniosek i już...

Przez dłuższy czas nie mógł zmusić się do pracy. Powrót do regularnego życia okazał się trudniejszy, niż mogłoby się wydawać. Blokada tkwiła w nim samym. Jej pokonanie było prawdziwym wyzwaniem.

Westchnął i przykrył się śpiworem. Czuł, że zasypia, że powieki stają się ciężkie, a sen zabiera go w inny wymiar...

– Kim pan jest?

– Sprzątam po prostu...

Zobaczył jej rozwiane rude włosy i niebieskie roziskrzzone oczy. Uśmiechała się. Miał wrażenie, że zna ją od dawna, choć teraz nie był w stanie przypomnieć sobie, skąd i w jakich okolicznościach zobaczył ją pierwszy raz. Machnął miotłą...

– Bardzo lubię sprzątać. Na razie robię to wszędzie, gdzie tylko mogę... Porządkuję, układam, organizuję, poprawiam... Ale tak naprawdę najpierw powinienem posprzątać w moim życiu.

Jej niebieskie oczy znów błysnęły złocistymi iskierkami i pomyślał, że pewnie to wina odbijających się w nich promieni słońca. Ale skąd słońce, przecież cały dzień padał deszcz, i te niskie chmury...

A jednak w jej oczach świeciło słońce i uśmiechała się. Powiał wiatr, który odgarnął niesforne kosmyki z jej czoła. Patrzyła na niego odważnie.

– To już mamy coś wspólnego.

– Tak?

– Ja też muszę posprzątać w moim życiu. Narobiło się tyle bałaganu...

– Może zrobimy to razem?

– Myślisz, że coś takiego mogłoby się udać?

– We dwoje zawsze łatwiej.

– Nie zawsze.

Nałożyła kaptur i wsunęła pod niego włosy. Odwróciła się i zaczęła odchodzić szybkim krokiem.

Chciał ją zatrzymać, ale prędko wmieszała się w tłum, przedzielili ich przechodnie i zniknęła mu z oczu.

Obudził się zlany potem. Był zdziwiony, że przyśniła mu się ta kobieta.



Od dwóch dni snuł się po Tórshavn i okolicach. Dalmor nazajutrz po ich spotkaniu wypłynął na łowisko i jeszcze nie wrócił. Robertowi nie dawał spokoju tamten sen. Spacerował po ulicach i wypatrywał rudowłosej dziewczyny, która już dwa razy dała mu do zrozumienia, że nie chce mieć z nim do czynienia. Chciał tylko na nią popatrzeć, chociaż nie bardzo wiedział, co to mogłoby zmienić.

Zaczęło kropić. Spojrzał na szczyty gór. Ich wierzchołki wyłaniały się z chmur unoszących się nisko nad ziemią. Polla mjørki. A zatem niedługo mżawka zmieni się w ulewę. Zobaczył w oddali wejście do hotelu, w którym uprzednio sprawdzał pocztę i widział rudowłosą dziewczynę. Poprawił plecak i ruszył w tamtą stronę.

Wśród otrzymanych e-maili na pierwszym miejscu był list od profesora Marcina Konkola. Robert niecierpliwie otworzył tę wiadomość.

*Wygląda na to, że tekst, który mi przesłałeś, to stara odmiana języka kaszubskiego, zapisana łacińskim alfabetem, z pewnymi zawłościami i niekonsekwencjami. Widać, że człowiek, który się nim posługiwał, nie był uczonym. Sposób, w jaki starał się zapisywać brzmienia kaszubskich*

wyrazów, nie był zbyt wyszukany i nie ma w tym przemyślanej metody lingwistycznej. Raczej przypadkowe próby szukania formy zapisu pozwalającego na uzyskanie brzmienia podobnego do wyrazów kaszubskich. Nie wszystko da się odcyfrować, bo są zniekształcenia, ale można wyodrębnić spójne fragmenty. W jednym z nich autor pisze, że płynie okrętem w kierunku zachodnim po morzu zwanym Wielkim. Nastroje wśród załogi dobranej naprędce, a więc z ludzi przypadkowych, nie są zbyt przyjazne, zatem autor postanawia, że będzie pisał w swoim rodzimym języku, by jego zapiski nie były zrozumiałe dla przypadkowego czytelnika. To wszystko, co wynika z tych kilku stron, które mi przysłałeś.

Nowicki, nie namyślając się, uruchomił skype'a i połączył się z numerem profesora Konkola.

Rozmowa była krótka i rzeczowa. Marcin zgodził się przeczytać kilkanaście stron manuskryptu i przedstawić Robertowi ich treść. Na wnikliwe tłumaczenie nie miał czasu.

– Dla mnie ważny jest każdy szczegół. Muszę wiedzieć, co zawiera tekst – argumentował Nowicki. – Prześlę ci te materiały za kilka minut.

– Dobrze i zadzwoń jutro, powiem ci tyle, ile uda mi się odczytać.

– Dzięki, doceniam, co dla mnie robisz.

Robert skompresował wszystkie zdjęcia manuskryptu, które miał w komputerze, a było ich kilkanaście, i wysłał na adres profesora Konkola. Mimo deszczu ruszył do klasztoru. Dzisiejszy wieczór chciał spędzić, pracując nad manuskrytem.

W bibliotece było pusto, nikt mu nie przeszkadzał. Ustawił lampę tak, by dokładnie oświetlała stół. Jej dyskretny blask sprzyjał skupieniu. Do wieczora udało mu się sfotografować cały manuskrypt, ponad sto stron pergaminu, papieru, a także zapisanych kawałków wyprawionej jasnej kory. W dwóch przypadkach tekst sporządzono na czymś, co na pierwszy rzut oka przypominało utwardzoną skórę, a pismo nie było zbyt wyraźne. Miejscami zanikał barwnik. Nowicki robił zbliżenia, by pod dużym powiększeniem poszukać szczegółów i dokonać analizy.

Już w swoim pokoju, przy mocnej herbacie zaczął przeglądać zdjęcia poszczególnych stron.

Próbował odczytywać tekst, wiedząc, że stanowi zapis języka kaszubskiego, ale oprócz kilku pojedynczych wyrazów niewiele zdołał ustalić. Dopiero na dalszych stronach odnalazł sentencję, która mogła być dawnym przysłowiem.

„Za zecego kuzle, pon smerte gruzl”... Za życia tańce, po śmierci grudy... A zaraz potem: „Modi cek rod hodi, stori mili sedy”... Młody człowiek rad chodzić, staremu milej siedzieć... Mimo dalszych prób niewiele udało mu się rozszyfrować.

Gdy tego wieczoru kładł się spać, nie myślał już o rudowłosej dziewczynie. Wszystkie jego rozważania dotyczyły kaszubskiego rękopisu, który znalazł się w klasztornej bibliotece na krańcu świata.

Jak tutaj trafił, kto był jego autorem? Nowickiego zżerała ciekawość, nie mógł doczekać się rozmowy z Marcinem. Nie mógł też zasnąć. Rozmyślał gorączkowo. Co chwilę do głowy przychodziła mu jakaś zbawcza myśl, która mogła stanowić klucz do tajemnicy, więc wstawał, zapalał światło, włączał komputer i szukał, szukał, szukał... Gdy za oknem zaczęło szarzeć, pomyślał, że to pierwsza od bardzo dawna noc strawiona na rozmyślaniu o pracy. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jakiś problem naukowy pochłoniął go do tego stopnia, że nie mógł zasnąć.

Postanowił jednak przespać kilka godzin, by nazajutrz z nowym zapałem wziąć się do pracy.

Potrzebował sił. Zamykał oczy z przeświadczeniem, że znów udało mu się zasmakować tego, co niektórzy nazywają szczęściem.



To, czego dowiedział się nazajutrz z rozmowy z Marcinem Konkolem, postawiło go w stan najwyższej gotowości. Profesor relacjonował przeczytany tekst, podając sporo danych.

– Powoli, robię notatki...

Lingwista mówił nie tylko o tym, co wynikało bezpośrednio z tekstu, ale również o tym, co było dla niego oczywiste jako badacza kaszubszczyzny i etnografa. To uruchomiło wyobraźnię Nowickiego.

Zadawał pytania, cierpliwie wysłuchiwał odpowiedzi i notował. Nawet nie zauważył, jak minęły trzy kwadransy, a on zapisał niemal połowę notatnika. Gdy Konkol skończył, Robert zapytał gorączkowo:

– Marcin, czy nie przetłumaczyłbyś więcej tekstu?

– Na pewno nie teraz, bo mam jeszcze mnóstwo pracy, z którą muszę się uporać przed wyjazdem na urlop. Może po powrocie...

– Nie rób mi tego...

– Nic na to nie poradzę...

– A możesz uruchomić swoich seminarzystów?

– Studentów? Czy ja wiem? Musieliby wyrazić zgodę... Ale nawet jeśli obiecuję im ocenę wyżej na zaliczeniu, nie jestem pewny, czy będziesz mógł oprzeć się na ich pracy...

– Muszę wiedzieć, co zawiera manuskrypt. Wtedy może uda mi się zdobyć środki na fachowe tłumaczenie. Będiesz pierwszą osobą, do której zwrócę się z propozycją. Daję ci słowo...

– Znamy się nie od dziś i wiem, że nie rzucasz słów na wiatr... – Zawahał się, a po kilku sekundach powiedział: – Jutro mam seminarium, pogadam ze studentami. Jeśli uda mi się ich namówić, napiszę do ciebie.

– Jeżeli dzięki temu coś odkryjemy, będziesz jednym z ojców sukcesu.

– Na razie jestem ojcem dwóch urwisów, dla których ściany naszego mieszkania to najlepsze miejsce do nauki rysowania, malowania, pisania i czego jeszcze chcesz...

Umówili się na telefon następnego dnia. Wracając do klasztoru, Nowicki był tak pochłonięty rozmyślaniami o tym, co usłyszał od profesora Konkola, że nie zauważył, jak z daleka przygląda mu się rudowłosa dziewczyna siedząca przy stoliku tuż pod oknem w jednej z niewielkich kafejek. Właśnie podniosła oczy znad ekranu komputera i popatrzyła na wysportowaną sylwetkę tego dziwnego mężczyzny, który kilka dni temu najpierw chciał ją rozśmieszyć, a później o coś zagadnął. Jeszcze jeden amator wakacyjnych romansów? Takich spotykała na każdym kroku, w Tórshavn również.

Robert szedł sprężystym krokiem w stronę klasztoru. Po drodze zrobił zakupy, włożył je do plecaka i po dwóch kwadransach był już w swoim pokoju. Kubek gorącej świeżej herbaty rozlaczkał upojny zapach. Robert włączył komputer i otworzył notatnik. Postanowił zrekapitulować to wszystko, czego dowiedział się dziś od profesora Konkola.

Ze wstępnych ustaleń wynikało, że manuskrypt stanowił dziennik okrętowy trójmasztowca „Marina”, zmierzającego z Kopenhagi na Grenlandię późnym latem 1476 roku. Ale najważniejsze były wiadomości dotyczące autora! Sporo informacji z okresu dzieciństwa, wspomnień, odczuć, ale i faktów, które, widać, były na tyle ważne, że właśnie te spośród wielu innych zapamiętał i postanowił uwiecznić w rękopisie będącym jego swoistą spowiedzią.

Nosił imię Jan, Johann, i urodził się w 1435 roku w miejscowości, w której ziemi nie były zbyt żyzne i nie przynosiły nadzwyczajnych plonów.



Mimo to mieszkańcy radzili sobie, jak mogli, żywiąc nie tylko siebie, ale także oddając bogate daniny rycerzom zakonnym. Ich wioska nie była narażona na szczególne prześladowania Krzyżaków, ponieważ należała do burmistrza miasta Danczik, który żył z nimi w przykładowej poprawności, może nawet zbyt przykładowej, jakby na pokaz. Dzięki temu bracia nie gnębili zbyt włościan, choć byli konsekwentni i stanowczy w odbieraniu kontrybucji.

Robert przejrzał notatki, poprawił kilka wyrazów, które uprzednio w pośpiechu nakreślił niezbyt wyraźnie, i zabrał się do pisania...



## Autor manuskryptu

*Wiosenne słońce już dobrze przygrzewało. Lucjan Brzoza, 45-letni barczysty mężczyzna z ogorzałą twarzą rozpiął agrafę podtrzymującą rozcięcie flamandzkiego kaftana i głęboko odetchnął. Czuł się jeszcze słabo po chorobie. Ponad trzy miesiące przeleżał po ranie, jaką odniósł podczas abordażu katalońskich korsarzy na okręt, który prowadził pod znakiem armatora z Rewla. A jeszcze i teraz niekiedy w głowie mu się kołowało, słabł i częściej niż zwykle musiał robić postoje. Spojrzał na lasy, rozciągające się na wzgórzach po horyzont, i uśmiechnął się. Poznawał okolicę, której nie widział prawie dwadzieścia lat. Bryka ciągnięta przez starą, ale jeszcze silną szkapinę wlokła się miarowo po wyboistym trakcie.*

*Gdy zobaczył chłopów pracujących w polu, skierował się w ich stronę. Kobyła parsknęła niecierpliwie.*

*– No, cicho, głupia... Zaraz popytam, ale widzi mi się, że już niedaleczko...*

*Rolnicy także go zauważyli. Przerwali robotę i popatrywali nieufnie na przybysza. Jakiś nietutejszy pewnie, bo i gęba nieznana, i odziany był z obca.*

*Lucjan kiwnął na jednego, który był wśród nich najważniejszy, bo dyrygował robotą.*

*– Hej, ty, podejdz no tu!*

*– Kto, ja?*

*– A do kogo mówię?*

*Parobek podszedł i usłużnie schylił głowę, nie patrząc w oczy przybysza.*

*– Słucham, panie.*

*– A do Kolna daleko jeszcze?*

*– Już nie, trza ino jechać wedle lasu i w pięć pacierzy będziecie, panie.*

*– Znacie dobrze te strony?*

- *Tum rodzony, panie.*
- *A wiecie, gdzie nowy dom pana Bartłomieja?*
- *Pana rządcy? Ano wiem. Mogę zaprowadzić.*
- *A to i bez nagrody się nie obejdzie. Siadaj na wóz, człowieku.*

*Parobek obejrzał się bezradnie na towarzyszy, ale w ich oczach nie znalazł wsparcia. Co było robić.*

*Musiał jechać, bo jeśli przybysz – panisko, widać, pełną gębą, aż dziw, że po ichniemu gada – poskarży się rządcy, mógłby jeszcze dodatkowo sześć dni szarwarku zarobić. Pan Bartłomiej, choć człek nie był zły, słynął z twardej ręki.*

– *Róbta swoje, za kilka pacierzy będę nazad – rzucił w stronę towarzyszy i umościł się na wozie, ale tak, by widzieć drogę.*

*Lucjan ruszył. Przez chwilę nic nie mówili, ale gdy jedno z kół wpadło w dołek i wozem zarzuciło, woźnica zaklął. To ośmieliło parobka, który zaczął mu się badawczo przyglądać. Nagle, jakby coś sobie przypomniał.*

– *Toć pan nie całkiem z daleka?*

– *Z daleka.*

– *Ale widzi mi się, że pan już tu kiedyś był.*

– *A byłem, bom też tu rodzony, a pan Bartłomiej to mój brat.*

– *Jo, rychtyk – chłop uśmiechnął się od ucha do ucha, pokazując zaniedbane zęby. – To wyście, panie, ten Lucjan Brzoza, sławny podróżnik?*

– *Podróżnik i owszem, ale czy sławny?*

– *O panu tu dzieckom powiadają, że pan wszystkie morza przepłynął i za siedmioma górami był...*

– *A byłem, i nawet dalej jeszcze. Alem podczas podróży zachorzał i teraz na leczenie do brata się udaję. Przy okazji odwiedzić, bośmy się lata całe nie widzieli. Mam nadzieję, że mnie pozna.*

– *Pozna, co ma nie poznać. Pan Bartłomiej ludzki pan – dodał skwapliwie.*

*Jako i w kilka pacierzy słowo ciałem się stało. Bracia stanęli naprzeciw siebie i choć przez dłuższą chwilę żaden słowa nie wyrzekł, w końcu padli sobie w ramiona i powitanie oblali rześzystymi łzami.*

*Obu mężczyznom przyglądała się pani Dusia, żona Bartłomieja, i stojący u jej boku Jaśko, ich młodszy, trzynastoletni synek. Starszego, siedemnastoletniego Bartosza nie było, bo ojciec go oddał na nauki do przyklasztornej szkoły cystersów w Oliwie. Ani matka, ani Jaśko nigdy nie widzieli sławnego krewniaka i teraz spojierali na niego ciekawie,*

porównując rzeczywistość do tego, co o nim opowiadano. Nie wyglądało, że ten przybysz w zagranicznym stroju miał być człkiem, któremu dane było widzieć wszystkie trzy części świata. A pono widział.

Jaśko spoglądał nań ciekawie swymi niebieskimi oczami. Twarz miał podłużną, orli nos, rumiane policzki i rudawe włosy. Był nad wiek wyrosnięty i dawali mu więcej niż jego trzynaście lat. Jego spojrzenie zza ramienia pani Dosi zdradzało, że miał marzycielskie usposobienie. Przyjazd stryja oznaczał dla niego nie lada atrakcję. Tak przynajmniej sobie roił.

Lucjan wydobrzał w ciągu dwóch tygodni, a po kolejnych dwóch odzyskał dawną krzepę. Czuł się silny, pogadywał nawet, że może wracać na morze. Ale ochota spędzenia dłuższego czasu w rodzinnych stronach, w domu brata przemogła. Jaśko na krok go nie odstępował. Przypadli sobie do gustu.

Chodzili do lasu. Gdy pojawiły się poziomki, trudno ich było odegnąć, tacy byli łakomi. Czasem, racząc się nimi obficie, chłopiec wypytywał stryja o jego zamorskie podróże.

– Stryju, a to prawda, że byliście w Azji i w Afryce?

– Prawda, jużci, że byłem.

– A opowie stryj?

– Toś ty, widzę, świata ciekaw, smyku.

– Oj, ciekaw, stryju, bardzo. Ochota bierze, żeby się stąd wyrwać, posmakować wiatru dalekiego i widoków nieznanych.

Pan Lucjan nie myślał wzbudzać w malcu zbytnej ciekawości. Wolał ją raczej studzić.

– Podróże ciężka sprawa. Niewygody same, ale jak się jest młodym, to wszystkiego chce się popróbować – dodał ze zrozumieniem. – Wiem, bo sam wyruszyłem w świat, jak byłem niewiele starszy od ciebie. Miałem niecałe piętnaście, jak z domu poszedłem...

– I dziadek puścił stryjka?

– No, tak całkiem to nie puścił – Lucjan posłał perskie oczko do Jaśka.

– Nawiałem.

– Oj, stryjku, ojciec by mi skórę przetrzepał, do krwi chyba, jakby mnie złapał.

Lucjan wybuchnął śmiechem, ale wkrótce śmiech przeszedł w kaszel. Po chwili chrząknął.

– A to i o tym już rozmyślasz, smyku?

– Czasami.

– No, no, bratku. Uważaj! – Pogroził mu palcem.

– Jak stryjko mogli, to może i mnie... wypada spróbować?

– Ani mi się waź! I nie zapędzaj się, nawet w myślach. Wiesz, co by matka przeżywała i ojciec?

Jaśko splonął rumieńcem. Nie chciałby przyczynić zmartwienia rodzicielom, ale przygody chętnie by popróbował. Po chwili milczenia ośmielił się zapytać.

– Ale jak to właściwie było? Uciekł stryjek z domu i poszedł przez lasy i góry?

– No tak, poszedłem. Ale nie było co jeść ani gdzie spać, więc wynająłem się do pracy.

– Do pracy?

– A pewnie. U przewoźników, którzy prowadzili karawany z kupcami.

– Ojej! To miał stryjko prawdziwe szczęście.

– Na szczęście, smyku, to trzeba sobie zapracować.

– I z tymi kupcami stryjko podróżował?

– Od tego się zaczęło, a potem byłem marynarzem. I kurierem. I tak schodziły lata... Trochę się dorobiłem i zostałem kupcem w związku miast hanzeatyckich. Ale najlepszy interes był na handlu z Indiami i Katajem. W końcu sam organizowałem karawany. Rok za rokiem mijał, a ja byłem coraz dalej i dalej od domu. A kiedy przyjechałem tu ostatni raz, jeszcze cię na świecie nie było, to i matula już pomarła, i ojciec... Posiwiął od zmartwień, których mu przysporzyłem ucieczką. Ale już nie zdążyłem prosić o wybaczenie. Bo odszedł do Pana.

– A tatko nic nie mówili, że stryjko nawiał. Tylko że sławetny ze stryjka podróżnik.

Lucjan odwrócił oczy, bo zaszły mu mgłą. Różnie to się w życiu plecie i różnie ludzie powiadają.

Bartłomiej wyrzekł mu w oczy, że rodziciele do grobu wpędził, rodzinę sromotą okrył, powadzili się i dlatego przez lata unikał Kolna. A teraz widno, że już dawno mu wybaczył i nawet dumę odczuwał z dokonań brata.

Wracając do obejścia, Lucjan opowiadał Jaśkowi o królu Władysławie, zwanym Warneńczykiem, który zginął w walce z Turkami.

– To pewne, że nie żyje?

– Pewne. Od ludzi, którzy przy nim wojowali, na własne uszy słyszałem, że położył głowę. A potem

Turcy ją odrąbali i na kiju obwozili na znak zwycięstwa.

– Bo u nas inne wieści krążyły...

– Że umknął, a Turcy inną głowę w fałszywym triumfie pokazywali?

– Właśnie. A sam król miał zbiec w przebraniu na zachód, nad wielkie morze.

– I myślisz, że gdyby był żyw, zostawiłby swoje trzy królestwa? I nie dał znaku życia?

Jaśko zmarszczył brew.

– Tego to ja już nie wiem – odparł chłopiec. – Ale nie widzi mi się...

– Rezolut z ciebie – pochwalił go stryj.

Lucjan lubił te gorące, leniwe popołudnia po obiedzie, gdy z dala dochodziły do niego stłumione odgłosy podwórza, parskanie koni, nawoływania parobków, szczekanie psa. Trwały przygotowania do żniw. Ludzie szykowali sprzęty i narzędzia, sprzątano stodoły i spichlerze, ale jeszcze niespiesznie.

Zboże potrzebowało dwóch, może trzech tygodni. Pan Bartłomiej nie był tak zajęty i więcej czasu spędzał z bratem. Któregoś dnia przy szklanicy kwasu chlebowego Lucjan go zagadnął:

– Co planujesz względem Jaśka?

– A niby co mam planować?

– No, ziemię mu przekażesz, do terminu oddasz czy na kupca?

– Jaśko do klasztoru pójdzie i na księdza.

Brwi Lucjana wygięły się jak mongolskie łuki. Przedtem o tym mowy nie było.

– A on co na to?

– Na razie nosem kręci, nie w smak mu służba Najświętszej Pani, ale z czasem zmańdrzeje i zrozumie, że to dla niego najważniejsze.

– Może zrozumie, ale na razie w świat go ciągnie.

– A wiem, że podróże mu pachną. Za dużo w domu było mówione o tobie i stąd te jego ciągotki.

Lucjan uśmiechnął się, ale Bartłomiej jakby nie zwrócił na to uwagi.

– Widzisz, ziemi nie ma tyle, żeby obu synków obdzielić, ale pieniędzy starczy, żeby młodszego na księdza wykształcić. A ksiądz, to sam wiesz... I z biedy nie zginie, i poważanie u ludzi ma. Taką drogę my z Dosią dla niego obmyślili.

– Może i słusznie. O ile jemu to będzie w smak.

Pan Bartłomiej pociągnął ze szklanicy i po chłopsku otarł rękawem krople pozostałe na wąsach.

- *A z tobą jak, lepiej już?*
- *Lepiej. Niedługo ruszać mi przyjdzie.*
- *Znów do Kataju?*
- *Tak mi się zdaje. Chyba że jakiego armatora znajdę w Gdańsku. Ale coś mi się nie widzi, bo łajbę straciłem w ostatniej wyprawie. A takich szyprów armatorzy nie lubią.*
- *Coś tedy postanowił?*
- *Jak nie znajdę armatora nad Motławą, ruszę do Krakowa. Do kupców się przyłączę i pójdziemy karawaną do Konstantynopola, a może i dalej, do Kataju, po korzenie i jedwab.*
- *Mówią, że w Konstantynopolu niepokoje...*
- *Zawždy się tam wadzili z niewiernymi. A my, nie oglądając się, prowadziliśmy karawany. Nic to...*
- *A do Dancziku kiedy zamierzasz?*
- *Na następną niedzielę. Ale na razie tylko na dzień, może dwa, żeby się rozpatrzyć. A gród po naszymu wciąż nazywam Gdańskiem, nie jak wy... z krzyżacka.*

*Bartłomiej popatrzył na brata niepewnie.*

– *Miasto pono w świecie bardziej znane jako Danczik, a nie Gdańsk, jak powiadają.*

– *Może i tak, ale pomnę, że ojczulek nasz zawsze go Gdańskiem nazywał i dziad nasz także...*

*Bartłomiej westchnął. Cóż brat, bywały przez lata z dala od ojczystej ziemi, mógł wiedzieć o cierpieniu, którego zaznawali od braci zakonnych, także za to, że byli Kaszubami i nie chcieli mówić po niemiecku.*

– *Teraz mówimy w domu Danczik, żeby się chłopcom nie pomyliło, jak z którym z Krzyżaków przyjdzie im gadać – rzekł. – Wściekają się o to okrutnie. Tak jak i na polską mowę.*

– *A na kaszubską?*

– *Też, ale nie aż tak bardzo. Chcą, żeby mówić po niemiecku. Bartosz u cystersów nauki pobiera po łacinie, a między sobą rozmawiają po niemiecku.*

– *Zwyczajnie to, jak i dawniej było. Ale o naszej mowie zapominać nie wolno. Bo wyrosliśmy z niej i ją mamy w sercach, od ojców naszych i dziadów.*

*Jaśko wstawał każdego ranka zaraz po świtaniu. Pani Dosia dawała mu śniadanie, a potem wykonywał, co miał przykazane. Obowiązków było*

sporo. Karmił kury, podawał świniom, jak trzeba było, to i wiejskim chłopcom pomagał, którzy wypasali bydło na pańskich łąkach.

Wieś należała do burmistrza Gdańska, który obejmując urząd, otrzymywał do niej prawo dzierżawy.

Czerpał z niej korzyści przez czas sprawowania urzędu, a składając urząd przewodniczącego rajców, przekazywał ją wraz z łańcuchem następcy. Teraz Kolno było we władaniu Martina Cremona. Nie zadzierał z Krzyżakami, więc i oni specjalnie go nie gnębili. Knechtowie we wsi pojawiali się rzadko.

I za to właśnie pan Bartłomiej, sprawujący w Kolnie posadę rządcy, dziękował Panu Bogu najbardziej.

Porządek we wsi był, daniny oddawano na czas. Jantarowa dola, choć niewielka, bo od brzegu morza dzieliło ich przecież pół dnia drogi, trafiała jednak od czasu do czasu do mieszka komtura, a przy tym i gąsiory wina, i zacne jadło, więc na ogół dawano im spokój.

Pan Bartłomiej cenił go nadzwyczajnie. Jego klejnot, choć przyznany dziadkowi Sieciechowi po bitwie pod Grunwaldem, nie świecił najjaśniejszym blaskiem, a to za sprawą braku fortuny. Sieciecha na stanowisko przyjął jeszcze pan burmistrz Konrad Leczkow, który nie cierpiał Krzyżaków i w końcu zginął z ich rąk, a potem posada przechodziła z ojca na syna. Tym sposobem objął ją pan Bartłomiej, który by uniknąć niepotrzebnych indagacji ze strony knechtów, swój herb trzymał w tajemnicy.

Okoliczne chłopstwo szanowało go, bo choć był wymagający, nie pobrażał niesprawiedliwości.

Pewnie i dlatego Jaśko przyjaźnił się z miejscowymi urwisami, z którymi nieraz płatał figle dorostłym i bawił się w pobliskich zagajnikach. Nie miał jednak na to zbyt wiele czasu. Pan Bartłomiej chował go na rzetelnego człowieka i od najmłodszych lat przyuczał do obowiązków. Poza tym posyłał chłopca na nauki do ojca Skorupki, proboszcza miejscowej parafii. Ten uczył dzieci bogatszych chłopów nie tylko religii, ale pisania, czytania i rachowania. A z Jaśkiem dodatkowo, na prośbę pana Bartłomieja, siedzieli nad łaciną, potrzebną na służbie u Świętej Panienki.

– W takich czasach najlepsze to dla niego – mawiał. – Atencję u ludzi mieć będzie, a i Krzyżacy czepiać się nie będą.

Jaśko łaciny, owszem, uczył się, bo zdolności do języków miał. I po polsku w domu rozprawiał, jako swoim pierwszym językiem, i po niemiecku



swobodnie się porozumiewał. Z chłopakami wiejskimi po kaszubsku mówił na co dzień, a teraz za sprawą ojca Skorupki i z łaciną radził sobie niezgorzej.

Proboszcz na ministranta go brał podczas niedzielnej sumy, bo mu sprawnie we mszy odpowiadał.

Takoż i często w porannych mszach asystował księdzu, w ten sposób odrabiając część należności za lekcje łaciny.

Ale właśnie przy ołtarzu służąc, chłopiec przekonał się, że nie ma do księżego zajęcia iskry bożej, bo, jak mawiał proboszcz, powołania u niego nie widać.

– Co nie znaczy – powiadał panu Bartłomiejowi – że klecha z niego będzie kiepski.

Pan rządca tylko się uśmiechał i kontent wąsa podkreślał. Z ziemią dla Jaśka byłby nie lada kłopot.

Cała scheda przeznaczona była dla pierworodnego Bartosza, który w przyszłym roku miał być oddany na roczną służbę na gdański ratusz do kancelarii pana burmistrza. Po takowej praktyce pan Bartłomiej liczył, że Bartosz przejmie po nim urząd w Kolnie.

Dla Jaśka trzymał sakiewkę, za którą miał go posłać do seminarium w Oliwie. Chłopiec jednak nie palił się do duchownego stanu. Wszędzie było go pełno, aż kipiał energią, i było to widoczne na każdym kroku.

Gdy się dowiedział o wyjeździe Lucjana do Dancziku, chciał jechać razem z nim. Zrezygnował nawet z przygody, którą szykowali chłopcy od kowala. Mieli wylatać starą balię, zatknąć maszt, prześcieradło jako żagiel użyć i wyprowadzić się na pobliskie jezioro. Choć umawiali się na to od kilku niedziel, teraz, gdy pojawiła się szansa podróży do Dancziku, Jaśko bez wahania odmówił kolegom.

Nie było co równać dziecięcej awantury do wyprawy ze stryjkiem. Wprawdzie w grodzie nad Motławą bywał już nieraz, jednak co innego z panią matką na targ jechać, a co innego u boku podróżnika, który znał wielu żeglarzy i kupców. Wiadome było, że nie po straganach będą się ciągać, jeno nad Motławą, gdzie okrętów masa cumowała. Jaśko liczył, że może nadarzy się okazja wejść na jaką łajbę, która pływała po dalekich morzach, i z bliska wszystkiemu się przypatrzeć, dotknąć ręką burty, co w wodach niezmiernych się pławiła, i ludzi bywałych w świecie na własne oczy zobaczyć. A może i z którym porozmawiać.

*Stryj wzbraniał się przed zabraniem chłopca, ale ten wreszcie go uprosił i zaopatrzeni przez panią Dosię w wiktuaty na drogę ruszyli we dwóch bryką o świtaniu.*

*W Gdańsku stanęli dopiero koło południa. Miasto tętniło życiem. Wśród tłumów, które ściągnęły na rozpoczęcie dorocznego Jarmarku Dominika, ustanowionego [bullą](#) papieską [Aleksandra IV](#) już w 1260 roku, pełno było zamorskich gości, marynarzy i kupców, przybyłych żaglowcami stojącymi teraz przy nabrzeżu Motławy.*

*Jaśko rozglądał się ciekawie. Krocząc u boku stryja, sławnego podróżnika, sam odczuwał dumę, jakby z krewniaka część sławy nań przeniknęła. Lucjan przystawał od czasu do czasu, witał się ze znajomkami i wymieniał pozdrowienia z żeglarzami.*

*Koło baszty świętego Jacka ujrzał niewielki oddział knechtów. Jechali na koniach ulicą biegnącą wzdłuż starego rowu pod murem Głównego Miasta. Spod białego stroju z czarnym krzyżem wyglądały metalowe napierśniki i nałokietniki. Miecze mieli przytroczone do pasów, a u siodeł żelazne młoty.*

*Schodzono im z drogi w milczeniu, jak pogrzebnemu konduktowi.*

*– Kundle komturowe! – obejrzał się za nimi stryj.*

*Kilka kroków dalej ogarnął ich zgiełk Rybiego Targu, dochodzący spod baszty Łabędź. Mewy unosiły się nad żeglarską gospodą „Małpi Gaj”, nad przerdzewiałą chorągiewką wieży i nad dachami kamieniczek. Słońce łamało się w srebrnych łuskach dorszy, śledzi i szprotów, wypełniających opasłe kadzie. Śledziarze zachwalali towar. Mieszczki wybierały co piękniejsze płastugi, kładąc je do swoich kobiałek. Na nadrzecznych pomostach, gdzie do czarnych pali cumowano czółna i barki, przekupki w zatłuszczonych fartuchach targowały się z rybakami o ceny przywiezionych ryb.*

*Koło dwóch czerwonych wież Żurawia zebrał się spory tłumek. Marynarze z zacumowanych w pobliżu statków zaglądali do bramy, gdzie w półmroku obracały się z nieznośnym skrzypieniem dwa ogromne koła, poruszane przez więźniów drepczących po szczebelkach. Jaśko nie mógł się napatrzyć, jak przebierając bosymi stopami po wytartych drzewcach, poruszają potężną maszynę, która nie tylko wielkie ciężary mogła unosić, ale i stawiać ciężkie maszty na okrętach.*

*Lucjan Brzoza pogadywał z szyprami, pytał o armatorów, wreszcie wywiedziawszy się o pewien adres, zawołał Jaśka i poszli na Długi Targ.*

*Tam w jednej z największych kamienic mieszkał imć Korthas, Holender, który miał siedem statków i wyprawiał je przez duńskie cieśniny i do Anglii, i do Francji, a nawet do dalekiej Portugalii. Ponoć szukał sprawnego szypra, który by mu powiódł ładunek do Kastylii. Brzoza przykazał chłopcu, by czekał na niego i nie oddalał się od przedproża pod żadnym warunkiem, a sam zniknął w czeluści skrywanej za wielkimi rzezanymi drzwiami z metalowymi okuwkami.*

*Jaśko przysiadł na kamiennych schodach i podziwiał kolorowy tłum, który przewalał się przed jego oczami. W pewnej chwili pojawili się dziwni ludzie komicznie ubrani, któryś rozścielił dywanik, inny wyjął szklane kule i jął nimi podrzucać, używając nie lada zręczności, by żadna nie upadła i nie stłukła się. Zagrały piszczałki i bębenki. Po chwili wokół sztukmistrzów zgromadziło się sporo osób, by podziwiać ich wyczyny.*

*Jaśko, który pierwszy raz widział takie przedstawienie, zaraz wspiął się na murek przedproża, by baczniej się wszystkiemu poprzyglądać.*

*Herszt wesolej kompanii, w pasiastych żółto-czerwonych nogawicach i długonosych cizmach, potrząsając fikuśną czapeczką, zbierał od widzów miedziaki.*

*Gruby szynkarz, który miał w pobliżu gospodę z piwem i kielbasą, rzekł z zadowoleniem:*

*– Głowę dam, że jeszcze dziś przepiją cały zarobek. I to pewno u mnie!  
– A potem sięgnął do pasa i rzucił hersztowi monetę.*

*Dawali i inni.*

*W oknach pobliskich kamienic pojawiły się twarze mieszczan. W jednym z nich na pierwszym piętrze Jaśko wypatrzył zaciekawioną twarz dziewczynki, która była pewnie rok lub dwa młodsza. Wydała się chłopcu tak piękna, że stracił zainteresowanie dla sztukmistrzów, wlepiając w nią oczy i skupiając uwagę na cudnie ulokowanych jasnych włosach z kokardami. Ale najbardziej zachwycał go jej uśmiech, gdy przyglądała się igrcom, bo wtedy w policzkach ukazywały się dwa fascynujące dołeczki.*

*Jaśko zobaczył, jak obok dziewczynki pojawiła się służąca w czepku i próbowała odciągać ją od okna.*

*Ofuknięta jednak przez panienkę zniknęła. Chwilę później w oknie zjawiała się postawna matrona.*

*– Maryniu, moje dziecko, proszę odejść od okna. Owo spectaculum nie dla takiej panienki jak ty...*

*– Ależ, ciotucho...*

– Koniec dyskusji. Greta zamknie okno, bo tylko hałas, gorąco i odór do mieszkania wchodzi, a ty zaraz zaczniesz lekcję. Panna Friedrich już gotuje dla ciebie klawesyn...

Marynia zrobiła minę, jakby chciała się rozplakać, ale zatrzymała wzrok na Jaśku, który był w nią wpatrzony jak w obraz i... pokazała mu język. Chłopiec oblał się rumieńcem, ale gdy zobaczył, że dziewczynka uśmiechnęła się i pomachała mu ręką, odwzajemnił gest. Marynia zniknęła, a służka zamknęła podwójne okna. Mimo harmidru, jaki czynili sztukmistrze, nateżał słuch, by usłyszeć choć najcichszy dźwięk klawesynu, na którym pewnie teraz grała, ale na próżno. Żadne dźwięki do niego nie dochodziły. Wpatrzony w okno na pierwszym piętrze łudził się, że może piękna Marynia ukaże się jeszcze jego oczom, ale na próżno. Tak zastał go Lucjan Brzoza. Nie miał najweselszej miny.

– Dobre wieści dla stryjka?

– Tymczasem niekoniecznie.

– A nie wie stryjko, kto w tym domu mieszka? – Jaśko wskazał na dom, w którym zobaczył Marynię.

– Znany kupiec, Nagel, który handluje z Hanzą. Czas jakiś temu miał znaczenie w Radzie Miasta.

A czegoś pytasz?

– A tak sobie... – mruknął chłopiec, nie patrząc na stryjka.

Ten zaraz też wziął go za rękę i poprowadził w stronę Targu Drzewnego, do pobliskiego kościoła św.

Mikołaja. Tam klęknięli przed figurą świętego męża i odmówili zdrowaśkę.

Po chwili wstali z klęcznika i cofnęli się do ławy. Jaśko to popatrywał na stryja, to na figurę.

Lucjan, zauważywszy jego wzrok, zapytał:

– Nie wiesz, komuś to zdrowaśkę ofiarował?

Oczy chłopca zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe.

– Toć to święty Krzysztof.

– Laboga, skąd miałem wiedzieć, jako żadnej inskrypcji nie widać.

– Prawdziwy żeglarz i podróżnik bez inskrypcji pozna swojego patrona.



*Stryj Lucjan nie znalazł zajęcia. Wracali bryką ciągniętą wolno przez zmęczoną szkapinę. Jaśko, posiliwszy się piernikami, które stryj kupił mu od toruńskich piekarzy, zasnął i obudził się dopiero, gdy dojeżdżali do Chwaszczyna, a słońce mocno chyliło się już ku zachodowi.*

*– To gdzie teraz stryjko pojedą? – zagadnął.*

*Lucjan westchnął.*

*– Tego nie wiem, zależy gdzie wypadnie... Gdzie będzie praca...*

*– A gdybyś mógł wybierać, to gdzie byś chciał?*

*– Czy ja wiem... Może do Indii...*

*– Toż stryjko już tam był...*

*– Ale teraz chciałbym popłynąć morzem, a nie wlec się lądem, z karawaną. Myślę, że dałoby się tego dokonać, płynąc prosto na zachód...*

*– Olaboga! To możliwe?*

*– Są tacy, którzy mówią, że tak, ale więcej jest tych, którzy uważają, że to niemożliwe...*

*– A stryjko myśli, że można?*

*– Skoro nasza ziemia jest kulą, to logicznie rzecz biorąc...*

*– A wiadomo to, że kula? Bo fater Skorupka inaczej nas uczył.*

*– Dajże spokój.*

*Lucjan tylko machnął ręką i kiwnął na chłopca, by ten nieco się przybliżył. Jaśko uczynił to skwapliwie.*

*– Jest tyle dowodów – rzekł Brzoza – że ziemia nie jest płaska – nie tylko w księgach o tym piszą, ale i w starożytnych zwojach już było – że starczy, by niejednego ojca Skorupkę przekonać.*

*– I ja tak słyszałem, ale fater Skorupka mówi, że jak kto tak twierdzi, to biesa za kołnierzem nosi.*

*Brzoza tylko westchnął.*

*– Nie musisz we wszystko wierzyć, co rzecze proboszcz. Bo różnie z tym być może... Czasem lepiej przyrodników posłuchać niż klechów. A i wśród nich wielu jest takich, co nie wierzą, że ziemia jest płaska jak talerz, bo więcej widzą niż to, co na swoim talerzu mają.*

*Chłopiec pokiwał roztropnie głową. Po chwili namysłu zagadnął stryja:*

*– Więc jak z tą podróżą?*

*Ten sięgnął do kosza, w którym wiozł przysmaki nabyte w Gdańsku. Wyciągnął zielone jabłko, z pierwszych papierówek, które na targ chłopci z Malinowa przywieźli.*

*– Widzisz to jabłko?*

– No widzę...

*Brzoza wskazał na ogonek wystający z zagłębienia.*

– To wszystko jedno, czy do tego punktu dojdiesz, udając się na lewo czy na prawo... – przesunął palcem po zielonej skórce, pokazując drogę.

– Niby tak...

– Tym sposobem i ja myślę, że do Indii można dotrzeć, także udając się w kierunku przeciwnym do tego, z którego teraz się korzysta. Ale na razie wielu moźnych tego świata twierdzi, że to fantazja... Że za morzem jest czeluść, w którą wpadnie każdy śmiałek...

– Takoż i fater Skorupka powiada...

– A ja ci mówię, że to bzdury. Jest droga do Indii i to krótsza niż ta, która teraz tam prowadzi.

– Stryjku, jedźmy tam. Zabierz mnie ze sobą... Ja ci we wszystkim będę pomagał...

– Ooo... Twój ojciec inną wyznaczył ci już przyszłość niż szwendanie się po świecie. A i moje lata już nie najlepsze ku takim eksperymentom. Choć kto wie? Ale myślę, że jeśli nawet nie mnie będzie to dane, kiedyś znajdzie się śmiałek, który spróbuje sił w zachodnim kursie...

– Jak dorosnę, ja to zrobię...

– Co też ci do głowy przychodzi, smyku?

Trzy niedziele po tej rozmowie w Kolnie pojawił się posłaniec, który przywiózł dla Lucjana ofertę od armatora Korthasa z Długiego Targu. Stryj, ku rozżaleniu Jaśka, począł się pakować. Miał ruszyć w daleki świat. Chłopiec zaś tak przywiązał się do stryja, że choć nie było to po kawalersku, co rusz ronił łezkę z tęsknoty. W końcu całą rodziną odprowadzili Lucjana do Chwaszczyna. Tam nastąpiły pożegnania, ale Jasiek nie mógł od stryja dowiedzieć się, kiedy odwiedzi ich następnym razem.

– Kiedy Bóg da, chłopcze – usłyszał tylko.

Jasiek patrzył za odjeżdżającym stryjem dobrą chwilę i w jego wyobraźni wóz ciągnięty przez karego konia nie kaszubskie mijał krajobrazy, lecz prowadził w stronę orientalnych palm, czerwonej udeptanej ziemi, dalekich ośnieżonych skał i ciągnął za sobą powiew wiatru niosący nieznanne zapachy wonnych roślin.



Gdy Jaśko skończył piętnasty rok, ojciec postanowił, że pójdzie na służbę do zakonu cystersów. Miał przebyć w nowicjacie trzy lata, a później udać się do seminarium. Pani Dosia, choć nie miała najweselszej miny, bo zapowiadało się, że nie będzie widywać swego młodszego syna przez okres całego nowicjatu, poczęła przygotowywać mu wyprawę do klasztoru.

Na początku chłopiec nie przejmował się za bardzo, ale gdy poczęła go uczyć, jak zmieniać pościel, jak i czym prać kaftany oraz pludry, zrozumiał, że to, co ma się wydarzyć, nie jest snem ani wyobraźnią, tylko przeznaczeniem, którego uniknąć się w żaden sposób nie da. Próbował jeszcze wpłynąć na ojca, by zmienił decyzję, ale pan Bartłomiej był nieugięty.

– Pójdiesz na księdza i basta!

– Mogę Chrystusa głosić inaczej.

– Niby jak?

– No, jak święty Krzysztof, cośmy ze stryjkiem figurę w kościele św. Mikołaja widzieli.

– Niech cię ręka boska broni po świecie się włóczyć. Widziałeś to jakiego włóczykija, który by na ludzi wyszedł?

– Stryjko, we własnej osobie!

– Ot, mądrała się znalazł! – zachnął się pan Bartłomiej. – Dajże spokój!

– Ale tatko wiedzą, że okrętem bym chciał popłynąć...

– Na księdza pójdiesz!

– Nie chcę.

– A co byś chciał?

– W świat daleki ruszyć, przygód zaznać.

– Siedź na tyłku, jak ci dobrze.

– Jakby tak wszyscy na tyłkach siedzieli, to...

– To co?

– Tobi Marco Polo do Kitaju nie dotarł, a imć pan Gutenberg czcionki nie wynalazł... I jeszcze...

– Dobrze, dobrze... – przerwał niecierpliwie Bartłomiej. – Na wieczornej mszy będziesz dziś służył?

– Jak co dzień...

– I dobrze, bo teraz o to chodzi, żeby ci fater Skorupka jak najlepsze świadectwo do przeora wydał.

I tego się trzymaj.

*Jasiek popatrzył na ojca spod oka. Czuł, że nie zmiękczy jego woli. Gdy wieczorem, po mszy nie chciało mu się jeszcze wracać do domu, wybrał się do lasu, za łąkami. Słońce właśnie zachodziło i kładło się jasną plamą na szczytach dalekich drzew. Wyobraził sobie, że to nawa na bezkresach oceanu, być może taka, jaką teraz stryj Lucjan płynie do obcych lądów. I wtedy podjął decyzję. Nie będzie ślepo wykonywał woli rodzicielskiej. Nie zamknie się na resztę życia w klasztorze, wyruszy w świat, niezwłocznie, natychmiast...*





## Ucieczka

*Pod Bramą Wyżynną pojawił się przed świtem. Stanął w grupie przekupniów, którzy ścigali do miasta z okolicznych wiosek na targ. Czekali, aż strażnicy miejscy opuszczą kładkę i będą mogli wejść do miasta. Nie miał węzła jak inni wędrowcy ani żadnego bagażu jak handlarze, ale nie zwracał na siebie uwagi. Wreszcie z dalekiej wieży kościoła św. Katarzyny dały się słyszeć melodie wygrywane na dzwonach. Był to znak dla strażników. Z piskiem podniosła się krata i opuszczono kładkę nad fosą. Miasto zaczęło się zaludniać. Jasiek wmieszał się w tłum.*

*Zaglądał w każdy kąt, przystawał, gdzie coś go zainteresowało. Chłonał miejski gwar. Czuł się wolny. Minął dwóch zakonników, którzy dreptali w drewnianych chodakach ze spuszczonej głowami, i uśmiechnął się. Nie będzie jednym z nich. Inaczej ułoży sobie życie, nie po woli ojca. Zresztą czuł, że pani matka byłaby mu przychylna. Na pewno nie pochwali ucieczki, ale wiedział też, że go nie potępi, iż woli ojcowej się sprzeciwił.*

*Tak dumając i przekonując w duchu samego siebie, skierował się tam, gdzie zmierzał od początku.*

*Nad Motławę. Minął Bramę Chlebnicką i znalazł się w porcie. Ogarnął go międzynarodowy gwar.*

*Mówiono i po polsku, i po niemiecku, a i mowy Normanów i południowców dało się słyszeć. Przy nabrzeżach, po obu stronach cumowały okręty z banderami wielu miast i księstw. Jak spojrzeć w głąb*

*Motławy, widać było las masztów i lin. Ze statków na ląd przenoszono towary układane w potężne sterty albo wprost na platformy zaprzęgnięte w konie. Przeważnie po dwa, bo jednemu byłoby trudno uciągnąć taki ciężar. Towary przewożono do składów i znów wozy wracały nad Motławę. I tak przez cały dzień.*

*Jasiek wędrował nabrzeżem, dziwiąc się wszystkiemu, co widział: nieznany godłom i barwom na statkach, ludziom obcej urody, nieznanej mowie i strojom. Dotarł aż do lastadii, gdzie budowano okręty nawet dla takich potęg morskich jak Wenecja, Portugalia czy Niderlandy.*

*Nieopodal zobaczył żeglarza, który wydał mu się znajomy. To chyba z nim wtedy stryjek rozmawiał.*

*Mężczyzna właśnie kierował się do straganu, w którym sprzedawano bigos i kluski. Jasiek stanął przed nim i składając ukłon, jak uczył go ojciec, zagadnął.*

*– Witaj, panie. Szukam Lucjana zwanego Brzozą, mojego stryja.*

*– Lucjan Brzoza? Owszem, znam, ale dawnom go nie widział. Popytaj przy innych lajbach i w gospodach... Może ktoś coś będzie wiedział.*

*Jasiek ponownie się skłonił i ruszył wzdłuż przycumowanych okrętów. Z jednego właśnie schodził oficer w strojnym odzieniu. Widząc spozierającego nań młokosa, uśmiechnął się z fantazją. To ośmieliło chłopaka. Zagadnął o stryja.*

*– Lucjan Żeglarz? Będzie z pół roku, jak widziałem go w Kopenhadze. Mówił, że zamustrował na żaglowiec do Afryki. I popłynął. Ale kiedy będzie nazad, jeden Pan Bóg chyba tylko wie...*

*Oficer skierował się do straganu z jadłem, rzucił miedziaka i wziął kołacz. Zobaczył wzrok Jaśka, który dopiero na widok strawy poczuł głód i przypatrywał się chciwie kołaczowi.*

*– Uciekłeś z domu?*

*Jasiek nie odpowiedział, ale oficer odłamał pół kołacza i podał chłopcu. Ten skinął głową i niezwłocznie zabrał się do jedzenia.*

*– Panie, weźcie mnie na statek...*

*– A po co?*

*– Chcę być marynarzem.*

*– Matka by ci skórę skroiła, jakby wiedziała, w jaką awanturę chcesz się wpędzić.*

*– E tam...*

*– A ile ty masz lat?*

*– Siedemnaście...*

*– Siedemnaście? Może za dwa lata będziesz miał... A może i nie.*

*– Panie, weźcie mnie na okręt, przydam się...*

*– Chybabym musiał razem z tobą kołyskę zabrać i pieluchy. Uciekaj stąd.*

- *Ale ja nikogo nie mam w Gdańsku.*
- *To wracaj do domu.*
- *Dom aż w Kolnie...*
- *Nic ci nie poradzę. Ty do szkoły powinieneś chodzić, uczyć się, zanim wejdiesz na pokład.*
- *A czego? Pisać i czytać już umiem...*
- *A łacina?*
- *Radzę sobie, panie...*
- *Tym lepiej. O astronomii powinieneś pomyśleć, o rachowaniu, żeby się tym sposobem w nawigacji doskonalić. To na morzu bezcenne.*
- *A gdzie tego doświadczyć?*
- *Tu w Gdańsku w kilku miejscach się w tym wysposobisz.*
- *Ja już dużo wiem, bo stryjko wiele mi opowiadał, a reszty się nauczę, weźcie mnie.*
- *Nie ma mowy... Ale przyjdź tu, jak naprawdę skończysz siedemnaście lat. Może wtedy...*

*Jasiek przełknął kolejny kęs kołacza i pokiwał głową, godząc się z odmową.*



*Posiliwszy się, zawędrował na Długi Targ. W kilku miejscach prezentowały się grupy sztukmistrzów, gromadząc wokół siebie gawieź. Chłopiec skierował się w pobliże domu armatora Korthasa. Chciał go zagadnąć o stryja, ale nie śmiał użyć kołatki do drzwi. Przysiadł na kamiennych schodkach przedproża i jego wzrok powędrował ku oknu na pierwszym piętrze. Było uchylone, a z wnętrza dobiegała cicha muzyka. Tam przecież mieszkała Marynia!*

*Siedział cierpliwie, licząc, że zobaczy ją, jak podchodzi do okna. Niestety. Tymczasem z kamienicy pana Korthasa wyszedł bogato ubrany jegomość z okazałym brzuchem. To mógł być on! Jasiek śpiesznie złożył mu ukłon i zagadnął o stryja.*

*Szybko się jednak okazało, że holenderski armator opuścił dom przed kilkoma miesiącami, a gruby pan był nowym lokatorem, kupcem bławatnym, i udawał się do swojego składu. Zawiedziony chłopiec wrócił nad Motławę. Z jednego z okrętów schodził właśnie po trapie krzepki brodaty mężczyzna, który na widok chłopca uśmiechnął się szeroko.*

– Czego szukasz, wędrowcze? Szczęścia?

– Na morze bym chciał...

– O, na morze, to każdy by chciał.

– Ale wy, panie, pływacie...

– A już od dwudziestu lat, niemalże.

– A nie moglibyście mnie zabrać?

Brodacz popatrzył na niego i pokręcił głową.

– U nas dla dzieciaków miejsca nie ma.

– Ja już nie dzieciak.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Właśnie widzę.

– Śmiejecie się, panie, a ja mówię poważnie.

– Ja też mówię poważnie. Chcesz zostać skutnikiem?

– Skutnikiem?

– Jak chcesz, wkręcę cię na okrętowisko. Skutnictwo to złote rzemiosło!

Popłatniejsze od żeglarstwa.

– Ale wyście, panie, jednak żeglarzem, nie skutnikiem.

– Na mnie nie patrz, z gołym zadkiem latam, życie przetrwonilem – rzekł i roześmiał się dźwięcznym głosem. – Tyle lat na morzach, a tylko bosmanem jestem. Choć wielu po takich doświadczeniach i szyprami zostało. A byli i tacy, co kupiwszy okręty, zeszli na ląd, armatorami zostawszy.

– Jak was zwą, panie?

– Szymon Bosman... Idę właśnie do mojego kamrata, który w takiej skutni pracuje. Chodź ze mną.

Może tam cię wezmą na ucznia. Jakbyś się wyzwolił na czeladnika, życie miałbyś dostatnie. Rodzinę założyć mógłbyś, dzieci piastować. W domu byś mieszkał, nie na rozkołysanej łajbie. Łóżko wygodne na stare lata lepsze niż hamak...

– Ale ja bym pływać chciał...

– Masz ci los! Ot, gadanie...

Poszli do lastadii, która o sto kroków dalej się mieściła. Jasiek pierwszy raz był w takim warsztacie.

Wszystkiego ciekaw, przypatrywał się pracy skutników. I choć ci istnych cudów dokonywali, Jaśkowi nie było pilno do młota czy topora. Nie fascynowało go budowanie łodzi, ale pływanie na niej. Marzyły mu się bezkresy oceanu, nieznane strefy, zamorskie ziemie. Ani myślał o ich

zamianie na cudze kąty, może równie zamknięte przed coraz ciekawszym światem, jak mury seminarium w Oliwie.

– A weźmiecie mnie, panie, na okręt? – zapytał nowego znajomego.

– Nie mogę – rzekł, rozkładając bezradnie ręce. – Szyper cię nie przyjmie, boś młody, ale jak cię tak do pławby ciągnie, może byś zaczął w morze chodzić z rybakami?

Jaśko westchnął. Lepsze to niżli klasztorne mury.

Powędrowali na Osiek, do polskiej dzielnicy. Szymon Bosman zaprowadził go do swojego krewniaka, Mitruna, co rybaczył na Motławie i w zatoce. Był to starszy mężczyzna, który potrzebował pomocy, a taki wyrostek jak Jaśko nadawałby się w sam raz.

– A będziecie zabierać mnie na morze?

– Pewnie, toć sam rady nie daję. Ale potem i na targu rybnym pomożesz ryby nosić i przedawać.

Szymon pożegnał się, bo miał na swojej nawie wieczorną wachtę, a Jasiek postanowił na próbę u rybaka zostać. Rzeczywiście, następnego dnia o świcie wyszli łodzią na zatokę. Zarzucili sieci i wieczorem popłynęli je ściągnąć. Ryby nie było zbyt wiele, ale nazajutrz można z nią było pójść do przekupek na Targ Rybny. I tak zaczęły Jaśkowi mijać dni, jeden za drugim.

Zdobywał nowe umiejętności i starał się w nich doskonalić, ale każdą wolną chwilę poświęcał modlitwie. O rodzicach myślał, by nie cierpieli, że syn w świat odszedł. Matki szczególnie mu było żal, bo nigdy mu złego słowa nie rzekła i wiedział, że był jej radością, szczególnie pod nieobecność brata.

Ale do klasztoru za nic iść nie chciał, a bał się, że jak się już za nim furta domknie, to żadnego wybawienia nie znajdzie. Wszak śluby zakonne rzecz święta.

Gdy wyphywali z Mitrunem na morze, czasem nie wracali po kilka dni. Cumowali wtedy przy Glettkau albo Brösen, sypiając w rybackich szałasach, a przed świtem znów wyphywali, zastawiając sieci. Dopiero z pełnym ładunkiem wracali na Osiek.

Kiedy tylko świt szarzał nad morską dalą, Jasiek zrywał się i szedł ku łodziom, na wybrzeże.

Schłostał mu morski wicher twarz, skóra na dłoniach stała się szorstka i gruba. Chodził w rybackim odzieniu i jakoś nie żał mu było dostatniejszych szat, które dawniej nosił.

*Stary rybak, który stracił na morzu syna, a teraz przygarnął do chaty Jaśka, chętnie widział w domu tę pomoc. Nie dopisywały mu oczy, czasem zawodziła ręka, a chłopak, który bystry był i w mig wszystko pojmował, trudził się dla niego od rana do wieczora i nie żądał w zamian nic prócz miejsca przy stole i skleconego w kącie pościelania.*

*Chłopak z dnia na dzień coraz bardziej zżywał się z morzem. Wiedział, kiedy jest gniewne i gotuje się do burzy, a kiedy układa się spokojnie na pogodę. Z każdą wyprawą zdobywał nowe doświadczenie.*

*Po skończonym połowie siadał nad brzegiem i podparłszy brodę na dłoniach, patrzył w morze.*

*Wciąż myślał o matce i jej łzach. Któregoś dnia, po tym jak na Targu Rybnym sprzedali cały swój połów, udał się pod ratusz, gdzie jego brat rozpoczął służbę. Zdybał go przy głównych schodach.*

*– Jak cię ociec dopadnie, to ino wióry będą szły z twojego zakutego łba – rzekł Bartosz, gdy już się wyściskali.*

*– Nie dopadnie, a ty matce jeno przekaz, żem żyw i cały. Na morze w łodzi wychodzę niemal co dnia, ryby łowię. Krzywdy nijakiej nie mam, więc niech się nie martwi.*

*– A jakby pytała, gdzie się podziewasz, to co mam jej rzec?*

*– Tyle, co sam wiesz. – Jasiek zaśmiał się beztrosko, choć mu w duszy nie na śmiech było.*

*– Gdzie cię szukać?*

*– Sam cię najdę, jak będzie taka potrzeba. Teraz ojca byś mi na kark sprowadził i siłą by mnie do klasztoru zawiódł.*

*– Klasztor nie taki straszny. Byłem na naukach w Oliwie i braciszków widywałem co dzień.*

*– Jak ci tam miło, to sam daj się zamknąć na całe życie...*

*– Jeśli tak ma być, że przeze mnie z domu odszedłeś, to ja mogę iść na księdza, a ziemię niech ojciec tobie przepisze...*

*– Żadną ziemią mnie nie zatrzymasz. Ja chcę na morze.*

*Bartosz pokręcił głową.*

*– Ot, zakuty łeb... Ani po dobremu, ani po złości nie dojdiesz sprawy.*

*– Ty sobie wyrzutów nie czyn i ojcu rzeknij, aby tego nie czynił. Ja morze wybrałem i tyle!*

*Odszedł od brata, ale po kilku krokach odwrócił się i rzekł:*

*– A matulę ukochaj i powiedz, że do niej przyjadę.*



*Czasem ważył się na więcej niż jakikolwiek rybak z Osieka. Nie dbał o przeciwny wiatr ani o zbliżającą się burzę. Wy pływał zuchwale nawet wtedy, kiedy morze bałwanilo się, a rybacy nie wyściubiali nosów ze swoich chat. On zaś spuszczał łódź na ciemne, ołowiane wody i wypuszczał się na zatokę. Nie dla ryb, ale dla pławby. By pokonać fale, by wydrzeć im panowanie nad łupiną, by słuchała jego woli, przeciwstawiając się niszczycielskiej mocy.*

*Niekiedy po targu dostawał od Mitruna kilka miedziaków, by mógł rozerwać się w mieście.*

*Wiadomo, młody, to i świata ciekawy. Zachodził więc w pobliże kościoła św. Mikołaja, gdzie tawern było bez liku. Przysiadywał i słuchał, o czym gwarzyli bywalcy, wśród których nie brakowało wilków morskich spod wielu bander. Pewnego razu, w chłodny jesienny wieczór, ulewa zatrzymała go w gospodzie na dłużej. Zamówił jeszcze misę bigosu i przypatrywał się grupce rozprawiających żeglarzy, którzy suto raczyli się piwem. Jeden przez drugiego opowiadali o tym, co widzieli w dalekich krajach. Niektóre opowieści, szczególnie te o diabłach zamorskich i wyczynach ludzkich, które były dokonywane przy ich udziale i pomocy, budziły zadziwienie słuchaczy. Zwłaszcza ta, opowiadana przez starego szypra, o pojawiających się i znikających głowach bez ciała, które przetaczały się po wodzie w porcie zwanym Mombay...*

*– Co takiego? – rzucił zajadle klecha, który, pewnikiem w podróży będąc, zaszedł do gospody, aby się posilić. – Nieprawda to! Ot, szatan patrzących omamił! A trza było omamy krzyżem świętym przeżegnać... W owym przedpieklu, wszystko czartu służy, Pana Boga nie znając prawdziwego. Lepiej się tej krainy z dala trzymać i okrętów tam nie kierować!*

*W karczmie zapanowała cisza. Szyper uśmiechnął się lekceważąco. Wśród zebranych zrobiło się straszno, jakby wyczuli, że ów szatan zasiadł między nimi i wzruszył powietrze ogonem.*

*– Byliście, ojcze, w Mombayu albo w Indiach w ogóle? – zapytał szyper przyciszonym głosem.*

*Klecha pokręcił głową.*

*– To nie powiadajcie byle czego...*

– Ależ, człecze! – Mnich aż się zachłysnął. – Czart cię zmógł i oczy ogłupił!

Jasiek poczuł dreszcz i stróżka zimnego potu spłynęła mu po krzyżu.

– To się morzem do Indii płynie? – spytał ktoś.

– I morzem, i ziemią trza wędrować, przez rzeki, moczary, bory, bezdroża, pustynie – odpowiedział szyper. – Samym morzem nie można, bo należałoby Afrykę od południa opłynąć. A to się jeszcze żadnemu śmiałkowi nie udało.

– Czemuż to?

– Bo na dalekim południu upał takowy, że ziemia na popiół spalona, woda zaś wre niby w kotle na ogniu. Nie sposób tamtędy żeglować. Po prawdzie mędracy twierdzą, że za onymi piaskami i wodą dalszy świat leży, kędy żyje naród, co się nazywa Antoikowie. Ponoć i na zachodzie za oceanem żyją tak zwani Antypodzi. A gdzie indziej jeszcze Antychtoni. Jeno że to wszystko niby ludzie, a nie ludzie, stwory dziwaczne, może iście piekłu służące.

Ksiądz, spurpurowiały na licu, zgromił żeglarza:

– Zmyślacie, panie! Jakie Antypody? Wszak wedle świętego objawienia cała ludzkość wywodzi się z rajy. Jakby więc ludzie przebrnęli owe żary pustynne i wrzątek oceanu? Musieliby nie pochodzić od pierwszych rodziców. Grzech nawet myśleć! Rozgrzeszenia nie dostanie u spowiednika, kto słucha i powtarza takowe durnoty.

Ku ogólnemu zdumieniu żeglarz się nie obraził. Wyjąwszy z torby poszyt karteluszy, oprawny w skórę, odpowiedział spokojnie:

– Wasza wielebność tak się oburza, a w tej świętej książeczce pewien arcybiskup z Italii pisze:

„Oprócz Azji, Europy i Afryki jest jeszcze ziemia czwarta, dla upałów okropnych zgoła nam nieznana, za którą Antypodzi żyją”. Któż by śmiał nie wierzyć świątobliwemu i uczonemu arcypasterzowi? A po wtóre, znam żeglarzy, co Antypody na własne oczy widzieli. Mam nawet takowego bosmana.

Wobec takich argumentów księżulo umilkł pokornie i wkrótce chyłkiem umknął z karczmy.

Jasiek rozbawiony, ale i zaciekawiony doczekał, aż deszcz przestanie padać, co niebawem się stało, i wracał na Osiek. Przechodząc przez Długi Targ, a często tamtą drogę wybierał, zerknął w pewne znajome okno na pierwszym piętrze kamienicy. Tym razem za zasłoną mignął cień, a po



chwili jego oczom ukazała się postać dziewczyny z jasnymi włosami. Jaškowi serce zabiło żywiej, przystanął i jął wpatrywać się w szybę. Po chwili zobaczył blask świecy, wreszcie przeszła postać z lichtarzem, a na koniec przy oknie zatrzymała się dziewczyna. Poznał ją! To była Marynia, ale jak zmieniona. Nie widział jej od trzech lat. Teraz była już całkiem dużą panienką. Tulila na rękach małego pieska, czule do niego przemawiając. Nie słyszał słów, bo odgradzała ich szyba, ale zdołał zauważyć, że dołeczki w policzkach były takie same jak dawniej. Marynia popatrzyła w okno. Nie uśmiechnęła się, nie pokiwała dłonią. Spoglądała poważnie. Czy go widziała?

Od tej pory bywał pod jej oknem, kiedy tylko było to możliwe. Widywał ją często. Wychodziła ze służką Gretą. Kilka razy kłaniał się jej z daleka, ale nie doczekał się ni uśmiechu, ni najdrobniejszego gestu. Pewnie nie zwracała uwagi na obszarpańca, jakim mógł się wydawać w roboczym kaftanie i przykrótkich rybackich pludrach.



Mitrun był coraz słabszy i Jaško sam począł wyptywać na połowy. Wkrótce dobrał sobie do pomocy

Sielika, rówieśnika mieszkającego na Osieku, i razem wychodzili po rybę.

Coraz dłużej przebywali na swoich wyprawach, choć nie zawsze przywozili z nich połów taki, jaki by się należał za tak długi czas.

– Ciągnie mnie, zacny Mitrunie, w daleki świat! Ciągnie okrutnie! – mawiał nieraz Jaško po powrocie.

– Wiem ci to, wiem... Tak było i z moim synkiem... Kusi ono morze, woła, mami człowieka, póki mu swoich pazurów nie pokaże. Zginął, a młody był, tak jak ty...

Nazajutrz wypłynęli z Sielikiem po łososie. Gdy byli na morzu, rozszalała się burza i sztorm zepchnął ich daleko od lądu. Wrócili do domu dopiero po trzech dniach, z marnym ładunkiem. Gdy Jasiek wszedł do chaty, Mitrun leżał bez ducha. Sąsiedzi się zbiegli, zawołali księdza. Pogrzeb był ubogi, ale na cmentarz przyszło sporo znajomków i towarzyszy z rybackiego stanu. Żegnali jednego ze swoich.

Bez Mitruna poczuł się jak bez domu. Człowiek, który spędził całe życie na morzu, rozumiał

*Jaśkowe tęsknoty najlepiej. Zżyli się przez ten czas, gdy razem pływali. Chłopcu brakowało jego uśmiechu, ciepłego głosu, pocieszenia, czasem pouczenia.*

*A teraz? Cóż było robić? Bał się, że jeśli wróci do domu, ojciec zagna go do klasztoru. Do matki tęsknił, ale czuł żal, że nie wstawiła się za nim, nie obroniła przed ojcowymi zapędami. I teraz nie dałaby rady. A on, gdy posmakował już morza, był pewny, że nie zdoła żyć z dala od niego. Wiedział, że może nadal pływać z Sielikiem, zastawiać sieci, sprzedawać rybę i z tego żyć, ale ciągnęło go dalej.*

*Po pogrzebie przysiadł w oberży, zamówił jadło i przysłuchiwał się opowiadaniu kulawego marynarza, który kontynuował historię rozpoczętą jeszcze przed jego przybyciem.*

*– Wypiwszy, zasnął... Obudził się nie w pałacu, lecz na mchu w lesie. Pałac znikł! Pustelnik, który zaopiekował się nim, opowiedział mu o losie jego druhów. Otóż napotkali płasające dziewczki, przyozdobione kwieciami. Przy dźwiękach gędźby zwabiły ich one do pobliskiej osady na ucztę, a potem, podochoconych, do jaskini. Znienacka zatrzasnęły wyjście głazami, po czym wyciągały nieszczęsnych po jednym i pożerały... Podobno na wyspie Sejlan zawsze tak drzewiej bywało z mężami przybyłymi zza morza.*

*– Zawojować przekłętą wyspę! – oburzali się słuchacze.*

*– Wojuj z diabolicami, jak cię takowa zaklnie we wróbla czy żabę albo w innego robaka!*

*Któryś z marynarzy postawił po kubku wina. Potem ktoś inny. Jaśkowi, który był przejęty żalem po*

*Mitrunie, zaszumiało w głowie.*

*– Jam nie widział ludożerczyń – wyznał rzetelnie kulawy marynarz. – Ale ponoć tak cudne, że od ich urody mężowie aż głupieją.*

*– Jak u nas! Po co Sejlanu szukać! – rżał jakiś wesolek.*

*Jasiek pomyślał o Maryni, przymknął oczy i przywołał w pamięci jej dobry uśmiech. Nie, ona nie miała i nie mogła mieć nic wspólnego z czartami!*

*Biesiadnicy jeszcze długo porykiwali i błaznowali. Wreszcie podochocony opowieścią i winem Jaśko zakrzyknął:*

*– Pojadę bodaj na kraj świata i niestraszne mi żadne diablice!*

*Ludzie gruchnęli śmiechem, rozbawieni wyskokiem młodzika.*

*– Ojciec da ci „kraj świata” kijaszkiem! – rzucił z uśmiechem jeden z żeglarzy.*

– Parzę śledzi dopiero co złowił, a jużci o Sejlaniu rozmyśla!

Dogryzali mu do żywego. Ale Jasiek nie ruszył się ze swego miejsca. Jadł powoli swój bigos, zakąszając chlebem, a od czasu do czasu również się uśmiechał pod nosem, dając do zrozumienia, że nic sobie nie robi z tych docinków. Jeden z szyprów, którzy siedzieli przy bocznej ławie, podniósł się ze swego miejsca, podszedł do Jaśka i położył mu ciężką rękę na ramieniu.

– Jestem Władę, szyper na „Jaskółce”.

Chłopak popatrzył na niego i powiedział cicho:

– Znam was panie i wasz okręć.

– To i lepiej. Chodźmy pogwarzyć na łajbę.

Gdy znaleźli się w jego kajucie, szyper obejrzał chłopaka niby konia, obmacał mięśnie, kazał wykonać kilka ruchów i pochodzić po kasztelu. Jasiek znacznie zmęźniał, od czasu gdy uciekł z domu.

Morze go zahartowało. Było widać, że jest silny i robotę się nie boi, że poradzi sobie w opałach.

Szyper zmierzył go wzrokiem, po czym powiedział:

– Zdatnyś chwata. Przed świtem odpływamy.

– O Jezu! Prawda to?

– Prawda!

– A gdzie to?

– Do Kilonii z pszenicą. Gotowyś?

Chłopak nie mógł wydusić z siebie słowa. Doczekał się! Spełniały się właśnie jego najdawniejsze marzenia.

– Nie, to kto inny cię zastąpi – ponaglił Władę.

– Nie, nie! – przestraszył się, że kapitan gotów spełnić groźbę. – Jam gotów!

Załupało mu we łbie. „A Bartosze? Sielik... A Marynia?”. Zostawić wszystko bez słowa? Ale inaczej nie można. Teraz albo nigdy. Jeśli nie wykorzystasz szansę, na następną może czekać lata!

– Jak płynięm, to płynięm! – zawołał, chcąc okazać męstwo.

Ale po chwili odwrócił się i zamglonymi oczami popatrzył w bulaj, za którym chybotwały statki na Motławie. „Przeznaczenia nie pokonam. Objadę świat i przecięż wrócę” – pomyślał.

– Trzeba mi jeszcze do domu, po rzeczy – rzekł z wysiłkiem.

– Ino wracaj na czas! Czekać nie będziem! – rzucił Władę.

Jasiek pobiegł na Osiek, spakował majdan, rzekł Sielikowi, że dostał się na „Jaskółkę”, a wracając nad Motławę, nadłożył drogi, by po raz ostatni

*przejsć pod oknem Maryni. Było ciemne. Na przedprożu zauważył Grete. Podszedł do niej bez zastanowienia.*

*– Gretko... – rzekł – mam do was prośbę.*

*– Nie znam was – na policzku dziewczyny wykwitł rumieniec. – Skąd znacie moje imię?*

*– Znam...*

*Dziewczyna płonęła z ciekawości.*

*– Jaka to prośba?*

*– Powiedźże pannie Maryni, że na morze idę, na „Jaskółce” ze zbożem do Kilonii, i nie wiem, kiedy będę z powrotem w Gdańsku, ale jak tylko wrócę, znów tu przyjdę...*

*– Kto wyście?*

*– Jasiak...*

*Gretka uniosła brwi.*

*– Jasiak?*

*– No... – bąknął niepewnie. – Jan z Kolna.*



*„Jaskółka” była zwykłą kupiecką krypą i nie pływała w głąb mórz, z gwiazdą polarną za przewodnika, tylko oznaczoną drogą z jednego bałtyckiego portu do drugiego. Najczęściej chodzili do*

*Kilonii i do Rewla, za każdym razem zawijając do Gdańska. Kupczyli z Hanzą, więc to był ich główny zarobek. Pływali, nie tracąc z widoku brzegu na dłużej niż pół dnia.*

*Jaśko nie miał na łajbie łatwego życia. Szyper Włady wziął go do galopu przy najczarniejszych robotach. Silny, zręczny chłopak ledwie nadązał. Podczas połowów w zatoce jego dłonie pokryły się odciskami, a mimo to od pracy z linami i kołowrotami wciąż nabierały nowych pęcherzy, które co rusz pękały i w zetknięciu ze słoną morską wodą dokuczały niezmiernie. Mimo to zaciskał zęby, by nie pokazać przed towarzyszami, jak cierpi.*

*Majtkowie drwili z niego i wciąż pokrzykiwali. Tak mu dopiekali, iż obiecał sobie, że zejdzie z „Jaskółki”, jak tylko dołyną do Gdańska, i wróci do Kolna. A niechże ojciec wyprawia go do klasztoru, lepsze to niż kpiny takich, którym nic nie dogodzi...*

– Co się tak w te brzegi wpatrujesz, lebiego, niby kura w jaje? –  
dziabnął go kiedyś bosman.

– Tak ino, ckni mi się czegoś – bąknął chłopak.

– Tu nic po takim, co się na mamę ogląda.

Jaśka aż zatkąło, ale zmilczał. Wieczorem, gdy ułożył się w swoim hamaku, przed jego oczami pojawiła się matka, jak mu pajdę chleba smarowaną grubo masłem w dłoń wciskała, gdy hasał z chłopaczyskami po pobliskich zagajnikach. A potem, jak łatali starą balię, na której chcieli wyprawić się na jezioro, i ojciec, co choć pohukiwał nań ostro i do obowiązków i dyscypliny od maleńkości przyswajał, przyszłość syna rozważnie planował. Ale co mu po takich planach, skoro od morza miały go odciąć?

Gdy zamknął oczy, w wyobraźni ujrzał postać stryjka. Ciekawe, gdzie teraz był, po jakich morzach żeglował?

Otrząsnął się od wspomnień. To go tylko rozmiękczało, a w fachu marynarskim, gdzie męstwem co rusz trzeba się wykazywać, powinien tej miękkości się wystrzegać. Wiedział, że musi być twardy. Ta cecha ceniona była przez towarzyszy najbardziej. I ona właśnie stanowiła swoistą przepustkę do cechu marynarskiego. Tak było i w przypadku Jaśki. Gdy mimo docinków wykazywał się pojętnością i wytrwałością, przestali mu dokuczać. Nie był już ofiarą, dzieciakiem, któremu trzeba pieluchy wypominać. Stał się pełnoprawnym członkiem załogi. Szyper dawał dowody, że może na nim polegać jak na każdym innym.

Już podczas drugiego rejsu, gdy tylko Władę się zwiedził, że Jasiek czyta i pisze, mianował go logsmatem i powierzył prowadzenie zapisków w księdze okrętowej. Stało się to zaraz po tym, jak pisarz okrętowy, stary pijanica, Jeremiasz Schenk, zatracił się w gospodzie w Rewlu i nie przyszedł na okręt.

Czekali na niego do południa, wreszcie szyper nakazał wyjście z portu.

Jasiek co wieczór po wachcie siadał w kubryku i zapisywał, co mu szyper kazał. Przechyły utrudniały niekiedy kreślenie równych liter, nieraz inkaust czarnym kleksem rozlał się po karcie.

Chłopak, który wprowadzie szybko nauczył się wspinać na wanty, rozpinąć i zwijać żagle, wciąż jeszcze wprawniej władał ęsim piórem niż bosakiem czy kwaczem do smarowania pokładu. To również podniosło jego prestiż na „Jaskółce”. Nie myślał już o powrocie do Kolna. Uwielbiał morze i nigdy nie był go syty. Nawet gdy po wyczerpujących sztormowych

*nocach i dniach zawijali do portu, on pierwszy rwał się, by wracać na wodę. Załoga zaakceptowała go, z każdym rejsem zyskiwał większy szacunek nie tylko wśród majtków, ale i u starszyny.*

*Pewnego razu, schodząc z pokładu w kopenhaskim porcie, wpadł wprost w objęcia Lucjana Brzozy.*

*– Stryjku!*

*Mężczyzna popatrzył na wyrostka.*

*– Ktoś ty?*

*– Nie poznaje stryjko? To ja, Jaśko, z Kolna...*

*– Z Kolna? Syn Bartłomieja?*

*– Jako żywo!*

*– Aleś ty wyrósł, zmężniał... Za Boga bym cię nie poznał! – Wpadli sobie w ramiona i wyściskali się serdecznie. Nagle twarz stryja stężała i ostrym tonem zapytał: – A cóż ty tutaj robisz?*

*Jaśkowi serce zamarło. Z twarzy stryja zniknęła radość ze spotkania.*

*– No, jakby to rzec...*

*– Prawdę. Daleś nogę z domu?*

*Chłopak pokiwał głową.*

*– Ano.*

*Stryj zajrzał mu twardo w oczy.*

*– I ojciec nic nie wie, co z tobą?*

*– No, znać niby dawałem... przez Bartosza, ale...*

*Przez cały wieczór siedzieli w tawernie i rozmawiali.*

*– Powinienem ciupasem do domu cię odesłać, na pożytek ojcu i ku uciesze matki, bo pewnie niejedną łzę wylali za tobą – pomstował stary.*

*– A stryjkowi nikt tak w oczy nie zaświecił...*

*– I szkoda, może bym się opamiętał na czas i ojca jeszcze żywym zastał... – Brzoza zamyślił się. –*

*Napiszę do nich, że cię spotkałem i w zdrowiu zastałem...*

*Jasiek odetchnął, bo to znaczyło, że stryj nie będzie się upierał, by odesłać go do Kolna. Popatrzył na niego z wdzięcznością, ale twarz żeglarza była surowa i niewzruszona.*

*– Za stary koń już jesteś, by ci cokolwiek nakazywać. Ale jak już żeś się uparł pływać, to lepiej jako oficer albo kapitan, nie zaś jako majtek. Uczyc się powinieneś.*

*Jasiek kiwnął głową.*

– Mam ci ja trochę grosza odłożonego, bo z dobrej pławby wracam. Ponad trzy lata do Afryki pływałem i nazbierało się. Do Akademii Jagiellońskiej do Krakowa cię wyślę, na nauki. A potem...

– Ze stryjkiem będę pływał?

– Patrzcie go, jaki szybki... Ja już na ląd powoli schodzę, już mi lata i siły nie po temu, by morza przemierzać w tę i z powrotem. W Kopenhadze żonka moja na mnie czeka i syneczek mały, dwa latka niedługo skończy. Jakub ma na imię, kuzynek twój...

Lucjan rozmarzył się, mówiąc o rodzinie, którą założył po wyjeździe z Kolna i o której jeszcze nie powiadomił brata. W końcu ustalili, że Lucjan porozmawia z Władym, którego – jak się okazało – znał z dawnych czasów. Tak też się stało jeszcze tego samego wieczora. Bez woli chłopaka starsi ustalili, że kiedy wrócą do Gdańska, szyper wypłaci mu wszystkie zaległości. Wraz z trzosem, który otrzyma od stryja, popłynie z flisakami w górę Wisły do Krakowa i wstąpi na akademię.

– Jeśli dowiem się, żeś tak nie uczynił, nie chciałbym być w twojej skórze. O wszystkim zaś napiszę do twojego ojca.

Jasiek popatrzył na stryja uważnie. Po tonie głosu i po minie wiedział, że ten nie żartuje.



## Źródła

Sugestywna relacja profesora Konkola uruchamiała wyobraźnię do tego stopnia, że sama dopowiadała obrazy i dźwięki, to wszystko, co zdawało się być nieuchwytnie i ulotne. Robert ocknął się z zadumy. Jeśli manuskrypt był prawdziwy? No właśnie, jeśli był prawdziwy... Przecież nigdy nie znaleziono ani jednego dowodu materialnego potwierdzającego istnienie Jana z Kolna. Do tej pory znany był tylko z przekazów kilku średniowiecznych historyków. To, co pisano o nim później, było już tylko powtarzaniem i przetwarzaniem trzech notatek, napisanych pierwotnie przez Gómarę, Belleforestą i Horna. Po nich powtarzał nie tylko Lelewel, ale nawet Aleksander Humboldt. A i ci pierwsi opierali się na jakichś nieznanym dziś przekazach. I jeśli nawet uznano Jana z Kolna za postać historyczną, obdarzoną prawdopodobną datą urodzin i śmierci, to bardziej przypisywano mu pochodzenie norweskie, niemieckie, duńskie, a nawet portugalskie niż polskie. I z reguły wymieniano go jako jednego z uczestników wyprawy Pininga i Pothorsta, nazywany był Johannem Scolnusem, Scolvusem, Johannem z Kolonii, Joanem Colno...

A tu nagle pojawia się dowód – manuskrypt spisany ręką tajemniczego bohatera, i to na dodatek w języku kaszubskim. Profesor czuł, że robi mu się gorąco. No właśnie! Te wzory, które od samego początku wydawały mu się znajome! Otworzył na ekranie komputera fotografię strony i powiększył wizerunki ornamentów. Były to wzory, które jeszcze do dziś w swoich pracach wykorzystują hafciarki kaszubskie...

Pomyślał, że powinien to zweryfikować jakiś etnograf. Zrozumiał, że dzięki unikalnemu dokumentowi jest na tropie zagadki, której rozwiązanie może przewrócić historię odkrywając geograficznych do góry nogami. Wyglądało na to, że jeśli uda mu się potwierdzić prawdziwość manuskryptu, zdobędzie dowód, którego brakowało przez setki lat. Czy



manuskrypt dowiedzie odkrycia Ameryki przez Jana z Kolna? Ten fakt był podawany w wątpliwość przez wieki z powodu braku przekonującego dowodu. Mógłby nim być dziennik okrętowy wyprawy. A wszystko wskazywało na to, że był nim ten właśnie rękopis!

Siedział w kawiarni przed otwartym laptopem i pogrążony w myślach przyglądał się przez okno turystom, którzy przyплыnęli „Norröna”. Wysypali się właśnie na nabrzeże i niewielkimi grupkami zapuszczali w głąb miasta. Nagle przed jego oczami pojawiła się roześmiana twarz Dalmora. Nowicki nie od razu go skojarzył, tak był zagłębiany w swoich rozmyśleniach. Dopiero gdy ten zapukał w szybę, ocknął się i uśmiechnął. Po chwili Dalmor siedział już przy jego stoliku.

– A wiesz, że pytała mnie o ciebie panna Morensen, nasza bibliotekarka?

– Rozumiem, że miejscowa seksbomba, na której zrobiłem ogromne wrażenie?

Dalmor parsknął.

– Skucha, chociaż... – strzelił oczami, jakby chciał tym dać przyjacielowi do zrozumienia, że może nie do końca się myli. – A wrażenie pewnie i zrobiłeś... Widziała, jak cię podwoziłem samochodem do klasztoru.

Robert wzruszył ramionami.

– Pytała, czy jesteś zakonikiem...

Profesor pokręcił głową ze zdumieniem.

– Właściwie, biorąc pod uwagę mój styl życia i prowadzenia się, można by to tak określić...

Dalmor podjął żartobliwy ton.

– Wiesz, ona jest jeszcze całkiem... do rzeczy. – Znów puścił do Roberta perskie oczko i zaśmiał się dźwięcznie.

– A co, panna Morensen szuka... wolnego zakonika?

– Tego nie wiem, ale jak się dowiedziała, że jesteś historykiem, aż zakwitła z radości.

Robert popatrzył na towarzysza nieco podejrzliwie.

– Zakwitła, powiadasz?

– Interesuje się historią Farerczyków, to jej konik. Mówiła, żebyś ją odwiedził na dyżurze w Bibliotece Narodowej. Jest tam największy zbiór książek o Wyspach Owczych, jakie wydano poza archipelagiem.

Sprowadzają je skąd się tylko da. To podobno największa kolekcja tego typu wydawnictw na świecie.

– Interesujące...

– Nie zdziw się, jak panna Morensen na dzień dobry poczętuje cię zagadką, którą serwuje każdemu obcemu.

Dalmor uśmiechnął się tajemniczo.

– Rozumiem, że znasz odpowiedź i mi ją zdradzisz?

– Czemu nie, jeśli mógłbyś u niej zapunktować? Może dzięki temu jednej starej panny na archipelagu będzie mniej?

Robert zrobił groźną minę.

– Wyczuwasz we mnie instynkty mordercze?

– Raczej uległość wobec wdzięków kobiecych... Ona naprawdę jest jeszcze całkiem... do rzeczy.

– No już, nie dowcipkuj, tylko mów...

Dalmor nie dał się dłużej prosić.

– Obcokrajowcom chwali się, że na Wyspach Owczych wydaje się najwięcej książek na całym świecie... Oczywiście w przeliczeniu na głowę mieszkańca.

Robert z aprobatą pokiwał głową.

– Mimo wszystko to dobrze świadczy o Farerczykach i... jest imponujące.



Panna Trude Morensen była chyba już po czterdziestce i można było o niej powiedzieć to wszystko, co mówi się zazwyczaj o tak zwanych kobietach z klasą. Jeśli rzeczywiście nie wyszła za mąż, to z pewnością nie z powodu braku kandydatów, a raczej z ich nadmiaru. Była atrakcyjna i niejedynemu mężczyźnie miałby ochotę się z nią związać. Jak przewidywał Dalmor, przywitała Nowickiego zagadką na temat liczby książek na głowę mieszkańca Wysp Owczych. Odpowiedział i tym ją do siebie przekonał.

I do polskich naukowców w ogóle. Dwoiła się i troiła, by zaspokoić jego ciekawość. Była interesującą rozmówczynią i Robert nawet nie zauważył, jak w jej towarzystwie spędził kilka godzin.

Dowiedział się, że Biblioteka Narodowa posiada spory zbiór publikacji o historii Ameryki, w tym dzieła o jej odkryciu i spekulacjach na ten temat.

– Gdybym wiedział, jakie macie tu skarby, przyjechałbym do Tórshavn dużo wcześniej, gdy robiłem doktorat i habilitację – rzekł.

Zapytała o temat doktoratu, a gdy odpowiedział, aż pokraśniała z radości i poprowadziła go do działu, w którym znajdowały się rarytasy. Wśród woluminów Robert odnalazł fragmenty „Kronik Wirgińskich”, pamiętniki kapitana Johna Smitha, reprodukcje szkiców i rysunków pierwszych osadników. Były nawet pisma Johna Rolfa o uprawie tytoniu w Wirginii i zapisy kronikarzy pierwszych purytanów w Massachusetts...

– Prawdziwe okazy – powiedział z podziwem.

– To kopie, nie oryginały – zaznaczyła panna Morensen.

– Widzę, ale mimo wszystko nieczęsto można spotkać te teksty w oryginale...

– Najważniejsze, że mamy to pod ręką, gdyby ktoś chciał skorzystać. Dla pana, w każdym razie, nasze zbiory są jak najbardziej... dostępne.

– Dziękuję.

Zmierzyła go wzrokiem, z którego jasno wynikało, że ocena wypadła na jego korzyść, przy czym lekko się uśmiechnęła i przymknęła oczy.

– Jeśli pan chce, może pan pracować u nas w czytelnii. Jest tam dostęp do sieci, więc...

Robert skinął głową i uśmiechnął się. Odniósł wrażenie, że policzki panny Morensen nieco się zaróżowiły.

– Jeśli mogłabym w czymś pomóc, proszę się nie krępować.

– W takim razie od razu będę miał prośbę.

– Słucham?

– Czy mógłbym prosić o spis literatury na te dwa tematy?

Podał jej kartkę, a Trude zerknęła ciekawie.

– Johann Scolnus, Scolvus... I wyprawa Pininga i Pothorsta około 1475 roku. Dobrze, poszperam w naszych zasobach. Zobaczymy, co się uda znaleźć... Ale to może zająć trochę czasu, więc najszybciej na jutro.

– Na jutro? To cudownie, jest pani nieoceniona, pani Morensen.

– Panno – sprostowała. – Poza tym proszę mi mówić Trude...

– A do mnie po prostu Robert.

Obdarzyła go obiecującym uśmiechem i przymknęła oczy. Pomyślał, że potrafi być urocza.

– A zatem do jutra, Trude...

– Do jutra, Robercie.

Dotknął jej ręki na pożegnanie. Była miękka i ciepła.

Niedaleko biblioteki wstąpił do niewielkiego sklepu spożywczego, by kupić wodę mineralną. Między półkami mignęły mu zmierzwiowane rude włosy. To była ona! Zatrzymała się przy herbatach. Miała na sobie jasnoniebieską koszulkę i obcisłe dżinsy, które podkreślały jej zgrabną sylwetkę. Na ramiona narzuciła sweter. Zbliżał się wieczór i za chwilę mogło być już chłodno. Właśnie przebierała w zielonych herbatach, gdy podszedł do niej jakiś turysta. Był w jej wieku lub młodszy. Sądząc po urodzie, pochodził ze Skandynawii. Zazartował, chcąc nawiązać rozmowę. Dziewczyna wzdrygnęła się, jakby przestraszona.

Spojrzała na niego zatrwożonym wzrokiem, odłożyła paczkę herbaty na półkę i szybkim krokiem wyszła ze sklepu. Robert płacił akurat za wodę przy kasie i gdy wybiegł na ulicę, już jej nie było.

A więc znów pojawiła się tylko na chwilę i znów jej zachowanie było intrygujące. Kim była?

Dlaczego w taki sposób reagowała na widok ludzi? Przecież musiała gdzieś mieszkać, z czegoś żyć...

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że gdyby nie jej uroda, pewnie nawet nie zwróciłby na nią uwagi.

Mijałby ją anonimowo na ulicy i nie zadawał sobie takich pytań.



Nazajutrz w bibliotece nie było Trude Morensen, ale wywiązała się ze swojej obietnicy wzorowo.

W recepcji czekała na niego koperta, a w niej spis lektur i sygnatury pozycji. Niestety, wszystkie do wglądu tylko na miejscu, w czytelni. Łudził się, że będzie mógł wypożyczyć część książek i przestudiować je w zacisznych kawiarenkach lub nawet u siebie w pokoju. Przez lata przyzwyczał się do pracy w czytelniach i nie było to dla niego zbyt wielkie wyrzeczenie. Tyle tylko, że oddając się lekturze, nie mógł raczyć się ulubioną gorącą herbatą.

Usiadł przy wielkim oknie, przez które wpadało słońce, nie szczędząc dziś, podobnie jak poprzedniego dnia, swych promieni Farerczykom. Po chwili przy jego stole pojawiła się pracownica biblioteki i położyła przed nim stosik książek. Obejrzał je ciekawie. Skopiowano je skrupulatnie i oprawiono w introligatorni. Przerzucił kilka stron, nie obawiając się, że stary papier, nadwątlony działaniem czasu, kurzu i warunków

atmosferycznych, zostanie uszkodzony. Stare księgi wymagały specjalnego postępowania i zawsze traktował je z należytą pieczołowitością.

To, co nauka do tej pory ustaliła o Janie z Kolna, było właściwie tylko poszlakami. Urodził się około 1435 roku, był żeglarzem, pływającym pod jedną z bander skandynawskich – nie wiadomo jednak, czy duńską czy norweską. Podobno w 1476 roku dopłynął do brzegów Labradoru, a zatem jako pierwszy Europejczyk od czasów wikingów miał postawić stopę na stałym lądzie nazwanym później Ameryką.

Miało to być szesnaście lat przed wyprawą Krzysztofa Kolumba, ale nauka do dziś tego nie uznała, ponieważ nie było ani jednego dowodu, że jego wyczyn istotnie miał miejsce.

Nowicki ponownie rzucił okiem na tytuły leżących przed nim książek i wybrał „Historia de las Indias (1553) o la Tierra de [Labrador](#)” hiszpańskiego autora [Francisco López de Gómary](#). W swoim dziele przytoczył on kilka cytatów dotyczących Jana z Kolna. Robert sięgnął po notatnik, by dokładnie je przepisać.

*Przybyli tam także ludzie z Norwegii z nawigatorem Joanem Scoluo i Anglicy z Sebastianem [Gaboto](#).*

Powinno być Johnem... Cabotem, zresztą – pomyślał Nowicki. – Pochodził z Genui, podobnie jak Kolumb, i pierwotnie zwał się Giovanni Gaboto, ale pływał pod banderą brytyjską, z czasem stał się poddanym korony angielskiej i zmienił nazwisko.

Teraz po prawie pięciuset latach łatwo się mądrzyć. A Gómara i tak odwalił kupę dobrej roboty. Jego zapiski przydały się niejednemu badaczowi zawilości historii.

Gómara w roku 1548 spotkał w [Bolonii](#) lub [Wenecji](#) [Olafa Magnusa](#), biskupa i kartografa zajmującego się spisywaniem informacji o nowych odkryciach geograficznych. Purpurat czynił to prawdopodobnie z woli swojego przełożonego w Watykanie. Wątpliwe, by działał na własną rękę, bo były to czasy Świętej Inkwizycji i samowolę, szczególnie w tak śliskim temacie, mógłby przypłacić głową...

Oznaczałoby to, że Watykan, uznawszy, iż Ziemia jednak jest okrągła, pogodził się z faktem, że na zachodzie odkryto nowe lądy, i postanowił zebrać o nich informacje. Jeśli Gómara miał tę wiedzę od Magnusa, to znaczy, że biskup pierwszy dowiedział się o Joanie Scoluo. Od kogo? Jak?

Nowicki sięgnął po „Encyclopedia of Newfoundland and Labrador”. W tomie piątym odnalazł kolejny zapis mogący wskazywać, że John Scolvus

odwiedził Labrador. Był to zacytowany dokument sporządzony około roku 1575, a opisujący pierwszą podróż [Martina Frobishera](#), godnego kontynuatora dzieła Johna Cabota. Po stwierdzeniu, że John Cabot został wysłany przez króla [Henryka VII](#) w roku 1497 celem odkrycia przejścia północnego z Atlantyku na [Pacyfik](#), dokument podaje, co następuje:

*Ale by znaleźć to przejście z Morza Północnego na Południowe, musimy żeglować poza 60 stopień, to jest pomiędzy 66 a 68. To przejście nosi nazwę Wąskiego Morza albo też Cieśniny Trzech Braci – północny odcinek tego przejścia John Scolus, duński pilot, widział w roku 1476.*

Na angielskiej mapie [Michaela Loka](#) z roku 1582 znajduje się kraina leżąca na północny zachód od Grenlandii, opisana jako: „Jac. Scolvus Croetland”.

Kolejną księgą, do której sięgnął profesor, była wydana w roku 1597 „Continens India” pióra [Holendra Corneliusa Wytflieta](#). I z tego dzieła rzetelnie wynotował wszelkie fragmenty dotyczące Jana z Kolna.

*Najbardziej odległa część kontynentu Indii została odkryta jako pierwsza, kiedy to na prawie wiek przed wyprawami Portugalczyków i Hiszpanów odkryli po raz pierwszy tę część Ziemi rybacy fryzlandcy, wyrzuceni tam przez burzę morską, a wkrótce potem około 1390 roku z rozkazu króla Fryzlandii Zichini zbadali ją bracia Mikołaj i Antonio Zenio (Zeno), patrycjusze weneccy. Zaszczyt ponownego odkrycia tej ziemi przypadł Janowi Scolnusowi, Polakowi, który żeglując w roku 1476, 86 lat po jej pierwszym zbadaniu wypłynął poza Fryzlandię, Norwegię, Grenlandię, wpłynął na owo Morze Północne i dopłynął pod samym kręgiem polarnym do owych ziem Labradoru i Estotilandii.*

Ten sam autor kilka lat później ponownie nazwał Jana Polakiem:

*Ziemia Uprawy i Estotilandia. Ta ostatnia część ziemi indyjskiej była najpierw odkryta w 1390 r., a następnie przez Jana Scolne, Polaka, który wypłynąwszy poza Norwegię, Grenlandię i Islandię w 1477 r., w 86 lat po pierwszej nawigacji dotarł do Morza Septentrionalnego, które leży wprost pod kołem arktycznym, i wylądował na ziemiach Estotilandii.*

W innej, współcześnie wydanej książce, która cytowała Wytflieta, Nowicki znalazł sugestię, że „Polonus” to źle odczytane słowo „piloto” lub „pilotuj” z wcześniejszych zapisków Hiszpana Gómary, na których swoje przypuszczenia opierał zapewne Wytfliet.

Mogło być i tak. Wytfliet podobno nie cieszył się opinią zbyt rzetelnego badacza, a niejedno mogło mu się wymknąć spod pióra na skutek

pośpiechu, nieuwagi lub własnej fantazji.

Pierwszym autorem, który określił polskie pochodzenie żeglarza Jana, był w 1570 roku Francuz François de Belleforest:

*Aby się nie zdawało, że zbyt pochlebiam swoim i daję szcztka w nos historii, która domaga się traktowania zgodnego z prawdą, należy pokrótce ukazać, komu należy się sława odkrycia tego kraju borealnego, Labradoru. Nie przysługuje ona Hiszpanowi, Portugalczykowi ani Francuzowi, gdyż Polak to, Jan Scolnus, dotarł tam już w Roku Pańskim 1476. O wiele wcześniej, nim królowie katoliccy wysłali Kolumba w podróż do obcych krain, ów polski pan, przepłynąwszy Morze Norweskie oraz Wyspy Grenlandzkie, Thule i inne nieznane, dotarł do cieśniny, która zwie się Arktyczną i leży dokładnie naprzeciw Cieśniny Magellana, w krajach astralnych.*

W następnej pozycji, w której Robert znalazł dokładne odwzorowanie globusa L'Ecuya z XVI wieku, zapisano po łacinie, że pomiędzy 70 i 80 stopniem szerokości geograficznej północnej zamieszkują „ludy, do których w roku 1476 dotarł Duńczyk Johannes Scowus”.

Wniosek nasunął się sam: im późniejsze były noty na temat Scolvusa, tym wydawały się mniej wiarygodne, jako że autorzy najprawdopodobniej nie próbowali analizować wcześniejszych zapisków, lecz bezkrytycznie je kopiowali. Mimo to Nowicki postanowił szukać kolejnych tropów.

Lelewel powoływał się także na Jerzego Horna. Robert sięgnął więc po kopię jego dzieła „Ulysses, Ludg. Batav.” z 1671 roku. Nie musiał długo szukać, by odnaleźć interesujący go fragment.

*Jan Scolnus, zwany także Szkolnym, Polak, pod Krystianem królem duńskim, roku 1476 odkrył cieśninę Anian i ziemię Laboratoris. A zatem, ten Jan Scolnus byłby trzecim z Europejów, co Amerykę odkryli przed Kolumbem. W sto lat blisko po braciach Zeno, na szesnaście jeszcze przed Kolumbem.*

Uczeni wielu krajów żeglarzowi Janowi przypisywali różne pochodzenie. Norwescy historycy odkryć geograficznych uważali Jana Scolva za pilota norweskiego, a Scolv za stare nazwisko rodowe. Istnieją nawet legendy w Danii i Norwegii o pilocie Janie Scolp lub Scolv. Przyznają się do niego również Portugalczycy. Na przełomie XIX i XX wieku ukazały się rozprawy naukowe także w krajach skandynawskich dotyczące postaci żeglarza Jana. Nazwisko jego w tych rozprawach było różnie podawane: Scolp, Scolvus, Scolus, Scolnus.

Bolesław Olszewicz, ceniony polski geograf, w jednej ze swoich rozpraw twierdził, że Polak prowadzący cudzoziemski okręt w drugiej połowie XV w., w czasie rozkwitu humanizmu, nazywałby się niewątpliwie po łacinie „de Colno” lub „Kolno”, „Joannes Colnensis”, a może nawet „Joannes Polonus”.

Za tym autorem wielu późniejszych historyków odkryć geograficznych wykluczyło polskie pochodzenie Jana z Kolna. Nasuwa się jednak myśl – być może trudna do przyjęcia – co do genezy zapisu „Scolnus”.

Bo jeżeli przyjmiemy, za autorami przypisującymi Janowi polskie pochodzenie, że był Polakiem, to czyż ów Jan, zaciągnąwszy się do służby na statku króla Danii Chrystiana I, wśród marynarzy przedstawiający się jako Jan z Kolna, nie mógłby właśnie w ten sposób zostać zanotowany dla potomnych?



Wieczór profesor znów spędził nad manuskrytem. Pieczołowicie przeglądał każdą ze stron. Teraz już wiedział, czego szukał. Cyfr! To mogły być pozycje okrętu, określone za pomocą długości i szerokości geograficznej...

Poszukiwania przerwało wejście ojca Roscoe.

– Przepraszam, że nie mam dla pana ostatnio zbyt wiele czasu, ale bieżące zajęcia nie dają wytchnienia od rana do wieczora.

Zerknął na leżącą przed profesorem księgę.

– Widzę, że nie daje pan za wygraną.

– I już teraz nie dam.

– Czyżby księga uchyliła przed panem rąbka tajemnicy?

Nowicki pokiwał głową z uśmiechem i opowiedział przeorowi wszystko, co do tej pory udało mu się ustalić. Ojczulek, znany z chłodnego i rzeczowego podejścia w sprawach zakonnych, tym razem popuścił cugli emocjom i do późnej nocy toczyli interesującą dysputę. Na stole pojawiła się nie tylko gorąca herbata, ale też i benedyktyńska nalewka, którą przeor trzymał na specjalne okazje. Jeden z mnichów rozpałił w piecu, bo wieczory bywały tu chłodne.

– I co dalej? – zagadnął ojciec Gilbert, gdy Robert podzielił się z nim zdobytymi informacjami.

– Czekam na kolejne fragmenty tłumaczeń.



– Myśli pan, że treść manuskryptu ostatecznie wyjaśni jego zagadkę?  
– Trudno powiedzieć. Jako historyk wiem, że każda uzyskana informacja powinna być weryfikowana przez inne źródła, ale w tym wypadku jesteśmy w wyjątkowej sytuacji. Choćby poprzez postać samego Jana z Kolna, o którym nie wiadomo nic pewnego.

Zakonnik zadumał się.

– Przychodzi mi do głowy pewna myśl, ale... – zawiesił głos.  
– Proszę powiedzieć.  
– Gdyby poszperał pan w kronikach klasztornych, być może udałoby się wyjaśnić, w jaki sposób manuskrypt trafił do naszego klasztoru.

Na twarzy Nowickiego pojawił się uśmiech.

– Myślałem już o tym i chciałem prosić ojca o dostęp do kronik.  
– Tylko że ich zbiór jest niepełny i... jakby to powiedzieć, nie do końca uporządkowany. Praca nad nimi pochłonełaby z pewnością wiele czasu.

Robertowi zabłyśły oczy.

– Jeśli tylko ojciec przeor wyrazi zgodę...  
– Oczywiście. Będę musiał o tym donieść moim zwierzchnikom, prowincjałowi i generałowi, ale nie sądzę, aby mieli coś przeciwko temu.  
– Miejmy nadzieję...  
– Jutro po śniadaniu może pan zaczynać. W bibliotece będzie brat asystent bibliotekarza. Jest najlepiej z nas zorientowany, gdzie należy szukać odpowiednich roczników. On panu pomoże odnaleźć to, co konieczne.



Brat Grden czekał na Roberta z niecierpliwością, uśmiechnięty i skory do pomocy. Profesor wyliczył, że to, czego szuka, powinno znajdować się w tomach kronik z lat od 1475 do 1480. Brat Grden postawił na jego stole dwa spore stosy oprawionych na dawną modłę ksiąg.

– Aż tyle?  
– Tak wynika ze spisu bibliotecznego.  
– No to czeka mnie tu chyba kilka tygodni...  
Grden uśmiechnął się życzliwie.  
– Mogę panu pożyczyć moje mp3, dobra rytmiczna muzyka sprzyja koncentracji.  
– Rytmiczna, powiada brat...

– Konkretnie transowa... Mnie w każdym razie pomaga, i to nawet bardzo, szczególnie przy brewiarzu...

Robert popatrzył na niego podejrzliwie, bo myślał, że chłopak kpi, ale po wyrazie oczu stwierdził, że mówi całkiem poważnie.

Nie czekając, aż Grden opuści bibliotekę, zabrał się do pracy. Kroniki z tamtych lat były pisane prostą łaciną, widać, że mnich, który prowadził zapiski, nie brylował w mowie Cycerona. Robert nie miał problemów, aby odczytać większość tekstów.

Niekiedy zapiski były dokonywane codziennie, potem przerywano je na kilka dni, a nawet tygodni.

Wznawiane po czasie zawierały tylko opis jakiegoś jednego najważniejszego wydarzenia, które miało miejsce w tym okresie.

I znów zmiana charakteru pisma, i szczegółowe codzienne opisy, wraz z odpisami treści listów do opactwa i do biskupa. A po nich informacje o sprzedaży owiec, uprawie grządek w ogrodzie, budowie i remontach zabudowań, przybyciu mnichów do konwentu i ich odejściu.

Potem przerwa i opis sporu z miejscowym gubernatorem krwiopijcą, który ścigał dla króla podatki i daniny. Pobierał od miejscowej ludności więcej niż należało, bo przy okazji chciał wzbogacić siebie i swoją rodzinę. I znów – finanse, wydatki i przychody...

Robert miał szczęście, bo jeszcze tego samego dnia udało mu się natrafić na opis wydarzenia, które mogło być związane z manuskryptem.

Pewnego zimowego ranka, w grudniu 1477 roku, do półwyspu Kirkjubøur, gdzie wówczas stał budynek klasztorny, dobił statek widmo z chorym kapitanem i czterema rozbitkami w stanie krańcowego wyczerpania. Dowódca był umierający. Przedstawił się jako obywatel Gdańska o imieniu Jan, w służbie króla Danii Christiana I.

W zapiskach profesor znalazł też uwagę, że siostry zakonne Enkrata i Gwalberta pochodzące z ziem poddanych królowi polskiemu ucieszyły się z przybycia Jana, „bowiem był on ich pobratymcem. Mówili tym samym językiem”. Jedna z sióstr szczególnie opiekowała się chorym kapitanem. Zapewne musiała wiedzieć o nim i jego wyprawie dużo więcej, niż znalazło się w zapiskach.

Przerzucił kilka stron, by odnaleźć wiadomości o pogrzebie. Nie były zbyt wyczerpujące, ale przy okazji trafił na kilka innych interesujących szczegółów. Otworzył notes i zapisał najważniejsze fakty.

Załogę okrętu stanowiło pierwotnie 45 żeglarzy i kapitan. Gdy wracali z „nieznanego łądu”, na którym spędzili poprzednią zimę, napotkali huragan, który zniszczył okręt. Stracili dwa maszty i ożaglowanie, a także większość załogi. Potem przyszedł atak mrozów, reszta się pochorowała. Kolejnych wygubiła czerwona dyzenteria... W końcu dryfowali po morzu, czekając na śmierć. Gdy z dala zobaczyli chmury, używając jednego wystrzępionego żagla, skierowali się w ich stronę. Do archipelagu dostali się od południowego wschodu. Do Kirkjubøur dotarło tylko pięciu żeglarzy.

Kapitan zmarł po dziewięciu dniach. Pochowano go wraz z insygniami kapitańskimi na klasztornym cmentarzu. Pozostał po nim jedynie manuskrypt. Dwóch innych zmarło jeszcze przed nim, a dwóch wydobrzało. Jeden został w klasztorze i przyjął śluby zakonne, chcąc w ten sposób podziękować za cudowne ocalenie. Drugi zaś wybierał się do Kopenhagi, ale nie dotarł, bo spadł z klifu, na który wybrał się po jaja maskonurów z miejscowym rybakiem. Tym sposobem dziennik „Mariny” pozostał u franciszkanów. Napisano dokładnie... „Mariny”. A więc jednak!

Robert zapytał Grdena, gdzie mieścił się ówczesny cmentarz klasztorny, ale młody mnich nie był w stanie udzielić mu wyjaśnień.

– Od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku chowamy naszych braci na cmentarzu miejskim, wraz z innymi Farerczykami, a gdzie był stary cmentarz, nie mam pojęcia. Może ojciec przeor będzie wiedział?

Robert musiał czekać aż do komplety, by ojciec Gilbert mógł poświęcić mu kilka minut na rozmowę.

– Stary cmentarz klasztorny był na skarpie Vestmannabjörgini – obwieścił.

Przeor podszedł do mapy Wysp Owczych wiszącej na ścianie i wskazał profesorowi miejsce na północy wyspy Streymoy, na której znajdowało się Tórshavn.

– Jak tam dojechać?

– Najprościej autobusem.



Autobus linii 480 SSL Strandfaraskip Landsins, jedynej zresztą na Wyspach, odchodził z przystanku w pobliżu terminalu promowego o siódmej rano. Robert zapłacił 20 koron za bilet i usiadł wygodnie przy oknie. Autobus wolno toczył się po wąskich uliczkach stolicy, dopiero gdy

wydostał się na szosę numer 10, kierowca przyspieszył. Na kolejnych przystankach zbierali coraz więcej pasażerów.

Za oknami rozciągał się malowniczy krajobraz. Z drogi świetnie było widać ocean. Na horyzoncie widniało kilka punkcików...

– Widzisz? – zagadnęła go zażywna kobieta, która usadowiła się obok.  
– To statki. A tam... – odwróciła się i pokazała w drugą stronę na łagodnie pnący się zielony dywan traw i białe ruchome plamki – to owce.

Kiwnął głową. Kobieta mówiła twardym angielskim, widać rozpoznała w nim turystę.

– A wiesz, ile owiec mieszka na Wyspach Owczych?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

– Prawie 80 tysięcy. Niemal dwa razy tyle co ludzi – zaśmiała się. – I choć moglibyśmy mieć ich dwa razy więcej, a nawet i trzy, liczbę pogłowia reguluje specjalna ustawa. Baranów jest tyle, ile może wyżywić ta ziemia. Gdyby było ich więcej, zostałaby naruszona równowaga biologiczna. Brakowałyby paszy dla reszty i populacja by wyginęła. U nas nie ma zmiłuj się, reguły są twarde. Ja sama hoduję owce. Już czternaste pokolenie. Wysłałam za mąż za mężczyznę, którego rodzina także od kilku wieków hoduje owce. I nasze dzieci też będą to robić...

– Dużo ich macie?

Kobieta popatrzyła na niego uważnie, a potem nieoczekiwanie roześmiała się na głos.

– Od razu widać, że nie jesteś stąd. Gdybyś był nasz, wiedziałbyś, że to niestosowne pytanie. To tak, jakbym cię zapytała, ile kasy masz w banku.

– W którym? – zażartował Robert z poważną miną, a ona podchwyciła dowcip i roześmiała się jeszcze głośniej.

– Tak samo, jak się nie pyta, ile masz ziemi, bo wtedy można sobie dokładnie przeliczyć, ile owiec może się na niej paść.

– Jakim sposobem?

– U nas ziemia nie liczy się w hektarach ani akrach, tylko w mørkach?

– A ile to taki jeden wasz mørk?

– To zależy... – zrobiła zagadkową minę. – Inaczej się liczy na pastwiskach, a inaczej na skalnym podłożu. Jeden mørk to 16 gyllin, a to z kolei 320 skinn...

– Same zagadki... Jak to liczyć, aby sobie wyobrazić wielkość?

– Najprościej na świecie. Na jednej gyllin muszą wyżywić się dwie owce matki z potomstwem.

– To znaczy?

– Inaczej się liczy na trawiastych zboczach, a inaczej tam, gdzie trawa rośnie między skałami.

Pojmujesz?

Skinął głową. Przejeżdżali właśnie obok pasącego się samotnie stada owiec. Kilka z nich weszło na szosę i kierowca musiał przyhamować. Wreszcie stanął i zaczął trąbić, licząc na to, że owce się rozstąpią, robiąc mu wolny przejazd. Dopiero po kilku minutach mógł ruszyć dalej.

– Nikt ich nie pilnuje?

– A po co? Każdy i tak wie, która owca do niego należy, więc się nie pogubią.

– A gdyby ktoś chciał ukraść kilka sztuk?

Kobieta zrobiła poważną minę.

– Coś takiego nie może się wydarzyć. U nas się nie kradnie. Policja jest wyłącznie od tego, by rozdzielać bijących się w tawernach marynarzy, i to tylko spod obcych bander, bo nasi się nie biją... Ze sobą... No i aby walić mandaty piratom drogowym... z obcymi rejestracjami, bo nasi nie łamią przepisów.

Tym razem roześmiał się Robert.

– Czy mam rozumieć, że gdyby nie było zagranicznych turystów, to policja nie byłaby u was potrzebna?

– Dokładnie tak! Nasz areszt stoi pusty, no, chyba że od czasu do czasu pragnie w nim zanocować jakiś... przybysz. Nie wierzysz, to idź na posterunek i zapytaj.

– Nie muszę, wierzę pani na słowo...

Wjechali w tunel, który mierzył kilkaset metrów, a gdy znów wyjechali na wolną przestrzeń, krajobraz się zmienił. Było tu mniej traw i więcej skał. Jechali skrajem fiordu. Z okien autobusu roztaczał się przepiękny widok na ocean. Droga gwałtownie zaczęła opadać ku wodzie, wijąc się ciasnymi serpentynami między skałami.

Kobieta rozgadała się na temat budowy dróg i tuneli, które, zdaje się, były powodem do dumy dla Farerczyków.

– Najdłuższy ma prawie 5 kilometrów i biegnie pod dnem oceanu do wyspy Vagar, na której znajduje się lotnisko. Sztorm już nie przeszkodzi, by zdążyć na samolot.

– Wie pani, gdzie jest stary cmentarz nad Vestmannabjörgini? – zapytał.

– Wiedzieć, to wiem, ale trudno nazwać to cmentarzem, bo niewiele po nim zostało. Ledwie kilka nagrobków...

– A jak tam dojść?

– Wsiądzie pan w Vestmanna i pójdzie na północ ze dwa kilometry. Zobaczy pan kamienne nagrobki na skraju fiordu. Tylko niech pan uważa, bo tam ślisko, a w dół do wody będzie pewnie ze sto metrów albo i więcej... Ale szkoda, że nie jedzie pan gdzieś na Eysturoy – wymieniła nazwę sąsiedniej wyspy. – Miałby pan okazję przejechać się po jedynym moście na Atlantyku.

– Jedyne most na Atlantyku, dobrze słyszę?

– Pewnie, że dobrze... Słyszał pan o jakimś innym moście na oceanie, którymkolwiek?

Musiał przyznać, że nie.

– Ano właśnie – powiedziała z widoczną satysfakcją. – Ale zaraz dojedziemy do Vestmanna.

Na skraju drogi, po lewej stronie, ujrzeli głęboką rozpadlinę, jedną z typowych w okolicy szczelin gjógv, powstających w wyniku niszczenia przez procesy erozyjne najsłabszych warstw skalnych.

– Niech pan uważa w Vestmanna, tam skały są kruche, proszę im zbytnio nie ufać. I wrócić przed zmrokiem...

– Dlaczego?

– Jak pan tam dojdzie, sam pan zobaczy – uśmiechnęła się zagadkowo.

– Straszy?

– Gorzej...

Przystanek był wciśnięty między kilka niewielkich domów, ale dalej rozciągało się spore miasteczko, liczące ponad tysiąc mieszkańców. Robert zauważył mały sklepik. Zapytał kierowcy, kiedy będzie następny autobus do Tórshavn.

– Chodzą co godzinę...

Mógł więc nie martwić się o powrót. Nie musiał się spieszyć, by spenetrować stare cmentarzysko.

Gdy autobus odjeżdżał, pomachał swojej wesołej sąsiadce, która przysunęła się bliżej okna.

W odpowiedzi zobaczył jej uśmiech.

Szedł szybkim krokiem, póki pozwalała na to wygodna droga. Potem zmieniła się w ścieżkę, w której napotkał sporo dziur. Miejskami prowadziła blisko urwiska, najwyżej metr lub półtora od krawędzi klifu.

W końcu doszedł do miejsca, w którym szlak urywał się, a następny krok groził osunięciem się w przepaść. Musiał obejść dwa takie miejsca po wilgotnej śliskiej trawie, by kilkadziesiąt metrów dalej wrócić na ścieżkę. Najwyraźniej ocean nie oszczędzał skał, które będąc z natury rzeczy słabsze, ulegały mu, oddając wodzie kolejne centymetry.

Nagrobki zobaczył z daleka. Rzeczywiście, zostało ich niewiele, naliczył niespełna dwadzieścia.

Kamienne płyty były porośnięte mchami i z niektórych właściwie nic nie mógł odczytać. Próbował czyścić kamienie, ale nie na wiele się to zdało. To, co odczytał, sfotografował. Pozostałe tablice obejrzał bardzo dokładnie ze wszystkich stron. Nic ciekawego nie znalazł. Większość mogił pochodziła z lat 1621–1630, ale najstarszy napis, jaki udało mu się rozszyfrować na jednej z tablic, pochodził z 1422 roku.

– Ciekawe, jeśli tak, to powinien tu być także grób z 1477 roku.

Jeszcze raz szczegółowo przeszukał okolicę, nic jednak nie znalazł.

– Weihe Petur – zapisał nazwisko zmarłej.

Jeszcze tego samego wieczoru odnalazł je w kronikach klasztornych. Poświęcił sporo czasu, by ustalić, że szesnastoletnia dziewczyna popełniła samobójstwo z miłości. Została pochowana z dala od reszty, poza obszarem cmentarnym, dlatego jej grób przetrwał. Robert zadumał się. Czyżby właśnie miłość, jej potęga okazała się jedyną siłą, która zdołała oprzeć się czasowi?

– Co stało się z wcześniejszymi grobami? – zapytał przeora.

– Starą część cmentarza pochłoniął ocean, fale podmywały skarpe, wreszcie ziemia osunęła się do wody. Co roku zabiera pół metra albo i więcej...

Robert pokiwał głową. W ten sposób grób Jana Żeglarza zniknął. A wraz z nim kolejny dowód zagadki, którą profesor próbował rozwikłać.



## Kobiety

Wszedł do baru hotelu „Hafnia”. Zobaczył ją od razu. Siedziała w kącie, piła kawę z niewielkiej filiżanki i czytała coś na ekranie komputera. Podeszedł powoli do baru i zamówił piwo z czarną owcą na etykiecie. Próbował je już wcześniej razem z Ryszardem i przypadło mu do gustu. Usiadł dwa stoliki dalej w taki sposób, by móc swobodnie się jej przypatrzeć. W jej rysach było coś spokojnego.

I subtelnego zarazem. Ani śladu makijażu, nawet regulacji brwi. Czysta natura, idealny owal twarzy, pełne usta, prosty zgrabny nosek. Ładną, delikatną dłonią przesunęła po krawędzi stolika. Zauważył, że nie nosi obrączki, chociaż nie powinno mieć to dla niego znaczenia.

Wyglądało na to, że była w dobrym humorze, bo od czasu do czasu na jej twarzy pojawiał się nikły uśmiech. Nie mógł spuścić oczu z jej warg odsłaniających równe zęby. Uśmiech był jej ozdobą, a oczy nabierały wówczas szczególnego blasku. Robert rozłożył swój komputer i nalał piwa do szklanki.

Obserwował nieznajomą znad krawędzi laptopa. Uwagę przyciągały ciemne oczy. Podobał mu się ich wyraz, spokojny, delikatny, ale i zdecydowany zarazem. Tak wyglądała, gdy była zajęta swoimi myślami, nie czując natrętnych spojrzeń.

Sprawdziła przychodzącą pocztę, co oznajmił głośniczek jej laptopa. Nagle łagodny owal jej twarzy wyostrzył się, zagryzła wargę i wydawało mu się, że za chwilę się rozplacze. Filiżanka, którą trzymała, wypadła jej z ręki. Kawa rozlała się na ciemnym dywanie. Robert zerwał się ze swojego miejsca, by jej pomóc.

Obrzuciła go spłoszonym wzrokiem, bez słowa spakowała komputer i wyszła pośpiesznie, nie oglądając się za siebie. Widział ją jeszcze, jak szła w głąb ulicy, po czym skręciła między budynki...



Co ją tak wytrąciło z równowagi? – pomyślał. – Jakaś wiadomość?

Dopił piwo, spoglądając na ekran zawieszzonego pod sufitem ekranu, na którym miejscowa stacja telewizyjna retransmitowała wczorajszy mecz miejscowej ligi futbolowej, i rozmyślał o tajemniczej dziewczynie.

Podobała mu się. I miała jakąś tajemnicę... Być może potrzebowała pomocy... Nie chciała z nim jednak rozmawiać, nie dała mu nawet szansy, by mógł jej zaoferować wsparcie. Więc albo liczy na siebie, albo na kogoś innego... A może przestała już liczyć na cokolwiek?

Postanowił wysłać wiadomość do profesora Svensona o swoim odkryciu. Sprawa manuskryptu była zagadkowa, a to, co w sobie skrywał, ekscytowało go. Chciałby dać się ponieść tajemnicy, jak wtedy, gdy wertując stare księgi w bibliotece University of Illinois, odkrył w sobie pasję badacza. Teraz te emocje pojawiły się znowu, ale tym razem miał temat, któremu mógłby poświęcić całą swoją energię i czas. Ta praca mogłaby wypełnić resztę jego życia. Na więcej – czuł – nie mógł już chyba liczyć.

Po pierwsze, trzeba zacząć od dokładnego tłumaczenia manuskryptu. Po drugie, warto by się pokusić o przeszukanie dna oceanu pod skarpa dawnego cmentarza. Potrzebne by były podwodne badania archeologiczne. Według opisu pogrzebu oraz doznanych przez Jana kontuzji szczątki żeglarza, o ile udałoby się je odnaleźć, byłyby do rozpoznania. Zaczął pisać list do profesora Svensona, ale go nie skończył.

W nocy przyśniła mu się dziewczyna z baru. Nagle znalazł się na Długim Targu, usiadł na kamiennym przedprożu i zobaczył ją w jednym z okien na pierwszym piętrze przeciwległej kamienicy. A potem szła ze swoją służką w głąb ulicy Długiej. Służebna odwróciła się do Roberta i okazało się, że to Trude Morensen.

Nagle obie zaczęły uciekać, Robert gonił je, aż dobiegli do kamiennej plaży, skąd na horyzoncie dostrzegli wrak żaglowca. Obie kobiety odwróciły się w jego stronę i niespodziewanie rozpoznał w nich Małgosię i tę rudą dziewczynę z hotelu...



Otworzył oczy... Ta scena, która przed chwilą mu się przyśniła... Okręt na mieliźnie, połamane maszty, podarte płachty żagli, skaliste wzgórza w oddali, jak na obrazie, który widział na ścianie Biblioteki Narodowej. Aż

podniósł się na łóżku. No właśnie! Co się stało z okrętem, na którym do Kirkjubøur przybył Jan Żeglarz i jego czterech towarzyszy? Trzeźwo ocenił, że wczoraj umknął mu ten fakt i że powinien to natychmiast sprawdzić.

Spojrzał na zegarek. Było kilka minut po czwartej. Naciągnął dres, wypił kilka łyków wody mineralnej i najciszej jak potrafił zszedł do biblioteki. Na korytarzach panowała cisza, jedynie brat, który czuwał w kaplicy, na jego widok podniósł głowę i na sekundę przerwał modlitwę. Robert pokazał mu, że zmierza do biblioteki. Przed śniadaniem już wszystko wiedział o „Marinie”.

Okręt zacumował na cyplu Kirkjubøur i tam stał jeszcze przez długi czas po pogrzebie kapitana.

W kronikach klasztornych odnalazły się ponadto zapisy, że pewnej nocy, podczas sztormu zerwał się z cum i fale pognały go aż pod klif, nad którym było cmentarzysko. Jakby okręt zatęsknił za kapitanem.

Tam rozbił się o skały i jeszcze przez jakiś czas widywano w pobliżu dryfujące belki i deski, ale większość poszła na dno...

Po powrocie do swojego pokoju Robert zaczął pisać list do Svensona.

*Znalazłem zapiski kronikarza klasztornego, który donosi, że okręt „Marina” przybył do Kirkjubøur od południa. Zakonnik jasno stwierdza, że załoga wróciła z zimowiska na nieznanym lądzie. Mogły to być ziemie nowego kontynentu. Być może w ładowniach lub gdzieś na pokładzie zachowały się dowody, że byli w Ameryce? Badania mogłyby to potwierdzić lub wykluczyć.*

Prezes Fundacji Nansena odmówił. W odpowiedzi stwierdził, że badania dna morskiego pochłonęłyby miliony dolarów, a w tej chwili nie znał sponsora, który wyłożyłby na to pieniądze, tym bardziej że efekty tych prac byłyby trudne do przewidzenia.

Tego dnia profesor Svenson przysłał także drugi list, w którym obiecał, że pokryje koszty tłumaczenia manuskryptu ze środków Universitetet i Oslo. Prosił jedynie o kopię w języku norweskim. Obiecał też pomoc kierowanego przez siebie Instytutu Archeologii, Konserwacji i Nauk Historycznych. Przez lata prowadził dział konserwacji i zadbał wówczas, by instytut wzbogacił się w nowoczesne zaplecze.

„Możliwości, jakie mamy w naszych laboratoriach, są do pańskiej dyspozycji” – zaproponował Robertowi. Jednocześnie zasugerował mu poszukiwanie sponsorów.

To była przednia myśl!

Robert nie marnował czasu. Natychmiast napisał do Marcina Konkola, oferując za tłumaczenie manuskrytu proponowaną przez Svensona sumę. Ten przyjął propozycję.

*Wybacz, Robertcie – pisał następnego dnia – że nie zrobię tego niezwłocznie, ale mimo urlopu mam kilka wcześniej podjętych zobowiązań zawodowych. Możesz liczyć, że omówienia studentów trafią do*

*Ciebie natychmiast, jak tylko będą gotowe. Jednak na szczegółowe tłumaczenia będziesz musiał poczekać.*

Wiadomo, nic nie dzieje się od razu! Mimo że zżerała go ciekawość, musiał uzbroić się w cierpliwość. Sprawdził ponownie pocztę. Niestety, oprócz reklamy tanich usług bankowych nie było żadnego listu.



Idąc za myślą Svensona, Robert napisał artykuł o manuskrypcie Jana Żeglarsza i umieścił go na forum jednego z najpopularniejszych portali naukowych odwiedzanych przez historyków jego specjalności.

Portal był częścią serwera administrowanego przez serwis naukowy Yale University i miał swoją rangę wśród historyków na świecie. Nowicki opisał, co zdołał ustalić, i podał swoje hipotezy. W jednej z nich zaznaczył, że manuskrypt może być autografem mitycznego Johannesza Scolvusa, a to oznaczałoby, że pochodził z Polski.

Na koniec wpisał jeszcze prośbę o informacje na temat osób i instytucji zainteresowanych sponsorowaniem badań. Rozwahał też możliwość wystąpienia o grant do kilku instytucji w Polsce, w tym do Polskiej Akademii Nauk, do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a także do fundacji, którym zdarzało się angażować w podobne przedsięwzięcia. Zastanawiał się również, czy nie zachęcić do współpracy któregoś z tematycznych kanałów telewizyjnych. Pomyślał, że w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków mógłby zwrócić się do nich pisemnie z prośbą o rozważenie takiej, w końcu niecodziennej, propozycji.

Postanowił nie odkładać tego na później i resztę dnia spędził w barze hotelowym, racząc się kawą i pisząc listy.

Wieczorem w restauracji hotelowej przy dźwiękach muzyki rozpoczęto cykliczną imprezę dla turystów pt. „Wieczór kuchni farerskiej”, na której

można było skosztować miejscowych przysmaków. Wiedziony ciekawością znalazł się między suto zastawionymi stołami. Miła dziewczyna w tradycyjnym stroju ludowym skasowała od niego opłatę wejściową, wręczając w zamian kartę wstępu i dalej mógł już bez ograniczeń raczyć się delicjami z tego, co stanowiło istotę miejscowej kuchni od wieków – z ryb, baraniny, mięsa ptaków i wielorybów. I choć nie był sybarytą, cieszył się, że może skosztować czegoś bardziej urozmaiconego niż dania z kuchni klasztornej. Większość braci pochodziła z kontynentu i raczej hołdowano ich gustom, niewyszukanym zresztą, jak przystało na zakonników, serwując proste i nieskomplikowane potrawy. Wprawdzie często przyrządzano ryby, ale na sposób europejski. Brat pełniący funkcję kucharza pochodził z Niemiec i korzystał z wcześniejszych doświadczeń, nie wykazując zbyt wielkiej inspiracji do poszerzenia swoich umiejętności.

Robert spróbował dań z łupaczy, łososi, a także potrawę z języczków dorszowych. Potem skosztował suszonej baraniny krojonej w cieniutkie plastry, a następnie grindahvalura, czyli suszonego mięsa wieloryba. Spik, tłuszcz wielorybi, spożywał jak dawni wikingowie, odcinając go po kawałeczku nożem i pakując do ust palcami. Był przyprawiony ziołami i rzeczywiście mógł uchodzić za rarytas. Zioła neutralizowały posmak tranu. Spik zagryzał suszonym łososiem.

Był już całkiem syty, gdy odnalazł coś, co reklamowano jako farerską odmianę kaszanki, tyle że wśród składników była owcza krew, tłuszcz wielorybi, rodzynki, brązowy cukier, biała mąka i owsianka. Przed spożyciem lundii, nadziewanego maskonura, musiał sobie zrobić przerwę. Wypił piwo Gull z miejscowego browaru.

Wśród turystów, którzy stanowili większość uczestników wieczoru farerskiego, przeważali goście ze Skandynawii i Wielkiej Brytanii, było też kilku Kanadyjczyków, Niemców i para z Nowego Jorku.

Z niektórymi zamienił kilka uprzejmych zdań. W pewnej chwili pochwycił spojrzenie młodego mężczyzny. Stał z boku i pił piwo. Gdy zorientował się, że Robert zauważył jego wzrok, uśmiechnął się zdawkowo i sięgnął po jedną z potraw. Coś w tym człowieku zaniepokoiło profesora, ale nie mógł tego określić. Mężczyzna, elegancki i wysportowany, zdawałoby się przystojny i szarmancki, miał zimny, wyrachowany uśmiech. Robert przyglądał mu się spod półprzymkniętych powiek, ale ten zdawał się już nie zwracać na niego uwagi. Kilka minut później wyszedł z hotelu.



Siedział właśnie w kawiarni przy wodzie mineralnej, regenerując się po wczorajszych atrakcjach kulinarnych, gdy wśród przechodniów zobaczył Dalmora, objuczonego sprzętem rybackim. Ryszard przysiadł się do niego.

– Szykuję wyprawę po rybę. Chcesz się zabrać? – zapytał z uśmiechem.

– Kiedy?

– Jutro o piątej. Wstaniesz?

Kelnerka przyniosła mu piwo, od razu zapłacił.

– Wstałbym... – zawahał się. – Ale mam tu trochę spraw.

– Myślałem, że jesteś na urlopie?

– Właściwie można to tak określić, ale wpadłem na ciekawą sprawę...

Ryszard popatrzył na niego znad szklanki i nie doczekawszy się wyjaśnień, pociągnął tęgi łyk złocistego napoju. Robert opowiedział o manuskrypcie i o tym, jak bardzo wciągnęły go badania. Opisał też poszukiwania w Vestmanna grobu żeglarza i przedstawił hipotezy dotyczące odnalezienia szczątków Jana z Kolna.

– Właściwie to chciałbym prosić cię o pomoc – zakończył.

Dalmor nadstawił uszu.

– Może znalazłbyś czas, aby tam ze mną popłynąć? Moglibyśmy się trochę rozejrzeć.

– Pod urwiskami w Vestmannabjörgini?

Robert nie odpowiedział. Dalmor podążył za jego wzrokiem i zobaczył rudowłosą dziewczyną z plecakiem, która szła pośpiesznie poboczem ulicy, patrząc pod nogi. Niosła siatkę z zakupami.

Uśmiechnął się znacząco.

– A więc to tak?...

Nowicki odezwał się dopiero, gdy zniknęła za rogiem.

– Znasz ją?

– W tym mieście nie trzeba kogoś znać, aby coś o nim wiedzieć.

– A co o niej wiesz?

– A co z tego będę miał? – zapytał przekornie.

– Dozgonną przyjaźń.

– To się da jakoś wyliczyć?

Robert spojrzał na Dalmora, by przekonać się, czy mówi poważnie. Mężczyzna śmiał się serdecznie.

Miał z przyjaciela dobry ubaw.

– Przestań... Kto to?

– Turystka.

– Nie mieszka w hotelu.

– Jest tu od kilku tygodni. Kogo byłoby stać na hotel? Chyba tylko bogacza.

– To gdzie mieszka?

– Wynajęła pokój u ludzi. Znam ich. Kiedyś pływałem z ich synem. Potem kupił swój kuter, wyremontował, zebrał ludzi i pływa na własną rękę, jak ja. Jego siostra pracuje z Iną.

– Skąd ona jest?

– Podobno z Kopenhagi.

– Nie wygląda na Dunkę...

– Bo to chyba jakaś imigrantka.

– Jest w niej coś... intrygującego.

– Wiem... – Ryszard znów się roześmiał. – Widząc, jak się nią interesujesz, nietrudno odgadnąć.

– Rysiek! – powiedział ostrzegawczo Robert, ale po sekundzie też się uśmiechnął.

– Oni też tak mówią. Podobno siedzi całymi dniami sama w pokoju. Wychodzi raz na kilka dni, żeby zrobić zakupy, i tyle. Nie zwiedza, nie interesują jej żadne atrakcje.

– Eremitka?

– Eeee tam... Dziwna po prostu.

– Ładna...

– No właśnie. Mogłaby sobie kogoś znaleźć, wiesz, w Tórshavn nie brakuje fajnych facetów, przy których by się nie nudziła, ale ona woli się umartwiać.

– Skąd wiesz?

– Ina o niej trochę opowiadała. Jej koleżanka chciała ją kiedyś wyciągnąć na jakąś imprezkę, wiesz, klub, dyskoteka, tańce, ale nie chciała. Trochę pogadały. Mówiła, że podobno facet ją zostawił i przyjechała na koniec świata, aby o tym zapomnieć.

Robert zadumał się.

– Nie ona pierwsza, zdaje się, wybrała to miejsce.

Dalmor spowaźniał.

– Chcesz słuchać czy nie?

– Opowiadaj!

– To się mnie nie czepiaj!

– Przecież się nie czepiam. Mam tylko wątpliwości, czy to coś da. Z tego, co zdołałem zauważyć, nie wygląda na to, by jej się jakoś szczególnie układało...

– Martwisz się tym?

Robert uśmiechnął się.

– Tą dziewczyną? Chciałbym mieć taki kłopot...

– To czym się trapisz, profesor?

Nowicki wrócił do swojej opowieści o cmentarzu nad urwiskiem, który pewnej burzliwej nocy przed wiekami został pochłonięty przez ocean.

– Jakby pogrzebać w wodzie przy brzegu, może udałoby się coś znaleźć...

Dalmor pociągnął łyk piwa i tylko wzruszył ramionami.

– Po tylu latach?

– Dlaczego nie? Różnie bywa... Słuchaj, a może zabrałbyś mnie tam swoją łodzią?

– Chcesz nurkować?

– Kiedyś to robiłem, zwłaszcza gdy trzeba było naprawiać łódź na wodzie.

– Nasze wody nawet teraz, latem, mają nie więcej niż dziesięć, góra dwanaście stopni. Wyziębienie ciała następuje dość szybko. Zresztą...

– Powiedziałeś „nasze”?

Ryszard uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Naprawdę?

– Słyszałem na własne uszy.

– Widocznie, hm, coś w tym musi być...

Wymienili znaczące spojrzenia.

– Pojedziemy?

– Właściwie, dlaczego nie?

Dalmor pożegnał się, bo musiał poczynić przygotowania przed jutrzejszą wyprawą po rybę. Robert wszedł na stronę, gdzie umieścił artykuł o manuskrypcie Jana Żeglarza.

Na forum pod artykułem znalazł kilka wpisów. Autor pierwszego zarzucał mu pisanie nieprawdy, drugi posądził o nadmierną wyobraźnię i nazwał go sensatą, trzeci wątpił w istnienie rękopisu, w czwartym wpisie znalazł niesmaczny dowcip, w piątym poradę, by stuknął się w głowę i

zaprzeszał wypisywania bzdur, bo tym samym wystawia na jawny hazard swój autorytet naukowy, a autor szóstego zadał mu kilka fachowych pytań, na które jednak Robert nie chciał teraz odpowiadać. Siódmy napisał, że uwierzy, jak zobaczy... Co dziwniejsze, były to wpisy zalogowanych uczestników forum i dwóch nawet kojarzył z komentarzy do innych artykułów. Niedowiarek był ekscentrykiem z Nowego Jorku, który często nurkował, penetrując stare wraki w pobliżu brzegów Karoliny Południowej. Miał sporą wiedzę jak na amatora i nawet świat naukowy liczył się z jego opiniami. Autorem rzeczowego komentarza, który postawił szereg pytań, był Siemion Uljanow, z racji nazwiska zwany przez kolegów Leninem, emerytowany profesor historii z Moskwy. Po przejściu w stan spoczynku prowadził swój prywatny rejestr zagadek historycznych związanych z odkryciami geograficznymi, które do tej pory nie znalazły rozwiązania. Zgromadził nawet spore archiwum. Robert rozmawiał z nim kiedyś na kongresie w Sztokholmie. Starszy pan kipiał energią i, jak podkreślał, jego marzeniem było wyjaśnienie choćby jednej zagadki z obszernej listy. Uważał, że byłoby to ukoronowanie jego kariery naukowej.

Pozostałych dyskutantów Nowicki nie kojarzył. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Na forum właściwie każdy mógł się wypowiadać, ale strona miała swój prestiż, bo serwer mieścił się na Uniwersytecie Yale w New Haven w Connecticut i logowali się w nim najwybitniejsi znawcy przedmiotu z całego świata. Mnóstwo amatorów także, mimo iż trzeba było mieć dwóch rekomendujących...

Z zamyślenia wyrwał go sygnał dźwiękowy oznajmiający, że pod jego artykułem pojawił się nowy wpis. Spojrzał na nick. „Salamandra”, tym pseudonimem podpisywał się profesor z uniwersytetu w Lozannie.

*Wszystko fajnie brzmi, ale jak pan zweryfikuje, czy to, co napisano w manuskrypcie, to prawda czy tylko czyjeś wymysły? Pisać każdy może, jeden lepiej, drugi gorzej... :)) I niech pan tego nie bierze do siebie, Mr. Nowicki. Potrzebuje pan jednak niezbitego dowodu. Co może go stanowić? Nie znam sprawy na tyle, aby cokolwiek panu sugerować. Jeśli jednak zdoła pan udokumentować swoje założenia, to może być wielkie odkrycie. Potrzeba jednak klucza, według którego uda się panu potwierdzić prawdziwość manuskryptu. Od tego trzeba zacząć. Pozdrawiam i życzę powodzenia.*

Następne sygnały oznajmiły pojawienie się dwóch kolejnych wpisów. Pierwszy, anonimowy, zawierał drwiny i ironiczne komentarze. Jakby



komuś zależało, aby mu dopiec, a może nawet ośmieszyć na forum i zniechęcić do dalszych badań. Drugi niósł w sobie wyzwanie. Autor, którego nicku Robert nie kojarzył, sugerował zamieszczenie na forum kilka fotografii manuskryptu, by tym samym odciąć się od argumentów kpiarzy i rozpocząć poważną dyskusję. Albo zamknąć temat, jeśli okaże się, że Nowicki tych zdjęć nie posiada i ten cały artykuł to tylko wielka ściema faceta, który czuje się niespełniony po tym, jak nie udało mu się zdobyć grantu Fundacji Nansena.

Ta uwaga dotknęła Roberta. Jej autorem musiał być ktoś, kto świetnie orientował się w układach, jakie panowały w ich niewielkim środowisku. Nie zastanawiając się długo, zamieścił na forum kilka zdjęć manuskryptu.



Panował spokój, prawie bez podmuchu wiatru, woda była nieruchoma, niemal jak lustro. U góry, w zrębach skał kilkadziesiąt metrów nad ich głowami, maskonury podniosły ptasi rejwach. W niektórych miejscach widoczne były wąskie łachy piachu, których jednak nie można było nazwać plażami.

W większości pokrywały je glony i wodorosty, tworząc czarną skorupę.

– Jak tu głęboko?

– Zaraz sprawdzimy.

Dalmor odwinął sznur z kotwicą i wrzucił do wody. Węzły na sznurze nie kłamały.

– Ponad trzy metry.

Badali dno w kilku miejscach w promieniu dwudziestu, trzydziestu metrów. Wyniki były różne. Od dwóch i pół metra do ponad dziesięciu.

– Dokładnie nie sprawdzę, bo sznur ma dziesięć metrów, a kotwiczka jeszcze nie sięgnęła dna – powiedział Dalmor.

– Spora różnica, jak na tak niewielki obszar.

– Co się dziwisz, te bloki spadały w wodę z ogromnym impetem. Resztki cementarza znalazły się pewnie na spodzie gruzowiska.

– To trzeba sprawdzić. Przez setki lat pracowała woda, to wielka siła. Te warstwy z pewnością się przemieszczały...

– Z tego, co pamiętam, kilka lat temu w pobliżu nurkował Birgir Enni, ten specjalista od ostryg.

– Właściciel błękitnego żaglowca?

- Właśnie! Może on coś zauważył?
  - Znasz go?
  - Kiedyś z nim pływałem. Zanim zejdziesz pod wodę, moglibyśmy zapytać. Może będzie się orientował, w którym miejscu najlepiej szukać.
- W oczach Nowickiego pojawiła się nadzieja.



Szyper Birgir Enni stał przy burcie swojego niebieskiego żaglowca „Norðlysið” i poganiał dwóch marynarzy, którzy przynosili zaopatrzenie z pobraża na pokład.

- To on – rzekł cicho Dalmor.
- Nietrudno się domyślić.

Długa grzywa, marsowe spojrzenie i tubalny głos czyniły go podobnym do wikinga, choć niekoniecznie w najgroźniejszym wydaniu. Robert widział go pierwszego dnia, jak tylko wysiadł z promu.

– Jest jednym z najlepszych nurków na archipelagu – szepnął Dalmor. – Zna się na kuchni, a jego specjalność to ostrygi. Sam je zresztą łowi. Zna najlepsze miejsca...

Przywitali się. Enni był uprzedzony o wizycie Nowickiego i zaprosił ich do swojej kajuty. Była mała, ale urządzona stylowo. Ktoś, kto widywał wnętrza żaglowców tylko na filmach, nie czułby się rozczarowany jej wystrojem. Birgir był w swoim żywiole. Zapytany o podwodne poszukiwania próbował poczęstować profesora opowieściami dobrymi być może dla żądnych atrakcji turystów, ale Robert szybko wyprowadził go z błędu.

- Widzę, że nie da się pan nabrać na byle błyskotkę – rzucił, stwierdzając z niejakim smutkiem, że profesor odbiera mu część zabawy.
- Interesują mnie fakty, nie bajeczki dla zwiedzających.
- Birgir wyjął z sekretarzyka mapę i rozłożył ją na stoliku.
- Proszę dokładnie pokazać, o który fragment panu chodzi.

Robert potrzebował chwili, aby precyzyjnie określić właściwą część wybrzeża. Pomógł mu Dalmor, wskazując palcem odpowiedni punkt na mapie.

- Tu byliśmy.
- Birgir zamyślił się.

– Od tamtego czasu zawały skał miały tam miejsce trzy lub nawet cztery razy, nie licząc mniejszych, których pewnie były setki, a może nawet tysiące. Można je zobaczyć co kilka dni. Wprawne oko widzi, jak od ścian odrywają się kamienie, czasem większe odłamy skalne. Ten klif wciąż pracuje. Przez kilkaset lat spadły do wody tysiące ton kamieni. Szczątki cmentarza, o którym pan wspomina, znajdują się z pewnością pod grubą warstwą gładów. Sądzę, że penetracja dna i próba odzyskania szczątków wymagałyby sprowadzenia ciężkiego sprzętu do podwodnych poszukiwań górniczych. Badania archeologiczne dna morza w tym miejscu pochłonełyby miliony euro.

Robert miał zmartwioną minę. Birgir Enni nie mógł nic na to poradzić.

– Nurkowałem w tamtym miejscu – powiedział. – Swego czasu były tam kolonie ostryg. Prowadziłem nawet jako przewodnik grupę płetwonurków z Norwegii. Mam film, który kręcili pod wodą.

– Mógłbym zobaczyć?

– Jasne. Tylko z góry uprzedzam. Proszę się nie spodziewać, że odkryje pan coś, co mogło przetrwać te setki lat.

Birgir Enni poszperał w sekretarzyku i wyjął plik dyskietek. Chwilę zabrało mu znalezienie właściwej płyty. Aż pisnął z uciechy, dając do zrozumienia, że poszukiwania zakończyły się sukcesem. Wsunął płytkę do odtwarzacza w komputerze i na ekranie pojawił się podwodny świat. Wszystko było w odcieniach szarości. Tylko kombinezony pojawiających się od czasu do czasu płetwonurków biorących udział w wyprawie lśniły jaskrawą żółcią. Dno ukazujące się na filmie tworzyły wielkie głady i gruz.

Wszystko pokryte śliskimi wodorostami, szlamem z glonów i skorupiakami.

– Oglądajcie sobie, a ja w tym czasie przyrządzę specjalne danie z moich ostryg.

Nowicki chciał zaprotestować, ale Enni uciał gestem wszelkie próby odmowy.

– Mowy nie ma, by moi prywatni goście zeszli z mojego prywatnego pokładu, nie kosztując moich prywatnych dań... Teraz już nie macie prawa głosu. Jesteście moimi więźniami. Niewola skończy się po konsumpcji. Również wina...

Film nie przyniósł żadnych rewelacji. Rewelacją były za to ostrygi *à la* Birgir Enni...

Wieczorem Robert odebrał pocztę od studentki profesora Konkola. Opracowanie dotyczyło fragmentów manuskryptu opisujących wydarzenia z roku 1455, kiedy to autor dziennika pokładowego „Mariny” studiował na Akademii Krakowskiej.



## Sagres

*Nauka na tej uczelni niespecjalnie przypadła Jaškowi do gustu, bowiem, jak uznał, nie kształcono tam praktyków, a jedynie gadułów i doktrynerów.*

*System kształcenia wsparty był na siedmiu wielorybach, czyli siedmiu sztukach wyzwolonych. Gramatyka, retoryka i logika – przedmioty trójczłonowego „cyklu werbalnego”, trivium*

*– stanowiły cokół, na którym ustawione były arytmetyka, astronomia, muzyka i geometria – cztery dyscypliny „cyklu realnego”, czyli quadrivium.*

*Podstawą był jednak trzeci z przedmiotów trivium – logika. Ponieważ filozofia służyła teologii, jej kurs wykładany był w ścisłym powiązaniu z dogmatyką chrześcijańską. Profesorowie uciekali w świat scholastycznych abstrakcji, studenci wkuwali etykę, filozofię i metafizykę Arystotelesa z okropnych przekładów, święcie wierząc, że przyswajają sobie myśli prekursorów Chrystusa. Trivium, a zwłaszcza jego trzeci przedmiot zabierał studentom lwią część czasu przeznaczanego na opanowanie całego uniwersyteckiego kursu.*

*Jan najchętniej uczył się geografii i astronomii, ale nie przeszedł retoryki i teologii i gdy dostał wiadomość o śmierci matki, zrezygnował z dalszej nauki. Zabrawszy się z flisakami splewającymi zboże po Wiśle, popłynął do Gdańska.*

*Ojciec był przygaszony, ale na widok syna znacznie się ożywił. Wprawdzie i Bartosz, i Lucjan donieśli mu, że Jaško żyje, ale starszy pan nie był pewien, czy go jeszcze na tym świecie zobaczy.*

*Teraz, gdy wrócił do domu, liczył, że młodszy syn z nim zostanie. Starszy, Bartosz, który po służbie w gdańskim ratuszu miał przejąć urząd pana Bartłomieja, odwlekał swój powrót do Kolna, wymawiając się byle powodami. W Gdańsku poznał już dziewczynę, córkę jednego z rajców, i wiedział, że jeśli wróci na wieś, a tym samym przestanie wspinać się po*

*drabinie urzędniczych zaszczytów, nie będzie mógł liczyć, iż zostanie przyjęty przez jej rodzinę. Gdy Jasiak oplakał matkę, znów zaczęło mu się cknąć za morzem. Pan Bartłomiej nie chciał o tym nawet słyszeć...*

*– Ja jeno w odwiedziny... i z powrotem do służby muszę... – rzekł do ojca przy wieczerzy, gdy ten próbował go namówić do pozostania.*

*– Jakże to, synku? – zdziwił się pan rządcą. – Wzgardzisz dobrem po przodkach?*

*– Wszak każdy człowiek czego innego łaknie, do czego innego sposobny. Ja podróże po świecie miłuję...*

*Ojciec długo zwlekał, zanim jawnie wystąpił:*

*– Wszędy dobrze, ale doma najlepiej. Ostań!*

*– Rządcą nie będę. Jam człowiek morza! – odparł syn.*

*– Jak, na Boga, urządzisz sobie życie na starość?*

*– W świecie zdobędę znaczenie, sławę. Wtedy może osiadę na stałe. Żonę swoją uczynię wielką panią, gdy jako żeglarz i kupiec będę pływał własnymi okrętami.*

*– Tyś naprawdę szalony! – zdumiał się ojciec.*

*– Ja jeno inaczej myślę niżeli wy.*

*Ojciec upierał się trochę, że skoro zakonnikiem być nie chce, może poszukać zajęcia bliżej domu.*

*Może po rybę chodzić z oksywskimi rybakami. Ale Jasiak posmakował już dalekiego morza i nie połowy w zatoce były mu w głowie.*

*– Nie mogę cię zatrzymać – ustąpił w końcu pan Bartłomiej i przekazał synowi okazały mieszek. –*

*Oto twoja dola. Na naukę w seminarium i na wyprawkę odkładałem. Co z tym uczynisz, twoja wola.*

*– Dzięki, ojcze.*

*Kilka dni później, mimo smutku pana Bartłomieja, chłopak oznajmił:*

*– Wracam na morze! Wszelako nie chcę tego uczynić bez waszego błogosławieństwa, ojcze.*

*Upraszam o nie! Da Bóg, będziesz dumny ze mnie.*

*Stary nie wybuchnął gniewem, tylko posmutniał jeszcze bardziej i nawet odwrócił się, a Jaśkowi zdało się, że łza ściekła mu po policzku.*

*– Niechaj cię tedy Bóg natchnie i prowadzi – rzekł w końcu. – Boleję nad rozłąką, aliści nie zmuszam twojego serca.*

*Chłopak lżej zniósłby gniew niżli żal.*

– Poczekaj może jeno do wiosny, gdy śniegi znikną. Żegluga zimą to płoche zadanie i nie za wiele go jest. Na wiosnę znów wszystko ruszy.

Syn posłuchał rady ojca i w pierwszych dniach maja 1457 roku pojechał do Gdańska, szukać okazji do pławby. Poleciał w świat jak na skrzydłach. Uczucie, które go gnało, było mocniejsze od innych.



Daremnie szukał znajomych żeglarzy. Pływali pod różnymi banderami, pozaciągali się pod znaki jurgieltnicze monarchów i wielmożów, inni przypadli bez śladu. Nachodził się co niemiara z przewieszonym przez ramię worem żeglarskim, stanowiącym cały jego majątek.

Zmęczony i zniechęcony poszukiwaniem skręcił w Długi Targ. Spojrzał na znajome kamienice, z karczm dobiegał gwar rozochoconych biesiadników. Wokół, jak dawniej, kuglarze zabawiali swoimi sztuczkami przechodniów. Przysiadł na znajomym przedprożu i spojrzął w okno na pierwszym piętrze.

Było nieomknięte. Przez chwilę zdało mu się, że poruszył się w nim cień, ale było to tylko złudzenie.

Przez następną godzinę w kołysanej przez wiatr szybie pobłyskiwały jeno refleksy zachodzącego słońca.

Szukał okazji, by zobaczyć Marynię. Często o niej myślał. Marzyło mu się, że gdy zostanie oficerem na okręcie jednego ze znaczniejszych armatorów, przyodziały w wyjściowy mundur uda się do domu Maryni i poprosi jej ojca o rękę córki. Wtedy nie zdawał sobie sprawy z naiwności swoich planów i beznadziei kalkulacji. O Maryni myślał ciągle. Na wachcie i podczas odpoczynku, przechadzając się nabrzeżami obcych portów i w krakowskiej akademii. Snuł o niej wyobrażenia. Śnił, że rozmawiają, marzył, że bawią swoje dzieci, te stają się dorosłe i mają swoje dzieci. Ale nawet w tych marzeniach wciąż obecne było morze, a Marynia była panią domu, która czeka na powrót męża z rejsu. On sam zapuszczałby się na nieznane morza i pływał za kraniec horyzontu, by odnaleźć nowe szlaki pławne do Indii, Katalju i Cipango.

Tymczasem wypatrywał Maryni, by choć z daleka na nią popatrzeć. Godzinę później udało mu się przydybać Gretkę. Pamiętała go, bo się uśmiechnęła i nawet wydała krzyk zdziwienia, jak to z chłopca stał się mężczyzną. Obiecała, że przekaże pannie ukłony od zalotnika, ale kiedy

obie wyszły na zakupy i Jasiek ukłonił się z daleka, Marynia nie raczyła nawet na niego spojrzeć. Służebna pochyliła się nad jej uchem, szepnęła kilka słów, wskazując go, ale panienska tylko obrzuciła chłopaka lekceważącym spojrzeniem, parsknęła krótkim śmiechem i odwróciła się, kierując swe kroki w stronę straganu ze słodyczami.

Jasiek stał jak wryty. Nagle jego marzenia prysnęły. Panna najwyraźniej go nie chciała!

Wybiegł z Długiego Targu, kierując się na Osiek, gdzie chciał odwiedzić Sielika, starego druha, który teraz opiekował się majątkiem po Mitrunie i sam wyphywał po rybę. Po drodze, już na Osieku, nieopodal „Brabancji”, warsztatu naprawczego okrętów, zobaczył sporą gospodę o nazwie „Złoty Kasztel”. Przed wejściem, wkopany w bruk, stał wysoki maszt z drewnianym wizerunkiem kogi na szczycie. Niżej wisiała latarnia, którą zapalano po zmroku, by zgłodniałi, spragnieni i poszukujący noclegu nie mieli kłopotów ze znalezieniem właściwej drogi.

– A kto tu gospodarzem? – zagadnął przechodzącego młodego marynarza.

– Szymon, a kto ma być? Już rok, jak kupił tę karcznię, przebudował ją ździebko i teraz ma tu najlepszą zabawę w mieście.

– Który Szymon? Szymon Bosman?

– A jużci, ten sam.

Jasiek uradował się na myśl o starym przyjacielu, który ongiś zaprowadził go do Mitruna, i wszedł do środka. Gospodarz od razu go poznał. Uściskał go i ucałował z dubeltówki.

– Opowiadaj, chłopcze, bo widzę – zerknął na marynarski wór Jaśka – żeś w żeglarskim fachu zagrzezał...

Chłopak rozczulony spotkaniem z dawnym przyjacielem przytaknął. Szymon popatrzył na niego z dumą i nawet rzucił którejś posługaczce, jak to mu się chłopak udał, i wpuścił go do swojej komnaty.

– Rzeknij ino, czy znalazłeś swojego stryja? – nie ustępował ciekawy wieści.

Jasiek, przebrawszy się w dostojniejszy strój, w skrócie opowiedział mu o spotkaniu w Kopenhadze, o nauce w krakowskiej akademii, o śmierci matki, o wizycie w Kolnie i o tym, że wybiera się znów na morze.

Stary westchnął głęboko. I jemu marzyłaby się jeszcze przygoda, ale siedział na Osieku przywiązany do interesu, który prowadził.

– A wy, jakim to cudem z bosmana zmieniliście się w karczmarza?



– Długa to opowieść... Jakem zszedł na ląd z uskładaną sumką, to w chacie Mitruna tylko Sielika zastałem. Nic o tobie nie słyszał, nie wiedziałem, jak cię szukać, gdzie pytać... Rzekł mi jeno, że na

„Jaskółkę” poszedłeś, ale co dalej z tobą, nie miał pojęcia. Aż tu dzisiaj, proszę, sam zaszedłeś w moje progi ucieszyć oczy starego.

– To wam wszakże, bosmanie, zawdzięczam, że stałem się żeglarzem.

– Nie mnie, jeno sobie. Tak to już jest na tym świecie, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Gdyby nie rozpierała cię ochota, to i drogi ku celowi byś nie znalazł. A tak, jeśli nie ja, inny by tobą pokierował, byś do fachu trafił.

Jasiek rozejrzał się po miejscu. Z samego wystroju było znać, że karczma do najprzedniejszych w Gdańsku należy.

– Powinszować miejsca – orzekł, kiwając głową. – Ale powiadajcie, jak staliście się właścicielem tak zacnego przybytku?

Szymon był zawołanym gawędziarzem, więc gdy chłopak posilał się, stary bosman snuł opowieść, z której jasno wynikało, że ze swojej ostatniej wyprawy przeciw kaprom duńskim takie zwiózł łupy, że mógł nabyć „Złoty Kasztel”. Kupił go od van Gausta, Holendra, który przed wyjazdem do Amsterdamu przybytek sprzedał po okazyjnej cenie. Szymon chciał popробować życia szcztura lądowego i takie zajęcie by mu się nadało, zatem nie namyślając się długo, zdecydował się na kupno gospody.

– I nie żałujecie pewnie, bosmanie? – zagadnął Jasiek, który jeszcze pamiętał narzekania Szymona na psi marynarski los, gdy spotkali się po raz pierwszy na Długim Pobrzeżu.

– A to, jak czasem... Mów lepiej, co teraz zamierzasz, jakeś się już wyuczył w akademii?

– Co to za akademia, jak mniej geografii i astronomii było, a więcej teologii nam do łbów wkładali.

– A bo to i bez łaski pańskiej trudniej się żegljuje...

– Widać takie tam myślenie. Słyszałem jednak o prawdziwej żeglarskiej akademii, w Sagres, u księcia pana Henryka Żeglarza Nawigatora.

– I ja o nim słyszałem, że na Afrykę szykuje wyprawy, ludzi szkoli...

Jaśkowi błysnęły oczy.

– Pływają na kraj świata, na zachód od ostatniej wyspy Thule, gdzie wody kipią od wrzenia, gdzie lądów dalej już nijakich nie ma, ino przepastne głębiny...

Szymon pokiwał głową z rozmysłem.

– *A to różnie powiadają, co na krańcach świata być może. Lepiej mi mów, co dalej zamyślasz?*



*Jasiek codziennie przychodził pod dom kupca Nagela i siadywał na przedprożu naprzeciw okna Maryni. I doczekał się. Przyłapał ją, gdy przyglądała mu się zza zasłony. W następnych dniach siadał w innych miejscach i widywał, jak Marynia wygląda przez okno i zawiedziona rozgląda się po przedprożach przeciwnej strony Długoego Targu. On tymczasem stał nieco z boku i podziwiał zaczerwienione lico panny. Wreszcie zdecydował się. Napisał do niej liścik.*

*Pani, marzę o Tobie, Kocham Cię i chcę pojąć Cię za żonę. Jeśliś mi przychylna, pokaż się jutro w oknie, gdy dzwony kościoła zagrają w południe na Anioł Pański. Jeśli zobaczę cię w Twoim oknie, będzie znaczyło, że myślimy podobnie.*

*Wręczył go Gretce, a panna pokazała się w oknie już na kilka minut przed wyznaczonym czasem.*

*Uśmiechnęła się rozgorączkowana i pokiwała mu dłonią. Potem spojrzała w głąb pokoju i gdy upewniła się, że nikt jej nie widzi, rzuciła w jego stronę zawiniątko papieru. Gdy je rozłożył, przeczytał po łacinie równym gotyckim pismem:*

*Bądź dziś na majowym u Najświętszej Marii Panny.*

*Do rozpoczęcia mszy miał jeszcze sporo czasu.*



*Marynia w odświętnej sukni siedziała w pustej ławce. Za nią Gretka. Jasiek odczytał to jako przyzwolenie, by usiąść przy pannie. Udała, że go nie widzi, ale gdy spojrzął kątem oka, zauważył, że się zarumieniła. Gdy się przeżegnali i rozpoczęła się modlitwa, poczuł delikatne dotknięcie dłoni panny i poczuł w dłoni liścik.*

*– Nie teraz – usłyszał jej szept. – Później.*

*Po wyjściu z kościoła szedł przez chwilę za Marynią i Gretką, ale nie chciał, by jego natarczywość spowodowała plotki i rozmył się w tłumie. W zaciszu jednej z kamienic przeczytał list.*

Wiedziałam, że przyjdiesz, bo bardzo tegom chciała. Na razie nie możesz iść do mojego ojca.

Najpierw ja sama muszę z tobą porozmawiać. Jutro rano wychodzimy z Gretką na Targ Rybny. Tam znajdzie się chwila do rozmowy. Będę czekała z niecierpliwością.

*Uśmiechnął się uszczęśliwiony.*

*A więc to nie był tylko młodzieńczy sen, niedowarzone marzenie... Panna była z krwi i kości, piękniejsza, niż zdawało mu się z początku, no i najważniejsze – była mu przychylna!*

*Stary Szymon czekał już na Jaśka z jadłem i napojem. Gdy chłopak wszedł do oberży, dziewczka wskazała mu miejsce przy stole w głębi wypełnionego gośćmi pomieszczenia. Zaraz też na stole pojawiły się przysmaki. Po chwili przyszedł gospodarz.*

*– Gdzieżeś biegał po południu?*

*– Za panną... – Jasiek splonął rumieńcem, a Szymon z uciechy aż klepnął się dłońmi po kolanach.*

*– A to ci nowina! Kto ona?*

*Jasiek opowiedział dokładnie, bacząc, by imienia i nazwiska ojca nie wymieniać, bo w mieście wszyscy się znali i niebacznie jakaś plotka mogłaby pannie Maryni zaszkodzić.*

*– Mówisz, że z zasobnego domu?*

*– Jako żywo!*

*Szymon zamyślił się, kiwał głową, wzdychał, wreszcie uśmiechnął się i rzekł:*

*– Mam pomysł, za który dziękować mi będziesz.*

*Chłopak uśmiechnął się, bo wszystko, co mogłoby zbliżyć go do panny, było dla niego zbawienne.*

*– Jakbyś chciał się ojcu panny spodobać, ukazać mu, żeś stateczny i w interesu z teściem wejść możesz ku wspólnemu zarabianiu, tobym ci „Złoty Kasztel” i wszystko, co mam, testamentem zapisał, a ty byś mi za to dał dożywotkę i godnie pochował, gdy mi ostatnią wachtę święty Krzysztof wyznaczy.*

*– Daleko wam do onej. Jeszcze nie raz pójdziemy w morze.*

*– Pójdę w takowe morze, co się zowie Dolina Jozafata.*

*– A zaś tam! – zachnął się szczerze Jasiek. – Gospodę odprzedajcie komu drugiemu i chodźcie ze mną na morze. Toż ledwie czterdzieści roków wam stuknęło...*

– Z nawiązką, chłopcze, z nawiązką...  
– No i cóż to? Krzepki z was żeglarz, doświadczony, jeszcze niejednego byśmy razem dokonali.

– Tako rzeczesz? – w oku Szymona zaiskrzyła nadzieja.

– Jako żywo!

– Eee... Lepiej w „Złotym Kasztelu” osiądź, życie na miejscu układaj. Do panny ci przez to będzie bliżej.

Jasiek pokręcił głową.

– Dzięki wam za serce bosmanie, ale nie w karczmie mi przyszłości szukać, tylko w morzu, które niejednemu majątku przydało.

– A ilu życia pozbawiło?

– I tak bywało. Ale ja wiem swoje. Albo morze da mi majątek, dzięki któremu stanę się godny panny, albo...

– Albo co?

Chłopiec spuścił głowę.

– Dopnę swego!

– Jak chcesz tego dokonać?

– Do szkoły w Sagres pójdę, po naukę. Potem kapitanem okrętu zostanę, potem admirałem. A na koniec okręt kupię i armatorem się stanę. I z zysków jeszcze kolejnych okrętów dokupię...

Szymon aż gwizdnął ze zdumienia.

– Toż ci na to czasu do końca życia nie wystarczy...

– Starczy. Z tym jednym moim okrętem do Gdańska wrócę i list kaperski podpiszę.

– Skoro tak łącno wyrzekasz się dostatków, to już cię nic nie zatrzyma, jako i mnie kiedyś. To była moja bieda i twoja będzie. Ha, takowy snadź los! Znam kapitanów, co cię wezmą na okręt za moją poręką.

– Dzięki wam, bosmanie. Jakże byłbym rad, gdybyście ze mną popłynęli! – zawołał z nagłą czułością

Jasiek.

Staremu oczy zwilgotniały i rzekł:

– Dobrze by nam było razem w „Złotym Kasztelu”. No, ale nie będzie... Zaraz tu przyjdzie mój dawny kapitan, kawaler Mendoza z Kastylii. Będzie werbował na nową pławbę. Załoga mu się rozbiegła, omal go nie ubiwszy podczas buntu. Jedni potem umknęli, inni siedzą w lochach.

Gwar gospody ucichł nagle. Do izby wszedł barczysty, śniadoliczy trzydziestokilkuletni brodacz w czarnej pelerynie i czerwonej chuście na

*głowie. Majtkowie odepchnęli od siebie karczemne dziewczki.*

*Patrzyli nań z niepokojem.*

*Szymon podskoczył ku niemu, a znając po trosze wiele języków, jak to zwykle żeglarz, popisał się hiszpańszczyzną:*

*– Buenas noches caballero Mendoza! Que ta?*

*Kapitan, również bywalec, odpowiedział po polsku:*

*– Odpliwam w piontek. Za dwa dnia. Szukam reszta załoga.*

*Szymon wskazał na Jaśka.*

*– Raczcie, panie, upraszam zaciągnąć tego oto młodziana. Uczony w krakowskiej akademii i pływał już pod takowymi kapitanami jak Włady.*

*– Zaczne rekomendacje! A może i wy popłyniecie ze mną?*

*– Za starym już. I zajęty interesami.*

*– Szkoda.*

*Mendoza usiadł za stołem obok szynkwasu, rozłożył wielką księgę okrętową oprawną w skórę i drewno, postawił łagiewkę z inkaustem, kubek z piórami. Rozejrzawszy się po izbie, przemówił w różnych językach:*

*– Synkowie! Znacie mnie, co? Werbuje dla „Santa Veronica”, a pławba nasza obejmie pół świata.*

*Idziemy do Kadyksu. Ostrzegam, zbiegów spod szubienicy i z więzień, oszelmowanych i napiętnowanych za złoćyństwo i czary nie przyjmę. Płacę jak inni, ani lepiej, ani gorzej, po krakowskiej grzywnie srebra na kwartał. Który chciałby?*

*Rzucili się hurmem. Ustawił ich w kolejce. Żartował, strofował, niektórym dawał w kark. Ale nie gniewali się, bo lubili rubaszość.*

*Wybranych zapisywał w księdze z nazwiska lub tylko z imienia i przydomka, bo wielu urwipolców nazwisk po prostu nie miało. Zaliczkę chcieli od razu, by wdać się w pijatykę, ale ich rozpedził.*

*– Cwałem na okręt! Bo zdieję kijem przez łeb! – grzmiał. – Tam dostaniecie od intendenta. Ale już nie zejdziecie na ląd, aby wszystko przefortasić.*

*– Nie stracim gotowizny, mości kapitanie!*

*– Już to widzę!*

*– Tylko na szklaneczkę!*

*– Ani mowy nie ma!*

*– Zdążym! – pyskowali. – Wszak ruszamy dopiero pojutrze!*

*– Jazda! Kto wnet nie pobieży na „Santa Veronica” trzeźwy i ochoczy do służby, później nie ma po co przyłazić. Ja teraz wam król i pan!*

Szymon po kilkakroć odmawiał Mendozie. Ale gdy później w porcie spojrzął na „Santa Veronica”, postyszał grający w takielunku wiatr morski, szepnął nagle do kapitana jakby zawstydzony:

– Mówiliście, wasza miłość, że mógłbym...

– Ależ tak, stary towarzyszu! – przerwał Mendoza.

Wyprostował się dawny bosman i pełną piersią wciągnął mdły zapach wody i ryb, których setki skrzyń zalegały nabrzeże. Rozdęły mu się nozdrza niby młodemu chwatowi.

– Młodniejesz, stary, gdy popatrujesz na żagiel – rzekł życzliwie Mendoza. – Jeśli zechcesz ze mną płynąć, mianując bosmanem po dawnemu.



W przystani przed Bramą i Mostem Kogi zamorskie okręty wyladowywały towar. Nabrzeże Wyspy Spichrzów wrzało, zwłaszcza naprzeciw Bramy Chlebnickiej, wiodącej w głąb miasta. Majtkowie myszkowali tam za słodyczami i pieczywem, sprzedawanymi na ławach. Za najlepszym mięsem – wedle

Bramy Krowiej, warzywami i owocami – na ulicy Warzywnej, piwem przednim – na Jopejskiej. Przez ten tłum przedzierał się Jasiek w odświętnym stroju, by znaleźć się na Targu Rybnym. Już z dala zobaczył czepek Gretki, która z koszem buszowała między straganami.

– Gdzie panna? – zapytał, gdy się zbliżyła.

Greta pokazała głowę. Marynia stała z boku przy straganie z bursztynami. Ależ była piękna i jaki wdzięczny był jej uśmiech. Jasiek stał oniemiały. W jej policzkach znów pojawiły się dołeczki.

Od tego dnia do piątku spotykali się codziennie. Rozmawiali, czasem panna dworowała, kiedy indziej słuchała jego opowieści o miejscach, w których bywał, o ludziach, których spotkał i o służbie na morzu, która by go pochłonęła bez reszty, gdyby nie... afekt do panny.

– A ile w twoim sercu miejsca dla afektu, a ile dla morskiej służby? – zagadnęła, przekrzywiając główkę.

– No... – bąkał niepewny – po połowie.

Jej mina zrobiła się sroga.

– To za mało! Dla mnie musi być więcej niż dla morza...

– Bo i po prawdzie tak właśnie jest... – przyznał z ulgą, że udało mu się wybrnąć z tarapatów.

Panna uśmiechnęła się słodko. Widać było, że kawaler jej się podobał.

– A ja cię pamiętam jako pacholę, jakieś przed moim domem siedział i gapił się na igrce...

– Naprawdę? – zdumiał się, ale był szczęśliwy. – I ja cię, pani, również wtedy po raz pierwszy, jeszcze dziewczynką, ujrzałem.

– I cóż zatem? – zapytała, śmiało patrząc mu w oczy.

– Ano...

– Mów, waćpan, coś wtedy pomyślał. Opowiadaj ze szczegółami, jakieś mnie ujrzał, coś sądził i jak każdego dnia przychodziłeś pod mój dom w oknie mej postaci wypatrywać.

– Skąd wiesz, pani, że tak właśnie było?

– Bom cię widziała na własne oczy, jeno z innego okna, dwa piętra wyżej, gdzieś nie spozierał...

– Ach, to tak?

– Tak właśnie. Gadajże, coś wtedy myślał, ale chyżo!

– Rozmłowałem się w tobie, pani.

Marynia była niecierpliwa.

– Ale jak, mówże, waćpan, coś pomyślał? Serce ci zabiło mocniej, czyś dreszczy dostał albo może biegunki... No mów, jeśli aspirujesz do mojej ręki, muszę to wszystko wiedzieć.

– Ale co? Dokładnie?

– Czyś tegi żeglarz, takóž samo jako i zalotnik, czy nie ugniesz się przed trudnością? Bo wiedz, kawalerze, że zdobycie mojej ręki nie łatwiejsze będzie od zdobycia oceanu.

– Którego? – uśmiechnął się, chcąc całą sprawę obrócić w żart.

– Któregokolwiek, a ile ich jest?

Zanim zdążył odpowiedzieć, ponowiła pytanie o uczucia, gdy ją pierwszy raz ujrzał.

– Coś uczuł, waćpan, najpierw mów, na ciele?

– Jako wszystkie włosy mi na głowie powstały i na rękach, i na grzbiecie.

– To i na grzbiecie masz waćpan włosy? Muszę to zobaczyć...

Panna pohamowała się jednak, spoglądając na przechodniów.

– Innym razem, jak tylu ludzi nie będzie nam świadkować. Włosy na grzbiecie, Matko Boska, toć waćpan jako monstrum obrośły... – zadumała

się na chwilę, a potem rzekła jakby do siebie:

– Ale może to być nawet ciekawe, kto wie?

Jasiek imponował jej swoimi podróżami po świecie, bo co rusz zadawała mu pytania o zamorskie porty, zwierzęta i rośliny, a także o Negrów i Katajców, i obyczaje, jakie wśród nich panują. Chłopak opowiadał wyczerpująco, na ile sam wiedział, a ona często jeszcze dopytywała o szczegóły. Na koniec spotkania zadysponowała:

– Jutro nie na Rybnym, a na Drzewnym Targu z Gretką będziemy. Ciotuchna dziwi się ogromnie, że teraz co dzień na sprawunki wychodzę, ale... mniejsza z tym. Nie spóźnij się, kawalerze, a jeśli przy mnie ujrzysz kogoś oprócz Gretki, nie waż się podchodzić. Wówczas dam ci przez nią wiadomość. I na majowym dzisiaj nie siadaj obok mnie, tylko ławkę dalej. Gretka przypilnuje ci miejsca. A teraz do widzenia, waćpanu, bo zaraz z lekcją bakalarz do mnie przychodzi. A na majowym będę na kwadrans przed piątą. I ty bądź... Gretka, idziemy!

Rezolutna panna skłoniła się lekko i odeszła szybkim krokiem. Służebna dygnęła Jaśkowi i uśmiechnęła się od ucha do ucha, dając do zrozumienia, że z serca obojgu sekunduje. Chłopak odwzajemnił uśmiech.

Po majowym Jasiek obwieścił, że nazajutrz o świcie wypływa w morze.

– Jakże to, kawalerze, zostawiasz mnie samą?

Jaśkowi zabrakło słów, oczy wlepił w Marynię.

– I co mnie teraz samej począć na tym świecie?

– Pisać będę – zapewnił żarliwie.

– Niech ci Bóg broni! Toż pan ojciec od razu o wszystkim by się dowiedział.

– I tak się dowie, jak o rękę przyjdę prosić.

– Ale wpierrw musisz kapitanem zostać, żeby z tobą rozmawiać zechciał.

Jasiek szybko wyluszczył swój plan. Opowiedział o akademii w Sagres i jak się tam wyuczy na dowódcę i do Gdańska powróci. Nawet swoich statków mieć nie musi, byle posiadał referencje i doświadczenie, dzięki którym jeden z armatorów uczyni go kapitanem swojego okrętu.

– Pewnie, że nie za pierwszym rejssem, ale już za drugim lub trzecim, rzecz to znana w świecie, że tak bywa z absolwentami sagreskiej akademii...

Panna popatrzyła spod oka.

– Może i ojciec się zgodzi, kto wie? – Pokiwała głową w zadumie. – Ale zaraz po ślubie zabierzesz mnie ze sobą na okręt i popłyniemy razem?

– Chciałabyś?



– *Lepsze to sto razy niż lekcje gry na klawesynie – pokręciła noskiem z widoczną złością.*

– *Jeśli tylko zechcesz, zabiorę cię, gdzie tylko zapragniesz.*

– *No... – dotknęła jego dłoni na pożegnanie. – Bywaj, waćpan, a pisać możesz do tej gospody swojego znajomka, o którym opowiadałeś. Będę wysyłać do niego Gretkę co kilka dni, czy jest jakoweś pismo od ciebie. A teraz... – chlipnęła noskiem i obróciła się na pięcie – pogrążę się w nieutulonym smutku jak opuszczona wdowa... Gretka, idziemy!*

*Potem odwróciła się jeszcze i dodała:*

– *Jeno nie zgub mi się gdzie na tym świecie i na inne białogłowy nie spojieraj, bo... popamiętasz!*

*Jasiek stał jak słup soli przed kościołem Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny, skąd tylko kilka kroków było do domu Maryni. Patrzył, jak odchodzi, nie oglądając się, a jej wąskimi ramionami wstrząsał od czasu do czasu spazm płaczu.*



*Szymonowi udało się znaleźć kupca na „Złoty Kasztel”. Pewien szynkarz z Biskupiej Górki odkupił go od bosmana niemal za bezcen. Tak długo się targował, że Szymon w końcu przestał się upierać przy swojej cenie, byle szybciej dobić targu i wypłynąć na „Santa Veronica”. Jasiek niemal w ostatniej chwili wymógł na nowym właścicielu obietnicę przekazywania listów Gretce i zaraz następnego dnia przed świtem okręt wyszedł w morze, załadowany budulcem okrętowym, zbożem, płótnem i innymi licznymi towarami, mając za cel pławu sławny Kadyks.*

*Wiele dni płynęli bez przeszkód. Nie niepokoiły ich sztormy ani piraci. Cały czas zachowywali jednak czujność i gotowość do walki. Na północnych wodach najbardziej zagrażali Duńczycy i Flandryjczycy, za Cieśniną Kaletańską zaś – Francuzi, nastający zwłaszcza na Hiszpanów. „Santa Veronica” szła pod banderą kastylijską.*

*Chociaż płynęli blisko brzegów Portugalii, mijali kupieckie statki oraz posterunki na skałach, wysepkach i patrolowych okrętach, to wciąż groźna sława piratów afrykańskich i arabskich szerzyła tu trwogę. A przecie żaden władca nie miał tak wielkiej armady do obrony wybrzeża, wód i szlaków żeglugowych, jak portugalski.*

*Spokój skończył się opodal Wysp Berlenga. Przez perspektywę zauważyli statki z Grenady i Algieru.*

*A więc zapuszczały się aż tutaj! Musieli przed nimi uciekać, choć nie zawsze się udawało. Raz stawili zbrojny opór Arabom z Grenady, po czym „Santa Veronica”, uszkodzona przez ich bombardy, z wielkim mozolem dobrnęła do kastylijskiego portu Palos, gdzie ją naprawiono. Stąd już bez poważniejszych przeszkód, płynąc wzdłuż andaluzyjskiego brzegu, dobili do celu. Pewnego ranka w jaskrawym słońcu ukazała się wysoka latarnia morska, a później potężne warownie Kadyksu.*

*Miasto było stare, o długich, wąskich i ponurych ulicach, zatopionych w szpalerach wyniosłych budynków. Domy nie miały portyków, nie zacieniały ich drzewa. Rolę osłony mieszkańcy powierzyli płóciennym toldos, rozpiętym między domami. Nieskończone koleje wozów i objuczonych mułów ciągnęły ze wszech stron do miasta, stały na dojazdach i u bram miejskich przed posterunkami pobierającymi myta. Jedyne małe zabytkowe śródmieście, pamiętające jeszcze czasy Fenicjan, zachowało oznaki świetności tego słynnego miasta. Poza nim przeważały lepianki, omglone tumanami kurzu.*

*Kilka dni później, po wylądowaniu towarów Jasiek pożegnał się z Szymonem, odebrał zapłatę od Mendozy i ruszył do Sagres. Pamiętał o słowach, jakie usłyszał od starego bosmana, gdy ten przygarnął go do piersi przy pożegnaniu.*

- Miej oczy otwarte, pewnie się jeszcze obaczym.*
- A może i razem poześlujemy? – odrzekł z nadzieją.*
- Dałby Bóg razem do Indii pójść twoją zachodnią drogą.*
- Poptynałbyś ze mną, Szymonie?*
- Jako żywo! Jeśli tylko sił starczy.*
- A zatem, do obaczyska!*



*Portugalia w tym czasie była przodującym krajem Europy, a Lizbona – głównym ośrodkiem wypraw odkrywczych. Infant Don Henrique, portugalski książę znany pod imieniem Henryka Żeglarza, założył na Przylądku Świętego Wincentego szkołę żegluga i ośrodek wiedzy o morzu, dokąd ciągnęli ambitni żeglarze z całej Europy i nie tylko. Henryk subsydiował wyprawy na Atlantyk, głównie wzdłuż zachodniego wybrzeża*

Afryki. Jego kapitanowie odkryli siedem Wysp Azorskich, o których mówiono, że są na krańcu świata i poza nimi nie ma już nic, tylko spieniony ocean. Portugalczycy skolonizowali je, podobnie jak odkrytą wcześniej grupę wysp Madery i Zielonego Przylądka na zachód od Afryki.

Księcia Henryka szczególnie interesował czarny kontynent. Z biegiem lat jego kapitanowie docierali coraz dalej na południe wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki i w czasie kiedy Jasiek przybył do Sagres, swobodnie wpływali już na Zatokę Gwinejską. Flotyllę ożaglowanych na sposób laciński karawel – szybkich i odpornych na burze, specjalnie zbudowanych dla handlu z Afryką – każdej wiosny wyruszały z Lizbony, wioząc czerwone tkaniny, szklane paciorki, dzwoneczki i konie, jesienią zaś wracały z obfitym ładunkiem kości słoniowej, złotego piasku, pieprzu oraz czarnych niewolników.

W czasie kiedy Turcy odbierali Italii handel z Lewantem, Lizbona stawała się najważniejszym ośrodkiem dróg handlowych, obejmujących ogromną przestrzeń od Islandii, poprzez Wyspy Azorskie, aż do Złotego Wybrzeża.

W lastadiach i warsztatach korabniczych Portugalii rodziły się nowe typy statków przystosowanych do wielkiej żeglugi, lekkie karawele i ciężkie okręty o dużej wyporności, wyposażone w prostokątne żagle umocowane do rej. Nie stosowano w nich trójkątnych gaflowych żagli jak na karawelach. Ładowne nawy nie były przydatne do rejsów kobotażowych, ale znakomicie spisywały się podczas wielomiesięcznych rejsów do afrykańskich wybrzeży. Poza tym w swych pojemnych wnętrzach mieściły setki ton ładunków i czarnych niewolników.

Do bogatej Lizbony ściągali przedsiębiorczy kupcy i żeglarze ze wszystkich krajów, nie wyłączając najzamożniejszych miast włoskich. Korona portugalska umyślnie zachęcała do wypraw morskich, mogących przyczynić się do odkrycia nowych wysp oraz drogi do Indii wokół Afryki.

Lizbona była przy tym miastem oświeconym, w którym przybysz łatwo mógł się nauczyć łaciny i nowoczesnych języków europejskich oraz zaopatrzyć w księgi wzbogacające jego wiedzę o świecie.

Ponad 200 kilometrów na południe, na niewielkim cyplu z potężną twierdzą mieściła się najstynniejsza na świecie kuźnia talentów żeglarskich, Akademia Żeglarska Księcia Henryka. Przyjmowała uczniów z całego niemal świata. Byli w niej Portugalczycy i Hiszpanie, Francuzi i Flamandowie, Anglicy i Italczyki, a nawet przybysze z dalekich krajów

skandynawskich. Nie brakło i Maurów, Arabów, Turków, a nawet Persów. Byli w różnym wieku, dorastający chłopcy i mężczyźni dwudziestokilkuletni, którzy podobnie jak Jan, mieli za sobą doświadczenia na morzach.

Wszystkich traktowano tak samo. Od świtu do zmroku czas wypełniony był zajęciami. Uczono ich nie tylko astronomii i nawigacji, znajomości prądów morskich, ale także budowy okrętu, napraw i prostych czynności marynarskich, bez jakich nie można wyruszać na morze. Wiele czasu spędzali na przystani, gdzie wspinali się po omasztowaniu, wiązali liny, zwijali i rozwijali żagle, na co dzień przyswajając sobie żeglarskie nawyki, które często na morzu ratują życie. Powtarzali je w nieskończoność i choć niektórym paniczkom z dobrych domów mogło się to wydawać nudne i bezcelowe, spełniało swoje zadanie. Wykonywanie pewnych czynności powinno stać się odruchem, wtedy gdy na morzu fala jest wyższa niż dom, a okręt w każdej chwili może się wywrócić, trudno opanować strach, a trzeba pracować. Wtedy zamiast myślenia – mawiał ich instruktor, mistrz Juliano Gomez – zbawiennym staje się nawyk.

Jan przywykł do palącego słońca i szumu morza, który był tak głośny, że zagłuszał dźwięk własnych słów. Młodzi żeglarze chcąc się porozumieć, często krzyczeli do siebie. Nad ich głowami igrały mewy, przyzwyczajone, że czasem dostają od człowieka jakiś przysmak.

Do pracujących chłopców zbliżył się mistrz Juliano w czarnej szacie i czepku, jak zawsze z księgą pod pachą, w której zapisywał uwagi i obserwacje na temat postępów poszczególnych studentów. Były tam też pochwały, nagrody, jak choćby przepustki do miasteczka, ale i nagany. Christophoro, może piętnastoletni chłopak z Genui, pierwszy zauważył Juliana i ostrzegł kompanów gestem. Mistrz podszedł do nich i popatrzył, jak pracują.

– Żwawiej – zawołał. – Ruszajcie się... Poukładajcie te liny tak, jak wam mówiłem, w zwojach...

Christophoro spojrział na niego niewinnym wzrokiem.

– A co będziemy później robić, mistrzu Gomez?

– Po obiedzie poćwiczymy węzły, a wieczorem zaczniemy reperować żagle, te, które ucierpiały w ostatniej wyprawie księcia.

Chłopcy nie odpowiedzieli, tylko spuścili głowy, udając, że pilnie pracują.

– Coś nie tak, moi mili?

*Jan liczył na to, że będzie mógł wyjść do wioski i do portu, by przekazać list do Gdańska. Od dwóch tygodni miał już gotowe pismo, ale wciąż nie było statku płynącego na Bałtyk. Widział, że w porcie pojawiły się nowe karawele, i liczył, że być może właśnie trafi się okazja. Tymczasem znów będą szyli stare dziurawe żagle, które i tak rozpadną się po wyjściu z portu, jak tylko poczują odrobinę wiatru.*

*Płótno było już zbyt słabe, by wytrzymać taki opór.*

*– W takim razie cieszy mnie wasz zapal – rzekł mistrz i odszedł.*

*Nie komentowali ani nie narzekali. Wszak każdy wiedział, kim jest mistrz Gomez i jakich wyczynów dokonał. Był na statku, który jako pierwszy dotarł do Przylądka Zielonego, a kilka lat później wpłynął na Zatokę Gwinejską. Był nie tylko znamienitym żeglarzem, ale i miał prawo do tytułu odkrywcy, bowiem tam, gdzie dotarł, nigdy wcześniej nie stanął żaden chrześcijanin.*

*Po odejściu Gomeza trochę się między nimi rozluźniło. Ktoś rzucił dowcip, inni wybuchnęli śmiechem. Praca poszła żwawiej, a od czasu do czasu było słyhać chichot swawolnych młodzików.*

*Christophoro pracował w parze z Janem.*

*– Nudny dzień... – miał ochotę ponarzekać.*

*– Nie marudź, dobry żeglarz powinien umieć sam zrobić wszystko... I żagiel wylatać, i buty naprawić, i kurs dobrze wykreślić na mapie...*

*Christophoro pokiwał głową.*

*– Ale wolałbym na statku... Wczoraj mi się podobało, odbiliśmy kilka sążni\* od nabrzeża i naprawialiśmy pokład.*

*\* Dawna jednostka długości wynosząca od 170 do 215 cm (przyp. autora).*

*– Jeszcze popływamy...*

*– Tobie łatwo powiedzieć, boś już na dalekich morzach bywał, a ja jeszcze ni razu. Tylko tyle, co na kilka godzin, nie spuszczać brzegów z oczu.*

*– Jeszcze popływasz.*

*– Myślisz? – zapytał chłopiec z nadzieją w głosie.*

*– Tak, a teraz trzeba się starać, by mistrz Gomez zabrał nas na tę wyprawę do Afryki.*

*– Podobno kto się dobrze spisze, może dostać patent żeglarski...*

*– Racja, ale tymczasem chwyć te zwoje.*

*– No, razem, razem...*

*Dźwignęli ciężar i przenieśli go na kupę. Christophoro miał już dość.*

– Uff... Nareszcie...

Jan też był spocony jak mysz z wysiłku, ale jako starszy musiał nadrabiać minę. Próbował go pocieszyć.

– Ciężkie, to prawda, ale musimy się ćwiczyć w sile... Na morzu trzeba być gotowym na wszystko...

– Wiem, dlatego nic nie mówię.



Znów przez chwilę pracowali w milczeniu. Skończyli szybciej niż inni. Christophoro przysiadł ciężko i oparł się o stosy ułożonych lin.

– Juanito, już dawno miałem cię zapytać... Bo ten twój akcent, taki ciężki... Nie jesteś

Portugalczykiem?

– Nie, urodziłem się w Kolnie.

– A gdzie to jest?

– Na wschodzie, na Kaszubach. Niedaleko Gdańska. Ale i ty, Christo, nie pochodzisz z Portugalii...

– Nie, jestem z Genui. A do tej żeglarskiej akademii, tu w Sagres, zgodził mnie sam książę Henryk, jej założyciel...

– A ja na moją naukę zarobiłem na morzu – Jan lekko się uśmiechnął. – Trochę dostałem też od ojca, jak go widziałem ostatni raz. I od stryja Lucjana zwanego Brzozą, także z Kolna, znamienitego kupca, podróżnika i żeglarza...

– Toś ty z marynarskiej rodziny...

– Nie całkiem, tylko on podróżuje. Uciekł z domu, jak miał 15 lat... A ja poszedłem w jego ślady...

Szukałem go w Gdańsku, a znalazłem dopiero w Kopenhadze, gdzie osiadł.

– Niezłe ziółko z ciebie. Kawal świata już przewędrowałeś...

Jan skwapliwie skinął głową. Pochlebiał mu podziw kolegi.

– A mój ojciec był tkaczem, ale już nie żyje – ciągnął Genuńczyk. – I gdyby nie łaskawość dobrych ludzi, nigdy nie trafiłbym do akademii. Brat mój w Lizbonie uczy się na kopistę map... Jego promotorzy życzliwi są nam bardzo.

Jan wyjął z kieszeni kawałek papieru i odrobinę węgla. Jak zawsze w wolnych chwilach rysował statki pod żaglami, twarze ludzi, pracę

*marynarzy i budynki, starając się odwzorować na papierze panoramę portu Sagres.*

*– A wiesz, Christo – rzekł szkicując – co mi stryjko powiadał?*

*– No?*

*– Że ziemię, jakby kto chciał, mógłby wokół przepłynąć... I jakby na zachód wyruszył, to wprost do*

*Kataju i do Indii by dopłynął.*

*Christophoro rozejrzał się uważnie, czy nikt nie słyszy ich rozmowy, i rzekł przyciszonym głosem.*

*– I ja o tym słyszałem, także o cudnej wyspie Cipango, ale w akademii nie pozwalają o tym gadać.*

*– Właśnie... Ale kiedyś i tak tam popłynę...*

*– To ja z tobą, Juanito... Ale zanim do tego dojdzie, musimy uporać się jeszcze wieczorem z szyciem tych dziurawych żagli. Ciężka robota i niewdzięczna...*

*– Mistrz Gomez mówi, że każda jest wdzięczna, bo odplaca... A na te liny nie psiocz. Dobrze sklarowana lina na morzu i życie uratuje...*



## Relikwiarz

Robert skończył lekturę i jak zwykle w takich chwilach czuł niedosyt. W tekście nadal nie było ani słowa o wyprawie, podczas której powstał rękopis. Wszystko, co o niej wiedział, pochodziło z kronik klasztornych. Czy jednak ogólnikowe przekazy siostry Enkraty mogły stanowić ważny dowód? To zbyt mało, by wysnuć jakiegokolwiek wnioski co do przebiegu i wyników wyprawy. A bez tego wszystkie rozważania, osnute na dostępnych przesłankach, to tylko ekwilibrystyka wyobraźni. Najlepszy dowód to dyskusja na forum pod jego artykułem... Właśnie! Powinien tam zajrzeć.

Szybko spenetrował forum i okazało się, że od czasu jak zamieścił tam zdjęcia kilku stron manuskryptu, wszelkie dyskusje ustały jak nożem uciał. Czyżby to wystarczyło, by przekonać niedowiarków? Niemożliwe, nawet nie wiedzieli, w jakim języku go napisano. A nawet gdyby mogli poznać dokładnie treść, był to opis zalotów młodego chłopca do córki gdańskiego kupca. Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później stanie przed koniecznością sprawdzenia przesłanek, które wynikną z treści rękopisu. Brał pod uwagę również i to, że metoda porównawcza z innymi źródłami i weryfikacja zawartych w nim faktów historycznych mogą okazać się niewystarczające. Co wówczas powinien zrobić?

Po powrocie do klasztoru postanowił raz jeszcze dokładnie obejrzeć manuskrypt. Wziął silne szkło powiększające i zaczął po raz kolejny przeglądać go strona po stronie. Zatrzymywał się nad szczegółami, rozkładał zagięcia, zaglądał pod załamania papieru, porównywał zszycia poszczególnych kart...

Tu gdzieś musiał być klucz do rozwiązania zagadki, był tego pewny. Nie spodziewał się, że pod okładką znajdzie ściągę, która mu wszystko wyjaśni. Wiedział jednak, że ślady stanowiące dowody na prawdziwość



tego, co zawiera księga, były w zasięgu jego oka. Były, tylko że na razie on ich nie widział.

Jakby ktoś mówił do niego niezrozumiałym językiem. Słyszał głos, wiedział, że zawiera jakiś przekaz, ale nie mógł go pojąć. Coś mu chodziło po głowie, jak zapomniane słowo, które jest na końcu języka...

Odłożył dziennik „Mariny” i ponownie wrócił do analizy treści przesłanych fragmentów. Po raz kolejny szczegółowo przeczytał omówienia, wynotował niejasności, sformułował pytania, na które powinien szukać odpowiedzi. I to było wszystko, co na razie mógł uczynić. Z niecierpliwością czekał na następne tłumaczenia.

Nazajutrz w swojej poczcie znalazł tylko pozdrowienia od profesora Uljanowa z Moskwy, który dziękował za zamieszczenie zdjęć stron manuskryptu na forum, i emotikon przedstawiający mrugnięcie okiem, jako wyraz życzliwości od amerykańskiego nurka z Karoliny Południowej. Snując się po mieście, przy jednym ze sklepów, w którym kupował wodę mineralną, natknął się na pannę Trude Morensen.

Przywitali się jak starzy znajomi.

– Myślałam, że do mnie jeszcze zajrzysz – mówiła wolno, jakby ważyła każde słowo, zaglądając mu znacząco w oczy. – Znalazłam coś ciekawego, co mogłoby cię zainteresować.

– Co takiego?

– Wyobraź sobie, że w jednym z albumów wydanych przez Muzeum Narodowe w Kopenhadze znajdują się zdjęcia eksponatów pochodzących z naszego kościółka w Kirkjubøur. Średniowieczne płaskorzeźby na bokach ław.

Nie bardzo wiedział, do czego ta informacja mogłaby mu się przydać, więc okazał umiarkowane zainteresowanie.

– Chciałabym ci to pokazać, może warto, byś na to zerknął. Będę za godzinę w bibliotece, zapraszam.

Kiwnął głową i pożegnał się. Patrzył, jak Trude idzie wolnym krokiem, wdzięcznie poruszając biodrami. Czuł, że wie, iż na nią patrzy. Chciała go sprowokować? Uśmiechnął się, była jeszcze całkiem, całkiem... I nagle olśniło go. Średniowieczne płaskorzeźby w kościele w Kirkjubøur! Do tego cypla doholowano okręt, na którym przybył Jan z Kolna. A jeśli miejscowy artysta tworzący w tamtych czasach zawarł na nich jakąś informację? Koniecznie powinien to sprawdzić! Po godzinie był już w bibliotece.

Panna Morensen szybko wyszukała kolorowe wydawnictwo i otworzyła na wybranej stronie. Trzy zdjęcia pokazywały postacie, jak początkowo ocenił, apostołów.

– Ciekawe...

Dopiero gdy przyjrzał im się uważnie, dostrzegł rekwizyty z epoki średniowiecza. Okręt ze średniowiecznym sposobem olinowania, młyn wiatrakowy, księgę, a nie zwój, ciżmy, a nie sandały...

Uczniowie Jezusa nie mogli ich znać, a co dopiero posiadać. Rzeźbiarz nie użyłby takich rekwizytów, chcąc odtworzyć wizerunki biblijnych postaci. Szczególnie w czasach, gdy nad marginesem dowolności w sztuce czuwali słudzy Sacrum Officium.

Oglądał te trzy zdjęcia przez dłuższą chwilę.

– Tylko trzy?

– Jak widzisz.

– Mogło być ich więcej?

– Tak sądzę...

– Co się stało z pozostałymi?

Trude uśmiechnęła się zachęcająco.

– Zapytaj o to na miejscu, w Kirkjubøur.

– Powinienem tam rozmawiać z kimś szczególnym?

– Z Pallem Paturssonem. To jedyny człowiek, który może coś wiedzieć.



Do Kirkjubøur dojechał autobusem linii 101. Z przystanku zobaczył bryły czarnych domów z czerwonymi okiennicami i zielonymi darniowymi dachami. Niemal nad samą wodą stał kościółek z białą wieżą, a nieco z boku kamienne resztki katedry św. Magnusa. O jej dawnej wspaniałości mogły świadczyć pozostałości strzelistych łukowatych okien. W czasach swej średniowiecznej świetności budynek z pewnością imponował rozmachem.

Do jednonawowej bryły budynku przylegała zakrystia, a właściwie to, co po niej zostało. Miała mieć wysoką wieżę, ale nigdy jej nie zbudowano. Na przeszkodzie stanęli najeźdźcy. Jako że ich wiara była już zreformowana, postanowili pozbawić kościół katolicki wszelkich wpływów i przejąć jego własność.

Ostatniego biskupa wygnali w 1540 roku, a jego majątek włączyli do dóbr korony w stolicy odległej od archipelagu o tysiąc kilometrów. Do tego czasu przy katedrze funkcjonował kilkunastoosobowy klasztor franciszkanów. W najlepszych czasach było ich niemal stu. Potem nowy władca pozbawił ich dominium i przenieśli się do Tórshavn. Najpierw mieszkali po kilka osób przy rodzinach rybaków. Dopiero z czasem postawili swój budynek. Duńczycy nie robili im trudności. Może i z tego powodu, że większość mnichów umiała czytać i pisać, a była to wówczas umiejętność niezwykle rzadka i potrzebna w zarządzaniu Wyspami. Duńczycy zatrudniali więc często zakonników do prac administracyjnych.

W Farerczykach stara wiara tkwiła dość długo. Wielu pomagało franciszkanom w budowie nowej siedziby. Zakonnicy wierzyli, że odzyskają kościół i zabudowania w Kirkjubøur. Duńczycy mieli jednak inne plany. Założyli w nich składy wełny, skąd pakowali całe beły na okręty odchodzące do Szkocji i do Danii. Pewnej zimowej nocy w pierwszej połowie XVIII wieku z pobliskich szczytów zeszła lawina i pochłonęła część budynków. Bryła katedry również solidnie ucierpiała. Gdy śniegi stopniały, okazało się, że po budynkach klasztornych zostały jedynie resztki podmurówki. Miejscowi katolicy próbowali je odbudować, ale zabrakło środków. Protestanci chcieli pozyskać zabudowania do swoich potrzeb, ale uznali, że renowacja pochłonięłaby koszty przewyższające budowę nowych, więc zaniechali planów.

Robert przypomniał sobie fragmenty kronik, które niezwykle drobiazgowo opisywały te wydarzenia.

Szczególnie ciekawe były informacje dotyczące przeniesienia zbiorów bibliotecznych w bezpieczne miejsce. Księgi nie ucierpiały tak bardzo jak pozostały majątek klasztoru, który po prostu został rozkradzony przez najeźdźców. Woluminy, często cenne, oprawiane w specjalnie garbowane skóry i okładki ze srebra, wędrowały z mnichami. Przechowywano je w domach rybaków, w obszernych skrzyniach, a gdy franciszkanie znów zamieszkali razem, powoli przenoszono zbiory do siedziby klasztoru. Dziś księgi wypełniały wielkie przeszklone szafy w kilku pokojach na parterze.

Robert przeszedł wzdłuż resztek muru i po wschodniej stronie jego wzrok zatrzymały kamienne stelle, a właściwie część z płaskorzeźbą wyobrażającą ukrzyżowanego Chrystusa, jego matkę i Marię Magdalenę. Stanął przed nią i zaczął się jej przyglądać. W pewnej chwili zobaczył jaśniejszy fragment zaprawy. Wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć.

– Uważaj!

Ręka profesora zatrzymała się w powietrzu. Obejrzał się. Dwa metry od niego stał starszy siwy mężczyzna. Był wysoki, miał ogorzałą twarz i spokojnie się uśmiechał.

– Na co? – zapytał Robert.

– Aby nie ułamać. Szkoda by było.

– Mówi pan o tej świeżej zaprawie?

– Nie jest taka świeża, ma ponad sto trzydzieści lat – mężczyzna zaśmiał się wysokim głosem. – Ale w stosunku do tych kamieni jest młodziutka.

Profesor rozłożył bezradnie ręce.

– Te stelle kryły relikwiarz – powiedział mężczyzna. – W XVI wieku franciszkanie ukryli tu przed protestantami relikwie przechowywane w klasztorze. Miały być umieszczone w katedrze, gdy będzie gotowa...

– Nazywam się Robert Nowicki. Czy mam przyjemność z panem Paturssonem?

– Zgadza się. Pall Patursson we własnej osobie, jestem tu właścicielem i przewodnikiem...

– Można powiedzieć, że kustoszem muzeum...

– Bardzo pan łaskaw. Ale, niestety, nie mam odpowiedniego wykształcenia. To moja ziemia, wszystko, co się na niej znajduje, jest moją własnością, a wiem o niej tyle, co przetrwało w zapisach i w pamięci mojej rodziny i co przekazujemy sobie od siedemnastu, a nawet więcej pokoleń.

– To może być bezcenna wiedza – rzekł Robert. – Poprosiłem przeora franciszkanów, aby zadzwonił do pana i zapowiedział moją wizytę.

Patursson kiwnął tylko głową.

– Czym mogę służyć?

– Informacjami.

– Nie sądzę, bym wiedział więcej niż przeor. Poza tym nie jestem katolikiem...

– Ale żyjecie w zgodzie?

– A w czym to przeszkadza? Zgodzie na pewno nie, jemu i mnie również.

Pall rozejrzał się wokół. Nie było już zbyt wielu turystów. Podszedł do pary Anglików i zapytał, czy potrzebują przewodnika, ale powiedzieli, że właśnie się zbierają, by zdążyć na autobus.

– W takim razie zapraszam pana do środka – wskazał Nowickiemu duży drewniany dom. – Ma ponad dziewięćset lat. Pod takim dachem będzie się dobrze rozmawiało o historii.

Robert popatrzył na trawiaste poszycie. Darń rosła także na pokryciach wielu budynków w Tórshavn i w tych warunkach klimatycznych było to najlepsze rozwiązanie. Pall zaparzył dobrej herbaty. Gdy rozsiedli się w fotelach wyściełanych baraniami skórą, opowieść popłynęła sama.

– Nie będę pana nudził dziejami 33 biskupów, bo to wszystko znajdzie pan w kronikach klasztornych, które przy okazji opowiadają wyczerpująco o przeszłości diecezji. Społeczność katolicka była tu bardzo silna. Przy katedrze działało nawet seminarium duchowne, które pod koniec XII wieku ukończył Sverre Sigurdson, późniejszy król Norwegii.

Profesor kiwnął głową, znał te fakty. Jego bardziej interesowała sprawa remontu kościoła w 1874 roku.

– A konkretnie?

– Płaskorzeźby zdobiące boki ław kościelnych. Jestem ciekaw, czy zachowały się ich wizerunki?

Na twarzy Palla odmalowało się zdumienie.

– Skąd pan o tym wie?

– Z biblioteki.

Zaciekawienie zastąpił figlarny uśmiech.

– Klasztornej?

– Narodowej.

Robert zawahał się, a potem uśmiechnął.

– Ma pan rację, tam też warto poszperać.

– Z pewnością! Kto może lepiej znać tę historię niż zakonnicy? Przecież to oni prowadzili zapiski?

Nowicki pokiwał głową.

– Pan nie widział tych rysunków?

– Nie i nigdy nie miałem czasu ich szukać. Kiedyś nawet rozmawiałem o tym z przeorem, który powiedział, że udostępni mi kroniki klasztorne. Gdzieś tam powinny być te rysunki. Mogłyby posłużyć do rekonstrukcji, aby znów, jak dawniej, dzieła znalazły swoje miejsce w kościele. Niestety, brakowało czasu, jak zwykle zresztą. Poza tym, kto by dał pieniądze na płaskorzeźby? To sporo kosztuje.

Profesor był ciekaw, jak to się stało, że elementy wyposażenia kościoła w Kirkjubøur trafiły do Kopenhagi.

– Korona zawsze traktowała nas jak swoją własność. Po prostu byliśmy częścią Danii. Nie pytali miejscowych, czego chcą, ważne było to, co dobre dla Kopenhagi. W 1874 roku, kiedy zdemontowano co cenniejsze elementy kościoła, ktoś w stolicy postanowił, że zostaną przewiezione do Danii. Tam umieszczono je w Muzeum Narodowym... I to tyle.

– Są tam tylko trzy. Co z pozostałymi?

– Nie wiem – westchnął Pall. – Część być może uległa uszkodzeniu podczas lawiny w XVIII wieku...

– Wie pan, jacy to byli święci?

– Ściślej biorąc, nie tylko święci, również biskupi farerscy, a także ówczesni bohaterowie narodowi, znamienite osobistości ówczesnego życia. Niestety, nie znam dokładnie ich imion. Z tego, co się opowiada, był tam Gudmundur, ostatni biskup farerski, święty Krzysztof, jeden z królów Norwegii, ale już nie pomnę który, i święty Brendan. A także mój przodek, Nólsoyar Pall.

– A jednak... Święty Brendan również?

– Tak, a w każdym razie jakiś święty w łodzi.

– To ciekawe...

– Mimo wszystko nie ma dowodów, że święty Brendan tu był, że odwiedził Wyspy Owce.

– Jego „Navigatorium” wspomina jednak, że przybył na wyspy zamieszkane przez owce. Miał tu nawet spotkać jakiegoś pustelnika...

– Opisy nie są precyzyjne. Mogło chodzić o Wyspy Owce, ale równie dobrze o Orkady lub Szetlandy.

Tam też jest sporo owiec.

Nowicki pokiwał tylko głową.

– A jak to było z tym relikwiarzem za płaskorzeźbą?

– To są powszechnie znane fakty. Po demontażu co cenniejszych zabytków z kościółka, przez pewien czas nic się w nim nie działo. Co najwyżej raz na jakiś czas, szczególnie podczas świąt, przyjeżdżał pastor z Tórshavn i odprawiał mszę. Świątynia niszczała. Potem jednak, za mojego prapradziadka, nasza rodzina postanowiła o nią zadbać. Niewielkimi środkami, jakimi wówczas dysponowali, bez państwowych dotacji, porządkowali teren, usuwali kamienie, które pozostały po lawinie, zaczęli odnawiać mury. Podczas prac w 1905 roku jeden z robotników zauważył pęknięcie w płaskorzeźbie.

Chciał po prostu zaszpachlować to zaprawą, ale postanowiono zrobić to porządnie. Gdy wyjęto płaskorzeźbę do renowacji, okazało się, że za stellä kryje się wnęka zawierająca relikwie.

– Teraz rozumiem, skąd ta jaśniejsza smuga... – rzekł Robert. – Ponoć znaleziono wówczas siedem relikwii.

– Dokładnie. Wśród nich kawałki materiału z sukienki świętej Marii, relikwie krzyża świętego, podobno nawet sporą drzazgę, kości islandzkiego biskupa, świętego Torlakka, oraz świętego Magnusa.

– To cztery, a co z resztą?

– Nie zidentyfikowano. Przynajmniej wówczas nikt nie potrafił tego zrobić. Brakowało wystarczających dokumentów.

– Zachowały się ich opisy?

– Pobieżne... Zapamiętałem, że wśród nich była fajka w skórzanym etui, w którym znaleziono okruchy płatków jakichś kwiatów.

– Płatków?

– Właśnie...

– To interesujące.

– Czy ja wiem? Nie widzę w tym nic szczególnego. Jeśli fajka stanowiła jakąś pamiątkę, mogło się zdarzyć, że ktoś włożył tam jeszcze kwiat, który coś przypominał. Ludzie często zostawiają między kartkami książki liście, płatki kwiatów, zasuszone motyle...

Robert pokiwał głową.

– Ma pan protokół architekta, w którym jest to opisane?

– Trzeba by poszperać w archiwum państwowym przy Bibliotece Narodowej.

– Co stało się później z tymi przedmiotami?

– Tego nie wiem, w każdym razie relikwie, bo tylko o tym była mowa w raporcie, zostały ponownie zamurwane w relikwiarzu. Można przypuszczać, że podobnie postąpiono z pozostałymi znaleziskami.

Właściwie temat został wyczerpany, ale Pall był czarującym rozmówcą i, jak się wkrótce okazało, także bratem Trondura Paturssona, słynnego malarza, który nie tylko zaprojektował ozdoby w „SMS” – centrum handlowym w Tórshavn, ale przede wszystkim wstawił się udziałem w słynnej wyprawie Tima Severina w skórzanej łodzi szlakiem świętego Brendana. Wyprawa ta udowodniła, że irlandzcy mnisi, wyruszając w VI wieku na skórzanej łodzi od brzegów Zielonej Wyspy, byli w stanie osiągnąć na niej brzeg Nowego Świata.

Nowicki oczywiście świetnie orientował się w zawiłościach związanych z badaniami nad wyprawą świętego Brendana, ale był ciekaw, co o pokonaniu Atlantyku w tak siermiężnych warunkach sądzi ktoś, kto przeżył to na własnej skórze.

– Czy mógłbym się spotkać z pańskim bratem?

– Z Trondurem? – zdziwił się Pall. – Jeśli zdoła go pan przekonać. Nie jest zbyt rozmowny, zresztą nigdy nie był. To artysta i najlepiej wypowiada się w sztuce, wie pan, jak to jest...

– Mimo wszystko. Chciałbym go zapytać o dokładną trasę ich wyprawy. To, co przez wieki było tylko hipotezą, pański brat udowodnił własnymi czynami. Mnichom w VI wieku naprawdę mogło się to udać.

– I pewnie się udało.

– A jeśli im, to później braciom Zeno, Piningowi i Pothorstowi, Janowi Scolno...

– To interesujące, co pan mówi... Rzeczywiście, ciekawe, co Trondur by o tym powiedział... Ale przy tej rozmowie to chyba ja będę musiał być. Bo on nader niechętnie mówi po angielsku.

– Rozumiem...

– Rozczaruję pana. Umie, ale się wstydzi. Niech pan przyjedzie jutro po południu, brat będzie u mnie.



Robert usiadł w barze hotelu „Hafnia” i sprawdził pocztę. Liczył, że otrzyma nowy fragment omówienia manuskryptu od któregoś ze studentów profesora Konkola. Niestety. Załatwił więc bieżącą korespondencję i napisał do kustosa muzeum w Kopenhadze z zapytaniem, czy dysponuje wizerunkami innych płaskorzeźb z ław kościoła w Kirkjubøur.

Wypił kawę i udał się do Trude Morensen. Przyjęła go z uprzejmym, choć nieco chłodnym uśmiechem, którym próbowała ukryć zawód, że przystojny profesor z Polski po raz kolejny zapomniał o kwiatkach dla niej. Tym razem była mniej serdeczna, za to bardziej profesjonalna. Szybko sprawdziła, że w spisie zbiorów nie figuruje ani jeden oryginalny dokument opisujący otwarcie relikwiarza w 1905 roku. Były jedynie odpisy. A w nich brakowało jakichkolwiek danych na temat trzech pozostałych przedmiotów znalezionych w relikwiarzu. Określono wyłącznie cztery zidentyfikowane relikwie. Ani słowa o tajemniczej fajce w skórzanym futerale i owych



płatkach kwiatu. Może w spisie nie uwzględniono przedmiotów niemających charakteru relikwii? Trudno było dociekać o przyczynach po przeszło stu latach.

Do Kirkjubøur dojechał tym samym autobusem, co poprzednio. Pall i Trondur Paturssonowie czekali już na niego w starej zabytkowej chacie. Trondur rzeczywiście sprawiał wrażenie człowieka zamkniętego w sobie, na pytania odpowiadał monosylabami. Uśmiechnął się nieznacznie, gdy Nowicki wspomniał, że widział jego obrazy i rysunki w Bibliotece Narodowej, a wystrój wnętrza jego autorstwa w galerii handlowej „SMS” bardzo przypadł mu do gustu. Rozkreślił się jednak, gdy profesor pochwalił jego rysunki w książce Tima Severina, opisującej ich podróż skórzaną łodzią do Nowej Fundlandii. Pall służył za tłumacza, ale tylko wtedy, gdy przekładał słowa Trondura na angielski. Ten czasem poprawiał brata, jeśli użył niezbyt precyzyjnego sformułowania. Artysta świetnie rozumiał po angielsku, ale najwyraźniej nie przepadał za jego używaniem.

Trondur dokładnie wyznaczył odległości i czasy, które Nowicki wyrysował na mapie, rekonstruując pamiętną wyprawę. Wszystko się zgadzało. Czteroosobowa załoga na sześciometrowej łodzi uporała się z tą odległością w ciągu niespełna trzech i pół miesiąca. Z Irlandii do Islandii osiem tygodni i z Islandii do Nowej Fundlandii sześć tygodni.

Jan z Kolna, który wyruszył w drogę 800 lat po świętym Brendanie, bezsprzecznie miał większe szanse na sukces, bo posiadał lepszy okręt. Większy, solidniejszy, zabierający więcej marynarzy, ładunku, mający więcej masztów i powierzchni żagla, a co za tym idzie – szybszy. Tylko że... nikt nie wie, jaką trasę wybrał. Odpowiedź na to pytanie mógł przynieść jedynie manuskrypt.

Profesor podzielił się swoimi przypuszczeniami z Trondurem i Pallem. Ten pierwszy zgodził się z założeniem, że Jan z Kolna mógł dotrzeć do Nowej Ziemi.

– Mogli być na wodzie nawet kilka miesięcy bez dobijania do brzegu. Kwestia wody pitnej i pożywienia nawet dla kilkudziesięcioosobowej załogi nie była specjalnym problemem dla ludzi obznajomionych z życiem na morzu. Więc jeśli nie zabrakło im ducha, a z tego, co pan mówi, nie wygląda na to, ich wyprawa mogła dotrzeć do kontynentu. Powiadam, mogła... Bo nie ma danych, jaką trasą poszli, ile trwał rejs... Nic właściwie nie wiemy. Ja tylko potwierdzam, że praktycznie, biorąc pod uwagę

wszelkie możliwości techniczne i nawigacyjne dostępne w tamtych czasach, byłoby to możliwe.

Na pożegnanie Trondur podarował Robertowi książkę Tima Severina z dokładnym opisem swojej podróży współczesnym „Świętym Brendanem”.

– Może z tej lektury wyniknie dla pana więcej niż z moich opowieści – rzekł płynnie po angielsku.

Wymienili uśmiechy. Nowicki pożegnał się i ostatnim autobusem odjechał do Tórshavn. Przed powrotem do klasztoru ponownie sprawdził pocztę. Zastępca kustosa z Kopenhagi donosił, że w muzeum są trzy płaskorzeźby z Kirkjubøur, a w archiwach znalazł tylko zapis, że kościółek na półwyspie pierwotnie posiadał ich czternaście. Co stało się z pozostałymi, tego nie wiedział.

*Jeśli uzyska pan wiadomość, jak potoczyły się ich losy, proszę dać nam znać. Z przyjemnością podamy tę informację w naszym biuletynie.*

Poniżej widniał podpis – profesor Sigismond Olson i pozdrowienia.



Robert do późna siedział w bibliotece, wertując tomy kronik klasztornych. W drugiej połowie XIX wieku kronikarze pisali już po duńsku. Musiał poprosić brata Grdena, by pomógł mu w poszukiwaniach.

Zakonnik przystąpił do pracy z ochotą, tym bardziej że w związku z tym przeor zwolnił go z codziennych zajęć. Dla Grdena była to przygoda, zapewne nie na miarę kibicowania ukochanej drużynie piłki nożnej, ale z pewnością wspanialsza niż zmywanie schodów czy dyżur w kuchni.

Mijały godziny, a oni nie posuwali się do przodu. I gdy wydawało się, że poszukiwania spełzną na niczym, wreszcie udało się znaleźć tom, w którym natrafili na dwanaście rysunków przedstawiających płaskorzeźby z boków ław kościelnych. To na pewno nie było dwunastu apostołów. Trzy spośród rysunków Robert rozpoznał jako te, których fotografie znalazł w albumie wydanym przez Muzeum Narodowe w Kopenhadze. Sporządzono je schematycznie. Rysownik, zapewne ówczesny kronikarz, nie był szczególnie uzdolniony. Robert porównał je ze zdjęciami z albumu. Były na tyle dokładne, że pozwalały rozpoznać detale. Zatem w stosunku do pozostałych można było przyjąć hipotezę, że również dość wiernie oddają szczegóły.

Z zapisków kronikarza wynikało, że na płaskorzeźbach oparcie umieszczono dwanaście postaci męskich i dwie postaci kobiece. Marię Magdalенę i Matkę Jezusa.

Nowicki sfotografował wszystkie rysunki. Jedna z męskich postaci trzymała pastorał, a na jej głowie było widać coś, co przypominało mitrę biskupią. Także w innych wizerunkach dostrzegł elementy, które wykluczały fakt, że przedstawiają apostołów.

Do biblioteki zszedł przeor. Wspólnie udało im się ustalić, kim są bohaterowie rzeźb. Ojciec Roscoe potwierdził, że był wśród nich ostatni z farerskich biskupów Gudmundur i król Norwegii Sverre Sigurdson. To było bezsprzeczne. Osobnik, którego początkowo brali za św. Franciszka, okazał się Nólsoyarem Pallem, narodowym bohaterem Farerczyków, a towarzyszące mu malownicze ptaszki były ostrygojadami, stanowiącymi symbol niepodległości Wysp Owczych. A zatem postacie z ław kościoła św. Olafa obok uznanych świętych przedstawiały osoby ważne dla miejscowej społeczności na przestrzeni kilku wieków.

Kim byli pozostali? Kogo rzeźbiarz ujął na dwóch brakujących wizerunkach? Robert czuł, że odpowiedź na to pytanie może mieć wpływ na jego badania dotyczące tajemniczej podróży Jana z Kolna.

Wertował wraz bratem Grdenem kroniki, ale nie znaleźli żadnej wskazówki ani tomów kronik, które mogłyby coś o tym wspominać. Po szczegółowej kwerendzie udało im się ustalić, że w spisie kronik klasztornych z 1939 roku widnieją wszystkie tomy zapisków. Na półkach brakowało jednak kilkudziesięciu woluminów.

Data sporządzenia spisu była znamienna i od razu skojarzyła się Robertowi z nalotami na archipelag podczas drugiej wojny światowej, o których pierwszego dnia opowiadał mu ojciec Roscoe. Być może zguby należało szukać na terenie obecnej bazy wojskowej NATO w Sørvagur na wyspie Vagar.

Profesor zapytał przeora, co o tym sądzi.

– Znam pułkownika, który jest tam dowódcą stacji radarowej. Zadzwoń do niego...

– Będę ojcu wdzięczny.

– Nie ma za co, wszak chodzi o majątek zakonny – uśmiechnął się ojciec Gilbert.

Jeszcze tego samego popołudnia z bazy nadeszła odpowiedź, że wojsko nic nie wie o żadnym depozycie z klasztoru. Dowódca sugerował, że być

może w trakcie zawieruchy wojennej i ewakuacji Anglików po zakończeniu wojny depozyt wraz z mieniem wojskowym został wywieziony do Anglii.



W czytelni Biblioteki Narodowej zastał go zmrok. Robert szperał w starych opracowaniach miejscowego towarzystwa historycznego, próbując znaleźć klucz, według którego dobrano postacie z oparć ław kościoła św. Olafa. Mimo pomocy panny Morensen jego poszukiwania zakończyły się niczym. Bibliotekarka chyba miała ogromną ochotę, by odprowadzić ją do domu, i nawet proponowała mu drinka u siebie, ale wymówił się koniecznością powrotu do klasztoru przed kompleta. Pożegnali się po wyjściu z budynku. Na dworze panowała już szarówka. Ulice opustoszały, tylko w kilku barach, które mijał, tętniła muzyka. Dochodziła na ulicę przez uchylone okna. Przez nie widać było tańczących. Turyści wszędzie lubią się bawić.

Powiał chłodny wiatr. Profesor mocniej otulił się kurtką i przyspieszył kroku. Miał wrażenie, że deszcz niemal wisi w powietrzu i że rozpada się, nim dojdzie do klasztoru. Faktycznie, kilkanaście kroków dalej poczuł na swojej twarzy pierwsze krople. Nagle u wylotu uliczki, od której dzieliło go najwyżej kilkanaście metrów, pojawiło się auto, ciemny volkswagen passat. Miał wygaszone światła.

Samochód gwałtownie skręcił, aż zapiszczały hamulce, a następnie przyspieszył. Dopiero kilkadziesiąt metrów dalej kierowca włączył światła. Z tej odległości Robert nie był w stanie dostrzec tablic rejestracyjnych.

Gdy mijał uliczkę, z której wyjechał passat, usłyszał jakiś dźwięk. Jakby westchnienie. Nic jednak nie dostrzegł. Zatrzymał się na chwilę i wtedy zauważył, że przy podmurówce jednego z domów coś się poruszyło. Oczy przyzwyczajone do zapadającego zmroku wyłoniły leżącą na ziemi postać. Robert podszedł bliżej. To była kobieta. Poruszyła się, próbując wstać. Pomógł jej. Poznał ją dopiero po chwili, po wijących się kosmykach zmierzwionych włosów. Jej twarz była powalana błotem, a po policzku spływała krew.

– To pani? – zapytał zaskoczony. – Co się stało?

Nie odpowiedziała. Patrzyła wystraszonym wzrokiem i milczała, z jej oczu płynęły łzy.

– Jest pani ranna? Może się pani ruszać?

Załkała. Wziął ją w ramiona i podniósł. Stała o własnych siłach, ale była roztrzęsiona.

– Ten samochód panią potrącił? To był wypadek?

Znów żadnej odpowiedzi. Nie mógł jej tu zostawić.

– Mam wezwać pogotowie albo policję?

Spojrzała na niego przytomnym wzrokiem.

– Nic się nie stało – powiedziała cicho.

– Właśnie widzę. Uważam, że powinniśmy zawiadomić policję.

– Nie, poradzę sobie...

– Trzeba zrobić opatrunek.

– Poradzę sobie – rzekła, trwożliwie rozglądając się na boki.

– Mieszkam kilka kroków stąd, mam apteczkę.

Zgodziła się pójść z nim, dopiero gdy zagroził, iż wezwie ambulans. Stąd do klasztoru było nie więcej niż pół kilometra. Lekko utykała. Przytrzymał ją ramieniem.

Gdy dotarli na miejsce, furtian otworzył drzwi. Profesor wprowadził dziewczynę do sieni i pochwycił zaniepokojone spojrzenie zakonnika.

– Miała kłopoty. Tutaj poczeka, ja zaraz wrócę. Zrobię jej opatrunek i wezwę taksówkę, która odwiezie ją do domu.

Brat bez słowa odszedł w głąb budynku. Robert pochylił się nad dziewczyną.

– Proszę tu poczekać, zaraz wrócę... Przepraszam, ale takie są reguły tego domu, nie mogę pani zaprosić dalej.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, jakby chciała zapytać: „A więc jesteś mnichem?”, i opuściła wzrok. Przysiadła na piętach, opierając się o ścianę.

O tej porze bracia byli w swoich pokojach, wielu zapewne już położyło się na spoczynek. Miał środki opatrunkowe w swojej podręcznej apteczce w plecaku. To powinno wystarczyć. Kiedy wrócił po trzech minutach, dziewczyny już nie było. Nie domknęła drzwi. Wyjrzał na zewnątrz. Wszędzie panował spokój i cisza. Z daleka usłyszał warkot silnika przejeżdżającego samochodu.

Nazajutrz szukał jej, zaglądając do kawiarni i barów hotelowych, ale bez rezultatu. Przepadła jak kamień w wodę. Chciał się umówić z Dalmorem, bo spodziewał się, że od niego zdoła wyciągnąć coś więcej na jej temat. Ale telefon Ryszarda nie odpowiadał. Postanowił więc pokrzepić

się kawą w jednym z barów w pobliżu przystani i przy okazji sprawdzić pocztę.

Wreszcie doczekał się na omówienie kolejnego fragmentu manuskryptu. Od razu zabrał się do czytania...

## Patenty

*Akademia nie organizowała regularnych rejsów. Zdarzało się, i to często, że wychodzili w morze na pół dnia, aby przećwiczyć nawigację lub czynności techniczne związane z montażem bądź naprawą ożaglowania na wodzie, ale dłuższe rejsy pozostawały na razie w sferze marzeń.*

*Minęło sporo czasu, zanim po dwóch, trzech, rzadko czterech mustrowano ich na statki kapitanów, którzy ongiś uczyli się rzemiosła żeglarskiego w Akademii Księcia Henryka. Jan miał okazję pływać na Madere, a także na Azory. Raz znalazł się na karaweli, która poszła na Kanary, a pod koniec drugiego roku nauki wysłano go na rejs po Morzu Śródziemnym. Dopłynął wówczas do Ziemi Świętej i do Aleksandrii. Bywał też w portach greckich i na Cyprze. Poznał przystanie tunezyjskie i sycylijskie. Po czterech miesiącach wrócił do Sagres, skąd razem z Christophorem poszli do Maroka. Genuńczyk popłynął stamtąd do Zielonego Przylądka, a Jana wysłano na północ. Minęli Irlandię, dobili do Szetlandów. Tam zostawili towary, wzięli inne i popłynęli w stronę Islandii. W załodze byli ludzie od dawna obcy z morzem.*

*Pewnego dnia burza zagnała ich na skały podwodne. Wyratowali się z trudem, ale nawa została poważnie uszkodzona. Znaleźli przytułek na skalistym wybrzeżu niewielkiej wysepki, oblanej zewsząd burzącym się morzem. W maleńkich chatynkach dali im schronienie gościnni ludzie, odziani jedynie w skóry zwierząt. Tam musieli przeczekać kilka dni, nim nadpłynie jakiś rybacki statek albo większa łódź, która zabralaby ich na stały ląd.*

*Gospodarz, u którego zatrzymał się Jan, był niewysoki i śniady. Miał długie, niemal granatowe włosy i płaski nos. Jego mała żona zwijająca się żwawo, byle tylko obsłużyć niespodzianych gości, wyglądała, jakby była jego siostrą.*

*Z tym człowiekiem wdał się Jan w rozmowy, długie, ciągnące się nieraz do późnej nocy. Powiadał mu ów rzeczy niepodobne do prawdy, że poza Grenlandią nie ma skraju świata, jak powszechnie mniemano, tylko ciepłe morze, a za nim rozciąga się inny ląd.*

*– Wierzyć się nie chce... – mówił Jan, choć chętnie nastawiał ucha na te opowieści.*

*– Ale tak jest, panie – upierał się niewielki człowieczek. – U nas od dawna o tym wiadomo.*

*Powiadali ojcowie, jako statki wikingów dotarły w tamto miejsce, tylko że nikt już nie wrócił. Osiedli w owych bogatych ziemiach, nie śpieszyło im się z powrotem. Lepiej im tam było niż tu, gdzie zima zimę goni, gdzie ciężko wyżyć z dnia na dzień.*

*– Jakby to mogło być? – dziwił się Jan. – Wiedzieli ludzie o tym, a nikt się nie pokusił, by tam płynąć, zobaczyć?*

*– Nie tak to łatwo, panie, popłynąć. Straszne tu wody, lodowych gór pełno i ciemność nocy na nich przez wiele dni. Pani Północy, biała upiórzyca, na statki czyha, nie dopuszcza ludzi do swojego królestwa. Mężny musiałby to być człek, nieznający lęku, który by się odważył.*

*– Baśń to tylko...*

*Gospodarz wstał ze swojego zydła i znikł w komorze obok izby. Wrócił za chwilę, trzymając w dłoni kawałek drewna.*

*– Spójrzcie, panie! To wyłowił mój ojciec na wodach, daleko stąd ku zachodowi, gdzie się za fokami zapuścił. Widzieliście kiedy takie drzewo?*

*Jan musiał przyznać, że nie. Miało barwę odmienną i odmienny rysunek słoju od wszystkich drzew, jakie znał. I widać było, że jest obrobione ludzką ręką. Stanowiło zapewne część jakiego narzędzia.*

*– Morze to przyniosło. A nie z Islandii ani z Grenlandii, bo tam nic takiego nie rośnie. Ani od ziem ze wschodu, bom już pokazywał to różnym rybakom i żeglarzom, co tu czasem na te wody zabłądzą, a żaden nie mógł powiedzieć, z jakiego drzewa to uczynione. Przywiał to zachodni wiatr, tedy od zachodu przyszło. Musi tam być jakowyś ląd, jeśli drzewa rosną. Mówił mój ojciec, że już jego ojcowie powiadali, a i między ludźmi na północy uparcie się głosi, że za morzem zimnym rozlewa się morze ciepłe, a za tym morzem ląd.*

*Jan w zadumie kiwał głową, ważąc w dłoni kawałek nieznanego drewna.*



– Powiadają także, że dawno, dawno, wiele wiosen i zim temu przywędrowali tu ludzie z owego lądu. Potężne wichry zagnały ich aż do naszej wysepki. Jednak nie mogli wytrwać w naszych mrozach i wszyscy prędko pomarli. W rodzie starej Peliotte, która już nie żyje, trzymali od tych ludzi naszyjnik i kawałek skórzanego ubrania. I odmienne to było od wszystkiego, co kiedykolwiek widziały nasze oczy.

– Nie może to być. – Jan tylko kręcił głową z niedowierzania.

– Ale jest, a stare legendy mówią o tym wyraźnie.

Jan zamknął oczy i przeniósł się myślami do akademii, gdzie jakiś czas temu jeden z armatorów i kapitanów, absolwent tej uczelni, będący także ich instruktorem, opowiadał, że 450 legoa\* na zachód od Przylądka Świętego Wincentego znalazł kawałek drewna bardzo misternie obrobiony narzędziem krzemienym. Od innych żeglarzy słyszał, że na zachód od Azorów napotykali łódki z szalasami, przy czym stateczki te nie przewracały się nawet podczas dużej fali. Tam też widywali dryfujące olbrzymie konary w porze, gdy wiały silne zachodnie wiatry. Na brzegu azorskiej wyspy Faial marynarze znaleźli trupy ludzi o szerokich twarzach i „niechrześcijańskim wejrzeniu”. Jeden z nich opowiadał mu, że kiedyś sam na własne oczy widział, jak morze wyrzuciło na brzeg Porto Santo gigantyczne kolankowate lodygi. Były one tak wielkie, że pomiędzy ich rozgałęzieniami można było pomieścić wielkie gąsiory wina. Pewnikiem przygnał je zachodni wiatr. Czyżby z owego dalekiego lądu? Miałby to być ów Kataj lub Cipango? A może jakieś ich wschodnie prowincje, do których jeszcze nie dotarli Europejczycy?

\* Około 2700 kilometrów (przyp. autora).

Jan zadumał się głęboko.

Kilka dni później statek rybacki zabrał ich do Islandii. Odholowali też uszkodzoną karawelę, a sami wrócili do Sagres. Długo tam nie zabawili. Wkrótce Jan wraz z Christophorem zostali przydzieleni na okręt mistrza Gomeza i w trzy karawele poszli do Zatoki Gwinejskiej. W połowie rejsu, jako praktykantom, przydzielono im inne zadania. Obaj pełnili obowiązki bosmanów, a w drodze powrotnej asystentów oficerów nawigacyjnych na swoich wachtach. Wyprawa zajęła im pół roku. Na następne wyszli już jako asystenci dowódców okrętów należących do najdalej pływającej floty handlowej świata. Żeglowali od Islandii nieomal do równika, od Ziemi Świętej na wschodzie do najdalszych Wysp Azorskich na zachodzie. Jan opanował nawigację w sposób dostępny tylko temu, kto przeszedł służbę na

statku od prostego majtka do kapitana. Umiał sporządzać mapy morskie oraz określać szerokość geograficzną według Gwiazdy Polarnej. Prócz tego był gorliwym czytelnikiem książek z dziedziny geografii i kosmografii.

Klasyków antycznej i średniowiecznej geografii poznawał jednak nie z oryginałów, lecz z drugiej ręki. Podzielał on także wiarę owych nieśmiałych kompilatorów w nieomylność wielkich autorytetów, chociaż czasem podawał w wątpliwość kanoniczne twierdzenia Ptolemeusza.

Zasadniczą wagę przywiązywał jednak nie do lektur, lecz do doświadczeń w obcowaniu z ludźmi różnych stanów i pozycji społecznych. Sprawdzało się to nie tylko na pokładzie okrętu na wzburzonym morzu, ale też w tawernach portowych i przy straganach przekupniów. Poczul, jak jego wiedza krzepnie, gdy teoria wyniesiona z przeczytanych ksiąg zaczęła przekładać się z codziennym doświadczeniem.

W końcu, po trzech latach ich nauka dobiegła końca.



Na dziedzińcu twierdzy od rana panował wielki ruch. Dekorowano kolumnady, wnoszono stoły, ustawiano przekąski. Wreszcie zgromadzili się tam wszyscy członkowie akademii, zagrały fanfary i na honorowym miejscu zasiadł książę Henryk, patron i fundator najszynniejszej uczelni dla żeglarzy.

Zagrały werble i herold ogłosił:

– Mistrz Juliano Gomez, rectorus academiae, mówić będzie...

Gwar uciszył się. Gomez, jak zwykle w swoim czarnym kaftanie, przystrojonym tym razem orderem, stanął obok księcia.

– Ogłaszam wszem i wobec... – obwieścił uroczystym tonem – że za umiejętności wykazane podczas wypraw do Zatoki Gwinejskiej i po wodach Morza Śródziemnego książę Henryk Żeglarz, fundator naszej akademii, postanowił przyznać patenty oficerskie następującym adeptom: Christophoro Colon z Genui, Jan z Kolna, Francesco Fernandez z Kastylii... Wszyscy oni od dziś mają prawo nie tylko do samodzielnego żeglowania, ale i do przewodzenia wyprawom oraz noszenia kordzików księcia

Henryka, jako znaku ukończenia jego akademii.

Wszyscy trzej, ubrani odświętnie, przystąpili do księcia, a ten wręczył im zwinięte w rulon dyplomy i kordziki oficerskie.

Godzinę później uczta trwała już w najlepsze. Zajadali przednie dania z kuchni księcia, zapijając winem kastylijskim.

Jan, mimo uroczystej chwili, nie był jednak w najlepszym nastroju. Od prawie roku nie miał wiadomości od Maryni, a przecież te nauki i patent były też i dla niej. Nie tylko, rzecz jasna, bo i ojcu chciał udowodnić, że droga, którą wybrał, jest słuszna, i stryjowi dać zadowolenie, że pieniądze, które przeznaczył na jego naukę, nie poszły na marne. Sam był dumny z siebie. Wyobrażał sobie, jak pojedzie do Gdańska, zapuka do drzwi kamieniczki na Długim Targu i poprosi o rękę Maryni. Tymczasem panna milczała. Listy, które wysłał Jan, nie przynosiły odpowiedzi. Czuł, że powinien jak najszybciej płynąć do Gdańska i całą sprawę wyjaśnić. Ale czasem nachodziły go wątpliwości, że oto panna, poznaawszy innego kawalera, rękę mu przyrzekła i o swoim Jaśku zapomniała. Bo co z dala od oczu, to i łatwiej z serca wyrzucić, a gładyrzy w Gdańsku nie brakowało. Każdego dnia przyływały nowe okręty, a na nich marynarze, chłopcy jak malowani. Wśród nich i oficerowie, a nawet kapitanowie, którzy z chęcią pojęliby piękną pannę z dużym posagiem.

Bo jeśli ona zwątpiła? W niego i w to, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy? Jakże to młodej dziewczynie tyle czasu na ukochanego czekać? Każdy miesiąc to wieczność, ba, każdy dzień bez jego widoku to męka. Z nim nie było inaczej. Gdy zasypiał i budził się, codziennie rozmyślał o Maryni. Co robi, czy zdrowa, o czym дума, z czego się śmieje i czym troska?

– Co z tobą, Juanito? – zapytał beztroski Fernandez. – Czym się smucisz?

– Nie smucę się, jeno rozmyślam.

– A zdradzisz nam zacny przedmiot swoich rozważań? – Parsknął wesołym śmiechem. – Panna li to czy przygoda jaka ci w głowie świta?

Jan pociągnął łyk wina i zabłyśły mu oczy.

– Teraz, jako prawowici żeglarze, możemy wystąpić o pozwolenie na wyprawę zachodnią... Żeby poszukać drogi do Kataju i Indii, o czym tyle razy rozprawialiśmy. Teraz nadszedł czas, kiedy możemy przejść od słów do czynów!

Christophoro aż klasnął w dłonie.

– Chwalić ochotę, ale nie tak szybko! Najpierw trzeba by dostać posłuchanie u księcia! Wszak szalupą nie popłyniemy, a i na najpodlejszą razem we trzech nas nie stać!

– Nie będzie to łatwe... I rezultat rozmów nie taki pewny...

– Ale od czegoś trzeba zacząć – rzekł Christophoro.

Jan szturchnął Fernandezę, który nagle zapatrzył się w lico dziewczyny roznoszącej wino.

– Widzisz ją? – zagadnął Jana.

– Jako żywo!

– A dałbyś radę odmalować jej wizerunek na papierze?

– Może dałbym...

– Co za to chcesz?

– Przyjacielowi zrobię to darmo.

– Juanito, proszę!

Jan dobył ćwiartkę papieru i węgiel, po czym kilkoma kreskami zrobił szkic, który oddawał spore podobieństwo dziewczyny.

– Już ci, ona sama, jak żywa! – zdumiał się Francesco. – Dasz mi? – poprosił.

Jan roześmiał się.

– Twoje, bierz.

Kastylijczyk rozpromienił się.

– Dzięki, przyjacielu!

Christophoro złapał go za rękę.

– Zapomniałeś?

– O czym? – Francesco zrobił zdziwioną minę.

– No masz... O naszej wyprawie do Indii. Co myślisz o naszych szansach?

– Seniores... – Hiszpan jakby dopiero się ocknął z głębokiego snu. – Ja oczywiście z wami... Poważę się na każdą imprezę, nawet najbardziej szaloną, skoro wy wystawiacie w hazard wasze życie i przyszłość...

Christophoro zatarł ręce.

– No, to jest nas trzech... Jutro poproszę mistrza Gomeza, aby się nam wystarał o posłuchanie u księcia.

– I tak czyn – rzekł nieco rozkojarzony Fernandez. Podniósł się i odszedł od stołu, podążając za białogłową ze stągwią wina.

– Zdziała co? – Genuńczyk mrugnął z uśmiechem do Jana.

– Znając go, zawsze stawia na swoim...

– Dlatego na spotkanie z księciem musimy go zabrać ze sobą.

Księżę Henryk miał kilka dni zabawić w Sagres, nim uda się na powrót do Lizbony, i mistrz Juliano zdołał wyrobić u niego posłuchanie dla trzech

*najlepszych żeglarzy z nowego rocznika.*

*– Rad bym ich poznać bliżej – rzekł. Ale kiedy stanęli przed nim i obwieścili mu swoje zamiary, zareagował zdecydowanie. – Nie, moi drodzy, nie zezwalam na to szaleństwo! Ani mowy nie ma...*

*Mistrz Gomez wystąpił o krok do przodu.*

*– Mości księżę, pozwól sobie powiedzieć...*

*– Nie, mistrzu Juliano... Znam twoje gorące serce i wiem, że wy wszyscy poważilibyście się na tę eskapadę, ale teraz to niemożliwe...*

*– Dlaczego?*

*Niewielu miało na tyle mocną pozycję, by zadać księciu takie pytanie, ale mistrz Juliano mógł to uczynić bez szkody dla siebie.*

*– Mam swoje powody...*

*Chwila milczenia przedłużała się. Gomez pojął, że posłuchanie młodych żeglarzy jest skończone.*

*Odwrócił się w ich stronę.*

*– Panowie, uzyskaliście już odpowiedź na wasze pytania.*

*Sklonili się i odeszli. Gdy znaleźli się za wielkimi drzwiami, halabardnik nie domknął ich i dzięki temu mogli usłyszeć, o czym księżę Henryk rozmawiał z mistrzem Juliano.*

*– Wspaniały pomysł, dzielni chłopcy... Ale to na razie nie wchodzi w rachubę... – rzekł księżę.*

*– Księżę, nie podałeś, jaki jest powód.*

*– A jakież być może, jeśli nie ten co zwykle? Jak uargumentowałbym tę wyprawę nuncjuszowi papieskiemu? O zezwolenie na wyprawę muszę prosić inkwizytora, a wiesz, jaki on jest... Wszędzie wietrzy diabła... On nie uznaje, że ziemia jest okrągła, a to jedyny argument, który pozwoliłby na szukanie innej drogi do Indii...*

*– Ale przecież jest okrągła...*

*– Ach, dajże spokój... Dzieci to nawet rozumieją, wyłączając niektórych purpuratów. Poza tym jest jeszcze inny powód, wiesz jaki...*

*– Pieniądze?*

*– Tak, szkatuła jest pusta... Ledwie starcza na bieżące potrzeby, a taka wyprawa pochłonięłaby mnóstwo złota...*

*Mistrz Gomez przez chwilę milczał, a potem rzekł z rozwagą.*

*– Ale te wydatki mogą się opłacić... Bo gdyby owi żeglarze odkryli nową drogę do Indii, jak zakładamy, szybszą od dotychczasowej, to wpływy*

*z handlu prędko pokryłyby te wydatki... A może tam, po drugiej stronie, odnaleźliby kopalnie złota? I inne dobra?*

*– Niewykluczone... Ale też i niepewne to przewidywania...*

*– Wasza Książęca Mość... Na zachodzie rozpościerają się wody niezmierzone. A tam niejedna wyspa, bogata w kruszce i inne dobra, może wyrosnąć na naszej drodze... A wtedy...*

*– Palcem po wodzie pisane. Zakładasz wyłącznie szczęśliwe zakończenie wyprawy... A ja muszę brać pod uwagę każdą możliwość... Bo na mnie spadnie cała odpowiedzialność za losy okrętu, ludzi i towaru... A jeśli się nie uda? W tej chwili nie możemy pozwolić sobie na takie straty...*

*– Czyli, Wasza Książęca Mość, odradzasz?*

*Książę Henryk westchnął głęboko.*

*– Na razie... Ale, mistrzu Gomez, żywię głęboką nadzieję, że za jakiś czas taka wyprawa będzie możliwa. Sam bym w niej wziął udział...*

*Ze strony mistrza Gomeza dało się słyszeć jedynie westchnienie.*

*– Król nie dołoży miedziaka – kontynuował książę. – Wiem o tym, bo już o podobnym projekcie rozmawialiśmy jakiś czas temu. Nie jest nowy, od czasu do czasu zgłasza się śmiałek, który rad by podjąć takie wyzwanie. Królowi Alfonsowi szkoda po prostu środków na przedsięwzięcie, w które nie wierzy. Liczy, że lepiej je spożytkuje, inwestując w znalezienie szlaku uważanego za pewny...*

*– Trudno odmówić temu racji... Choć, z drugiej strony, trudno też zrozumieć, że wzbrania się przed podjęciem wyzwania, które w rezultacie mogłoby przynieść Portugalii krocie. Gdybyśmy odkryli zachodnią drogę do Indii, mielibyśmy monopol w handlu na całą Europę... Zwróć uwagę, panie, że nasze, i tak korzystne położenie, stałoby się jedynym możliwym do przyjęcia dla całej lądowej Europy...*

*– Wiem to i ja... Ale co mogę zrobić? Król prosił mnie o doradztwo w poszukiwaniu szlaku wschodniego. A ta droga, choć długa i kosztowna, wydaje się jednak pewniejsza niż to, co zakładają projekta tej trójki...*



*Fernandez rozłożył bezradnie ręce i próbował nadrabiać uśmiechem, co w tej sytuacji nadało mu wyraz błazna. Christophoro szturchnął go w bok, jak przed laty, gdy zaczynali naukę w akademii i byli jeszcze wyrostkami.*

*– Poradź coś lepiej, zamiast się bałwanić.*

– Co ja mogę? Będzie wyprawa, to popłynę, macie moje słowo, ale sam statku nie dam, a z mieszka złota nie nasypię. Bo z pustego to i Salomon...

– Daj już spokój...

– Teraz, mości panowie, pożegnać was muszę. Idę odwiedzić pewną... damę. Do zobaczenia wieczorem! – Wybiegł przez bramę pałacu i zniknął. Tyle go widzieli.

Jan zasepił się, co nie umknęło uwadze Christophora.

– Dlaczego masz nos na kwintę spuszczoney, Juanie...

– Dużo by mówić...

– A mnie się zdaje, że sponsorów na naszą wyprawę powinniśmy poszukać poza Portugalią...

– U ciebie, w Genui?

– Raczej w Wenecji. To bogate miasto i, co najważniejsze, miasto kupców, a oni umieją liczyć każdego miedziaka. Trzeba spróbować.

– A ja napiszę o poradę do mojego stryjka. Mieszka w Kopenhadze i blisko dworu prowadzi interesy.

Może zechce uruchomić swoje wpływy...

– Życzę ci powodzenia Juanie z Kolna.

– A ja tobie, Christophoro z Genui.

– Coś czuję, że nadszedł czas, by powiedzieć: „Żegnaj Sagres, piękna Portugalia, wspaniała akademio... I drogi przyjacielu” ...

– Kiedy ruszasz?

– W tych dniach, jak tylko trafi się okazja... A ty?

– Takóż...

\* Źródła wielkich pomysłów są tak samo niedostrzegalne, jak źródła wielkich rzek. Przypadkowe spotkanie, wypowiedziane niechcący słowo podobne jest do iskry, z której od czasu do czasu rozgorzeje potężny płomień.

Janowi nieraz zdarzało się wysłuchiwać skarg żeglarzy i negocjantów, że takie to ciężkie czasy nadeszły, że nie ma drogi na wschód, że przekłęci Turcy wypierają Europejczyków i rujnują ich interesy. A kupcy byli ludźmi interesu, zaś geografię znali w swoisty sposób. Wiedzieli, że z Tany do

Brugii podróż trwa czterdzieści dwa dni, z Genui do Lizbony – półtora tygodnia, najdogodniej jest trzymać się takiego a takiego brzegu, obchodzić zaś bokiem takie a takie wyspy i przylądki.

Wiedzieli, że w Kalikacie czy Ormuzie cena pieprzu jest dziesięciokrotnie niższa niż w Aleksandrii.

*Z powodu braku czasu nie czytali dzieła Marco Polo, wiedzieli jednak, że w dalekiej Azji są takie kraje, jak Kataj, Persja, Indie i Cipango, i że wiele innych wschodnich krajów posiada nieprzebrane bogactwa.*

*Uważano, i miało to pokrycie w klasycznych dziełach starożytnych myślicieli, że większą część powierzchni ziemi zajmuje ląd – jednolita masa trzech kontynentów Azji, Europy i Afryki, mniejszą zaś morze. Zakładano, że odległość między zachodnimi brzegami Europy a wschodnim krańcem Azji jest stosunkowo niewielka. Pozostawał jednak do rozwiązania problem natury praktycznej – jaka jest długość owego morskiego odcinka drogi dookoła świata?*

*W ówczesnych sposobach określania odległości panował niestychany chaos. Niemalże każda prowincja posługiwała się swymi własnymi miarami, istniały legoa, mile, stopy, łokcie różnej długości, arroby, almuty i fanegi wielu objętości, a owa nieprawdopodobna różnaitość wcale nie peszyła żeglarzy i kupców. W gruncie rzeczy, jakie znaczenie mogła mieć określona we włoskich lub portugal- skich milach odległość między Lizboną a Londynem, jeśli podawano, iż żegluga trwała od ośmiu do dziesięciu dni. Rozpiętość czasu wynikała z tego, czy podczas rejsu wiały pomyślne czy też przeciwne wiatry.*

*Myśl o realności osiągnięcia Indii kursem zachodnim wyrażali dużo wcześniej Arystoteles i Seneka,*

*Pliniusz Starszy, Strabon i Plutarch. Uznawał ją także świat arabski i jego wielcy geografowie al-Masudi, al-Biruni i al-Idrisi. Przekonani o tym byli również Roger Bacon i Dante. Jednak z obawy przed karami inkwizycji nie rozgłaszano ich poglądów otwarcie.*

*Teraz jednak, gdy książę odmówił wsparcia przy organizowaniu wyprawy, głowę Jana zajmowało co innego. Postanowił udać się do Gdańska. Musiał sprawdzić, co dzieje się z jego Marynią. Był gotów wystąpić do imć pana Nagela o jej rękę, ale najpierw musiał się dowiedzieć, czy sama panna jeszcze tego pragnie. Wszak od czasu ich poprzedniego spotkania mogło wydarzyć się wiele. Wrócił do swojej izby i zaczął pakować wór marynarski. Skoro nie mógł pojawić się z pierścieniem zaręczynowym jako odkrywca nowej ziemi, chciał choć pokłonić się ojcu panny jako oficer z dyplomem.*

*W Sagres chętnie uczono cudzoziemców, ale mniej chętnie dopuszczano ich do żeglugi pod banderą króla Portugalii, a już w bardzo rzadkich przypadkach powierzano im stanowiska kapitanów i sterników.*



*Fernandezowi jednak się powiodło. Mógłby i Jan pójść w jego ślady, zresztą nawet poczyniono mu pewne propozycje w tym kierunku. Wiedział też, że gdyby wszedł w handel z Afryką i umiejętnie wykorzystywał nadarzające się okazje, po niewielu latach mógłby wycofać się z interesów jako człowiek zamożny. A może nawet król dałby mu jedną ze swych karawel dla badania brzegów Afryki – jak to uczynił z Diego Cao. Za odkrycie punktu na wybrzeżu Afryki położonego dalej niż ówczesnie znane został nobilitowany i pasowany na rycerza. Jan miał swój herb, lecz się z nim nie obnosił, nie o takie zaszczyty mu bowiem chodziło. Jedyne, czego brakowało mu do szczęścia, to majątku, by zyskać uznanie w oczach ojca Maryni. Czuł, że gdyby udało mu się wziąć z przyjaciółmi udział w wyprawie za kraj świata, podróż ta zakończyłaby się sukcesem, który zaćmiłby sławę żeglarzy wszystkich czasów. Dotarcie do krain Wschodu drogą na zachód gwarantowało bogactwa, o jakich się śniło największym wielmożom. Na razie jednak nic nie zapowiadało, że zdołają wyruszyć na ocean.*

*Kilka dni później popłynął do Lizbony, a stamtąd do Kopenhagi. Chciał dotrzeć do obietnicy danej*

*Maryni. Tęsknił za nią i marzył o niej.*



Nowicki szukał Dalmora, aby z nim porozmawiać o rudowłosej turystce i o tym, że znalazł ją poturbowaną na zapleczu jednego z barów. Spodziewał się, że Ina może coś o niej wiedzieć. Był ciekaw, jak się czuła po tamtej fatalnej nocy. W końcu nawet nie zrobił jej opatrunku, bo zniknęła. Pojechał do Dalmora, ale drzwi domu zastał zamknięte. Zrezygnowany wracał do klasztoru piechotą. Do Tórshavn było co najmniej pięć kilometrów. Na szczęście nie padało ani specjalnie nie wiało, więc potraktował ten spacer jak ruch dla zdrowia. Gdy znalazł się przed siedzibą zakonu, już z daleka zauważył zaparkowany przy głównych drzwiach samochód w kolorze khaki na duńskich numerach. Oparty o maskę stał żołnierz w polowym mundurze i palił papierosa. Co tu robiło wojsko?

Zagadka wyjaśniła się niebawem. Dowódca bazy wojskowej nakazał przetrząsnąć teren jednostki. Nie lubił, by żołnierze siedzieli beczynnie, a kilku szeregowców, którzy poprzedniego dnia nie wrócili na czas z przepustki, tkwiło w areszcie, paląc papierosy i dowcipkując.

Doprowadzało go to do szewskiej pasji. Zagonił ich więc do roboty, zapowiadając, że nie pozwoli im spać do czasu, aż nie znajdą depozytów. Była to oczywiście szykana i pułkownik zdawał sobie sprawę, że podwładni mogą to tak potraktować, ale nie przejmował się tym zbytnio. Nie wiedział, jak wygląda to, czego szukają, więc szukali właściwie igły w stogu siana. Miały to być stare książki, tyle wiedział od przeora i tak przekazał sprawę dalej.

Przeszukując koszarowe zakamarki, chłopcy znaleźli skrzynię ze szpargałami. Były tam też i jakieś książki, i zeszyty, z których, prawdę mówiąc, niewiele dało się odczytać.

– Niech sobie ojcuzłkowie sami zawracają tym głowę. Mają tylko pokwitować odbiór, żeby w papierach wszystko się zgadzało – pouczył kierowcę, którego mianował dowódcą patrolu. – A jak się dowiem, że który mi po drodze piwo wypił, to mycie kibli poza kolejnością przez dwa tygodnie murowane. A o przepustce, to... jeden z drugim będzie mógł sobie co najwyżej pomarzyć. – I z sardonicznym uśmiechem dodał: – Do końca kontraktu. Odmaszerować!

Przeor czekał już na Nowickiego z wypiekami na twarzy. Żołnierze zostali zaproszeni na poczęstunek, w czasie którego wprowadzie piwa nie było, ale wino lało się nieskąpo. Byli nad wyraz zadowoleni, bo okazało się, że ich wysiłek został doceniony i odpowiednio nagrodzony. Poza tym pułkownik nic nie wspominał o winie, do tego mszalnym... Kosztowali więc trunku z czystym sumieniem.

Tymczasem przeor z profesorem porządkowali zawartość skrzyni. Po godzinie Robert miał w ręku tom kronik klasztornych, w którym widniały dwa brakujące wizerunki płaskorzeźb. Jeden z nich przedstawiał świętego Brendana, a drugi postać mężczyzny opatrzoną napisem „Johannes Navigatorus 1477”.

Patrzył na prosty, schematyczny szkic z prawdziwym zachwytem. Przedstawiał potężnego mężczyznę w zwykłym kaftanie i butach ponad kolana. Długie włosy spływały na plecy, przy boku miał miecz, a na jednym ramieniu płaszcz lub pelerynę. Nowicki przypomniał sobie opis Jana z Kolna, jaki w „Wietrze od morza” zostawił Stefan Żeromski.

Biorąc pod uwagę, że rzeźby wykonano wiele lat po śmierci Jana, Robert miał świadomość, że powstawały wyłącznie na podstawie wyobraźni autora. Chyba że istniało źródło, z którego mógł zaczerpnąć. Niekoniecznie wizerunek, może tylko opis?

Przewertował dokładnie strony kroniki, chcąc odnaleźć dodatkowe informacje na temat Jana, ale jedyne, co udało mu się odszukać, to krótka adnotacja: „Johannes Navigatorus, bohater mórz i oceanów, który dokonał żywota w klasztorze na cyplu Kirkjubøur Anno Domini 1477”.

Sfotografował rysunek, by wysłać go profesorowi Svensonowi do Oslo. Pozostałe tomy kronik odłożył do skrzyni. Nazajutrz brat Grden miał się zająć ich skatalogowaniem.

## Swaty

*Jan wiedział, że wystarczy, iż stanie w swoim zwykłym miejscu na przedprożu przeciwległej kamienicy, a Marynia, jeśli tylko będzie w domu, zobaczy go z okna. Stał więc i czekał. Co rusz spoglądał w okno, lecz jak na złość było zasłonięte kotarami. A te ani drgnęły, jakby mieszkanie było puste. Mimo to czekał cierpliwie, licząc, że prędzej czy później będzie miał szczęście.*

*I rzeczywiście. Koło południa zobaczył Gretkę, która szła w stronę straganów na Chlebnickiej. Poszedł za nią. Gdy tylko skręcili w boczną uliczkę, Greta zatrzymała się na jego widok.*

*– Ależ pan odmieniony! I jaki piękny... – westchnęła.*

*Komplement zrobił mu przyjemność, ale był ciekaw wieści o pannie.*

*– Co z nią? Nie pisała ostatni rok!*

*– Była u wuja w Elbingu, gdzie ojciec i ciotuchna chcieli ją za mąż wydać.*

*– Za mąż? – jęknął. – Ach tak...*

*– Ale nie wydali, spokojna głowa...*

*Jan odetchnął.*

*– Że chcieli ją swatać, to i nie dziwota, bo panna piękna i o dobrym sercu, jak mało która... – rzekł cicho.*

*– I powiadają, że też już w latach, więc spieszą się ze znalezieniem odpowiedniego kandydata.*

*A takich, którzy spodobaliby się panu Nagelowi, nie masz w Gdańsku zbyt wielu.*

*Jan podkręcił płowego wąsa i rzekł pewnym głosem:*

*– To już jeden się pojawił...*

*Gretka zachichotała i zaraz spuściła oczy.*

– Panna Marynia przyjdzie na wieczorne nabożeństwo do Najświętszej Marii Panny. Będziemy same, bo pani ciotka w gości się wybiera.

– Rzeknij tylko, czy panna zdrowa?

– Zdrowa, choć czasem chorobę symulować musi, by za mąż nie iść i kawalerów nie przyjmować...

Ale pan Jan śliczny, aż oczy bolą. I ta szpada...

– Nie szpada to, tylko kordzik oficerski.

– Ho, ho, to pan Jan teraz wielki oficyjer... Ciekawe, co na to pan ojciec powie i pani ciotka...

– Już ty się o to nie martw, Gretka. A jedno ci powiem, że jak zgodę dadzą, to ci taką suknię na nasz ślub wyszykuję, że ci niejedna patrycjuszka zazdrościć będzie.

Gretka uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Naprawdę?

– Już dawnom o tym myślał. Należy ci się, za to wszystko, coś dla panny i dla mnie zrobiła!

– Och, jakbym chciała! Taką mieć jedną suknię, w której mogłabym na ślub panienki i później jeszcze na jaki bal pójść potańcować...

– Powiedz pannie, że będę na mszy!

– Pewno, że powiem. Chleb tylko kupię i wracam do niej.

W kościele było pustawo. Na wieczorną mszę w powszedni dzień nie schodziło się zbyt wielu mieszczan, a rzemieślnicy i robotnicy albo jeszcze pracowali w porcie lub swoich warsztatach, albo biesiadowali w gospodach, krzepiąc się jadłem i napojem po całym dniu ciężkiej pracy. Marynia siedziała za amboną, ale na uboczu, tak żeby nie rzucać się w oczy. Towarzyszyła jej Gretka. Podszedł do niej i wyciągnął ręce z uśmiechem, chcąc się przywitać.

– Nie tu siadaj, tylko z tyłu – powiedziała do niego oschłym tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ależ, Maryniu...

– Z tyłu, powiadam – rzekła z naciskiem – bo mnie zaraz cały Gdańsk na języki weźmie.

Postłusznie przeszedł do tylnej ławy. Spostrzegł, że dziewczyna chlipie. Gdy wytarła nos haftowaną chustką, zapytała:

– Co tak długo?

– Jak to, długo?

– Rok, mówiłeś, najwyżej półtora twoje nauki trwać miały. A trzy minęły...

– Ależ...

– O mały włos za mąż by mnie wydali za Grotgera. Musiałam chorobę symulować... A pan Delmer złoto i bursztyny przysyłał, pan Koenig marcepany i faworki, imć Doehmer sztukę jedwabiu prosto z Konstantynopola pod nogi mi rzucił... Wszystkich musiałam odprawić. Jednego, że za stary, drugiego, że mruk i zapach od niego idzie nieświeży, trzeciego, że oko ma krzywe...

– A miał?

– Zaraz tobie – syknęła – oko krzywe zrobię... Musiałeś się tak guzdrać? Panu Szmitowi to już myślałam, że się nie wywinę sprzed ołtarza, aż choroby serca i duszności dostałam. W końcu, jak już ustalili datę zaręczyn, to mu w zaufaniu rzekłam, że przychylna mu jestem, ale dzieci to mu nie urodzę, bom słaba na wątpiach i dziecko mnie zabije. Sam się oddelegował, dzięki Bogu... Pan ojciec orzekł, że już w Gdańsku kawalera na pewno nie znajdę, i odesłał mnie do swego brata w Elbingu...

Z ciotuchną... No, tam na szczęście mogłam sobie do woli chorować na serce, bo medyk młody był, durzył się we mnie i zaświadczał każdemu, żeby do niczego mnie nie zmuszali, bo mogę to życiem przyplacić.

Nieznacznie dotknął jej ramienia. Popatrzyła na niego łaskawiej.

– A ty co, masz ten patent oficerski czy nie?

– Jakżeby bez niego mógł się tu pojawić?

– Kiedy zamierzasz do ojca iść i o rękę moją prosić?

– Jak tylko od ciebie pozwolenstwo dostanę.

– Już od trzech lat je masz, więc nie wałkoń się. Pierścień masz?

Wydobył z sakwy pierścień z rubinem, misternej roboty, który nabył w Aleksandrii przed dwoma laty, i wręczył jej. Wzięła go, wsunęła na palec i z lubością popatrzyła, jak prezentuje się na dłoni. Na jej twarzy zobaczył uśmiech, za którym tak bardzo tęsknił...

– Piękny – szepnęła. – Dla mnie?

– Na zrękowiny... A jako gościniec z podróży masz to. – Podał jej małe zawiniątko, w którym było rubinowe serduszko oprawione w złote obramowanie, przez które przewleczono łańcuszek misternej roboty. – U tego samego Saracena w warsztacie złotniczym dostałem.

– Boże, jakie śliczności... – Spojrzała na niego płomiennym wzrokiem. – Myślałeś tam cały czas o mnie?

– *Jak Boga kocham...*

– *A mnie samą?*

– *Tak samo mocno! Albo i... mocniej!*

*Widać było, że słowa Jana sprawiły jej wielką przyjemność, ale zaraz spoważniała i rzekła ostrzejszym tonem:*

– *Nie wypatrywałaś tam jakiej białogłowy, kwiatów jej nie posyłałaś i liścików?*

*Jan aż zaniemówił.*

– *Rękę kładź na serce i odpowiadaj.*

– *Ależ Maryniu, maleńka moja...*

*Pogroziła mu palcem.*

– *Chciałabym ja przy twojej spowiedzi być, ale zakładam, że prawdę rzeczesz... Inaczej w piekle się smażyć będziesz, pamiętaj, że niewinnej dziewczyny oszukiwać nie wolno, bo to grzech śmiertelny.*

– *Jakbym śmiał.*

*Zadzwoił dzwonek i do ołtarza podszedł ksiądz.*

– *Jutro w swaty masz przysłać – szepnęła Marynia. – I jak najszybciej widzenie u pana ojca uzyskać*

– *rzekła, po czym na jej twarzy ukazał się anielski wyraz i w ślad za księdzem przeżegnała się, rozpoczynając udział we mszy.*

*Poszedł za jej przykładem, modląc się gorąco w podziękowaniu, że Bóg zachował ich uczucie, i prosząc, by był równie dla nich łaskawy podczas jego rozmowy z ojcem Maryni.*



*Pan August Nagel przyjął Jana w swoim kantorze, przekonany, że rozmowa będzie o interesach i sprawach handlowych. Gdy jednak Jan przyodziały w swój najlepszy strój, który zakupił w Konstantynopolu, z oficerskim kordzikiem przy boku, pokłonił mu się i wyłożył sprawę, kupiec na dłuższą chwilę oniemiał.*

– *Cóżeś rzekł, mości oficjerze?*

– *Że o rękę córki waszmość pana chciałbym rozpocząć starania.*

– *Kto waśc jesteś, że o moją córkę wypraszasz?*

– *Jako że z waszą miłością szczerze mówić mogę, przedkładam, że oto pradziad mój szlachectwo poprzez rycerskość od króla Jagiełły otrzymał za zasługi poniesione pod Grunwaldem. Ojciec mój w Kolnie zarządcą jest,*

mając pod opieką dobra pana burmistrza, a ja sam absolwentem najprzedniejszej Akademii Żeglarskiej w Sagres jestem, gdzie szlify oficerskie otrzymał.

– Znaczy, waszmość, prosto rzekłszy, marynarzem jesteś?

– Oficerem z uprawnieniami do prowadzenia okrętów po wszech morzach.

– Zanim szyprem czy kapitanem zostaniesz, czasu może minąć sporo, a i to, co za życie?! Więcej cię nie będzie w domu, niż będziesz. Po obcych portach i wyszynkach włóczyć się, znaczy, zamiarujesz, a moja Marynia, sama w domu, oczy ma za tobą wyplakiwać, mości kawalerze?

– Z czasem armatorem zostać mogę...

Pan Nagel machnął ręką.

– Ja dla niej przednich kupców miałem i nawet jednego rajcę... Ale to diabeł, nie dziewczyna.

Czasem myślę, że ona sama nie wie, czego chce... Sądysz, waść, że obdarzy cię przychylnością? Ja wątpię bardzo – rzekł, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Wystarczy jej spytać.

– O! – Znów machnął ręką. – Już nie tacy pytali...

Jan przekonywał ojca Maryni, że warto jej samej zapytać, co myśli o kandydacie, ale kupiec najwyraźniej zdryfował. Widać, żeglarz niezbyt przypadł mu do serca. Jął wypytywać Jana o jego podróże zamorskie i o przeżycia. Jak myśli na życie zarabiać, z czego kamienicę wybudować... I było jasne, że tak rozmową kieruje, by wykazać kandydatowi jego słabe strony. W końcu zamyslił się i zamilkł. Jan nie śmiał przerwać milczenia, by nie narazić się na zbyt szybką odpowiedź. Czuł, że byłaby nieprzychylna.

– To twierdzisz, mości kawalerze, żeś był na krańcu świata? – zapytał wreszcie.

– To nie kraj jego jest, bo miejscowi powiadali, że dalej na zachód jeszcze jakoweś ziemie istnieją.

Aż ochota brała, by wyrwać się w dwa, trzy okręty i sprawdzić, co tam znaleźć można. A jeśli nowe, nieznanne do tej pory ziemie?

Pan Nagel pokręcił głową z niedowierzaniem. Jan postanowił go przekonać.

– Albo, co lepsze, może i nową drogę do Indii?

Gospodarz nie byłby kupcem z krwi i kości, gdyby zlekceważył taką wiadomość.



– Droga do Indii, nowa? – Oczy aż mu zaświeciły.

– I krótsza, którą nie w dwa lata przebyć można, ale w trzy miesiące!

Na twarzy pana Augusta pojawiło się zwątpienie. Byłoby to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Poczuł, jakoby ten młodzik próbował go nabierać, by na swoją stronę przekabacić.

– Piękna to idea, mości kawalerze, i życzę ci spełnienia... – sapnął, marszcząc czoło. – Ale co do

Maryni, to musisz wiedzieć, że mam inne plany, niż wydawać ją za marynarza.

– Jakie?

– A waści nic do tego! – huknął, ale Jan się nie przestraszył.

– A gdybym tak odkrył nowy ląd... I nazwał go imieniem waszej córki... przez co by była słynna na cały świat?

Pan August łypnął okiem na Jana i widać było, że ta myśl mile go polechtała. Jan kuł żelazo póki gorące.

– Zyskałaby sławę na wieki. Pana nazwisko byłoby słynne na cały świat, na wszystkie następne pokolenia.

Przez chwilę kupiec rozkoszował się tą myślą, ale praktyczny umysł nie dawał się zwieść, bo nagle odezwał się całkiem trzeźwo:

– Najpierw go pan odkryj i nazwij, a potem zobaczymy. Oj, lubię ja, lubię... kupować kota w worku... Jakem August Nagel, kupiec i obywatel gdański, jeszcze nigdy tego nie uczynił, by się wydać na pośmiewisko cechu... Takoz będzie i z waszym ślubem.

– Traktujesz, wasza miłość, córkę jak towar?

August zaczerwienił się i Jan miał wrażenie, że zaraz wybuchnie, ale pohamował się w porę.

– Jej szczęście ponad wszystko stawiam i od wszelkiego hazardu strzec będę... – Po chwili dodał: – Wizyta skończona. Żegnam waszmości.

Jan strapiony złożył ukłon, który wypadł nieco sztywno, i wyszedł. Przy drzwiach czekała już rozpalona ciekawością Marynia.

– I co? Powiadaj wreszcie!

– Nic, chyba nie chce mi ciebie dać za żonę.

– Nie może to być! – rzekła z groźbą w głosie i wyprostowawszy się, wtargnęła do kantoru ojca.

– Oświadczam tatce, że nie ma tatko prawa odsyłać tego kawalera, bo to ja chcę się za niego wydać!

– Co ja słyszę, moja panno?

– Kocham go, pragnę być jego żoną...

– Ot, dyrdymały się pannie lęgną w głowie! Tylu dobrych kandydatów odesłała, a chce tego marynarzyka sobie wziąć.

– Pan ojciec natychmiast zgodę wyda albo zaraz padnę tu, w tym kantorze, na hercklekoty, bo już czuję, że zaraz zator mnie chwyci, och, już czuję duszności...

– Hamuj się, Maryniu... Co mi tu przedstawienia dajesz. Zacznieś mi tu jeszcze może zaraz kozły wywijać i płonącymi maczugami żonglować? A ja ci mówię, że nic z tego, nie pozwolę ci życia zmarnować.

– Tatku!

– Cicho, głupia! Wiem, co robię, i będziesz mi jeszcze za to wdzięczna!

– Akurat!

– Nie rób mi tu scen przy swoim marynarzu. Ślubu nie będzie i basta! A teraz marsz do swojej komnaty. Do widzenia waszmości – rzekł gwałtownie w stronę gościa – a panna do swojej izby, ale już!

Dwa dni Jan przychodził pod okno Maryni, licząc, że dostanie od niej wiadomość. Na wieczornych mszach w kościele Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny również się nie pokazywała. Wreszcie ujrzał Gretkę, która zerkając na niego znacząco, biegła w stronę Bramy Kogi. Wiedział, że chce go wywabić z Długiego Targu, by ani pan August, ani ciotuchna nie widzieli, że rozmawiają.

Wiadomość była porażająca.

– Pan Nagel wyprawia pannę Marynię do Elbinga.

– Dłaczego?

– Bo nie chce, by Marynia waszmości widywała.

Jan westchnął.

– Kiedy to ma nastąpić?

– Jutro lub pojutrze, jak tylko kufry spakują i powóz nadjedzie...

– Czy panna może przyjść dziś na wieczorną mszę?

– Pan August jej nie puszcza... Chyba że z panią ciotką.

– To na nic! Niech pomyślę... Możesz wyjść z domu wieczorem?

Gretka przytaknęła.

– Przygotuję pismo, które oddasz pannie.

Oddawszy list Gretce, Jan zaczął szykować się do drogi.



Gdy szedł ze swoim workiem żeglarskim do wynajętego woźnicy, zauważył, że jedno z przedprozy przed kamienicą na Ogarnej ozdobione jest pnączami. Razem stanowiły różaną pergolę. Pomyślał, że chciałby taką kwietną altanę mieć przy domu, w którym kiedyś zamieszka z Marynią.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Dziewczyna powiedziała, że chce iść do spowiedzi, ojciec ucieszył się, że odzyskała zdrowy rozsądek, i wydał zezwolenie. Gretka miała jej towarzyszyć, bo uznał, że szaleństwo minęło i nie ma sensu angażować ciotki. Wyszły po śniadaniu i skierowały się w stronę kościoła. Przed wejściem stał powóz i panna zamiast w odrzwia świątyni wsunęła się do karocy. Gretce przykazali, by wróciła do domu nie wcześniej niż za dziesięć pacierzy, które miała – jak zaznaczyła z naciskiem Marynia – odmawiać powoli. Woźnica zaciął czwórkę koni i ruszyli w stronę Złotej Bramy.

– Ojciec chce mnie wydać za Grossmana, wiesz, tego kupca bławatnego z Tkackiej. A teraz chciał mnie wysłać do Elbinga, do wuja, by tam wyprawić zrękowiny.

– Co ów Grossman?

– A co? Wnuki już ma, owdowiał rok temu, a że jeszcze sześćdziesiątki nie przekroczył i majątny jest, chce mu się młódki...

Popatrzył na nią z bólem. A więc taki miał być koniec ich wspólnych marzeń?

– Janie... – jęknęła. – Zrób coś, zabierz mnie na morze...

Jeszcze tego samego dnia wywiózł ją do Oliwy. Stamtąd ruszyli końmi do Gletkau, gdzie w pobliżu osady rybackiej mieściła się karczma. Podali się za podróżników jadących do Gdańska. Gospodarz popatrzył na nich podejrzliwie, jako że za cały bagaż mieli tylko wór żeglarski Jana. Nie zadawał jednak niepotrzebnych pytań.

Tego dnia do późnego wieczora byli razem. Poszli na plażę i Jan pokazywał jej szalasy rybackie, w których nocował kilka lat wcześniej, gdy wyprawiali się po rybę z Mitrunem, i potem, gdy pływał z Sielikiem. W tych miejscach spędził wiele zimnych i deszczowych nocy. Dzisiejsza zapowiadała się nad wyraz ciepło. Zdjęli kamaszki i pończochy. Chodzili po rozgrzanym piasku boso, trzymając się za ręce. I mimo iż początkowo nie

było im do śmiechu, dziecięce zabawy, gonitwy i nawet poszturchiwania przywróciły im dawne humory.

W końcu jednak musieli porozmawiać o tym, co najważniejsze.

– Co poczniemy? – popatrzyła na niego z nadzieją w oczach.

– Pobierzemy się – odrzekł. – W Kolnie. Fater, któremu służyłem do mszy, da nam ślub.

– I zostaniemy w Kolnie?

– Póki co, ojciec nas przygarnie, cały szczęśliwy, że będzie miał nas na stare lata, bo już całkiem sam został.

– A dalej co?

– A dalej, ja pójdę na morze. Niedługo szyprem zostanę, jak mi obiecał jeden elbląski armator, którego statki przychodzą do Gdańska. Zarobię, a potem swój okręt wystawię i jako obywatel gdański do kaprów przystanę, list kaperski podpisawszy. I po dwóch, trzech udanych wyprawach twój ojciec rad będzie, że za mnie poszłaś, bo kamienicę wystawię i ciebie szczęśliwą uczynię.

– Znow mam czekać? Tych trzech lat to, myślałam, że już całkiem nie zdzierzę...

– Mógłbym może nawet i dzisiaj pójść na kaperski okręt, ale nie jako kaper, ino na służbę do kapra.

I przyjęliby mnie z otwartymi rękami. Mój znajomek, Paweł Benecke, jako żywo mi to proponował, i to nie dalej niż dwa dni temu w karczmie przy Motławie, gdzie mieszkał i gdzie go spotykał przy stole.

– A jak by to było?

– Zwyczajnie, pewno jako oficyjer bym pływał, bo nie będąc właścicielem statku, nie mogę sam listu kaperskiego podpisać... Ale już twój ojciec, gdyby chciał nawet wystawić i mnie kapitanem mianować, toby mógł. Obaj robilibyśmy interes, dla niego i dla nas.

Marynia siadła na piasku, podciągając kolana pod brodę i obejmując je ramionami.

– A jak by nam nie pofortuniło?

– Co by miało nie pofortunąć, jakby dobrą załogę dobrać?

Panna zadumała się, ale widać inne myśli jej głowę zajęły, bo rzekła do Jana:

– Na razie zmiękczyć go trzeba, bo stał się głuchy na wszystkie argumenty.

Zrobiło się chłodno. Niebo pokrywały białe pierzaste obłoki, zza których od czasu do czasu wyglądało słońce. Mewy śmigaly, wypatrując pożywienia tuż nad wodą, a ich główki to pojawiały się, to znikaly między falami. Jan próbował zmoczyć chustkę i woda zbryzgała go do suchej nitki. Koszula przylgnęła mu do ciała. Marynia dostrzegła jego muskularne ramiona i klatkę piersiową zwężającą się ku biodrom. Miły widok – pomyślała – bardzo miły.

– Kiedy pojedziemy do twojego ojca? – zapytała.

– Staniemy w Kolnie jutro przed wieczorem.

Marynia czuła na twarzy powiew lekkiego wiatru. Popatrzyła na mężczyznę w mundurze przepasanego szerokim pasem, z kordzikiem u boku, i zastanawiała się, dlaczego nigdy nie miała wobec niego najmniejszych wątpliwości. Zatrzymała wzrok na jego twarzy. Była jasna i bystra, ciekawe świata oczy, inteligentne spojrzenie...

Ich oczy spotkały się. Marynia zawiesiła na szyi rubinowe serduszko, a na palec nałożyła piękny pierścień roboty aleksandryjskich mistrzów.

– I jak?

– Wyglądasz przepięknie.

Rozpięła bluzkę i zauważył, jak napinają się delikatne mięśnie jej ramion. Uwagi Jana nie uszła też ponętna wypukłość jej piersi i nie mógł się powstrzymać, żeby nie wyobrazić sobie, jak Marynia wygląda nago.

Zamknął oczy i westchnął głęboko... Boże, nie pozwól zrobić z siebie kmiotka! Proszę... Biedak gapił się na nią przez cały wieczór jak kot na szperkę i chociaż starał się zachowywać powściągliwie, dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, co zajmuje jego myśli. Jej były podobne. Żadne z nich nie poruszyło się.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa. W końcu Jan odwrócił wzrok, ale zamiast wycofać się lub odejść ruszył ku niej i Marynia poczuła ściskanie w żołądku. O Boże – pomyślała. –

Czy naprawdę jestem na to gotowa? Jan wpatrywał się w nią, jakby czytając w jej myślach.

Dziewczyna się poddała. Przytuliła twarz do jego dłoni, zamykając oczy i rozkoszując się tym dotykiem. Jan przysunął się bliżej, aż poczuła, jak jej piersi stykają się z jego tarsem. Wsunęła się w jego silne ramiona.

Stojąc przed nią, Jan uniósł dłoń i dotknął jej twarzy, jakby prosząc o pozwolenie. Westchnęła tylko.

*Pocałował ją nieśmiało, a ona oddawała mu pocałunki gwałtownie i namiętnie. Długo po zmroku, gdy na niebie błyszczały wszystkie gwiazdy, wziął ją na ręce i przeniósł na miękki piasek w pobliżu wody. Drżała z zimna, ale była szczęśliwa, że mogą być razem. Dotykała jego silnych mięśni, twardego karku i gładkiej twarzy, pokrytej tylko pod nosem jasnym zarostem. Nie chciała wracać do karczmy.*

*Gdy jednak zaczęło padać, wziął ją ponownie na ręce i zaniósł do izby. Ułożyli się w chłodnej pościeli i padli w swe objęcia, nie bacząc już na żadne bariery.*

*Gdy Jan powoli rozpinał guziczki jej gorsetu, czuła jego palce na skórze. Pocałował ją w szyję, zanurzając dłonie w jej bujnych włosach.*

*– Kocham cię – wyszeptał, a ona odpowiedziała tym samym gorącym zaklęciem.*

*Kochali się oboje po raz pierwszy w życiu i mimo że obawiali się, iż ziemia zadrży z tego powodu, nie zadrżała. Dręczącemu ich pożądaniu dała pierwszeństwo czułość.*

*O świcie na schodach załomotały czyjeś buciory i do pokoju wpadł pan August Nagel w towarzystwie dwóch czarnych rajtarów z gdańskiej straży miejskiej. Dziewczynę okryto kocem i wyniesiono, a stary kupiec spojrzał na Jana z taką nienawiścią, jakby chciał mu powiedzieć, że przeklina go do końca życia. Po czym przykazał mu tylko, by nie pokazywał się w pobliżu jego domu, bo straci nie tylko kapelusz, ale także i to, na czym go nosi. Nie brzmiało to jak cicha pogroźka.*

*Zaręczyn z kupcem Grossmanem nie było. Panna okryła się hańbą i Grossman wycofał swoje oświadczenia. Jan mimo groźby kręcił się w pobliżu wejścia do ich kamienicy, ale nie zobaczył już Maryni. Któregoś wieczoru zdybał Gretkę, która mu rzekła, że panna chora, ale jak tylko spakują jej kufry, ojciec wyprawi ją do swojego brata w Elbingu. Chce ją trzymać z dala od Jana.*

*Gdy dwa dni później Jan rozmawiał z jednym z armatorów na Długim Pobrzeżu, zobaczył Gretkę, która nerwowo machała w jego stronę.*

*– Co się stało?*

*– Panna właśnie odjeżdża! Jeśli chcesz ją ujrzeć po raz ostatni, panie, spiesz się!*

*Ruszył na Ogarną. Przebiegając obok różanej altany, zerwał jeden z pąsowych kwiatów i gdy dopadł karety, rzucił różę na kolana Maryni,*

*mówiąc, że będzie ją kochał do śmierci. Odpowiedziało mu blade spojrzenie dziewczyny i wybuch płaczu.*



## Pożar

Podczas śniadania w refektarzu przy stołach panowało niezwykle ożywienie. Zakonnicy rozmawiali o pożarze, który pozbawił domu jedną z rodzin zamieszkałych przy drodze, nie więcej niż dwa kilometry od Tórshavn.

Brat Grden wyjaśnił Robertowi, na czym polegała niezwykłość sytuacji.

– Tu nie było pożaru od kilku lat. Nawet jeśli czasem coś się zapali, szybko udaje się zagasić.

Robert zrobił zdziwioną minę.

– Z powodu wilgoci – rzekł Grden, jakby to było oczywiste. – Po prostu nic tu nie chce się palić.

A u Torelssonów cały dom stanął nagle w płomieniach.

Robert zamyślił się.

– Może zwarcie instalacji elektrycznej?

Grden pokręcił głową, a jeden z mnichów rzekł:

– Tak od razu dom nie staje cały w płomieniach, w każdym razie nie na Wyspach Owczych.

Przeor, nie chcąc, by rozgorzała dyskusja, która odciągnie braci od modlitwy i zajęć, nakazał dodatkową medytację. W refektarzu ucichło.

Po śniadaniu Nowicki wyszedł do najbliższego automatu i zatelefonował na domowy numer panny Morensen. Kilka dni wcześniej otrzymał od niej wizytówkę i zapewnienie, że będzie jej bardzo miło, jeśli zadzwoni do niej nie tylko służbowo. Teraz właśnie postanowił skorzystać z przywileju. Ucieszyła się, słysząc jego głos, i wyczuł, że tym razem, chcąc otrzymać jej pomoc, będzie musiał nadać ich relacjom bardziej nieformalny charakter. Poprosił ją o przygotowanie grafik, rysunków i obrazów z czasów kolonizacji Ameryki Północnej, które znajdowały się w zbiorach biblioteki.



– Nie mamy tego za dużo, ale poszperam – przyrzekła. – Nie spodziewaj się jednak zbyt wiele.

– A potem, mam nadzieję, pozwolisz się zaprosić na drinka?

– Na drinka? – w jej głosie pojawiła się cieplejsza nutka, która mogła być nawet zwiastunem flirtu. – Kto wie, jeśli na to zasłużysz...

Uśmiechnął się pod nosem.

– Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy.

– W takim razie... – tu jej głos zawibrował obiecująco – do zobaczenia.

Po powrocie do klasztoru zaszedł do biblioteki. Brat Grden, już po medytacji, ze słuchawkami na uszach pracował przy katalogowaniu zawartości skrzyni, którą wczoraj przywieziono z bazy. Był tak pochłonięty muzyką, że nie zauważył przeora, który na widok jego słuchawek tylko bezradnie rozłożył ręce i posłał znaczące spojrzenie w stronę profesora, jakby dawał mu do zrozumienia, że doczesność wkradła się już wszędzie, nie oszczędzając nawet takich nabożnych miejsc jak klasztor, który on ma pod swoją pieczę. Robert odpowiedział uśmiechem, a przeor lekko wykrzywił usta i machnął ręką, że nic na to nie poradzi. Wycofał się, bo gdyby napotkał wzrok Grdena, musiałby zareagować, a miał dziś na głowie sporo spraw i wołał, by jego praca i praca w bibliotece odbywały się bez przeszkód. Kręcąc głową, wyszedł na korytarz.

Robert usiadł przy stole w drugim końcu biblioteki i otworzył przed sobą manuskrypt Jana Żeglarza.

Tekst wciąż krył przed nim tajemnice. Czy wszystkie? Te najważniejsze, był o tym przekonany, znajdowały się na wyciągnięcie ręki. Z pieczołowitością wertował stronę po stronie, starając się nie uronić żadnego szczegółu, który mógłby stanowić klucz do rozwiązania zagadki.

Przez lupę przyglądał się wizerunkowi kobiety z dzieckiem. W niektórych miejscach barwnik wypłowił i rysunek stał się nieczytelny. Jego autor był bez wątpienia uzdolniony i rysowanie sprawiało mu przyjemność. Świadczyła o tym spora ilość rozmaitych miniatur, szczególnie w drugiej części rękopisu. Niektóre były bardzo precyzyjne, wręcz kunsztowne, oddawały mnóstwo szczegółów, inne były tylko szkicami. Na jednym z nich zobaczył plan niewielkiej miejscowości, zapewne wioski, okolonej częstokołem, a dwa arkusze dalej ta sama wioska została narysowana z perspektywy, jakby widz patrzył z pewnej wysokości, prawdopodobnie z pagórka.

Na kolejnych widniały postaci ludzi w dziwnych strojach. Autor precyzyjnie przenosił na papier szaty i sposoby ich noszenia, biżuterię oraz tatuaże na obnażonych ciałach kobiet, a także różnorakie sprzęty i sposoby wiązania podtrzymujących je rzemieni. Dzięki nim Robert mógł zobaczyć, jak matki nosiły swoje dzieci na plecach, jak wyglądała broń, łuki, kołczany i inne elementy uzbrojenia, a także w jaki sposób przyozdabiano fryzury, trójzędne grzywki i wąskie pasma usztywnionych włosów. Twarze postaci pokryte były wzorami. Były tatuażami czy wykonano je henną?

Profesor wiedział, że sam nie rozwiąże tych zagadek. Sfotografował rysunki i przeniósł na dysk swojego laptopa. Chciał je pokazać Trude Morensen. Może z czymś jej się skojarzą?

Włożył laptop do plecaka i ruszył w stronę biblioteki.

Trude wyglądała dziś kwitnąco. Długie blond włosy miała zawinięte w kok, który odkrywał długą szyję. Ładnie skrojona sukienka podkreślała jej zgrabną sylwetkę, a rąbek kończący się tuż nad kolanami odsłaniał smukłe nogi. Czyżby ubrała się tak dla niego? W końcu miał ją zabrać na drinka. Uśmiechnął się na jej widok. Przywitali się podaniem dłoni, ale odczuł z jej strony większą serdeczność niż poprzednim razem. Zaprosiła go do czytelnii. Zanim zajął miejsce i rozłożył swój komputer, już sunęła w jego kierunku wózek ze stertą woluminów. Poruszała się z gracją, a krój dopasowanej sukienki podkreślał jej wdzięk.

Nie potrafił określić, ile dokładnie miała lat, ale z pewnością zachowała figurę trzydziestolatki. Trude była naprawdę seksowna.

Gdy ułożyła tomy na jego stole, poprosił, by usiadła.

– Chcę ci coś pokazać.

Zajęła miejsce blisko niego i poczuł delikatny zapach jej perfum. Popatrzył na nią, a ona spojrzała mu prosto w oczy. Jej tęczówki były w kolorze morskiej wody. Uśmiechnęła się, była bardzo pewna siebie.

– Co takiego? – zapytała, przekrzywiając kokieteryjnie głowę.

Zrobiło mu się przyjemnie.

Pomyślał, że to jednak dobrze, iż są w bibliotece, bo gdyby nie to, pewnie próbowałby ją pocałować.

Być może o to jej chodziło?

Chrząknął zmieszany i przywołał na ekran zdjęcia miniatur, które sfotografował zaledwie godzinę wcześniej. Ona przyglądała im się uważnie i nagle poczuł, że przestał dla niej istnieć. Całe swoje zainteresowanie przeniosła na monitor komputera. Po chwili spośród tomów, które

uprzednio ułożyła na jego stole, wyciągnęła grubego folder i podała mu, mówiąc tylko:

– John White, niedoszły gubernator Roanoke. Zobacz sam.

Roanoke! To słowo podziało na Roberta jak magnes. Zaginiona kolonia, pierwsza, jaką Brytyjczycy założyli w Wirginii w drugiej połowie XVI wieku. Nie przetrwała dwóch lat. Gdy przywieziono zaopatrzenie, po kolonistach nie było już śladu. Zostały tylko zgliszcza po dawnych prymitywnych zabudowaniach... A John White był kartografem i malarzem, który jako pierwszy ze znanych współcześnie Anglików zaczął malować akwarelami.

W folderze były kopie ponad stu barwnych akwareli. Przedstawiały wirgińskich tubylców z czasów, kiedy malował ich White, czyli w 1585 roku. Nowicki zaczął je przeglądać z uwagą. Nie zajęło mu zbyt wiele czasu, by z gąszczy szczegółów wyłuskać elementy wspólne dla obrazów White'a i rysunków z manuskryptu.

Patrzył na czerwonoskórych znad Zatoki Pamlico. Niewidziana dotąd w angielskim malarstwie kobieca nagość pojawiła się wraz z Indiankami ze szczepów Mangoak, Chawni i Opposian. Obok wizerunków ludzi, ich strojów, narzędzi, których używali, domów, jakie budowali, sposobów polowania i łowienia ryb, White namalował wszelkie rośliny spotykane podczas wypraw na zachodnim brzegu zatoki. Wcześniej oko Europejczyka nie widziało takich roślin. Na jednym z rysunków Jana puszcza ciągnęła się na dziesiątki mil po obu stronach rzeki bez nazwy. Robert dostrzegł również dwupienne drzewa o wydłużonych liściach, obsypane drobnymi kwiatkami. Były one obecne także u White'a.

Podobnie jak wysokie palisady wokół wioski, zabudowania osad z centralnym okrągłym placem czy też wzory zdobiące ramiona i twarze tubylców. Ich fryzury! I kobiety noszące dzieci, które wisały na nich jak winogrona...

Zgodność szczegółów była zaskakująca. Tylko że Jan Żeglarz nie mógł ich od nikogo odrysować.

Musiał je zobaczyć na własne oczy. Jego podróż miała miejsce ponad sto lat wcześniej. A zatem co najwyżej inni mogli skopiować je od niego, ale nie na odwrót!

Czy ten fakt mógł stanowić dowód, że Jan z Kolna był w Ameryce przed Kolumbem? Czyżby wylądował na wysokości Wirginii? To byłoby dosyć śmiałe założenie, ale... przecież mogli to być tubylcy należący do

jednego szczepu, tej samej rodziny językowej. A zatem posiadali wiele cech wspólnych.

Wśród książek przyniesionych przez Trude znalazł kopię „A Briefe and True Report of the New Found Land of Virginia” [Thomasa Harriota](#), szefa pierwszej wyprawy do Roanoke, który ów „Krótki i prawdziwy raport o nowo odkrytej krainie Wirginii” opublikował tuż po powrocie do Anglii. Potem szperał jeszcze w opracowaniach amerykańskich etnografów i demografów i ustalił ponad wszelką wątpliwość, że Algonkinowie, do których należała ludność Wirginii, mieli swoje siedziby także daleko na północy, a niektóre narody tego szczepu zamieszkiwały nawet tereny w pobliżu Niagary i Wielkich Jezior. To była na razie tylko hipoteza, którą trzeba było sprawdzić, ale przesłanki pozwalające mu ją postawić sprawiły, że był w wyśmienitym humorze.

Zaintrygowała go jedna ze sfotografowanych rano miniatur. Był to obraz wojownika, który trzymał w dłoniach dziwne narzędzie, przypominające wygiętą motykę z kamiennym zakończeniem. Czy był to przyrząd służący do pracy, a może do walki?

Postanowił skorzystać ze skanera i skopiował kilkadziesiąt ilustracji. Gdy skończył, odniósł książki do biurka Trude. Była już właściwie gotowa do wyjścia.

– Usatysfakcjonowany? – zapytała z uśmiechem.

– Absolutnie!

– A zatem? – Popatrzyła mu w oczy.

– A zatem zapraszam cię na drinka – powiedział poufale.

Westchnęła, ale było widać, że jest zadowolona.

– Trudno, skoro nie ma ciekawszej propozycji... – Zrobiła żartobliwą minę zawiedzionej dziewczynki, która otrzymawszy prezent, zagląda do pudełka i zamiast wymarzonej lalki znajduje znów te same cukierki. – Niech będzie drink.

Puścił ją przodem i zobaczył, jak idzie, poruszając z wdziękiem biodrami. Pomyślał, że to świetnie, iż ktoś wymyślił buty na obcasach. Dzięki nim, a może i nie, Trude była zmysłowa. W każdym razie on to teraz zauważył.

Gdy wyszli przed gmach biblioteki, świeciło słońce. Podał jej ramię, a ona przyjęła je naturalnie.

Dotyk jej dłoni był delikatny. Robert już dawno nie był w tak świetnym nastroju. Znalazł pierwszą przesłankę, że Jan z Kolna mógł być na Nowej

Ziemi, apetyczna babeczka nie ukrywała, że ma na niego ochotę, a na dodatek nie padało i nawet nie wiało!

Czy istniało coś, co mogłoby mu zepsuć tak wspaniały dzień?

Weszli do baru, który Trude lubiła, choć, jak przyznała, nie bywała w nim zbyt często, bo rzadko tam widywano samotne kobiety w jej wieku. Jednak teraz skorzystała z okazji, by zajrzeć tam ze swoim, jak to ujęła, przystojnym przyjacielem z Polski. Najwyraźniej z nim flirtowała i ta gra zaczęła go wciągać. Po kolejnym drinku rozmowa stała się bardziej pikantna i balansowali na skraju aluzji. Trude była naprawdę inteligentna. Ani razu nie przekroczyła cieniutkiej granicy, wokół której krążyli. Gdy zaproponował kolejne martini, orzekła, że chyba najpierw powinna coś zjeść, bo zaraz zakręci jej się w głowie. Poszli do sąsiedniego baru, w którym serwowali panierowane krewetki. Tak naprawdę one były tylko na zakąskę. Poleciała mu świetną zupę rybną i rybnie pulpety, które już kiedyś próbował u Dalmora. Tutaj jednak zasmażano je w oleju.

Postanowił umyć ręce. Idąc do toalety, musiał przejść przez następną salę. Przy wejściu dostrzegł rudowłosą dziewczynę. Siedziała przy stole, a obok niej młody mężczyzna, którego Robert już kiedyś widział. Gdzie? No tak, podczas wieczoru farerskiego w hotelu „Hafnia”... To był on! Na jego twarzy widać było napięcie, a w oczach czaiło się coś niebezpiecznego. Agresja, jak odbezpieczony granat, w każdej chwili groziła wybuchem. Było w nim coś nieobliczalnego, co powinno było rodzić obawę.

Dziewczyna jednak nie zwracała na to uwagi. Mówiła, nerwowo gestykulując. Z tej odległości Nowicki nie słyszał jej głosu, bo tłumił go dźwięk muzyki z głośników zawieszonych w miejscu, gdzie akurat stał.

Mężczyzna przymknął oczy, jakby chciał ukryć napięcie, i nawet próbował ją uspokoić, ale ona nie dopuszczała go do głosu. Wreszcie zamilkła i sięgnęła do leżącej na stole paczki papierosów. Wyłuskała jednego, ale nie dała rady go zapalić, gdyż trzęsły się jej ręce. Mężczyzna wyręczył ją i wyjął z jej ręki zapalniczkę. Pojawił się płomyk, a ona bez słowa zaciągnęła się dymem. Robert nigdy wcześniej nie widział, jak pali. Był tuż obok, przy drzwiach toalety. Ona nawet nie zwróciła na niego uwagi. I wtedy wyraźnie usłyszał, jak mężczyzna zwrócił się do niej po rosyjsku. Odpowiedziała szybko i zdecydowanie. Wyglądało na to, że oboje posługiwali się tym językiem swobodnie, bez cienia obcego akcentu. Dziewczyna miała do niego pretensje, a on próbował ją uspokoić, chociaż

wyglądał na osobnika, który dyskutować za bardzo nie lubi, bo używa innych argumentów, rozkazów i pięści.

– *Nadia, ty łuczsze podumaj. Zawtra my pogovorim jeszcze odin r az.* – Wstał, pogrzebał w kieszeni i nonszalanckim gestem rzucił na stolik dwa banknoty. – *Nu, poka!* – Nie patrząc już więcej na dziewczynę, wyszedł z baru.

Gdy Robert wracał z toalety, chciał się jej ukłonić, ale miała twarz zasłoniętą dłońmi. Płakała. Na chwilę przystanął, by zapytać, jak się czuje, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy, ale pomyślał, że zabrzmiał to idiotycznie. Wycofał się więc do stolika, przy którym czekała Trude. Chwilę później zobaczyli ją, jak wychodzi zdecydowanym krokiem, ocierając dłonią oczy. Mimo iż Trude starała się kontynuować beztrudną konwersację, przetykaną subtelnymi aluzjami, jakoś stracił zapał i nie umiał znaleźć się w proponowanej konwencji. Nastrój prysł. Trude dość szybko zorientowała się w sytuacji, bo już nie chciała następnego drinka. Zjadła przyniesione przez kelnera dania, ale rzadziej się uśmiechała i nie robiła tego tak urzekająco jak wcześniej. Robert odczuł dystans z jej strony i wiedział, że była to jego wina. Wrócił do stolika odmieniony po spotkaniu z Nadią... Teraz już znał jej imię...

Odprowałdził pannę Morensen do domu, pożegnał się, całując ją w rękę i w policzek, a wracając do klasztoru, wpadł jeszcze do hotelu „Hafnia”. Chciał napić się kawy i sprawdzić pocztę. Napisał krótki list do Svensona, informując go o postępach w badaniu manuskryptu. Szczegółowo omówił przesłanki, na podstawie których wysnuł swoje wnioski. Drugi list wysłał do profesora Uljanowa. Dzielił się w nim swoimi wątpliwościami co do spójności ustalonej diagnozy, bojąc się, że dokonał jej na podstawie zbyt niewielkiego materiału porównawczego. Poprosił jednocześnie o spis materiałów, które mogłyby mu do tego posłużyć. Wiedza Siemiona o zasobach poszczególnych zbiorów była tak zdumiewająca, że Robert czasami żartował, iż profesor wcześniej musiał być chyba funkcjonariuszem KGB oddelegowanym do badania historii epoki wielkich odkryć geograficznych, bo doskonale orientował się w rzeczach, o których, wydawałoby się, nikt nie miał pojęcia. Swego czasu obaj mieli z tego niezły ubaw. Nowicki załączył kilka zdjęć miniatur z manuskryptu, w tym zdjęcie tubylca z dziwnym narzędziem. Te same wrzucił także na portal, w którym kilka dni wcześniej zamieścił artykuł o Janie z Kolna. Przy okazji sprawdził, czy pojawiły się nowe wpisy. Nie było żadnych.

Wieczorem, pijąc mocną herbatę, ponownie przeglądał na komputerze zdjęcia manuskryptu.

Porównywał je z akwarelami Johna White'a i innymi materiałami, które znalazł w książkach. Przyglądał się dawnemu światu na rysunkach – domom, rzekom bez nazw i lasom ciągnącym się aż po horyzont. Po raz kolejny zadumał się nad dwupiennymi drzewami z maleńkimi kwiatkami, a chwilami czuł, jakby spomiędzy gałęzi spoglądały na niego tajemnicze oczy rudowłosej dziewczyny o imieniu Nadia. Kim była i czego chciał od niej ten oschły mężczyzna? Dlaczego płakała i dokąd poszła po wyjściu z restauracji?

Westchnął i skierował szkło powiększające na karty manuskryptu. Teraz miał coś ważniejszego na głowie.



Następnego dnia zaraz po śniadaniu ponownie pojawił się w pustej bibliotece i otworzył manuskrypt Jana Żeglarza. Zastanawiał się, w jaki sposób ostatecznie zweryfikować prawdziwość manuskryptu? To, co wynikało z jego treści, to były tylko poszlaki. Wprawdzie istotne i dające sporo do myślenia, jednak niebędące mocnymi, ostatecznymi dowodami. Robert potrzebował pewnego dowodu, takiego, który przekona wszystkich. Co mogłoby nim być?

Przeglądał księgę strona po stronie, dotykał jej opuszkami palców, jakby w ten sposób chciał z gładzi pergaminów i papierów wyczytać to, czego na razie nie dostrzegał wzrokiem. Ponownie sięgnął po lupę, penetrując poszczególne ilustracje, a nawet pojedyncze litery. Ekscytował się fakturą papieru. Oglądał ją pod silnym szkłem powiększającym niczym powierzchnię pustyni na innej planecie. Widział, jak pióro rozprowadzało inkaust. W wyobraźni odtwarzał ruchy piszącego, zamaszyste, pewne, jak u ludzi wykształconych, dla których pisanie nie było odświętną przygodą, ale codzienną praktyką. W pewnej chwili zobaczył, że odcień inkaustu w górnej części stronicy różni się od tego na dole. Nie spostrzegłby tego, gdyby nie słońce. Rzadko pojawiało się na wyspie. Częściej padał deszcz. Właściwie lało bezustannie z niewielkimi przerwami. Ale tego dnia pojawiło się na chwilę na stole, przy którym pracował. To był łut szczęścia, że w tym momencie badał akurat ten arkusz.

Wziął lupę... Nie mógł się mylić. Następnie sfotografował stronę i przeniósł plik do komputera.

W jednym z programów graficznych sprawdził, że nasycenie poszczególnych składników barw w zdaniach górnych wyraźnie różniło się od dolnych. Zmienił format z RGB na CMYK. Tak samo.

Różnice w procentowej zawartości czerni, żółci, różu i błękitu były znaczące.

Wykonał kolejne zdjęcia w innym świetle: przy żarówce halogenowej, przy neonówce i w dziennym świetle bez słońca. Proporcje poszczególnych barwników różniły się, ale wniosek był jeden – autor użył dwóch rodzajów atramentu. Analiza dalszych stron wykazała, że od tego miejsca posługiwał się już tylko tym drugim barwnikiem.

Co to oznaczało? Prawdopodobnie skończył mu się atrament i musiał szukać środka zastępczego.

I znalazł... Co to było, jaki był jego skład chemiczny? Odpowiedź na to pytanie z pewnością wiele by wyjaśniła.

Postanowił podzielić się swoim odkryciem z profesorem Svensonem. Nie chciał pokazywać się w bibliotece u panny Morensen, więc skierował się do hotelu „Hafnia”.

Idąc w stronę wejścia, musiał przejść wzdłuż okien westybulu, w kącie którego mieścił się bar. Przez szybę zobaczył Nadzię i tego samego mężczyznę, który wczoraj towarzyszył jej w restauracji. Zwolnił kroku i zauważył, że ich rozmowa i tym razem była burzliwa. Nadia reagowała wybuchowo, jej partner śmiał się. Położył rękę na jej ramieniu, a ona strząsnęła ją z wyraźnym wstrętem, jakby to była macka ośmiornicy, po czym skierowała się do wyjścia. Akurat wtedy Robert wszedł do holu. Nadia minęła go obojętnie i skierowała się na schody.

– Nadia! – mężczyzna zatrzymał ją krzykiem.

Stała. Podeszedł do niej powoli i coś szepnął do ucha, najwyżej słowo albo dwa, po czym odwrócił się i wyszedł z hotelu. Wówczas spojrzała na Roberta, jak stał przy drzwiach, wpatrzony w nią bez słowa. Odgarnęła włosy i spuściła oczy. Zawahała się na chwilę i ponownie popatrzyła na niego.

Odniosł wrażenie, że na jej wargach pojawił się cień uśmiechu, ale zaraz potem, jakby nieco zmieszana, odwróciła się i weszła na schody.

Co się właściwie wydarzyło? – pomyślał. – Wtedy na ulicy, w pobliżu nocnego baru, wczoraj w restauracji i przed chwilą?



Zapamiętał jej gest, jak nieco zagubiona nieporadnie odgarnia włosy, i wciąż miał go pod powiekami.

Nawet kilka minut później, gdy przeglądał pocztę.

Profesor Uljanow wysmażył jak zwykle rubaszny liścik zakrapiany ironią i małymi złośliwościami, które świadczyły o jego inteligencji i jasno dawały do zrozumienia, jakie ma sympatie i antypatie w odniesieniu do rozmaitych spraw społecznych i politycznych – nie tylko u siebie w kraju, ale również w międzynarodowym świecie nauki.

Na jednym z rysunków moskiewski profesor rozpoznał specyficzną kamienną laskę bojową, dziś nazywaną toporem wojennym. Zresztą różnica niewielka, oba narzędzia służyły do rozbijania głów wrogom. I żadne z nich nie zostawiało przeciwnikowi wielkich szans na przeżycie. Siemion dowodził, na podstawie pamiętników pierwszych osadników w Maine, że laska bojowa z kamienną głowicą w tym kształcie była używana tylko przed przybyciem białych, później na skutek niefortunnego wydarzenia szamani uznali ją za oręż przeklęty i w niedługim czasie zaprzestano jej używania.

*Wyjaśnienie zagadki – pisał Uljanow – znajduje się w podaniach jednego z narodów indiańskich należących do rodziny Algonkinów, które biali odnotowali tuż po swoim przybyciu w kronikach stanu*

*Maine. Wtedy już oręż przeklęty był wycofany z użytku co najmniej od dwóch pokoleń, czyli od 40–50 lat.*

Podobnie było z rysunkami ubrań tubylców. Miniatury, zdaniem Uljanowa, ukazywały stroje, które wyszły z użycia po przybyciu białych osadników. Mogły być aktualne w czasach Jana z Kolna, ale później ich wygląd zmieniał się choćby z tego powodu, że tubylcy przyjęli sposób ubierania się Europejczyków, a ci z kolei przebierali się w stroje indiańskie, dla nich bardziej praktyczne...

Robert napisał list do profesora Svensona, dzieląc się nie tylko informacjami od Uljanowa, lecz także załączając swoje pobieżne analizy barwnika, którym pisany był manuskrypt. Svenson widocznie był przy komputerze, bo nim Nowicki zdążył zamówić kawę, sygnał w laptopie powiadomił go o nadejściu nowej poczty. List od Svensona postawił go na nogi.

*Proszę przelać całą dokumentację ikonograficzną, sprawdzimy to naszymi metodami. W załączniku przesyłam umowę na tłumaczenie rękopisu, przy czym zaznaczam, że wymogi naszego uniwersytetu są*

*nieubłagane: musimy otrzymać tłumaczenie w języku norweskim. Sądzę, że uda się panu przez to przebrnąć. Ponadto rozmawiałem z profesorem Knuttsenem, szefem naszego laboratorium biochemicznego, który zaproponował, bym namówił pana do pobrania z manuskryptu kilku mikrośladów. Musi pan postępować niezwykle ostrożnie, aby nie uszkodzić rękopisu, ale sądzę, że działając zgodnie z instrukcją, którą znajdzie pan na stronie naszego instytutu w zakładce „laboratorium”, świetnie pan sobie z tym poradzi.*

Mikroślady... No dobrze, wypreparuje barwniki, inkaust... Może próbki papieru?... W manuskrypcie było ich kilka rodzajów. A także pergaminy. Co jeszcze? Okładka? Nie, została zrobiona wiele lat później. Zresztą już na pierwszy rzut oka widać, że nie ma w niej nic interesującego... Co jeszcze?

Dalsze rozmyślania przerwało pojawienie się Dalmora.

– Tak myślałem, że tu cię znajdę – rzekł, podając mu rękę.

– Co się stało?

– To ja cię pytam. Byłeś u mnie przedwczoraj...

– Rzeczywiście, ale pocałowałem klamkę.

– Byliśmy z Iną u znajomych. Dom, w którym mieszka jej przyjaciółka, spalił się.

– Ach, to ten dom...

– A co, słyszałeś o pożarze?

– Przecież całe Tórshavn o tym trąbiło.

– Myślałem, że nieustannie siedzisz w swoich książkach i nie wiesz, co się dzieje na bożym świecie.

– Dowiedziałem się wczoraj przy śniadaniu. Braciszekowie byli podekscytowani. Podobno to pierwszy taki pożar od kilku lat.

– Jakbyś zgadł!

– Co się wydarzyło, ustalili już przyczyny?

– Prowadzą śledztwo, jeszcze nic nie wiadomo.

– Co mówią poszkodowani?

– Że czuli zapach benzyny.

– Sugerujesz podpalenie?

– To by było chyba pierwsze na Wyspach Owczych, jak tu żyję. Farerczycy, nawet jak mają ze sobą na pieńku, to nie załatwiają tego w ten sposób.

– A ta benzyna?

– Torelsson, właściciel, trzymał w komórce kanistry z paliwem do swojej łodzi. Któryś mógł być nieszczelny, a potem wystarczyła przypadkowa iskra i...

– Mogło być i tak. Ale nie musiało.

– Wszystko wskazuje na to, że był to nieszczęśliwy wypadek.

– A ludzie? Nic się nikomu nie stało?

– Nikt nie ucierpiał, na szczęście, ale pojechaliśmy z Iną, bo trzeba było ratować, co się tylko dało.

Sporo rzeczy wynieśliśmy.

– I co teraz z nimi będzie?

– Dostali od rządu pomieszczenie tymczasowe.

– Teraz rozumiem, dlaczego widziałem tutaj tę dziewczynę...

– Tę rudą? – zainteresował się Ryszard. – Mieszka tutaj?

– Chyba tak, widziałem, jak wchodziła po schodach.

Dalmor spojrział na Nowickiego uważnie, ale zaraz potem pokręcił głową.

– Też straciła dach nad głową. Wynajmowali jej bardzo tanio. Za miesiąc płaciła tyle, co za trzy dni w hotelu.

– Słuchaj... Ja wtedy byłem u ciebie, bo chciałem pogadać...

– O czym?

– Właśnie o niej...

Dalmor spojrział na Nowickiego z uwagą.

– Powiedz mi – rzekł profesor – co ty właściwie o niej wiesz?

Ryszard wzruszył swoimi wielkimi ramionami.

– Ja jej nie znam, wiem tylko, że przed pożarem od dwóch miesięcy mieszkała u Torelssonów i zachowywała się tak, jakby jej nie było.

– A twoja Ina? Coś o niej opowiadała?

– To, co już powiedziałem... Przyjaźni się z córką Torelssonów, bo razem pracują. Widziała ją przelotnie kilka razy, jak u nich była, ale nigdy ze sobą nie rozmawiały. Oni w sumie też wiedzą o niej niewiele. Tylko tyle, że rozstała się z mężczyzną i bardzo to przeżyła.

– Jest Rosjanką, wiedziałeś o tym?

– Nie, ale to możliwe, bo miała na imię tak jakoś... Natasza czy Natalia? Ina wspominała, że jest bardzo zamknięta w sobie. Mówiłem ci, że całymi dniami nie wychodziła z domu.



Ubrana w obcisłe dzinsy podkreślające jej zgrabną sylwetkę, w błękitnym t-shircie i z rozpuszczonymi włosami podeszła do baru. Wzięła wodę mineralną. Chwilę celebrowała uiszczenie należności, a potem odwróciła się w stronę stolików i rozejrzała. Mimo że większość miejsc była wolna, powoli podeszła do łoży, w której siedział Robert, i nie pytając o pozwolenie, usiadła. Nalała wodę do szklaneczki i dopiero gdy podniosła ją do ust, spojrzała na niego. Skinął jej lekko głową, ale nie odwzajemniła gestu.

Odwróciła wzrok, więc uruchomił program pocztowy. Nie było nowej wiadomości.

– Ma pani ładne włosy – powiedział cicho.

Popatrzyła na niego nieco nieprzytomnym wzrokiem.

– Tak, wiem...

Parsknął krótkim śmiechem, łajając się w myślach, że nie wystrzelił z czymś mądrzejszym.

– Dziękuję...

– Nie ma za co, z takimi włosami mogłaby pani grać w reklamach najlepszych szamponów...

– Dziękuję... za tamten wieczór, kiedy mi pan pomógł.

– Ja w czymś pomogłem? Naprawdę? – Uśmiechnął się błazeńsko. – I pani mi na to pozwoliła?

– Przepraszam... Byłam chyba trochę zdenerwowana. – Znów wypić łyk wody.

– Może ma pani ochotę na kawę? Robią tu świetne espresso...

Pokręciła głową.

– Tak naprawdę nie mam ochoty na nic – powiedziała zdecydowanie i tym razem wyczuł w jej głosie lekki rosyjski akcent. – Nie mam nawet ochoty, by żyć, rozumie pan?

Zatkało go. Nie słyszał jeszcze tak otwartej deklaracji.

– Ani żeby ktokolwiek mówił mi, że mam ładne włosy, nogi, biust... cokolwiek!

Jej głos zawisł w powietrzu. Robert zmieszał się i nie wiedział, co powiedzieć.

– Chciałem tylko, żeby pani wiedziała, że...

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Lepiej już pójdę, bo... wciąż jednak nie umiem rozmawiać z ludźmi.

Odniosła butelkę i szklanę do baru. Wracając, przystanąła przy nim i lekko się uśmiechnęła.

– Dziękuję... również za to, co pan powiedział o moich włosach. Ale proszę tego więcej nie robić.

Nie chcę... – zawahała się na moment, a potem gwałtownie rzuciła: – Do widzenia.

Chciał ją zatrzymać, ale zniknęła. Po chwili namysłu podszedł do recepcjonistki, która z oddali przyglądała się ich rozmowie.

– W którym pokoju mieszka ta pani?

– Dwieście dwanaście.

– Mogę zadzwonić? – wskazał na telefon stojący na blacie.

– Proszę.

Po chwili wahania odłożył jednak słuchawkę.

– Lepiej napiszę...

Wziął arkusz z nadrukiem hotelowym i napisał:

*Nazywam się Robert Nowicki, jestem z Polski, spędzam tu wakacje. Mimo że mieszkam w klasztorze, nie jestem zakonnikiem, tylko historykiem. Będzie mi miło, jeśli pozwoli się pani zaprosić na obiad.*

Włożył kartkę do koperty i przekazał recepcjonistce.

– Gdyby ta pani chciała zostawić dla mnie wiadomość, będę tutaj jutro.

Wymienili uprzejme uśmiechy i Robert wrócił do swojego komputera. Dostał wiadomość od studentki profesora Konkola z omówieniem kolejnego fragmentu manuskryptu. Natychmiast zabrał się do czytania.

## Oczekiwanie

*Wiedział jedno: jeśli teraz czegoś nie uczyni, straci pannę na zawsze. Bariere stanowiła jego bieda. Wszak gdyby był kupcem lub rajcą, a nawet armatorem, pan Nagel nie wzbraniałby się dać mu córki za żonę. Zależało mu na tym, jak każdemu rodzicowi, by jego dziecko miało pewną przyszłość i pozycję. Jan wiedział, że aby zyskać przychylność ojca Maryni, powinien zdobyć majątek. A gdzie najłatwiej było go szukać? Nie trzosika czy dwóch, tylko prawdziwego bogactwa?*

*Wiadomo! Tylko w handlu z Indiami! Kupczyły z nimi całe cechy i kompanie handlowe. Wśród bogaczy, bankierów i fortunatów nie miał czego szukać. Mógłby co najwyżej poganiać wielbłądy w ich karawanach. Dla siebie szansę widział gdzie indziej. W swej młodzieńczej fantazji i zapalczywości czuł, że jedynie odkrycie nowej zachodniej drogi do Indii da mu wymarzone szczęście. Teraz nie miał już odwrotu. Wiedział, że cel może osiągnąć, żeglując pięćdziesiąt, góra sześćdziesiąt dni na zachód.*

*Jeśli pójdzie zgodnie z pasatami, jak prawil onegdaj Christophoro w Sagres, nie ma możliwości, by nie dojść do indyjskiego brzegu. To wykazywały wszystkie obliczenia, których dokonywał wielokrotnie na podstawie tego, co podawały najtęższe głowy jego epoki, a wcześniej także niektórzy starożytni mędracy.*

*Plan był prosty, ale niełatwy do wykonania. Musiał znaleźć sponsora indyjskiej imprezy. W swojej naiwności roił, że może znajdzie się ktoś możny, kto uwierzy w jego plan i wyposaży jedną karawelę z 40–50 marynarzami. Jan objąłby dowództwo i poprowadził okręt na zachód. I jeśli dotarłby do celu, niech ma w nagrodę tytuł admirała floty zachodnioindyjskiej. I choć setną część przyszłych zysków.*

*Jemu to wystarczy, a pracować będzie nadal dla kompanii, prowadząc tam konwoje okrętów kupieckich.*

*Rozmarzył się, ale wiedział, że na marzeniach skończyć nie może. Powinien działać. Nie od razu znalazł jednak do tego siły. Załamany po wyjeździe Maryni, kilka miesięcy spędził w Kolnie, dopatrując ojca, który nie czuł się najlepiej. Kilka razy wyprawiał się do Elbinga, żywiąc nadzieję, że uda mu się spotkać Marynię. Niestety, nie mieszkała już w kamienicy stryja. Dostał wiadomość, że umieszczono ją u krewnych we Frauenburgu, następnie w Heilsbergu, wreszcie w Allensteinie. Rok później spakował swój marynarski wór i zamustrował na statek płynący do Anglii. Stamtąd do*

*Francji, na następnym do Hiszpanii i po trzech tygodniach maszerował już brukiem Lizbony. Chciał dostać posłuchanie u księcia Henryka Żeglarza, od którego niegdyś otrzymał kordzik oficerski. Czuł, że właśnie u niego uzyska zrozumienie i pomoc. Cóż z tego, że wcześniej nic nie dało się zrobić? Od tamtego czasu wiele się zmieniło i pewnie ochota portugalskich panów do znalezienia zachodniej drogi do Indii, Katalaju i Cipango niepomrotnie wzrosła. Tym bardziej że wschodniej drogi morskiej wciąż nie było, wybrzeże afrykańskie zamiast ciągnąć się na wschód, skrzyło nagle na południe i wiele wskazywało, że niebawem okręty portugalskich żeglarzy przekroczą równik, wpływając na teren nieznany, który – jak mówiły pisma doktorów kościoła – stanowią wezbrane morza i pustynie, gdzie człowiek nie przeżyje ani dnia.*

*W tej sytuacji, kalkulował reżolutnie, większą uwagę powinno poświęcić się na odszukanie zachodniej drogi morskiej. A on, Jan z Kolna, będzie w tym pierwszy. Łącznie z Christophorem, jeśli zechce, i z Fernandezem. Ale gdzie ich teraz szukać? Christophoro pewnie w Genui lub Wenecji, Fernandez w Barcelonie, a on sam tu, w Lizbonie.*



*Bartolomeo, brat Christophora, był już na dobre zadomowiony w Lizbonie. Pracował w warsztacie drukującym mapy morskie i umieścił tam również Christophora. Wkrótce bracia założyli własne przedsiębiorstwo kartograficzne. W związku z tym weszli w bliski kontakt z kapitanami statków i nawigatorami, wszystkie mapy morskie wykonywano bowiem na podstawie informacji i prymitywnych rysunków otrzymywanych od żeglarzy. Gdy jakiś okręt wracał z Afryki albo z wysp zachodnich, bracia zapraszali kapitana lub sternika na obiad, by później przy kielichu wyciągnąć od niego*

*dane potrzebne do poprawienia map, których nieprecyzyjne wyrisy już posiadali.*

*Młodzi Colonowie pracowali, bawiąc się i korzystając z życia. Christophoro, który jeszcze nie ukończył 20 lat, właśnie poznał piękną pannę Perestrelli, bez reszty oddając jej swą uwagę i serce. Gdy pewnego dnia zmierzał, by ją odwiedzić, idąc środkiem ulicy, wpadł na Jana. Stanęli naprzeciw siebie, nie dowierzając, że oto spotkali się bez wcześniejszego umówienia. Żaden z nich nie spodziewał się, że właśnie na brukach Lizbony spotka przyjaciela.*

*– Juanito!*

*– Christophoro!*

*Padli sobie w ramiona, jak dwaj bracia stęsknieni za swoją obecnością. Christophoro spóźnił się na randkę, bo zaprowadził Jana do swojego warsztatu i przedstawił bratu.*

*– Tu się zatrzymasz, a pogadamy wieczorem, jak wrócę. Bartolomeo! – rzucił w stronę brata – na wieczerzę szykuj garniec najprzedniejszego wina!*

*Rozmawiali niemal do rana. Jan zwierzył się Christophorowi ze swojego problemu, opowiadając ze szczegółami historię miłości do Maryni. Przyjaciel rozumiał go doskonale. Jego serce biło również do panny z zasobnego domu, a jej ojciec nie patrzył na niego zbyt przychylnie.*

*– Mówże, jakeś się znalazł w Lizbonie. Myślałem, żeś wrócił do Italii, jakoś zapowiadał.*

*– I byłem tam, ale teraz wielu Italczyków osiada w Portugalii. Najlepsze tu warunki do kupiectwa i do robienia interesów. Tym właśnie kierował się Bartolomeo, który przyjechał tu pierwszy.*

*– A ty?*

*– Ze mną to była dłuższa historia... Chcesz posłuchać?*

*– Mówże...*

*Genua organizowała uzbrojony konwój dla ochrony cennego ładunku odchodzącego do Europy północnej. W jego skład wchodził statek flamandzki „Bechalla”, na który Christophoro zaciągnął się jako oficer. Kiedy flotylla minęła Cieśninę Gibraltarską i poszła wzdłuż południowego wybrzeża Portugalii, zaatakowały ją okręty francuskie. Bitwa toczyła się przez cały dzień. Do wieczora trzy statki z konwoju i cztery statki francuskie poszły na dno. Wśród zatopionych okrętów znajdowała się również „Bechalla”. Lekko ranny Genuńczyk pochwycił unoszące się na falach wiosło i popychając je przed sobą, dobrnął do odległego o kilka mil brzegu.*



*Mieszkańcy Lagos, w pobliżu którego rozbitek wyszedł na ląd, przyjęli go serdecznie, a dowiedziawszy się, że jego brat mieszka w Lizbonie, wysłali go tam, gdy tylko mógł wyruszyć w drogę.*

*Bartolomeo wyuczył Christophora i otworzyli własną drukarnię map. Handlowali też książkami.*

*Tym sposobem Christophorowi nie było zbyt trudno zdobywać księgi, mógł więc w wolnych chwilach przyswajać zawartą w nich wiedzę.*

*W tym czasie w Lizbonie można było nabyć najlepsze mapy w Europie, najlepsze astrolabia i kwadranty. Nigdzie indziej nie ozdabiano ich tak troskliwie, jak właśnie tutaj. W Lizbonie uznano sporządzanie map za sztukę piękną, nie gorszą od malarstwa czy rzeźby. I tym sposobem powstające tu mapy i portolany wyróżniały się nie tylko precyzją, ale też lśniły złotem i purpurą. Ale cudzoziemcom nie wolno ich było wywozić poza Portugalię. Specjalny edykt królewski traktował to jako kradzież, a kradzież sekretnych map morskich karano ścięciem głowy. Tajemnice nowych odkryć stanowiły własność królewską. Strzeżono ich bacznie i surowo.*



*Jan zadowolił się u obu braci. Szukał kontaktu z możnymi tego miasta, by zyskać posłuchanie na dworze księcia Henryka. Chodził tam już kilka razy, ale do tej pory nie dostąpił zaszczytu. Spędzał więc czas w kantorze z mapami, pomagając Bartolomeowi w obsłudze klientów i realizowaniu zamówień. Czasami pomagał w kreśleniu map, co, biorąc pod uwagę jego wprawną w rysunku rękę, przydawało firmie chwały i nowych klientów. Zdarzało się także, że rysował na zamówienie panoramy miast, portów, sylwetki żaglowców, a nawet portrety armatorów i kapitanów. To także przysparzało mu środków do życia. Posłuchania na dworze księcia Henryka wciąż jednak nie uzyskał.*

*– Nie frasuj się, Janie – mawiał Bartolomeo. – Okazja trafi się zapewne już niedługo. Czasem zachodzą do nas wybitni żeglarze i sternicy, których w Lizbonie jest najwięcej. Oni ci to ułatwią.*

*Cierpliwości.*

*Ale właśnie cierpliwości ani czasu Jan nie miał w nadmiarze. Każdy dzień oddalał go od Maryni.*

*Tymczasem, starając się ukoić nerwy, często sięgał do książek znajdujących się w kantorze i zagłębiał w czytaniu. Któregoś razu*

*Christophoro pokazał mu pergamin z dziełem Seneki pt. „Medea”.*

*– A wiesz, że ten rzymski poeta i filozof przewidział w swym dziele przyszłe odkrycie ziemi za oceanem?*

*– Świat już zmierzony, jakie tam mogą być jeszcze ziemie? Co najwyżej kilka wysp, większych i mniejszych, na drodze do Indii. I może jeszcze jakieś za kołem podbiegunowym, ale dla nas, dla Europy, nie będą one miały większego znaczenia.*

*– Otóż mylisz się! – zaprotestował żywołowo Christophoro. – Będą miały znaczenie, i to ogromne!*

*– Jakże to?*

*– A owóż takie wyspy to istne przystanki w drodze do Indii. Tam założą się faktorie, bazy zaopatrzeniowe dla okrętów. I gdy możni tego świata będą się sycić zyskami z handlu z Indiami, Katakajem i Cipango, my... – tu zawiesił głos i chwytając zaciekawione spojrzenie przyjaciela, dodał: –*

*Będziemy kontentować się posiadaniem owych stacji przystankowych. Tam będą dla nas pieniądze!*

*Jan pokiwał głową. Ależ oczywiście, że też sam na to wcześniej nie wpadł!*

*– Christo... Do księcia powinniśmy iść razem. On na to przystanie. Tego jestem pewny! Gdybym miał pieniądze, wypłynęlibyśmy już jutro!*

*Genueńczyk wyjął kilka ksiąg i powołując się na poszczególne fragmenty, opowiadał porywająco, z całą swą skłonnością do mistycznych uniesień i wiarą we wszelkie możliwe prorocтва.*

*– Posłuchaj, co pisze Seneka: „Nastaną na świecie czasy, kiedy Ocean osłabi więzy rzeczy i odstąpi się wielka ziemia i nowy żeglarz, podobny temu, który wiodł Jazona i nosił imię Tifis, odkryje nowy świat, a wtedy wyspa Thule przestanie być granicą ziemi”.*

*Spojrzał znacząco na Jana. Oczy mu płonęły. Przyrównywał się niewątpliwie do Tifisa, sternika argonautów.*

*– Nowy świat, mówisz? – zapytał cicho Jan.*

*– A jak to inaczej nazwać? – Nie czekając na reakcję przyjaciela, rzucił zapamiętale: – Tam na pewno są jakieś ziemie! Wszak dowodów dostarczyli rybacy na zachodnich brzegach Wysp Azorskich.*

*Tajemnicze rośliny i trupy ludzi nieznaney rasy dziwacznie odzianych.*

*Wieczorami, gdy Christophoro wracał ze spotkań z panną Perestrelli, po kolacji często przesiadywali w kantorze przy świecach i toczyli długie dysputy.*

– *Faktorie, bazy zaopatrzeniowe, to prawda, wspaniałe pomysły, ale na nic się on zda, póki nie będą służyć okrętom płynącym do Katalaju i Cipango. A żeby je tam skierować, trzeba odkryć drogę zachodnią. Samo dopłynięcie do wysp niewiele da. Trzeba je ominąć i znaleźć drogę do Indii. Tylko wtedy nasz pomysł będzie miał uzasadnienie... Juanito! Wracamy do punktu wyjścia! Musimy ustalić, którądy wiedzie droga do Indii?*

*Znów rozwinęły mapy, studiowali linie wybrzeży, rozkładając ręce nad białymi plamami, których było wiele. Jan stuknął palcem w różne miejsca i pytając patrzył na przyjaciela.*

*Christophoro zamyślił się.*

– *Ja popłynąłbym na Azory, uzupełnił zapasy i na zachód! – zapalił się Jan, jakby był pewny, że tam właśnie znajdzie upragniony cel – drogę do Indii.*

*Christophoro był ostrożniejszy.*

– *A ja poszedłbym bardziej na południe, korzystając z siły pasatów. Wszak na północ zapędzały się już wyprawy, ale żadna z nich nie wróciła.*

– *Może znaleźli drogę do Cipango?*

– *I nie wróciliby? Wierzyć się nie chce.*

– *Jeśli tam takie cuda, jak opowiadają...*

– *Z pewnością wysłaliby wieści o odkryciu. Raczej przepadli...*

– *Tfu, na psa urok!*

– *Jako rzeczesz?*

– *To porzekadło z moich stron rodzinnych, na odegnanie złego.*

*Italczyk roześmiał się.*

*Tymczasem mijały dni i nic nie przybliżało przyjaciół do spotkania z którymś z dostojników.*

*Pewnego dnia na obiad do kantoru kartografów przybył znany żeglarz lizboński João Vaz Corte-Real.*

*Wrócił właśnie ze swojej kolejnej wyprawy na Islandię i dzielił się z Bartolomeem swoimi spostrzeżeniami, nanosząc poprawki na jednej z map.*

– *Dalej, za Grenlandią, są jakoweś ziemie? – spytał Jan. – Słyszeliście o tym, panie?*

– *Miejscowi mówią, że owszem, ale nie dawałbym temu wiary. Gdyby były, już by je odkryto, a wyprawy, które wyruszały, jednak nie wracały do domu. Podobnie jak i wszelkie wieści o nich...*

*Mawiano wprawdzie, że kilkaset lat wcześniej byli wśród wikingów śmiałkowie, którzy powrócili, ale sądzę, że te podania można wrzucić*

między legendy.

– I ja o tym słyszałem, będąc w tamtych stronach – rzekł skromnie Jan.

– Od miejscowych.

– I co, waszmość, uważasz?

– Że póki się nie sprawdzi, trudno wyrokować.

Corte-Real pokiwał głową rozważnie.

– Chętnych, którzy wazyliby się na taką imprezę, nie brakuje. Sam na Islandii spotkałem dwóch Niemców pod duńską banderą, Pininga i Pothorsta, którzy rozważali poszukiwania północno-zachodniej drogi do Indii...

– I co? – zapytali jednocześnie Jan i Christophoro.

– Taka przygoda wymaga nakładów. Trzeba by pójść w trzy albo i cztery okręty... Obaj są duńskimi kaprami i mają swoje łajby, ale właśnie łatali je na Islandii. Dalej niepodobna było iść... Ale jeśli kiedyś szczęście im dopisze, z pewnością popróbują tej drogi. Zawołani to żeglarze i niebojaźliwi.

– Niebojaźliwych znamy więcej – odparł chwacko Christophoro. – Co z tego, jak z podszewką jeno w kieszeni. A waszmość nie poważyłbyś się z nimi popłynąć?

– Jestem poddanym króla Alfonsa i jego admirałem. Nie mogę niczego uczynić bez jego woli, a on... jakoś nie słyszałem, by był skory do inwestowania w eksplorację tamtych obszarów – rzekł Corte-Real.

Co do tego wszyscy trzej byli zgodni. Potem admirał opowiadał o swoich morskich przygodach podczas handlu tranem z Islandią. Spędzili wspólnie długi wieczór, częstując się wzajemnie anegdotami i przypowieściami, a Christophoro i Jan dzielili się również swoim żeglarskim doświadczeniem, zyskując sympatię i aprobatę w oczach Portugalczyka. Koniec końcem admirał obiecał im wstawiennictwo na dworze Alfonsa V, aby król raczył wysłuchać ich projektów. Uprzedził, by nie roili zbyt wiele, ale też nie pozbawiał ich nadziei.

– Czasem mam wrażenie – rzekł – że u króla Alfonsa wiele zależy, jak trafi się u niego z humorem i pogodą. Nie upadajcie na duchu, szlachetni żeglarze, albowiem na dworze miłościwie nam panującego wszystko może się zdarzyć...

Zdarzyło się więc i to, że sam majestat nie znalazł dla nich czasu, ale na spotkanie zgodził się główny bankier króla, Camilo Almeida Braga, który czuwał nad finansami poszczególnych wypraw królewskich.

*Do posłuchania doszło w dwie niedziele później. Bankier, starszy i otyły, w bogato zdobionych szatach, z kilkoma pierścieniami i naszyjnikami, przypatrywał im się ciekawie.*

*Przyjaciele wyłożyli swoje racje i na moment bankierowi zaświeciły się oczy, szczególnie gdy mowa była o zyskach, jakie mogłyby przynieść faktorie i bazy zaopatrzeniowe. Potem jednak na jego twarzy pojawiło się znużenie.*

*– I wciąż wracamy do tego samego – rzekł z sarkazmem. – Trzeba wystawić i zaopatrzyć trzy lub cztery karawele... I ja mam na to dać z własnej kieszeni...*

*Między nimi zawisła ciężka cisza. Don Camilo wyduł usta jak niezadowolone dziecko.*

*– I kto wie, dzielni żeglarze... Może nawet i wyłożę! Ale nie dziś jeszcze...*

*Pstryknął palcami i obok pojawił się jego sekretarz. Bankier szepnął mu coś na ucho i mężczyzna zniknął. W tym czasie bogacz przyglądał się obu przyjaciółom. Co rusz przenosił wzrok z jednego na drugiego, jakby chciał ocenić ich przydatność do projektu, który mu przedstawili. Christophoro i Jan nie śmieli spojrzeć ani na siebie, ani też bankierowi w oczy. Spuścili głowy i czekali. Wreszcie pojawił się sekretarz i wręczył dostojnikowi rulon. Ten rozwinął go i skierował w stronę obu gości.*

*– Spójrzcie!*

*Posłusznie podnieśli głowy. Don Camilo trzymał w dłoniach mapę świata.*

*– Niejaki Toscanelli, astronom florencki, przysłał mi ten obraz świata, który poczynił według swoich obliczeń. Zbliżcie się i patrzcie tu – dźgnął palcem w miejsce na mapie. – Wschodnie wybrzeża Azji nakreślił naprzeciw Europy i Afryki, a Atlantyk zajmuje między nimi tylko niewielką przestrzeń...*

*Ciekawe... Jak on to obliczył? Tego i ja nie wiem, ale moi algebrzyści i astronomowie twierdzą, że jego dowodu nie da się wykluczyć... Choć żaden z nich nie dałby za niego głowy...*

*– Co wasza miłość zamierza? – zapytał nieśmiało Jan.*

*– Będę myślał o tym, co mi tu rzekliście i o tej mapie... I niech mnie nikt nie naciska, nie pospiesza.*

*Gdy będzie czas, sam was wezwę. I zaznaczam, nie będzie to prędko, bo teraz ogromne środki zaangażowaliśmy w wyznaczenie wschodniej drogi do*

*Indii wokół Afryki. I spodziewam się, że ta inwestycja zacznie w końcu przynosić zyski. Moje okręty minęły już Zatokę Gwinejską, przekroczyły równik i idą na południe. Niebawem, spodziewam się, kierunek zmieni się na wschodni i Indie okażą się o wyciągnięcie ręki... A wtedy jeden okręt przywiezie tyle ładunku, ile sto karawan idących szlakiem Marco Polo. A ja wyślę setki wielkich żaglowców, może nawet tysiące! I gdy przyjdą zyski, zainwestuję w szlak zachodni. Wtedy was będę potrzebował! Dzięki temu Portugalia będzie panować na wszystkich wodach i oceanach! – zakończył tyradę efektownym zwrotem, a potem dał im znak, że posłuchanie skończone.*

*Skłonili się i odeszli.*

*Obaj wiedzieli, że na pomoc bankiera nie bardzo mogą liczyć. Powinni szukać innych sposobów. Jan był zrozpaczony, bo zdał sobie sprawę, że droga do Maryni znacząco się wydłużyła...*

*Dzięki wstawiennictwu innego żeglarza zaprzyjaźnionego z kantorem Bartolomea i Christophora złożyli w kancelarii króla Alfonsa V pisemny wniosek o zgodę na sfinansowanie wyprawy morskiej na zachód w celu poszukiwania drogi do Indii, Kataju i Cipango.*

*Król, słuchając relacji swego kanclerza, miał się wyrazić o obu przyjaciółach jak o pyszałkach i samochwałach, zbzikowanych na punkcie swojej wyspy Cipango, i podobno tylko wzruszył ramionami. Poleciał jednak przekazać projekt do rozpatrzenia radzie złożonej z wysokiego dostojnika kościelnego i dwóch lekarzy – Żydów, cieszących się opinią znawców astronawigacji. Rada kategorycznie plan odrzuciła. Przyczyny tej decyzji nie zostały oficjalnie ogłoszone. Szeptano jednak, że oczekiwania obu przyjaciół nie przypadły do gustu monarsze. Korona portugalska zwykła otrzymywać nowo odkryte ziemie bezpłatnie. I tylko od króla zależało, już po fakcie, czy w swojej łaskawości przyzna odkrywcy tytuł gubernatora czy też nie. Ci dwaj byli cudzoziemcami i żądali stanowczo zbyt wiele.*

*Jan wiedział, że król był dużo łaskawszy dla swoich. W tym samym czasie, kiedy rada królewska odrzuciła ich projekt, król zezwolił dwom żeglarzom portugalskim na wyprawę za ich własne pieniądze w celu odkrycia wyspy zwanej Antylią. Za odkrycie owej wyspy mieli oni przyrzeczone stanowisko dziedzicznych gubernatorów oraz odpowiednie honory i tytuły. Żeglarze ci podjęli się płynąć na zachód czterdzieści dni i nocy, a następnie, jeśli wyspy nie odnajdą, mieli wrócić do kraju. Tak też się stało i ogłoszono, że na zachód od Azorów jest tylko woda.*

*Christophoro uważał, że zna przyczynę, dla której zarówno ta, jak i inne próby Portugalczyków, podejmowane w celu odkrycia wysp na zachód od Azorów, kończyły się niepowodzeniem. Żeglarze musieli pokonywać przeciwne wiatry zachodnie wiejące na tych szerokościach. Posuwali się więc na zachód dużo wolniej, niż gdyby płynęli na szerokości równika. Tam pasaty pchałyby ich na zachód.*



*Christophoro oświadczył się pannie Perestrelli i po tygodniach niepewności został jednak przyjęty.*

*Odtąd mógł oficjalnie bywać w jej domu i nawet ojciec panny zaczął mu okazywać pewne względy. Tym samym chłopak stracił zainteresowanie planami podbicia Indii od zachodu, myśląc teraz, jak by pomóc przyszłemu teściowi w nawiązaniu handlu z miastami italskimi. Jan więc na własną rękę zmagał się z twardą materią losu i ciasnotą poglądów możliwych mieszkańców Lizbony.*

*W ciągu następnych tygodni spotykał się z przedsiębiorcami, armatorami, bankierami i arystokratami, których, wydawało mu się, mógłby zainteresować pomysł dopłynięcia do Indii drogą zachodnią. Wciąż jednak otrzymywał odmowy. Niektóre grzeczne, inne zuchwałe, a nawet aroganckie.*

*We wszystkich tych miejscach nieodmiennie klaniał się i starając się nie chować w sercu urazy, żegnał się wypowiedaną na głos nadzieją, że nadejdą lepsze czasy do realizacji tego projektu.*

*Musiał toczyć ustawiczną walkę z przesądami, znosić zniewagi i tępą obojętność. Dumny i wrażliwy, święcie przekonany, że plan jego jest wykonalny i może otworzyć nowe drogi dla żeglugi, zmuszony był znosić kpiny i głupie dowcipy ciemnych lokajczyków pełniących rolę sekretarzy, od których zależało, czy jego wizyta dojdzie do skutku czy też nie. Czasami obchodzono się z nim gorzej niż z żebrakiem.*

*Christophoro, który się temu przyglądał z boku, w pewnej chwili zaprotestował.*

*– Dosyć! Wystarczy...*

*Jako że jego interesy z teściem miały się coraz lepiej, postanowił wysłać Jana do Wenecji, Genui i Florencji z listami do tamtejszych kupców.*

– *A przy okazji zorientujesz się, czy istnieją możliwości pozyskania sponsorów dla naszej imprezy.*

*Jan nie miał zbyt wiele do spakowania, bo jego majątek od czasu przybycia do Lizbony wzbogacił się zaledwie o kilka ksiąg, i niebawem zaciągnął się na okręt płynący do Wenecji. Potrzebowali nawigatora, a rekomendacja akademii w Sagres wystarczyła, by otrzymał lafę, którą zwykle dostają oficerowie z wieloletnim doświadczeniem.*

*W Genui załatwił wszystko, co do niego należało, według życzenia Christophora i pana*

*Perestrellego. Podobnie w Wenecji. Nie miał jednak szczęścia, by znaleźć kogoś przychylnego swojej idei. Z nosem zwieszonym na kwintę wyruszył do Florencji. Podczas rozmów w jednym z kantorów padło nazwisko Toscanelli...*

*Właśnie! Mistrz Toscanelli, Paolo dal Pozzo Toscanelli! Z tych Toscanellich, którzy od niepamiętnych czasów żyli w tym mieście, na Piazza de San Felice, koło starej studni z bardzo smaczną wodą.*

*Mistrz był już w sędziwym wieku. Był to uczony bezgranicznie oddany nauce. Nie miał rodziny, a wszystkie wolne chwile poświęcał matematyce, astronomii i kosmografii. W młodości otrzymał wspaniałe wykształcenie w trzech włoskich uniwersytetach – bolońskim, padewskim i pawijskim. Jego ulubioną nauką była geografia. Z mrówczą cierpliwością zbierał informacje od podróżników, nieczęsto jednak brał do ręki pióro. Książek nie pisał, sporządził jedynie tablice astronomiczne oraz wiele szkiców map różnych części świata.*

*O jego wielkiej uczoności mówiła jednak cała Italia. Imię Toscanellego znane było we wszystkich uniwersyteckich ośrodkach Europy. Niemieccy, portugalscy i francuscy kartografowie i kosmografowie odbywali pielgrzymki na plac San Felice we Florencji.*

*Brat mistrza był właścicielem domu handlowego zrujnowanego kilka lat wcześniej, po upadku Konstantynopola, do tej pory najważniejszego ośrodka do handlu ze Wschodem, w tym i z Indiami.*

*Toscanelli nie przypadkiem więc przejawiał ogromne zainteresowanie poszukiwaniem nowej drogi do*

*Indii.*

*Miał olbrzymią bibliotekę zawierającą bardzo cenne rękopisy. Pośród nich znajdowała się praca wielkiego Awicenny. Właśnie ją przeglądał, gdy na progu jego pracowni stanął Jan z Kolna. Toscanelli przyjmował wielu*



podróżników, tym samym więc wizyta Jana nie była niczym nadzwyczajnym. Poza tym gościa protegował przyjaciel jego brata, wielki florentyński kupiec Cambio.

Uczony był bezpośredni i łatwo nawiązywał kontakt z ludźmi bez względu na ich wiek i status społeczny. Lubił ludzi i sam był lubiany. Podobnie było z Janem. Rozmawiali o Afryce, gdzie żeglarz zdobył szlify oficerskie. Uczony był ciekaw wszelkich szczegółów. Znał świat i wiele wiedział o różnych miejscach, choć nigdy nie ruszał się z domu we Florencji. Świetna pamięć pozwalała mu zapamiętać, co opowiadali goście, a inteligencja kojarzyć fakty, analizować je, stawiać hipotezy i wysnuwać wnioski. To stanowiło o jego geniuszu.

– Czy dołynąłeś do Zatoki Gwinejskiej? – zagadnął Toscanelli.

– Nie, wasza miłość.

– Bo widzisz, mości żeglarzu... – wziął jeden z papierów leżących na wielkim stole, przy którym pracował. – Pisze mi tu kanonik Fernam Martins z Lizbony, w imieniu króla Alfonsa V, który pragnie wiedzieć, jaka jest najkrótsza droga do Gwinei... Liczy, że za Gwineą rozpościerają się wody, za którymi jest już kraj korzeni. Odpisałem mu, że najkrótsza droga do Indii prowadzi na zachód, ale on nie chce przyjąć moich argumentów...

Jan pokraśniał. Nareszcie spotkał kogoś, kto podzielał jego idee. Wdali się w dyskusję. Jan pragnął uzyskać jak najwięcej informacji co do sposobu oceny odległości między Lizboną a brzegiem Indii, a uczony chętnie dzielił się swoimi przemyśleniami.

– Przestrzeń ta – prawil – w linii prostej w kierunku na zachód podzielona jest na dwadzieścia i sześć części. Każda z nich równa się dwustu i pięćdziesięciu milom, zaś na ostatniej oznaczone jest położenie przezacnego a potężnego miasta Quinsay, czyli Hangczou, które swego czasu oczarowało Marco Polo.

Jan miał teraz przed sobą mapę, którą wcześniej widział u bankiera Camilo Almeidy Bragi.

Rozgorączkowany pochłaniał ją oczami, starając się zapamiętać jak najwięcej. Wskazał na jeden z zaznaczonych na oceanie punktów i odczytał nazwę.

– Antylia? Owa sławetna Antylia?

Toscanelli uśmiechnął się wyrozumiale.

– Od niej, którą Portugalczycy zwą Wyspą Siedmiu Miast i o której mają jednak dość skąpe wiadomości, do przezacnej wyspy Cipango jest dziesięć

części. Innymi słowy, oznacza to, że odległość z Lizbony do Kataju z jego wspaniałym portem Quinsay wynosi 26 razy po 250, czyli 5250 mil.

Jan aż zachłysnął się z wrażenia.

– Pewne li to?

– Jak kto chce wierzyć, to pewne, a dla niedowiarka żaden dowód nie starczy. Chyba że sam zmierzy.

– A wasza miłość? Jesteś pewien swoich obliczeń?

Toscanelli uśmiechnął się cierpliwie.

– Zuchwały jesteś...

– Wybacz panie, ale... gdybyś miał możliwość to sprawdzić, wsiąść na okręt i popłynąć, uczyniłbyś to? Zaryzykowałbyś życie?

Stary mężczyzna popatrzył uważnie młodemu w oczy. Chwilę trwało, zanim odpowiedział.

– Tak, popłynąłbym. A ty?

– Z wami, wasza miłość, wszędzie! – rzekł zapalczywie. – W tej chwili!



Uczony wykorzystał swoje wpływy i doprowadził do spotkania Jana z Radą Miejską, w której byli nie tylko możni arystokraci, ale i bogaci kupcy handlujący z całym ówczesnym światem, w tym oczywiście z Lewantem. Ci ostatni utyskiwali, że po upadku Konstantynopola znacznie osłabł obrót towarami ze Wschodem, który wcześniej przynosił spore zyski. Oni – jak twierdził Toscanelli – powinni być najbardziej zainteresowani znalezieniem nowej drogi na wschód.

Audiencja odbyła się w najbardziej reprezentacyjnej sali ratusza.

Toscanelli przedstawił Jana jako nieustraszonego żeglarza, który jest w stanie postawić w hazard swoje życie, by udowodnić, że płynąc w kierunku zachodnim, można dopłynąć do krajów Wschodu.

Zabierając głos, unikał podawania liczb. Protekcjonalnie pochwalał śmiały plan wyprawy. Uważał go za poprawny i pewny. Znając zapatrywania i mentalność kupców, skupił się na zachwalaniu zysków, które może przynieść realizacja planu młodego odważnego żeglarza. Rozwodził się nad bogactwami Wschodu i perspektywą przyszłych kontaktów książąt i władców krajów wschodnich z chrześcijanami.

Wyrażał też nadzieję, że prześwietni panowie, ludzie interesu i wielkiego serca, a wraz z nimi cała nacja italska, która dała tylu ludzi sławnych we

wszystkim, czego się imali, zdolają dojrzeć korzyści, jakie dla siebie i swojego narodu mogą wynieść, inwestując w organizację takiej podróży.

Po przemówieniu mędrca wśród rajców zapadła cisza. Po chwili przedstawiciel kolegium naczelnego podziękował za złożenie tak zacnej oferty przez czcigodnych gości i zastrzegł, że trudno spodziewać się natychmiastowej odpowiedzi bez konieczności przeprowadzenia szeregu konsultacji.

– Propozycję trzeba przeanalizować, obliczyć koszty, co z pewnością będzie wymagało zastanowienia.

Następnie zaproszono gości na ucztę. W czasie biesiady nie rozmawiano jednak o wyprawie. Przy stole omawiano bieżące miejscowe sprawy, nierzadko okraszając je kpinką i ironią. Po dobrym jadle pito wino, muzykanci zabawiali obecnych skocznymi melodiami, a niebawem rozpoczęły się także tańce. W atmosferze obojętnej zabawy nikt już nie wspominał o zachodniej drodze do Indii. Gdy Jan w nieformalnych rozmowach próbował zagadywać na temat wyprawy, nikt go nie słuchał, a tylko dwóch czy trzech rajców rozważało ewentualne zyski, ale nie skupiali się na warunkach inwestycji.

Jan zniechęcony nieformalnymi odmowami, gdy wciąż kazano mu czekać na jakąś odpowiedź lub decyzję, mustrował na różne statki pływające po Morzu Śródziemnym. Jako oficer i nawigator podróżował do Dalmacji i miast helleńskich. Pewnego razu trafił na okręt armatora płynącego do Lizbony. Korzystając z okazji, odwiedził Christophora, który doczekał się pięknego syna o imieniu Diego. Przyjaciel płonął szczęściem, w którym uczestniczył także Bartolomeo. Wciąż prowadzili swój kantor.

W tym czasie kapitanowie portugalscy donosili, iż brzeg afrykański, wzdłuż którego podążali, kolejnymi setkami mil ciągnie się na południe i na razie nic nie zapowiada, by ponownie odszedł na wschód. Były to nowiny niedobre. Szlaku do Indii należało szukać zatem dalej na południe, niż pierwiej zakładano. Było jasne, że nie stanie się to zbyt szybko.

Mimo to zainteresowanie wyznaczeniem nowej drogi zachodniej nie wzrosło. Rada Miejska

Florencji wciąż nie przygotowała odpowiedzi na ofertę Jana, mimo że od czasu jej złożenia minęło półtora roku. Inni przedsiębiorcy również wstrzymywali się z udzieleniem jednoznacznej deklaracji.

Jan nie miał żadnych wiadomości z Gdańska. Brat, który obiecał donosić mu o wszystkim, czego dowie się o losie Maryni, milczał jak zakłęty.

*A może listy po prostu nie dochodziły. Jan zamartwiał się o pannę. Cóż zresztą by wskórał, skoro nawet nie wiedział, gdzie przebywa. Miejsce było okryte ścisłą tajemnicą, do której dostępu nie miała nawet Gretka. Mimo to, nie raz, nie dwa, chciał szukać okrętu, który zabierze go w rodzinne strony, ale zawsze coś stawało mu na przeszkodzie. Najczęściej były to zakulisowe wiadomości, jakoby lada moment miał być wezwany na posłuchanie jednego z oficjów, którym uprzednio złożył swoją ofertę.*

*Przeważnie były to mrzonki, ale po dwóch latach dostał pismo od Toscanellogo, że Rada Miejska Florencji wzywa go na posłuchanie. Udał się tam niezwłocznie.*

## Święte Oficjum

*Ojciec Guliano był dominikaninem związanym ze Świętym Oficjum i radni uznali, że on lepiej niż ktokolwiek inny przedstawi ich stanowisko Janowi.*

*– Istotnie – zaczął – dlaczego by nie popłynąć? Mówiło się o tym już za czasów Cesarstwa*

*Rzymskiego, ale nie mamy żadnych danych, by ktokolwiek podjął taką próbę. I co więcej, by zakończyła się ona powodzeniem.*

*Mówca roztoczył po obecnych triumfujące spojrzenie.*

*– Zawsze uważano, że ocean jest bezgranicznie wielki, a wiatry nazbyt zdradliwe. Ale nie w tym rzecz! Dzielnych żeglarzy stać na podjęcie takiego wyzwania i wcale nikt w to nie wątpi. Zastanówmy się jednak, czy warto narażać na szwank życie kilkudziesięciu osób tylko dla udowodnienia czysto teoretycznej tezy? A co z piątym przykazaniem? Nie zabijaj, rzecz Pan... Czy ten młody żeglarz z dalekiego Kolna jest w stanie wziąć na swoje barki odpowiedzialność za życie swoich towarzyszy, których chce poprowadzić, oby nie!, ale przecież może się zdarzyć, że... na zgubę?*

*Jan chciał zaprotestować, ale Toscanelli powstrzymał go. Ojciec Guliano perorował:*

*– Każdy z nas, jak tu siedzimy, doskonale wie, że niepodobna załadować na okręty tyle prowiantu, aby móc wyżywić załogę w ciągu wielomiesięcznej podróży.*

*Jan patrzył na twarze zgromadzonych rajców. Niektórzy sprawiali wrażenie, że drzemią, inni niecierpliwie rozglądali się na boki i wymieniali znaczące spojrzenia z towarzyszami. Któryś drapał się w nos, inny otwarcie ziewał, specjalnie się z tym nie kryjąc... Teoretyczną możliwość dotarcia na wschód przy kierowaniu się na zachód uznałby każdy wykształcony człowiek, każdemu z nich bowiem było wiadomo, że Ziemia jest kulą. Nikt*

*jednak, i tu ojciec Guliano miał rację, nie uczynił nic, aby to sprawdzić. Tradycja, siła przyzwyczajenia, przesady – wszystko to przemawiało przeciw wyprawie.*

*– Człowiek – rzekł cierpiętniczym tonem dominikanin i podniósł palec w górę, jakby tam właśnie szukał oparcia dla swoich wywodów – nie powinien kusić Wszechmocnego, zapuszczając się w nieznaną dal oceanu.*

*Ani Jan, ani Christophoro nie sądzili bynajmniej, że uda im się pokonać ocean jednym skokiem. Nie było zresztą żadnych podstaw do twierdzenia, że Flores, Corvo i Thule to ostatnie wyspy na zachodzie.*

*Wierzono wszak w legendarne wyprawy morskie świętego Brendana, u Portugalczyków zaś żywa była legenda o wyspie Antylii, zamieszkaney przez uciekinierów z czasów wojen z Maurami w VIII wieku.*

*Jan słyszał na własne uszy, jak pewien stary marynarz lizboński opowiadał, że sam był na tej wyspie, wygnano go jednak. Toscanelli też wspominał o Antylii jako wygodnym punkcie postoju.*

*– A zatem – rzekł dominikanin – oddaję głos przewodniczącemu Rady Miejskiej, księciu Pinderlini.*

*Ten ogłosił tajne głosowanie, a po kilku pacierzach ponownie wezwano Jana przed majestat Rady Miejskiej.*

*Ksiązę florencki, szef banku [Medyceuszy](#), nawet nie wstał, rozłożył jedynie ręce i orzekł, że ponownie dziękują za zaszczylenie ich miasta tak wspaniałą ofertą, ale choć brzmi niezwykle obiecująco, po przegłosowaniu rajcy jednogłośnie uznali, że przyjąć jej nie mogą.*

*To był koniec marzeń. Twórcza wyobraźnia Jana w połączeniu z niezłomnymi przekonaniem, jego niecierpliwość w stosunku do tych, których nie potrafił przekonać, wszystko to czyniło go w oczach otoczenia uciążliwym maniakiem, a nawet szaleńcem. Pokątnie mawiano, że pomieszały mu się zmysły po zawiedzionej miłości do białogłowy. On sam był rozgoryczony. Ubolewał, że dla zrealizowania swych zamierzeń, dla zdobycia pieniędzy, ludzi i ekwipunku, musiał udowadniać różnym głupcom na wysokich stanowiskach, że „przedsięwzięcie indyjskie” – jak nazywał swój projekt – to rzecz możliwa do wykonania. I odbijał się od ich nieracjonalnych argumentów, jak od żelaznych drzwi świątyni.*



Po posiedzeniu Toscanelli zaprosił Jana do siebie na skromny posiłek. Jedli w milczeniu. Na koniec mędrzec poklepał Jana po plecach.

– Nie załamuj się – rzekł spokojnie. – Dopniesz swego, jestem tego pewien.

– Kto to może wiedzieć?

– Ty! Bo ty czujesz, że to prawda, i chcesz to udowodnić.

– Tylko że nie mam możliwości.

– Nadarzy się. I to być może prędzej niż myślisz.

Jan popatrzył na niego z nadzieją.

– Wystarczy że Portugalczycy nie znajdą przesmyku między Afryką a Indiami jeszcze przez rok lub dwa... Wtedy ktoś postanowi, że warto popłynąć na zachód...

Przyciągnął mapę i rozłożył ją na stole, przy którym siedzieli.

– Spójrz – rzekł i pokazał na zarys lądów i mórz. – Ocean uważany jest przez wszystkich za jedną całość. Uczni wyobrażają sobie, że otacza on Europę, Azję i Afrykę, które tworzą olbrzymią wyspę na jednym olbrzymim akwenie. Zarówno dla ciebie, Janie, jak i dla wszystkich władców i dygnitarzy, od których decyzji zależy udzielenie ci poparcia, najważniejsza jest odpowiedź na następujące pytania: Jak daleko na zachód znajduje się Daleki Wschód? Ile mil wynosi odległość od Portugalii do Kataju lub Cipango? Jak długo będzie trwała żegluga? I czy w ogóle taka wyprawa jest wykonalna?

Jan kiwnął głową. Rozumiał, że nie liczą się fakty, tylko w jaki sposób się je przedstawia. Toscanelli uważał, że właśnie ową umiejętność rozróżnienia dwóch stron jednego medalu powinien opanować, jeśli chce coś w życiu zdziałać.

– Arystoteles pisał – rzekł uczonego – jakoby w ciągu kilku dni można było przepłynąć z Hiszpanii do

Indii przez ocean. Grecki geograf Strabon, który żył na początku naszej ery, wspomina, że w jego czasach żeglarze usiłowali dokonać takiej przeprawy, ale wrócili z niczym „z powodu braku zdecydowania i niewystarczających zapasów żywności”.

– Mieli gorsze okręty niż my. Nie mieli takiej umiejętności nawigacji, nie posiadali też takich argumentów i wiedzy naukowej jak my...

Toscanelli roześmiał się.

– Janie, chciałbym dożyć tego dnia, kiedy wrócisz stamtąd, przyjedziesz do mnie i wszystko mi opowiesz.

– Życzę panu, mistrzu, aby koniecznie dożył pan tego czasu, bo to, co przywiozę, zrewolucjonizuje dotychczasową wiedzę o geografii.

Pożegnali się serdecznie, jak dwaj przyjaciele.



Jan w drodze na Bałtyk wstąpił do Christophora. Zdziwiło go milczenie i melancholia przyjaciela, dopóki Bartolomeo nie powiedział mu, że Felipa odeszła z tego świata. Zostali razem z synkiem, ale Christophoro nie odzyskał już dawnego wigoru. Jan nie mógł się z nim porozumieć na żaden temat. Na każde pytanie niezmiennie odpowiadał „tak”, „nie” albo „później”, przy czym Jan miał niejasne wrażenie, że przyjaciel go nie poznał. Kilka dni później zamustrował na statek do Kopenhagi.

Gdy już tam się znalazł, odwiedził stryja Lucjana. Lata, trudy poniesione w dalekich podróżach i choroby zrobiły swoje. Lucjan przesiadywał w swoim domu i często polegiwał w łóżu. Spędzali wspólnie wieczory. Jego syn Jakub pełnił rolę asystenta w kancelarii kanclerza wielkiego koronnego.

Nie miał jeszcze osiemnastu lat, ale jako że był zdolny i nad wyraz biegły w językach, król Christian zatrzymał go na swoim dworze, by kształcił się na urzędnika królewskiego. Jakubowi bardzo to odpowiadało. Jan siadywał przy ogniu ze stryjem, gaworząc i wspominając dawne dzieje. Młody Jakub słuchał tych opowieści z wypiekami na twarzy. Zdarzało im się i pomilczeć, gdy choroba Lucjana pozbawiała go dawnego poczucia humoru. Tak też było tego wieczoru.

Jan podsycił ogień w kominku, dołożył polan i wsunął wielki kawał buku. Płomienie zaczęły go oblizywać, z początku nieśmiało, ale potem pochłonęły go całkowicie, wydając i światło, i ciepło.

Lucjan poruszył się na swoim łóżu.

– Janie...

– Tak, stryju...

– Czemu nic nie mówisz?

– Milczałem, bom myślał, że śpisz... Budzić nie chciałem...

– Nie spałem... W moim wieku już dużo się nie śpi... Myślałem...

– I co, stryjku, będzie co z tego myślenia?

– Wyrobię ci posłuchanie u króla Christiana, ale po prawdzie i po kolei

– najpierw powinienes swoją propozycję złożyć królowi Kazimierzowi



*Jagiellończykowi. To człek światły i zasług dla kraju ma wiele. Pokonał Krzyżaków... Pomorze, Prusy, Malbork i Gdańsk przyłączył do Polski. Morza stoją teraz dla nas otworem. A na jego dworze także wielu mędrców, co potrafią patrzeć przyszłości ojczyzny... I Jan Długosz, i Wojciech z Brudzewa, i Jan Kanty i Wit Stwosz, rzeźbiarz... Poznałem go, gdy jego ołtarz wyrzeźbiony w Kościele Mariackim oglądał... Po polsku myśli, choć z Germanii przybył. Polecam cię jemu i szczególnie Janowi Długoszowi, który spisywał dzieje moich podróży...*

*Oni zaprotegują cię na posłuchanie u króla Kazimierza...*



*Wpływy Lucjana Brzozy u Jana Długosza rzeczywiście musiały być znaczne, bo nie minęły dwa tygodnie od dnia, kiedy Jan pojawił się w Krakowie, gdy herold wezwał go na Wawel. Zjawił się chyżo.*

*Onieśmielony wszedł na wielką salę posłuchań. Wszędzie przystawały grupki wielmożów i wielkich dam. Słudzy roznosili tace z napojami i przegryzkami. Czekano na króla. Gdy wszedł i zasiadł na tronie, wokół ucichło jak makiem zasiał. Po kilku godzinach przyszła na nich kolej. Jan Długosz podprowadził Jana pod tron i obaj głęboko się skłonili.*

*Długosz rzekł:*

*– Pozwól, królu, przedstawić, oto Jan z Kolna, słynny żeglarz, bratanek Lucjana Brzozy, znamienitego podróżnika...*

*Król Kazimierz kiwnął głową. Pamiętał Lucjana.*

*– A tak... Słyszałem... Podejź bliżej...*

*Jan skłonił się ponownie.*

*– Miłościwy królu...*

*Władca uciszył go gestem.*

*– To ty, żeglarzu, uważasz, że do Indii można dopłynąć, kierując się na zachód, a nie, jak dotychczas uważano, na wschód?*

*– Tak, wasza królewska mość...*

*– Bo widzisz... W Krakowie jeszcze żyją kupcy, którzy ongiś porobili fortuny na handlu z Indiami...*

*Nie było to tak dawno. Ale ten zyskowny handel ustał, gdy Turcy w roku 1454 zdobyli Konstantynopol i przez to zamknęli europejskim kupcom drogę do Azji. Poszukiwanie nowego szlaku do Indii jest więc niejako koniecznością...*

– Drogę przez Atlantyk uważam za pewną. – Jan ponownie klęknął, bijąc się w piersi, że mówi prawdę. – I sam chcę podjąć się jej sprawdzenia...

Król Kazimierz pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Na czym opierasz swoje przypuszczenia?

– Na najnowszych ustaleniach zachodnich geografów, a także i mistrzów z Jagiellońskiej Akademii.

Mianowicie, że Atlantyk nie jest tak wielki i tak straszny, jak go sobie do tej pory wyobrażano, że można go pokonać w ciągu czterdziestu dni, dopływając do wschodnich wybrzeży Indii...

Monarcha przyjął tę wiadomość z wyraźną satysfakcją.

– I podjąłbyś się takiego hazardu?

– W trzy okręty i 150 ludzi...

– Hmm... No cóż, może i bym wydał pozwolenie... Słyszałem, że kupcy krakowscy, rozprawiając o twoim projekcie, który wszak w Krakowie żadną tajemnicą już nie jest, nie posiadali się z radości...

Dla nich to szansa na handel z Indiami. Skoro szlak Marco Polo zamknięty, niech otworzą się morza...

Jeśli zaś uda im się zebrać środki na twoją wyprawę, dam wam moje błogosławieństwo...

Jan ponownie klęknął.

– Dzięki ci, królu nasz i panie...

– No cóż... Sam projektu wesprzeć nie mogę, bo skarbiec jest wyczerpany trzynastoletnią wojną z Krzyżakami... A teraz potrzeb w kraju wiele... Muszę też chorągwie sposobić, bo wschodnie granice od Tatarstwa znów zagrożone są wielce...



Dwa lata później Jan znów siedział przed kominkiem w komnacie Lucjana Brzozy w jego domu w Kopenhadze. Stryj już prawie w ogóle nie wstawał z łóżka. Choroba osłabiła jego ciało, ale umysł pozostawiła jasny. Wciąż żywe oczy łaknęły wieści ze świata, które szczerze radowały go albo smuciły.

Bóle nóg i pleców nie stepiły wrażliwości, nie sprawiły, że stał się obojętny na problemy najbliższych.

Tak więc, gdy tylko zobaczył bratanka, uśmiechnął się zachęcająco.

– Mówże, Janie... Udało się, zebrali owi krakowscy kupcy talary na twoją wyprawę?

– Niestety, stryjkę... Nie zebrali...

– Jakże to? – Lucjan aż podniósł się na łożu. – Chcieli zarobić grube miliony, a nie mogli wyposażyć trzech okrętów?

– Jak widać, nie... Zaczęły się swary, kłótnie... Który ile ma dać i co będzie z tego miał. Dzielili skórę na niedźwiedziu, który biegał jeszcze po borach... Każdy próbował zapewnić sobie jak największy udział w przyszłych zyskach. Chcieli nawet założyć Kompanię Krakowską, która byłaby rodzajem gildii kupieckiej obsługującej polski morski handel z Indiami. Planowano dopuścić do niej kupców z Mazowsza, Wielkopolski, a nawet z Gdańska, ale wszystko speszło na niczym... Pod dwóch latach sam zrezygnowałem...

Lucjan westchnął głęboko.

– Pomówię, z kim trzeba – rzekł – by król Christian cię przyjął. Pójdziesz z moim synem, bo król go zna i lubi... Jakub teraz nadzoruje pracę w jego kancelarii.

– Kiedy?

– Trudno powiedzieć, to wymaga odpowiedniego przygotowania, a więc i czasu.

– Dobrze, a ja tymczasem pojedę rozpatrzyć się w Gdańsku i do Kolna zajrzę, do ojca.



Niebawem popłynął do Gdańska. Od Gretki, którą przydybał przed wejściem do kamienicy Nagelów, dowiedział się, że panna była zmuszana w Elbingu do ślubu z sześćdziesięcioletnim mężczyzną.

Chciała skoczyć z najwyższego okna kamienicy, ale ją odciągnęli. Kupiec, członek Kompanii Wschodniej, która dawniej wysyłała swoje karawany kupieckie na Ruś, a niekiedy nawet do Persji, był wdowcem i człowiekiem dobrego serca. Gdy usłyszał o incydencie, odstąpił od chęci zawarcia małżeństwa. Przez jakiś czas panna nie wychodziła z domu, bo nawet jej stryj orzekł, że okryła jego dom i siebie samą okrutną hańbą, sprzeciwiając się woli rodzica i powodując skandale, o których całe miasto rozprawiało tygodniami! Jakiś czas po tym, jak już lekarz przestał dziewczynie krwi upuszczać, cichaczem wysłał ją do ojca.

*W Gdańsku Marynia nie zabawiała długo. Gdy w domu pojawił się kolejny konkurent, pan rajca Meyhoffer, zrozpaczona obwieściła mu w obecności ojca, że odrzuca awanse, bowiem wybrała... zakon. Słowo się rzekło i to przy świadku, więc niełatwo było je cofnąć. Marynia pewnie dużo by za to dała, ale ze słowem już tak jest, że lekko ptakiem wyleci, a wraca niczym kamień. Starania o przyjęcie do żeńskiego zakonu franciszkanek i przygotowanie wyprawy zajęły kilka miesięcy, ale w tym czasie dano jej spokój i nie nękał jej już żaden konkurent. Wybrawszy Chrystusa, przestała być panną na wydaniu. A kilka miesięcy później powóz odwiózł ją do Torunia. Tam odbyła nowicjat u franciszkanek i złożywszy śluby, podobno wywędrowała gdzieś do Niemiec. Do domu żadne listy od niej nie przychodziły, a pan August Nagel nigdy nie wyjeżdżał. O córce zabronił wspominać. Był zrozpaczony i nieszczęśliwy. Cierpiał, ale trwał w swojej zapiekłości.*



*Jan poprosił brata, Bartosza, który w gdańskim ratuszu doczekał się już znacznych godności, by sprawdził, co się dzieje z Marynią. Niestety, jego władza nie sięgała za furte klasztorną, a poza nią próżno było szukać wiadomości o dziewczynie.*

*Więści od Lucjana Brzozy nie nadchodziły, więc Jan udał się do Kolna, gdzie spędził kilka miesięcy.*

*Pan Bartłomiej dożywał ostatnich dni i Jan chciał być przy nim w chwili, gdy zamknie oczy, co też niebawem się stało. Jego godność i urząd przejął Bartosz, który mianował plenipotentą. Jan spakował swój worek żeglarski i powędrował do Gdańska. Niebawem też dostał się na okręt kaperski dowodzony przez jego dawnego znajomego, Pawła Benecke. Odbył z nim kilka wypraw. Jako oficer miał szczęście wziąć udział w najśłynniejszym wyczynie swojego szypa, który dowodząc [karaką](#) „[Peter von Danczk](#)”, zaatakował płynącą z [Brugii](#) do [Southampton florencko-burgundzką](#) galereę „San Matteo”.*

*Do ataku przystąpili bez animuszu. Była większa od ich karaki, lepiej uzbrojona i miała liczniejszą obsadę. Na chwilę przed abordażem gdański kaper uznał, iż porywając się na „San Matteo”, przeliczył się z siłami i szaleńcza odwaga jego ludzi może okazać się niewystarczająca. Marynarze i żołnierze, którymi dowodził, widząc siłę Italczyków, popadli w panikę i*

chcieli uciekać. On jednak z pomocą Jana, swojego pierwszego oficera, zdołał opanować sytuację. Wygłosił do nich przemowę, apelując do ich patriotyzmu i ambicji.

– Chcecie, bym żałował, że dożyłem dnia, kiedy oczy moje muszą patrzeć, jak tylu twardych gdańskich żeglarzy i wojaków drży przed Italczykami i wybiera ucieczkę? Czy nie uczciwszym byłoby, gdybyśmy od wrogów naszych za wolność ojczyzny naszej życie postradali, lecz na miejscu pozostali, niżli hańbę przez wiek życia naszego znosić mieli? By nas dzieci palcami wytykały, krzycząc: „To ci, co się Włochom pogonić dali!”. Pomnijcież na to, jakiej odwagi nabiorą wrogowie nasi, Angielczycy, skoro uwierzą, że oni zawsze zwyciężają, a my przegrywamy?!

Wśród marynarzy dało się słyszeć pomruki niezadowolenia.

– Ginać mamy za nic?

– Już za późno, by się cofać! – szyper zagrział strasznym głosem do zgromadzonej pod kasztelem załogi. – Idziemy na bój! Tam jest tęgi łup do wzięcia, aleć nas nieco pracy będzie on kosztował.

Chcecież, jako ja, poważnie działać, tedy nam nie ujdą, ale pokażmy im mężne serca i twarde pięści.

Gdy zechcemy, wzorem naszych ojców, sercem i pięścią być Gdańszczanami, tedy łup nam nie ujdzie i póki życia służyć nam będzie. Do boju, towarzysze!

Jan poderwał załogę. Marynarze i żołnierze ruszyli na swoje pozycje. Z dział pluęło ogniem. Kilka pacierzy później burty obu okrętów szepiły się i Gdańszczanie wskoczyli na „San Matteo”.

Wywiązała się walka. Trup padał gęsto. Gdańszczanie byli zdeterminowani. Nie dawali przeciwnikom pardonu. W najlepszym razie wrzucali ich do wody.

Na pokładzie galery transportowano właśnie tryptyk Hansa Memlinga „Sąd Ostateczny”. Paweł

Benecke zdobył go wraz z Janem i jeszcze trzema marynarzami. Podczas podziału łupów gdański współwłaściciel [karaki](#), „[Peter von Danczk](#)” Reinhold Niederhoff ofiarował obraz gdańskiemu kościołowi [Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny](#), dziękując za cudowne ocalenie okrętu i załogi.

Po odliczeniu daniny dla polskiego króla do podziału pozostało jeszcze około 48 tysięcy guldenów.

Po tej przygodzie Paweł Benecke, właściciel domu na rogu ulic Węglowej i św. Ducha, stał się przyjacielem Jana. Jakiś czas później powierzył mu jeden ze swoich nowych okrętów i Jan pływał pod jego znakiem. Do czasu, aż dziękując fortunie, dorobił się swojego. Nadał mu nazwę „Marina”, bo choć kojarzyło się z przystanią dla żaglowców, brzmiało jak imię ukochanej.

Wynajął też niewielką kamieniczkę w pobliżu Rybiego Targu, ale nieczęsto tam wracał. Pusty to był dom i tylko para służby w nim mieszkała. Gretka, która zrezygnowała z posady w domu Nagela, i jej mąż Józef, pogodny mężczyzna w sile wieku, zdolny do ogrodu i wszelkich napraw.

Mijały miesiące, a Jan pływał przeważnie po Bałtyku, czasem wypuścił się na Morze Północne i grasował w pobliżu wybrzeży flandryjskich. Niekiedy zapuszczał się do brzegów Francji i Hiszpanii. Łup tam był lepszy, ale i łatwiejsza niż gdzie indziej okazja do utraty okrętu.

O Maryni nie wiedział nic nowego. Ślad po niej urywał się w toruńskim klasztorze. O jej dalszych losach nie było wiadomo nic pewnego. Stary pan August Nagel pogrążył się w szaleństwie i zmarł, a wszelkie starania Bartosza, by dowiedzieć się czegoś o pannie, speliły na niczym. Jasne było, że przyjęła śluby i oddelegowano ją gdzieś w głąb Niemiec. Jan, zdawało się, przestał o niej myśleć, ale dziewczyna wracała do niego w snach. Tęsknił do niej, do marzeń niespełnionych, co sprawiało, że mimo iż gładyś i panny niektóre wodziły za im rozmarzonym wzrokiem, na żadną ani nie spojrział.

Wreszcie otrzymał długo oczekiwany list od Lucjana Brzozy. Stryj donosił, że król Christian I Oldenburg zgodził się udzielić mu audiencji i wysłuchać projektu wyznaczenia zachodniej drogi do

Indii. Jan zaopatrzył „Marinę” i wyruszył do Kopenhagi.

Na posłuchaniu oprócz Jana i stryja Lucjana, który podpierał się ozdobną laską, obecny był także jego syn Jakub Brzoza, urzędnik kancelarii królewskiej, ulubieniec monarchy. Król Christian, gdy ujrział dawno niewidzianego Lucjana, uśmiechnął się i skinął na pazia, by ten podsunął starcowi taboret. Zazwyczaj nikt nie śmiał usiąść w obecności monarchy, jednak król zrobił wyjątek dla swojego wypróbowanego przyjaciela. Gdy go tylko zobaczył, jak drżącym niepewnym krokiem zbliżał się do tronu, natychmiast zdał sobie sprawę, że inkrustowana amberem laska, którą kilka lat wcześniej sam mu podarował, nie służyła Lucjanowi do ozdoby. Mocno się na niej wspierał, chcąc nadać swoim krokom walor lekkości, jednak to

mu nie wychodziło. Towarzyszyli im sekretarz królewski i biskup, który, choć niewiele mówił, miał dużo do powiedzenia, gdy chodziło o podejmowanie ostatecznych decyzji.

Lucjan przedstawił w kilku zdaniach projekt Jana i poprosił go o omówienie szczegółów. Jan po raz kolejny prezentował swoje argumenty. Pozwalali mu mówić. Po zrelacjonowaniu ogólnych założeń przeszedł do szczegółów, które – wierzył w to głęboko – mogły zaważyć na ostatecznej decyzji.

Przytaczał argumenty Toscanellego i pokazywał odrys mapy jego autorstwa. Król i jego doradcy tylko kiwali głowami. Zachęcony opowiadał, że widział na Azorach „końską fasolę” – owoce dziwnej, nieznannej rośliny podobnej do mimozy, i o łódce ze zwłokami dwóch ludzi, których miejscowi rybacy uważali za Chińczyków.

– Nie może zatem ów Kataj być zbyt daleko od Azorów – dowodził. – Gdyby płynęli martwi wiele tysięcy mil, ich ciała musiałyby ulec rozkładowi.

Gdy skończył, zobaczył kątem oka uznanie na twarzy stryja. Najwyraźniej był z niego dumny, a to znaczyło, że zrobił na władcy i jego świcie dobre wrażenie. W odpowiedzi usłyszał tylko, jak imć pan kanclerz dziękuje mu za przedstawienie propozycji i obiecuje, że najprzedniejsze umysły przyjazne jego królewskiej mości odniosą się do niej tak, jak na to zasługuje.

Skłonili się wszyscy trzej i opuścili salę tronową. W westybulu czekało już na posłuchanie poselstwo kupców andaluzyjskich.

Stryj Lucjan wyściskał Jana z uśmiechem.

– Zaciesz to wywiódł, chłopcze. Myślę, że zadałeś im ćwieka w głowę. Król Christian nie w ciemną bitę. Zanim powie nie, dziesięć razy przemyśli, czy mu się to opłaci. Sądzę, że jesteśmy na dobrej drodze... Jedno tylko ci rzeknę. Jeśli chcesz zdobyć sympatię monarchy, bądź zawsze o jeden krok przed jego myślą.

– Co stryjko przez to rozumie?

Lucjan westchnął. Uśmiechnął się, słysząc, jak Jan, dziś dorosły mężczyzna, który pływał nie tylko po morzach europejskich, ale zapuszczał się już na Islandię, a na południu eksplorował wody Afryki – nazwał go jak wtedy w dzieciństwie, gdy marzył o dalekich wyprawach w nieznaną i cudownych przygodach... Popatrzył na niego. Wciąż widział w nim małego chłopca, ufnego w to, że życie może mu przynieść samo dobro, a także w

*swoje niespożyte młodzieńcze siły i możliwości. Widział w nim niezłomnego romantyka, który gotów jest iść za głosem serca i naprzeciw wszelkim wyzwaniom, nawet na koniec świata, i co więcej, samemu ten koniec świata przesuwając coraz dalej i dalej...*

*Wyglądał na mocno strudzonego. Jakub przysunął mu taboret, na którym ciężko usiadł.*

*– Potrzebujesz teraz jego przychylności – rzekł. – Nie pozwól mu więc wypowiadać na głos życzeń.*

*Rób to, czego on sam by pragnął, ale nie musiał o to prosić.*

*Jan westchnął.*

*– Ciężko to pojąć...*

*– Przyjdzie czas, że będzie to zrozumiałe samo przez się...*



*Kilka dni później w porcie, gdy schodził z „Mariny”, natknął się na João Vaz Corte-Reala.*

*Przywitali się jak starzy znajomi. Corte-Real odwiedził go później na „Marinie”, gdzie przegadali cały wieczór przy gąsiorku reńskiego. Admirał opowiadał o porozumieniu, jakie jego król Alfons V zawarł z Christianem I. Mieli wysłać ludzi na Grenlandię, by zakładali tam nowe osady. Christian I wydał zezwolenie, by Portugalczycy założyli tam swoją faktorię. Król Alfons V zobowiązał więc Corte-Reala, aby dowiózł fachowców i osadników i wszystkiego sam dopilnował na miejscu.*

*– Płyniemy we trzy okręty, ja i dwaj kaprowie królewscy, Niemcy, Pining i Pothorst. Znasz ich może?*

*– Obiło się o uszy, ale przyjemności nie miałem.*

*– Spotkałem ich niegdyś na Islandii...*

*– Tak, przypominam sobie, opowiadałeś...*

*Wiedział, że król Christian przyjmuje żeglarzy innych narodowości na służbę, by wzmocnić swoją flotę przed buntownikami szwedzkimi i kaprami miast hanzeatyckich, którzy wciąż walczyli z Duńczykami w Sundzie, aby nie płacić podatków w Helsingør.*

*– Zacni kawalerowie i żeglarze najprzedniejsi, obeznani z północnymi morzami.*

*– Jak i ty, admirale...*



Wymienili uśmiechy. Jan kiwnął głową, a Portugalczyk pociągnął łyk wina i zaczął opowiadać.

– Brałem mapy od Bartolomea kilka niedziel temu – opowiadał portugalski admirał. – Christophoro nie wyszedł nawet się przywitać. Podobno pogrążony w melancholii.

– Jak sobie radzi z dzieckiem? – zagadnął Jan.

– Opiekuje się nim młoda dziewczyna Beatriz, sierota ze wsi. Czuwają też teściowie.

Jan współczuł przyjacielowi, chciał nawet udać się do Lizbony, by pokrzepić go na duchu, ale wtedy zdarzyło się coś, co pokrzyżowało mu te plany.

Anglicy popłynęli na Islandię będącą we władaniu króla Christiana, choć od lat była z nimi umowa, że nie mogą tam kupczyć. Doszło do awantury. Nieproszeni goście byli w większej sile i zabili wójta królewskiego, który im się przeciwstawił, a potem obrabowali rybaków tylko dlatego, że nie chcieli z nimi handlować.

Christian I Oldenburg, gdy się o tym dowiedział, w odwecie rozkazał służącym u niego gdańskim kapitanom napaść na stojące w Sundzie angielskie okręty. Jan, choć nie był jego kaprem, zrozumiał sugestię stryja. Nie namyślając się długo, zaopatrzył swój okręt i kazał podnosić żagle. Kłopoty z balastem sprawiły, że „Marina” została z tyłu za innymi okrętami. Dzięki temu z mostka dostrzeżono galeon, który wymknął się z zasadzki. Jan natychmiast przystąpił do pościgu, a potem do abordażu.

Okazało się, że łup był nader cenny. Na pokładzie podróżował bowiem sam lord mayor [Londynu](#), [Thomas Krigeck](#). Jan przekazał go osobiście w ręce króla Christiana. Mając taki argument w rękach, monarcha mógł stawiać warunki królowi Edwardowi IV. Ten musiał się ugiąć pod naporem żądań Oldenburga, ale wiedząc, że jego okręty zawłaszczył Gdańszczanin, cofnął grodowi nad Motławą przywileje handlowe, nadane mu poprzednio za sprawą Kazimierza Jagiellończyka.

Wszystko skrupiło się na Janie. Wiadomość obiegnęła najważniejszych urzędników lotem błyskawicy.

Pojmanie lorda mayora, które powinno przynieść mu chwałę, skierowało przeciw niemu nienawiść gdańskich kupców. Przez Jana stracili spodziewane zyski i zarobek. Żądali jego głowy, a rajcy gdańscy zdawali się nie mieć nic przeciwko temu.

Po powrocie nad Motławę czekał go sąd. Wiedział, że tak czy inaczej będzie musiał dać gardła.

Król Christian umiał jednak okazać swą wdzięczność. Jego wysłannicy przekazali Janowi, że król rad by go widzieć na swojej służbie.

– Tym samym łatwiej będzie o decyzję w wiadomej sprawie – rzekł znaczącym tonem protegowany króla, który odwiedził go na „Marinie” – gdy waszmość będziesz jego poddanym.

Jan, poradziwszy się Lucjana i Jakuba, podpisał list kaperski i odtąd przyozdabiał maszt swego okrętu znakiem króla Christiana Oldenburga. Pływał pod Szwecję bić buntowników i w pobliże wybrzeży Anglii czatować na łup. Wiodło mu się różnie – raz wychodził z potyczek zwycięsko, innym razem tracąc ludzi i dobytek. Zawsze jednak miał na tyle szczęścia, by nie dostać się do niewoli.

Podczas podróży zawinął do Lizbony, ale w kantorze z mapami nie zastał Christophora, który zabrawszy Diega i Beatriz, wyjechał do Hiszpanii. Zostawił więc dla przyjaciela list, donosząc o wszystkim, co zrobił w celu zorganizowania wyprawy do Indii i o mizernych skutkach tych działań.

Po roku Jan został wezwany na dwór króla Christiana. Gdy herold przekazał mu wiadomość, jego serce zabiło żywiej nadzieją. A więc, czyżby... nadeszła właśnie ta chwila? Będzie musiał posłać po Christophora, aby ruszyli razem, tak by mogły spełnić się ich wspólne marzenia.

Król miał dla niego jednak inne zadanie.

– Popłyniesz, Janie, na Grenlandię – rzekł. – Rok temu wysłałem tam osadników pod wodzą trzech kapitanów, Pininga, Pothorsta i Corte-Reala... Nie mam od nich żadnych wieści. Chcę, żebyś ich odszukał, a jeśli to niemożliwe, zbadaj, co się z nimi stało, i po powrocie zdał mi raport.

– A moja wyprawa do Indii? – zapytał nieśmiało Jan.

– Teraz moi osadnicy pilniejsi. Ich wyprawa pochłonęła znaczną część skarbu. Muszę wiedzieć, co się z nimi stało. Czy znów przeszkodzili Anglicy czy może szwedzcy buntownicy stanęli im na drodze.

A może był jeszcze inny powód, którego nie znam...

Król skinął na stojącego za nim Jakuba Brzozę.

– O tym, jak ważna to dla mnie sprawa, niech świadczy fakt, że przydzielam ci do dyspozycji tego oto, oddanego mi Jakuba Brzozę, twój kuzyna, który będzie podczas wyprawy moimi oczami i uszami.

*Jan spojrział w kierunku Jakuba i zobaczył jego uśmiech. Król pochwycił to spojrzenie i rzekł:*

*– Twoje zadanie: wyjaśnić przyczyny, a jeśli dobrze się sprawisz, obiecuję przy świadkach, całą mocą królewskiego słowa, że sfinansuję twoją wyprawę do Indii.*

*– Kiedy mam ruszać?*

*– Jak tylko przygotujesz „Marinę”. Dostaniesz jeszcze drugi okręt, którego dowództwo obejmie Brzoza, ale ty będziesz admirałem wyprawy. Przygotowania trzeba rozpocząć już teraz. Najdalej za tydzień czekam na raport o gotowości, by wydać rozkaz do wypłynięcia.*



## Nadia

Sygnal programu pocztowego obwieścił nadejście następnego maila. Była to wiadomość od profesora Uljanowa z Moskwy, który donosił, że widoczne na miniaturach z manuskryptu Jana Żeglarza dwupienne drzewa o wydłużonych liściach to prawdopodobnie sassafrasy, których zapach w dawnych czasach przyprawiał ludzi o zawrót głowy. Za korzeń tego drzewa w XV wieku płacono w Londynie fortunę.

Aromatyczna kora służyła do wyrobu wonności, olejków, lekarstw, drewno zaś do budowy najbardziej wyrafinowanych mebli, którymi obdarowywała się angielska arystokracja. To było, jak pisano w ówczesnych raportach i księgach handlowych, drzewo istniejące tylko w niedosiężnych Indiach i Chinach. Dziś wiadomo, że rosło także w Ameryce Północnej i Środkowej...

– A zatem – powiedział głośno Nowicki – ta miniatura z sassafrasami to kolejna przesłanka, że Jan z Kolna lądował na ziemiach, na których to drzewo rosło. Z pewnością nie była to Europa ani Afryka...

Siemion pisał również, że na dwóch rysunkach odnalazł ptaki. Pytał, czy Robert dysponuje dokładniejszymi wizerunkami ptactwa. Być może okazałyby się cenną wskazówką do dalszych poszukiwań.

Odpisał od razu, dziękując za cenne uwagi, i w ciągu pół godziny otrzymał od sympatycznego staruszka propozycję, że jeśli będzie mógł w czymś pomóc, to służy z największą ochotą. Tym bardziej że ma wielu emerytowanych kolegów zajmujących się różnymi dziedzinami nauki i chętnie zasięgnie ich rady, o ile pytania Roberta wykroczą poza dziedzinę, w której się specjalizuje.

Zbierając się do wyjścia, raz jeszcze sprawdził pocztę i okazało się, że otrzymał krótką wiadomość od profesora Marcina Konkola.

*Z tego, co mi donoszą studenci, omówienia poszczególnych stron już do Ciebie nadchodzą, z czego bardzo się cieszę. Ja sam zabrałem się za szczegółowe tłumaczenie. W tekście znajduję sporo wyrazów, których znaczenia mogę się tylko domyślać, ale nie mam co do tego pewności. Zdarzają się jednak i takie, których w żaden sposób nie mogę z niczym porównać. Jednym z takich wyrazów jest*

*„hocicinik”, a drugim „mawani”. Być może uda mi się odnaleźć właściwe znaczenie tych słów wraz z postępem tłumaczenia, ale nie mogę gwarantować. Może się zatem zdarzyć, że niektóre fragmenty tekstu nie zostaną odczytane, o czym lojalnie Cię uprzedzam. Tymczasem zabieram się do pracy, serdecznie pozdrawiam. Marcin.*

Robert zdał sobie sprawę, że aby w pełni zrozumieć tekst i jego sens, będzie musiał poprosić o konsultacje osoby zajmujące się etnografią, demografią i geografiami historyczną, a z pewnością jeszcze kilku specjalistów z innych dziedzin nauki. Czuł, że jest gotowy na podjęcie wyzwania.



Po przestudiowaniu instrukcji na stronie laboratorium uniwersytetu w Oslo Robert dowiedział się o wszelkich możliwych sposobach pozyskiwania mikrośladów. Do zastosowania większości z tych metod potrzebna była specjalistyczna aparatura. Pozostawał najprostszy sposób, czyli wyodrębnienie ich z manuskryptu za pomocą skalpela. W sklepie ze sprzętem medycznym usłyszał, że do zakupu skalpela wymagane są uprawnienia do wykonywania zawodu chirurga na Wyspach Owczych. Wobec powyższego Robert musiał zaopatrzyć się w solidną żyłkę, pincetę, ostre nożyczki i kilka woreczków nylonowych, jakich matki używają do pakowania drugich śniadań dla swoich pociech. Z nabyciem tych przedmiotów nie miał najmniejszych problemów w centrum handlowym „SMS”. Przechodząc galerią, po raz kolejny mógł podziwiać ozdoby, które zaprojektował Trondur Patursson.

Rozglądał się ciekawie po twarzach klientów, jakby liczył, że wśród nich wyłowi tę delikatną, bladawą, okoloną burzą kręconych rudych włosów, ale na próżno. Nadii najwyraźniej tu nie było.

Zaopatrzywszy się w dwie butelki wody mineralnej, ruszył w drogę do klasztoru. Chciał jak najszybciej znaleźć się w bibliotece i zabrać się do

pracy.

Po raz kolejny przystąpił do przeglądania księgi. Wszystko w niej było już znajome. Tak mu się przynajmniej wydawało, gdy oglądał poszczególne strony. A jednak po przejrzaniu kilku z nich zaczął dostrzegać niewidoczne przedtem szczegóły. Wziął lupę i skierował lampę wprost na karty rękopisu.

Między nimi, w miejscach zszycia, odnalazł mikroskopijny fragment zasuszonej rośliny. Wziął ją pincetą i przełożył do nylonowego woreczka. Podobnie postąpił z włóknami wyglądającymi na pierwszy rzut oka jak ptasie pierze. Między kolejnymi kartami odnalazł trudne do identyfikacji okruszyny, grudkę jakiejś substancji, która wyglądała jak zwykła plamka. Gdy nagiął kartę, plamka pękła i skruszyła się. Odrobiny umieścił w nylonowym woreczku. Z krawędzi kart pobrał próbki wszystkich rodzajów papieru wykorzystanego do sporządzenia rękopisu, a także odrobiny pergaminu i kory, którymi autor najwidoczniej posłużył się, gdy zabrakło papieru. Każdą próbkę szczegółowo opisał. Na koniec żyłką wyodrębnił próbki inkaustów i barwników, za pomocą których sporządzono miniatury.

Następnego dnia nadał je z głównej poczty do uniwersytetu w Oslo. Przy okazji wdał się w długą rozmowę na temat filatelistyki ze sprzedawcą znaczków. Marki Wysp Owczych, słynące z oryginalnej urody, były cennymi okazami w zbiorach poszczególnych kolekcjonerów. Robert nie był filatelistą, ale nie mógł nie poddać się ich urokowi.

Gdy przeglądał nowe wydania okolicznościowych bloków, usłyszał charakterystyczny miękki głos z lekko wyczuwalnym rosyjskim akcentem. Natychmiast skierował oczy w tamtym kierunku. Nadia stała przy sąsiednim okienku. Z rozpuszczonymi włosami wydawała się bardzo powabna. Zauważył, że przeglądała książkę telefoniczną Yellow Pages. Robert zerknął ciekawie. Rybacy? Czyżby chciała kupić rybę, a może pociągała ją morska przygoda na pokładzie kutra? Zdawała się go nie zauważać.

Podziękował sprzedawcy za rozmowę i zapytał, kiedy jego list polecony ma szansę dotrzeć do adresata. Pracownik spojrział na wypchaną kopertę.

– Może nawet już jutro. Samoloty odchodzą z lotniska Vagar kilka razy dziennie. Do Oslo odlatują codziennie boeingi naszych narodowych linii Atlantic Airways – dodał z wyraźną dumą.

– Dziękuję.

Gdy Nadia wynotowała kilka numerów i odwróciła się w stronę wyjścia, zastąpił jej drogę.

– Witam...

Spojrzała na niego z rezerwą, ale po chwili na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Znow się spotykamy – powiedział.

– Ale tym razem nie potrzebuję pana pomocy.

– Ale ja potrzebuję pani...

– Czas na rewanż? – w jej głosie wyczuł kpinę.

– Chyba tak... W końcu taka kolej rzeczy.

– Niestety, co za życie.

– Proszę nic nie mówić, dopóki nie wysłucha pani mojej prośby.

Spojrzała na niego zaciekawiona.

– Potrzebuję pani towarzystwa, ponieważ nie lubię pić kawy w samotności.

Uniosła brwi.

– Chyba będzie pan musiał. Ja z kolei nie lubię ani kawy, ani się poświęcać.

– A zatem pudło?

– Niestety.

– Uwielbiam też herbatę – rzekł, nie chcąc pokazać, że jej odpowiedź zbiła go z tropu. – I znam nawet świetne miejsce, gdzie ją podają parzoną na kilka sposobów. Być może nawet po rosyjsku.

Uśmiechnęła się teraz bardziej wyraźnie.

– Z samowarem?

– Być może...

– A więc tak czy nie?

– Nie widziałem samowara, ale przypuszczam, że w tak szacownym miejscu powinni go mieć.

Westchnęła.

– Nie ma pan szczęścia, znow... pudło.

Pokręcił głową, była naprawdę uparta.

– Dostała pani ode mnie list?

– Tak.

– I odpisała pani?

– Nie.

– A ma pani zamiar? – nie ustępował.

– Nie.

Westchnął i uniósł oczy do góry, jakby już tylko w Opatrzności mógł się spodziewać pomocy.

– Jest pani jak skała...

Nie usłyszał jej odpowiedzi przez dłuższą chwilę i nawet pomyślał, że być może odeszła i zostawiła go w takiej głupiej pozie, ale gdy opuścił oczy, zobaczył, że wciąż jest obok. Nie uśmiechała się.

– Panie Robercie...

Drgnął. Po raz pierwszy wymówiła jego imię. Ładnie zabrzmiało i zrobiło mu to przyjemność.

– Nie wychodzi panu podryw... Widać, że brak panu wprawy. I nie jest panu z tym do twarzy.

– Nie?

Pokręciła głową. Zrobił głupią minę.

– Jest pan wystarczająco interesujący, by nie stosować takich chwytów, chcąc zawrzeć znajomość z kobietą.

Po raz drugi poczuł się mile połączony.

– Tak pani myśli?

– Z pewnością nie tylko ja.

– To co, pozwoli się pani zaprosić na herbatę?

– Właściwie i tak gdzieś miałam przysiąść, aby sprawdzić pocztę...

– To się świetnie składa, bo ja też. W takim razie zapraszam.

Uśmiechnęła się spokojnie. Wciąż była pełna dystansu.

Zasiedli w pobliskiej kawiarni. Oczywiście nie mieli tam samowara, a herbatę parzyli z saszetek.

Mimo to Nadia nie zrobiła na ten temat żadnej uwagi.

Miała na sobie koszulkę, która fantastycznie podkreślała jej figurę. Sprawiała wrażenie spokojnej.

Uśmiechnęła się ciepło. Wtedy uświadomił sobie, że coraz bardziej mu się podoba, co go peszyło.

Poczuł się nieswojo, ale nie chciał się przyznać przed sobą samym, z jakiego powodu.

Podniosła filiżankę, upiła mały łyżeczek i spojrzała na niego znad krawędzi. Coś w tej postawie wydało mu się znajome. Uśmiech błakający się na ustach, to spojrzenie z ukosa... To było to, za czym tak bardzo tęsknił. Nadia tak właśnie uśmiechała się w jego śnie. To do niej tęsknił!

Nakazał sobie w duchu spokój i konieczność oderwania się od skojarzeń. Chciał być tu i teraz, i właśnie z tą kobietą. Cieszył się z jej



obecności i nagle zdał sobie sprawę, że już dawno nie doświadczył tego uczucia. Nie chodziło tylko o sposób rozmowy, ale też o jej uśmiech, spojrzenie. Czuł się tak, jakby znał ją już od dawna.

Wyjęła komputer, ustawiła na stoliku i zajęła się swoją pocztą. Chcąc nie chcąc, wyciągnął z plecaka swój laptop i również sprawdził pocztę. Czekał na list od Svensona. Niestety, profesor nie napisał.

Przy sąsiednim stoliku usiadły dwie dziewczyny, zapewne turystki, o czym świadczył sprzęt fotograficzny i plecaki. Nadia spojrzała na Roberta, a potem jej wzrok podążył w stronę turystek.

– Każda z nich miałaby ochotę na przygodę.

– Tak pani sądzi?

Pokiwała głową. Po krótkim namyśle dołała do filiżanki wody z butelki i podniosła ją do ust. Pijąc, nie spuszczała z niego wzroku. Potem znów zainteresowała się wyświetlaczem swojego komputera.

– Jesteś z kimś? – rzuciła, jakby pytanie było skierowane do kogoś innego.

– Nie – odpowiedział machinalnie.

Milczeli przez chwilę. Robert zastanawiał się, czy zauważyła, że przygląda się jej kątem oka.

– Mam w to wierzyć czy to tylko taka ściema na zachętę? – W jej oczach zaigrała wesołość.

Ich spojrzenia spotkały się. Robert uśmiechnął się i wiedział, że wypadł sztucznie, na tyle, by zorientowała się, że tym uśmiechem chciał zatuszować swój brak pewności siebie.

– Nie mam ochoty na wakacyjny romans – rzuciła jakby od niechcienia.

– Ja też nie – powiedział cicho. Po tych wszystkich latach odezwała się w nim tęsknota za obecnością kobiety.

– A na koniak? – zapytał.

Uśmiechnęła się i stwierdził, że jej uśmiech sprawił mu przyjemność. Był wyjątkowy, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego.

– Może najpierw piwo? – przekrzywiła głowę.

Zamówił miejscowe, z czarnymi owcami na etykiecie. Odstawiła komputer, wzięła butelkę i patrzyła na niego bez słowa. A potem zaczęli rozmawiać o tym, co już zdążyli zobaczyć na Wyspach. Okazało się, że oboje mieli spore braki w zaliczaniu atrakcji.

Na butelce piwa zebrały się kropelki wody i Nadia zaczęła zdzierać naklejkę. Małgosia też tak robiła!

Wypił długi łyk i próbował się skupić na prowadzonej rozmowie. Nadia obserwowała go bacznie i nawet zażartowała, że zachowuje się znacznie swobodniej w porównaniu z poprzednim razem.

Przyglądała się szczupłej twarzy i niebieskim oczom Roberta. Teraz w jego słowach pojawiła się nowa energia. Ta odmiana mogła być dla niej pociągająca. Przestał zastanawiać się nad każdym słowem czy nawet zdaniem, które chciał wypowiedzieć. Coraz ciekawiej spoglądała na niego i czuł, że zrobił na niej wrażenie jako mężczyzna. A może po prostu tylko chciał tak myśleć. W każdym razie to go ośmieliło.

– Przejdziemy się przed obiadem? – zapytał. – Nie powinno padać.

– To będzie jeszcze jakiś obiad? – Jej zaskoczenie wyglądało na autentyczne.

– Masz wątpliwości?

– Muszę to przemyśleć.

– Najlepiej myśli się podczas spaceru.

– Skoro tak mówisz...

Poszli w stronę przystani, a potem nad wodę. Piasek na plaży był ostry i gruby, gdzieś leżały okruchy skał.

– Słuchaj...

– Tak?

– Czy ty... spotykasz się z kimś, tam u siebie, w Kopenhadze?

Wzięła do ręki drobne kamyki. Przez chwilę ważyła je w dłoni.

– Już nie – rzekła i dodała po chwili – już od dawna nie.

Wyrzuciła okruchy do wody, chlupnęły w ciemną otchłań, zostawiając po sobie tylko rozszerzające się kręgi.

Spodziewał się takiej odpowiedzi, ale nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że tak atrakcyjna kobieta samotnie spędza wieczory.

– Taka dziewczyna jak ty mogłaby mieć mężczyzn na pęczki.

Uśmiechnęła się, ale wypadło to blado, jakby w kącikach ust przyczał się ból.

– To miłe, co mówisz, ale nie takie proste. Czasami wolę samotność niż towarzystwo kogoś nieodpowiedniego. Ty tak nie myślisz?

Przeszli kilka kroków w milczeniu. Robert czuł, że nadeszła chwila prawdy i że od tego, co teraz powie, może zależeć, jak dalej potoczy się ta znajomość. Nie chciał, by się skończyła.

– Tak, właśnie tak myślę. Dlatego nie zawieram znajomości z kobietami zbyt często... A jeśli już, to tylko z kimś absolutnie wyjątkowym.

Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek. I znów w kącikach ust zabłąkał się delikatny uśmiech.

Powiedział to wreszcie. Od dawna pragnął opowiedzieć o swoich uczuciach komuś, kto słuchałby go ze zrozumieniem. Padło na rudowłosą kobietę z Kopenhagi, której właściwie nie znał. Jej jednak udało się otworzyć drzwi, które kiedyś on sam zatrzaskał na głucho.

Ponieważ milczenie przedłużało się, zapytała:

– Jaka ona była?

– Skąd wiesz, że była jakaś ona?

Wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste.

– Więc jaka?

Przystanął, schylił się i wziął w garść odrobinę piasku. W końcu przesypał go między palcami i otrzepał ręce. Wstał.

– Doskonała, absolutnie doskonała... – Złapał jej uważne spojrzenie. – Ale to już było.

– Nie chcesz do tego wracać?

– Wracam codziennie...

– Opowiesz?

Zbierał myśli. Z jakiegoś powodu żywił nadzieję, że będzie umiał opisać ją słowami. W głębi duszy chciał, by Nadia go zrozumiała.

– Była moją studentką... – Zobaczył jej kpiący uśmiech. – Nie – zaprzeczył – nie chodziło o zaliczenie... Pobraliśmy się dopiero po jej magisterium...

– Wielka miłość?

Spojrzał uważnie, bo myślał, że w oczach Nadii pojawi się drwina, ale patrzyła na niego zaciekawiona.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Kiwnęła głową, a on trochę wbrew swojej woli wyruszył z powrotem w przeszłość...



Spędzili razem całe popołudnie. Pili kawę, razem zjedli obiad, potem spacerowali po Tinganes.

Późnym popołudniem było tam już prawie pusto. Pogoda dopisywała, więc pokazywał jej historyczne miejsca, opowiadając związane z nimi ciekawostki.

Słuchała z zainteresowaniem, choć nie zadawała dodatkowych pytań, jakby uważała, że to, co zdecydował się powiedzieć, powinno jej wystarczyć. Odzywała się rzadko. Należała do tych nielicznych kobiet, które mówią niewiele, i to nie dlatego, że nie mają nic do powiedzenia, ale po prostu szanują słowa, ponieważ mają one dla nich ogromne znaczenie.

Robert złapał się na tym, że chyba mówi zbyt dużo, i zawstydzony zamilkł. Przez dłuższą chwilę szli obok siebie w ciszy.

W ciągu ostatnich miesięcy albo spędzał czas samotnie, albo zbywał pytania zadawane w trosce o jego samopoczucie. Czasami ktoś ze znajomych polecał mu dobrego terapeutę, zwierając się, że właśnie ta osoba ogromnie mu kiedyś pomogła. Roberta męczyło już wyjaśnianie, że wie, co robi i że najlepszym lekiem na jego osamotnienie jest praca. A jeszcze bardziej miał dosyć zatroskanych spojrzeń, którymi go obrzucano w reakcji na jego słowa.

W Nadii wyczuwał zrozumienie dla tego, przez co przeszedł. Może przez to, że miała podobne doświadczenia. Podobne? A może jeszcze trudniejsze? Nie potrafił wyjaśnić, skąd wzięło się to wrażenie, a jednak był tego pewny.

– Nadiu...

Spojrzała na niego, a on uśmiechnął się niepewnie.

Podobało mu się jej imię i wymawianie go sprawiało mu dodatkową przyjemność.

Znaleźli się na przystani, przy której cumował błękitny dwumasztowy żaglowiec „Norðlysið” – „Zorza Północy”. Stojący obok Birgir Enni zachęcał przechodzących turystów do udziału w rejsie do nadmorskich jaskiń na wyspie Hestur. Skiper zauważył Roberta z daleka i przywitał się z nim, jak ze starym znajomym.

– Płyniemy na Hestur, w jaskini będzie koncert... Dołączycie?

Nowicki popatrzył na Nadię.

– Masz ochotę?

Nie była zdecydowana, zrobiła niepewną minę, więc Robert sam podjął decyzję.

Wsiedli na szkuner i niedługo potem odbili od brzegu. Płynęli wzdłuż południowego krańca wyspy Streymoy, by po jakimś czasie odejść na południowy zachód. Już z daleka zobaczyli wysoki brzeg skalny wypiętrzony na ponad czterysta metrów. Przypominał koński grzbiet i prawdopodobnie z tego powodu tubylcy nadali wyspie tę nazwę. Oznaczała

konia. Nadia i Robert stali blisko siebie, trzymając się mocno burty, i patrzyli, jak z każdą minutą skały stają się coraz większe. Wreszcie dobili do tymczasowej rozchybotanej na falach przystani i wraz z pozostałymi turystami przesiedli się na łódź motorową, która zabrała ich w stronę iglic skalnych strzegących, niczym strażnicy, wciętych w łąd wąskich szczelin.

Wpłynęli w jedną z nich i po chwili przed nimi wyrósł skalny łuk unoszący się nad wodą. Birgir Enni zawołał, by schylili głowy i kilka sekund później ogarnęła ich ciemność, a zaraz potem zobaczyli lunę dobiegającą z głębi jaskini. Podziemny świat mienił się cudownymi kolorami.

Robert stwierdził, że Nadia jest zadowolona i podekscytowana. Bez zbędnych słów i żadnych deklaracji poddała się jego opiece. Podczas jazdy łódką przysunęła się do niego bliżej i miał wrażenie, że właściwie mogłaby mu położyć głowę na ramieniu, a on wtedy mógłby objąć ją ramieniem. Gdy zdał sobie sprawę, że to on pierwszy powinien wykonać ten gest, Birgir właśnie wyłączył silnik i dalej sterował łodzią tylko za pomocą wiosła. Płynęli korytarzami, które oświetlone pochodniami zwężały się i rozszerzały, aż dotarli do wielkiej kamiennej komnaty, gdzie na łodziach czekało już kilkadziesiąt osób.

Na specjalnym podeście stało dwóch muzyków z fletem i wiolonczelą.

– Możesz się o mnie oprzeć – rzekł i zdał sobie sprawę, że jego zachowanie zdradza napięcie, jakie go ogarnęło. Chrząknął i uśmiechnął się kącikiem ust. Wtedy zabrzmiała wiolonczela, a jej dźwięk, niezwykle plastyczny, jakby można go było dotknąć, przewinał się między łódkami i odbił od sklepienia jaskini.

Muzyka, choć bez elektronicznego nagłośnienia, zdawała się rozbrzmiewać wszędzie, z każdej strony.

Wiolonczela i flet porwały ich w świat niezwykłych dźwięków, których rytm i melodia układały się w pieśni, odtwarzając opowieści z odległych sag skandynawskich. Utworom towarzyszyły iluminacje, kolorowe światła kładące się na potężnych skałach. Pulsowały w rytm unoszącej się i opadającej wody, będący echem fal oceanu.

Robert spostrzegł, że Nadia, która położyła twarz na jego piersi, zamknęła oczy i tylko lekkie drganie powiek świadczyło, że poddała się muzyce. Poczł bicie jej serca. Objął ją mocniej, a ona przyjęła to jako najbardziej naturalny gest. Z marzeń obudziły ich oklaski.



– Muszę już iść – powiedziała, gdy dopłynęli do Tórshavn.

– Musisz? – zapytał po chwili.

– Chcę.

Popatrzył na nią przeciągle.

– Szkoda...

Nie odezwała się.

– Mogę cię odprowadzić?

– Przecież wejście do hotelu jest niedaleko... Nic mi się nie stanie...

Popatrzył na nią uważnie.

– Nawet przez myśl mi nie przeszło, że coś ci się może stać – rzekł. –

Po prostu chciałem cię odprowadzić.

Spuściła oczy.

– Dobrze.

Po drodze zapytał ją o Rosję.

– Mało ją pamiętam – powiedziała z zadumą.

Wyemigrowała wraz z rodzicami do Szwecji jeszcze w czasach Gorbaczowa, ale azyl polityczny dostali w Danii. Tam chodziła do szkoły. Potem podjęła pracę w jednym z banków w Kopenhadze.

Poznała mężczyznę...

Zacięła się.

– Co się stało? – zapytał.

Pokręciła głową w milczeniu.

– Zostawił cię?

Wzruszyła ramionami.

– Można to i tak nazwać.

– Jesteś tutaj na wakacjach?

– Czy ja wiem? – powiedziała cicho. – Na pewno jest to jakaś... przerwa w życiorysie, ale nie mówmy o tym.

Do wejścia do hotelu zostało kilka kroków. Nadia stanęła i wyciągnęła w jego stronę rękę.

– Dziękuję za miłe popołudnie.

Ujął ją, była delikatna i ciepła. Jej subtelny dotyk podziałał na niego. Emanował kobiecością. Spojrzał jej w oczy, jakby chciał znaleźć

potwierdzenie swoich odczuć, ale ona odwróciła wzrok. Chciałby ją objąć i przytulić, ale potrząsnął tylko jej dłonią.

– Spotkamy się jeszcze?

– Kto wie? – Nadal nie patrzyła mu w oczy.

– Możemy się umówić...

– Tórshavn jest niewielkie i tak wciąż wpadamy na siebie...

Westchnął i dorzucił po chwili:

– Przydałaby mi się asystentka. I pomyślałem o tobie...

– Asystentka? – Ożywiła się. – Do czego?

– Zajmuję się zbiorami bibliotecznymi klasztoru... Jest kilka ksiąg, które mnie interesują...

– Myślałam, że jesteś tu na wakacjach.

– Bo jestem, a to... przy okazji... Franciszkanie udzielili mi gościny, a ja...

– Opowiesz mi? – przerwała mu z niezwykłą u niej niecierpliwością.

Zdumiał się jej reakcją. Jej oczy płonęły ciekawością.

– To cię naprawdę interesuje?

Popatrzyła na niego przenikliwie i ich spojrzenia spotkały się. Przymknęła oczy, ale nie było w tym uległości, raczej obietnica.

– Interesuje? – uśmiechnęła się, a on poczuł, że robi to bardziej do swoich myśli niż do niego. – To mnie fascynuje...

Nie mógł wyjść ze zdziwienia. Ta dziewczyna naprawdę umiała się śmiać. I to jeszcze jak? Jej ciało zaczęło przemawiać innym językiem. Mowa ciała nie kłamie. Chyba że ktoś jest świetnym aktorem. Nie, Nadia radowała się całą sobą. Zrobiła pół kroku w jego stronę, przyłgnęła do niego i pocałowała go w policzek. Czyżby wiadomość o badaniu zasobów starej biblioteki podziałała na nią tak ożywczo?

A może po prostu potrzebowała pretekstu, by okazać mu swoje zainteresowanie. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Może zabrałbyś mnie jutro na spacer? – zapytała.

Nawet się nie zastanawiał.

– O której?

– O dziesiątej?

– Jasne!

– Będę czekała.

Zrobiła pół kroku w jego stronę i ponownie musnęła jego policzek wargami. Nie tak, jak całuje się przyjaciela. Nie zastanawiał się, kim

mógłby dla niej być.

Odwróciła się i ruszyła ulicą. Jej włosy rozwiewał wiatr.

– Nadia! – zawołał.

Odwróciła się.

– Tak?

– Dobranoc, dobrych snów...

– Czekam na ciebie jutro o dziesiątej!

Mówiąc to, odwróciła się i szybko odeszła. Prowadził ją spojrzeniem, próbując zapanować nad sprzecznymi uczuciami. Był podekscytowany tym, co się stało, a z drugiej strony uważał to za coś niewłaściwego. Wiedział, że nie zrobił nic niedorzecznego, a mimo to miał poczucie winy. Pomyślał, że to błędne koło i że powinien w końcu coś z tym zrobić. Odniósł wrażenie, że problem jest w nim. W jego stosunku do Małgosi.

Spotkanie z Nadia uruchomiło ciąg wspomnień. Dokładnie przypomniał sobie bankiet po kolokwium habilitacyjnym. Byli już wtedy osobno, ale Małgosia zgodziła się mu towarzyszyć... Tamte słowa, gesty, zapachy, a nawet światło, dyskretne smugi w ich sypialni, gdy wrócili do domu. Rozbierała się powoli.

Wiedziała, że na nią patrzy, i robiła to bardzo zmysłowo. Prowokowała go. Może chciała tego zbliżenia, on jednak wycofał się do swojego gabinetu. Poczuł, że mimo słów, które padły, wciąż jej na nim zależy.

Gdyby poszedł za jej pragnieniem, może potem wszystko potoczyłoby się inaczej?

Od kiedy stało się jasne, że Małgosia już nie wróci do domu, tylko raz zajrzał do pudełka, w którym trzymali zdjęcia. Poczuł jednak tak dotkliwy ból, iż przysiągł sobie, że już nigdy więcej tego nie robi.

Teraz widywał ją wyraźnie tylko w snach. Zasypiał z chęcią, choć rzadko działo się to bez udziału środków nasennych, ale kiedy śnił o niej, zdawało mu się, że ona nadal żyje. A po przebudzeniu długo szukał jej obok siebie i zdarzało się, że głośno ją wołał.



Nazajutrz podczas spaceru Nadia zachowywała się swobodnie. I to go również ośmielało. Opowiadał o swoim życiu, omijając jednak temat Małgosi, o swoich pasjach, o żeglarstwie, w jaki sposób narodził się w nim zapal badacza i o tym, jak cudownie jest odkrywać dawny świat z



zapomnianych tekstów, rekonstruować go, ożywiać w wyobraźni na podstawie ustalonych faktów.

Zapytała go o księgi, o których wczoraj wspomniał. Temat był wygodny, bo dotyczył czegoś, co go nie raniło i nie przywoływało bolesnych wspomnień.

Mówił więc o zbiorach klasztornych, o kronikach, które były kopalnią wiedzy na temat życia Farerczyków na przestrzeni wieków pod różnymi zaborami, a potem przeszedł do historii związanej z manuskrypcem Jana Żeglarza. Gdy zobaczył wypieki na jej twarzy, uśmiechnął się.

– Opowiedz, proszę...

Podeszła do niego, wzięła go za rękę i delikatnie ścisnęła. Kiedy spojrzała mu w twarz, zobaczyła zdziwienie w jego oczach, ale nie próbował wysunąć dłoni. Poczuł, jakby jej dotyk go ogrzewał.

Spacerowali po starych uliczkach, lawirując między turystami, którzy wysypywali się z okolicznych kafejek i sklepików. Nie zauważył, by Nadia ich unikała. Szła, patrząc pod nogi, czasem widział kątem oka, jak podnosiła głowę i przyglądała mu się. Jej spojrzenia sprawiały mu przyjemność.

Opowiadanie o pracy nad manuskrypcem Jana najwyraźniej ją wciągnęło. Co rusz zadawała dodatkowe pytania, chcąc dowiedzieć się jak najwięcej. On, widząc jej zainteresowanie, nie szczędził szczegółów. Zagłębiał się w dygresjach i kreślił bogate tło historyczne omawianych wydarzeń. Czasami, gdy łąpał się na tym, że mówi, jakby był na wykładzie, i zawieszał głos, ścisnęła go lekko za rękę, zachęcając, by kontynuował.

Nie nudziła się. Była pojętna. Choć historię znała tylko na poziomie szkoły średniej, zdawała się kojarzyć fakty i układać je w panoramie dziejów jak na szachownicy. Zaskoczyła go tym.

A potem powiedziała, że pasjonują ją zagadki historyczne. Że już jako dziewczynka lubiła powieści dla młodzieży, w których bohaterowie rozwiązywali tajemnice z przeszłości. I, gdyby to było możliwe, chciałaby teraz wziąć udział w takim przedsięwzięciu.

– Jestem amatorką – argumentowała – ale gdybyś mnie przyjął do współpracy, jak sam wczoraj proponowałeś – uśmiechnęła się – na pewno bym ci się przydała.

– Nie wątpię...

– Tylko że nie wiem, na czym miałyby polegać moja rola?

On sam nie wiedział. Chciał po prostu, by była blisko niego, by mógł z nią rozmawiać, cieszyć się jej obecnością, uśmiechem, spojrzeniem...

– Na razie... – rzekł – powinnaś poznać jak najlepiej tę historię, by zorientować się w przebiegu badań.

– Zamieniam się w słuch...

Była zaskoczona, że pomaga mu tyle osób i że za badaniami stoi tak szacowna instytucja, jak uczelnia w Oslo. No i bezcenna pomoc pracowników laboratorium...

– I ty to nazywasz wakacyjną przerwą w pracy? Przecież to poważne badania...

– Jeśli tak na to patrzysz... pewnie masz rację. Niemniej, to wszystko dzieje się w ramach mojego urlopu. Taka... – przymrużył oko – wakacyjna przygoda.

– Dla mnie – spojrzała na niego znacząco – byłaby to bez wątpienia najbardziej romantyczna przygoda w życiu.

Podchwycił jej spojrzenie.

– Gdybyś tylko chciał, Robert...

Objął ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu. Ruszyli wolnym krokiem w stronę nabrzeża.

To wszystko stało się tak nagle – pomyślał. – Ale czyż właśnie takie rzeczy nie dzieją się zniecka?

Jeszcze wczoraj wieczorem była nieufna, pełna dystansu, daleka... Teraz idą razem, przytuleni, mają wspólne plany. Ma ją przy sobie, czuje zapach jej włosów, ruchy sprężystego ciała, każdy krok... Co się właściwie stało, że zmieniła swój stosunek do niego? O nic jej nie prosił, nie używał żadnych zaklęć, nie wyznał miłości ani chęci zdobycia jej...

A może wyczuła to swoją kobiecą intuicją? I to obudziło w niej pragnienie, które od dawna żyło w uśpieniu i tylko czekało, aż znajdzie się ktoś, kto je obudzi. Jak śpiąca królewna czekająca na swojego królewicza?

Miała za sobą trudny związek. Być może opowie mu o tym kiedyś, a może i nie... Musiała to bardzo przeżyć, skoro uciekła przed wspomnieniami aż tutaj, niemal na przysłowiowy koniec świata. Ale przecież im większa trauma, tym później większe pragnienie odbudowania swojego szczęścia. Może to wszystko musiało się stać – pomyślał – i u niej, i w moim życiu, abyśmy mogli się spotkać?

Pomyślał, że nie chciałby, aby była tylko wakacyjnym przystankiem.

Pocałował ją w czoło, odpowiedziała długim pocałunkiem w policzek. Poczuł dotyk jej rzęs.

Połąskotały go. Uśmiechnął się. A potem wymienili długie spojrzenie, które wystarczyło za obietnicę tego, co być może nastąpi później. Ona wtuliła głowę w jego szyję i szli wolno, obejmując się jak para nastolatków. Mijali stare uliczki, wejścia do kawiarni, restauracyjek i sklepów z pamiątkami. Wszędzie rozlegał się gwar turystów. Doszli do hotelu.

– Zastanawiam się, czy masz jakieś plany na wieczór – odezwał się, zaskakując nawet samego siebie.

– Chciałbym zaprosić cię na kolację.

Uśmiechnęła się.

– Miałam nadzieję, że wreszcie to powiesz.

– Przyjdę po ciebie o ósmej, dobrze?

Kiwnęła głową i zniknęła.

Wracając do klasztoru, zastanawiał się, dlaczego Nadia tak go pociąga. I dlaczego nagle wydało mu się, że zdradza Małgosię. Co było w tej kobiecie, że pragnął znaleźć się jak najbliżej niej? Czyżby jej obecność przywracała mu poczucie równowagi?



Siedzieli przy stoliku, na którym stały palące się świece. Kelnerka zabrała naczynia. Pozostało jeszcze pół butelki wina i Robert rozlał je do pękatych kieliszków.

– Nikomu tego o nim nie mówiłam, nawet rodzicom.

Spojrzał na nią uważnie. Była rozluźniona i uśmiechała się swobodnie. Patrzyła na niego z ufnością, gdy zaczęła opowiadać.

– Aleks należał do tego typu mężczyzn, którzy potrafią sprawić, że wierzy się we wszystko, co powiedzą. Być może nawet sam wierzył w to, co mówi... Gdy go poznałam, byłam oszołomiona jego powodzeniem u dziewczyn. Był błyskotliwy i czarujący. Pochlebiali mi, że zainteresował się kimś takim jak ja. Nie przypominał nikogo, kogo znałam przedtem. Wiesz, koledzy ze szkoły, college'u, którzy pytają mamę, czy mogą wrócić po dziesiątej, albo pozerzy na szybkich motocyklach. Przez pierwsze tygodnie było nam razem fantastycznie i myślałam, że tak będzie całe życie. On jednak nie miał aż tak dalekosiężnych planów, choć mówił co

innego. I nawet nie chodziło o dziewczyny, które rwał, jakby to była konkurencja sportowa... Dość długo ukrywał swoją tajemnicę.

Zamilkła, a on stwierdził, że nie powinien naciskać, że Nadia ma prawo do swojej intymności i nie powinien jej naruszać niepotrzebnymi pytaniami.

Wypiła kolejny łyżeczek wina. Było coś zmysłowego w jej sylwetce opromienionej nastrojowym światłem. Za oknem niebo przybrało odcień pomarańczowy, podkreślający jej błyszczące brązowe oczy.

W tej ciepłej aurze wyglądała szczególnie ponętnie. Wpatrywał się w nią, niezdolny powiedzieć słowa, i wtedy zrozumiał, co tak długo próbował przed sobą ukryć.

Kosmyk włosów opadł jej na czoło, odgarnęła go gestem, który znów wydał mu się znajomy.

– Nadiu...

Na moment ich spojrzenia spotkały się.

– Tak?

Zawahał się. Odwrócił głowę. Nie wiedział, co powiedzieć. Odezwał się dopiero po chwili.

– Ocean... uspokaja ludzi. Pewnie dlatego tylu turystów przyjeżdża tu odpocząć.

Dotknęła jego dłoni.

– O czym myślisz najczęściej, gdy siedzisz sam?

– O wielu rzeczach... O pracy, o moich badaniach...

Przyjrzała mu się uważnie, jakby chciała go sprowokować.

– Powinienem coś dodać?

– Nie mam pojęcia, to ty wiesz najlepiej.

– Czasami myślę też o żeglowaniu i porzuceniu tego wszystkiego.

– Chciałbyś wypłynąć w rejs?

Pokiwał głową.

– Samotny?

– Niekoniecznie...

– Ale to byłaby ucieczka. Wiem o tym, być może nawet lepiej niż ty.

Nagle roześmiał się zupełnie swobodnie.

– Też chciałabyś żeglować?

– Jeśli z tobą...

– Naprawdę mogłabyś wypłynąć i już nie wracać?

– Nie jestem pewna, ale lubię myśleć, że mogłabym. Często marzę o tym, by znaleźć się w miejscu, w którym nikt mnie nie zna i nikt o mnie nic nie wie...

– Tak jak tutaj?

Nie odpowiedziała. Dopiła wino do końca.

Szli w stronę hotelu. Nie spieszyli się.

Napięcie, jakie towarzyszyło mu w ciągu dnia, niemal zniknęło. Gdy tak stali obok siebie w zapadającym zmroku, pojął, że w tym wieczorze kryło się coś więcej, niż oboje gotowi byli przyznać.

A może to było tylko jego wrażenie?

Wziął jej rękę. Przymknęła oczy i przyszło mu do głowy, że wyobraziła sobie właśnie, iż dotyka jej skóry, co wywołało u niej miły dreszcz, ale chciałyby to przed nim ukryć.

– Już dawno nie spędziłem tak wspaniałego dnia – powiedział.

– Ani ja...

Poczuł ciepło jej dłoni. Po chwili jego kciuk zaczął zataczać kręgi na opuszkach jej palców.

Przysunęła się bliżej, a on z czułością, z jaką bierze się na ręce małe dziecko, przytulił ją do siebie i przytrzymał w objęciach. Zanurzył twarz w jej włosach i poczuł ich zapach. Podniosła głowę, a potem powoli przymknęła oczy, jakby powierzała mu siebie w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Pocałował jej usta najdelikatniej jak potrafił, jakby musnął wargami płatką kwiatu, i w tym momencie poczuł, że przeskoczyła między nimi złocista iskierka, co uznał za znak, iż w jego życiu zaczyna się coś ważnego.

Odsunęła się i spojrzała na niego z uśmiechem.

– Powiedz, czy zrobiłeś w życiu coś, czego się wstydzisz?

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Dzięki temu dowiem się, jaki jesteś naprawdę.

– Mam ci opowiedzieć, jak zradzałem żonę?

Przymrużyła oczy i uśmiechnęła się przewrotnie.

– A ja myślałam, że nigdy byś tego nie zrobił.

– A jednak...

Roześmiała się dźwięcznie.

– I masz wyrzuty sumienia do dziś?

Pokiwał głową z niepewnym uśmiechem.

– A ty? – spojrzał jej w oczy.

Spoważniała.

– Ja... – zawahała się – ja zawsze byłam grzeczną dziewczynką.

Czuł się zbity z tropu. Wiedział, że nie powiedziała prawdy, ale teraz nie miało to dla niego znaczenia.

– Ale być może dziś nie będę... – rzekła, patrząc mu w oczy. I ścisnęła jego dłoń.

Powoli ruszyli w stronę hotelu. Nie chciał się z nią żegnać.

– Dasz się zaprosić na herbatę? – zapytał, pokazując głową w stronę hotelowego baru.

Pokręciła głową.

– Wypijemy ją u mnie w pokoju – rzekła i pociągnęła go za sobą.

Ta noc nie skończyła się wraz z nadejściem świtu. O tej porze roku słońce zachodziło jedynie na trzy godziny. Zasnął z twarzą wtuloną w jej zmierzwione włosy. Poczul, że okrywa go pledem i całuje w szyję. Odnalazł w tym czułość i przygarnął ją mocniej do siebie. Był szczęśliwy.



Gdy obudził się rano, usłyszał szum wody dobiegający z łazienki i odgadł, że Nadia jest pod prysznicem. Włączył komputer i odebrał pocztę. Nie było żadnej wiadomości od Svensona, za to studenci profesora Konkola przysłali dwa opracowania... Otworzyły się drzwi i Nadia stanęła w progu łazienki, owijając się ręcznikiem. Spojrzała na niego ciekawie.

– Dzień dobry...

– Wyglądasz cudownie – powiedział, przyglądając się jej sylwetce.

Wzięła następny ręcznik i zbierając w niego burzę mokrych włosów, zaczęła je osuszać. Patrzył na nią z zachwytem. Zauważyła to.

– Ciekawe, kiedy ci się znudzę...

– Nigdy!

– Teraz tak mówisz, a potem przyjdzie dzień, kiedy przestaniesz mieć dla mnie czas...

– Nie mów tak, bo tego nie wiesz.

– Wiem, zawsze jest tak samo.

Odłożyła ręcznik.

– Żałujesz?

Przez chwilę milczała.

– Nie, nie żałuję – powiedziała wolno. – Bo nawet jeśli to się skończy, może szybciej, może później, to... warto było...

– Co było warto? – zapytał.

– Poczuć to...

Spojrzał na nią przeciągle.

– To coś, w twoich ramionach.

Pocałował ją.

– Mamy piękny dzień przed sobą – rzekł.

Spojrzała za okno i na jej twarzy pojawiło się z wąpnie.

– Wygląda na to, że zaraz zacznie padać.

– Nie szkodzi... Nie musimy wcale wychodzić.

– A twoi braciszki? Nie będą się martwić, że porwała cię ruda czarownica?

Roześmiał się.

– Zawsze mogę napisać maila do przeora, że jestem w bezpiecznych rękach...

Uśmiechnęła się przekornie.

– Jesteś pewny, że w bezpiecznych?

Pokiwał głową, a ona żartobliwie przymrużyła jedno oko i posłała mu całusa. Następnie rozrzuciła włosy, które opadły kaskadami na ramiona i plecy.

– Zaraz wyschną – powiedziała.

Podszedł do niej i delikatnie ją przytulił. Zobaczył, że między rudymi pukłami gdzieś prześwitywały pojedyncze siwe włosy. Rozczulił go ten widok i pocałował ją w to miejsce. Przywarła do niego mocniej.

– Po śniadaniu, pani asystentko, zabieramy się do pracy. Właśnie odebrałem dwa fragmenty tłumaczenia manuskryptu.

Poczuł, jak zadrżała.

– Cieszysz się?

Westchnęła, jakby chciała zrzucić jakiś ciężar.

– Chyba niespecjalnie?

Zawahała się.

– Nie, dlaczego...

– Więc w czym rzecz?

Odsunęła się na chwilę.

– Złe myśli, stare sprawy...

Zamilkła. Po chwili odezwała się znowu.

- Robert...
- Tak?
- Jesteś bardzo głodny?
- Jak wilk... Po takiej nocy...

Pocałowała go i przez chwilę nie odrywała się od jego ust. Szukała jego języka, a potem namiętnie westchnęła. Odsunęła się lekko i zobaczył w jej oczach pragnienie.

– To zgłodniej jeszcze bardziej – szepnęła – jak prawdziwa dzika bestia...

Popchnęła go na łóżko, a gdy opadł na miękki materac, usiadła na nim. Pocałowała go, podniosła głowę i odrzuciła włosy.

- Chcę ukraść życiu te chwile, kiedy mogę być z tobą, rozumiesz?
- Rozumiem...

Pokręciła głową.

– Nie rozumiesz, Robert... Ale to nie szkodzi. Nawet gdyby ten sen miał się skończyć za chwilę, warto go przeżyć, wbrew wszystkiemu.

Na śniadanie zeszli trzy godziny później. Była już właściwie pora lunchu. Gdy wrócili do pokoju, pracownik obsługi hotelowej przyniósł im dzbanek doskonałej herbaty. Robert rozparł się na kanapie, podkładając sobie pod plecy poduszkę, a Nadia położyła mu głowę na kolanach. Zaczął czytać, zarazem tłumacząc tekst na angielski. Popijając herbatę, nawet nie zauważyli, że dawno minęła pora obiadu... Ale to, co wynikało z raportu studenta kaszubistyki, kazało im zapomnieć o całym świecie. Robert wiedział, czego się może spodziewać, ale w Nadii już pierwsze zdania wywołały wielkie emocje. Zobaczył na jej twarzy rozległy rumieniec.



## Wyprawa

*Ładowność „Mariny” pozwalała na przewiezienie stu pięćdziesięciu wielkich kadzi wina z pełną obsadą załogi, ekwipunkiem i żywnością na dwadzieścia dni żeglugi<sup>\*</sup>. Oczywiście podczas przygotowań do rejsu późnym latem 1476 roku do ładowni „Mariny” nie trafiło aż tyle wina, tylko zaopatrzenie dla osadników, o których wieść zaginęła wśród lodowych otchłani przeszło rok wcześniej. A więc przede wszystkim pożywienie, ubrania, narzędzia, broń, części zamienne do prostych urządzeń, a także to wszystko, co niezbędne do budowania domów w miejscach, gdzie drzewa należały do rzadkości, a podstawowym budulcem był kamień. Początkowo chcieli nawet zabrać zwierzęta domowe i konie, ale biorąc pod uwagę trudy podróży, uznano, że istnieją niewielkie szanse, by dotarli na miejsce żywe. Nie mogli przewidzieć, ile czasu minie, zanim znajdą osadników. Gudrun, sekretarz wyprawy mianowany przez króla, brał pod uwagę również możliwość, iż nie znajdą ich wcale.*

<sup>\*</sup> W przeliczeniu na dzisiejsze jednostki miar około 100 ton (przyp. autora).

*– Konie i krowy weźmiemy następnym razem, gdy już ustalimy miejsce pobytu osadników – uznał. – Teraz możecie stracić sporo czasu, by ich odszukać, a pomieszczenia w ładowniach można wypełnić towarami, które po wylądowaniu będą bardziej użyteczne.*

*Na „Marinie” znalazło się miejsce dla lekarza Lawrence’a, Szkota z urodzenia, jego apteki, krawca*

*Olafa z kilkunastoma sztukami różnych materiałów i całym warsztatem, na który składały się flakony igieł, mile nici różnych kolorów, kopy nożyc, a nawet manekin. Do tego kilka skrzynek guzików...*

*Dla Jana ważniejsze było przygotowanie okrętu do dalekiej podróży, pełnej trudów i niebezpieczeństw. O ile na Islandię pływało się w tamtych czasach nierzadko, o tyle na Grenlandię zapuszczano się od święta. On sam*

jeszcze tam nie był. Całymi dniami pracował na „Marinie”, chcąc samemu dopilnować nawet najdrobniejszych przygotowań. Zabrał zapasowe olinowanie i ożaglowanie.

W ładowniach znalazły się także materiały niezbędne do dokonania niewielkich remontów kadłubów i masztów, gdyby po drodze zaistniała taka potrzeba. Myślał o wszystkim, nawet o dodatkowym papierze i inkauscie, by można było kreślić mapy i wyznaczać kursy.

„Marina” miała ożaglowanie typowe dla owych czasów. Jej grotmaszt był dłuższy niż długość całego statku, a główna reja tej samej długości co stępka, dźwigająca prostokątny żagiel odgrywający rolę najważniejszego pędnika. Nad grotem znajdował się tylko jeden niewielki marsel. Fokmaszt, mający długość nieco mniejszą od połowy grotmasztu, posiadał tylko jeden prostokątny żagiel.

Jan wyposażył „Marinę” na podobieństwo karawel portugalskich, bo na nich zdobył największe doświadczenie, w trzy żagle łacińskie. Miał jednak w zapasie żagle prostokątne, ponieważ były znacznie dogodniejsze przy manewrowaniu, jeśli płynęło się z bocznym wiatrem.

Jako balastu używano kamieni. Poszczególne części statku spojono drewnianymi nitami. Burty powyżej linii zanurzenia pomalowane były w jaskrawe kolory, poniżej zaś pokryto je smołą, która uchodziła za skuteczny środek przeciwko ślimakom i świdrakom. Na nowych żaglach znajdowało się godło króla Christiana I Oldenburga, gdańskie krzyże ozdobione koroną króla Polski, a główny żagiel na trzecim maszcie składał się z białych i czerwonych pasów, ozdobionych wizerunkiem wielkiego ptaka z rozpostartymi skrzydłami, którego barwa przywołała na myśl okręty wikingów płynących na dalekie wyprawy.

Królewski sztandar Christiana I Oldenburga powiewał także nad grotmasztem, a na fokmaszcie i bezanmaszcie wywieszono banderę wyprawy, niebieską w czerwone i białe pasy.

Do udziału w rejsie obok „Mariny” przygotowywano także „Sarnę”, karawelę zbudowaną w gdańskiej lastadii, którą miał dowodzić Jakub Brzoza. Był to doskonały, szybki żaglowiec, należący do kapra gdańskiego Mikołaja Preneke. On sam zrezygnował z udziału w wyprawie, wzięwszy opłatę za wydzierżawienie okrętu. Miał jeszcze dwa inne, które pływały na Bałtyku. Dawaty pewniejszy zysk i wolał ich pilnować, niż wyprawiać się za krąg polarny, by – jak sam mawiał – ścigać widma lub Bóg wie co... Dzierżawa sownie mu się opłacała, ponadto umowa z królem Christianem

zakładala, że po powrocie z wyprawy „Sarna” zostanie wyremontowana na koszt korony, jeśli zaś żaglowiec nie wróci do Kopenhagi w ciągu osiemnastu miesięcy, Preneke otrzyma dodatkowo odszkodowanie za utratę okrętu. Mając taki glejt w kieszeni, nie musiał się o nic martwić. Część załogi, którą Jan znał, wyraziła ochotę popłynięcia na Grenlandię, tym bardziej że królewska lafa była nie do pogardzenia. Inni wrócili ze swoim szyprem do Gdańska.

Pewnego dnia przy trapie pojawił się niespodziewany gość.

– Prowadźcie mnie do admirała – zażądał od wachtowego, który pełnił straż przy wejściu na okręt.

– A kto wyście? – zapytał wartownik.

– Rzeknij jeno admirałowi, że chce z nim mówić Szymon Bosman.

Gdy Jan dowiedział się, kto przybył, zawezwał strażnika, by prowadził gościa do kasztelu. Po chwili padli sobie w ramiona. Gdy już się wyściskali i Jan rozkazał kucharzowi przygotować jadło i napitek, Szymon zapytał:

– A nie zabrałbyś mnie w rejs na ową Grenlandię?

– Krzepki jesteście, Szymonie, ale ta wyprawa daleka.

– I cóż, że daleka. Chciałbym z tobą, Jaśku, popłynąć, jakeśmy sobie to dawniej obiecywali.

Jan nie myślał zbyt długo i wyraził zgodę. Doświadczony bosman, na którym mógł polegać w każdej sytuacji, był na wagę złota.

– Mianujęc bosmanem, po dawnemu.

Jakub Brzoza objął dowództwo na „Sarnie”. Miał do dyspozycji doświadczonych nawigatorów i oficerów. Nad całością czuwał Jan, a i stryj Lucjan nie szczędził uwag, które wszystkim wyszły na dobre. Na dzień przed wyjściem w morze sam chciał jeszcze na wszystko popatrzeć, więc kolaska przywiozła go na nabrzeże. Ze szczególnym podziwem przyglądał się „Marinie”.

Na obu statkach ustawiono działa w celu odstraszenia piratów lub innych niepożądanych gości. Nie były to jednak okręty bojowe, choć w skład załóg wchodziłi żołnierze, którzy wcześniej towarzyszyli Janowi w wyprawach kaperskich na Bałtyku i u wybrzeży Brytanii. Jan oddelegował na „Sarnę” doktora Lawrence’a. Do ekipy na polecenie kanclerza królewskiego włączono też księdza.

Tej nocy wyruszający na wyprawę żeglarze odbyli spowiedź, otrzymali rozgrzeszenie i przyjęli komunię w katedrze w Kopenhadze. Jan wszedł na pokład „Mariny” tuż przed świtem w piątek trzeciego września 1476 roku i

dał sygnał do odbicia od brzegu. Zanim wzeszło słońce, dwa statki, korzystając z rannego odpływu, podniosły kotwice. Marynarze pomagali sobie długimi wiosłami, by wyprowadzić jednostki w miejsce, gdzie można było postawić żagle. Towarzyszył im chór mnichów śpiewających stary hymn „Lam lucis orto sidere”, z jego ściskającym serce refrenem „Et nunc et in perpetuum”, co można przetłumaczyć: „Teraz i na wieki wieków”.

Kilka godzin później byli już na otwartym morzu. Gdy zapadała noc, szli na ocean północno-zachodnim kursem. Wokół była tylko woda. Żegluga podług gwiazd pozwalała na określenie z grubsza szerokości geograficznej wedle wysokości Gwiazdy Polarnej nad horyzontem oraz jej położenia w stosunku do dwóch gwiazd „strażników” Małej Niedźwiedzicy. Szerokość geograficzną można było także wyliczyć według wzniesienia słońca nad horyzontem w południe, posługując się istniejącymi tabelami deklinacji słonecznej. Jednakże przyrządy nawigacyjne – duży drewniany albo miedziany kwadrant oraz astrolabium – były niedoskonałe, a kołysanie okrętu dodatkowo przeszkadzało w prawidłowym wykonaniu pomiarów, przez co większość żeglarzy określała swą szerokość geograficzną dopiero po wylądowaniu. Jan przy zmianie kursu oraz przy określaniu pozycji statku polegał niemal całkowicie na metodzie „zliczeniowej”. Określał na mapie punkt, w którym się znajdował, według trzech elementów: kierunku, czasu i szybkości.

Kierunek wskazywały mu trzy kompasy. Ich tarcze, podzielone na 32 rumby, z igłą magnesową wskazującą północ, osadzone były w kociołku zawieszonym przegubowo w celu zmniejszenia wpływu kołysania się statku. Główny kompas, jakim posługiwano się na „Marinie”, był umocowany na nadbudówce rufy w taki sposób, aby oficer wachtowy mógł go stale obserwować. Sternik, kierujący statkiem za pomocą ciężkiego drąga bezpośrednio połączonego ze sterem, znajdował się pod pokładem i niewiele mógł widzieć. Dlatego miał drugi kompas i mimo że jego pracą kierował oficer z tylnego kasztelu, zawsze mógł dodatkowo sprawdzić, czy idą właściwym kursem. Trzeci kompas Jan miał w swojej kabynie.

Czas na okręcie mierzono za pomocą półgodzinnej klepsydry zawieszanej na belce. Piasek sypał się z niej całkiem swobodnie. Gdy już znalazł się w drugim naczyniu, chłopiec okrętowy odwracał klepsydrę, a oficer wachtowy robił znak na tabliczce. Osiem klepsydr stanowiło jedną wachtę.

*Dzwon okrętowy służył pierwotnie do określania liczby klepsydr. Dokładność czasu można było przy dobrej pogodzie sprawdzać, odnotowując moment, w którym słońce stawało w zenicie.*

*Szybkość była najmniej pewnym ze wszystkich tych elementów. Jan nie miał ani ręcznego logu, ani żadnego innego przyrządu służącego do jej mierzenia. On sam i jego oficerowie pełniący wachtę oceniali szybkość na oko, systematycznie ją zapisując.*



Korzystając ze swojego żeglarskiego doświadczenia, Robert określił punkty na mapie, których współrzędne odnalazł w rękopisie, i przeliczył dane. Szybkość „Mariny” i „Sarny” budziła podziw.

W owych czasach statki robiły zazwyczaj 3 do 5 węzłów przy słabym wietrze, a do 9,5 węzła przy silnym. Wyjątkowo tylko zdarzało się, że ich prędkość dochodziła do 12 węzłów. We wrześniu 1476 roku, w drodze na północny zachód, flotylla Jana z Kolna przez pięć dni z rzędu pokonywała średnio około 142 mil w ciągu doby. Najdłuższa odległość dobową wynosiła 182 mile, co dawało przeciętnie 8 węzłów na godzinę.

Na statkach nie było wówczas żadnych wygod. Posiłki przygotowywano na pokładzie na palenisku umieszczonym w drewnianej skrzyni wysypanej piaskiem. Od góry zasłaniano palenisko kapturem, aby nie zagasił go wiatr. Menu było monotonne: słonina, suchary, groch. Jako napój służyło wino, dopóki go starczyło, oraz woda z beczek, po pewnym czasie już cuchnąca. Tylko dowódca flotylli i kapitan „Sarny” posiadali kajuty z kojami, wszyscy inni sypiali, nie rozbierając się, gdzie popadło.

Marynarze ówczesni byli ludźmi nadzwyczaj religijnymi. Na każdym statku chłopiec okrętowy obowiązany był witać zorzę poranną pieśnią rozpoczynającą się od słów: „Niech będzie błogosławiona światłość dnia, niech będzie błogosławiony święty krzyż”. Potem odmawiał „Ojcze nasz” oraz „Zdrowaś, Mario” i prosił o błogosławieństwo dla załogi statku. Za każdym razem gdy odwracał klepsydrę, śpiewał hymn do Matki Bożej.

O zachodzie słońca, przed nocną wachtą, wszyscy marynarze byli wzywani na wieczorną modlitwę.

Ceremonia rozpoczynała się od tego, że majtek zapalał lampę w szafce z kompasem i śpiewał: „Użycz nam, Boże, dobrej nocy, spraw, aby okręt płynął szczęśliwie, sprzyjaj dowódcy i całej załodze”. Potem wszyscy

marynarze odmawiali chórem „Ojcze nasz”, „Wierzę w Boga” i „Zdrowaś, Mario”, a na zakończenie śpiewali „Salve Regina”. Jan pisał, że „marynarze śpiewali tę pieśń na swój sposób”, wypaczając bez litości melodię i przekręcając uroczystą łacinę, dodając czasem od siebie frywolne zwrotki.

Taki był codzienny rytuał na morzu, bez względu na pogodę.



Robert zadumał się, gdy przeczytał, jak Jan polecił zmierzyć głębokość morza, ale przy 200 sążniach sonda nie dosięgła dna. Spojrzał na mapę. Bez trudu określił, gdzie ta próba mogła mieć miejsce. Nic dziwnego, że nie dotknęli dna. W tych miejscach głębokość oceanu przekraczała 2200 sążni.

Jak wynikało z dziennika okrętowego, w przeciągu następnych pięciu dni flotylla przepłynęła zaledwie 234 mile. Przy ładnej pogodzie łatwo było o porozumiewanie się pomiędzy „Mariną” i „Sarną”. Marynarze mogli więc rozmawiać na różne tematy, często osobiste, ale także i o wyspie świętego Brendana, którą spodziewano się napotkać.

Robert dokładnie sprawdził zapiski dotyczące pobytu „Mariny” i „Sarny” w Kirkjubøur. Właściwie nic szczególnego, oprócz pobieżnego opisu zabudowań zakonu franciszkanów znajdującego się w pobliżu przystani, relacji z rozmowy z Torbjoernem, urzędnikiem królewskim, dokładnego wyszczególnienia pobranego zaopatrzenia na dalszą drogę do Islandii i... konstatacji, że wśród mnichów Jan dostrzegł także zakonnice. Czy ich widok wzburzył go, nie wiadomo. Ale w dalszej, już dość chaotycznej części, nakreślonej jakby w pośpiechu lub zdenerwowaniu, znalazł się opis snu, w którym admirałowi jawiła się postać zalanej łzami Maryni. W owym śnie spotkali się potajemnie, by wypłakać się w swoich ramionach. Z relacji wynikało, że przysięgli sobie miłość do grobowej deski i zaplanowali wspólną ucieczkę na koniec świata...

Trudno powiedzieć, jakie było przebudzenie następnego ranka, ale o świcie marynarze podnieśli kotwice i poszli na północ cieśniną między wyspami Streymoy i Eysturoy. Po wyjściu na pełne morze ruszyli na północny zachód. Tego dnia przebyli około 60 mil.

Nowicki zamknął oczy. Usłyszał, jak zgrzytnęły łańcuchy kotwic, rozwinęły się białe żagle, chwytając wiatr. Z brzegu przypatrywali się temu zakonnicy i królewski namiestnik. „Marina” i „Sarna”, smukłe i lekkie

nabierały szerszego oddechu i wypływały na pełne morze, lśniąc z dala białymi skrzydłami żagli.

Przedtem Jan nie opisywał swoich snów. Trudno powiedzieć, co było w dalszej części manuskryptu, ale do tej pory Jan jawił się jako człowiek nad wyraz praktyczny i mocno stąpający po ziemi... Z jakiego powodu nagle w dzienniku okrętowym pojawiła się relacja ze snu?

Robert zamyślił się. Nie zwrócił uwagi, że Nadia szykowała się do wyjścia. Gdy była przy drzwiach, powiedziała:

– Poczytaj sobie na razie sam, ja muszę na chwilę wyjść.

– Co się stało?

Na jej twarzy pojawiło się wahanie.

– Muszę się z kimś spotkać.

Nowicki poczuł, że traci dobry nastrój. A więc jednak, jest ktoś...

– Szukam mieszkania – rzekła spokojnie. – Hotel jest dla mnie zbyt drogi, a nie chcę mieszkać w schronisku młodzieżowym, bo potrzebuję... spokoju i intymności.

– Rozumiem...

– Jestem umówiona, niedaleko, kilka ulic dalej... Niedługo będę z powrotem.

– Pójdę z tobą.

– Nie! – krzyknęła gwałtownie, a potem sama spostrzegła, że jej reakcja była nieadekwatna do sytuacji. Uśmiechnęła się i ciszej dodała: – Zaraz będę z powrotem, poza tym chcę zrobić drobne zakupy...

– Więc tym bardziej...

– Robert – uśmiechnęła się – to są kobiece zakupy, w których mężczyzna nie powinien uczestniczyć pod żadnym pozorem...

Popatrzył na nią, jakby chciał odczytać z jej oczu, co naprawdę kryje się za tą nieustępliwością.

Wytrzymała jego wzrok i znów lekko się uśmiechnęła.

– Jak długo cię nie będzie?

– Pół godziny, nie więcej...

– W takim razie – starał się nadać głosowi cieplejszy ton – będę tęsknił.

Pocałowała go w policzek i dłonią zmierzwiła mu włosy.

– Zaraz wracam.

Gdy wyszła, nie od razu wrócił do czytania. Przed jego oczami pojawiła się scenka w knajpce rybnej, do której trafił wraz z Trude Morensen. Nadia w kącie, zapłakana, i tamten bezwzględny typ...

Nie, to tylko nerwy. Strach, że mógłby zostać pozbawiony złudnej przepustki do szczęścia, a może obawa przed utratą nadziei na inne życie. Potrząsnął głową. Trudno, najwyżej będzie tak, jak było przedtem. Rozejrzał się po pokoju, spostrzegł drobiazgi należące do Nadii i pomyślał, że po wczorajszym dniu i po ich wspólnej nocy już nic nie będzie tak, jak było.



*Nagle trzasnęły drzwi wiodące na pokład.*

*– Hej, tam! Wiatr się rusza!*

*Twarz wachtowego, który czuwał na pokładzie i teraz dawał wiadomość o zmianie pogody, promieniowała radością.*

*Zerwali się i popędzili po wąskich schodkach na pokład.*

*Rzeczywiście ruszył się lekki wiatr. Rozrywał nieruchomą przedtem mleczną mgłę, targał jej pasma i ciskał w dół, na wodę. U góry przeredziło się, słaby blask słońca przeciskał się szczelinami w ciężkich zwałach chmur.*

*Naraz ktoś krzyknął przeraźliwie. Młody Haukbald stał u burty, biały na twarzy jak chusta, i palcem pokazywał na morze.*

*Spojrzeli i struchleli.*

*Za zasłoną z mgły, mając oczy, przesuwiał się biały, wysoki kształt. Wolno, bezgłośnie mijał*

*„Marinę”. Płynął wielki jak wieża, górujący nad wszystkim. Wpatrywali się w mgłę i byli pewni, że widzą wysokie oblodzone maszty i ciężkie od zamarznętej wody żagle, białą sylwetkę okrętu widma, który zaginął przed wiekami na wodach północy i teraz jawił się ich oczom, żeby zwiastować zgubę.*

*Jan powiódł wzrokiem po struchlalej załodze i ocknął się dopiero, gdy Szymon Bosman zaczął się śmiać.*

*– Ludzie! Toć to góra lodowa!*

*Podskoczyli prędko ku burcie i wyteżyli wzrok, by jeszcze raz zobaczyć mijające ich zjawisko.*

*A wtedy zawiał wiatr i utworzyła się we mgle wielka dziura. Przez chwilę zobaczyli wyraźnie szczyt lodowego olbrzyma i ostre załomy spadające wprost do oceanu.*



*Odetchnęli. Janowi przemknęło po głowie, że gdyby wiatr wiał w innym kierunku, „Marina” starłaby się z płynącym potworem i teraz unosiłyby się na falach już tylko szczątki okrętu. Marynarze zaś cieszyli się, jakby im kamień z serca spadł, kiedy okazało się, że to tylko góra lodowa, a nie upiorny statek zwid tulający się po wodach północy, bo ten pewnością zabrałby ich ze sobą.*

*Mgły snuły się dalej tumanami nad powierzchnią wody. Ich kłębowisko przybierało dziwaczne kształty. Myliły oczy i udaremniały żeglugę, choć żagle chwyciły wiatr.*

*– Co będzie? – pytał trwożliwie Haukbald, opierając dłonie na kole sternika.*

*Jan patrzył w mgłę.*

*– Musimy kierować się na Islandię... Tam zostaniemy przez tydzień, a nawet dłużej, zanim sprawdzimy okręty przed wyruszeniem na Grenlandię.*

*Tymczasem od kilkudziesięciu godzin krążyli we mgle. Woda była spokojna, ale tu i ówdzie niespodziewanie wyrastały kry i mniejsze, niewidoczne z daleka lodowe bryły, które w nieoczekiwanym zderzeniu mogły uszkodzić poszycie okrętów. Mgła dobrze niosła dźwięk i czasem słyszeli głosy rozkazów padających na „Sarnie”. Nie widzieli się, bo przez gęstą kosmatą biel nie przebijały światła latarni pokładowych. Wiedzieli jednak, że trzymają się w pobliżu. W takich warunkach łatwo było się pogubić.*

*Kierowali się po omacku ku tej stronie, gdzie powinna być Islandia, ale nie mogli wydostać się z mlecznych oparów, które zdawały się nie mieć końca. Dzień i noc obie załogi były na nogach bez chwili odpoczynku. Kiedy mgły trochę zelżały, wydostali się na otwarte morze, gdzie białe kolosy widywało się już z rzadka, i wzięli kurs na północny zachód. Dopiero dwa dni później zobaczyli ptaki.*

*Leciały zwartym kluczem na zachód. Podążając za nimi, osiągnęli brzeg Islandii. Wylądowali jednak dopiero nazajutrz, gdyż szukali odpowiedniego miejsca. Płynąc wzdłuż wybrzeży, z oddali zobaczyli tumany pary wodnej i chmur.*

*– Dymiąca zatoka – powiedział Jan.*

*Popatrzyli na niego z przestrachem, bo nikt oprócz niego i Szymona Bosmana nie był jeszcze na wyspie.*

*– W głębi lądu są wulkany, gejzery i gorące źródła. Te chmury są właśnie z ich przyczyny...*

– Toż to diabelski koniec świata – przeżegnał się Haukbald. – Jak zwać to miejsce?

– Reykjavik – odpowiedział spokojnie Jan.

W osadzie były dwa drewniane pomosty. Przy jednym stał okręt bez bandery. Obok kręciło się kilka osób. „Marina” przycumowała przy drugim, a „Sarna” została kilkadziesiąt sążni od brzegu. Jan posłał do nich marynarza na łódce z rozkazami. Kwadrans później na pomoście pojawił się Jakub Brzoza z pilotem. Wtedy też nadszedł wójt Reykjaviku.

– Witamy, mości admirale. – Skłonił się, gdy Jan pokazał mu listy od sekretarza królewskiego. –

I prosimy o pomoc.

– Cóż się stało?

– Od tygodnia mamy nieproszonych gości – wskazał na okręt bez oznakowań. – Przybyliście w samą porę. Jesteśmy bezradni.

– Kto to, Anglicy?

– Zacumowali pod banderą flandryjską, ale zaraz ją zdjęli. A załoga międzynarodowa. Anglików nie widziałem, chyba że któryś zataił narodowość i podaje się za kogoś innego. Ale są i Włosi, i Portugalczycy, i Hiszpanie, i Francuzi. Zbieranina. Mogą być spod czarnej flagi.

– Poczynili jakoweś szkody? – zapytał Jan.

– Jak na razie nie. Chodzą po okolicy i rozpytuja o ambre i tłuszcz wielorybi. Dają dobre ceny, ale nasi ludzie wiedzą o zakazie handlu z Anglikami i odmawiają.

– Były gwałty, próbowali komuś grozić?

– Jak na razie, nic mi o tym nie doniesiono. Łażą i przepatrują, moi ludzie boją się.

Jan i Jakub wymienili spojrzenia. Byli tu z ramienia króla Christiana i musieli bronić jego ziemi.

– W takim razie – rzekł Jan – pogadam z nimi...

– Ich kapitan przesiaduje w karczmie.

– Ilu ma pan ludzi do dyspozycji?

– Moich konstabli czterech i szeryfa. A ich prawie trzydziestu.

– Niech pan będzie gotowy, może trzeba będzie ich aresztować.

– Pan kpi, admirale?

– Nie... Pan tu stanowi prawa, a moi ludzie je wyegzekwują. Ale najpierw spróbujemy po dobroci...

Jan cofnął się na „Marinę”, wydał rozkazy, by ludzie byli gotowi, ale na razie nie ruszali się z okrętu. Wysłał dwa patrole pod broń na uliczki osady, przykazując, aby kręcili się w pobliżu karczmy. Reszta miała czekać w odwodzie przy okręcie, uważając na sygnał. Mieli na oku wartowników flandryjskiej krypy. Z przystani do karczmy nie było dalej niż sto sążni. W razie potrzeby mogli tam być w ciągu kilku chwil.

Jakub Brzoza tak kazał ustawić „Sarnę”, by siedem dział z lewej burty było wycelowanych w okręt bez bandery.

W gospodzie panował gwar. Na kominie buchał ogień, przy ławach biesiadowało kilkunastu mężczyzn, których obsługiwały miejscowe dziewczyny. Dwóch marynarzy przygrywało wesoło na piszczałkach. Było spokojnie. Siedzący obrzucili przybyłych bystrym spojrzeniem i wrócili do jedzenia i rozmów. Wyglądało na to, że nikt nie szukał zwady. Jan i Jakub usiedli przy pustej ławie. Zaraz też pojawił się szynkarz.

– Witam wielmożnych panów w moich skromnych progach.

– Gospodarzu...

– Słucham, prześwietni panowie?

– Jakie macie wino? – zapytał Jakub.

– Wielkiego wyboru nie ma, czerwone i białe. A skosztujcie potraw z wieloryba.

Jan westchnął.

– Ryba! Mamy dosyć ryb! Co innego możesz polecić?

Gospodarz przygiął się w ukłonie.

– To już tylko pieczeń z jagnięcia albo z renifera.

– Co przedkładasz, Jakubie?

– To, co najszybciej upieczone.

– I ja także! A zatem nie ociągaj się, szynkarzu, a tu masz talara... I przynieście wreszcie wina.

Szynkarz z zadowoleniem przyjął zapłatę i jeszcze raz zgiął się w ukłonie.

– Dzięki, panie, już dawno nie widziałem tak dorodnej sztuki złota.

Jan uśmiechnął się.

– A zatem uwińże się prędko.

– Tak, panie.

Od jednego ze stołów stojących z dala od ognia ktoś się podniósł. Śmiało podszedł w stronę Jana i odezwał się pewnym głosem, w którym dało się wyczuć nutkę radości.

– Tak patrzę, kto szasta złotem... I kogo widzę? Toż to sam Juanito Skolnus!

Jan popatrzył na przybysza i na jego twarzy wykwitł uśmiech.

– A niech mnie! To ty, Fernandez?

– We własnej osobie! Nigdy bym się nie spodziewał, że cię spotkam na końcu świata!

Padli sobie w ramiona jako starzy przyjaciele, którzy nie widzieli się od lat.

– I rację masz, stary druhu. Toż to, jako rzeczesz, prawdziwy koniec świata. Wyspa zwana Thule.

Jeszcze nie tak dawno uważano, że poza nią tylko wody... Dziś już wiadomo, że dalej jest jeszcze Grenlandia.

– A może i co więcej? – Uśmiechnął się Jan.

Fernandez rozpromienił się.

– Indie? Kataj?

Jan zwrócił się w stronę Jakuba.

– Pozwól, kuzynie... Mój druż z Akademii Żeglarskiej w Sagres, Francesco Fernandez z Barcelony.

– Salut, mości kawalerze – Hiszpan skłonił się dwornie.

– A to mój kuzyn, Jakub Brzoza, poddany króla Danii, Christiana Oldenburga.

– I tobie salut, prześwietny żeglarzu.

Fernandez roześmiał się dźwięcznie.

– Wygląda na to, że pańskim gościem jestem. Toż my tu na zimnej duńskiej ziemi. – Zdzielił Jana kuksańcem, jak za chłopięcych czasów w Sagres. – Oj, cudowna, ciepła Portugalia, o tobie możemy sobie tylko pomarzyć – westchnął.

Gdy już usiedli, a szynkarz podał wino i przepili, Jan zapytał:

– Co cię tu przywiodło, Francesco?

– Nie przygoda wcale, zapuściliśmy się tu w poszukiwaniu futer i tłuszczu.

– Aż tutaj? Co to, w Europie nie masz baranów i niedźwiedzi?

– Nie o takie futra tu chodzi i nie o taki tłuszcz.

– A o jaki?

– O foki i walenie. Tran i ambra. Wielkie pieniądze za to kupcy w Bristolu płacą.

– Słyszałem, że to luksusowy towar. Ale wy pono pod flandryjską banderą tu przybyliście. Co zatem rzeczesz o Bristolu?

Francesco przymknął oczy i rozłożył dłonie jak przyłapany na gorącym uczynku, który nie może się tłumaczyć.

– Właścicielem okrętu jest kupiec flandryjski, ale handlować mu wolno gdzie chce.

– Niby tak, ale wiesz, że Anglicy mają zakaz handlu na Islandii.

– I właśnie Anglików wśród nas nie uświadczysz, Janie – przymrużył oko.

– Fernandez! – syknął ostrzegawczo Jan.

– No, już dobrze, dobrze... Ale formalnie nikt tu nie złamał miejscowych reguł. Nie możesz nam nic zarzucić.

– I nie zarzucam, ale obaj wiemy, że...

– Janie...

– Nie będziemy się wadzić, bo jesteśmy przyjaciółmi. Ale musicie stąd odejść. Im szybciej, tym lepiej.

Fernandez westchnął.

– A jeśli nie?

– Francesco... Proszę... Nie rób kłopotów, bo będę musiał was aresztować, a okręt i wasze mienie przejdą na własność króla Christiana.

Hiszpan zafrasował się.

– Myślałem, że naprawdę jesteśmy przyjaciółmi.

– Byliśmy, jesteśmy i będziemy. I właśnie dlatego tak trzeba. Zasady obowiązują obie strony. Jako przyjaciel nigdy byś nie działał na moją szkodę. Ani nie zmuszał mnie do tego, bym łamał prawo.

Fernandez pokiwał głową.

– A wy ruszacie z wyprawą na Inuitów?

Jakub zdziwił się.

– Dlaczego tak sądzicie, panie?

– Widziałem waszych ludzi, uzbrojeni po zęby, jakby na podbój tu przybyli.

– Ta ziemia nasza, jak waszmość rzekłeś, więc nie masz kogo podbijać.

– To nie tajemnica – pośpieszył z wyjaśnieniem Jan. – Chcemy stąd ruszyć na zachód, na Grenlandię, do naszych osadników...

Dalsze wyjaśnienia przerwało pojawienie się szynkarza z dymiącymi półmiskami.

– Pieczeń dla wielmożnych panów.

*Fernandez ruszył się, jakby chciał wstać, ale Jan przytrzymał go.*

*– Zostań, zjesz z nami. Gospodarzu, jeszcze jedno nakrycie.*

*Hiszpan nie dał się prosić. Po kilku kielichach i spełnionych toastach za dawno niewidzianych przyjaciół humor mu powrócił i jął rozprawiać o przeszłych projektach, gdy chcieli szukać zachodniej drogi do Indii.*

*– Rozmyślasz jeszcze o tym, Janie?*

*– Bezustannie.*

*– A co z tą panną, o której ongiś rozprawiałeś i do której tak cię ciągnęło, żeś nie chciał dłużej bawić w Portugalii?*

*Jan tylko westchnął, a Fernandez, widząc zmieszanie druha, położył mu rękę na ramieniu.*

*– Nie frasuj się. I mnie się w afektach nie powiodło. Inaczej byś mnie tu nie widział. Siedziałbym z żonką i dziećmi na jakimś nielichym interesiku gdzieś w Kastylii, statki bym na sprawunki rozsyłał, a sam grzał się w winnicy i patrzył, jak dzieci dorastają.*

*– A mnie i tak ciągnie na morze. Do domu, do żony i dzieci wracałbym jak najczęściej, ale z żeglowania bym nie zrezygnował. A może i na jaką dłuższą wyprawę bym się pokusił.*

*– Do Afryki?*

*– I za Afrykę jeszcze... I do Winlandu i Hellulandu, owych ziem, o których tylko na dalekiej północy jeszcze wspominają...*

*Na twarzy Kastylijczyka pojawiło się zwątpienie.*

*– Alboż te ziemie naprawdę istnieją?*

*– Podobno cztery niedziele żeglugi stąd!*

*To oświadczenie nie zrobiło jednak na Fernandezie wrażenia.*

*– Nie daj się zwieść, Janie – rzekł. – I ja słyszałem o tych mitycznych wyspach, ale jeszcze nikt z nich nie wrócił, a pono niejeden już się na nie wyprawiał.*

*Jakub nappełnił kielichy czerwonym płynem z omszałego gąsiorka.*

*– A my słyszeliśmy o takich, którzy wrócili – rzucił z uśmiechem.*

*– Prawda li to? – zdziwił się Fernandez. – Bo mnie powiadali, że tam nie działa igła magnetyczna, a wszystkie kierunki mieszają się... I dlatego nikt nie może znaleźć drogi powrotnej.*

*Jan przerwał mu.*

*– Bujdy marynarskie. Sam wiesz, ile są warte te opowieści.*

*Na twarzy Hiszpana pojawiła się obawa. Był zabobonny.*

*– To nie bujdy!*

– Bujdy, powiadam ci... Christophoro też im nieraz ulegał.  
Francesco pociągnął solidny łyk wina.  
– Teraz on w Hiszpanii na dworze królowej Izabeli – westchnął. –  
Czasem myślę, że obłądu dostał.  
– Dlaczegoż to?  
– Bo nic, tylko wyprawę do Indii szykuje. A dworacy śmieją się z niego.  
Jan westchnął. Znał te kąśliwe spojrzenia, uwagi, ironię,  
uszczypliwości...  
– Jeszcze przyjdzie czas, że tego pożałują – rzekł stanowczo – bo to  
wspaniały żeglarz i dobry kompan.  
– Ale jego koncepcja psu na budę się nie zda. Wiesz, co wymyślił? Że do  
Indii dostanie się, ruszając z Zielonego Przylądka na południe i płynąc  
wzdłuż równika, naprzeciw pasatów, w kierunku zachodnim.  
Jan odpowiedział niespiesznie:  
– Mówił mi o tym ongiś.  
– I co o tym myślisz?  
– Taki sam dobry pomysł, jak każdy inny.  
Hiszpan znów westchnął.  
– Ale ci, do których zwrócił się o złoto na wyprawę, uważają to za  
czyste szaleństwo.  
– A jakie jest twoje zdanie?  
Francesco puścił do Jana oko.  
– Ja myślę, że... tak czy owak... dotrzymam obietnicy, którą mu niegdyś  
dałem. I jeśli tylko wyruszy na morze, popłynę razem z nim.  
– Kto wie, może i ja z wami... Więc gdy go ujrzysz, uściskaj go ode  
mnie.  
Fernandez rozpromienił się.  
– Byłoby wspaniale, jak za dawnych czasów, w Sagres.  
– Kto wie, może się spełni nasze młodzieńcze marzenie – Jan zawiesił  
głos. – Może nawet szybciej, niż się spodziewamy.  
Przyjaciół popatrzył na Jana uważnie.  
– Czyżby jakaś tajemnica?  
– Żadna tajemnica. Mam przyrzeczenie królewskie, że będziemy taką  
wyprawę rozważać, gdy wrócę z tego rejsu.  
– Życzę ci, aby stało się to według twoich zamiarów.  
– Da Bóg, wrócimy jeszcze do tej rozmowy...  
Po skończonej wieczerzy na chwilę przy ich stole zapanowało milczenie.

– *A względem tego, wiesz... Juanito?*

*Jan wyciągnął z sakwy zwój papieru opatrzonego lakowymi pieczęciami.*

– *Oto edykt królewski, czytaj!*

*Fernandez rozwinął arkusz, przebiegł oczami zapis i po chwili oddał go Janowi.*

– *Macie bić wszystkie statki, które idą na Islandię, a są z Anglii lub podejrzewa się, że pracują dla Anglii... rekwirować wszystko, a załogi brać w niewolę.*

– *Sam więc widzisz.*

– *Jeśli wrócę bez towaru, sam popadnę w niewolę.*

– *Możesz handlować w Norwegii, w północnych fiordach powinieneś znaleźć to, czego szukasz.*

– *Tylko że tam dużo drożej...*

*Jan rozłożył ręce.*

– *Wiesz, że rad bym ci nieba przychylić, stary przyjacielu, ale odpowiadam przed moimi ludźmi i monarchą, który mnie ustanowił. Jeśli opuścicie Islandię jutro do świtu, nic się wam nie stanie.*

*Hiszpan pokiwał głową.*

– *A jeśli ja wcześniej niż Christophoro zorganizuję wyprawę, rad bym cię widzieć na pokładzie.*

*Staremu towarzyszowi zaśmiały się oczy.*

– *Daj znać do mojej rodziny w Barcelonie. Oni zawsze wiedzą, jak mnie znaleźć. Tak będzie najszybciej i najpewniej. Gdy się pływa, trudno przewidzieć, gdzie się wylądjuje...*

– *Skąd ja to znam?*

*Siedzieli jeszcze do późnego wieczora, rozprawiając, ale najbardziej wspominając dawne młodzińcze czasy, gdy wszystko było proste i oczywiste.*

*Jakub wyszedł wcześniej, by wydać rozkazy nocnym wachtom i poczynić przygotowania do remontu obu okrętów, które miały rozpocząć się po opuszczenia wyspy przez okręt flandryjski. Chodziło też o zaprowiantowanie obu załóg i odnowienie zapasów przed dalszą drogą na Grenlandię.*

*Jan i Francesco gwarzyli jeszcze długo, ale i na flandryjskim żaglowcu rozpoczęły się przygotowania do odejścia. Od zmierzchu ładowano nań beczki ze świeżą słodką wodą i zapasy pożywienia na dwa tygodnie dla*



*załogi. Jan poprosił wójta, aby wydał zezwolenie na sprzedaż jądła i kilkunastu baryłek wielorybiej słoniny, która mogła okazać się zbawienna podczas długiej podróży na morzu. Do świtu, gdy odbijali od drewnianego nabrzeża, nie doszło do żadnego incydentu, nie licząc drobnej wymiany poglądów Francuza i Duńczyka na temat pewnej dziewczyny, którą sobie obaj upodobali. Gdy w kościele przy klasztorze augustianów zaczęły bić dzwony na Anioł Pański, jakby w odpowiedzi zabrzmiał dzwon na flandryjskim frachtowcu. Obwieszczał swoje wyjście z portu i pożegnanie.*

## Burza

Patrzył na nią. Leżała na boku wtulona w poduszkę.

– Śpisz? – zagadnął.

– Nie. – odwróciła się i spojrzała na niego roziskrzonymi oczami. – To niesamowite... I zarazem fascynujące. Nie wiem, czy to ten tekst czy twój głos, ale gdy czytasz, widzę obrazy, ludzi, wnętrza...

Czuję tę ogromną przestrzeń oceanu...

Uśmiechnął się.

– Co będzie dalej? – zapytała.

– Z nami? – Mrugnął okiem.

Nadia spoważniała.

– To akurat wiem... Nie, z tą wyprawą, z Janem?

Dotknął jej ramienia i zapytał przekornie:

– Skąd wiesz, co będzie z nami?

– To proste... Znudzisz się mną i zostawisz... Szybciej, niż ci się wydaje.

– A jeśli nie?

– Daj spokój...

Poczuł, że Nadia mówi poważnie, pewna, jaki będzie finał ich znajomości. Na tyle liczyła czy tylko tyle pragnęła? Milczenie stało się niezręczne.

– Co z tym pokojem?

– Pojutrze rano mogę się wprowadzić.

Dotknął jej ramienia. Nie poruszyła się. Objął ją i pocałował, a ona spojrzała mu w oczy, lecz jej usta pozostały nieruchome.

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak cieszyć się tym, co jest... – szepnął. – Tak długo, jak to tylko możliwe.

Nic nie powiedziała, a po chwili wtuliła się w niego.

– To wszystko? – zapytała.

– Jeśli nie pragniesz niczego więcej...

Leżeli przez chwilę w ciszy, aż Nadia parsknęła śmiechem.

– Pytam o manuskrypt.

Teraz on się roześmiał i to rozładowało sytuację.

– Może i coś zostało...

– Na deser?

– Właśnie... Na deser!

Zaczęli się całować, a gdy ochłonęli po miłosnym uniesieniu, ona, jeszcze zdyszana, oparła się łokciami na jego piersi.

– Nie chcę, żebyś dziś wracał do klasztoru. Zaraz wyskoczę po coś do zjedzenia, zrobimy kanapki, a potem...

– A potem? – zapytał, zaglądając jej w oczy.

– Będzie deser... Poczytasz mi, prawda?

– Tylko dlatego chcesz, bym został, bo jesteś ciekawa dalszego ciągu?

– To też, ale po tym deserze... chcę mieć z tobą jeszcze jeden deserek...

– Tylko jeden?

– Ile się tylko da! – Przyciągnęła go do siebie i pocałowała.

Nie chcieli schodzić do restauracji, mieli ochotę na zwykłe kanapki i mnóstwo dobrej herbaty. Nadia wyszła do sklepu, a on jeszcze raz sprawdził pocztę. Profesor Svenson nadal się nie odzywał.

Gdy wróciła, zebrała włosy w luźny węzeł, by nie przeszkadzały w przygotowaniu posiłku, i zabrała się do pracy. Kroiła pieczywo, smarowała je masłem, okładała wędliną, serem i ozdabiała warzywami.

Robiła to mechanicznie. Czar poprzednich chwil prysł. Dostrzegł na jej twarzy napięcie. Nie uśmiechała się i jej oczy były nieruchome.

– Co się stało? – zapytał.

– A co się miało stać?

Podszedł do niej i próbował przytulić, ale wyswobodziła się z jego objęć.

– Ostrożnie, mam nóż...

Odsunął się.

– Muszę szukać pokoju...

– Przecież znalazłaś.

Wzruszyła ramionami.

– A jednak coś się stało?

– W recepcji odebrałam wiadomość. Ta rodzina, u której miałam zamieszkać, wycofała się.

Był zaskoczony.

– Z jakiego powodu?

– Nie napisali, ale domyślałam się... Ktoś im pewnie powiedział, że poprzednio mieszkałam u Torelssonów i że przynoszę pecha.

Pierwszy raz wspomniała o pożarze. Starał się nadać głosowi spokojne, pojednawcze brzmienie.

– Nie sądzę, by to mógł być ważący argument.

– Niektórzy są przesądni. Wiesz, jacy są ludzie.

Pokiwał głową.

– Mam tu znajomego Polaka. Zapytam, czy mógłby nam pomóc.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Dobrze usłyszałam?

Zmieszał się.

– Powiedziałem tylko, że go zapytam, nie obiecałem, że to załatwię.

– Powiedziałeś: „nam” – zaakcentowała.

Uśmiechnął się i objął ją, patrząc wymownie na nóż w jej dłoni.

– Naprawdę tak powiedziałem?

– Słyszałam na własne uszy.

– Na pewno? – zaczął się przekomarzać.

Ona skierowała w jego kierunku ostrze, udając, że chce go ugodzić. W jej oczach znów była radość.

– Jedenaste, nie kpij z bezbronnej kobiety! Bo zostaniesz ukarany!

Odskokzył, udając, że się boi.

– Dwunaste... – wyszeptał, przybierając teatralną pozę trubadura. –  
Pozwól się kochać!

Opuściła nóż, a włosy rozsypały się na jej ramiona i plecy.

– To akurat nie jest śmieszne – powiedziała poważnie.

Objął ją.

– Nie miało być.

– Uczucia to nie jest temat do żartów – rzekła zduszonym głosem.

– Nadiu... To nie był żart.

Zareagowała dopiero po chwili. Wtuliła się w niego, a on przygarnął ją jeszcze mocniej.

– Nigdy z tego nie żartuj.

– Nie będę.

Odchyliła twarz i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Robert...

Uwielbiał, gdy wymawiała jego imię.

– Tak, Nadiu?

– Sama sobie załatwię ten pokój, ale... dziękuję.

Pocałowała go mocno. Kanapki zjedli dopiero dwie godziny później.

Potem położyła głowę na jego kolanach i zerknęła na niego ciekawie.

– Uhm? – mruknął.

– Patrzę, czy masz zamknięte oczy.

– Nie śpię.

– Masz jakieś wady?

– No pewnie...

– Powiedz jakie, bo nie mogę dostrzec ani jednej.

– Mnóstwo...

– To tylko takie gadanie. Znam cię już trochę i wiem, że jesteś nawet odrobinę interesujący...

– Oooo...

– Tak! Na dodatek czuły, inteligentny, umiesz mnie rozśmieszyć i...

– I?

– Czuję się przy tobie bezpieczna.

– No, no...

– A jeśli wziąć pod uwagę twoją pozycję, wykształcenie i sławę... tak, tak... to nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby ci dorównać.

– Czyli... akceptujesz mnie jako swojego faceta?

– Mężczyźni są tacy dosłowni. Chcą deklaracji czarno na białym. Nie wystarczy to, co powiedziałam?

Pogłaskał ją po policzku.

– Obawiam się, że patrzysz na mnie przez różowe okulary.

– Myślisz, że przesadzam?

– Tylko trochę...

Poczuł kuksańca w boku.

– Ooouu...

– Tak? – Zajrzała mu w oczy.

– Mam też skłonność do mówienia innym tego, co o nich myślę, nawet jeśli nie do końca im się to podoba.

– To jeszcze nie tragedia. Ze mną jest podobnie. Gdy odkryłam, że Aleks przespał się z inną, wyzwałam go od najgorszych, nie przebierając w

słowach...

- Po angielsku?
- Nie, po rosyjsku.
- Chciałbym to usłyszeć.
- Ale pewnie nie chciałbyś dostać wazonem?

Ożywił się.

- Rzuciłaś w niego?
- Tak, jeden, potem drugi, a na końcu trzeci.
- Nie było ci szkoda?

– Przedtem poszły w ruch talerze... Właściwie to... opróżniłam cały kredens...

Westchnął, a gdy to zobaczyła, parsknęła śmiechem.

– Szkoda, że nie widziałeś jego miny. Nigdy wcześniej mnie takiej nie oglądał.

– Zdaje się, że lepiej nie znaleźć się w zasięgu ognia, gdy ponosi cię temperament.

– To zależy, czy objawia się jego dobra czy zła strona...

Objął ją i pocałował.

– W takim razie zajmijmy się jego cieplejszą stroną.

Oddała mu pocałunek i wtuliła twarz w jego szyję. Poczł łagodne łaskotanie jej oddechu, a potem muskanie jej rzęs. Przygarnął ją mocniej do siebie, a ona zarzuciła mu ręce na szyję.



Sen był bardzo realistyczny. Spacerowali z Nadią po Tórshavn. Z promu wysypali się turyści, na wąskich uliczkach zaroilo się od kolorowych strojów. Szli, trzymając się za ręce. Oglądali wystawy, przy niektórych zatrzymywali się na chwilę. Świeciło słońce i Robert cieszył się, że są razem. Nadia przystanęła przy sklepiku z pamiątkami. Weszła na chwilę, a on wciąż stał przed wystawą i przyglądał się tandetnym upominkom. Podniósł głowę i w odbiciu szyby zobaczył znajomą postać. Odwrócił się.

Kobieta szła spokojnym, dostojnym krokiem, a jasne włosy opadały jej na ramiona. W pewnej chwili zatrzymała się i odwróciła głowę. Robertowi zabrakło tchu.

Małgosia!

To niemożliwe, a jednak nie mylił się. To była ona!

– Gosia!

Nie usłyszała jego głosu, który ginał w ulicznym hałasie. Robert zajrzał przez szybę wystawową do wnętrza sklepu i zobaczył, że Nadia ogląda półki. Pobiegł za Małgosią, ale zniknęła za najbliższym rogiem, a gdy tam dotarł, już jej nie było.

– Gosia! – zawołał i w jego głosie była rozpacz. – Gdzie jesteś?

Cisza.

– Tutaj – usłyszał tuż za uchem. Ale to nie był głos Małgosi.

Odwrócił się i zobaczył przed sobą twarz Nadii.

– Jestem – powiedziała i przytuliła go niczym dziecko. Poczł skurecz, jakby za chwilę miał się rozplakać. Po chwili na jego policzkach pojawiły się łzy. Ale to nie były jego łzy. Nadia płakała, tuląc go do siebie.



*Drobne naprawy i konserwacja obu okrętów zabrały ponad tydzień. W tym czasie odnowili swoje zapasy, a przede wszystkim słodką wodę oraz solone i suszone mięso waleni. Nie było to zbyt wykwintne jadlo, ale dawało tłuszcz, tak ważny w okresie nadchodzących chłodów. Na północnym Atlantyku panowały już warunki, które na Bałtyku określono by jako zimowe. Miejscowi rybacy tylko uśmiechali się, słysząc takie opinie duńskich marynarzy. Prawdziwa zima miała dopiero nadejść. Jan nie chciał, by chłody zastały go na oceanie, zarządził więc przyspieszenie prac i rychłe wyjście w morze. Zima na Grenlandii była surowa, a osadnicy potrzebowali zaopatrzenia przed nadejściem największych mrozów. Nie było więc na co czekać.*

*Jesienna aura była zmienna. Zdarzały się dni, gdy robili niemal sto mil w ciągu doby, a później siła podmuchu gwałtownie opadała i dryfowali, oddalając się od celu. Trzy tygodnie później ujrzeli brzeg Grenlandii. Naprawdę była to zielona wyspa, choć soczysta zieleń pastwisk skąpanych w niemrawym jesiennym słońcu sąsiadowała z szarością skał i ugorów. Szukali sposobnego miejsca do lądowania, ale okazało się, że nie jest to proste. Skaliste brzegi roiły się od podwodnych skał, na których łatwo było naruszyć poszycie okrętów. Skierowali się więc na zachód w poszukiwaniu ludzkich osiedli. Zmrok zastał ich kilkadziesiąt sążni od brzegu i część załóg dostała się na ląd za pomocą szalup. Rozbili obozowisko, ale Jan nie chciał, by zatrzymywali się tam dłużej, niż potrzeba. Trzy tygodnie żeglugi*

nadwyreżyło kondycję statków, więc to i owo trzeba było poprawić. Szczególnej opieki wymagały żagle i tylny maszt „Sarny”. „Marina” trzymała się dobrze.

W ciągu dwóch dni uporali się z tym co najpilniejsze. W tym czasie kilku członków załogi wybrało się w głąb lądu na poszukiwanie ludzi, by zasięgnąć języka na temat osadników, ale nikogo nie spotkali. Nie znaleźli też zwierzyny. W powietrzu igrały tylko mewy, ale ich mięso nie byłoby znaczącą odmianą w dotychczasowym menu marynarzy. Drugiego dnia o świcie odeszli na zachód. Płynęli jakieś ćwierć mili od brzegu, obserwując pilnie, co dzieje się na lądzie. Pierwszą osadę zobaczyli dopiero po kolejnych dwóch dniach żeglugi. Stanowiło ją kilka szałasów rybaków, w których mieszkali Inuici.

Tylko jeden z nich z ledwością porozumiewał się po duńsku. Nie słyszał o białych osadnikach z Europy.

Twierdził, że więcej dowiedzą się w wiosce leżącej o kolejne trzy dni żeglugi wzdłuż brzegu wyspy.

– Tam są biali ludzie – rzekł Inuita, szczerząc bezzębne dziąsła.



Idąc za wskazówkami tubylca, dostali się w sam środek burzy. Jan, nie chcąc ryzykować rozbicia okrętów o podwodne skały, wyprowadził „Marinę” i „Sarnę” na pełne morze. Tam wiatr porwał ich w swój bezduszny taniec. Admiral widząc fale przewalające się przez burty, zarządził pełną mobilizację.

– Wszyscy na pokład!

Przez następne trzy dni i trzy noce borykali się z rozszalałą nawałnicą. Admiral, widząc wyczerpanie załogi, podzielił ją na dwie wachty: jednej kazał wypoczywać pod pokładem, a drugiej pracować na zewnątrz. Uwieszeni na linach usiłowali zwinąć żagle. Nie było to łatwe, bo gwałtowne przechyły sprawiały, że w każdej chwili mogli znaleźć się w wodzie. W tych warunkach jakikolwiek ratunek byłby niemożliwy. Żagle trzeba było jednak koniecznie zwinąć, bo inaczej groziła im katastrofa. Maszt trzeszczał i gdy uderzały weń potężne fale, mieli wrażenie, że drży w posadach.

Rozwieszeni na rejach, wśród szalonego wichru i przejmującej lodowatej wodnej kurzawy, próbowali walczyć z nasiąkniętą, ciężką i



sztywniejącą od mrozu materią.

Poszarpane przez gwałtowne podmuchy chmury opadły tak nisko, iż zdało się, że wloką swoje strzępy po samych szczytach wysoko skłębionych wodnych bałwanów. Oba żaglowce spadały z jednej góry wodnej na drugą, zanurzały się w odmęty, by za chwilę znów unieść się wysoko, niby pyłek na szczycie spienionego żywiołu. „Marina” kładła się na boki. Zdawało się, iż pozostałymi na masztach żaglami zacznie zgarniać wodę, a potem znów wyskakiwała w górę. Od tego tańca niemal wszyscy byli chorzy i nawet doświadczeni żeglarze mieli ołów w głowie. Jan, choć sam czuł się podle, próbował ich wspomagać, aplikując wódkę i stawiając siebie za wzór. Zagrzewał ludzi do wytrwałości, innych dźwigał na nogi groźnym rozkazem. Pomagał mu Szymon Bosman, który jako jedyny wydawał się czuć w tym żywiole jak ryba w wodzie. Wszędzie było go pełno. Zdawało się, że jego siły są nie do wyczerpania, jakby dwoił się i troił w miarę wzrostu niebezpieczeństwa. Mimo wieku, bo szło mu już przecież na szósty krzyżyk, był pełen wigoru jak Zeus władający żywiołami. Można by rzec, że w tej gorączce owe żywioły były mu powolne.

Wiatr siekł śniegiem jak żelaznymi biczami. Stopy marynarzy nie miały oparcia na zlodowaciałym rozbujanym pokładzie, gdy co rusz zimna fala z hukiem uderzała w ich torsy, niektórych zwalając z nóg, mocząc liche ubrania i przetaczając od burty do burty. Jan również padł na pomost pod impetem oszalałego uderzenia wody. Na chwilę stracił przytomność, bo gdy ocknął się, nie był pewien, czy żywy jeszcze czy już martwy wpadł w czeluść lodowych kręgów piekła.

Widząc, w jakim jest stanie, Haukbald odprowadził go na mostek, a dwa łyki gorzałki postawiły go na nogi.

– Co z „Sarną”? – zapytał.

– Wciąż nie widać.

– To już drugi dzień, jak nie mamy z nimi kontaktu.

– Poradzą sobie, mości admirałe – rzekł Haukbald. – Są tam doświadczeni żeglarze.

– Oby...

Kolejne dwa łyki alkoholu sprawiły, że Jan odzyskał dawny wigor, a przynajmniej takie wrażenie odnieśli ci, którzy mu towarzyszyli. Wstał na równe nogi i choć nagle uderzenie fali w burtę zachwiało nim, znów przejął dowodzenie.

– *Do pomp! Na reje! – krzyknął. – Otrząsać liny z namarzających śniegów i lodów, bo inaczej powiększający się ciężar na takim wietrze może nas wywrócić!*

*Ciężką mieli pracę. Okręt pochylał się gwałtownie w tył, podnosząc wysoko przód swojego kadłuba.*

*Jednocześnie kładł się ciężko na prawy bok jak raniony w skrzydło ptak. Uwikłani wśród lin marynarze zdawali się słyszeć umieranie statku, jego ostatnie tchnienia, przeraźliwie skrzypiące wręgi, które lada moment miały się poddać żywiołowi. Skostniałymi rękami kurczowo trzymali się lin, obejmowali drzewce przecznicy i masztów. Mimo przeciwności pompowali wdzierając się do wnętrza okrętu wodę, łupali lód z masztów i sznurowych drabin, które zalepiane śnieżycą zamarzały, nie dając miejsca ni dłoniom, ni stopom tych, którzy chcieli się na nich wspiąć wyżej.*

*Na domiar złego z wielkim trzaskiem padł przeciążony lodem tylny maszt i pokrył pokład kłębami olinowania. Kilku marynarzy zaplątało się w nim, a jeden, nie mogąc wydostać się spod kotłowniny, próbował wyciągnąć się, przytrzymując barierkę burty. Nagły przechył popchnął potężny maszt, który wylał barierkę i marynarz wypadł za burtę. W płataninie lin nie był w stanie się uratować. Fale porwały go natychmiast i wciągnęły w głębiny. Nic nie mogli zrobić. Przez wylamaną barierkę zaczęły wypadać inne przedmioty znajdujące się na pokładzie. Na szczęście nie było więcej ofiar wśród ludzi.*

*Kilka minut później ktoś krzyknął:*

*– Uwaga! Na lewej burcie!*

*Jan spojrział i zmartwiał. To nie była ziemia! To była lodowa góra!*

*– Admirale!*

*Jan obrócił się. Przy nim stał oficer.*

*– Bryła lodu unieruchomiła ster.*

*Aby ją odłupać i zwrócić „Marinie” sterowność, trzeba było spuścić się na linie w kipieli odmętów.*

*Jan wszedł na pomost i spojrział w dół. Za burtą szalał żywioł. Fale sięgały do jego stóp. Obok stanął oficer. Był przerażony i bezradny, jakby spoglądał w oblicze śmierci. Jan obejrzał się. Lodowa góra była coraz bliżej. Nie było czasu do stracenia. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że zejście na linie w dół to wyzwanie rzucone piekłu.*

*– Bosaki! – krzyknął. – Siekiery! Szybko!*

*Oprócz niego jeszcze tylko Szymon Bosman i Haukbald, który pływał z nim na Bałtyku i był na karace Pawła Benecke, gdy zdobywali „Sąd Ostateczny” – byli gotowi stawić czoło żywiołom, nie bacząc na swoje bezpieczeństwo. Jeden za drugim spuszczała się uwiązani do lin z bukszprytu i pracowali z niesłychanym wysiłkiem, na poły pod wodą. Udało im się odlupać potężną bryłę lodu i uwolnić ster. Na szczęście nie był uszkodzony.*

*„Marina” odzyskała sterowność, ale teraz trzeba było rozwinąć żagle... Gdy wspinali się na reje, okazało się, że gęsty śnieg oblepił maszty, wypełnił bocianie gniazda, otulił obmarzłe węzły lin i zwoje żagli. Zwilżany wybuchającymi wciąż fontannami wody zamienił liny w długie lodowe sople, a pokład w twardą śliską skorupę. Marynarze zrzucali bryły lodu na pokrycie kaszteli, a ci, którzy byli na dole, zgarniali je za burtę. Zdawało się, że to praca Syzyfa, że nigdy nie będzie miała kresu. Przemarzłe członki i zgrabiące palce odmawiały już posłuszeństwa, a mimo intensywnej pracy okręt znów zaczął się chylić na bok i sunął coraz bliżej ku lodowym masywom, jęczącym milionem głosów jak dzwony pogrzebowe.*

*Zguba zdawała się nieuchronna i nawet Jan zwątpił w ratunek, jednak wciąż zachęcał swoich ludzi do wysiłku. Komuś, kto stałby z boku, mogłoby się to wydawać próżne, ale Jan wiedział, że nic tak nie pozbawia nadziei, jak opuszczone ręce. Dopóki próbujemy się ratować, jest szansa.*

*„Marina” przypominała kryształową trumnę obwieszoną na omasztowaniu misterną koronką. Byli już o kilkadziesiąt sążni od góry lodowej i zdawało się, że katastrofa jest tylko kwestią sekund, gdy prąd uniósł ich w niszę utworzoną przez dwie wsparte o siebie strzelistymi szczytami bryły lodowe. Tej drugiej przedtem nie widzieli. Nagle przestało kołysać. Jan kazał natychmiast wkręcić żelazne śruby w lodowe ściany i zaczepić o nie liny. Wytrzymali odpływ i bosakami przyciągnęli burtę. Tym samym sposobem zaczepili drugą linę. Wokół trwała wichura, ale oni wreszcie mogli odpocząć. Niedługo, bo po posiłku i porcji gorzałki, Jan zarządził porządkowanie statku. Sam oceniał straty. Zwalonego masztu nie byli w stanie naprawić na wodzie, inne usterki zabezpieczyli, na ile w tych warunkach to było możliwe. Pompy wciąż pracowały, odprowadzając sączącą się do wnętrza wodę.*

*Jan doskonale wiedział, że pod zdradliwymi lodowcami nie będą mogli stać zbyt długo. W każdej chwili, podmyte przez prądy, mogły zapaść się, obalić i pogrzebać ich łupinę pod swoim rumowiskiem. Morze stawało się*

*coraz spokojniejsze i kiedy otwarło się szersze przejście między nagromadzonymi przed niszą krami, zarządził wyprowadzenie „Mariny” z zacisznego ukrycia. Wiatr znacznie się uspokoił, choć wciąż mocno dmuchało. Wyglądało na to, że prądy uniosły ich wraz z lodowymi kolosami poza strefę sztormu. Gdy rozwinęli żagle, nabrali szybkości. Okręt szedł równo, pokonując odległość. Uważali na góry lodowe, których było sporo, ale w tych warunkach sytuacja była już pod kontrolą admirała. Widząc to, wydał rozkazy oficerom i udał się na spoczynek. Potrzebował snu. Kuchcik nagrzał mu wina z korzeniami. Jan wypił to duszkiem i położył się w swoim hamaku. Nie wiedział, jak długo śpi, gdy obudził go głos wachtowego.*

*– Mości admirale!*

*– Wchodź! – rzekł jeszcze przez sen. – Co się dzieje?*

*– Ziemia!*

*Jan zerwał się na równe nogi.*

*– Pewny jesteś?*

*– Inaczej nie śmiałybym budzić. Tylko czy...*

*– No? – ponaglił wachtowego spojrzeniem.*

*– Czy aby na pewno to ta Grenlandia?*

*– Zobaczymy – rzekł Jan, nakładając ubranie w pośpiechu. Jeszcze nacisnął czapkę na głowę i wybiegł na pokład. Wachtowy podążył za nim, pomrukując coś niezrozumiale pod nosem.*



## Grenlandia

*Czarna plama ziemi wyraźnie odcinała się na połyskującym w niemrawym słońcu oceanie i rosła z każdą minutą. Godzinę później wprawne uszy marynarzy wychwyciły dźwięk fal morskich leniwie bijących o strome brzegi. Jan kazał zwinąć połowę żagli i wolno płynął wzdłuż ziemi, szukając odpowiedniego miejsca na przystań. Po dłuższym czasie znaleźli głęboką szczyrbę w skalistym lądzie, gdzie na kilkunastu sążniach rzucili kotwicę. Jan nie zdecydował się jednak lądować. Krótki polarny dzień miał się ku końcowi, słońce skryło się już za postrzępiony horyzont.*

*Lada moment miały zapaść ciemności. Dopiero nazajutrz wysłał kilku ludzi na brzeg, ale nigdzie nie stwierdzili śladów człowieka. Odeszli więc na zachód. Morze było spokojne i po dwóch dniach zobaczyli szałas oraz kamienne domki przykryte drewnianymi dachami. Na niektórych zieleniła się darni. Przy największym, na maszcie powiewała flaga króla Christiana. Marynarze ściągnęli żagle i rzucili kotwicę. Jan kazał przygotować szalupę, by udać się na ląd. Tymczasem polecił popakować bagaże, pozwijać liny i czekać na dalsze rozkazy.*

*Knuttsen, administrator osady mianowany przez króla Christiana, był pijany i po wymianie kilku zdań Jan stwierdził, że dalsza rozmowa mija się z celem. Powiadomił go tylko o przybyciu i o swoich planach, ale nie był pewny, czy gubernator choćby i to zdołał zapamiętać. Zapytał więc jego pomocnika Fergussona, człowieka grzecznego i czynnego, który przy Knuttsenie sprawował rolę sekretarza, czy wiadomo mu coś o „Sarnie”, ale ten tylko rozłożył bezradnie ręce. Jan niepokoił się o los drugiego okrętu, o ludzi i samego Jakuba Brzozę. Jedyne, co mu pozostało, to czekać na wieści.*

*Oby nadeszły jak najprędzej.*

*Poprosił Fergussona, by pokazał im najlepsze miejsce, gdzie mogliby wyciągnąć „Marinę” na brzeg. Ten, choć niewysoki i szczupły, ale nadzwyczaj energiczny mężczyzna, wskazał im niewielką zatoczkę, oddaloną o milę od osady, gdzie mielizna przy brzegu idealnie nadawała się do tego celu.*

*Gdy Jan zobaczył to miejsce, postanowił, że w okolicy rozbiją również swoje obozowiska. Następnie kazał rozładować statek, wyciągnąć go na brzeg i niezwłocznie przystąpić do reperacji. Fergusson przydzielił Janowi dwóch swoich konstabli, by służyli mu jako łącznicy i przewodnicy. Szybko się okazało, że każdy z nich miał do dyspozycji sprytnego Inuitę, rozumiejącego po duńsku i nadzwyczaj użytecznego. Zmobilizowali oni kilkudziesięciu ludzi, którzy przenieśli ładunek „Mariny” na brzeg, wyciągnęli ją i pomogli w unieruchomieniu.*

*Jan szybko ocenił straty, jakie żaglowiec poniósł podczas sztormu. Na szczęście nie były tak poważnie, jak wydawało się na początku. Po dokładnych oględzinach kadłuba okazało się, że prócz uszczerbków poczynionych na spojeniach między okładzinami, w kilkunastu miejscach odłupała się smoła. Trzeba było również rozebrać całkowicie mechanizm sterowy, który jednak ucierpiał podczas usuwania owej potężnej bryły lodu.*

*Jan wyznaczył szesnastu najsprawniejszych w rzemiosłach marynarzy, a reszta miała ich obsługiwać, warzyć im strawę, dostarczać wody pitnej, opału, trudnić się zaopatrzeniem i trzymać wartę. W tym celu potworzono doraźne oddziały, każdy pod wodzą innego oficera.*

*Roboty rozpoczęli od najtrudniejszej części, a mianowicie od wymiany masztu. Mieli ze sobą dwa zapasowe, jeden z nich po niewielkiej obróbce udało się osadzić w gnieździe. Jan, widząc, że roboty idą sprawnie, udał się do osady, licząc, że tym razem zastanie administratora w lepszej kondycji.*

*Mężczyzna był w swojej kwaterze, siedział przy stole, na którym walały się dokumenty, resztki jedzenia, brudne naczynia i części garderoby. Nie przywitał się z Janem, jedynie odnotował jego obecność i niedbałym ruchem wskazał mu taboret.*

*Jan przekazał mu listy od sekretarza królewskiego. Knuttsen jednak nie złamał pieczęci, a pismo niedbale odrzucił na stół.*

*– Wina? – zaproponował Janowi.*

*Ten pokręcił przecząco głową.*

*– Te wszystkie bzdury – wskazał niedbale na list – możemy sobie darować. Mówcie, panie admirale, czego wam trzeba.*

– Najpierw wiadomości.  
– Jeśli wiem, to służę...  
– Gdybyś waszeć przejrzał pismo, oszczędziłoby to nam niepotrzebnej gadaniny.

Z ust Knuttsena wyrwało się grube przekleństwo. Popatrzył na Jana nieco złośliwie, ale sięgnął po list i zaczął go czytać. Pobieźnie przerzucił treść, pomrukując na głos niektóre słowa, po czym odłożył papier.

– A więc chodzi o osadników, których przywiódł tu kapitan Pining... Byli, owszem, zeszłej jesieni, ale odpłynęli i później już żaden z nich więcej się tu nie pokazał.

– Jesteś, waszmość, pewien?  
– Owszem. Już więcej nie widzieliśmy ani ludzi, ani statków.  
– Może nie zawijali do was?  
– To mało prawdopodobne.  
– Jest inna droga do Islandii?

Knuttsen popatrzył na Jana kpiącym wzrokiem.

– Nie znam – prychnął niecierpliwie, ale szybko się zmiętył i dodał spokojniejszym tonem: – Ale to nie znaczy, że nie ma...

Jan zasępił się. Na razie poszukiwania utknęły w martwym punkcie. W sytuacji, kiedy „Marina” była w remoncie i nie miał żadnych wieści o „Sarnie”, niewiele mógł zrobić. Poza tym nadchodziły mrozy.

Tymczasem Knuttsen ponownie przejrzał pismo od sekretarza i odłożył je ze zniechęceniem.

– Nic nowego, wciąż to samo...  
– Spodziewałeś się waszmość specjalnych nowin?  
Ten popatrzył dzikim wzrokiem.  
– Spodziewałem się, że w końcu odwoła mnie z tego piekła...

Jan przyjrzał się administratorowi. Nie był jeszcze stary, ale w jego oczach widać było zmęczenie.

Twarcz napuchnięta od nadużywania wina, zlepione niechlujne włosy, abnegacja w ubraniu. Wydzielał trudną do określenia woń. Był po prostu brudny, jakby się tygodniami nie mył.

– Dziwi waszmości ten... fetor, zapewne? – Uśmiechnął się kwaśno.

Jan spojrział uważnie.

– To miejscowe jedzenie. Na początku też nie mogłem znieść zapachu Inuitów, a potem sam zacząłem tak cuchnąć. I waszmość, admirale, jeśli zabawisz w tych stronach dłużej, zaczniesz wydawać taki odór. To tran,

*tluszcz wieloryba. I nie da się go uniknąć. Trzeba go używać, jeśli chce się wytrwać w tym klimacie. Tutaj nawet latem woda zamienia się nocą w lód.*

*– Długo tu pan jesteś?*

*– Czwarty rok. Za karę...*

*– Za cóż waści to spotkało?*

*Knuttsen popatrzył na Jana dzikim wzrokiem, w którym rozpacz mieszała się ze strachem.*

*– Za karę – rzucił krótko, nappełnił kielich winem i szybko przełknął jego zawartość. – Zachciało mi się... kochania... Zapachniała mi córka wielmoży z kopenhaskiego dworu...*

*Zapadło milczenie, ale administrator nie podjął już dalej tematu, tylko grubo przeklął i chwycił pismo. Przez chwilę czytał, potem głośno puścił wiatry i roześmiał się, jakby chciał pokryć zażenowanie. Widząc, że przybysz nie zareagował, spoważniał.*

*– Królewski sekretarz pisze – rzekł – bym dał waszmości wszelką pomoc, jakiej potrzebujesz. Co zatem mogę zrobić?*

*Jan, któremu nagle zrobiło się żal królewskiego administratora, bo sam miał w pamięci swoją nieszczęśliwą miłość, zmienił swój ostry ton głosu. Poprosił Knuttsena, by dokładnie zrelacjonował pobyt osadników zeszłej jesieni.*

*– Spędzili tu kilka tygodni i wydawało się, że założą swoją osadę w pobliżu, ale pewnego dnia kapitan Pining i ten Portugalczyk Vaz Corte-Real zażądali zaopatrzenia, bo wybierają się w dalszą podróż.*

*– Mówili dokąd?*

*– Nie, właściwie... niedokładnie. Mieli iść wzdłuż zachodnich brzegów Grenlandii, ale wspominali też, że w późniejszym czasie, gdy już wysadzą osadników i założą faktorię, chcieliby udać się na południe.*

*– Słyszałeś, waszmość, dokładnie, na południe?*

*Administrator wzruszył ramionami.*

*– Na jakieś cieplejsze wyspy, gdzie jest zwierzyna i rosną drzewa. Nasłuchali się bajek od miejscowych i postanowili znaleźć coś, co nie istnieje.*

*Jan zaprotestował.*

*– Podobno są tam wyspy i to całkiem niedaleko. Inuici tak mówią.*

*– Niezamieszkałe. Tutejsi byli tam. Ani zwierzyny, ani drzew, tylko skały i lód. Nie ma czego szukać.*



*A te lasy i zwierz to legendy, jak o ziemi obiecanej. Gdzieś niby jest, ale nikt tam jeszcze nie dotarł...*

*Jan zasepił się. Nadal nie wiedział, co stało się z osadnikami i gdzie powinien szukać ich śladów.*

*Na razie najpilniejszą sprawą był remont „Mariny”.*



*„Sarna” z Jakubem Brzozą zacumowała przy pomocy osady cztery dni później. Burza nie poczyniła na okręcie większych szkód, ale podczas nawałnicy stracili pięciu ludzi. Reszta była wyczerpana i chora. Potrzebowali odpoczynku, a statek napraw i konserwacji, podobnie jak*

*„Marina”. Jan ucieszył się, widząc Jakuba. Młody Brzoza był przygnębiony stratą marynarzy, tym bardziej że jednym z nich był jego przyjaciel z dzieciństwa, który na „Sarnie” pełnił funkcję oficera.*

*Zginął, ratując Jakubowi życie. Fala zabrała go w ciemną czeluść. Poszukiwania na nic się nie zdały.*

*Jan zaopiekował się młodszym kuzynem i jako admirał wyprawy przejął na siebie większość obowiązków, chcąc, by Brzoza wypoczął przed dalszą podróżą. Kilka dni później chłopak doszedł do siebie i zaczął osobiście doglądać remontu „Sarny”. Jan zauważył, że podczas rejsu zżył się z załogą i miał u nich posłuch. Było to znać po tym, jak z szacunkiem zwracali się do niego. Jakub, chcąc zyskać ich mir, pewnie czasem pobłażał im zanadto, ale było widać, że i oni darzyli go sympatią. Gdy tylko sam stanął na nogi, sprawdził, czy lekarz zaopatrzył wszystkich chorych i czy im czegoś nie brakuje.*

*Wieczorami odbywali z Janem długie narady na „Marinie”. Kuchcik gotował im wino z korzeniami, czasem do kompanii zapraszali oficerów obu okrętów, jednak rychło Jan przekonał się, że decyzję o tym, gdzie dalej szukać zaginionych osadników, będzie musiał podjąć sam. Tego od niego oczekiwali pozostali. Był ich admirałem i ostatnie słowo należało do niego. Na razie jednak czuł, jakby krążył po wzburzonym morzu we mgle.*

*Pewnego dnia wraz z Jakubem ponownie spotkali się z gubernatorem Knuttsenem. Nie był w najlepszej formie, ale Fergusson pomógł mu się ogarnąć i wkrótce był gotów do rozmowy.*

*– Panowie – rzekł, rozkładając ręce, gdy wyluszczyli mu cel swego przybycia – nie mam pojęcia, gdzie szukać waszej zguby. Myślę jednak, że*

kapitan Pining to rozsądny człowiek. Nie narażałby życia ludzi dla mrzonek. Powiódł ich zapewne wzdłuż zachodniego wybrzeża Grenlandii i gdzieś tam znaleźli swoje miejsce.

– Nie dziwi was, panie, że nie dali znać do tej pory? Wszak minął rok?

– Nie – rzucił sucho. – Są wolni i mieli edykt króla Christiana zezwalający na założenie portugalskiej faktorii, nad którą ja jako administrator i tak nie miałbym żadnej władzy.

– Nie sądzisz, że jeśli nawet nie sam Corte-Real, to chociaż królewscy kaprowie Pining i Pothorst powinni utrzymywać z wami kontakty, choćby dla łączności z koroną?

– Czy ja wiem? Mieli swoje trzy statki, nie musieli korzystać z moich usług.

– Nie byłeś, waszmość, ciekaw, jak im się ułożyło?

– A wy, admirale, wypytujecie mnie, jakbyście prowadzili śledztwo?

– Wybacz, waszmość. Chcę jedynie uzyskać wskazówkę, gdzie powinienem ich szukać. Ślad po nich zaniknął w chwili, gdy ostatni raz byli widziani u was.

Knuttusen popatrzył nieprzytomnie na Jana. Wytarł tłuste palce we włosy i w swój kubrak, po czym ponownie nalał sobie wina.

– Dajcie mi dwa dni. Postaram się czegoś dowiedzieć.

Istotnie, dwa dni później administrator ponownie spotkał się z Janem.

– Wypytywałem miejscowych – rzekł – tych, którzy żyją w swoich osiedlach na zachód od nas, ale żaden nie słyszał o białych osadnikach. Niektórzy mieszkają nawet o trzy tygodnie drogi stąd, na dalekiej północy. Ani śladu! Wygląda na to, że musieli popłynąć na te przekłete wyspy na południu.

– Mógłbyś waszmość dać nam wskazówki?

– Ja sam nie, ale mam Inuitów, którzy tam pływali. Oni najlepiej wytłumaczą drogę.

– A może przydzielisz nam któregoś?

– Nie są niewolnikami. Jeśli się domówicie, może któryś z wami popłynie za obiecaną nagrodę.

– W takim razie wyznacz najlepszego.

– Kilku jest dobrych. Polecam wam rybaka, który dość często wyprawiał się na tamte wyspy. Zna nie tylko łowiska, ale i tę wyspę, o której wam opowiadano. Jego ojciec wyprawiał się pono jeszcze dalej na

południe, ale on nie chce o tym mówić. Może wasze prezenty nakłonią go do zwierzeń.



Ingulkok miał ponad 30 lat, dwie żony i czworo dzieci. Uchodził za zamożnego i niełatwo było go przekonać, by przyłączył się do wyprawy Jana. Nie mówił po duńsku i kontakt z nim był utrudniony.

Administrator miał do dyspozycji zaledwie trzech tubylców, którzy porozumiewali się po duńsku, i twierdził, że wszyscy są mu potrzebni. Nie wchodziło więc w rachubę, by przydzielił choć jednego z nich do wyprawy. Sam Ingulkok dał się przekonać Janowi do wzięcia udziału w poszukiwaniu osadników dopiero po tym, jak ten zapewnił jego rodzinie bogate dary i utrzymanie na cały rok z góry.

Przygotowania do dalszej podróży trwały dwa tygodnie. Przy pomocy dwóch tłumaczy, pracujących na zmianę, uczyli Ingulkoka podstawowych słów, określania położenia, kierunków, służby na okręcie, tego wszystkiego, co mogło okazać się niezbędne podczas wyprawy. Był nad wyraz pojętym uczniem.

Gdy przekonał się, że obie jego żony i czworo dzieci są zabezpieczone na wiele miesięcy, spakował węzelek i przeniósł się na „Marinę”.

Popłynęli wzdłuż południowego brzegu Grenlandii i wkrótce kierunek zmienił się na północno-zachodni. Trzy dni później zobaczyli osadę, w której jednak nie było ani jednego białego. W szałasach i kamiennych domkach na wybrzeżu mieszkali skośnoocy rybacy. Ingulkok szybko dowiedział się od nich, że rok wcześniej pojawiły się tu trzy żaglowce z białymi ludźmi. Zatrzymali się na kilka dni.

Jan poprosił Inuitę, by dowiedział się czegoś więcej. Ten tylko uśmiechnął się.

– Bez podarków będzie trudno.

Jeden z oficerów, który pełnił funkcję kwatermistrza, dał mu kilka noży dla tubylców, lusterka i szklane paciorki dla kobiet. Ingulkok wziął to wszystko i poszedł do domku naczelnika wioski. Wrócił po godzinie.

– Biali klócili się między sobą. Jedni chcieli zostać, a inni płynąć dalej. Mówili różnymi językami i było dużo nieporozumień.

Z jego relacji wynikało, że najprawdopodobniej powstał spór między Duńczykami a Portugalczykami o miejsce założenia factorii. Portugalczyki

bali się, że jeśli zostaną na Grenlandii, siłą rzeczy nie będą mogli uwolnić się od wpływów duńskich administratorów. Usłyszawszy zaś o wyspach na południu, karmili się złudną nadzieją, że tam będą w pełni niezależni. Tymczasem wszystkie te wyspy należały do Kopenhagi. Nie przyjmowali jednak tych argumentów. Słyszeli od miejscowych, że na południowych wyspach jest mnóstwo zwierzyny i lasy, a to oznaczało pożywienie, budulec, a także źródło ogrzewania.

Zabrali ze sobą sześciu Inuitów, by pokazywali im drogę. Odeszli, kierując się na południe.

Jan zapytał Ingulkoka, czy zna tam jakieś wyspy.

– Tak, jedną, ale ojciec mojego ojca wyprawiał się z towarzyszami jeszcze dalej na południe.

O wiele dni żeglugi od tej wyspy znajdują się inne, porośnięte lasem. Tam, gdzie mieszka zwierzyna z rogami.

– Jak daleko?

– Wiele dni.

– Jak wiele?

Ingulkok nie umiał powiedzieć. Pytał miejscowych rybaków, ale oni mogli jedynie potwierdzić, iż słyszeli o tych wyspach. Żaden z nich jednak nigdy tam nie był.

Jeden ze starszych rzekł poważnie:

– Cztery dni żeglugi stąd jest wyspa rybaków. A stamtąd wiele dni pływby dalej jest wyspa kamienia, za nią wyspa lasów, a jeszcze dalej następna.

Wyglądało na to, że Pining, Pothorst i Corte-Real podjęli ryzyko odnalezienia owych lądów. Tam właśnie postanowili się osiedlić, zdobywając owe terytoria dla Portugalii i Niemiec, skąd pochodzili Pining i Pothorst, a może nawet i dla siebie samych?

Jan przywołał Ingulkoka.

– Podjąłbyś ryzyko, by dołynąć do tych wysp? – zapytał.

Inuita poważnie skinął głową.

– Ojciec mojego ojca tam był i opowiadał o nich. Powiniennem tam dotrzeć, by potem pokazać drogę moim synom.

Plany musieli odłożyć o tydzień. W wiosce zatrzymał ich sztorm i nagły atak ostrej zimy, który uniemożliwiał żeglugę. Jan jednak nie zmarnował tego czasu. Wszystko go tu ciekawiło, wszystko chciał zobaczyć na własne oczy, przelać na papier. Żeby lepiej poznać codzienne życie myśliwych

grenlandzkich, przeniósł się z okrętu do domku naczelnika. Jadł to, co wszyscy, spał w tych samych postaniach, co inni, z wszystkimi polował i nawet, jak oni, posiadał nietatwą sztukę pływania po wzburzonych sztormem wodach fiordu w lekkim, wywrotnym kajaku, obciążonym skórami fok.

Gospodarzy ujął życzliwością, do której nie przywykli ze strony białych ludzi. Stary myśliwy, z którym się szczególnie zaprzyjaźnił, w chwili rozstania powiedział:

– Powrócisz znów do tego wielkiego świata, z którego do nas przyszedłeś, zobaczysz jeszcze wiele nowych rzeczy, spotkasz mnóstwo ciekawych ludzi i szybko o nas zapomnisz, wiedz jednak, że my będziemy cię zawsze pamiętać.

Jan zapewnił, że on również będzie o nich pamiętał. Nie podzielał pogardliwego stosunku białych, którzy uważali Eskimosów za dzikie barbarzyńskie plemiona, wyszydzała ich obyczaje i przy każdej sposobności wykorzystywali ich łatwowierność i prostoduszność. Cóż z tego, że byli brudni i żyli w prymitywnych warunkach... Spróbowaliby ktoś z białych żyć inaczej wśród mrozów i lodów

Grenlandii. Byli dobrzy, sprawiedliwi i ufni jak dzieci. Łatwo było ich skrzywdzić, bo nikogo nie podejrzewali o złe zamiary. Mieli złudzenia. Nie przyjmowali, że człowiek może być dla człowieka wrogiem, póki nie spotkali białych. Mimo złych doświadczeń wierzyli im.

Gdy tylko na „Marinie” i „Sarnie” uzupełniono zapasy wody i suszonych oraz solonych ryb, odeszli na południe.

Ziemia pojawiła się na horyzoncie czwartego dnia przed wieczorem. Nie ryzykowali lądowania po ciemku. Znaleźli spokojną zatoczkę, gdzie rzucili kotwice. Jan w szarości zmierzchu lustrował surowe nagie skały. Nie zauważył żadnych śladów roślinności ani zwierząt. Nie było ptaków, wyspa wydawała się martwa. Wyglądało na to, że Knuttsen miał rację. Tam, gdzie nie ma życia, trudno zakładać faktorie i urządzać osady.

Nazajutrz o świcie admirał wysłał dwa patrole, by spenetrowały wyspę. Sam popłynął później, jedynie w towarzystwie oficera, Ingulkoka i dwóch wiosłarzy. Na brzegu Szymon Bosman zdał mu raport. Żadnych śladów życia, jedynie szalas ze starymi sieciami. Wyglądało na to, że od czasu do czasu nocowało tu kilku rybaków. Jan skierował się w stronę płaskowyżu, a gdy wyszedł na górę, zobaczył pustkowie, ugór upstrzony gdzieniegdzie zwaliskami kamieni, między którymi rosła szara mizerna trawa.

*Ingulkok, nie czekając na polecenie, sam zaczął buszować między kamieniami, przystając w niektórych miejscach, a w innych przyklękając, jakby badał ślady. Jan udał się w głąb płaskowyżu, szukając najwyższego punktu wyspy, z którego mógłby dojrzeć horyzont. Gdy wdrapał się na niewielką skałę, jego oczom objawił się niezwykle widok. Wokół niebo stykało się z wodą, wszystko było w różnych odcieniach błękitu, nigdzie jednak nie było widać śladu lądu. Skierował wzrok na południe.*

*Wyteżał oczy, jakby chciał zobaczyć, co skrywają otchłanie bezbrzeżnego oceanu. Gdy obracał się wokół osi, utrzymując wzrok na linii horyzontu, usłyszał wołanie. To Ingulkok dawał znaki, że coś znalazł. Jan poszedł w jego stronę.*

*Zasypane śniegiem, na wpół wmarznięte w skałę, leżały rzemienie, resztki połamanego wiośła, czapka, strzępy materiału, który okazał się zniszczonym kaftanem, i poźółkle zawiniątko, zawierające kartki papieru.*

*– To wszystko twoje, tyś pierwszy zauważył – podkpiwał jeden z marynarzy, który znalazł się przy Inuicie.*

*– Co mi po tym? Wolalbym, żeby to były foki – westchnął myśliwy, nie bardzo wiedząc, co począć z tymi przedmiotami. Były stare, zniszczone wilgocią, do niczego nieprzydatne. Jan wziął do ręki papiery. Rozwinął je i zdumiał się. Był to spis żywności wydanej dla kapitana Pothorsta, uczestnika wyprawy Pininga, podpisany przez Knuttsena. A zatem dotarli tu! Gdy Jan wytłumaczył to marynarzom, przestali naśmiewać się z Ingulkoka.*

*– Gdzie mogli się udać? – zastanawiał się Jan.*

*Inuita pokazał na południowy zachód, a potem zapytał, czy dostanie coś za te znalezione papiery.*

*Jan po powrocie na „Marinę” dał mu igły i kilka garści kolorowych szklanych paciorków dla żon.*

*– Biali ludzie nigdy nie grzeszyli rozumem – śmiał się następnego dnia do Szymona Bosmana, z którym się polubili. – Za bezużyteczne śmieci dawać tyle dobra, widział to kto?*

*– Już ty się nie martw. Nasz admirał wie, co robi.*

*– E tam – Ingulkok wzruszył ramionami. – Nie jest chyba taki rozsądny, jak ci się zdaje.*



*Słońce zapadało za szare wody, zostawiając na niebie wachlarz purpurowego pyłu i fioletów.*

*W zatoce przesłoniętej skałami było jeszcze niemal ciemno, gdy wychodzili na pełne morze. Kolorowe światła wschodu wpadały tam z góry, zmieszane razem, niby blaski kościelnego witrażu do mrocznej kaplicy. Wschodzące słońce rzucało cień na zwierciadło nieruchomej czarno-srebrnej wody. Pogoda sprzyjała żeglarzom. Spokojny, ale stały wiatr wypiął żagle „Mariny” i „Sarny”, gnając je na południe. Następnego dnia spotkali pierwsze wieloryby. Wielu Duńczyków polowało w przeszłości na walenie, a Ingulkok był prawdziwym znawcą tematu, ale nikt z nich nie potrafił przewidzieć, jak się zachowają na tych nieznanym im wodach. Spotykali je każdego dnia, czasem pojedynczo, czasem całe stada. Wynurzały się w pobliżu okrętów z potężnym świstem powietrza i fontanną pary wodnej tryskającą z nozdrzy. Zazwyczaj pozostawały w ich sąsiedztwie przez pół wachty. Ingulkok kręcił ze zdziwieniem głową. Nigdy przedtem nie spotkał się z takim ich zachowaniem. Olbrzymie zwierzęta wydawały się zafascynowane dwoma okrętami nie mniej niż członkowie ich załóg wspaniałymi ssakami. Nawet gdy pojawiały się bardzo blisko, czasem nawet o kilka sążni, radość z ich towarzystwa była silniejsza niż poczucie zagrożenia. Co rusz z wody wylaniały się czarne płetwy i lśniące grzbiety, a towarzyszył temu charakterystyczny syk powietrza i łagodny wir na wodzie, gdy zwierzę wyginało się, wychodząc na powierzchnię. Patrząc za burtę, widywali w wodzie niezwykle desenie dużych ruchomych cieni, które kolejno przesuwały się obok kadłubów, nie dalej niż jeden, dwa sążnie od nich.*

*Cała ta olbrzymia masa zwierząt była w ciągłym ruchu, to podchodząc w górę, to opadając w dół i wymieniając się miejscami, a wśród tego jednolitego tłumu wyróżniały się połyskujące bielą delfiny, pełniące rolę zwiadowców stada.*

*Ingulkok był niezwykle uszczęśliwiony widokiem tylu zwierząt. Był ich łowcą i doskonale zdawał sobie sprawę, z jakim bogactwem ma do czynienia. Wiedział, że mięso i tłuszcz jednego dorosłego wieloryba mogą stanowić pożywienie dla całej wioski nawet na kilka tygodni.*

*Nagle wieloryby zniknęły, a kilka minut później w ich miejsce pojawiły się inne, o łaciatej skórze.*

*Ingulkok stracił dobry humor.*

*– Sable – rzekł krótko.*

– Co?

– Złe zwierzę. Je inne zwierzęta. Ma zęby jak wielkie noże – wskazał na krótkie kordziki oficerów. –

Jeśli zaatakuje, trzeba się bronić.

Jan znał orki, widywał je wielokrotnie podczas dawnych rejsów atlantyckich. Jako jedyne były mięsożerne i świetnie zorganizowane. Do pewnego stopnia przypominały watahy wilków. Umiały razem osaczyć i zaatakować ofiarę. Teraz też zaczęły się ustawiać w klasycznym myśliwskim szyku, tworząc ukośną linię z odstępami kilkunastu sążni między jednym a drugim, tak że wspólnie panowały nad obszarem o powierzchni pół mili kwadratowej. O ich zamiarach świadczyły uniesione nad wodą płetwy. Stado przesunęło się na wschód i skryło w głębiny. W pewnej chwili wypłynęły na powierzchnię prawie jednocześnie. Kiedy wynurzyły się po raz trzeci, były już bardzo blisko „Sarny”. Trzymały się w szyku, gotowe do ataku. Jan wyróżnił osiem mniejszych sztuk i dwie większe. Po chwili na powierzchni pojawił się przewodnik stada, potężny samiec, który kierował ruchami polującej watahy.

Pozostałe orki zawsze podporządkowują się przywódcy, który góruje nad nimi doświadczeniem i pełni rolę dowódcy ataku. Jego płetwa majestatycznym ruchem zwróciła się w kierunku „Mariny”. Żeglarze jak zahipnotyzowani patrzyli na demonstrację siły i spokojnej pewności siebie. Syk powietrza, plusk wody i nagle potężne cielsko wynurzyło się w kursie wprost na „Marinę”, aby pół pacierza później skryć się ponownie pod wodą. Niebawem mgielka wodnego pyłu znów wystrzeliła na dwa sążnie w pobliżu „Sarny”. A więc to ją wybrał jako cel ataku! Zwierz opróżnił płuca, zanim jeszcze woda spłynęła z jego nozdrzy. Zademonstrował siłę i żaden z żeglarzy nie miał wątpliwości, że to polujący na zdobycz potężny drapieżnik. Największą grozę budziła cienka złowieszcza płetwa, która wzbijała się w górę, gdy wypływał na powierzchnię. Nagle samiec znalazł się pod „Sarną”. Kilkanaście ton żywej wagi, inteligencji i siły całkowicie panowało nad sytuacją. Gdyby teraz nastąpił atak, orki mogłyby przebić poszycie statku i nawet go wyrzucić. Na obu okrętach zaległa cisza. Pozostałe drapieżniki zbliżały się w szyku, gotowe do ataku. Czekwały na znak samca. Jeśli zechciałby podrzucić grzbietem okręt, pozostałe uderzyłyby w burtę. Efekt byłby trudny do przewidzenia.

Jan polecił przygotować bosaki i harpuny. Oficer artylerii kazał nabić działa. Trudno było z armat celować w orki, ale można było mieć nadzieję,



*że wystraszy je huk.*

*Samiec wciąż płynął pod „Sarną”, sekundy oczekiwania ciągnęły się w nieskończoność, wreszcie zobaczyli jego płetwę po drugiej stronie burty. Wypuściwszy powietrze ze swoich potężnych płuc, ociężałym majestatycznym ruchem zawrócił w kierunku stada. Odetchnęli.*



## Lody

*Płynęli na południe już drugi tydzień i wciąż nie było widać żadnego lądu. Z dnia na dzień było coraz zimniej. Zdarzały się sztormy, na szczęście nie trwały dłużej niż kilkanaście godzin i nie czyniły wielkich szkód. Po wichurach następowały okresy ciszy i spokoju. Pewnego dnia w pobliżu masztu pokazały się mewy. Wywołało to ogromną radość żeglarzy, był to bowiem nieodmienny znak, że niedaleko musi znajdować się ląd. Najbardziej praktyczny okazał się Szymon Bosman.*

*– Szkoda, że takie małe, mają niewiele mięsa.*

*– Ale są dobre – rzucił Ingulkok.*

*– Co z tego? Wiesz, ile trzeba by ich upolować, aby wyżywić wszystkich ludzi?*

*– Dużo – rzekł Inuita z uśmiechem. – Ale dla ciebie mogę złowić kilka.*

*– Ciekawe jak?*

*Eskimos uśmiechnął się zagadkowo.*

*– Przydałaby się jakaś odmiana po tych rybach...*

*Ingulkok bez słowa sięgnął po połć wielorybiej słoniny, w którą zaopatrzył ich Knuttsen. Bosman podniósł ręce w geście obrony.*

*– Nie, nie... Aż tak głodny nie jestem...*

*Inuita odciął nożem mały kawałek, nasadził go na kościany haczyk swojej wędki i odczepił kamienny ciężarek.*

*– To do łowienia ptaków – rzekł i delikatnym ruchem rzucił wędkę za burłę.*

*Słonina odpłynęła w stronę stada mew, wysyłając ku nim nęcącą smuzkę tranu. Ptaki natychmiast przestały interesować się masztem, tym, co znajdowało się w bocianim gnieździe, i odleciały w stronę smakowitego kaska. Krążyły nad nim, a jeden przysiadł na przysmaku i próbował go dziobać.*

Skosztowawszy, zabrał się z zapalem do jedzenia. Wtedy całe stadko rzuciło się na słoninę i wkrótce powietrze wypełniło się ptasimi krzykami wściekłości i zawodu. Walczyły między sobą o ten niewielki kawałek tłuszczu, próbując się nim podzielić, ale słonina była zbyt twarda i stawiała opór. Jedna szczególnie żarłoczna mewa chciała przechytrzyć swoje towarzyszek. Złapała cały kawałek w dziób i postanowiła unieść go w powietrze. Zatrzepotała skrzydłami i gdy była pół sążnia nad powierzchnią wody, linka wędki napięła się, a gwałtowny ruch ptaka spowodował, że hak zaczepił się mocno w jego dziobie. Dało się słyszeć przeraźliwe skrzeknięcie i w tej samej chwili Ingulkok zaczął szybko wciągać wędkę wraz z trzepoczącą się na jej końcu ofiarą. Chwilę później ptak był już obdzierany z piór, a następny kawałek słoniny niewinnie dryfował w stronę stada mew. Kolejne dwa ptaki złapały się dość szybko, ale inne nie chciały dać się złowić. Stały się podejrzliwe i było jasne, że nauczone przykładem poprzedników nie dadzą się nabrać. Wtedy Inuita zaczął ściągać słoninę bliżej burty, a ptaki wciąż krążyły nad przynętą. Gdy były kilka łokci od rufy, chwycił bosak i sprawnym ruchem błyskawicznie uderzył jednego w kark. Wtedy stado poderwało się i odleciało z wielkim trzepotem skrzydeł. Na pomoście leżało pięć mew. Kuchcik ostrzył noże, by zabrać się do oprawiania ptaków i gotowania.

Wyglądały jak kościste długonogie gołębie, ale po trzech godzinach gotowania straciły swoją tykowatość i dawały się spożyć.

Dla Jana udane polowanie na ptaki było ważną informacją. W ten sposób można było zdobywać pożywienie w czasie długich podróży morskich, gdy wyczerpią się już zapasy. Zawsze też mogli upolować wieloryba lub mniejsze ryby. I choć może nie było to najprzedniejsze pożywienie, dostarczało organizmowi żeglarza tego, co najniezbędniejsze. Dla równowagi diety mogli też polować na mewy. Był to sposób, by utrzymywać się przy życiu w czasie niemal nieograniczonym. Gdyby nawet zabrakło słodkiej wody do picia, w strefie wilgotnych klimatów podbiegunowych mogli w ostateczności korzystać z deszczówki, zbieranej do beczek za pomocą wielkich płaszczy sporządzonych z nieużywanych żagli. Jan był więc spokojny. Nawet gdyby przez wiele dni przyszło im krążyć po bezkresach oceanu, nie groziła im śmierć głodowa. Niebezpieczeństwo kryło się raczej w konstrukcji statku, którą mogła nadwyreżyć byle nawałnica. Zdawał sobie sprawę, że naprawy, których

dokonali na Grenlandii, były powierzchowne, i choć na razie nie działo się nic niepokojącego, zarówno

„Marina”, jak i „Sarna” nie powinny być ponad miarę narażane na trudy zimowych przejść przez ocean. Tymczasem mewy zniknęły znad masztu i był to znak, że znów oddalili się od lądu.

O północy wiatr wzmógł się na tyle, że trzeba było zwinąć część żagli. Chmury oblekły czysty do tej pory horyzont. Potem zaczął sypać śnieg, a wiatr stał się ostry i przenikliwy. Dzień wstał szary i burzliwy, wielkie fale wspinały się wysoko, tłukąc i zwijając swe czuby w pienne grzywy. Oba okręty trzymały się blisko siebie i jak małe łupiny ślizgały po wzdętych grzbietach fal. Kołysanie statku przyprawiło część ludzi o dolegliwości. Pozostali pełnili wachtę na pokładzie i na rejach, dopatrując lin, żagli i masztów. Wiązali i umacniali luzujące się od przechyłów działa i ładunki. Mimo to błogosławili Boga, bo nie musieli walczyć z lodami, a wiatr, choć przejmujący, nie mroził sznurów. Ku wieczorowi ociepliło się, a wiatr pylił im wodnymi drobinkami prosto w twarze. Targane mocnymi falami okręty znów zaczęły przeciekać. Puścili w ruch pompy.

Ocean kipiał. Spienione grzywacze wykwiwały, wytryskiwały w górę, załamywały się w wodne bruzdy i znów rosły, potężniały, groźne, niepowstrzymane. Pod tonami wody bijącej z furją jak taranem

„Marina” zataczała się ciężko, pochylała, dotykała spienionych wciąż fal to jedną, to drugą burtą.

Raz po raz dziób ginął w białej kurzawie wodnego pyłu.

– Balast za burtę! – głos Szymona Bosmana, tłumiony łoskotem morza, dobiegał Jana jak przez watę.

Mocno wparty w poręcz pomostu śledził dzieło zniszczenia. Na pokładzie dziobowym kotłowało się jak w balii z gotującą się bielizną. Zerwane z wiązań belki i części ożaglowania wyskakiwały ponad potoki wzburzonej piany. Gdzieniedzie migaly w wodzie głowy i wyciągnięte w górę ręce. Miotani falą, oślepieni ludzie mocowali szalupy dodatkowymi linami, uskakując przed przewalającymi się po pokładzie belkami, które w każdej chwili mogły pogruchotać im nogi.

Tuż przed dziobem „Mariny” w szarej mgłę zamajaczył jakiś cień. Niebezpiecznie blisko przechodziła „Sarna”. Jan chwycił ster, usiłując zmienić kurs. Do zderzenia nie doszło, choć niewiele brakowało. Wciąż trzymali się blisko siebie, nie tracąc ze sobą kontaktu. „Marina”, mocno osadzona w wodzie, pod wszystkimi żaglami cięła pewnie wzburzone morze.

*Niedługo potem, gdy niebo się rozjaśniło, dostrzeżono za lewą burtą sylwetkę „Sarny”, o jakieś pół mili na wschód...*

*Tak męczyli się cztery dni, dopiero rankiem piątego dnia aura zaczęła objawiać swoją łaskawość.*

*Między chmurami pojawiło się błękitne niebo i złoty blask słońca zaśnił na cichnących z wolna falach. W dymach opadających mgieł zasiniła na południu krecha łądu. Jan kazał rozwinąć wszystkie żagle. W cztery obroty klepsydrą znaleźli się o milę od brzegu. Z pokładu łąd wydawał się niezamieszany. Tylko skały i lody. „Sarna” podpłynęła na tyle blisko, że mógł rozmawiać z Jakubem.*

*Była to ich pierwsza rozmowa od kilku dni.*

*– Jak „Sarna”?*

*– Cieknie.*

*– „Marina” także. Musimy znaleźć dobre miejsce do lądowania. Idziemy wzdłuż wybrzeża, trzymaj się blisko nas.*

*– Tak jest!*

*Gdy pół dnia później znaleźli miejsce nadające się do założenia obozu, Jan kazał spuścić szalupę, wziął Ingulkoka, kilku zbrojnych i udał się na brzeg. Znaleźli źródło i suche miejsce pod skałami, które nadawało się do rozbicia obozu. Gdy wspiął się na skałę, okazało się, że wyspa jest większa, niż wydawało się na początku. Ziemia rozciągała się po horyzont, a w oddali piętrzyły się białe lodowe góry. Nieopodal zaczynała się tundra. Karłowate zarośla świetnie nadawały się na ogniska. Być może wyspę zamieszkiwały także jakieś zwierzęta. Śladów człowieka nie było. Zapytany o ludzi Ingulkok pokręcił przecząco głową. To zadecydowało. Jan kazał przenieść na łąd namioty i część załogi. Reszta miała pełnić wachtę na „Marinie” przy działach, na wszelki wypadek.*

*Ludziom należał się wypoczynek, a okrętom naprawy. Jan wyznaczył specjalną drużynę, której zadaniem było wycinanie rachitycznych krzaków tundry i znoszenie ich do obozowiska. Ogniska płonęły dzień i noc, dając żeglarzom ciepło, światło i poczucie bezpieczeństwa. Szybko też poprawiły im się humory.*

*Jan rozesłał patrole w różnych kierunkach, by zbadały okolicę. Nie znalazły śladów wyprawy Pininga i Pothorsta ani człowieka w ogóle, ale marynarze znaleźli jakieś ćwierć mili od ich obozowiska wielką jaskinię, w której można by urządzić bazę. Jan natychmiast wybrał się tam, by ocenić warunki. Okazało się, że pieczara znakomicie nadaje się do zamieszkania.*

*Była sucha i przewiewna, prawdopodobnie gdzieś w głębi znajdował się niewielki otwór, który sprawiał, że dało się wyczuć ciąg powietrza. Dzięki temu wewnątrz można było palić ogniska, a dym nie kładł się, gryząc w oczy. Mając taką siedzibę, nie musiał martwić się o warunki zimowania. Wejście do pieczary nie rzucało się w oczy i pewnie z tego powodu nie zauważyli go pierwszego dnia. Wokół niej było wystarczająco dużo miejsca, by usypać szańce i obwarować wejście armatami. Jan nakazał przeniesienie dwóch dział z „Mariny”. Od biedy można było się tu bronić, a mając wsparcie z armat dwóch okrętów, dać odpór nawet większym grupom napastników.*

*Jan zarządził nowy podział wacht, które miały zmieniać się co dobę. Służbę na okrętach pełniła wystarczająca liczba ludzi, nie tylko do obsługi artylerii, ale także do wykonywania prostych manewrów. Ci, którzy w tym czasie przebywali na lądzie, pod dowództwem oficerów pełnili służbę patrolową i znosili do groty opał. Wyznaczono też specjalną drużynę do polowania. Na razie wprawdzie nie stwierdzili obecności żadnych zwierząt, ale byli pełni nadziei, że z pewnością znajdują się w głębi wyspy. Oprócz chorych, którzy pozostawali w grocie, żaden z marynarzy nie był beczynny.*

*Jan zdawał sobie sprawę z faktu, że nie może dopuścić do rozluźnienia dyscypliny, a jedynym skutecznym środkiem była praca.*

*Pogoda poprawiła się i Jan, spokojny o życie swoich ludzi, po raz kolejny dokonał pomiarów.*

*Astrolabium, kwadrant i kompas nie mogły kłamać. Znajdowali się w miejscu, którego nie było na mapie. A zatem istniał świat tam, gdzie ludzie się go nie spodziewali. Nikt przed nimi jeszcze nie dotarł w te rejony. Gdy obwieścił to załodze, ujrzał niewiele uśmiechów. Bardziej interesowali się swoimi wygodami, a jeden z marynarzy „Sarny” zapytał go wręcz, kiedy wrócą do domu i rodzin. Jan uśmiechnął się tylko, mówiąc, że mają do wykonania ważne zadanie zlecone przez samego króla.*

*Wyglądało na to, że żeglarz nie odniósł się do tego z należyтым szacunkiem.*

*W ciągu następnych dni, gdy okazało się, że są na wyspie bezpieczni i nikt się nimi nie interesuje, część wacht została przeznaczona do naprawy obu okrętów. Jan chciał je zabezpieczyć przed nadchodzącą zimą. Śniegi padały coraz częściej. Każdego ranka wyspa była biała, ale puch topniał w ciągu dnia. Potem przyszło załamanie pogody i zima zagościła na dobre. Wkrótce też okazało się, że niedługo skończy się żywność.*

Wyżywienie ponad osiemdziesięciu ludzi stanowiących załogi obu okrętów nie było prostą sprawą.

Któryś z żeglarzy odnalazł dzikie korzonki, podobne do duńskich marchewek i pietruszek, ale nie było ich wiele i wyjedli je w ciągu kilku dni. Głodowali. Racje żywnościowe zostały znacznie ograniczone.

Zdarzało się, że całymi dniami nic nie jedli. Łowienie ryb przy brzegu też dawało mizerne rezultaty, tym bardziej że mrozy skuły zatokę i uwięziły oba okręty wśród białych spiętrzonych zwalisk.

Atak mrozu rozpoczął się podstępnie. Zwał lodu, wysoki na jakieś pięć sążni, wynurzył się z czarnej nocy blisko „Mariny”. Potężne płyty lodu wpelzły jedna na drugą, waliły się z hukiem, a na ich miejsce nadciągały nowe. Potężna siła toczyła tę olbrzymią białą masę z niezwykłą lekkością.

Pod potwornym naporem lodu statek kładł się powoli na prawą burzę, ale i tu czyhały na niego wysokie, twarde jak skała zwały. Jeśli pełznący nieustępliwie mur lodu dotarłby do burty, koniec

„Mariny” mógłby nastąpić w ciągu paru minut. Tej sile nic nie zdoła się oprzeć.

– Wszyscy na pokład! – zagrział dowódca.

Ci, którzy byli na nogach, natychmiast ruszyli w stronę „Mariny”. Nieśli ze sobą topory, bosaki, siekiery, wszystko, co nadawało się do rąbania lodu. Pracowali bez wytchnienia do następnego dnia, nasłuchując złowrogiego dźwięku trzaskającego poszycia kadłuba. Ale ekspansja lodu jakby się zatrzymała. Tym razem okręt dało się uratować. Czy na długo?

Jan planował, że w razie braku żywności wyprawi się z Ingulkokiem na wieloryby, ale lody zakłuły oba okręty przy brzegu. W tej sytuacji wyjście w morze było niemożliwe. Sytuacja aprowizacyjna była katastrofalna.

Pewnego razu Haukbald przyniósł wiadomość, że podczas patrolu widział ślady zwierzyny.

Jan ożywił się.

– Co to było? Łosie, jelenie?

– Zapewne, widziałem ślady racic.

– Wskaż miejsce, zaraz wyślę ludzi.

– Jeśli pozwolisz, admirale, wybiorę sobie pomocnika i pójdziemy we dwóch.

– Jak chcesz.

Haukbald wychodził codziennie i zawsze powracał do pieczary obładowany mięsem. Nikt nie miał takiego szczęścia jak on. Raz było to

*mięso rena, kiedy indziej wilka. Zgłodniiali towarzysze rzucali się na jedzenie, uradowani, że nie umrą z głodu, mając takiego opiekuna. Jedno tylko niepokoiło Jana. Ci, którzy szli z oficerem na polowanie, nie powracali. On sam zachowywał się dziwnie, zbywał milczeniem wszystkie dowody wdzięczności, a pytany o towarzysza, wybuchał gniewem.*

*– Czyż mogę odpowiadać za tego niedołęgę? – krzyczał. – Oddalił się, gdy upolowałem moją sztukę.*

*Chciał pójść za innymi, ale może zgubił się w tundrze. Czekalem, ale nie wrócił! Nie mogłem tam sterczeć, aż raczy się pojawić, bo nie przyniosłbym wam mięsa. A on, widząc dymy ognisk, na pewno wróci...*

*Innym razem, gdy znów przybył do pieczary bez towarzysza, wzruszył ramionami.*

*– Nie wiem, gdzie jest. Oddalił się za wilkiem. Może został pożarty, a może skończył samobójstwem, nie mogąc znieść dłużej takiego życia?*

*Gdy w tajemniczych okolicznościach zniknął kolejny człowiek, Jan poleciał bosmanowi i Ingulkokowi pójść za Haukbaldem następnym razem. Sytuacja wyjaśniła się bardzo szybko. Głód pomieszał oficerowi zmysły. Zabijał towarzyszy, a ich mięsem karmił pozostałych. Za każdym razem starczało na zupełną dla wszystkich. A oni jedli i dziękowali mu, uważając go za swego dobroczyńcę. Jan kazał go związać, zwołał sąd, wydał wyrok i osobiście go wykonał. Obląkańca powieszono na rei.*

*Kiedy załogi się rozeszły, Jan klęknął i zaczął się żarliwie modlić. Haukbalda znał od wielu lat.*

*Towarzyszył mu jeszcze jako prosty marynarz na okręcie Pawła Benecke, gdy razem zdobywali tryptyk*

*Memlinga, a potem na „Marinie”, gdy Jan został gdańskim kaprem. Wtedy awansował go na oficera.*

*Zżyli się przez ten czas, Haukbald tak bardzo był oddany admirałowi, że w swoim szaleństwie rzeczywiście mógł popełniać zbrodnie, aby ulżyć trosce swego dowódcy, jak to zeznał w czasie przesłuchania. Jan nie mógł jednak postąpić inaczej. Ta kara musiała odstraszyć innych. Bóg jeden wiedział, co mogło drzemać w zropanzonych umysłach głodnych ludzi... A on, jako admirał wyprawy, musiał dbać, aby wśród załóg nie doszło do buntu. Niekiedy miał wrażenie, że wystarczy tylko nieopatrzne słowo, jak iskra... Głód był najgorszym doradcą, dlatego jeszcze tego samego dnia Jan zarządził rąbanie lodu, by otworzyć „Sarnie” drogę na ocean. Dobrali załogę z najlepszych harpunników i wyruszyli na polowanie.*





*Trzeci dzień krążyli po wodach i nie widzieli ani jednego wieloryba. Marynarze stojący na grocie i bezanmaszcie kiwali się sennie i Jan, patrząc na nich, był niemal pewny, że drzemią na stojąco, jednocześnie czuwając nad tym, co dzieje się wokół. Była to cecha rutynowanych marynarzy, którzy na morzu spędzili sporo życia. Woda była spokojna jak na tę porę roku, a wiatr niezbyt silny. Mimo to doskwierało im zimno, szczególnie tym u góry. Jan również przymknął powieki i mocniej chwycił barierkę pomostu. Tak mięła minuta albo dwie.*

*Nagle, drgnąwszy, powrócił na jawę. Tuż obok okrętu, od zawietrznej, nie dalej niż o kilkadziesiąt sążni pławił się w wodzie gigantyczny waleń. Jego rozłożysty ciemny grzbiet lśnił w promieniach słonecznych jak zwierciadło. Od czasu do czasu wyrzucał z siebie słup pary.*

*Ludzie na okręcie ożyli. Trzydzieści głosów wzniosło okrzyk, podczas gdy ogromny ssak raz po raz wyrzucał w powietrze fontannę rozpylonej morskiej wody.*

*– Spuszczać łodzie! Steruj ostro na wiatr! – krzyknął Jan i wykonując własny rozkaz, zakręcił kołem, nim sternik zdążył nim poruszyć.*

*Nagle okrzyki załogi musiały zaniepokoić wieloryba, zanim bowiem spuszczone łodzie, obrócił się i odплыnął, po czym skrył się pod wodą. Jan, za podszeptem Ingulkoka, wydał rozkaz, by ludzie w łodziach nie używali w ogóle wiosel i żeby nikt się nie odzywał inaczej jak szeptem. Czekali, aż ssak ponownie wyłoni się z wodnych odmętów. Inuita przesiadł się do drugiej łodzi, a marynarze na jego rozkaz rozsiedli się na obu burtach, obserwując powierzchnię wody.*

*Jak należało się spodziewać, wielkie zwierzę po chwili znowu wychynęło, by zaczerpnąć powietrza, a ponieważ znalazło się blisko łodzi Inuity, ten uznał, że duch walenia właśnie jego obdarzył zaszczytem zmierzenia się z nim w pojedynku. Ostrożność i utrzymanie ciszy nie były więc dłużej potrzebne. Puszczono w ruch wiosła.*

*W zachowaniu potężnego zwierzęcia zaszła zmiana. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, płynęło z podniesionym łbem, który ukośnie sterczał ponad wzbijaną wysoko pianą.*

*– Za nim! – krzyknął Jan.*

Wydając komendę, myślał o chorych, głodnych i opadłych z sił towarzyszach czekających na jedzenie w pieczarze na wyspie. Dla niego tylko to się teraz liczyło. Musieli upolować walenia! To stanowiło o powodzeniu całej wyprawy, a także o powrocie do domu.

– Naprzód! – ryknął z całych sił i kazał postawić żagle.

– Uu-huu! Uu-hii! – wrzasnął w odpowiedzi Ingulkok, wyrzucając z siebie okrzyk bojowy, którego jeszcze do tej pory nie słyszeli.

Towarzyszący mu wiosłarze pracowali ze wszystkich sił jak opętani, aż zbliżyli się do ofiary na odległość rzutu, i wtedy Ingulkok cisnął harpun.

Ludzie zaparli się wiosłami, chcąc zatrzymać łódź. Lina, odkręcając się ze słupka coraz dalej i dalej, przesuwiała się wokół pacholka, skąd od zwiększonej szybkości tarcia wzbijał się błękitny, konopny pył.

– Zwiłżyć linę! – krzyknął Szymon siedzącemu przy bębnie linowym wiosłarzowi, na co ten zerwał z głowy nakrycie i zaczerpnąwszy nim wody morskiej chlusnął do środka bębna. Lina odwinęła się jeszcze trochę i wreszcie zatrzymała w miejscu. Łódź potężnie drgnęła, bo porwał ją impet walczącego wieloryba, i ruszyła z wielką mocą przez wzburzone wody. Dziób rozbijał nieustanną kaskadę, a za rufą pieniał się nieprzerwany skłębiony wir. Marynarze przywarli ze wszystkich sił do swoich miejsc, by nie dać się wyrzucić w pianę, a muskularna postać Ingulkoka aż się zginała we dwoje u wiosła sternowego, by utrzymać równowagę. Admirał obserwował sytuację z wysokości pomostu. Gdy zwierzę pociągnęło szalupę w głąb oceanu, poszedł ich śladem. Posuwali się na wschód. Jan kazał rozwinąć żagle. Walka mogła potrwać nawet kilka godzin.

Na pomoście chłopiec okrętowy obrócił klepsydrę trzy razy, zanim wieloryb zmęczył się i zwolnił.

Jan widział, jak wciąż krzepki Szymon Bosman zaczął zbierać linę, skracając dystans do zwierzęcia.

Wkrótce zrównali się i przez jakiś czas płynęli niemal u boku walenia. Ingulkok zastąpił na dziobie Szymona i krzepko wparłszy kolano w wycięcie na desce, począł miotać grot za grotem w bok kaszalota. Na komendę Ingulkoka łódź odchodziła od straszliwych bryzgów wzbijanych przez zwierzę, to znów zbliżała się doń, by myśliwy mógł zadać następny cios.

Czerwone strumienie posoki poczęły obficie spływać po bokach olbrzyma. Ukośne promienie słońca igrały na wodzie, rzucając szkarłatny odbłask na twarze ludzi. Regularnie z nozdrzy wieloryba buchały obłoki białej pary. Zwierzę słabło.

– Przyciągaj! – krzyknął Szymon Bosman. – Jak najbliżej! Łódź zrównała się z bokiem walenia. Wychyliwszy się daleko przez dziób, Ingulkok z wolna wwił w jego cielsko swą długą, ostrą lancę, jak gdyby usiłował wymacać jakiś skarb. Było nim życie pulsujące we wnętrzu zwierzęcia. I właśnie w nie ugodził.

Otrząsnąwszy się z odrętwienia, olbrzym jeszcze raz podjął walkę. Począł miotać się we własnej krwi, przesłonił go nieprzenikniony, kipiący pył wodny, tak że zagrożona szalupa cofnęła się natychmiast na bezpieczną odległość.

Po kilku pacierzach wieloryb znów zaczął słabnąć. Wyptynął i przewalał się z boku na bok, spazmatycznie rozchylając i zwierając nozdrza świszczącym oddechem. Na koniec raz za razem trysnęła z nich czerwona, gęsta posoka, a spadłszy na nieruchome cielsko, spływała strumieniami do wody.

Serce kaszalota pękło. Tułów znieruchomiał.

– Nie żyje, panie bosmanie – ozwał się jeden z marynarzy.

– Na to wygląda. – Szymon przez chwilę stał, spoglądając w zamyśleniu na ogromne cielsko, które

Ingulkok przemienił w truchło.

Inuita odwrócił się, klęknął i ukrył twarz w dłoniach. Odprawiał modły do ducha wieloryba. Na szalupie zaległa cisza. Patrzyli na pokonane zwierzę z podziwem i wdzięcznością. Ingulkok stał się bohaterem opatrnościowym wyprawy, a Szymon Bosman zyskał jeszcze większy autorytet.

Holowanie walenia do wyspy trwało prawie dwa dni. Dopiero po przybyciu na miejsce wyciągnęli zdobycz na brzeg i zobaczyli, że był to samiec należący do najdorodniejszych przedstawicieli swojego gatunku. Po drodze objadły go nieco rekiny, ale i tak mnóstwo mięsa pozostało dla żeglarzy.

Poćwiartowano je i przeniesiono w pobliże jaskini. Mieli zapas jedzenia na kilka tygodni. Nadchodziła noc polarna, a ona była znacznie dłuższa.



Spokój nie trwał długo. Wśród ludzi pojawiły się objawy krwawej dyzenterii. Tydzień później była już pierwsza ofiara śmiertelna. Lawrence, lekarz wyprawy, robił, co mógł, ale mógł niewiele, pozbawiony

*medykamentów i zwyczajowego zaplecza. Starał się jedynie ulżyć cierpiącym, ale każdy dzień przynosił nowe zachorowania. Na szkorbut cierpiała ponad połowa załogi.*

*Gdy pochowali piątego marynarza, Jan napisał w dzienniku okrętowym: „Jest to kraina stworzona do nauki męstwa i cierpliwości. Nigdzie nie nauczysz się cierpieć tak, jak tutaj”.*

*Dzień trwał zaledwie kilka obrotów klepsydry, a słońce nie wychodziło w całości nad horyzont.*

*Przez pozostały czas świat okrywała ciemność. Mrozy dawały im się we znaki. Chorowali, niektórzy, mniej uważni poodmrażali kończyny. Na szczęście nie na tyle, by wdała się w nie gangrena, choć u jednego młodego żeglarza nie udało się uratować ręki. Lekarz musiał mu ją odjąć powyżej przegubu dłoni. Po tej operacji żył jeszcze dwa dni, kolejna noc zabrała go ze sobą. Czerwonka przestała się rozprzestrzeniać, a niektórzy chorzy wracali nawet do zdrowia.*

*Ustały opady śniegu i na niebie było widać mnóstwo gwiazd. Morze zamarzło, do obu okrętów można było dojść suchą nogą. Wokół nich ciągnęły się lody wysrebrzone poświatą księżyca, z ciemniejszymi plamami długich cieni, rzucanych przez zasy i spiętrzenia. W oddali jaśniejszy pas wskazywał, gdzie kończy się widnokrąg.*

*Nie ma podobno nic piękniejszego w naturze jak noc podbiegunowa. Wygląda jak kraina snów, malowana najpiękniejszymi barwami, jakie może wyczarować ludzka wyobraźnia. Najrozmaitsze odcienie łączą się w zdumiewającą harmonię. Nie widać, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi, choć jednocześnie wszystkie istnieją. Zacierają się kształty. Wszystko jest delikatne, sennie zabarwione ledwie dostyżalną melodią blasków, wygrywaną na przytłumionych strunach. Niebo przypomina ogromną kopułę. Ciemny granat zenitu ku horyzontowi nabiera zielonkawej barwy, którą przenikają liliowe i fioletowe smugi. Po lodzie snują się zwiewne cienie, rozjaśnione bladoróżową barwą tam, gdzie nie zgasły jeszcze ostatnie blaski niktającego dnia. W górze gwiazdy, wieczny symbol pokoju, jakby zapowiadają ciszę w naturze. Zorza polarna rozpościerała swe zwiewne szaty mieniające się srebrzystą, złotą i czerwoną barwą. Kształty zmieniały się co chwilę. Wielkie płomienne języki iskrzyły się w zenicie, a na horyzoncie pojawiła się błyszcząca pręga, która stopiła się ze światłem księżyca.*

*Jan miał okazję obserwować podniebną symfonię nocy, choć dla wielu jego towarzyszy ważniejsze od tego widoku były lęk i głód. Jedzenia znów brakowało, a codzienna służba przy łupaniu lodu wokół okrętów stawała się w tych warunkach katorgą.*

*Pewnego dnia przed jego obliczem stawiał się kuchcik. Twierdził, że pożywienia wystarczy najwyżej na kilka dni, i to w okrojonych racjach. Jan wiedział, że szybko musi podjąć decyzję. Nie było to łatwe ze względu na dużą liczbę chorych. Najlepiej byłoby odejść na południe, ale żegluga w ciemnościach między podwodnymi skałami i górami lodowymi, od których się tu roilo, wydawała się hazardem.*

*Postanowił, że zmobilizuje ludzi, aby uwolnić „Sarnę” z okowów lodu. W tym celu trzeba było wyrąbać w nim korytarz, którym okręt wydostanie się na ocean, a oni będą mogli polować na wieloryby. Tak też się stało. Przez następne dwa miesiące jeszcze trzy razy wyprawiali się na łowy. Nie były to bezpieczne eskapady. Stracili dwóch ludzi.*

*Gdy dzień przekroczył długość wachty i mrozy zelżały, Jan zarządził przygotowania do odpłynięcia.*

*Trzeba było dokładnie przejrzeć statki, żagle, olinowanie, poczynić niezbędne naprawy. Tran z wielorybów dostarczał podstawowych witamin, ludzie stawali się silniejsi. Wszyscy mieli już dość siedzenia na bezludnej wyspie. Jedni chcieli się wyrwać byle dalej od tego miejsca, inni liczyli, że im szybciej stąd odejdą, tym szybciej wrócą do domu. Wyspę opuścili w pierwszych dniach marca i poszli na południowy zachód.*



Ocknęła się z zadumy dopiero kilka chwil później.

– Robert...

– Tak?

– Mogłabym zobaczyć tę księgę?

Zastanowił się. Nie bardzo wiedział, jak to zrobić. Nie mógł jej wprowadzić na teren klasztoru, a gdyby chciał wynieść manuskrypt na zewnątrz, musiałby uzyskać zgodę przeora. Ten z pewnością zapytałby, w jakim celu chce to zrobić. Miałyby mu powiedzieć, że chce poderwać dziewczynę „na manuskrypt”?

Roześmiał się.

– Co w tym śmiesznego? – zapytała.

Podzielił się z nią swoimi wątpliwościami.

– Chciałabym go po prostu zobaczyć. Nie mógłbyś mnie wprowadzić do waszej biblioteki przez ogród? Kiedyś wspominałeś, że to możliwe.

– Myślę, że to nie będzie konieczne – rzekł z rozmysłem. – Po co narażać szacownych braciszków na stres?

Przywołał na swoim komputerze zdjęcia manuskryptu.

– Proszę – zachęcił ją, by zerknęła.

Spojrzała przelotnie, ale zaraz się cofnęła.

– Nie chciałabym zajmować ci laptopa, chyba że pozwolisz mi przekopiować kilka stron na pamiętkę, to się pozachwykam nimi na swoim komputerku.

– To akurat da się zrobić.

Nie namyślając się wiele, zapakował na memory stick kilka plików i podał jej. Zaraz też przekopiowała je na swój komputer i otworzyła pierwszy obraz. Usłyszał westchnienie zachwytu.

– W rzeczywistości wyglądają nieco skromniej – rzekł. – Te zdjęcia są już opracowane, poprawiłem kontrast i nasycenie barw. Komputer upiększa w dzisiejszych czasach nie tylko kobiecą urodę, ale również wdzięk dawnych ksiąg.

– Jaka jest jej wielkość? Pamiętasz wymiary?

– Prawie trzydzieści na czterdzieści centymetrów.

– A materiały?

– Co masz na myśli?

– Okładkę, tekturę, rodzaje użytego papieru, pergaminy, nici, którymi zostały zszyte, sposoby klejenia i rodzaje spoiwa, no i całą resztę...

Zaskoczyła go fachowością pytań. Nagle zdał sobie sprawę, jak niewiele wie o księdze. Rozłożył ręce i musiał to wyznać ze skruchą.

– Jednak nie jestem taka głupia, co?

– Nigdy bym tak nie pomyślał, ale... zaimponowałaś mi. Skąd ty to wszystko wiesz?

– Mówiłam ci, że interesuję się historią. – Wybuchnęła śmiechem, widząc jego minę. – Mój ojciec...

– rzekła. – Był...

– Z KGB? – Spróbował żartować, ale zamilkł, bo spostrzegł, że się wygłupił. Wśród Rosjan to nie był dobry żart.

– Nie. – Spoważniała. – Był... introligatorem.

Parsknął śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – Zdziwiła się.

– Nic. Powinienem to przewidzieć. Przecież to oczywiste, nikt inny nie zadawałby pytań o takie szczegóły. Może oprócz znawców, badaczy i kolekcjonerów.

Rozmawiali jeszcze kilka godzin, przeskakując z tematu na temat. Nadia była w świetnym nastroju i w pewnej chwili, pointując kolejny dowcip, na moment zamilkła, a potem zaczęła opowiadać o Aleksie.

Z jej słów wynikało, że uwielbiała nie tylko uderzający do głowy przyływ emocji, któremu dawała się ponieść, gdy byli w łóżku. Przepadała za leniwymi porankami, kiedy czytali razem w łóżku gazetę, popijając kawę, czy godziny, które spędzali włócząc się po sklepach, wybierając meble do sypialni.

Bywało, że czuła się szczęśliwa i pozwalała sobie wmawiać rzeczy absolutnie niewiarygodne. W takich chwilach świat wydawał się cudowny.

Przyglądając się Robertowi jedzącemu pizzę, uśmiechnęła się. Zmagał się z długimi pasemkami sera, ciągnącymi się od kącika ust do palców, co sprawiało wrażenie, że cała czynność jest znacznie trudniejsza niż w rzeczywistości. Po odgryzieniu kęsa czasami prostował się gwałtownie, próbując przytrzymać w palcach zjeżdżające dodatki i kapiący sos pomidorowy. Potem śmiał się z samego siebie i wycierał usta serwetką. Zauważył, że czasami wpadali w ton, kiedy Robert nie traktował siebie zbyt poważnie ani też nie przeszkadzało mu to, że ona stroiła sobie z niego żarty. Lubił to, bo czuł, że budziło to w niej ciepłe uczucia, które mu okazywała. Kiedyś wyraziła przypuszczenie, że zapewne tak właśnie czują się wieloletnie małżeństwa, siedzące na ławkach w parku i trzymające się za ręce.

– Co byś robił, gdybyś nie był historykiem ani żeglarzem? – zapytała, gdy już uporał się ze swoją porcją pizzy. – Myślałeś o tym?

– Nie raz. – Popatrzył jej w oczy i pociągnął łyk wina.

– I co?

– Byłbym muzykiem rockowym – oświadczył poważnie.

Zrobiła wielkie oczy.

– Co takiego?

– Myślisz, że nie mam zadatków?

Uśmiechnęła się, a on wziął pudełko od pizzy, wsunął je pod pachę niczym gitarę i wykonał kilka ruchów, jakby był na scenie. Nadia zaczęła

się śmiać, a tymczasem on przystawił do ust pusty kieliszek, udając, że to mikrofon.

– Halo, halo! To najbardziej oczekiwane wydarzenie muzyczne roku – zaczął naśladować głos komentatora telewizyjnego. – Za chwilę na scenie pojawi się Robert Nowicki, którego ostatnia płyta sprzedała się w rekordowej liczbie egzemplarzy. Dzisiejszy koncert będzie transmitowany na cały świat, mamy potwierdzenie, że będą go oglądać również polarnicy w stacji w pobliżu bieguna południowego...

A oto i on sam!!! Tra la la!! Tra la la la!!

Robert zamarkował akord gitarowy i zaintonował „Smoke on the water”.

Nadia śmiała się do rozpuku i w jej oczach pojawiły się łzy...

– Słyszycie? – zawołał tonem sprawozdawcy. – Publiczność szaleje, to znak, że pojawił się na scenie!

Podchodzi do mikrofonu i tumult wzrasta jeszcze bardziej...

– Już dosyć! – zawołała Nadia. – Bo naprawdę się popłaczę.

– W żadnym wypadku. – Odłożył pudełko i usiadł przy niej.

Przysunęła się bliżej i jeszcze drząc ze śmiechu, wtuliła się w niego. Chciał ją pocałować, ale znów parsknęła śmiechem.

– Nigdy nie myślałam, że będę się całować z lepiej wykształconą podróbką Deep Purple.

– No to masz okazję.

– A zaśpiewasz dla mnie w klubie karaoke?

– Dlaczego nie? Co byś chciała usłyszeć?

– „Białe rozy”... Ale też... – wykonała kilka gestów imitujących zachowania piosenkarzy – z pokazywaniem...

Tym razem oboje gruchnęli śmiechem.



Rano Nadia poszła do miejscowego biura zajmującego się pośrednictwem w wynajmowaniu kwater turystycznych w sprawie znalezienia taniego pokoju, a Robert, sprawdzwszy pocztę, w której nie było nic ciekawego, ruszył do klasztoru. Mieli się spotkać o szesnastej w jednej z restauracyjek w pobliżu Tinganes, by razem zjeść obiad.

Przeor ucieszył się na widok Nowickiego.

– Dobrze, że pana widzę, bo już się martwiłem...



– Byłem z przyjaciółmi.

– Tak, tak, rozumiem... – Zakonnik szybko mu przerwał, nie chcąc zapewne, by profesor pograżał się w kłamstwach. Tórshavn było niewielkie i każdy mógł widzieć, jak spacerują z Nadią, trzymając się za ręce. Przeor lub któryś z jego mnichów również.

– Był telefon do pana.

– Kto dzwonił?

– Profesor Svenson. Powiedział, że będzie ponownie telefonował o dwudziestej.

– Będę. Prosił, by coś przekazać?

– Powiedział, że musi rozmawiać z panem, ale miał... dobry humor, tak wyczułem, na ile go znam – rzucił ojciec Roscoe. – Nawet pytałem, kiedy do nas przyjedzie na urlop, ale odparł, że nieprędko, bo jest zapracowany...

Nowicki musiał czekać do dwudziestej. Tymczasem uporządkował swoje notatki, zmienił ubranie i wyszedł do miasta. Zrobił kilka sprawunków, a potem wstąpił do znanej już kafejki i sprawdził pocztę.

Wśród e-maili znalazł kolejny fragment omówienia manuskryptu. Profesor Konkol chyba solidnie przycisnął swoich studentów, a może mieli z nim właśnie egzamin, bo dość skrupulatnie wywiązywali się z podjętych zobowiązań. Tak czy owak, Robert miał nowy materiał do analizy. Zerknął na zegarek. Do spotkania z Nadią pozostała godzina. Przeszedł kilka ulic do restauracji, w której się umówili, i zajął miejsce przy oknie. Poprosił kelnerkę, by przyniosła mu herbatę, i pograżył się w lekturze.



## Nowa ziemia

*Cztery dni później zobaczyli na horyzoncie ziemię. Wydawała się olbrzymia. Na pierwszy rzut oka była podobna do tej, na której spędzili zimowe miesiące. Obserwowali, czy nie zobaczą z dala dymów ognisk, co sugerowałoby istnienie ludzkich siedzib, ale niebo zdawało się czyste.*

*Postanowili płynąć dalej na południe wzdłuż brzegu, bacząc, czy znajdują ślady obecności człowieka.*

*Jan wielokrotnie zastanawiał się, czy wybierając ten kierunek, postąpił słusznie. Nieraz ogarniały go wątpliwości, gdzie Pining, Pothorst i Corte-Real mogli poprowadzić swoich ludzi. Wybrał jedną z możliwych opcji – jak uważał, najbardziej prawdopodobną. Decyzję oparł na relacjach mieszkańców obu osad na Grenlandii, ale teraz ogarnęło go zwątpienie. Wprawdzie na południe od Zielonej Wyspy znalazł dowody obecności członków wyprawy, jak choćby ów spis żywności podpisany przez Knuttsena, ale przecież Niemcy i Portugalczyk mogli obrać inny kierunek. Mogli się też rozdzielić... W tym wypadku szanse na znalezienie całej wyprawy byłyby nikłe.*

*Tymczasem dotarł do lądów, do których bez wątpienia żaden człowiek znanej mu cywilizacji wcześniej nie dopłynął. Wszędzie panowały dziewicze pustki i lód, nieskażony, zdawało się, stopą człowieka.*



*Postępowanie obu załóg podczas lądowania i tym razem było podobne jak na poprzednich wyspach.*

*Najpierw na brzegu pojawiały się pojedyncze patrole i dopiero gdy okazywało się, że okolica jest bezpieczna, na ląd wysyłano ekipy, do których należało zorganizowanie obozowiska. Nie zabawili tam zbyt długo. Na*

wyspie nie było zwierzyny, a materiału na opał znaleziono mniej niż w poprzednim obozowisku. Stwierdziwszy, że w pobliżu nie widać żadnego śladu bytności człowieka, odплыnęli na południe.

Trzymali się blisko brzegu, wypatrując dymu ognisk. Ziemia jednak wydawała się martwa. Nie zauważyli również śladów zwierząt. Tylko w kilku miejscach baraszkowały leniwie foki.

Kilka dni później odeszli w głąb oceanu, by zapolować na walenie. Ich łupem stały się dwa grindwale. Przyholowali je do brzegu, by podzielić mięso i zabezpieczyć zapasy.

Po tygodniu znów wyruszyli na południe. Z każdym dniem było cieplej i Jan wyraźnie poczuł, że zbliża się wiosna. Również wzmogły się wiatry, które żwawiej pognały oba okręty. Pewnego popołudnia usłyszeli głuchy basowy pomruk pierwszej wiosennej burzy.

Nie tracili kontaktu z lądem. Gdy wydawało się, że widzą już jego obrys, zza którego wyłoni się bezkresne morze, po chwili w oddali ukazywał się szary kontur kolejnego przylądka. Po jedenastu dniach majtek w bocianim gnieździe zobaczył na horyzoncie smużkę dymu. Mógł to być pożar wywołany burzą, której odgłosy słyszeli każdego dnia, albo trąba powietrzna. Podobnie Jan widywał już dawniej u brzegów Afryki i wiedział, że z daleka jej widok przypominał słup dymu. Tym razem mógł to być jednak również dym ognia utrzymywanego przez człowieka. Postanowił to sprawdzić i wydał rozkaz, by zbliżyli się do lądu.

Kotwicę zrzucili tuż przed zmrokiem i Jan nakazał podwojenie nocnych posterunków. Wyznaczył też dwie załogi, które nazajutrz o świcie miały udać się szalupami na ląd. Tymczasem zarządził odpoczynek. Sam również się położył.

Tuż przed świtem oficer gwałtownie zapukał do drzwi kajuty.

– Admirale! Proszę się obudzić!

Wyrwany z głębokiego snu zapytał jeszcze nieprzytomnym głosem.

– Co się stało?

– Ludzie... Panie admirale... – oficer starał się opanować emocje.

– Co za ludzie?

– Stoją na brzegu i czekają...

Jan uśmiechnął się z nadzieją.

– Osadnicy od Pininga i Pothorsta?

– Obawiam się, że nie, panie admirale.

*Jan wciągnął koszulę i kaftan, okrył się kocem i co sił wybiegł na pokład. W szarości brzasku na brzegu zobaczył kilkuset ludzi. Stali na tle ściany lasu i z daleka było widać tylko połyskujące ostrza włócznie uniesionych w górę. Stali nieruchomo jak posągi.*



Na tym kończyła się notatka studenta. Robert odczuł niedosyt i ponownie sprawdził pocztę, czy nie dosłano mu kolejnego fragmentu, ale nie było nic nowego. Na ciąg dalszy tej historii musiał poczekać.

Nie pozostało nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość.

A więc Jan dotarł do lądu i spotkał ludzi! Robert wrócił ponownie do tekstu, ale nie znalazł ich opisu.

Czy na pewno byli to tubylcy? Uśmiechnął się z satysfakcją. Odpowiedź na to pytanie przyniosą z pewnością kolejne fragmenty tłumaczeń. Cieszył się, że będzie mógł podzielić się cenną informacją z profesorem Svensonem.

Nie zauważył, jak słońce zatoczyło krąg i zaczęło kierować się ku zachodowi. Podróżując po wielkim łuku nieba, poczęło zbliżać się do wzgórz na horyzoncie. Było kilka minut po osiemnastej... Nadia nie przyszła. Co ją zatrzymało? Pomyślał, że pewnie wciąż szuka kwatery i zaraz się pojawi... Nagle zdał sobie sprawę, że przecież mieli razem zjeść obiad o szesnastej i że od tego czasu nie dała znaku życia.

Może coś się stało?

Kiedyś zapytał ją o tamten wieczór, gdy znalazł ją pobitą i zrozpaczoną, ale nie chciała do tego wracać. Mówiła o przypadkowych napastnikach, którzy mieli chrapkę na jej komputer i zawartość portfela. To było jednak mało prawdopodobne. O ile w wielkich miastach Europy czy Ameryki rzeczywiście trudno ustrzec się przed podobnymi napaściami, szczególnie nocą w dzielnicach o nie najlepszej reputacji, o tyle było to niemal nie do pomyślenia na Wyspach Owczych, gdzie największym przestępstwem było przekroczenie prędkości na drodze, a do aresztu trafiali od czasu do czasu co najwyżej podpici marynarze obcych bander, którzy nie mogli dojść do porozumienia w sprawie kobiet lub przywar narodowych... W sklepach nie notowano kradzieży, a do wyjątków należały sytuacje, gdy któryś z turystów wyszedł z restauracji, zapominając zapłacić rachunek. Trudno było przypuszczać, że wśród przybyłych promem lub samolotem

wycieczkowiczów znalazł się ktoś, kto mógłby połasić się na używany przenośny komputer w plecaku innej globtroterki do tego stopnia, by ją napaść, pobić i pozostawić bezbronną z jej komputerem. Czyżby nie spodobał mu się model?

Nadia miała swoją tajemnicę i nie chciała się nią dzielić. Czy to właśnie ta tajemnica sprawiła, że nie pojawiła się na spotkaniu?

Robert stracił humor... Do czasu rozmowy ze Svensonem zostało półtorej godziny. Postanowił coś zjeść przed powrotem do klasztoru. Zamówił specjalność zakładu – frikadellir, pulpety gotowane z mielonej ryby, z cebulką, solą i pieprzem, zasmażane w oleju. Próbował tego już wcześniej i bardzo mu smakowało, więc chociaż w ten sposób postanowił sobie wynagrodzić nieudane popołudnie.

Skierował się w stronę biblioteki, ale nie doszedł do niej, tylko zagłębił się w wąskie uliczki, pełne galerii i kawiarenek, przed którymi rozstawiono stoliki z parasolami. Szedł wolno, rozmyślając nad przewrotnością kobiecej natury, gdy nagle jego wzrok przyciągnął widok znajomych twarzy za szybą jednego z barów. Najpierw zauważył spokojną twarz mężczyzny, a dopiero potem zdenerwowaną Nadie.

Nie słyszał słów, ale wyglądało na to, że się kłóca. Właściwie to ona mówiła, gwałtownie gestykulując, a on próbował ją uspokoić, wreszcie złapał ją za rękę, co musiało sprawić jej ból, bo umilkła. I wtedy zobaczyła Roberta. W jej oczach błysnął strach. Potem szybko odwróciła wzrok, mówiąc coś do towarzyszącego jej mężczyzny.

Nowicki zawahał się, czy powinien wejść i przywitać się czy też odejść. Pomyślał, że gdyby chciała tego spotkania, zachęciłaby go uśmiechem lub gestem. A ona odwróciła oczy, dając do zrozumienia, że woli zostać z tym mężczyzną. Nie lubił go. To było irracjonalne, nie znał go przecież, nigdy z nim nie rozmawiał. Ale nie podobało mu się, jak traktował Nadie. Zawsze gdy widział go przy niej, była wzburzona i miała łzy w oczach.

Kto to był? Czego od niej chciał? A Nadia, dlaczego się z nim spotykała? Chciała czy musiała? Czy był na tyle ważny, by mieć wpływ na jej znajomość z Robertem? Czy to, co się między nimi wydarzyło, to tylko nic nieznaczący miły wakacyjny epizod? A potem pojawiły się kolejne pytania. Z jakiego powodu Nadia wolała tułać się po wynajętych pokojach na Wyspach Owczych, a nie wracała do Kopenhagi, do swojego mieszkania, pracy, do swojego życia? Z jakiego powodu tkwiła tutaj na przekór wszystkiemu?

Chciała coś udowodnić? Sobie, komuś innemu? Umartwiała się? Uciekała? Nie, to ostatecznie chyba nie, w końcu nie była anonimowa na Wyspach, ludzie rozpoznawali ją i kojarzyli, choćby po tym pożarze u Torelssonów, no i ten typ... Na pierwszy rzut oka oglądony przystojniak, ale było w nim coś odpychającego. Zimne, pozbawione uczuć oczy, przenikające lodowatym spojrzeniem do szpiku kości.

Już w pierwszym zetknięciu oceniające przeciwnika. Właśnie, nie towarzysza, partnera do rozmowy, tylko przeciwnika. Z jakiego powodu uczepił się Nadii, na czym polegała ich znajomość? A może to ten mężczyzna, który ją porzucił? Przez którego cierpiała? A teraz tkwi na Wyspach, by być blisko niego...

Nie, to niemożliwe. W takim przypadku nie zwróciłaby na niego uwagi, nie byłaby taka namiętna...



Svenson zadzwonił dokładnie o dwudziestej. Robert czekał już w pokoju przeora, ten po kilku słowach powitania przekazał mu słuchawkę.

– Witam, profesorze.

– Witam... – usłyszał spokojny głos Norwega. – Dziękuję za próbki mikrośladów. Są rzeczywiście interesujące i choć nie mam jeszcze ostatecznych ekspertyz, już teraz mogę panu pogratulować, bo trafił pan na bardzo ciekawy eksponat. Myślę, że dokładna analiza manuskryptu może otworzyć nową perspektywę na wydarzenia epoki wielkich odkryć geograficznych. Nie zapieszajmy, ale proszę mi wierzyć, jestem pod wrażeniem.

– Dziękuję...

– Na wyniki badań trzeba będzie poczekać, ale pierwsze z nich obiecano mi już nawet na jutro... Jak tylko będę miał je w komputerze, prześlę panu...

Nowicki chciał krzyknąć z radości, ale stłumił ten chłopcę odruch i powiedział radosnym głosem:

– Byłbym bardzo wdzięczny... Tym sposobem będziemy bliżej rozstrzygnięcia, czy postać Jana z Kolna to tylko legenda czy może weszliśmy w posiadanie wiarygodnych dowodów.

– Właśnie... Dzwonię, bo mam jeszcze jedną dobrą wiadomość.

– Zamieniam się w słuch.

– Mamy sponsora, który byłby skłonny pokryć koszty dużej części pańskich badań.

– Naprawdę?

– Ma jednak warunki... Zanim wyłoży pieniądze, chciałby, żeby jego przedstawiciel skontaktował się z panem. Przede wszystkim musi zobaczyć i ocenić manuskrypt.

– Zapytam ojca przeora...

– Już go o to pytałem. Z jego strony nie będzie problemu...

– To świetnie... – Robert aż się uśmiechnął. – Kto to jest?

– Decyzja jeszcze nie zapadła, więc może lepiej...

– Proszę zaspokoić moją ciekawość.

– To jeden ze sponsorów naszego grantu.

– Rozumiem, że to poważny partner.

– Powiedziałbym, że najpoważniejszy z poważnych...

Robert pokiwał głową i zobaczył uśmiech przeora. On już o wszystkim wiedział. Profesor Svenson mówił dalej:

– Podałem mu już kontakt do pana, powinien się niedługo odezwać.

– W takim razie będę czekał z nadzieją.

– Mam sugestię. Proszę sporządzić raport z dotychczasowymi ustaleniami i kosztorys badań, a także w miarę szczegółowo określić, na co te pieniądze zostaną przeznaczone. Na pewno będą chcieli te dwa dokumenty.

Robert był uradowany. Poprzedni stan przygnębienia po ujrzeniu Nadii z jej bezwzględny towarzyszem prysł. Teraz jego serce rozpierała radość. Doceniono jego wysiłek, ktoś uwierzył, że praca, którą wykonuje, może przynieść wymierny efekt, zdobył wsparcie ze strony ludzi, którzy wierzą w jego sukces nie mniej niż on. Teraz, gdy jego badania przybiorą oficjalną formę, będzie można zlecić kolejne ekspertyzy, by uzyskać materiał porównawczy, i zatrudnić specjalistów, którzy zajmą się usystematyzowaniem fizycznej wiedzy o manuskrypcie. A do badań historycznych zaprosi kilku profesorów, znanych mu z sympozjów, którzy imponowali mu swoją wiedzą, byli niekwestionowanymi autorytetami, a z którymi jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się pracować. Teraz spełnienie marzeń było na wyciągnięcie ręki.

Przeor również był uradowany i nawet wyjął z szafy butelkę benedyktyнки. Rozlał do dwóch czarek i stuknął się z Robertem.

– Nawet nie wiesz, chłopcze, jak się cieszę – powiedział. – Przez tyle lat starałem się, by ktoś się tą księgą zainteresował, bo sam chciałem wiedzieć, jakie tajemnice kryje, tak dla własnej ciekawości, a teraz okazuje się, że jej odczytanie może stać się ważnym odkryciem naukowym.

– Nawet nie wie ojciec, jak ważnym, wręcz rewolucyjnym...

– Ojoj... – Skrzywił się. – Co za okropne słowo... Choć rozumiem, że jego użycie mogłoby być uzasadnione, gdyby rzeczywiście okazało się, że Kolumb nie był pierwszy...

– On i tak nie był pierwszy – rzekł Robert – bo pięćset lat przed nim do Ameryki dotarli wikingowie... Ale gdyby Jan z Kolna przestał być legendą, a zaczął być faktem, do niego należałoby miano zdobywcy oceanu, tego, który przywiódł za sobą falę osadnictwa.

– Właśnie, wyjąłeś mi to, chłopcze, z ust. A tę buteleczkę – wskazał na benedyktynekę – trzymałem na specjalną okazję. Taką jak dziś. Może i zbyt słodka, ale wypij do dna, za sukces!

Robert spełnił toast i po krótkiej rozmowie poszedł do biblioteki. Chciał jeszcze dziś zacząć pisać raport dla sponsora. Wyjął z szafy manuskrypt, rozłożył komputer i włączył lampę, przy której lubił pracować. Zdążył napisać zaledwie dwa zdania, gdy usłyszał szmer. Podniósł głowę, jakby chciał wyłować źródło dźwięku. Nic nie zobaczył. Odgłos powtórzył się i tym razem był już pewny, że dobiegł od strony wysokiego okna, które wychodziło do ogrodu. Za szybą panowała jednak nieprzenikniona szarość, a drzewa i krzewy zdawały się trwać nieporuszone. Wtem zobaczył cień sylwetki, która się przesunęła, i usłyszał delikatne pukanie w szybę. Kto to mógł być, u licha, o tej porze? I dlaczego nie wszedł przez drzwi, tylko skradał się w cieniu ogrodu? Zgasił lampę i przymknął wyświetlacz komputera.

Teraz widział lepiej. Za szybą zobaczył twarz Nadii. Otworzył drzwi.

– Co ty tu robisz?

Nie odpowiedziała od razu. Wyglądała na zmieszaną.

– Chciałam cię zobaczyć, a nie było innego sposobu... Mówiłeś o tej furcie i że pracujesz w tych pomieszczeniach na parterze. Zobaczyłam światło...

Wpuścił ją do środka. Była przemoknięta. Na zewnątrz mżyło.

– Nie możemy tu zostać. Wezmę kurtkę i wyjdziemy...

– Robert, przepraszam, że nie przyszłam...

Położył palec na ustach.



– Porozmawiamy na zewnątrz... – szepnął.

Podszedł do stołu, by zgasić komputer i odłożyć manuskrypt do szafy.

– To ten rękopis? – spytała.

Przytaknął.

– Mogę zobaczyć?

– Nie mamy czasu, nikt nie powinien cię tu zobaczyć.

– Tylko zerknę i dotknę, dobrze?

Włączył na chwilę lampę. Zobaczył, jak się ucieszyła na widok księgi. Otworzyła na pierwszej stronie i musnęła pergamin opuszkami palców. Na jej twarzy pojawiło się zadowolenie, a nawet coś w rodzaju satysfakcji.

– Na tych kartach opisano te wydarzenia – westchnęła i pieszczotliwie dotknęła jedną ze stron.

– Musimy już iść. Nie chcę nadużywać gościnności moich gospodarzy – rzekł zdecydowanie. – Poczekaj na mnie na zewnątrz, ja tylko pójdę po kurtkę i zaraz będę z powrotem.

– Dobrze...

Schował manuskrypt do szafy i wziął komputer do ręki. Ona podeszła do okna, którym ją wpuścił, i chwyciła go delikatnie za rękę.

– Robert, nie gniewasz się, prawda?

– Nie – rzucił krótko.

Zamknął za nią starannie furtkę, a potem okno i wyszedł z biblioteki. Na korytarzu panowała cisza.

Było po komplecie i zakonnicy przebywali już w swoich pokojach. Sposobili się do snu. Z niektórych pomieszczeń poprzez zamknięte drzwi dobiegały odgłosy krzątania, ktoś głośno się modlił, a ktoś inny zamykał podłogę. Robert poszedł do swojego pokoju, zostawił komputer i chwycił kurtkę przeciwdeszczową. Pojawienie się Nadii, i to w taki niespodziewany sposób, sprawiło mu przyjemność, choć tego nie okazał. Wiedział, że musi z nią porozmawiać o tym, co zobaczył, i był pewien, że nie przyjmie pierwszego lepszego tłumaczenia.

Czekała na niego zziębnięta i przemoczona za rogiem budynku. W świetle lampy ulicznej spostrzegł, że jej wilgotne włosy zaczęły się wici w fantazyjne loki. Uroda dziewczyny po raz kolejny go zachwyciła.

Nadia wtuliła się w niego i bez słowa poszli w stronę hotelu.

– Znalazłaś pokój?

– Tak. Za trzy dni opuszczają go turyści z Norwegii i mogę się tam wprowadzić.

– Podoba ci się?

– Najważniejsze, że jest dużo taniej niż w hotelu.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Chciałam się z tobą zobaczyć.

Nie odpowiedział.

– Robert... Powiedz coś.

Poczuł, jak kurczowo zaciska palce na jego dłoni.

– Kim jest ten mężczyzna? To Aleks?

Przeszli kilka kroków.

– Nie – odpowiedziała wreszcie – Siergiej... Byli kolegami.

– Po co się z nim spotykasz?

– Wcale się z nim nie spotykam... – zaprzeczyła gwałtownie.

– Widziałem was kilka razy. Kiedyś w restauracji zostawił cię, gdy płakałaś...

Znów przeszli kilka kroków w milczeniu. Wyczuł w Nadii wahanie, wreszcie powiedziała:

– Siergieja spotkałam przypadkiem – odparła cicho i niepewnie. – Przyplłynął tu na dwa dni, jak wszyscy, którzy udają się na Islandię „Norröna”. Znamy się jeszcze z Petersburga. Mieszkał w sąsiedniej kamienicy. Razem bawiliśmy się na podwórku. A potem, jak odszedł Gorbaczow, wyemigrował do Włoch...

Nowicki uśmiechnął się kpiąco.

– To musiał być przypadek, że tutaj się spotkaliście, właśnie tutaj...

– Przypadek... Wpadłam na niego przed hotelem.

Robert spojrział na nią uważnie. Ona śmiało popatrzyła mu w oczy.

– Często on tu tak z tymi... wycieczkami? – starał się, by w jego głosie nie usłyszała kpiny.

– A wiesz, że rzeczywiście, dość często...

– Nie dziwi cię to?

– Nie... – Uśmiechnęła się. – On jest pilotem wycieczek turystycznych.

Prowadzi grupy tą samą trasą.

Co tydzień.

Po twarzy Roberta przebiegł cień.

– Musisz się z nim spotykać?

– Nie...

– Mam wrażenie, że on najlepiej na ciebie nie działa...

Nadia spuściła oczy.

– Rzeczywiście, właśnie mi to uświadomiłeś.

Zamyśliła się i jak zawsze w takich sytuacjach zaczęła bawić się niesfornym kosmykiem włosów.

– On przypomina mi coś, o czym niekoniecznie chciałabym pamiętać...

Wymienili spojrzenia.

– Ale przecież, jeśli go spotkam – powiedziała nieco bezradnie – nie odwrócę się plecami...

– Jeśli źle ci się kojarzy, to po co podtrzymujesz ten kontakt?

– Daj spokój, Robert... Bądźmy ludźmi...

– Przecież jesteśmy...

– Tylko wygląda na to, że niektórzy z nas są troszkę... zazdrośni...

Roześmiał się, ale coś go ukłuło. Śmiał się chyba zbyt głośno i zbyt długo, by mogło to być szczere.

– No jak? – zapytała, patrząc mu w oczy.

– Kto wie, czy nie masz racji?

– Oby nie, bo to by wszystko zepsuło.

Doszli do hotelu.

– Dasz się zaprosić na drinka? – zapytał.

– Jeśli cię stać?

– Nagle zrobiłaś się materialistką?

– Zawsze nią byłam, nie zauważyłeś?

– Jakoś do tej pory nie przyszło mi do głowy...

Jej głos nabrał cieplej barwy.

– Bardzo chętnie dam się zaprosić.

Po chwili zapytała ciszej:

– Zostaniesz u mnie, prawda?

– A chcesz?

Spojrzała mu głęboko w oczy i nie odpowiedziała. To zbiło go z tropu.

– Nie wiesz? – zapytała. – Nie czujesz?

Przygarnął ją mocniej i pocałował. Odpowiedziała mu namiętniej.

Zamówił czystą finlandię. Nadia była przemoczona i potrzebowała się rozgrzać. Wypiła alkohol po rosyjsku, jednym łykiem. Może rzeczywiście był to jedyny sposób, by uchronić się od kataru. Poszedł w jej ślady i po drugiej kolejce obojgu szumiało już w głowie.

– To dlatego, że nie jadłam obiadu.

– Twój Siergiej cię nie zaprosił?

– Profesorze – westchnęła teatralnie – już po egzaminie, teraz zasłużona pora relaksu.

– Zaczniemy tradycyjnie od deseru czy odłożymy go na później?

– Żeby deser dobrze smakował, to chyba najpierw pomyślimy o daniu głównym.

– Coś kontynentalnego?

– Tak, kanapki z baraniną, serem i pomidorami, jak wczoraj...

Westchnął.

– Zostańmy lepiej tutaj i coś zamówmy.

Wzięła jego dłoń i mocno ścisnęła, patrząc mu w oczy. Nie puściła, nawet gdy kelnerka postawiła przed nimi dania. Jedli, trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy. Rozmawiali monosylabami, nie zważając na otoczenie.

Przy winie opowiedział jej o sponsorze i o raporcie, który ma do napisania.

– Nareszcie do czegoś ci się przydam – ucieszyła się.

– Do czego? – zdumiał się.

– Będiesz mi dyktować, a ja będę pisała.

– Daj spokój, sam szybciej napiszę.

– No wiesz? – udała oburzenie. – W końcu trafia mi się okazja... Nie pozbawiaj mnie nadziei...

– Nie martw się, coś wymyślę... A tymczasem...

– Czas na deser?

– Wyjęłaś mi to z ust.

Gdy znaleźli się w jej pokoju, podszedł do niej, objął ją i pocałował. Pachniała alkoholem.

– Muszę zgasić światło.

– Dlaczego?

– Jak wypiję, to się bardziej wstydzę...

Wybuchnęła śmiechem i zdzieliła go poduszką. Porwał ją w ramiona i chichocząc, baraszkowali tak, że Robert zahaczył nogą przewód od lampy, wyrывая wtyczkę z kontaktu. Impet był na tyle duży, że lampa spadła ze stoliczka i stuknęła się żarówka. Byli już tak zajęci sobą, że postanowili, iż straty ocenią nazajutrz.

Gdy leżeli przytuleni, przypatrywał się Nadii, starając się przypomnieć sobie, czy i z Małgosią porozumiewał się bez słów, podobnie jak z nią. Było tak, jakby Nadia umiała czytać w jego myślach.

Jeśli chciał, aby go wzięła za rękę, sięgała po nią, zanim zdążył o tym powiedzieć. Gdy zamierzał mówić dłużej, słuchała go spokojnie, nie przerywając. Kiedy chciał wiedzieć, co czuje w jakimś momencie, jej spojrzenie to wyjaśniało. Nikt, nawet Małgosia, nie rozumiał go tak dobrze jak Nadia, chociaż znali się zaledwie parę dni. Jak to się mogło stać? Rozmyślał też nad tym nocą, gdy spała wtulona w niego, i słuchał jej równego, spokojnego oddechu. Gdy przebudziła się i otworzyła na moment oczy, powiedziała cicho:

– To coś cudownego...

– Co?

– Zróbmy tak, aby tego nie stracić, dobrze?

Pocałował ją w czoło i zanim zdążył pocałować ją powtórnie, znów spała głęboko.



## Mikroślady

Nazajutrz, mimo zapowiedzi Svensona, Robert nie znalazł w swojej skrzynce dokumentu z ekspertyzą.

Za to student profesora Konkola przysłał mu tłumaczenie następnego fragmentu manuskryptu. Koło południa, gdy byli już po śniadaniu, zaświeciło słońce, które wpadało do pokoju, napelniając go pastelowym spokojem. Pili wodę z cytryną.

– Jak się wtedy żeglowało? – zapytała.

– Dzięki słońcu i gwiazdom. One wyznaczały kierunki. Zanim wynaleziono sekstans i kompas, człowiek, chcąc pływać po morzach, musiał nauczyć się obserwować niebo.

Opowiadał o gwiazdach, mapie nieba, sposobach wyznaczania kierunków i o roli gwiazdozbiorów Wielkiego i Małego Wozu, a także Wielkiej Niedźwiedzicy i ich wpływie na starożytne i średniowieczne sposoby żeglowania.

Nadia myślała o nim i o jego zainteresowaniach. Zastanawiała się, dlaczego nigdy się o tym nie uczyła i dlaczego on się tym tak pasjonuje? Nagle zrozumiała, z jakiego powodu jego żona go pokochała. Nie chodziło o to, że był przystojny, ambitny i czarujący. Bo taki był po trosze, choć przy Aleksie żaden z niego towar ani model, ale najważniejsze było to, iż przeżywał życie na swój własny sposób. W jego zachowaniu kryła się odmienność, coś zagadkowego, co czyniło go niepodobnym do ludzi, z którymi miała do czynienia.

Robert siedział na podłodze, a Nadia położyła mu głowę na kolanach. Przysunął bliżej laptop i tłumaczył jej czytany tekst.

Przymknęła oczy i tylko leciutki uśmiech, który przyczał się w kącikach ust, świadczył, że z każdym jego słowem stawała się bezwolnym świadkiem wydarzeń, które relacjonował...



*Jan stał wpatrzony w wojowników na brzegu. Za nimi widniała potężna ściana wysokiego lasu.*

*W oddali nad coraz bledszym horyzontem wznosiły się ciemne wzgórza, również pokryte lasem, w którym z pewnością żyło ptactwo i zwierzyna...*

*Na „Marinę” nie docierał z ich strony żaden, nawet najmniejszy dźwięk. Z daleka Jan nie rozróżniał twarzy, ale wiedział, że nie należą do Europejczyków ani żadnej z ras, które spotkał do tej pory. Także ich stroje odbiegały od tego, co widział przedtem. Ubrani w skóry i futra, z ozdobami na głowach, wśród których dominowały wielkie pióra o rozmiarach liści małej palmy, byli uzbrojeni w broń, jakiej do tej pory nie widział. Przedmioty, które trzymali w dłoniach, bez wątpienia były orężem, ale takiego nie spotkał nawet w Afryce. Nie było wśród nich kobiet. Zrozumiał, że naprzeciw niego stoi armia gotowa do walki.*

*– Jest ich 450 – powiedział cicho Szymon Bosman, który otrzymał taką informację z bocianiego gniazda. – Nie wygląda na to, by chcieli nas przyjąć życzliwie.*

*– Widzę – rzekł Jan. – Obserwuj i melduj natychmiast o wszystkich ruchach.*

*– Wezwaliśmy już obsady wszystkich dział. Na „Sarnie” zrobili tak samo.*

*Jan kiwnął głową i przymrużył oczy, jakby chciał coś wypatrzyć na brzegu.*

*– Nie widzę, by mieli łodzie – rzekł po chwili.*

*– Być może są schowane w lesie. Wystarczy jeden pacierz, byśmy mieli ich na karku.*

*Obok pojawił się Gudrun, sekretarz królewski wyprawy, który pełnił na „Marinie” obowiązki oficera.*

*– Panie admirale, „Sarna” pyta o możliwość podejścia.*

*– Jest zgoda.*

*Kilka pacierzy później marynarze szepili oba okręty i Jakub Brzoza znalazł się na pokładzie*

*„Mariny”. Zamknęli się z Janem i Gudrunem na naradę.*

*– Co proponujesz? – zapytał Jakub.*

*– A co w takim wypadku przewiduje królewska instrukcja? – Jan spojrzał na Gudruna.*

– Nie ma królewskich rozkazów na taką okazję. Wszystko zależy od ciebie, admirale.

– Na razie nawet nie wiemy, jakie mają względem nas zamiary – rzekł spokojnym tonem.

– Sądząc z uzbrojenia... – Brzoza nie miał żadnych wątpliwości.

– Trudno powiedzieć... – Jan pokręcił głową. – Mogliby nas przykryć jak kapeluszem, a jednak nie ruszają się z miejsca.

– Ale i nie zapraszają...

Jan westchnął.

– Pójdę do nich.

– Jesteś pewny?

– Tak. Kto ma pójść, jeśli nie ja?

– W takim razie... ja z tobą.

– Nie – Jan był zdecydowany. – Ty musisz zostać tutaj. Jeśli coś mi się stanie, odprowadzisz okręty i ludzi z powrotem do Kopenhagi. Musi też być na pokładzie ktoś, kto będzie tu dowodził, gdy ja będę na lądzie.

– Chcesz sam iść?

– Wezmę Ingulkoka i dwóch ludzi, do wiosel i jako łączników. Wyłącznie ochotników. Decyduje kolejność zgłoszeń – uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że z chętnymi może być problem.

– Ja jestem pierwszym ochotnikiem – rzekł gorączkowo Jakub.

– Ty już masz swoje zadanie i więcej o tym nie diskutujemy. To rozkaz.

Brzoza pokiwał głową.

– Oficer! – krzyknął Jan.

Do kajuty zajrzał wachtowy.

– Na rozkaz!

– Jaka sytuacja?

– Bez zmian, panie admirale.

– Nadal obserwować! I wezwać Ingulkoka.

– Tak jest!

Gdy wachtowy zniknął, przez chwilę ważył decyzję, wreszcie zwrócił się do Jakuba:

– Zrobię to tak, jak ongiś w Afryce. Wezmę podarki dla ich króla. Pokażę, że przybywamy w pokoju.

– Janie?

– Tak? – Popatrzył na Jakuba z roztargnieniem.

– Wyglądają na ludzi, ale...



– Ale co?

– Jeśli nimi nie są?

– A kimże mieliby być?

– Sam mówiłeś, że to kraina, której nie ma na mapie. Więc... jeśli to piekło?

Jan prychnął śmiechem.

– To przyjdzie nam walczyć z diabłami. Na chwałę Świętej Panienki i Ukrzyżowanego...

– Nie kpij... Obawiam się, co może cię tam spotkać.

– Jeśli nie spróbuję, to się nie dowiem.

Do kajuty wszedł Ingulkok. Przez ten czas, który spędził na wyprawie, zdażył już nieźle poznać język białych, poza tym przyjaźń z bosmanem i wspólnie spędzany czas sprawiły, że nauczył się rozumieć intencje Europejczyków i sposób ich rozumowania. Jan położył mu rękę na ramieniu.

– Posłuchaj, Ingulkoku. Płynę na ląd. Potrzebuję kogoś, kto zdoła się z nimi porozumieć. Pomożesz mi?

– Nie wiem, czy potrafię. To nie są nasi ludzie – Inuita rzekł otwarcie. – Ale popłynąć popłynę.

– Dziękuję. W takim razie potrzebuję jeszcze dwóch ochotników.

Zza otwartych drzwi wyszedł Szymon Bosman, który najwyraźniej przysłuchiwał się rozmowie.

– Admirale, ja z wami.

Jan pokiwał głową. Wiedział, że może polegać na starym doświadczonym marynarzu, którego znał od dziecka.

– A trzeciego nie trzeba – rzekł rozważnie Szymon. – Jeśli doszłoby do czegoś, i tak by nie pomógł, a stracilibyśmy niepotrzebnie człowieka.

Jan przyznał mu rację.

– Trzy to święta liczba, admirale – bosman przy innych tytułował Jana, lecz gdy byli sami, mówił mu, jak dawniej, po imieniu. – Poza tym, niech wiedzą, że nie boimy się ich.

Jan założył uroczysty strój, który ostatni raz miał na sobie na dworze króla Christiana podczas rozmowy z monarchą przed wyjściem w morze. Kwatermistrz wyszukał mu kilka przedmiotów, które mogłyby uchodzić za przyzwoite prezenty nawet w Kopenhadze, a tutaj stanowiły wykwintne dary godne monarchy. Naszyjnik z perłą oprawioną w złoto, ozdobne sztylety z przedniej stali, a także stroje, ubrania, pasy. Obok nich w szalupie znalazło

się kilkanaście toporków i tuzin noży, a także sznury paciorków i bele tkanin. Nieco nadwątlono przydziały dla osadników, ale tego wymagała sytuacja i racja stanu. Jan przytwierdził do boku jedynie krótki kordzik z Sagres i kazał opuścić szalupę.

Tubylcy trwali na brzegu jak posągi. Teraz jednak słońce stało już wyżej i w blasku pierwszych promieni było widać znacznie więcej niż wtedy, gdy Jan zobaczył ich po raz pierwszy.

Ingulkok i bosman usiedli do wiosł, a Jan odwrócił się do Jakuba i przy wszystkich powtórzył swoje rozkazy, na wypadek gdyby nie zdołał wrócić na „Marinę”.

– Popłyniecie dalej na południe i będziecie szukać osadników Pininga. Ale nie dłużej niż do 55 równoleżnika. Jeśli ich nie odnajdziecie, macie wracać do kraju. Dowództwo nad wyprawą przejmie Jakub Brzoza i wszyscy mają mu pomagać, by udało się wam wrócić do Danii.

Odezwał się oficer artylerii na „Marinie”.

– A, za przeproszeniem, panie admirale, tych tu... huncwotów, jednego z drugim, nie poczęstować by ognistym kartaczem na do widzenia, jeśli, nie daj Boże, włos by z pana admiralskiej głowy miał umknąć?

– Nie.

Zaległa cisza. Jan pokręcił głową.

– Tych, co stoją na plaży, starczy na pięć takich łajb jak „Marina” i „Sarna”. A naszym zadaniem jest odszukać osadników. Jeśli wdacie się tutaj w awanturę, nie dałbym sobie wąsów uciąć, że ujdzie stąd żywa noga. Widzieliście ich? Myślicie, że mają ochotę na żarty?

Po załodze rozszedł się pomruk.

– Trzymajcie się mojej woli, a wszystko będzie dobrze.

Jan uściskał najbliższych i spuścił się na linie do szalupy. Minutę później byli już w połowie drogi i wtedy Gudrun zobaczył, jak Jakub zaciska dłonie, że aż knykcie stają się białe.

Dwa pacierze później szalupa przybiła do brzegu. Tubylcy nie poruszyli się nawet wtedy, gdy Jan wyszedł na brzeg i stanął przed nimi, patrząc im śmiało w oczy. Oceniał ich uzbrojenie. Nie było tak groźne, jak wyglądało z okrętu, ale mimo wszystko mogło przysporzyć sporo strat. Miejscowi nie byli wysocy, raczej krępej budowy. W ich oczach nie zobaczył agresji, raczej ciekawość. Niektórzy próbowali się nieśmiało uśmiechnąć. Pół kroku za Janem stanął Ingulkok.

– Powiedz, że ich witamy – rzekł admirał.

*Inuita rzekł coś pospiesznie swoim narzeczem i było to przemówienie, które trwało prawie minutę, ale nie zrobiło na miejscowych wrażenia.*

*– Coś ty im powiedział?*

*– Że przybywa do nich wysłannik Białego Ducha i na znak pokoju przywozi im dary.*

*– Chyba cię nie zrozumieli?*

*– Kto ich tam wie, psiajuchy... Ale po gębach widać od razu, że nie są z naszych. I po strojach też.*

*Po chwili zza pleców towarzyszy wyszedł starszy mężczyzna w odświętnym stroju. Odziany był w długie futro, bez broni i ozdób na głowie. Miał twarz pomalowaną w wymyślne wzory ochrową i czarną farbą.*

*Stanął przed Janem, spojrzął mu odważnie w oczy, uśmiechnął się, a następnie klęknął przed nim i uderzył czołem w ziemię.*

*Ingulkok i bosman omal nie parsknęli śmiechem, ale powstrzymała ich poważna mina Jana.*

*Podszedł do mężczyzny, schylił się, ujął go pod ramiona i pomógł wstać. Następnie wręczył mu sztylet.*

*Człowiek ten wzbraniał się przed przyjęciem broni, mówił coś gorączkowo, pokazując na siebie i na żaglowce, którymi przyплыnęli biali.*

*– Ingulkok, rozumiesz coś?*

*– Piąte przez dziesiąte, jakieś koślawe narzecze.*

*– Co powiedział?*

*– Że jest człowiekiem mocy i nie dotyka broni. Poza tym dziękuje za przybycie, bo razem z naszym nadejściem spełniło się najważniejsze proroctwo jego narodu, że przybędą do nich biali aniołowie na białych motylach i od tej pory wszyscy będą zbawieni.*

*Gdy Jan rozdał najbliższym stojącym toporki i noże, a także tkaniny, ubrania i paciorki, wśród wojowników dało się słyszeć wesołe przekomarzanie, wybuchy śmiechu, oznaki radości. Chcieli zabrać przybyszów do swojej wioski, ale Jan przez Ingulkoka zapowiedział, że później przybędą w większym gronie i przyniosą więcej prezentów.*

*Trudno powiedzieć, czy szaman zrozumiał słowa Ingulkoka, ale pokiwał głową na znak, że przyjmuje oświadczenie.*

*Na wieczorną ucztę udało się ponad dwudziestu białych, a wśród nich Jan, Jakub i Ingulkok, który – jak szybko się okazało – sprawdzał się w roli tłumacza. Tubylcy czekali na nich na brzegu, a potem wskazali gościom*

drogę do swoich siedzib. Ruszyli niespiesznie. Idąc, próbowali się porozumiewać.

*Ingulkok dwoił się i troił.*

*Tubylcy musieli być dowcipni, bo gdy z nimi rozmawiał, co rusz wybuchał śmiechem. Oni podobnie reagowali na jego wypowiedzi.*

*Bosman prosił go o tłumaczenie, a rozbawiony Inuita relacjonował.*

*– Mówię im, że psiajuchy nawet nie wiedzą, jakie szczęście ich spotkało, bo biali aniołowie przywieźli im pokój i mądrość, i żeby, psie syny, nie kręcili nosami, jak im szczęście i zbawienie samo się pcha do rąk.*

*– A oni co na to?*

*– Żebym pocałował się w dupę, bo to nie moja zasługa, że biali aniołowie do nich przybywają, tylko dlatego, że Wielka Manitou ich wybrała.*

*– A ty?*

*– A ja, że to głównie prawda, bo to ja jestem waszym przewodnikiem i to do mnie przyszły sny od Wielkiej Manitou, gdzie mam skierować białe anioły. I w ogóle, żeby nie podskakiwali, bo im Wielka Manitou te śmierdzące giry poprzetrąca, jak nie będą posłuszni jej woli. A jakby z ich strony spotkała was jakaś przykrość, to Biały Ojciec obrzuci ich zakazane ryje czarnym syfem...*

*– I oni to biorą na poważnie?*

*Ingulkok tylko skinął głową i znów wdał się w rozmowę z miejscowymi. Ponownie rozległy się chichoty i kaskady śmiechu. Widać było, że nie do końca się rozumieją, że często w rozmowie pomagają sobie gestami, ale najważniejsza była przyjazna atmosfera.*

*Przybysze szybko pojęli, że miejscowi uwielbiają kłąć i że sprawia im to ogromną frajdę. Że wymyślne przekleństwo traktują jak dowcip, a piętrowe jest niczym klejnot, i że niektóre mogą stać się nawet imionami tych, którzy je wymyślili. To zresztą świadczyło o ich poczuciu humoru i o wyobraźni.*

*Nikt nie obrażał się za docinki, lecz starał się zrewanżować równie dosadnymi. Nie prowadziło to jednak do awantur, tylko kończyło się śmiechem.*

*Gdy doszli do wioski, oddalonej nie więcej niż pół stajania od brzegu, zobaczyli pierwsze zabudowania, a wśród nich kobiety. Mimo panującego chłodu, były obnażone do pasa i nie miały na sobie nic poza naszyjnikami z paciorków. Niosły tace z kory pełne kawałków gotowanego mięsa, którymi*

częstowały nadchodzących. Gdy z boku zawarczały bębny, kobiety zaczęły tańczyć.

*Marynarze, pokosztowawszy mięsiwa, rozjaśnili swe oblicza.*

*– Nie ryba, nie grindwal – rzekł bosman z zachwytem. – Wreszcie jem coś, co wcześniej chodziło na czterech nogach...*

*Odpowiedziały mu głosy równie zadowolonych żeglarzy. Pogadując, weszli między zabudowania.*

*Takich budowli Jan wcześniej nie widział. Dwa rzędy chat stały po obu stronach traktu, jak przy wiejskiej ulicy. Na końcu wznosił się największy budynek, będący zapewne domem wspólnoty, długi na prawie sto stóp, z łukowatym dachem zbudowanym z mocnych młodych drzew połączonych wierzchołkami, pokrytych dębową i świerkową korą. Na zwieńczeniu łuku pozostawiono otwór, przez który do środka wpadało światło, a na zewnątrz unosił się dym ognisk.*

*Wprowadzonych do budynku gości otoczył gęsty tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, wyśpiewujących coś na całe gardło. Dwóch tubylców biło w skórzane bębny. Pod przeciwległą ścianą, przy ognisku czekała grupka odświętnie ubranych mężczyzn. Wśród nich był szaman, którego poznali rankiem, a także dostojnik z wielkim pióropuszem, któremu wszyscy okazywali szacunek. Był to król. Spojrzał na przybyszy, po czym bez słowa wskazał im miejsca przy ognisku.*

*Bębny umilkły i zapanowała cisza. Jedna z kobiet podała siedzącym gliniane naczynia, do których druga wlała jakiś wonny płyn. Była to woda z ziołami. Jan przyglądał się mężczyznom. Mieli pomalowane twarze, ich plecy i ramiona pokryte były sinymi arabeskami. Wódz dodatkowo obwieszony był kolorowymi muszelkami i sznurami paciorków i to w takiej obfitości, że jego bobrowe futro promieniało wyjątkowym splendorem. Szaman wskazał go i przemówił. Ingulkok tylko potwierdził, że to wódz, który wita przybyszów.*

*Jeden z wojowników, którzy towarzyszyli białym w drodze, rzekł coś wesołym głosem i na twarzy wodza pojawił się uśmiech.*

*Z kątów zaczęły wyglądać ciekawe buzie młodych dziewcząt. Jan chciał przede wszystkim sprawdzić, czy spotkali uczestników wyprawy Pininga i Pothorsta. Już po pierwszej wymianie zdań okazało się, że do dziś nikt w ich wiosce nie widział wcześniej białych ludzi. Ani ich śladów. A zatem osadnicy tu nie dotarli.*

*Atmosfera spotkania wkrótce rozluźniła się. Jan wziął ze sobą dwie beczulki wina, tubylcy zaś piekli na różnie łośia i jelenia. W pozostałej części wioski płonęło sporo ognisk. Tego wieczora uczta miała odbywać się nie tylko w domu wspólnoty, ale w całej miejscowości. Admirał był zadowolony z takiego przyjęcia. Wcześniej obawiał się kontaktu z tubylcami i ich nieufności do nieznanymi przybyszów. Kto wie, jakie mogli mieć intencje wobec miejscowych? On sam zdawał sobie sprawę, że od dobrych stosunków z tubylcami będzie zależało zaopatrzenie obu okrętów na dalszą drogę. Potrzebował również czasu, by poddać drobiazgowym przeglądom cały ekwipunek, wyciągnąć oba statki na brzeg i przygotować je do dalszej podróży. To wymagało czasu. A czas to było również wyżywienie dla prawie siedemdziesięciu ludzi. Chciał także zorganizować kilka wypraw wzdłuż brzegów oraz w głąb lądu, by dokładnie zbadać okolicę i przekonać się, czy mimo zapewnień tubylców nie znajdują śladów osadników.*

*Zdawał sobie sprawę, że w tym miejscu spędzą co najmniej kilka tygodni. Zależało mu więc, aby stosunki z miejscowymi były co najmniej poprawne.*

*Jego dar dla wioski, wino, bardzo spodobał się miejscowym. Nie znali trunków, co było łatwo poznać po ich reakcjach na działanie alkoholu. Ingulkok dwoił się i troił, tłumacząc po swojemu to, co mówił król, główny kapłan, Jan i Jakub. Inni radzili sobie na własną rękę, czyli na migi. Chłopiec okrętowy z „Mariny” szybko zwąchał się z miejscowymi urwisami, a jeden z majtków o długich jasnych włosach i niebieskich oczach, wzięty za rękę przez jedną z dziewcząt, szybko wymknął się z domu wspólnoty i przepadł na pół nocy. Dołączył do reszty dopiero nad ranem, gdy wracali na okręty, odprowadzani tłumnie przez miejscowych.*

*Pierwsze cztery dni budowali obóz. Wybrali zaciszną kotlinkę, właściwie jar oddalony sto sążni od brzegu. Ci, którzy nie brali udziału w przewożeniu sprzętu do kwater, szukali wody i zwierzyny.*

*Ziemia była jeszcze skuta lodem i choć z każdym dniem było cieplej i widywali więcej słońca, noce bywały jeszcze zimne. Grzali się przy ogniskach. Dwóch cieśli wciąż pracowało nad wycinką drzew i krzewów, by nie brakowało paliwa. Poza tym naprawy wymagały maszty. Drzewo to był prawdziwy skarb. Wykorzystywano je także przy budowie obozowiska, przy którym dość często pojawiały się kobiety. Przysiadły, rozmawiały między sobą, chichocząc, i przyglądały się pracującym białym. Ich mężczyźni nie protestowali.*

*Kontakty z miejscowymi z każdym dniem stawały się bliższe. Kilkunastu marynarzy prowadziło mały handelek na własną rękę.*



Za oknem zrobiło się szaro i po chwili na szybie pojawiły się pierwsze kropelki. Nad Tórshavn przeszła ulewa. Wiedzieli, że resztę dnia spędzą w hotelu. Nie narzekali zresztą, bo ten pokój to było właściwie jedyne miejsce, gdzie mogli być sami. A tego chcieli oboje. Nadia wtulona w Roberta wypytywała go o szczegóły związane z manuskryptem, a on ochoczo dzielił się wiedzą. Opowiadał, wtrącał dygresje, komentował znane fakty. Potrzebował takiej repetycji przed napisaniem raportu dla sponsora. W pewnej chwili zauważył, jak dziewczyna manipuluje przy telefonie komórkowym. Okazało się, że uruchomiła dyktafon. Nowicki poczuł się nieswojo.

– Dlaczego to robisz? – spytał zdziwiony.

Uśmiechnęła się, ale wyczuł, że chce w ten sposób ukryć niepewność.

– Robert... Przecież jestem twoją asystentką. Chcę ci pomóc w pisaniu, a poza tym... – wtuliła twarz w jego ramię – lubię twój głos...

Popatrzył na nią uważnie i odrzekł dopiero po chwili.

– Tak ładnie mówisz... Wystarczyłoby właściwie tylko przepisać to z taśmy i raport byłby gotowy.

– To nie takie proste. Raport pisze się inaczej niż opowiadanie czy artykuł do prasy.

– Nie gniewaj się, chciałam pomóc...

– Sam to napiszę – jego głos zabrzmiał zbyt sucho.

Pokiwała głową i spojrzała na niego z nadzieją.

– Nie gniewasz się?

Pokręcił głową.

– Kiedy masz się spotkać z tym człowiekiem?

– Nie wiem. Na razie czekam na kontakt.

Uśmiechnęła się, znów niepewnie.

– Tak bardzo chciałabym, aby wszystko poszło po twojej myśli.

– Kto by nie chciał?

Uniosła twarz i popatrzyła na niego z czułością. Poczuł, że jej oczy nie kłamią.

– W każdym razie ja... będę musiała coś zrobić, żeby ci wyszło.

– Nic nie musisz, Nadiu...

Popatrzyła bez uśmiechu.

– Muszę... Właśnie, że muszę...

Nie odpowiedział, więc po chwili mocniej się w niego wtuliła i szepnęła:

– A twój głos, gdy opowiadasz mi o swojej pracy, jest taki... – spojrzała na niego i przymknęła oczy, jakby chciała na zawsze zabrać ze sobą jego spojrzenie – taki... erotyczny...

Parsknął krótkim śmiechem. Wyznanie Nadii miło polectało jego męskie ego. Nie chciał jednak, aby to zauważyła. Nie w tej chwili.

– Poza tym... – szepnęła – jestem szczęśliwa i chciałabym na zawsze zatrzymać czar naszych wspólnych chwil, tych właśnie...

Nie wiedział, co powiedzieć. Wcześniej nie była romantyczna, a to oświadczenie zupełnie do niej nie pasowało. Było jakby żywcem wyjęte z wenezuelskiej telenoweli.

– Myślałeś o tym, że mógłbyś ze mną być? – zapytała.

– Co masz na myśli?

– Że byłabym twoją kobietą.

Zrobił głupią minę, jakby złapała go na gorącym uczynku, a on nie umiał tego ukryć.

– Tak... – powiedział. – A skąd wiesz?

– Nie wiedziałam, ale chciałam, żebyś tak właśnie myślał. Chociaż... – Złapała jego pytające spojrzenie. – Gdyby tak było... pewnie czułabym się onieśmielona.

– Naprawdę czułabyś się onieśmielona?

Kiwnęła poważnie głową.

– Prawdopodobnie.

– Dlaczego?

– Zastanawiałabym się, co ktoś taki jak ty we mnie widzi.

Pocałował ją.

– Nawet nie wiesz, jak wiele mi dajesz – powiedział cicho i trochę wbrew sobie.

– Co, na przykład?

– Przy tobie czuję, że jestem... – spojrzał jej prosto w oczy – szczęśliwy?

Roześmiała się dźwięcznie.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć.



- To dlatego, że świetnie cię znam – uśmiechnął się błazeńsko.
- Naprawdę?
- Wiem, że teraz chciałabyś mnie pocałować...
- E tam... – Na jej wargach pojawił się leniwy uśmiech. – Naprawdę?
- Naprawdę.

Miał rację. Po kilku minutach pozwoliła mu zaczerpnąć głębszego oddechu.

- Ale wiesz, że to nie takie proste...
- Wiem.
- Bo to, co najtrudniejsze, jest w nas samych.

Kiwnął głową, ale jej nie podniósł.

- Wiem, że ją kochałeś, chociaż czasem...

Teraz spojrział z oczekiwaniem. Nadia miała zafrasowaną minę.

- Była dla mnie... – rzekł cicho i głos zamarł mu w gardle.

- Wiem, wiem... Ale powinieneś wreszcie przestać o niej myśleć.

Przestać tęsknić i pragnąć naprawić to, czego już nie można. Zgadzasz się ze mną, prawda?

Minęła dłuższa chwila, nim odpowiedział.

- Wiem, ale to nie jest łatwe.
- Nic, co ma wielką wartość, nie jest łatwe.
- Daj spokój, Nadiu...
- Ani mi to w głowie – powiedziała cicho i przyciągnęła go do siebie.

Z miłosnych uścisków wyrwał ich dopiero sygnał nadchodzącej poczty. Kilka sekund później dźwięk powtórzył się. W skrzynce były dwa listy. Kolejny fragment wstępnej wersji tłumaczenia rękopisu Jana Żeglarza i ekspertyza z Instytutu Archeologii, Konserwacji i Nauk Historycznych w Oslo.

- Jest pierwsza ekspertyza! – szepnął podniecony.
- Czego dotyczy? – zapytała Nadia z wypiekami na twarzy.

Szybko przebiegł oczami treść.

- Tytoń...
- Tytoń? – Zobaczył w jej oczach zdziwienie.

Znów zagłębił się w treści informacji.

– Okazuje się, że jeden z okruchów, które zabezpieczyłem jako próbkę, jest kawałeczkiem ususzonego liścia tytoniu. Ususzonego, czyli przeznaczonego do palenia.

Pokiwała głową.

– Posłuchaj... Niejaki doktor Martussen, szef pracowni, potwierdza, że to rzadki gatunek liścia tytoniowego i że dostarczona próbka, sądząc po stopniu nasycenia wilgocią, a właściwie kompletnym braku wilgoci, ma więcej niż dwieście lat. Precyzyjnej daty nie jest w stanie ustalić na podstawie tak małej ilości materiału. Dostarczona do badania *nicotiana tabacum* pochodzi z Ameryki Północnej.

Uprawiana niegdyś w okolicach Bostonu, później rosła także w Wirginii. Uważaj... Podczas boomu tytoniowego została zmieszana z tytoniem brazylijskim. Jako odrębny gatunek występuje dziś niezwykle rzadko, spotyka się ją na terenie kilku rezerwatów Indian północnoamerykańskich, którzy uprawiają ją do celów rytualnych.

Nadia była nad wyraz konkretna.

– Co ta wiadomość oznacza dla ciebie?

Na twarzy Roberta pojawił się uśmiech, ale zaraz zastąpiła go wątpliwość.

– Jest to tytoń amerykański, więc mógłby znaleźć się między kartami rękopisu pisanego na nowym kontynencie. Ale te dwieście lat... Nie musi to być sztywna cezura, i to twierdzenie nie wyklucza w żadnym wypadku tezy, że tytoń dostał się między karty manuskryptu podczas pobytu Jana za oceanem.

Z tego, co wiem, Indianie na długo przed przybyciem białych palili tytoń, tworząc cały kodeks zwyczajów i rytuałów związanych z jego używaniem. Tylko że to nie jest przekonujący dowód.

– Dlaczego?

– Przecież okruh tytoniu mógł znaleźć się w księdze później, nawet w XVIII wieku. I w Europie, dokąd od początku XVII wieku sprowadzano tytoń w wielkich ilościach, bo zapanowała moda na palenie i nawet uważano, że nie ma nic lepszego na migrenę, jak puszczenie sobie dymka... Manuskrypt mógł zatem przeglądać ktoś, kto akurat palił fajkę...

– Mnich? – Nadia spytała z powątpiewaniem.

Robert uśmiechnął się.

– A jeśli manuskrypt był przez jakiś czas w innych rękach, zanim ponownie trafił do franciszkanów?

– Sprawdziłeś historię rękopisu?

Nowicki odnotował, że uwagi Nadii są nader trafne.

– Dobry trop.

– A widzisz? – rzekła z przekąsem. – Nie lekceważ mnie, bo mogę ci się naprawdę przydać.

– Wcale cię nie lekceważę...

Uśmiechnęła się przekornie.

– Akurat... Nawet nie chcesz, abym pomagała ci w pisaniu raportu...

Robert nie podjął tematu, bo zaświtała mu kolejna myśl.

– A jeśli to falsyfikat? – Jego pytanie na moment zawisło w powietrzu, ale zaraz zaprzeczył sam sobie.

– Nie... To niemożliwe... Kto zadałby sobie tyle trudu?

Nadia nie była jednak do końca przekonana.

– Może by się i znaleźli...

– Ale po co?

– No właśnie... Po co? Jak nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o kasę.

– Albo o...

– Właśnie, pomyśl... Może właśnie o kobietę.

– Myślisz, że on pisał ten dziennik okrętowy... dla kobiety?

Uśmiechnęła się przekornie.

– A jeśli za tą tajemnicą kryje się romantyczna miłość?

Robert wzruszył ramionami.

– W każdym razie jest to jakaś... koncepcja – odparł rzeczowo. – Kto wie, może warto pójść tym tropem.

– Z jednej strony, ten wątek łączy, ale z drugiej... trochę by było szkoda...

Profesor popatrzył na dziewczynę wyczekująco.

– Szkoda?

– Jan kochał bez pamięci Marynię i przenosząc zainteresowania na inną kobietę, sprzeniewierzyłby się także samemu sobie.

– Czyli, według ciebie, lepiej kochać nieszczęśliwie i bez nadziei na wspólną przyszłość, niż szukać szczęścia w ramionach innej?

Nadia spojrzała na niego zalotnie i przymknęła oczy, jakby chciała zachować odpowiedź tylko dla siebie. Robert pokręcił głową i zajrzał do drugiego listu. Autorką była studentka profesora Konkola.

Załącznik zawierał omówienie kilku stron manuskryptu.



## Polowanie

*Jan spojrzął na słońce, po czym zniżył wzrok i zlustrował wierzchołki sosen. Ciepły wiatr szedł znad oceanu. Przystanął i rozejrzał się. W zasięgu wzroku nie było widać najmniejszego ruchu.*

*Oparł arkebuz o drzewo i usiadł wygodnie.*

*Z drobnych suchych gałązek i kawałków kory usypał stosik i skrzesał iskrę, rozniecił małe ognisko. Wyjął ze skórzanej torby upolowanego ptaka, wypatroszył go, oskubał i nabiwszy na wycior arkebuz, zaczął powoli piec nad wątlym ogniem.*

*Od rana przebył już kilka mil. A wyników żadnych. Zwierzęta jakby pochowały się wraz z jego wejściem do lasu. Mięsa brakowało już od kilku dni i trzeba było szybko coś upolować. Przy okręcie została tylko wachta i kilkanaście osób do ochrony obozu, a reszta ruszyła do lasu na łowy.*

*Pożywienie stanowiło ostatnio ważny problem. Początkowo tubylcy przyjmowali ich gościnnie, szczerze obdarowując jadłem, ale nakarmienie dodatkowych ludzi przewyższyło ich możliwości, szczególnie na przednówku, kiedy jedzenia nie starczało dla nich samych. Wkrótce król odmówił wydawania jada dla przybyszów, argumentując, że jest to zbyt wielkie obciążenie dla jego spichlerzy i stawia pod znakiem zapytania przetrwanie jego ludu do czasu, kiedy będzie można zebrać kolejne plony złotych ziaren, czyli kukurydzy.*

*Jan zarządził regularne polowania. Byli uzbrojeni w broń palną, która dawała im przewagę nad miejscowymi, ale wkrótce okazało się, że zabijając jelenie, sarny i łosie, pozbawiają miejscowych źródła pożywienia. Król wyznaczył im tereny łowieckie na południowy zachód od wioski. Aby się do nich dostać, trzeba było iść pół dnia w jedną stronę. Nie mogli płynąć okrętem ani nawet szalupą.*

*Załogi obu żaglowców były bliskie buntu, bo nikomu nie chciało się wlec kilkanaście mil tylko po to, by ustrzelić zwierzynę. Problemem był również transport mięsa z tak dalekich okolic. Mimo to byli posłuszni Janowi, który dbał o utrzymanie poprawnych stosunków z tubylcami. Konflikt jednak wisiał w powietrzu. Jednym z powodów okazały się bardziej zażyłe stosunki niektórych marynarzy z miejscowymi kobietami. Natury nie da się oszukać, marynarze nie stronili od młodych niezamężnych dziewcząt, które obdarowywały ich łaskami w zamian za niewielkie prezenty. Dla nich była to zabawa, ale biali traktowali to inaczej. Czasem dochodziło do kłótni, a nawet grubszych awantur.*

*Widząc, że w ładowni topnieją zapasy przeznaczone dla osadników Pininga, admirał wydał zarządzenie, aby gospodarowanie towarami odbywało się pod ścisłą kontrolą bosmana i jednego z oficerów. Zarządził też zakaz kontaktów z miejscowymi. Żeglarze potrafili jednak znaleźć swoje sposoby, by wymknąć się spod kontroli i odbyć randkę z wybranką. Tym sposobem część dóbr z „Mariny” i „Sarny” znajdowała swoje miejsce w wiosce. Z czasem handel objął również pożywienie.*

*Jednak tym, co przelało czarę cierpliwości Jana, był romans Jakuba Brzozy.*

*Młody dowódca „Sarny” sprowokowany przez Kanukę, żonę jednego z ważniejszych wojowników, w końcu uległ jej wdziękom. Jan dowiedział się o tym przez przypadek i choć ich zażyłość utrzymywana była w tajemnicy, skandal wisiał w powietrzu. Komendant zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie mogło mieć wyjawienie zdrady Kanuki. On sam, choć doceniał urodę młodych dziewcząt i niejednej posyłał uśmiechy, nigdy nie pozwoliłby sobie na zawarcie bliższej znajomości ze względu na następstwa i wobec konieczności zachowania pozorów poprawności politycznej.*

*Ale romans Jakuba z Kanuką stał się faktem. Mimo rozmów, jakie obaj prowadzili ze sobą po polsku, aby niewielu mogło ich podsłuchać, i obietnic Jakuba, że skończy tę znajomość raz na zawsze, urocza żona wojownika wciąż znajdowała pretekst, aby skusić młodego wiceadmirala.*

*Jan, chcąc rozwiązać problemy aprowizacyjne i uniknąć skandalu towarzyskiego, a być może w konsekwencji także politycznego, postanowił wysłać Jakuba do Kopenhagi z informacjami o odnalezieniu nieznanych dotąd ziem i ludzi. Jakub miał zdać relację z poszukiwań osadników Pininga i Pothorsta, a także poprosić o zaopatrzenie dla Jana, który tymczasem założyłby stały obóz, mogący w przyszłości stać się faktorią dla*

handlu z miejscowymi. Być może w perspektywie mogłaby to być baza dla dalszych wypraw, których celem stałoby się poszukiwanie drogi do Indii, Cipango i Kataju. Tym sposobem jednocześnie spadłby mu z głowy problem wyżywienia trzydziestu ludzi.

Decyzja zapadła szybko. Pewnego dnia podczas polowania stał się mimowolnym świadkiem schadzki Jakuba i Kanuki. Przedzierając się przez las w poszukiwaniu zwierzyny, natknął się na ślady: duże, pozostawione przez skorznie Jakuba, i niewielkie, jakie zostawiało skórzane obuwie Kanuki.

Zobaczył ich w oddali, na polanie pod dębem. Długie czarne włosy smukłej kobiety były spięte na karku krążkiem z miedzi. Pomiedzy piersi spadał jej naszyjnik z paciorków. Tak jak u wielu dzikich, jej skóra była ciemna, a zęby lśniły bielą. Suknię, jak inne miejscowe kobiety, miała zatuszczoną i poplamioną, a ręce i nogi nosiły ślady sadzy z ognisk. Wydawała niemiły zapach, mieszaninę przepoconych ubrań i brudu, ale jednak było w niej coś, co przykuwało wzrok. Była piękna i mimo oczywistej winy, w swojej naturalności niewinna. Zobaczył Jakuba, jak wylania się z za drzewa, obejmuje ją i jak zaczynają się namiętnie całować.

Jan odszedł, nie chcąc, by go dostrzegli. Wiedział jedno, musi się z Jakubem rozmówić. I najlepiej, jeśli uda się go wyprawić do Kopenhagi.

Tak też się stało. Jakub nie protestował. Stwierdził jedynie, że odczuwa potrzebę spowiedzi. Jan doradził mu, aby nie czynił tego teraz, a dopiero po powrocie do domu. Tak będzie lepiej dla wyprawy i dla niego samego. Jakub zgodził się. Nazajutrz Jan ogłosił, że „Sarna” wraca do domu z wieścią o dokonaniach wyprawy, i zezwolił, by jej załogę stanowili ochotnicy, a nie stała obsada okrętu.

Wbrew pozorom chętnych nie było wielu, choć wcześniej sporo osób deklarowało jak najszybszą chęć powrotu do ojczyzny. Gdy przyszło co do czego, tylko 27 osób zgłosiło się na statek. Być może inni nie nabrali jeszcze sił po trudach żeglugi i chcieli dłużej odpocząć na lądzie. Dlatego Jan, nie pytając nikogo o zdanie, dokooptował do nich dawnych oficerów z „Sarny”.

Wkrótce zaczęły się problemy związane z zaopatrzeniem statku na daleką drogę. Wszystkich wolnych ludzi zatrudnił do łowów, chcąc zgromadzić mięso na rejs do Grenlandii. Uzupelniano też zapasy słodkiej wody. Zgromadzenie żywności było najistotniejszą sprawą, ponieważ

„Sarna” nie mogła liczyć na upolowanie waleni. Ingulkok i bosman, najlepsi harpunnicy, zostawali przy Janie.

Wkrótce okazało się, że król nie da nic ze swoich zapasów, i w obozie Jana odezwało się kilka głosów, by nie zważając na to, pójść z arkebuzami do wioski i wziąć tyle, ile potrzebują, a protestujących, jeśli tacy się znajdą, poczęstować prochem i kulami. Jan wstrzymał ich w ostatniej chwili. Tych, którzy mogli zbuntować resztę, zatrudnił przy remoncie „Sarny”. Okazało się, że jeśli wykorzystają całą smołę, jaką mieli, nie starczy jej do remontu „Mariny”, który czekał ich najpóźniej za kilka tygodni. Problem rozwiązał król wioski. Po rozmowie z Ingulkokiem, który wyjaśnił mu, w czym rzecz, ochoczo zgodził się pomóc. Wiadomość, że biali chcą odpłynąć, sprawiła, że wzajemne stosunki znów się ożywiły i, rzecz można, nawet ociepliły. Wódz przysłał do obozowiska dwóch swoich ludzi, aby pokazali białym, jak do uszczelniania kadłuba wykorzystać oleiste rośliny nieznane Europejczykom. Wkrótce okazało się, że przy stosowaniu odpowiedniej technologii były nawet lepsze niż smoła. Tubylcy wskazywali przy tym na swoje łodzie, które pokryte taką izolacją pływały przez lata, nie przepuszczając ani kropli wody.

Gdy Jan ogłosił dzień odpłynięcia „Sarny” pod dowództwem Brzozy, król wioski zdecydował się dołożyć nieco ze swoich zapasów. Jego intencja była aż nazbyt czytelna. Chciał jak najszybciej pozbyć się ze swojego terenu nieproszonych gości. Być może on również coś wiedział o romansie Kanuki. Jan z chęcią przyjął darowiznę. Przyszło mu też do głowy, że po odejściu „Sarny” będą bardziej bezbronni.

W tej sytuacji zachowanie dobrych układów z tubylcami było koniecznością. By uchronić się przed prowokacją, za którą miejscowi mogliby poczytać sobie jakiś nieodpowiedzialny wybryk któregoś z jego ludzi, zobowiązał oficerów, by pilnowali podkomendnych i zabraniali im oddalać się bez pozwolenia, żeby przypadkiem nie wywołali gdzieś niepotrzebnego zamieszania. Nastroje wśród ludzi

Jana i ich stosunek do miejscowych nie były najlepsze. Nie rozumieli, dlaczego król wioski skąpi im jądła. Odbierali to jako akt wrogości, choć z drugiej strony nie odżegnywali się od kontaktów z ich kobietami.

W końcu Jakub, zaopatrzony w pisma, a także spis niezbędnych narzędzi i zapasów, jakie były potrzebne przy budowie osady, a w dalszej perspektywie faktorii, odszedł pewnego kwietniowego ranka po niespełna sześciu tygodniach pobytu na nowej ziemi. Zabral ze sobą czterdziestu ludzi

*i właściwie wszystkie zapasy, jakie udało im się wspólnie zgromadzić. Jan, opierając się na optymistycznych kalkulacjach, liczył, że „Sarna” lub inny okręt wyekspediowany przez króla Christiana powinien pojawić się u nich z powrotem przed upływem sześciu miesięcy, akurat, by mogli tu razem przezimować. Nadchodzące lato i korzystna aura były sprzymierzeńcami żeglarzy. Nie było powodów, by ich podróż przedłużała się ponad miarę.*

*Po odplynięciu „Sarny” Jan zarządził łowy. Chciał zgromadzić i uwęzić więcej mięsa, by móc potem zaangażować większość ludzi parających się polowaniem w remont „Mariny”. Liczył, że przy sprzyjających okolicznościach za dwa, trzy tygodnie mogliby wypłynąć na walenie i choć większość jego ludzi wyrażała głośno niechęć dla mięsa wielorybów, a na wspomnienie zapachu tranu demonstrowali odruch wymiotny, Jan wiedział, że to właściwe pociągnięcie. Tym bardziej że chcąc przetrwać lato i zebrać zapasy na zimę, którą, jak wynikało z wszelkich kalkulacji, mieli spędzić po tej stronie oceanu, powinni wziąć się za uprawę roli. Chciał, dzięki Ingulkokowi, wyjednać od króla wioski sadzonki kukurydzy, a także białych bulw, które dojrzewały w ziemi, i pewnie z tego powodu zwali je ziemniakami. Potrzebował też nasion innych roślin, które tubylcy gromadzili, by przetrwać zimę. Planował, że w ciągu najbliższych dni razem z Ingulkokiem i Szymonem wybierze się z wizytą do króla.*

*Tymczasem ptak dopiekl się i był zdatny do jedzenia. Jan posilił się, zasypał ognisko i postanowił wrócić do śladów racic, które wypatrzył wcześniej w pobliżu strumienia. Poszedł ich tropem. Kilkaset kroków dalej rozejrzał się. Poczul zapach bagna. Musiało znajdować się niedaleko. Ruszył po łagodnej pochyłości, przemykając między drzewami. Niedaleko zaszemrało źródełko. Cienka warstwa mchu ugięła się pod jego stopami. Kilka kroków dalej, między konarami zaczęły prześwitywać niewielkie kałuże wody. Bagno było tuż-tuż.*

*Przystanął i rozejrzał się ponownie. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i znalazł się nad brzegiem niewielkiego bajorka. Nieopodal zauważył kilka dzikich indyków, ale nie o taką zdobycz mu chodziło.*

*Dalej, skrajem lasu biegł pas zielonej trawy o szerokości kilkunastu stóp. Na mchu zobaczył świeży trop. Najdalej trzy pacierze wcześniej przeszło tędy kilka zwierząt. Ich ciężar musiał być znaczny. Świadczyła o tym głębokość śladów. Schował się za drzewo. Za krzewami coś się poruszyło. Czyżby zwierz? Jan wyteżył wzrok, ale niczego nie dostrzegł, dopiero po chwili między paprociami ujrzał sarnę. Z tej odległości nie był*



pewny celu, a tymczasem zwierzę zbliżało się w jego kierunku. Skierował lufę w stronę odsłoniętej przestrzeni pozbawionej krzewów, gdzie za chwilę powinna wyłonić się przysza zdobycz. Wstrzymał oddech, a gdy na przedłużeniu linii między muszką a szczerbinką znalazło się miejsce pod łopatką sarny, pociągnął za spust. Huknęło. Zwierzę początkowo podskoczyło, jakby wystraszone chciało rzucić się do ucieczki, i Jan już myślał, że chybił, ale po kilku krokach sarna zatrzymała się na sztywnych nogach i padła.

Podszedł do niej. Nie żyła. Jej nieruchome oczy patrzyły na niego z wyrzutem. Szybko otrząsnął się.

Ocenił zdobycz. Co najmniej dwieście funtów mięsa. Nie było mowy, by sam dał radę zabrać wszystko.

Postanowił ukryć sarnę, przykryć ją gałęziami i wrócić po nią ze swoimi ludźmi, aby przenieść ją do obozowiska.

Gdy ciął świerkowe gałęzie, obok pojawiło się trzech tubylców. Mieli pomalowane twarze, jak zawsze, gdy polowali lub mieli zamiar walczyć. Prawdopodobnie zwabił ich huk wystrzału. Jan był zaskoczony, ale starał się tego po sobie nie okazywać. Próbował zagadać, używając kilku słów w ich narzeczu, ale nie zareagowali. Najwyższy, będący zapewne dowódcą patrolu, odsłonił zdobycz, spojrzął na martwe zwierzę i wyrzucił z siebie kilka ostrych słów. Drugi pochwycił arkebuz Jana, który stał oparty o pień, a trzeci wymierzył w niego oszczep. Ni mniej, ni więcej, oznaczało to, że był w ich władzy. Dali mu do zrozumienia, że ma czynić, co mu każą. Dowódca złożył dłonie w muszlę i dmuchając w nie, wydał dźwięk imitujący odgłos jakiegoś ptaka. Nie minął pacierz, gdy obok pojawiło się trzech kolejnych dzikich. W mig ocenili sytuację i zaczęli się śmiać, pogadując wesoło do siebie. Prawdopodobnie przeklinali i lżyli Jana, jak mieli to w zwyczaju. Dowódca wydał rozkazy, dwóch tubylców chwyciło białego za ramiona, wykręcili je, a trzeci nałożył mu rzemienie, krępując boleśnie jego ręce. Przystłonili mu oczy przepaską, kilka razy obrócili go wedle własnej osi, tak że stracił orientację, dokąd go prowadzą. Usłyszał tylko, że dwóch z nich zostało, by zająć się sarną.

Szli kilka mil. Co chwilę potykał się, bo nie widział, co ma pod nogami. Wywoływało to śmiech eskorty. Świetnie bawili się jego kosztem. Wreszcie uwolnili go z więzów i zdjęli mu przepaskę.

Rozejrzał się wokół. We wszystkich kierunkach las był identyczny. Korony drzew przeszywały długie smugi światła, bo jeszcze sporo czasu

brakowało do zmierzchu. Ale Jan nie wiedział, gdzie jest. Dzicy mogli się już nie obawiać, że ucieknie. Zgubiłby się po przejściu kilkudziesięciu kroków. Jego mina znów sprowokowała kilka ordynarnych dowcipów. Śmiali się do rozpuku, widząc jego bezradność.

W nocy doprowadzili go do swojego obozu. Był mniejszy niż ten, w którym odwiedzał króla.

Wepchnęli go do jednej z chat, nie patrząc, czy utrzyma się na nogach. Objęła go ciemność. Po chwili usłyszał oddechy. A więc nie był sam. Usiadł na ziemi. Przyzwyczajony do niewygód, które całymi tygodniami znosił na okrętach, próbował się jakoś ułożyć, bacząc, by nikogo nie przygnieść. Nie spał.

Wsluchiwał się w noc i jak ślepiec próbował z okrucich dźwięków zbudować sobie obraz rzeczywistości, w której się znalazł. Świt zweryfikował jego wyobraźnię. Znajdował się wewnątrz chaty, która nie miała okien, a otwór wejściowy był zasłonięty pokrywą z gałęzi świerkowych. Obok niego było trzech tubylców, którzy sprawiali wrażenie więźniów. Jeden był chory lub ranny i leżał na plecach, patrząc nieruchomo w górę. Dwóch innych było skrępowanych i przywiązanych do ociosanych pni. Patrzyli na niego z przestachem. Być może nigdy wcześniej nie widzieli białego.

Różnił się nie tylko fryzurą i kolorem skóry, ale przede wszystkim odzieniem. Próbował użyć tych kilku słów, które znał, ale żaden mu nie odpowiedział. Nie porozumiewali się także między sobą.

Dopiero trzy dni później przyprowadzono do niego Ingulkoka, który przetłumaczył słowa naczelnika wioski. Jan został uwięziony, ponieważ złamał zakaz polowania wydany białym. Wojownicy twierdzili, że upolował sarnę na terenie należącym do plemienia. Tereny łowisk dla białych zaczynały się daleko od miejsca, w którym strzelał do sarny. Jan nie chciał w to wierzyć. Czyżby tubylcy szukali pretekstu, aby odebrać komendanta przybyszom? W takim razie co przygotowywali? Czyżby brali pod uwagę ostateczną rozprawę z bronią w rękę?

Przez Ingulkoka rozkazał, by Szymon Bosman, który teraz był jego zastępcą w obozowisku, trzymał ludzi pod bronią, gotowy na odparcie ataku. Działa na „Marinie” miały być skierowane na teren, z którego mógł przyjść atak dzikich. Zakazał wszelkich wypraw po okolicy, aby nie osłabiać załogi. Nie przedsiębrać nic, co mogłoby rozjuszyć dzikich. Czekać!

Naczelnik wioski obwieścił przez Ingulkoka, że kilku białych przybyszów napadło na wioskę, chcąc przetrzebić spichrze królewskie. Ich łupem padło kilka koszy kukurydzy, ranili też jednego z wojowników, który próbował bronić własności. Jan miał więc zostać u nich jako zakładnik, aby ustrzec się w przyszłości podobnych incydentów. Każdy atak na tubylca lub jego własność miał kosztować Jana życie.

Jan wiedział, że w tej sytuacji protesty na nic się nie zdadzą. Rzekł do Inuity:

– Przekaż wszystkim z „Mariny” niech nie wążą się nic czynić na własną rękę. Zakazuję także spotkań z kobietami. Czekać, nic więcej, tylko czekać. Jeśli zostaniecie zaatakowani, bronić się.

I bronić „Mariny”.

Ustalono, że Ingulkok będzie co kilka dni przychodził do Jana. Naczelnik wioski nie ukrywał, że nie chce na swoim terenie przybyszów.

– Będziecie musieli stąd odpłynąć – powtórzył kilka razy na koniec.

Inuita odszedł, a Jan wrócił do chaty, gdzie wraz z innymi więźniami spędził kilka kolejnych dni.

Szybko przekonał się, że jego towarzysze nie należą do plemienia. Ale nie znał języka, by dowiedzieć się więcej. Gdy tubylcy przekonali się, że w obozie białych panuje spokój i nie dzieje się nic, co mogłoby im zagrażać, Jan zyskał pewną swobodę w poruszaniu się. Mógł raz dziennie wychodzić z chaty. Pokazał na migi, że może pracować. Pozwolili mu więc pomagać przy oprawianiu upolowanych zwierząt. To była praca dla kobiet i wojownicy nie szczędzili mu szyderstw i cierpkich uwag. Nie rozumiał ich, ale z tonu, jakim były wygłaszane, wiedział, że są to obelgi. Prawdziwy mężczyzna plemienia nigdy nie poniżyłby się do wykonywania czynności, które od wieków należały do kobiet. Z gestów niektórych kpiarzy wywnioskował, że teraz traktują go jak babę, niektórzy dla żartu składali mu nawet propozycje, które zwykle dotyczyły kobiet. Pewnego dnia zauważył, jak jeden z mężczyzn rysuje na papierze znaki zaostrzonym patyczkiem zanurzonym w jakimś ciemnym barwniku.

Skąd dziki wziął papier?

Gdy podszedł bliżej i przyjrzał się dokładniej, stwierdził, że to nie papier, tylko cienka, po mistrzowsku wyprawiona kora brzoźowa. Zateęsknił do pisania swojego dziennika.

W pobliżu ich aresztanckiej chaty często przesiadywał mały chłopiec, który miał nie więcej niż dziesięć, może dwanaście lat. Przez szpary w

poszyciu chaty Jan często go obserwował. Interesowały go obyczaje chłopca. Ten, gdy przysiadł sam lub z kolegami, zwykle wyciągał niewielki przyrząd, który napychał drobno pokrojonymi kłakami roślin. Podpalali je, połykali dym, po czym wypuszczali go ustami i nosem, tworząc wielkie tumany wonnej mgły, i najwyraźniej sprawiało im to przyjemność.

Często do wnętrza chaty dochodził zapach dymu, który Janowi nieco przypominał aromat kadzidla palonego przed niedzielną sumą. Obyczaj puszczenia dymu był domeną nie tylko dzieci, ale również starszych mężczyzn i kobiet. Jan szybko zorientował się, że większość z nich nosiła przyrządy do puszczenia dymu przy sobie, przy każdej okazji oddając się namiętności. Zauważył to już wcześniej, podczas wizyt w wiosce króla, ale nigdy nie widział tego z bliska, tak jak teraz.

Nie minęło wiele czasu, gdy Jan zawarł bliższy kontakt z malcem. Ten najwyraźniej uznał go za swojego przyjaciela, ponieważ często towarzyszył mu podczas uprawiania zwierząt, w drodze do pracy i w czasie posiłku. Pewnego razu Jan pokazał chłopcu mężczyznę, który stawiał znaki na korze, i dał mu do zrozumienia, że chciałby ją mieć. Nie był pewien, czy malec zrozumiał. Kilka dni później starał się wrócić do tematu, a chłopiec tylko wskazał ozdobną kłamrę jego pasa. Propozycja była jasna.

Wymiana. Jan kiwnął głową. Chłopiec podprowadził Jana do mężczyzny i zagadnął go. Mężczyzna początkowo nie chciał się zgodzić na wymianę, ale misterna robota sprzączki w końcu go skusiła. Tym sposobem Jan stał się posiadaczem kilku arkuszy kory brzozy i zaostrzonego patyczka, który mógł służyć jako pióro. Gestem wskazał jeszcze glinianą miseczkę z barwnikiem. Mężczyzna podał mu ją bez oporu, a następnie przymierzył pas i zawołał swoją kobietę, prezentując się w nowym stroju. Ta na widok kłamry wybuchnęła śmiechem i zaszwargotała coś niezrozumiale, co wywołało uśmiech na jego twarzy. Mimo to warknął zaczepnie kilka słów, jakby rzucił ostrzeżenie, a ona wzięła się pod boki, niczym przekupka z Długiego Targu, i bluznęła w niego potokiem wyrazów. Gdy zamilkła, znów oboje się roześmiali. Scena małżeńska trwała w najlepsze, a chłopiec pociągnął Jana w stronę chaty aresztanckiej. Podał mu kawałek rzemienia, by związał sobie spodnie.

Od tego dnia Jan codziennie pisał. Tej czynności badawczo przyglądał się chłopiec, który wciąż mu towarzyszył. Ingulkok przynosił Janowi różne przedmioty codziennego użytku, jak lusterka i grzebienie, igły do szycia oraz guziki i sznury paciorków, które ten wymieniał na arkusze brzozy.

*Miejscowi nie zgodzili się, by dostarczano mu przedmiotów, których nie znali. Bali się, że mogą służyć do walki lub magii, a ta mogłaby ich zniszczyć. Tak więc papier i inkaust z jego kabiny na „Marinie” musiały pozostać na swoim miejscu.*

*Wieści z obozu nie były złe. Podkomendni Jana, którymi dowodził Szymon Bosman, codziennie wyprawiali się teraz na polowanie, przestrzegając przydzielonych sobie terenów. Pozostali trzymali straż w obozie i wachty na okręcie. Obóz był obserwowany przez tubylców, ale dyskretnie. Nie wyglądało na to, by szykowali atak. Pewnego razu, podczas rozmowy z naczelnikiem wioski, którą tłumaczył Ingulkok, Jan powiedział, że chcą wyremontować okręt, a następnie odpłynąć. Naczelnik puścił głośno wiatry i roześmiał się, a gdy tłumacz również wybuchnął śmiechem, sypnął na okrasę jakimś niewybrednym żartem, bo Inuita aż zatoczył się ze śmiechu. Wyglądało na to, że naczelnik się zgadza.*

*Jan postanowił, że „Marina” odejdzie dzień lub dwa wzdłuż brzegu na południe, a na miejscu zostawią wskazówki dla Jakuba Brzozy, gdy ten pojawi się jesienią. Chciał, by poszukali ziemi, na której mogliby bez kłopotliwego sąsiedztwa założyć swoją osadę.*

*Gdy wracał do swojej aresztanckiej chaty, zobaczył, jak chłopiec, nakładając tytoń do swojej fajeczki, przegląda zapisane przez niego arkusze kory, które poprzedniego dnia zespolił rzemieniem za pomocą szydła, tak że przypominały księgę. Malec nie znał i nie był w stanie pojąć znaczenia znaków, na które patrzył. W pewnej chwili z cybucha spadła odrobina tytoniu. Chłopiec stracił ją niedbałym gestem, nie bacząc, że kilka okruchów osunęło się między karty i zatrzymało w spoinach.*

*Wtedy z wnętrza chaty dało się słyszeć wołanie.*

*– Mawani, mawani!*

*Chłopiec zostawił księgę z kory i pobiegł zobaczyć, co się stało. Chory, który, jak wydawało się jeszcze kilka dni wcześniej, w każdej chwili mógł umrzeć, stał teraz na własnych nogach i z błyskiem w oczach obwieszczał światu:*

*– Mawani, mawani!*



## Sponsor

Robert zatelefonował do klasztoru, pytając, czy odezwał się profesor Svenson. Niestety. Przeor miał za to dla niego wiadomość od Dalmora. Była po polsku, więc nie umiał jej odczytać. Nowicki postanowił więc wrócić do klasztoru. Umówił się z Nadia, że nazajutrz rano pomoże jej w przeprowadzce. Tymczasem tajemnicza wiadomość od Ryszarda okazała się zaproszeniem na obiad.

Nadia nie miała zbyt dużego dobytku. Plecak, dwie torby i trochę szpargałów. Stelaż na kółkach pożyczony ze sklepu, w którym robili zakupy, wystarczył do przewozu bagażu. Adres zaprowadził ich do niewielkiego domu na obrzeżach Tórshavn. Właścicielami było małżeństwo emerytów, którzy wciąż się uśmiechali. Pani domu, niegdyś nauczycielka angielskiego, zaprezentowała Nadii dwa wolne pokoiki, które wczesnym rankiem opuścili turyści z Norwegii. Dziewczyna wybrała mniejszy, za to z fascynującym widokiem na ocean. Akurat świeciło słońce i to, co wyłaniało się zza szyb, mogło stanowić świetny temat dla cierpliwego malarza.

Nauczycielka była osobą ciekawską i wychodziła z założenia, że damie w jej wieku uchodzi więcej, więc zadawała pytania, które ani trochę jej nie kępowały.

– Ten pan – wskazała na Roberta – to pani... przyjaciel, czy tak?

Nadia potwierdziła.

– Też jest z Danii, czy tak?

– Nie, proszę pani – odrzekł Nowicki. – Mieszkam w Polsce.

– A w Polsce... Swego czasu często jeździliśmy tam z mężem, nawet dwa, trzy razy do roku. Z Vagar przez Kopenhagę, to z przesiadką nie zabiera więcej niż pięć godzin w jedną stronę do Gdańska.

– Bywaliście państwo w Gdańsku?

– Obowiązkowo! Macie świetnych dentystów, i to niedrogich...

Robert uśmiechnął się neutralnie.

– Tam właśnie mieszkam...

– Naprawdę? Co za zbieg okoliczności! Zna pan może... doktor Stanislauske?

Nowicki nawet nie wiedział, czy chodzi o mężczyznę czy kobietę. Rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Niestety...

Właścicielce nie przypadło do gustu, że profesor nie zna jej stomatologa, co w pewnym sensie wykraczało poza jej sposób rozumowania. Ona doskonale wiedziała, kto leczy zęby nie tylko w Tórshavn, ale na całym archipelagu, i wszystkich dentystów mogłaby wymienić jednym tchem, choć u niektórych nawet nie była na fotelu. Jak to możliwe, by człowiek pochodzący z Gdańska nie znał jej dentysty? Robert w jednej chwili stał się więc podejrzany, a w każdym razie niepewny. Emerytka nie wzięła bowiem pod uwagę, że cała ludność Wysp Owczych spokojnie pomieściłaby się w dwóch gdańskich dzielnicach, na Przymorzu i Żabiance. Być może spamiętanie gabinetów stomatologicznych na tym obszarze nie sprawiłoby kłopotu komuś, kto swój cały świat zamykał w tej przestrzeni.

Była pani od angielskiego zmierzyła Roberta krytycznym spojrzeniem.

– Pan będzie tu też czasami nocował, czy tak?

Robert rozłożył ręce, zupełnie nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wyręczyła go Nadia.

– Jeśli to pani nie przeszkadza...

– Ależ skąd, łaskawa pani, ależ skąd... Ale gdyby tak się zdarzyło, proszę nas wcześniej poinformować, no i za ten dodatkowy nocleg trzeba będzie coś uregulować, czy tak?

Robert znów uśmiechnął się neutralnie, starając się, by jego mina nie pokazała ogarniającej go irytacji. Kobieta najwyraźniej nie miała ochoty wyjść z pokoju.

– Jak długo chciałaby pani u nas zostać?

– Ma pani dla mnie promocję? – Nadia, wyraźnie zniecierpliwiona, wyzywająco spojrzała jej w oczy.

– Co to, to nie... Ale ludzie często dopytują się o pokoje i gdybym choć orientacyjnie wiedziała...

mogłabym zaplanować następnych gości. Jak państwo wiecie, ruch w interesie trwa niezależnie od pory roku, ale nie ma to jak latem...

Nadia zawahała się, a Robert to odnotował.

– Jeszcze nie wiem... Dam pani znać...

– Tylko proszę z tym zbyt długo nie zwlekać, czy tak?

Nadia nie odpowiedziała, Robert poczęstował starszą panią grzecznościowym uśmiechem, po czym kobieta wyszła, nie zamykając za sobą drzwi. Zrobił to Robert. Nadia westchnęła.

– Najchętniej wyniosłabym się stąd od razu – powiedziała cicho. – Mam nadzieję, że babsztyl nie będzie wściubiał nosa we wszystkie moje sprawy.

– Ja również – powiedział cicho i delikatnie ją przytulił.

Nadia rozpakowywała torby, a Robert przysiadł na krzeselku i rozłożył na kolanach swój komputer, bo chciał sprawdzić szczegół dotyczący tytoniu w relacji, którą wczoraj otrzymał od studentki profesora Konkola. Nagle poruszył się ożywiony.

– Widzę, że masz zasięg – obwieścił. – Zaraz zobaczę, czy można sprawdzić pocztę.

Nadia pokiwała głową.

– Pełny pakiet usług turystycznych...

– Można – obwieścił po chwili.

– Przyszło coś nowego?

– Nie, tylko reklamy... Mam nadzieję, że mimo dostępu do internetu będziesz pokazywać się w mieście?

Najpierw spojrzała na drzwi, za którymi zniknęła właścicielka, potem dała mu kuksańca, a na końcu czuły pocałunek.

– Jak najczęściej, kiedy tylko nie będzie łało.



Dalmor zobaczył gości już z daleka i wyszedł przed dom, aby ich powitać. Nowickiego wylewnie, jak starego kumpla, ale wobec Nadii zachował dystans. Prowadząc ich do wejścia, obwieścił triumfująco, że ma niespodziankę.

– Jaka? – zapytał Robert.

– Zgadnij.

– Szampan?

– Z jakiej paki, niby? – udał zdziwienie.

– Bo się żenisz!



Ryszard spiekł raka, ale próbował to zatuszować okrągłym dowcipem, co mu się zresztą po części udało.

– Znalazłem pokój dla Nadii i po obiedzie wraz z Iną zaprowadzimy was na miejsce, żeby mogła go sobie obejrzeć.

Nadia roześmiała się.

– Właśnie dziś rano wprowadziłam się do nowego pokoju.

Dalmor był trochę zawiedziony, ale gdy weszli do środka, znów był w swoim żywiole. Opowiadał o ostatnim połowie, wyjątkowo obfitym, i o przygodzie na morzu.

Robert wszedł do kuchni, postawił na stole butelkę czerwonego wina i zobaczył przy piecyku Inę.

Uśmiechnął się do niej, ona odpowiedziała powściągliwym skinieniem głowy. Nowicki wyciągnął rękę w jej stronę. Kobieta zmieszała się i dopiero po chwili podała mu swoją.

Z Nadią przywitała się tylko skinieniem głowy, nie obdarzając jej nawet nikłym uśmiechem. Robert wiedział, że to z powodu jej przyjaciółki. Ina nie zawierała łatwo nowych znajomości, tym bardziej więc ceniła przyjaźń. I jak to bywa u Inuitów, była to przyjaźń na śmierć i życie. Nie mógł się więc dziwić jej niechęci do Nadii, jeśli nawet dla niego, białego człowieka, była ona irracjonalna.

Mimo to Dalmor zadbał, by spotkanie przebiegało w dobrej atmosferze. Dania przygotowane przez Inę znakomicie smakowały i właściwie nie znano ich na archipelagu. Przysmaki rodem z grenlandzkiej kuchni babki Iny nie miały swojej nazwy, a receptura przetrwała wyłącznie w pamięci jej potomków. Dalmor i Robert rozmawiali o Trójmieście, ale we wspomnieniach rybaka najwięcej miejsca zajmowały fragmenty meczów Arki Gdynia. Ina słabo mówiła po angielsku, więc porozumiewały się z Nadią po duńsku. Dalmor napełnił kieliszki winem i Robert zauważył, że Ina nieco się ożywiła. Najwyraźniej z Dalmorem mieli się ku sobie, o czym świadczyły niektóre gesty i sposób, w jaki się do siebie uśmiechali. Profesor zauważył, że mężczyzna pierwszy raz, odkąd go znał, wyglądał na człowieka szczęśliwego. W pewnej chwili wyciągnął paczkę papierosów, ale napotkawszy surowe spojrzenie Iny, kiwnął tylko głową i podniósł się z krzesła.

– Może na dymka wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponował. – Zdaje się, że wyjątkowo nie pada...

Robert podniósł się także i choć sam nie palił, postanowił towarzyszyć gospodarzowi. Oparli się o słupy podtrzymujące ganek. Dalmor podał Nowickiemu miejscowe piwo Föroya Bjór ze złotą owcą na naklejce. Było niezłe. Zapalił i przez chwilę rozkoszował się dymem. Wypuścił go z płuc i pociągnął ze swojej butelki.

– I jak ci... z nią? – zapytał.

Robert pokiwał głową.

– A tobie z Iną?

– Wiesz już?

– To widać...

– Naprawdę? – zdziwił się.

– Jasne, nawet dziecko by zauważyło...

– Podpuszczasz mnie, profesor...

– Ani mi to w głowie. Najważniejsze: być szczęśliwym.

Dalmor pokiwał głową zamyślony i uśmiechnął się.

– Wiesz, że był już taki czas, że sam siebie skreśliłem? Nie wierzyłem, że może mnie spotkać jeszcze coś ważnego.

– No widzisz, nie warto tego robić, zanim nie zabrzmi ostatni gwizdek...

– Dobrze powiedziane, celnie – zaśmiał się.

– Pomyśl o ożenku...

– Daj spokój, profesor... Jeszcze nie czas.

– Czas biegnie nieubłagane. Jeśli naprawdę chcesz ją zatrzymać przy sobie, nie zwlekaj...

– A ty... i ta Nadia?

Nowicki wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak to będzie. Urlop nie trwa wiecznie. Niedługo będę musiał wracać do Gdańska. Nie mogę tu zostać i nawet nie wiem, jakie ona ma plany, bo o nich nie mówi.

– Chcesz z nią być?

Robert nie odpowiedział od razu. Przymknął oczy, jakby próbował sobie to wyobrazić, a potem niespodziewanie się uśmiechnął.

– Między tym, czego pragniemy, a tym, co możemy... jest spora odległość. W tym wypadku, aby ją pokonać, potrzeba pracy dwojga ludzi. Naprawdę nie wiem...

– Nie pytałeś jej?

Robert rozłożył ręce i pociągnął łyk z butelki.

– Nie, przedwczoraj sama się zdeklarowała, ale czasami jest taka... daleka.

– Tak, jakby się kryła za jakąś zasłoną?

– Coś w tym rodzaju.

Chwilę stali w milczeniu. Dalmor obserwował Nowickiego, który utkwiał wzrok w dalekim horyzoncie, gdzie spotykały się dwa błękity, jasny nieba i ciemny oceanu.

– Nie gniewaj się, ale myślę, że powinieneś to wiedzieć...

Robert spojrział na Dalmora.

– Ludzie mówią, że ten ogień... to za jej przyczyną.

Robert chciał zaprzeczyć, ale rybak powstrzymał go gestem.

– Tak mówią ludzie, a ona... coś w niej jest, coś takiego... co budzi niepokój.

– Niepokój? Tak to odczuwasz?

Dalmor pokiwał głową.

– Dzisiaj też, teraz, podczas obiadu? – dopytywał profesor.

– Nie, teraz nie... Ale wtedy, gdy się za nią oglądałeś. Czasem, jak spojrzysz, to ciarki aż przechodzą...

Jakby coś się za nią ciągnęło. Coś złego...

Robert odwrócił oczy, nie chcąc, by Ryszard zobaczył w nich obawę. Potem, pod naciskiem jego wzroku, przytaknął.

– Ina ma szósty zmysł. W jej rodzinie byli ludzie mocy. Jej ojciec jest szamanem... Są rzeczy, które ona czuje przez skórę. A gdy widzi Nadie, odczuwa niepokój. Tak było jeszcze, zanim spalił się dom Torelssonów.

Robert spojrział do wnętrza domu. Nadia opowiadała coś Inie po duńsku, a ta wpatrywała się w swoje dłonie ułożone na stole. Na nich, nie na słowach Nadii, skupiła całą swoją uwagę.

– Mówi, że jak na nią patrzy, to widzi jej aureę – rzekł Dalmor. – Jej cienie... I że są to cienie czerwone, w kolorze krwi...

Nowicki zachnął się.

– Czerwień, krew... To kolor miłości.

– Ale też kolor bólu, śmierci...

– Daj spokój. To przesady.

– Może i przesady, ale lepiej, żebyś o tym wiedział.

Dalmor uruchomił wyobraźnię Roberta. Zagadki z życia Nadii nie dawały mu spokoju. Czuł, że chodziło o jej byłego mężczyznę i o krzywdę, jaką jej wyrządził. Kryły się za tym zapewne jakieś wydarzenia, o których

jednak Nadia nigdy nie mówiła. Gdy myślał o tym, co musiała przeżyć, budziła się w nim tkliwość i Nadia stawała mu się jeszcze bliższa. Przez pewien czas uważał, że lepiej nie dotykać jej czułych miejsc, bo to tylko mogłoby rozdrapać stare, zablizniające się rany. Poza tym nie miał prawa wnikać w jej życie, które prowadziła, zanim go poznała. Gdy ją kiedyś o to zagadnął, zakpiła z niego, że jest zazdrosny. Nie chciała o tym rozmawiać. Wszystko, co było w jej życiu, zanim przybyła na Wyspy Owce, owiane było tajemnicą. Nagle zdał sobie sprawę, że nawet nie wie, w jakim banku pracowała, jak wyglądało jej życie, co robiła wieczorami, czy wolała kino czy teatr, jakim samochodem jeździła, czy w ogóle miała prawo jazdy, a może do pracy dojeżdżała autobusem...

Tak naprawdę wiedział tylko, że pochodzi z Rosji, pije finlandię, nie słodzi herbaty, kawę pije czarną i że wciąż grzebie w internecie. Ale nawet nie wiedział, kim jest owa koleżanka, z którą wymienia wiadomości, i o czym do siebie piszą... Nadia była piękną kobietą, jedną z tych, o których mówi się, że mają w sobie coś, ale jej przeszłość była zagadką. A jednocześnie wyczuwał jej szczerość. Nie mógłby uwierzyć, że ich wspólne noce mogły być kłamstwem.

Gdy wracali do Tórshavn, w pobliżu jej nowej kwatery zagadnął:

– Nadiu...

– Tak?

– Chciałbym wiedzieć... Co z tobą tak naprawdę jest?

Nie odpowiedziała. Stali naprzeciw siebie ze spuszczonejmi głowami. Dotknął jej ramienia. Odczuł, jakby razem z tym pytaniem pojawiła się między nimi bariera.

– Nic specjalnego, o czym warto by wspominać – powiedziała cicho.

Przytulił ją i pocałował w czoło.

– To nie zwykła ciekawość – szepnął. – Interesuję się tobą...

Położyła mu głowę na ramieniu. Odpowiedziała dopiero po chwili:

– Dobrze, obiecuję, że wszystkiego się dowiesz, cokolwiek będziesz chciał wiedzieć, ale pozwól, że to ja wybiorę ten moment... A teraz nie ciągnij mnie już za język. Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

Pocałowała go w policzek i zniknęła w drzwiach. Przez chwilę stał w miejscu, jakby liczył, że jeszcze wyjrzy, że jeszcze coś mu powie, ale po minucie zrozumiał, że tak się nie stanie. Odwrócił się i poszedł wolno w stronę centrum Tórshavn. Nie wiedział, że patrzyła na niego zza firanki swojego okna, a po policzkach spływały jej łzy.

Kwadrans później usiadł w jednej z kawiarenek w pobliżu nabrzeża. Zauważył, że przy zacumowanej „Norrönie” stoi radiowóz policyjny. Kilku turystów, którzy kręcili się w pobliżu, zdawało się nie zwracać na to żadnej uwagi. Robert popatrzył na zegarek. Było po dwudziestej, prom już dwie godziny temu powinien był odejść do Reykjavíku. Coś musiało go jednak zatrzymać. Czyżby miało to związek z wizytą policji?

Otworzył komputer i ściągnął pocztę. Wśród kilku reklam był list od Svensona. Zawierał załączniki, a w nich kopie kolejnych ekspertyz. Zamówił kawę i kątem oka zobaczył, że do radiowozu wsiadło dwóch mężczyzn, w tym jeden w mundurze, i odjechali. Kelnerka postawiła przed nim espresso. Pił je drobnymi łyżkami i myślał o Nadii. Nie chciał spędzać dzisiejszego wieczoru sam. Może gdyby nie zaczął tego tematu, wydarzenia potoczyłyby się inaczej. Czuł jednak, że jej przeszłość, a właściwie związana z nią zagadka, którą ona tak pieczołowicie ukrywała, może ich rozdzielić. Co ma być, to będzie

– przyłapał się, że próbuje szukać pociechy w banalnych powiedzonkach. – Tak czy owak, już niczego nie zmieni. Pójdzie do niej jutro...

Z tym postanowieniem zagłębił się w list od Svensona.

Profesor donosił, że kora, na której znalazły się fragmenty tekstu manuskryptu, została przebadana dwoma metodami, a wyniki okazały się bardzo zbliżone. Obok tradycyjnej wykorzystano także dendrochronologię, nową naukę z pogranicza biologii, archeologii i meteorologii. Umożliwia ona datowanie drewnianego znaleziska archeologicznego na podstawie grubości słoju drewna.

W niektórych przypadkach, gdy ma się większe próbki, można określić datę ścięcia znalezionej kory z dokładnością do pół roku. Jest to jeden z najprecyzyjniejszych sposobów datacji dla wczesnego średniowiecza i starożytności, nawet precyzyjniejszy od datacji [metodą 14C](#). W przypadku próbki dostarczonej przez Nowickiego nie udało się jednak określić czasu wyrębu aż tak dokładnie, natomiast nie było żadnych wątpliwości, że drzewo, z którego ściągnięto korę, zostało ścięte w drugiej połowie XV wieku.

Nowicki uśmiechnął się.

– A jednak...

Jeden z ekspertów o trudnym skandynawskim nazwisku donosił, że badana próbka to kora brzozy, która rośnie na wschodnich wybrzeżach

Stanów Zjednoczonych. Ale ten sam gatunek od wieków rośnie także na Syberii, w Europie środkowej, we Francji i w całej Skandynawii, w tym także w Danii.

A zatem ta kora z wypisanym tekstem to nie dowód, tylko co najwyżej ważna poszlaka. Jest ich coraz więcej – pomyślał Robert – ale to wciąż tylko poszlaki. Brakuje jednoznacznego, przekonującego dowodu, który zwińczyłby wyniki badań.

Może kolejne orzeczenie przyniesie przełom? Od chwili, kiedy norweski uniwersytet przejął pieczę nad badaniami rękopisu, prace przebiegały systematycznie i Nowicki miał prawo sądzić, że cieszą się w instytucie nawet czymś w rodzaju priorytetu. Uśmiechnął się, bo to mu pochlebiało. Było dowodem, że sprawa manuskryptu, nad którym pracował, jest ważna również dla innych i być może byli już blisko ważnego odkrycia.

Otworzył kolejny załącznik. Zawierał obszerną ekspertyzę papieru, na którym sporządzono manuskrypt. Kilkadziesiąt stron w formacie pdf. Zgodnie ze wskazówką profesora zawartą w liście, streszczenie po angielsku znalazł w drugiej części dokumentu.

Badania dokonano metodą porównania wieku przedmiotów opartą na pomiarze proporcji między [izotopem promieniotwórczym węgla](#)  $^{14}\text{C}$  a izotopami trwałymi  $^{12}\text{C}$  i  $^{13}\text{C}$ . Sama metoda była dość skomplikowana i choć Nowicki był kiedyś w laboratorium dysponującym specjalną aparaturą, a adiunkt, który ją obsługiwał, udzielił mu wyczerpujących wyjaśnień, miał o niej tylko względne pojęcie. Jego bardziej interesowały wyniki, które można było dzięki tej metodzie uzyskać. A one potwierdzały pochodzenie badanych próbek z drugiej połowy XV wieku. Dodatkowo specjaliści stwierdzali jednoznacznie, że papier został wyprodukowany w jednej z francuskich wytwórni, zaopatrujących między innymi niektóre dwory królewskie w Europie. Na takim samym papierze sporządzono sporo dokumentów w kancelarii królewskiej Christiana I Oldenburga. Ta sama faktura, ta sama gramatura...

I jeszcze adnotacja:

*Na powierzchni papieru odnaleziono ślady  $\text{NaCl}$ , chlorku sodu, czyli soli. Ale nie jest to sól kamienna, tylko morska. Badanie właściwości sugeruje, że sól może pochodzić z północnych akwenów Oceanu Atlantyckiego.*

Tylko tyle i aż tyle. To potwierdzało, że foliał mógł znajdować się na statku płynącym przez ocean.

Dobre i to. Robert westchnął. Było mu ciężko na duszy...

No dobrze – papier jest z tamtych czasów i nawet taki sam mogli mieć na dworze Christiana I. To kolejna ważna poszlaka, ale jeszcze nie dowód, że Jan wylądował na Nowej Ziemi.

Dopił kawę i spojrzął za okno. „Norröna” odbijała od brzegu. Złożył komputer. Wracając do swojego pokoju w klasztorze, czuł, że w sprawie dowodów znalazł się przed ścianą, której nie potrafi rozbić.

Wiedział, że za nią kryje się argument, którego nikt nie zdoła podważyć, ale na razie nie znał sposobu, by ją pokonać. Po drodze kupił wodę mineralną i płacąc przy kasie, zerknął przez oszklone drzwi na ulicę.

Miał wrażenie, że mignęła mu postać Siergieja, ale wydało mu się to nieprawdopodobne. Prom przecież właśnie odpłynął do Islandii. Nawet gdyby i tym razem był w Tórshavn z kolejną grupą turystów, w tej chwili powinien być na pokładzie „Norröny”. Zapewne był to tylko ktoś do niego podobny. A może Robert był przewrażliwiony?

Pomyślał o Nadii, wyobrażając sobie, co teraz robi. Pewnie urządza się w swoim pokoju, może wysłuchuje tyrad emerytowanej nauczycielki, a może położyła się wcześniej i czyta... Albo marzy...

Postanowił jeszcze dziś zabrać się za pisanie raportu dla sponsora.



Obudził się dość późno. Pracował do piątej rano, aż ukończył pierwszą wersję raportu. Teraz powinien rozwinąć tylko niektóre wątki i popracować nad wnioskami. Zdecydował, że zabierze się do tego od razu po śniadaniu. W klasztorze trwały już codzienne zajęcia. W sklepie kupił gotową kanapkę i skonsumował ją w drodze powrotnej. Zaszedł do biblioteki. Brat Grden siedział przy komputerze ze swoimi nieodłącznymi słuchawkami na uszach i w pierwszej chwili go nie zauważył. Dopiero gdy Nowicki zbliżył się na odległość kilku kroków, podniósł głowę, a w jego oczach błysnęło zaskoczenie.

– Ach to pan, profesorze... – uśmiechnął się.

– To tylko ja, nie przeor...

– Dałby mi za moje mp3 – pokręcił głową... – Ściągnąłem najnowszą płytę „Łysych Kogutów”, to kapela z mojego miasteczka...

– Proszę sobie nie przeszkadzać, zerknę tylko do manuskryptu...

– Jasne... ja i tak zaraz kończę dyżur w bibliotece i idę myć schody.

Robert zerknął ciekawie na młodego mnicha, który miał talent do wikłania się w kłopoty.

– Znów zarobiłem dyżury poza kolejnością, bo się spóźniłem, wracając z sobotniego meczu...

Robert uśmiechnął się tolerancyjnie. Grden tylko rozłożył bezradnie dłonie, ale nie miał w zwyczaju zbyt długo się martwić, bo zaraz zatarł je wesoło.

– A wie pan, że Tórshavn przegrało z 07 Vestur trzy do jaja? Nikt się nie spodziewał, tym bardziej że nasi mają teraz u siebie tego Brazylijczyka...

– Jeśli brat kibicuje Tórshavn, to współczuję...

– I tak są z przodu tabeli, więc... Ale tym sposobem cały tydzień szoruję schody. Na szczęście już czwartek, więc z górki...

Robert usiadł przy sąsiednim stole z manuskrytem i ostrożnie przekładał kolejne strony. Brat Grden nie mógł jednak usiedzieć w milczeniu.

– A wie pan, profesorze, że na „Norrönne” nie mogli się wczoraj doliczyć pasażera?

Nowicki popatrzył na niego z ciekawością.

– Jak to, nie mogli się doliczyć?

– W Kopenhadze wsiadł komplet, a w Tórshavn brakowało jednego.

– Skąd brat wie?

– Przecież Faroe to najbardziej rozplotkowane państwo na świecie. Plotka jest szybsza niż wiadomości radiowe, niż internet nawet, nie mówiąc o gazetach. Dlatego dziennikarze tak kiepsko tu zarabiają... – zachichotał.

Robert zadumał się.

– Ciekawe...

– Pewnie, że ciekawe... Ale jakby co, to ja nic nie mówiłem, bo jeszcze zarobię dyżur w kuchni...

– A czy ja w ogóle coś słyszałem? – Robert puścił do niego oko, a zakonnik uśmiechnął się porozumiewawczo.

Nagle zgrzytnęła klamka, z piskiem otworzyły się drzwi i stanął w nich podekscytowany przeor. Na widok Roberta jakby odczuł ulgę.

– Dobrze, że pana znalazłem...

– Coś się stało?

– Tak, to znaczy nie... – Odparł lekko zdyszany. – A właściwie to nawet nie wiem.



Robert podsunął mu krzesło, by usiadł. Przeor chętnie skorzystał.

– Profesorze – rzekł po chwili. – Musi pan iść na policję.

– Na policję? A po co?

– Tego to i ja nie wiem. Godzinę temu dzwonił do mnie Velgur, zastępca szefa policji, i pytał o pana.

Nie było pana w pokoju, myślałem, że znów poszedł pan... Słowem, że jest pan w mieście... Prosił, aby pan się do niego pofatygował.

Robert był zdziwiony, czego od niego może chcieć policja?

– Chciał tu przyjechać – ciągnął przeor – ale nawet jakby nie brał radiowozu, to i tak by wszyscy wiedzieli, że zastępca komendanta policji myszkował w klasztorze, dlatego ustaliliśmy, że to pan się do nich pofatyguje.

– Rozumiem... O której mam tam być?

Przeor rzucił mu niecierpliwe spojrzenie.

– Jak najszybciej. – Sapnął. – Przynajmniej jedno będziemy mieli z głowy.

Spojrzał uważnie na Grdena, który zdawał się całkowicie pogrążony w rejestrze ksiąg, jakby nie słyszał, o czym właśnie mówił jego przełożony.

– A bratu chyba nie muszę przypominać – rzekł mocnym głosem, powoli i dobitnie dobierając słowa – że nasza reguła przewiduje zwyczaj, a nawet obowiązek... milczenia.

Grden posłusznie skinął głową. Przeor spojrzał na zegarek ukryty pod rękawem habitu, zmarszczył brwi i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Już prawie minuta po...

W tej samej chwili rozległo się bicie dzwonów.

– Anioł Pański...

Grden wstał, szykując się do wyjścia.

– Po modlitwie brat uda się po środki czystości do ojca Feliksa.

I zwrócił się ponownie do Nowickiego.

– Lepiej nie odkładać tej wizyty u inspektora Velgura. A potem proszę zajrzeć do mnie, dobrze? Ja po prostu muszę wiedzieć o wszystkim, co dotyczy klasztoru i osób z nim związanych. Nawet w taki sposób jak pan.

Nowicki skinął głową. Spojrzał tylko na otwarty manuskrypt, gdzie na rysunku w rogu strony widniał diabeł morski wyłaniający się z głębi oceanu, a przy nim niewielki okręcik miotany wysokimi falami.

– Mogę to tak zostawić? – Wskazał na księgę i swój komputer.

– Nie ma problemu, nikt tego nie będzie ruszał podczas pana nieobecności. Wie pan, jak tam trafić? To przy Jonas Broncks 17.

Widząc, że Nowicki nie bardzo kojarzy, wyjaśnił:

– Przejdzie pan przez centrum, minie przystań Smyril Line i pójdzie jeszcze jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej. Zresztą są tablice informacyjne.

– Dziękuję, znajdę – powiedział i wyłączył laptop.



Szedł powoli wąskimi uliczkami, które tego dnia były raczej pustawe. Tętniły życiem i rozbrzmiewały nawoływaniem turystów tylko w te dni, gdy w Tórshavn cumowała „Norröna”. Minął kilka otwartych wejść do sklepików i barów. Nagle zobaczył przed sobą swój własny cień. Zza pleców wyjrzało słońce i nawet poczuł na ramionach ciepło jego promieni. Mimo końca lipca nie zdarzało się to zbyt często.

Klimat atlantycki nie rozpieszczał mieszkańców małego archipelagu. Szedł i obserwował swój cień, który drgał z każdym krokiem. Bawiąc się jak dziecko, które pragnie uciec swojemu odbiciu, przeskakiwał po nawierzchni trotuaru, przemykając między niewielkimi kałużami, i nawet roześmiał się, gdy zdał sobie sprawę, jak pocieszny może wydawać się tym nielicznym przechodniom, którzy zawitali tu w to letnie południe. Powędrował wzrokiem wyżej, chcąc sprawdzić, jak wiele osób mu się przypatruje, i w oknie pobliskiego baru zobaczył... Siergieja.

Staął z nim twarzą w twarz, ale zorientował się, że tamten go nie widzi. Rosjanin siedział przy stoliku naprzeciw... Nadii i mówił o czymś gorączkowo. Ona, równie wzburzona, wykrzykiwała coś do niego i w pewnej chwili chciała go nawet uderzyć. Siergiej powstrzymał ją jednak, chwytając za nadgarstek, i też coś krzyknął. Oczy Nadii wyrażały nienawiść. Robert był zaskoczony. Nigdy nie widział u niej oznak agresji. A więc i taka potrafiła być... Uświadomił sobie, że właściwie poznał tylko jedną jej stronę. Tę, którą ona sama mu pokazała. Ale przecież musiała być także i inna Nadia... Dlaczego nigdy o tym nie pomyślał? Jaka zatem jest naprawdę? Może o odpowiedź byłoby łatwiej, gdyby wiedział, kim jest.



Podinspektor Velgur był smukłym mężczyzną przed pięćdziesiątką. Z postawy przypominał stereotyp dzielnego rybaka. Jego ojciec i dziad rzeczywiście życie spędzili na połowach. On po szkole wybrał akademię policyjną w Kopenhadze, a po jej ukończeniu wrócił na Faroe i zaczął pracować w policji.

Przeszedł w niej niemal wszystkie szczeble, od służby patrolowej do wydziałów walki z narkotykami i zabójstw. Gdy tam pracował, pełniąc jednocześnie funkcje kierownicze dwóch jednoosobowych jednostek, bo wówczas nikt na archipelagu nawet nie myślał o marihuanie, a ostatnich zabitych od czasu nalotów hitlerowskich bombowców odnotowali w wypadku samochodowym kilkanaście lat wcześniej – miał wrażenie, że jest na nieustającym urlopie. Ale nie zajął się wędkowaniem. Uczył się grać na klarnecie i nawet udało mu się wyćwiczyć kilka utworów Benny'ego Goodmana. Słuchał ich z płyt i dogrywał całe partie na swoim instrumencie, starając się połknąć i przetrawić to coś, co nazywano swingiem, a co wciąż było mu takie dalekie. Jego żona znosiła te hałasy bez szemrania; chyba naprawdę go kochała.

Potem awansował na zastępcę szefa policji i wtedy pracy było więcej, więc czas na klarnet został zdecydowanie ograniczony, ale i tak kilka razy w tygodniu zdarzało mu się przysiąść ze swoim ulubionym instrumentem.

Usadził Nowickiego na krześle przed biurkiem i przyjrzał mu się ciekawie. Znał go z widzenia.

Zresztą trudno, aby w tak niewielkiej miejscowości ktoś nowy umknął jego uwadze. Widywał go z tą rudą zgrabną dziewczyną, prowadzali się za rękę jak para nastolatków, a przecież ten facet młodzieniaszkiem już nie był. Podobnie zresztą jak i on, ale jemu nigdy nie przyszłoby do głowy iść przez miasto, trzymając rękę na... tyłku obcej kobiety. Ta babka, choć ładna, nie była zbyt ciekawą postacią. Ludzie różnie o niej mówili, a ten pożar... Nie było żadnych dowodów, że mogło się to stać z jej powodu lub przy jej udziale, ale... podinspektor Velgur wolał mieć oczy otwarte i do każdego podchodził z dystansem. No więc teraz ten Polak...

– Imię i nazwisko?

– Robert Nowicki.

– Wiem, wiem, ale muszę zapytać dla porządku. Ma pan paszport?

Robert podał mu dokument. Velgur zeskanował kilka kartek.

– Właściwie, jaki jest cel pańskiego pobytu na archipelagu?

Robert wzruszył ramionami.

- Nie przekroczyłem trzech miesięcy i nie pracuję bez zezwolenia...
- Ależ ja panu tego nie zarzucam. Po prostu pytam?
- Mieszkam u franciszkanów i przeglądam ich bibliotekę. Mają wspaniałe okazy, a to jest związane z moimi zainteresowaniami zawodowymi.
- Pan jest profesorem? W jakiej specjalności?
- Jestem historykiem. Zajmuję się epoką wielkich odkryć geograficznych.
- Czy od czasu przybycia na Wyspy – zerknął do paszportu – czyli od końca maja, opuszczał pan archipelag?
- Nie.
- Cały czas przebywa pan w Tórshavn?
- Można tak powiedzieć. Jeśli opuszczałem miasto, to tylko na kilka godzin, zwiedzałem wyspy.
- Rozumiem. Co robił pan przedwczoraj?
- Nowicki uśmiechnął się i opowiedział, omijając jedynie niektóre szczegóły związane z Nadia.
- A ta pani, Nadia... cały czas była z panem?
- Tak, jak powiedziałem.
- A jak spędził pan dzień wczorajszy?
- Bardzo podobnie, ale wieczorem wróciłem do klasztoru.
- Noc spędził pan w pokoju przydzielonym przez ojca przeora?
- Od 22, bo wcześniej byłem w bibliotece. Proszę mi powiedzieć, bo nie rozumiem, do czego pan zmierza?
- Zaraz pan zrozumie, przedtem jeszcze tylko jedno pytanie. Kto to jest dla pana Soren Kalesson?
- Nikt, nie znam nikogo takiego.
- Czyżby?
- W każdym razie to nazwisko z niczym konkretnym mi się nie kojarzy.
- Aż trudno uwierzyć...
- A to dlaczego?
- Bo to również profesor historii.
- Być może, panie inspektorze, ale trudno wymagać, abym znał wszystkich profesorów historii na świecie, a nawet w Europie. Mam nadzieję, że jest to dla pana oczywiste.
- Nie do końca. On wprawdzie nie był specjalistą od wielkich odkryć geograficznych, ale specjalizował się w biografii króla Christiana

Oldenburga.

– To ciekawe... Ja również interesuję się tym monarchą, ale tylko marginalnie i być może dlatego nie miałem okazji zetknąć się z pracami pana profesora ani poznać go osobiście.

– I chyba już go pan nie pozna. Zaginął podczas rejsu do Tórshavn, ale zachowały się rzeczy w jego kabinie na promie.

– To przykre, ale co ja mam z tym wspólnego?

– Właśnie to chcę ustalić.

Nowicki zirytował się.

– Proszę uprzejmie, przecież ja panu nie będę w tym przeszkadzał.

Na twarzy Velgura pojawił się grymas zniecierpliwienia. Przez chwilę miał ochotę ryknąć na tego Polaka, żeby przestał robić z niego wała, dokładnie tak, jak to widywał na filmach z Brudnym Harrym, ale powstrzymał się. To byłoby poniżej godności wyspiarza i grubo poniżej poczucia jego godności własnej.

– Mam wrażenie – westchnął – że jest pan jedyną osobą, która może mi pomóc, i tego właśnie od pana oczekuję.

Robert obrzucił go chłodnym wzrokiem i rozłożył ręce.

– Pan wybaczy...

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem i Nowicki nie opuścił swoich oczu. Velgur doszedł do wniosku, że spojrzenie tego Polaka jest szczerze.

– W rzeczach tego Sorena Kalessona znaleziono notatnik. A w nim tylko jedno nazwisko. Wie pan czyje?

– Nie mam pojęcia.

– Pańskie – powiedział powoli, cedząc słowa. – I adres u ojców franciszkanów. Dlatego wiedziałem, gdzie pana szukać.

Na twarzy Nowickiego odmalowało się zaskoczenie.

– A więc to tak...

– Ano, właśnie tak.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, gdy już przyszedł do siebie i nabrał oddechu, to to, że Kalesson musiał być tym ekspertem Petersena i że płynął do Tórshavn, by spotkać się z nim, odebrać raport i obejrzyć manuskrypt. I że ktoś mu w tym przeszkodził. Profesor był jednak na tyle przytomny, by zachować tę informację dla siebie.



## W kręgu podejrzeń

Biblioteka była pusta, a drzwi jak zwykle nie były zamknięte na klucz. Zakonnicy nie zamykali przed sobą żadnych pomieszczeń, dzięki temu Robert mógł mieć dostęp do zbiorów o każdej porze dnia i nocy.

Gdy podszedł do stołu, na którym leżał manuskrypt i jego laptop, odniósł wrażenie, że coś jest nie w porządku. Ktoś ruszał jego rzeczy. Komputer stał w innym miejscu, a na ekranie wyświetlał się dokument raportu, który przecież – Robert pamiętał to dokładnie – na pewno zamknął. Zamknął w ogóle komputer przed wyjściem. Przyjrzał się manuskryptowi. Był otwarty na stronie z rysunkami tubylców, a przecież ostatnio studiował kartę z wizerunkiem diabła morskiego i tańczącego na falach niewielkiego okrętu.

Wyszedł na korytarz, szukając przeora. Chciał go zapytać, kto przebywał w bibliotece podczas jego nieobecności. Ojca Roscoe nie było jednak w budynku. Pojechał do hospicjum. Robert poszedł do swojego pokoju i tam również stwierdził czyjąś niedawną obecność. Ktoś przetrząsał jego rzeczy w szafie i na stole. To wzbudziło jego niepokój. Czyżby był śledzony? Może policja zrobiła to podczas jego wizyty na posterunku? I to tak, aby łatwo mógł się zorientować, że jest obserwowany? A może to wcale nie policja, tylko ktoś inny? Jeśli tak, to kto?

Szybko jednak odrzucił tę myśl. Wyszedł z założenia, że nieporządek był dziełem policji, której przecież nie musiało zależeć na zachowaniu daleko idącej dyskrecji. Taka nieformalna rewizja mogła być przecież rodzajem presji, którą powinien odczuć, by stać się bardziej otwartym na współpracę...

Zniknął człowiek, w jego bagażu znaleziono adres Roberta. Chcieli go sprawdzić, co w tym dziwnego? Może to tylko rutynowa kontrola i nie ma powodu do niepokoju? I po chwili kolejna myśl: A jeśli to jednak nie

policja, to kto? I w jakim celu to zrobił? Kto czytał jego raport? Z jakiego powodu interesuje się historią starej księgi? I to tajemnicze zniknięcie profesora Kalessona. Czy ma coś wspólnego z badanym przez niego manuskryptem? Komu te badania przeszkadzają i z jakiego powodu?

Czy zniknięcie duńskiego naukowca ma z tym coś wspólnego? Być może to tylko zbieg okoliczności.

Gdy schodził na dół, przy wyjściu zobaczył brata Grdena. Ubrany w ciemny dres wycierał właśnie zmytą podłogę.

– Mam pytanie do brata...

Mnich podniósł głowę. Znów miał na uszach słuchawki i teraz odchylił je na chwilę.

– Czy podczas mojej nieobecności ktoś był w bibliotece.

Grden zrobił zdziwioną minę.

– Nie sądzę, musiałbym to zauważyć.

– A policja...

– Co policja?

– Byli tu?

– W naszym domu zakonnym? – Pokręcił z przekonaniem głową. – W życiu! Ojciec przeor, gdyby nawet pozwolił im tu wejść, nie zostawiłby ich samych ani na chwilę.

– A brat wchodził potem jeszcze do biblioteki?

– Nie, wyfasowałem szmaty i „chemię” od ojca Feliksa i zabrałem się do czyszczenia. Choć to właściwie, nie obrażając nikogo, a już najmniej ojca przeora, trochę upierdliwe, tak kazać komuś myć codziennie podłogę – westchnął. – Wszystkie piętra, korytarze i schody. Przecież kilka osób, które tu mieszkają, to i w tydzień by nie zdeptało, nie mówiąc o zabrudzeniu... Ale nie, masz myć codziennie po modlitwie na Anioł Pański... I to ma mnie niby nauczyć pokory? Bo ja, panie profesorze, wciąż szukam w tym wszystkim sensu... Nie rozumiem, co by komu szkodziło, gdyby zakonnik, zwyczajny brat, mógł sobie słuchać muzyki, chodzić na mecze, a czasem nawet wypić piwo w barze z kolegami... Czy to wyklucza dobrą posługę, a nawet kapłaństwo? No niech pan powie?

Robert rozłożył ręce.

– Nie wiem, nie znam się na tym. Chciałem tylko wiedzieć, czy nikt nie wchodził do biblioteki podczas mojej nieobecności?

– A pan wciąż swoje. Zginęło coś?

– Nie... Właściwie nic się nie stało.

Grden westchnął i teatralnie przewrócił oczami.

– Nie widziałem, ale wykluczyć nie można. Być może ktoś zajrzał do biblioteki, gdy zmywałem dwa górne piętra...

– Dziękuję bratu. Przepraszam...

– Aha, bobym zapomniał... Był tu ten Polak, rybak... Wie pan, ten duży facet. Pytał o pana.

– Zostawił jakąś wiadomość?

– Nie, mówił, że chciał pogadać. Był jakiś podenerwowany...

– Podenerwowany?

Grden pokiwał głową, wyjął szmatę i ponownie klęknął, by skończyć zmywanie. Nagle podniósł głowę.

– A wie pan, że gdyby chciał, toby mógł wejść do biblioteki.

– Jakim sposobem?

– Jak zmywam, otwieram główne drzwi, aby był przeciąg, wtedy podłogi szybciej schną. I on wszedł aż na pierwsze piętro. Tam mnie zastał.

– Odprowadził go brat?

– Nie, po prostu wyszedł.

– Rozumiem... Od razu?

– Od razu.

Odnalezienie Dalmora nie było trudne. Mógł być albo w sklepie rybackim, albo w którymś z pobliskich barów, w których wcześniej razem bywali. Robert znalazł go wciśniętego w kąt pustej tawerny nad szklanką piwa, do której wlewał właśnie miarkę białej wódki...

– Dzisiaj, widzę, na ostro? – zagadnął.

Dalmor był przybity. Nie odpowiedział.

– Szukałeś mnie?

Ryszard skinął głową.

– Coś się stało?

– Ina wraca na Grenlandię. Dostała wiadomość o mężu i synu. – Dalmor popatrzył na Nowickiego zbolalym wzrokiem.

– Kiedy jedzie?

– Odwiozłem ją na lotnisko. – Popatrzył na zegarek. – Za chwilę będzie lądować w Reykjavíku, a o osiemnastej ma lot na Grenlandię.

– Dobrze, że cię spotykam...

Dalmor powstrzymał Nowickiego gestem dłoni i wypił duszkiem zawartość całej szklanicy. Potem odetchnął i zapytał z najniewinniejszą miną:



– Wypijesz piwko?

A więc to dlatego Dalmor go szukał. Potrzebował towarzystwa, bo chciał pogadać, napić się... Jak mógł go podejrzewać, nawet przez sekundę?

– Wypiję. – Uśmiechnął się i położył Ryszardowi dłoń na ramieniu. – Jasne, że wypiję. – Odwrócił się do barmanki i pokazał jej dwa palce – Föroya Bjór...

Rozmawiali ponad godzinę. Ryszard nie potrafił skupić się na niczym, co nie wiązało się z Iną i jej wyjazdem. Robert pocieszał go jak potrafił, ale i on nie był dziś w najlepszej formie. Gdy wypili następne piwo, przekazał Dalmorowi memory stick.

– Pilnuj jak oka w głowie.

Dalmor zerknął ciekawie.

– Co to jest?

– Moje badania. To pozostaje wyłącznie między nami. Tylko ja mogę to od ciebie odebrać. Nikt inny.

Rozumiemy się?

Dalmor pokiwał głową. Barmanka postawiła przed nimi kolejne dwa piwa.

– Coś do tego?

Nowicki spojrzał ciekawie. Dziewczyna wskazała na półkę za barem, gdzie stały butelki.

– Jagermaister, becherowka, finlandia?

– Ja dziękuję...

Dalmor też zrezygnował ze wzmacniacza. Gdy wróciła za ladę, spojrzał na memory stick z obawą, jakby to była bomba atomowa, po czym ostrożnie schował do kieszeni na piersi.

– Mów, profesor, co się dzieje?

– No właśnie... Sam chciałbym wiedzieć...

Zobaczył za oknem Nadię i zamilkł. Szła wolno z plecakiem na ramieniu i rozglądała się, jakby kogoś wypatrywała. Dalmor również ją zauważył.

– Zaproś ją...

– Nie – uciął ostro profesor.

Dalmor przyjrzał mu się badawczo.

– Znakiem tego... u was też coś nie za bardzo?

– Po prostu mam ważniejsze sprawy na głowie. Ten memory stick... pendrive, paluszek, gwizdek...

Nazywaj to, jak chcesz, najważniejsze, abys mi to przechował w nienaruszonym stanie i aby nikt nie miał do tego dostępu.

– Tajne akta Odessy? – Zaśmiał się, ale na jego twarzy pojawiła się niepewność.

– Prawie, a może nawet ważniejsze. To moje badania, cała praca, dokumenty, opracowania, zdjęcia...

Ktoś się tym interesuje, na razie nie wiem, z jakich powodów. Ktoś bardzo chciałby to mieć, być może nawet... za bardzo wysoką cenę...

– Jak wysoką? – Dalmor próbował zakpić. – Ile można z tego wyciągnąć?

Nowicki nie podjął żartobliwego tonu.

– Życie – powiedział poważnie.

– Ej, profesor, w co ty chcesz mnie... – zamilkł i spojrzał ponad głową Roberta. Dopiero po dłuższej chwili na jego twarzy ukazał się wymuszony uśmiech.

– Cześć – powiedział do kogoś, kto był za plecami Nowickiego.

Profesor odwrócił się. Przed nim stała Nadia. Nie uśmiechnął się, nie podniósł z krzesła. Jej wahanie nie trwało jednak dłużej niż sekunda. Pochyliła się nad nim i pocałowała go w policzek.

– Witaj, kochanie... Myślałam, że wpadniesz do mnie, ale nie doczekałam się i wyszłam, aby cię poszukać. No i tu cię znalazłam...

Rozmowa nie kleiła się. Robert zostawił połowę piwa i pożegnał się z Dalmorem.

– Wpadnę do ciebie – powiedział Robert, ściskając mu dłoń.

– Zawsze jesteście mile widziani... – rzekł rybak i pociągnął spory łyk piwa.

Na ulicy Nadia wzięła go pod ramię i wtuliła się w niego. Nie otoczył jej ramieniem, jak zwykle w takich sytuacjach. Spojrzała na niego wyczekująco, ale odwrócił wzrok, udając, że przygląda się wystawom. Po tym jak zobaczył ją z Siergiejem, odczuwał wobec niej nieufność. Zastanawiał się, czy wspomni o tym spotkaniu. Szli razem, nie rozmawiając.

– Chciałaś mi coś powiedzieć? – zagadnął po chwili.

– Będę musiała wyjechać.

Robert spojrzał na nią podejrzliwie.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała od razu.

– Dostałam wiadomość. Ważne sprawy zawodowe... i rodzinne. Matka miała problem z ciśnieniem, wylądowała nawet w szpitalu. Ustabilizowali ją, jest już w domu... Poza tym muszę załatwić formalności w mojej firmie. Szef się wścieka. Powiedział, że muszę się na coś zdecydować. Albo wracam do pracy, albo rezygnuję...

Nie brzmiało to zbyt przekonująco.

– Co zamierzasz?

– Zamierzam z nim porozmawiać i...

– I?

– Wynegocjować jeszcze miesiąc wakacji.

– Ja też mogę tu być jedynie do połowy sierpnia. Potem muszę wracać na uniwersytet.

– A zatem nie zostało nam zbyt wiele czasu?

Nie odpowiedział. Przecież wszystko ma swój kres. Nie rozmawiali o tym, co będzie, gdy wakacje się skończą i każde z nich będzie musiało wrócić do swojego życia. Wprawdzie trochę się przekomarzali, ale nie padły żadne konkrety.

– Naprawdę zamierzasz tu jeszcze wrócić?

– Jeśli miałbyś czekać?

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

– Masz wątpliwości?

– Nie wiem... Nie ciągnij mnie dziś za język.

– Jak nie dziś, to kiedy?

– Jak wrócisz...

Spojrzała na niego ufnie.

– Wrócę, przecież wiesz, że wrócę.

Znów przeszli kilka kroków w milczeniu. Spojrzał na nią z ukosa. Przymrużone oczy i zawadiacki uśmiech świadczyły, że jest w nastroju do żartów i figli. A przecież jeszcze kilka godzin temu, doprowadzona do wściekłości, chciała uderzyć Siergieja. Była dobrą aktorką czy tylko świetnie panowała nad sobą?

– Nadiu...

– Tak?

– Jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć?

Spojrzała na niego zalotnie.

– Może?

Zachęcił ją wzrokiem.

– To na co czekasz?

– Na twój pocałunek.

Poczuł, że się nim bawi.

– Ale ty, zdaje się, dzisiaj nie w humorze? – zagadnęła.

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo.

– Czy coś się stało?

Rozłożył ręce i zdawało mu się, że ten nieokreślony gest wystarczy za odpowiedź, ale Nadia była dociekliwa.

– Spotkała cię przykrość?

– W pewnym sensie. Przesłuchiwała mnie policja.

– Ciebie? – Zaśmiała się. – Rzuciłeś papierek na trawnik czy przeszedłeś ulicę obok pasów?

– Zaginał człowiek, który płynął na „Norrönne”, aby się ze mną spotkać w Tórshavn.

Nadia puściła jego rękę i zobaczył na jej twarzy ten sam rozpaczliwy wyraz, który miała podczas rozmowy z Siergiejem. W jej głosie usłyszał drżenie.

– Skąd wiedzieli, że miał się spotkać właśnie z tobą?

– Jakoś to ustalili. – Robert doszedł do wniosku, że lepiej nie mówić Nadii zbyt wiele.

– Cholera! – Po raz pierwszy usłyszał, jak klnie.

– Ten mężczyzna był wysłannikiem sponsora. To profesor Kalesson z Kopenhagi.

– Nie żyje?

– Na razie tylko zaginał, ale skoro się to stało na środku oceanu, należy się spodziewać, że najprawdopodobniej nie żyje.

Kilka kroków dalej powiedziała tylko jedno słowo:

– Niefart!

Odnotował, że jak na kobietę, nie była to typowa reakcja. Powiedział, że ładnie wygląda, że w słońcu pięknie lśnią jej rude włosy. Nie podjęła tonu. Najwyraźniej straciła humor. Popatrzył na nią z ukosa.

– Kiedy płyniesz?

– Jutro. Odprowadzisz mnie?

– A chcesz?

W kącikach jej ust zabłąkał się grymas irytacji.

- A jak myślisz?
- Nadia, powiedz mi, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi?



Zaraz po śniadaniu wyszedł z klasztoru i usiadł w jednej z kafejek w centrum. Chciał zweryfikować to, co trapiło go podczas bezsennej nocy. Wieczorem, chcąc sprawdzić, czy w jego laptopie zostały jeszcze jakieś materiały dotyczące badań, trafił na posty, jakie wymienił z dyskutantami na forum po odkryciu manuskryptu. Wybuchła wówczas gwałtowna dyskusja między zalogowanymi uczestnikami i równie szybko ucichła, gdy zdecydował się na opublikowanie zdjęć manuskryptu. Wczoraj wieczorem, czytając poszczególne wpisy, zwrócił uwagę, że argumentacja tych, którzy podawali w wątpliwość autentyczność dzieła, była niezwykle podobna. Sprawdził internetowe numery identyfikacyjne IP dyskutantów, ale nie zauważył w nich nic szczególnego. Zastanowiło go jednak, że kilku z nich zarejestrowało się na forum dopiero po tym, jak ogłosił swoje odkrycie. Ci gremialnie podawali je w wątpliwość, często nie przebierając w słowach.

Racząc się mocną kawą, próbował ustalić tożsamość swoich najzacieklejszych adwersarzy. Szybko okazało się, że ich nazwiska niewiele mu mówią. Niektórych poznał osobiście na różnych konferencjach i sympozjach. Ci zresztą powstrzymywali się od jednoznacznych opinii, zachęcając do dalszych badań.

Zajmowali pozycję wyczekującą, którą można było streścić w dwóch zdaniach: Działaj, a przekonamy się, do czego doszedłeś. Pogadamy, jak ustalisz więcej danych.

Obok nich była też grupka takich, którzy potępiali w czambuł sens dalszych badań, twierdząc, iż manuskrypt, o ile w ogóle istnieje, jest co najwyżej falsyfikatem. Nowicki sprawdził, że osoby takie faktycznie istnieją. Prowadzą działalność naukową i są autorytetami w swoich katedrach. Mimo że ich nazwiska niewiele mu mówiły, musiał powtórzyć w duchu to, co już wczoraj powiedział podinspektorowi Velgurowi. Nie mógł znać ani nawet pamiętać nazwisk wszystkich profesorów historii na świecie. Przeglądał ich metryczki i notki biograficzne i w pewnej chwili stwierdził, że autorem jednego z postów był uczoney, który od ponad roku... nie żył. Sądząc, że może to być pomyłka, Robert sprawdził ten fakt w Wikipedii oraz na stronach instytutu, w którym pracował. Nie było mowy o

pomyłce, podawano dokładną datę śmierci oraz informację, że profesor odszedł po długiej i ciężkiej chorobie, która wykluczyła go z pracy naukowej już kilka miesięcy wcześniej. Trudno więc było przypuszczać, iż historyk zmartwychwstał i uaktywnił się tylko po to, by podważyć wartość jego dokonań.

Robert sprawdził IP, spod którego wysłano post od nieboszczyka. Operator internetowy mieścił się w Messynie. Pół godziny później miał już pewność, że wpisy pochodzące rzekomo od respondentów z różnych krajów zostały wysłane z jednego miasta, z Messyny na Sycylii. Czyżby ten atak na jego artykuł był zorganizowaną akcją? A jeśli tak, kto nią kierował? Komu zależało, by zdyskredytować wagę odkrycia dokumentu potwierdzającego istnienie Jana z Kolna? I z jakiego powodu? Komu zagrażał średniowieczny żeglarz, o którym dotąd mawiało się wyłącznie z przymrużeniem oka, podając w wątpliwość nie tylko jego dokonania, ale i istnienie.

Nowicki pomyślał o tajemniczym zaginięciu profesora Kalessona. A może jednak powinien się tymi spostrzeżeniami podzielić z podinspektorem Velgurem?

Po zastanowieniu zdecydował, że wstrzyma się z tym jeszcze przez jakiś czas, ale skopiuje treści postów, numery IP, a także metryczki uczestników forum, ze szczególnym uwzględnieniem profesora dającego głos zza grobu. Tak też uczynił. Wszystkie dane, zarówno te, które powierzył Dalmorowi, jak i te, które skopiował przed chwilą, wysłał na swój dodatkowy adres mailowy, z którego pocztę można było odczytać wyłącznie na komputerze w jego gabinecie w Instytucie Historii w Gdańsku. Ustawiona była w ten sposób, że ściągnięcie postów nie kasowało ich w serwerze. Do tego potrzebne było specjalne hasło. Tym sposobem ubezpieczył się podwójnie. Gdyby stracił wszystkie nośniki, jeszcze jedna kopia czekała na jego serwerze w Gdańsku.

Zerknął na zegarek. Do odejścia promu zostało trochę czasu. Sprawdził pocztę. Wśród kilku reklam był też list od Svensona. Norweg nie odniósł się do zaginięcia profesora Kalessona ani słowem.

W lakonicznym liście informował, że przekazuje dwie kolejne ekspertyzy mikrośladów w załączniku.

Nowicki otworzył je.

W pierwszym przeczytał, iż badany obiekt stanowi ususzony płatek róży czerwonawej *rosa glauca*, pochodzący prawdopodobnie z XV lub XVI

wieku. Róża spotykana dziś na wszystkich kontynentach, w wiekach średnich i okresie odrodzenia była bardzo popularna szczególnie w przydomowych ogródkach miejskich i podmiejskich środkowej Europy... Profesor Knuttsen, szef laboratorium w instytucie Svensona, donosił, że na powierzchni badanego obiektu udało się wyodrębnić niewielkie ślady zasolenia.

To sól morską w niskim stężeniu, co może wskazywać, że roślina rosła i została zerwana lub ścięta w pobliżu wód morskich o niewielkim zasoleniu, jakim charakteryzuje się choćby Morze Bałtyckie.

Dalej autor raportu donosił, że w symbolice motyw róży przewija się przez wszystkie epoki w większości kultur. Niemal na całym świecie czerwona róża kojarzona była z seksualnością.

Początkowo bywała emblematem prostytutek, a w okresie odrodzenia stała się ozdobą nowożeńców i łoża małżeńskiego. Symbol kwiatu otoczonego kolcami stał się znakiem miłości, która wiąże się z pokonywaniem przeciwności.

Nowicki przeczytał raport bardzo uważnie, rejestrując wszelkie konotacje. Stwierdził jednak, że niewiele wnoszą do sprawy. Płatek róży mógł znaleźć się między stronami manuskryptu przez przypadek, jak na przykład stary bilet tramwajowy odnaleziony między kartkami książki wypożyczonej z biblioteki.

Ktoś go tam włożył jako tymczasową zakładkę, a później zapomniał wyjąć. Mogła to być jakaś mała dziewczynka, która przeglądała stronicę dla zabawy, nic nie rozumiejąc z tekstu, albo odwrotnie – ktoś, kogo ta historia zafascynowała i wzruszyła. Ale mogło to być również w wieku XVI, gdy Jan z Kolna nie żył już od stu lat. Wiek płatka nie został określony zbyt precyzyjnie.

Robert zamknął tę wiadomość i otworzył następną. Zawierała orzeczenie w sprawie substancji wyodrębnionej z karty oznaczonej w katalogu manuskryptu symbolem 17B. Biegły zdołał określić, że to krew ludzka grupy „0”. To jeszcze nic nie znaczyło. W dalszej treści specjalista relacjonował poszczególne czynności procesu badawczego, wymieniał nazwiska laborantów i nadzorujących i dopiero kilka stron dalej Robert natknął się na interesujący szczegół. W toku czynności wyodrębniono łańcuch DNA. We wnioskach końcowych znalazła się informacja o tym, że ów łańcuch jest zgodny w 98 procentach z kodami DNA amerykańskich autochtonów, niektórych narodów Inuitów lub Algonquinów...

Z trudem powstrzymał się, by nie wydać okrzyku radości, który w tych okolicznościach, między sennymi turystami raczącymi się kawą i przeglądającymi gazety, mógłby uchodzić za ekstrawagancję. Po chwili jego uśmiech zgasł, gdy przeczytał, iż wyodrębniony łańcuch DNA jest również zgodny z przedstawicielami narodu Czukczów, Koriaków i Jakutów.

Po zastanowieniu uznał tę wiadomość za pomyślną. Był na dobrym tropie. Przecież ludy Syberii i Indianie Ameryki Północnej wywodzili się ze wspólnego pnia, a zatem kod DNA mógł stanowić poważną poszlakę w procesie dowodzenia jego tezy o lądowaniu Jana z Kolna na Nowej Ziemi.

Był na dobrej drodze. Otrzymał właśnie następne potwierdzenie swojej hipotezy, mimo iż była to tylko kolejna poszlaka. To, że jest blisko rozwiązania zagadki, potwierdzały czyjeś działania zmierzające do zdyskredytowania jego poczynań. Komuś najwyraźniej zależało, by zatrzymać jego badania. I to dziwne zniknięcie duńskiego profesora...

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się pora spotkania z Nadią.



Wyglądało na to, że naprawdę chciała wrócić do Tórshavn. Miała przy sobie tylko plecak i jedną torbę podróżną. Większość rzeczy zostawiła w wynajmowanym pokoju, za który zapłaciła do końca sierpnia. Gdy dotarli na nabrzeże, była bardzo podekscytowana. Rozglądała się, jakby kogoś szukała.

Obserwowała nadchodzących pasażerów, którzy obładowani bagażami wchodzili po trapie na pokład promu. Jej wzrok sięgał i wyżej, gdzie wielu podróżnych stało już na tarasie, przyglądając się nadchodzącym współtowarzyszom podróży.

– Szukasz kogoś?

– Co? Nie, po prostu rozglądam się...

– W każdym razie, jakby co, to ja też go jeszcze nie widziałem.

– Kogo?

– Siergieja.

Spojrzała na niego z przewrotnym uśmiechem.

– Cały czas zazdrosny?

– Raczej rzetelnie oceniający rzeczywistość.

– I jak ona według ciebie wygląda?



– Niezbyt dobrze, szczególnie w świetle ostatnich odkryć.

– A cóż one dowiodły?

Zwlekał z odpowiedzią. Zdawał sobie sprawę, że powinien zachować ostrożność, trzymając pewne sprawy dla siebie, ale stwierdził, że jeśli nawet szczerze wyzna, że wie, iż wokół manuskryptu toczy się jakaś niezrozumiała dla niego gra, nic nie straci. A może tylko zyskać. Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Że komuś bardzo zależy – powiedział dobitnie – aby moje badania nie zostały doprowadzone do końca.

W oczach Nadii nie było już żartobliwych akcentów. Patrzyła na niego śmiertelnie poważnie.

– Na jakiej podstawie wysnułeś takie wnioski?

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o tej dyskusji na forum, gdy ogłosiłem, że odnalazłem manuskrypt Jana Żeglarza?

– Nie bardzo...

– Znalazłem tam kilka wpisów od różnych naukowców, którzy próbowali mnie ośmieszyć. Podawali w wątpliwość prawdziwość księgi, a nawet jej istnienie...

– Tak, kojarzę.

– Te wszystkie osoby... najprawdopodobniej nawet nie wiedzą, że w ich imieniu wysłano te listy.

Zrobił to ktoś, kto się pod nie podszył.

Patrzyła na niego zdziwiona, a może nawet zaskoczona.

– A autorem jednego z nich był profesor historii, który od roku nie żyje.

– To wygląda dość... poważnie.

Przytaknął. Zrobiła pół kroku w jego stronę i przylgnęła do niego całym ciałem. Jej mięśnie były napięte. Objęła go.

– Robert... Zostaw to – szepnęła. – To źli ludzie.

– Skąd wiesz?

Odwróciła oczy, ale pochwycił jej spłoszony wzrok.

– Czuję. Zostaw to. Proszę...

– Daj spokój... Wiesz, że sprawy zaszły za daleko. Nie zrezygnuję teraz...

Przez megafony ogłoszono komunikat, że pasażerowie, którzy jeszcze się nie zaokrętowali, proszeni są o niezwłoczne stawienie się przy trapie.

Nadia rozglądała się po nabrzeżu.

– Chyba jednak wystawił cię do wiatru ten twój Siergiej.

– Robert, zależy mi na tobie. I wrócę tylko dlatego, że ty tu jesteś.  
Przekonasz się.

– Niczego innego nie pragnę. Kiedy?

– W poniedziałek. Teraz muszę już iść.

– Pozdrów szefa...

– Jakiego szefa? – zdziwiła się.

– Tego, który ma ci przedłużyć urlop – rzekł oschle.

Wtuliła się w niego i pocałowała go.

– Daj już spokój. Bądź ostrożny, w nic się nie mieszaj i czekaj na mnie  
– powiedziała na pożegnanie.

Przyłgnęła do niego całą sobą i wyczuł w tym geście szczerłość. Potem odsunęła się, chwyciła torbę i weszła na pokład promu.



## Nocna wizyta

Przyszło mu to do głowy, gdy Nadia zniknęła w wejściu na prom. Takie skojarzenie, komputer, internet, forum dyskusyjne... Kilkanaście wypowiedzi... A Vincenzi? Profesor Vincenzi? Co o jego pracy nad manuskryptem sądzi ten nadęty bufon Vincenzi?

Zasiadł w kawiarence internetowej i jeszcze raz dokładnie przejrzał forum. Vincenzi bywał tam wcześniej, jego ostatnie wpisy pochodziły z kwietnia, a więc jeszcze zanim nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu grantowego w Oslo. Pisał oczywiście o Kolumbie i pewnych wariantach dotarcia do stałego lądu Ameryki Północnej. Kluczem miała być ta jego słynna niepotwierdzona piąta wyprawa...

Nowicki podjął decyzję w sekundę. Co mu szkodzi? Zapyta profesora o jego opinię na temat badań związanych z odnalezionym manuskryptem. Napisał więc krótkiego, okraszonego grzecznościami maila.

Następnie wszedł na stronę Vincenziego i przeczytał jego szczegółowy życiorys. Rzeczywiście, jak na naukowca przed czterdziestką, profesor miał spore osiągnięcia. To stawiało go w rzędzie najlepiej rokujących historyków młodego pokolenia nie tylko w Europie, ale i na świecie. Korzystał również z poparcia ważnych instytucji naukowych i finansowych. Badania Włocha wspierały bardziej lub mniej oficjalnie znane firmy... Ich logotypy pojawiały się na okładkach jego książek. Opinia Vincenziego na temat badań mogła być ważącą przepustką do sukcesu lub jego blokadą. Wchodząc w odnośniki, zagłębiał się w prace Włocha dotyczące rejsów Kolumba na Azory i próbę weryfikacji jego wyprawy w okolice koła podbiegunowego na północ od Islandii... Argumentacja i dobór dowodów profesora były bardzo błyskotliwe, Robert musiał to przyznać...

Z zadumy wyrwał go dźwięk przychodzącej poczty. Wiadomość zawierała ekspertyzę kolejnego mikrośladu. Okazało się, że drobinę

przekazaną do analizy stanowił rzadki gatunek kukurydzy rosnący wyłącznie w Ameryce Północnej, ale współcześnie występujący tam już tylko śladowo. Jego zanik nastąpił na skutek zatrucia upraw w XVII wieku. Swego czasu łodygi tej rośliny rozcinano na drobne włókna, które dawały się rwać jak ptasie pierze. Moczono je w oleju roślinnym, a po kilku dniach, gdy stawały się miękkie i plastyczne, uszczelniano nimi wszelkie przecieki w łodziach. Takiego sposobu używali Indianie z okolic dzisiejszego Bostonu.

Wyglądało na to, że przygotowując się do powrotu, „biali bogowie” wykorzystali sposoby tubylców do uszczelniania swoich okrętów. Jan wspominał o tym w swoich zapiskach. Ekspertyza zawierała dokładny opis technologii stosowanej przy naprawie poszycia okrętów. Pod wpływem wilgoci włókna łodygi pęczniały, dzięki czemu wypełniały szczeliny, dopasowując się do układu spojeń, i stawały się nieprzemakalne. Fragmenty owej rośliny do uszczelniania kadłubów znalazły się między zszywkami poszczególnych kart manuskryptu. Niewiele, jakby ktoś wytarł o nie dłoń, ale wystarczyło, by dokonać ekspertyzy.

W załączniku Nowicki znalazł jeszcze jedną opinię wydaną przez kierownika laboratorium pracowni biochemicznej na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu w Oslo.

*Próbkę numer... dostarczoną w dniu... stanowi okruch listka sassafras, zwanego także sasafranem.*

*Sassafras nees stanowi rodzaj drzew z rodziny wawrzynowatych Lauraceae.*

– Nic mi to nie mówi... – mruknął do siebie. Przerzucił dwie strony i wybrał kolejny akapit...

*Sassafras występuje głównie w Ameryce Północnej i Chinach.*

I to jest dowód! Dziś pewnie można spotkać to drzewo w ogrodach botanicznych i w prywatnych ogródkach, ale w czasach, gdy Jan z Kolna pisał swój manuskrypt, drzewo to występowało jedynie w Chinach i na kontynencie północnoamerykańskim. Nie było go w Afryce ani w Europie. Skoro więc je ujrzał, mógł dojść do wniosku, że wyładował w Kataju lub w którymś z nieodległych krajów. To mogło go zmylić. W tamtych czasach sassafras powszechnie występował także w Ameryce... Jan nie wiedział nawet, że znajduje się na nieznanym w ówczesnym świecie kontynencie.

Pik, pik... Kolejny mail. Zerknął ciekawie. Nadawcą był Vincenzi... W jednym zdaniu informował, że nie słyszał o odnalezieniu rękopisu Jana z

Kolna, nie zna więc żadnych szczegółów i nie może się wypowiadać. Nowicki sprawdził IP adresu, z którego został wysłany mail. Nie pokrywał się z numerem któregośkolwiek z dyskutantów. Wiadomość została wysłana z Genui.

A jednak coś nie dawało mu spokoju. Portal, na którym zamieścił informację o manuskrypcie, był przecież lekturą obowiązkową dla ludzi z ich branży. Co więcej, jeszcze kilka miesięcy wcześniej Vincenzi był aktywnym dyskutantem na jego forum. Jeśli nawet z jakichś powodów przestał się udzielać, z pewnością raz na jakiś czas zaglądał na portal. Choćby po to, by przeczytać odpowiedzi innych uczestników na swoje wcześniejsze posty. Trudno więc było przypuszczać, że informacja o odkryciu rękopisu Jana z Kolna mogła ująć jego uwagę. Tym bardziej że zaraz potem pod artykułem Polaka rozgorzała żarliwa dyskusja, niekiedy obfitująca w inwektywy. Można powiedzieć, że była to – jak na warunki tego forum, bądź co bądź naukowego – prawdziwa awanturka.

Nowickiego zdziwił więc fakt, że człowiek zainteresowany badaniami w tej dziedzinie mógł ominąć wiadomość, która wzbudziła takie zainteresowanie i dyskusję w środowisku. Wysłał mu więc kilka zdjęć stron manuskryptu i artykuł, który wcześniej zamieścił w portalu naukowym. W końcu słynnego kolegę po fachu, specjalistę z tego samego obszaru badawczego, wypadało poinformować o interesującym znalezisku...

Wrócił ponownie do stron opisujących dokonania włoskiego profesora. Czegoś tu brakowało. Co to było? Coś, co określało Vincenziego pełniej, co się z nim kojarzyło, nawet niewerbalnie, co dodawało mu splendoru i wyróżniało go. Czyżby pominął ten fakt celowo? Przecież nie był skromnisiem...

Początkowo nie mógł odszukać brakującego elementu, ale po chwili nawykły do analitycznego myślenia mózg uzupełnił lukę. Bractwo Krzysztofa Kolumba! I jego protektor, książę Colafiori. Nigdzie nie znalazł wzmianki o bractwie ani o księciu. A przecież Vincenzi był z nimi kojarzony i niejednokrotnie

– jak głosiła obiegowa opinia – korzystał w swoich badaniach z ich poparcia i środków.

Wpisał w wyszukiwarce najpierw nazwę bractwa, a potem nazwisko księcia. W obu przypadkach rezultat był ten sam. Komputer nie wybrał ani jednej oferty, która byłaby zgodna z oczekiwaniami Nowickiego. Bractw pokazało się kilkanaście, przeważnie były to szkolne kółka geograficzne w

prowinjonalnych liceach mniej zamieszkanymi częściami Stanów Zjednoczonych. Bogatego Bractwa z Genui nie było. Czyżby aż tak bardzo hołdowali tradycji, że odzegli się od prezentacji swojej organizacji w światowej sieci? Ktoś powiedział, że kogo nie ma w internecie, ten nie istnieje.

Był to bez wątpienia fakt, który należało przemyśleć.

Na chybił trafił wybrał jeszcze ostatnie hasło na stronie. Było to anglojęzyczne forum na portalu „Historia – spiskowa teoria dziejów”, w którym entuzjaści dokonań średniowiecznych odkrywców geograficznych pisali historię świata od nowa. Robert znalazł tam wpis dotyczący bractwa z Genui. Ktoś, używając bardzo kolokwialnych zwrotów, napisał, że Bractwo Krzysztofa Kolumba to ściema i mafia. Że dla nich fakty naukowe to tylko takie fakty, które tworzą oni sami. I że ten portal to najlepsze miejsce na publikację wyników ich „badań”...

Robert odnalazł e-mail autora postu w jego profilu. Był to historyk amator, który chciał zainteresować Bractwo swoim projektem badawczym. Niestety, jak pisał, nie uzyskał wsparcia, jego pomysł został przejęty bez zachowania praw autorskich, jemu zaś podziękowano. Mimo iż pod postem widniało kilka wpisów, które nie pozostawiały na historyku amatorze suchej nitki, Nowicki napisał do niego list z prośbą o więcej informacji.

Dopił herbatę i postanowił wrócić do klasztoru. Idąc pustymi już o tej porze uliczkami Tórshavn, myślał o Nadii... Ten jej nagły wyjazd, mało przekonujące argumenty... Czuł, że nie były prawdziwe.

W tym, co mówiła o warunkach postawionych przez szefa i chorobie matki, zabrakło szczerości.

Przedobrzyła. Jeden argument przekonałby go. Dwa grzyby w barszczu, hm... Jak na niego, to jednak zbyt wiele. Kim była, co ukrywała? To podpalenie domu, napad... Była taka niedostępna, nie zauważała mężczyzn, a nagle sama postanowiła nawiązać z nim znajomość... I ten jej rosyjski przyjaciel z dzieciństwa, Siergiej... A potem zniknięcie profesora Kalessona...



Było po dwudziestej trzeciej. Klasztor tonął w ciszy i ciemności, tylko w bibliotece, przy stole z zapaloną lampą stał Robert. Był zdenerwowany. Nie mógł znaleźć manuskryptu. Półka w szafie, gdzie zwykle go chował,

była pusta. Sprawdził też inne miejsca, w które mógł zostać przeniesiony, ale nigdzie go nie było.

Wyszedł na korytarz. Liczył na to, że może brat Grden kończy jeszcze w jakimś zakamarku swój codzienny przydział robót porządkowych i będzie mógł go zapytać, czy na przykład przeor nie zabrał księgi do siebie... Ale mnich był już w swoim pokoju. W domu zakonnym panowała zasada, że księgi mające status eksponatów nie mogły opuszczać biblioteki, i nawet przeor stojący na straży przestrzegania wszelkich praw nie mógłby ich złamać. Chyba że ktoś go wypożyczył, na przykład w celu przeprowadzenia badań. Ale z pewnością nie stałoby się to z w ciągu kilku godzin, przeor na pewno próbowałby go uprzedzić, że ktoś interesuje się rękopisem. Widzieli się przecież przed południem i było kilka okazji, by o tym wspomnieć. Rozmawiali zresztą o księdze i Robert relacjonował przeorowi treść ekspertyz... Nie, gdyby coś się stało z rękopisem, ojciec Roscoe na pewno by mu o tym powiedział!

Robert zastanawiał się, czy wobec tak wyjątkowych okoliczności zapukać do jego pokoju i po prostu zapytać o manuskrypt...

Spojrzał w stronę dużego okna wychodzącego do ogrodu i przypomniało mu się, jak kilka dni temu stanęła w nim Nadia. Uśmiechnięta, mokra od deszczu... Pojechali potem do jej hotelu...

Za oknem usłyszał silnik samochodu, ale nie zobaczył świateł. Po prostu ktoś przejeżdżał... Fakt bez znaczenia. Odwrócił się. Wyłączył i złożył komputer. Miał właśnie gasić lampę na stole, gdy usłyszał pukanie w okno. Podniósł głowę i zamarł.

To była ona! Stała za szybą, a blask lampy padał na jej żółtą kurtkę. Któż inny o tej porze mógł stać za oknem w ogrodzie klasztoru w żółtym lśniącym od deszczu sztormiaku i pukać w szybę? Starając się nie narobić hałasu, uchylił okno. Wyciągnęła rękę i dotknęła go.

– Jak dobrze, że jesteś... – usłyszał.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytał szeptem. Bał się, że jeśli okno w pokoju któregoś z mnichów jest otwarte, mogliby coś usłyszeć.

– Manuskrypt – powiedziała tylko.

Uchylił szerzej okno, by ją wpuścić. Gdy weszła, robiąc mokre ślady, rzekła dobitnie, patrząc mu w oczy:

– Wiem, kto go ukradł. – Westchnął. Dotknęła jego dłoni. – Wiem też, jak go odzyskać.

Minęła chwila, zanim zapytał:

– Jak? Kto... Dlaczego?

Nadia była mokra, ale nie zważając na to, wtuliła się w niego. Drżała.

– Zmusili mnie... – szepnęła i głos jej się załamał, przechodząc w szloch. – Szantażem i...

– Co i...?

– Nie przypuszczałam, że zdobędą się na kradzież...

Robert odsunął ją od siebie.

– O czym ty mówisz?

Objęła go w pasie i mocniej przywarła do jego piersi.

– Zależy mi na tobie – szepnęła, patrząc mu w oczy. – Poza tym, tamto... musi się wreszcie skończyć, bo inaczej będą mnie prześladować i szantażować do końca życia.

O czym ona mówi? – pytania cisnęły mu się na język i było ich coraz więcej. – Jacy oni? Jaki szantaż?

Jakie prześladowanie?

– Co z manuskrytem? – zapytał tylko.

– Siergiej wszedł tutaj, gdy odprowadzałeś mnie na prom... Przez ogród, okno było otwarte...

Codziennie jest otwarte przez pół godziny. Braciszki wietrzą pokoje.

Faktycznie, że też o tym nie pomyślał. Ale nie przewidział, że ktoś wykorzysta drogę, którą znał tylko on i... Nadia. A więc to ona!

– Robert, powiedz coś.

– Przecież to ty mu powiedziałaś. Nie zaprzeczaj! Dlaczego to zrobiłaś?

– To długa historia. Nie mam już siły uciekać i ukrywać się. To wreszcie musi się skończyć. I ty musisz mi w tym pomóc.

– Muszę? – w jego głosie była kpina.

– Chodźmy na policję, póki jeszcze nie jest za późno. Teraz najważniejsze jest odzyskanie manuskryptu.

Złapał ją za ramiona i potrząsnął.

– Powiedz, o co chodzi? Powinnaś być na „Norrönie” na środku Atlantyku. Jak wróciłaś do Tórshavn?

Przecież widziałem, jak odpływasz. Stałaś na górnym tarasie. Machałaś mi...

– A ty nie zareagowałeś. Odwróciłeś się i odszedłeś. Bez uśmiechu... – rzekła z żalem.

– Jak się tu znalazłaś?



– Poprosiłam pilota, by wziął mnie na swój holownik po wyprowadzeniu promu z portu. Nakłamałam mu, że... Zresztą nieważne. Sporo zapłaciłam...

– Dlaczego?

Westchnęła, jakby to wyznanie sprawiało jej trudność.

– Uświadomiłam sobie, że nie mogę tak po prostu zostawić tego wszystkiego, ciebie w poczuciu porażki, do której się przyczyniłam...

– A gdybyś mnie tu nie zastała? Co byś zrobiła?

– Pojechałabym na policję. Teraz już nie mam odwrotu.

Robert odsunął ją od siebie. Jej ramionami wstrząsnął dreszcz.

– Wybaczysz mi?

Milczał.

– To znów jakaś gra? – zapytał.

– To nie jest gra, Robert! Uwierz mi!

Milczenie.

– Robert... Ja cię... po prostu... no wiesz...

– Bardzo chciał to usłyszeć, ale w tej sytuacji jej wyznanie wydawało mu się niedorzeczne.

Parsknął ironicznie, jakby rozbawiony.

– I właśnie dlatego... to wszystko?

– Jeśli odzyskamy manuskrypt, wybaczysz mi?

Spojrzał jej poważnie w oczy.

– Wiesz, jak to zrobić?

– Siergiej miał z nim odlecieć wieczornym samolotem do Reykjavíku. Rękopis schowany jest w podwójnym dnie jego sakwojażu. – Spojrzała na zegarek. – Za pół godziny powinien lądować.

– Nie mamy czasu do stracenia – rzekł gorączkowo. – Wyjaśnienia musimy zostawić na później...

Skinęła głową jak posłuszna dziewczynka.

– Teraz nie dostanę się do kancelarii przeora, a tylko tam jest telefon. Zanim wszystkich obudzę...

– Kazałam taksówkarzowi czekać, nie wiedziałam, czy... czy w ogóle zechcesz ze mną rozmawiać.

Powiedziałam, że jeśli nie wrócę za dziesięć minut, może jechać...

Wybiegli w noc.

Szczyście było po ich stronie. Samochód czekał, a na komendzie policji był podinspektor Velgur. Miał służbę. Wszystko odbyło się nad wyraz

sprawnie. Wyjaśnienia Roberta i Nadii zabrały tylko kilka minut.

Kiedy Velgur zorientował się, że nic nie ryzykuje, poprosił o szczegółową kontrolę jednego z pasażerów lecących do Reykjavíku. Jeśli nic nie wykaże, Siergiej odejdzie wolno.

Gdy zadzwonił do ochrony lotniska, Siergiej był właśnie na odprawie celnej. Celnik nie znalazł nic podejrzanego, więc podbił deklarację i wypuścił go za barierkę. Zatrzymał go dopiero inspektor służby granicznej. Wraz z towarzyszącym mu funkcjonariuszem zabrali go na kontrolę osobistą. W skrytce na dnie sakwojażu znaleźli manuskrypt Jana Żeglarza. Mężczyzna został zatrzymany pod zarzutem przemytu antyków.



## Pożegnania

Z komendy policji wyszli dopiero rano. Składanie wyjaśnień, najpierw przez Roberta, a później przez Nadię, zabrało wiele godzin. Wreszcie podinspektor Velgur podpisał ich przepustki i zastrzegł, że nie wolno im opuszczać Tórshavn bez powiadomienia policji.

Zgodnie z procedurą Robert nie był obecny podczas przesłuchania Nadii. Czekał na nią na korytarzu.

Poszli na śniadanie. Bułki z miodem i gorąca czarna kawa wniosły ożywienie do ich rozmowy. Robert czekał na wyjaśnienia.

– Jakkolwiek mnie ocenisz, obiecałam, że dowiesz się wszystkiego – powiedziała.

Kiwnął głową. Był gotowy na przyjęcie prawdy. Jej prawdy.

– Aleksa poznałam już w Kopenhadze. Pracowałam w banku. Zjawił się, przystojny, szarmancki, taki typ pewnego siebie zdobywcy. Po prostu, jak to się mówi, wyhaczył mnie... Miałam 28 lat, nieudane dwa związki za sobą, z gówniarzami, jak się okazało, a on na dodatek był z Rosji. Zawsze tam tęskniłam.

Rosja, St. Petersburg, czy wcześniej Leningrad, to było moje dzieciństwo, ten najlepszy czas, który kojarzy się z bezpieczeństwem, odkrywaniem pierwszych uczuć, zapachów wiosny, radości, snuciem wielkich planów i spełnianiem marzeń... w marzeniach. Gdy rodzice wywieźli mnie do Danii, bardzo tęskniłam za moją szkołą, koleżankami, nawet urwisami z podwórka, którzy wyczyniali nam najróżniejsze psoty.

Aleks jeździł dobrymi samochodami, miał luksusowy apartament. Było widać, że ma pieniądze.

Mówił, że jest biznesmenem. Często wyjeżdżał, podróżował. Pewnego razu nie wrócił na czas. Pojawił się dwa tygodnie później. Był ranny. Mówił, że to przypadkowy napad, a ja, głupia, niczego nie podejrzewałam.

Prawda wyszła na jaw dopiero rok później, gdy go przymknęli na lotnisku. Wyszłam po niego i na moich oczach obezwładnili go, skuli kajdankami i zabrali. Widział mnie i tylko krzyknął po rosyjsku: „Czekaj na mnie!”. Wyszedł po kilku dniach. Powiedział mi, że to pomyłka, ale tak naprawdę wypuścili go za kaucją. Należał do gangu. I nie był to gang Olsena... – prychnęła.

Robert słuchał z uwagą, jak odkrywała tajemnicę tożsamości swojego partnera, człowieka, z którym dzieliła życie i nie potrafiła zaakceptować tego, czym się zajmował.

– Wiedziałam, że to jest złe, a jednocześnie nie umiałam od niego odejść. Czułam, że może mieć krew na rękach i czyjeś życie na sumieniu. Tysiąc razy obiecywałam sobie, że się z nim rozstanę. Mówiłam mu o tym, odchodziłam, a po kilku dniach on się zjawiał, przyrzekał, że wyjedziemy, otworzymy małą kawiarenkę, że zaczniemy życie od początku, z czystą kartą. Wiem, że mnie kochał, i chyba czasami naprawdę chciał zerwać z mafią. Ale to nie takie proste, więc znów zaczynało się wszystko od początku.

W końcu zrozumiałam, że od tego nie ma ucieczki. Że to gorsze niż nałóg, niż narkotyki. Od alkoholu, nawet od heroiny, niektórym udaje się uwolnić, ale od mafii nigdy. Jeszcze się taki nie urodził...

Aleks próbował się wycofać i podpadł szefom. Zaczęli go szantażować, by był posłuszny. Grozili, że oszpecą Nadie, a nawet ją zabiją. Znów był więc lojalny. Grupa była rozlokowana w kilku krajach zachodniej Europy. Należeli do niej Rosjanie, którzy wcześniej służyli w Czeczenii, a nawet tacy, którzy pamiętali Afganistan. Działali na zlecenie innych grup przestępczych, najczęściej mafii włoskiej, z którą mieli świetne kontakty, ale także z grupami z Nowego Jorku, Detroit i Chicago.

Dostali zlecenie ze Stanów. Obiecali, że jeśli Aleks wywiąże się z kontraktu, wyślą go do Hiszpanii albo Portugalii, by mógł tam się schować i w praktyce zacząć nowe życie. To miał być ten ostatni raz.

Uległa jego namowom, szantażowi uczuciowemu, zgodziła się wziąć udział w akcji. Jej zadanie było pozornie proste. Chodziło o odwrócenie uwagi pewnej kobiety. Nadia miała ją po prostu zagadać, aby w tym czasie inni mogli wykonać akcję... Utknęła w korku. Nie dojechała na czas. Zaczęli bez niej.

Kilku członków grupy zostało aresztowanych. Przez nią. Wyglądało, że zdradziła. Aleks wpadł również. Po roku dostał dożywocie, z możliwością

ubiegania się o przedterminowe zwolnienie dopiero po 25 latach. Odgrzebali mu starą sprawę w Niemczech. Został skazany za zamordowanie kobiety w ciąży.

Nie wróciła już do swojego życia, obawiała się, że tamci mogą się o nią upomnieć. Wyjechała do Göteborga, ale znalazł ją Siergiej. Znali się jeszcze z dzieciństwa, i to ją zmyliło. Powiedział, że nie musi się niczego obawiać, że może normalnie żyć. A jeśli okaże się potrzebna, nigdzie nie zdoła się skryć, bo znajdą ją nawet na końcu świata.

Wróciła więc do Kopenhagi. Praca w banku nie była już jednak ta sama, przesunięto ją na niższe stanowisko, bo jej miejsce zostało w tym czasie obsadzone. Życie nie znosi próżni, a każda firma musi funkcjonować bez względu na osobiste perypetie jej pracowników. Podczas jej nieobecności przyjęto młodego menadżera. Starła się nie myśleć o Aleksie. Jego już nie było. Czowała do niego odrazę.

Zamordował kobietę, która nosiła dziecko. Więc jeśli pojawiał się w jej myślach, to tylko jako ktoś, kto ją oszukał. Były dni, kiedy myśli tak bardzo ją bolały, że chciała nawet zakończyć życie. Gdy uświadamiała sobie, że dotykały i pieściły ją dłonie, które potem mordowały, wchodziła pod prysznic i szorowała całe ciało, jakby chciała z nich zmyć piętno, które czuła. Jakby była brudna.

Trzymała się z dala od mężczyzn, starała się wieść poukładane życie, czasem spotykała się z koleżankami, szły na kawę i do kina. Po pewnym czasie wróciła do czytania książek. Wreszcie mogła skupić myśli.

Tak było do czasu, gdy znów pojawił się Siergiej. Jego żądanie było proste. Ma jechać do Niemiec, do więzienia, by spotkać się z Alekssem i przekazać mu wiadomość. Nie chciała się zgodzić, ale użył prostych argumentów. Jeśli odmówi, policja dowie się o jej udziale w tamtym skoku.

– Przecież nic nie zrobiłam! – krzyknęła.

– Ale miałaś zrobić. Współpracowałaś z grupą. I nawet jeśli nie pójdziesz siedzieć, karierę w banku masz już z głowy. No i będziesz miała kartotekę...

Spotkanie z Alekssem było dla niej traumą. Po drugiej stronie szyby w rozmównicy był ktoś zupełnie obcy. Choć ciało i twarz należały do człowieka, którego kiedyś kochała, w jego oczach była agresja. To była maska słabego człowieka, który musiał przetrwać w ekstremalnych więziennych warunkach, wśród takich samych zagubionych mężczyzn jak on sam.

Przekazała mu wiadomość, z której tak naprawdę nic nie rozumiała. Ale Aleks zrozumiał ją doskonale.

Roześmiał się tylko pogardliwie, gdy ją usłyszał. Potem spojrzął na nią cynicznie, bez cienia dawnego uczucia, i zapytał, czy czasem myśli o nim, gdy kocha się z facetami. Powiedziała tylko, że brzydzi się nim i gdyby w takim momencie o nim pomyślała, to nie mogłaby już więcej spojrzeć na żadnego mężczyznę.

– Mam nadzieję, że cię więcej nie zobaczę – powiedziała na pożegnanie.

Była to złudna nadzieja. Siergiej żądał od niej regularnych spotkań z Alekssem. Była ich jedynym łącznikiem. A dla grupy liczyły się kontakty Aleksa w Skandynawii. Przekazała mu kartę SIM do telefonu i memory stick. To było kilka miesięcy temu. Potem poprosiła szefa o bezpłatny urlop w celu poratowania zdrowia i wyjechała. Wydawało się jej, że maleńki archipelag na środku Atlantyku może dać jej schronienie.

Uciekła, chciała, aby o niej zapomnieli. Dlatego nie mieszkała w hotelu, wynajęła pokój u ludzi, a gdy przyplýwał prom, nie pokazywała się w mieście, aby jej nikt nie rozpoznał.

Ale i tak ją znaleźli. Skontaktowała się z szefem w celu przedłużenia urlopu. Musiała przesłać pismo.

Poprosiła wprawdzie jednego z turystów odpływających „Norröna”, aby wrzucił list do skrzynki dopiero w Kopenhadze, ale ten chyba coś zaniedbał albo zlekceważył i dzięki temu ją namierzyli. Dwóch zbirów Siergieja nie patyczkowało się. Porwali ją, gdy wracała z miasta na kwaterę. Nie chcieli się mścić.

Żądali podporządkowania i współpracy. Gdy zaprotestowała, nastraszyli ją i wyrzucili z samochodu w pobliżu nocnej dyskoteki. Upadła, rozcięła czoło o kamień. Wtedy odnalazł ją Robert.

Zgłosili się kilka dni później i postawili żądania. Miała nawiązać romans z Robertem, by mieć go pod kontrolą. By informować ich o jego poczynaniach.

– Po co? W jakim celu? – zapytała.

– To nie twoja sprawa. To zlecenie z zewnątrz – usłyszała. – A ty, jak się dobrze spiszesz, dostaniesz za to kasę i damy ci spokój.

Odmówiła. Nie wierzyła, zwłaszcza w ten obiecany spokój. By jej pokazać, że nie żartują, podpalili dom, w którym mieszkała. Wiedziała, że im się nie wymknie. Kryjówka na końcu świata stała się pułapką. Nie miała

możliwości, aby się stamtąd niepostrzeżenie wydostać. Prom, samolot? Wszędzie mogli ją bez trudu znaleźć. Bała się też nawiązać kontakt z rybakami, którzy mógłby ją przetrzymać na Orkady lub Szetlandy, bo takich, którzy pływali na kontynent, nie było na Wyspach zbyt wielu. A ci, którzy wchodziłoby w rachubę, byli po prostu do namierzenia... Pomyślała, co mogłoby się stać, gdyby dał się przekupić? Utonęłaby na środku oceanu, jak ten profesor z Kopenhagi, po którym zaginął ślad. Po pożarze zamieszkała w hotelu i tego dnia Siergiej pokazał jej Roberta.

– To nic wielkiego – rzekł. – Nie musisz z nim sypiać. Masz tylko wiedzieć, nad czym pracuje i do czego doszedł.

Przerwała opowiadanie i wzięła jego dłoń.

– Następnego dnia, gdy pojawiłeś się w kawiarni – powiedziała – przysiadłam się do ciebie. Wiem, że to było obcesowe. Prawdę mówiąc, liczyłam na to, że cię zniechęcę do siebie i że ten kontakt mi nie wyjdzie. Wówczas może daliby mi spokój. Tak myślałam, ale... gdy cię poznałam, okazało się, że nie chcę cię wcale do siebie zniechęcać. Wręcz przeciwnie.

Wypił łyk kawy.

– Powiedziałeś Siergiejowi o tym przejściu do ogrodu i gdzie jest manuskrypt – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Kiwnęła głową.

– Nie miałam wyjścia. Musiałam go informować na bieżąco o wszystkim, co się z tobą wiąże. Wiem, że to niewielka pociecha, ale o wielu rzeczach mu nie mówiłam, a jeśli już, to skrótowo... Gdy naciskał, zasłaniałam się, że nie jestem historykiem i nie jestem w stanie zapamiętać tych wszystkich szczegółów, zresztą ty nie jesteś zbyt chętny do rozmów o manuskrypcie i wszystko muszę od ciebie wyciągać.

– Co go najbardziej interesowało?

– Treść i ekspertyzy.

– Co wie?

– Dużo mniej niż ja, a przecież ja sama nie wiem zbyt wiele.

– Wystarczająco dużo – mruknął. – Mówił, od kogo dostał zlecenie?

– Siergiej był tylko pionkiem wykonującym polecenia. Nie wiedział takich rzeczy.

Robert westchnął.

– Zastanawiam się, kogo mogło to aż tak interesować, że zaangażował ludzi mafii, szantażował ciebie, zlikwidował Kalessona... To musiało sporo kosztować, więc z pewnością musi to być ktoś, kogo stać na takie fanaberie.

– Robert, uprzedzałam cię, prosiłam, abyś to zostawił...

– Tak, pamiętam.

– Chciałam być z daleka od wszystkiego, co wiąże się z tymi ludźmi.

Chociaż nie wiem, czy po tym, jak zgłosiłam się na policję, dadzą mi spokój.

Nowicki pokręcił głową.

– Gdybyśmy wiedzieli, kto to jest, wiedzielibyśmy również, dlaczego to robi.

Popatrzyła na niego bez przekonania.

– Ale ja mówię o kolegach Siergieja i Aleksa.

– Oni teraz mają mnóstwo swoich kłopotów – rzekł z zadumą.

– Oby nie skończyły się nigdy... – powiedziała cicho. Spojrzała na parę, kobietę i mężczyznę, którzy usiedli przy sąsiednim stoliku, i Robert zobaczył na jej twarzy grymas niepokoju. Poszedł za jej wzrokiem, ale w dwojgu turystach nie zobaczył niczego niepokojącego.

– To już tak będzie zawsze – powiedziała cicho i było w tym słycać i pasję, i obawę – będę uciekać i będę się bała każdego, kto tylko na mnie przelotnie spojrzy... Bo będzie mi się wydawało, że oni znów są blisko mnie. A jeśli tylko przestanę być im potrzebna, jak choćby do kontaktu z Alekssem, to mnie zlikwidują. Nie potrafię tak żyć...

– Chciałaś naprawdę tu wrócić z Kopenhagi?

– Tak, chciałam odebrać pieniądze i być blisko ciebie.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Wiesz, że niedługo kończy mi się urlop i będę musiał wracać do Polski?

Zrobiła minę, jakby miała się rozplakać.

– Na razie nie chcę o tym myśleć... Robert, czy na ten czas, kiedy tu zostaniesz, moglibyśmy zamieszkać razem?

Zrobił duże oczy, bo myśl wydała mu się komiczna.

– W twoim pokoiku u wścibskiej pani profesor?

Nadia roześmiała się również.

– Porozmawiam z nią, ale powiedz, że się zgadzasz?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Daj mi się zastanowić...

– Robert, powiedziałam ci wszystko... Mam nadzieję, że dotarło do ciebie, że nie zrobiłam nic, co nie byłoby do naprawienia.

Ścisnęła go mocniej za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.



– Jeśli nie przekonuje cię to, że zaryzykowałam tak wiele, by nie dopuścić do bezpowrotnej utraty manuskryptu...

Pocałował jej dłoń.

– Przekonuje mnie...

– Stałam na głowie, by wyrwać się z promu. Wiem, jak te badania są dla ciebie ważne, więc gdy Siergiej ukradł rękopis, poczułam, że to może być dla ciebie nieodwracalną stratą, czymś, co nie tylko pozbawi cię sukcesu, ale może także zmienić twoje życie. Nie chciałam, aby stało się to przeze mnie.

Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby ci tego oszczędzić. Nawet namówiłam pilota, by złamał przepisy...

Kiwnął głową.

– Zamieszkaś ze mną?

– Prywatna kwatera nie jest na kieszeń skromnego profesora, szczególnie pod koniec urlopu. Gdyby nie gościnność franciszkanów, nie mógłbym tu spędzić tyle czasu.

– Ach, więc to tylko to? – uśmiechnęła się promiennie. – Nie martw się, ja to załatwię...

– Jeszcze pomyślę.

Na zewnątrz mżyło, nie chcieli się ruszać z miejsca, zresztą mogliby się przenieść co najwyżej do innej, podobnej kawiarenki. Zamówili espresso. Nowicki otworzył komputer i sprawdził pocztę. Była kolejna ekspertyza od Svensona...

Robert niecierpliwie otworzył załącznik i nawet nie zauważył, jak kelnerka postawiła przed nim filiżankę gorącej aromatycznej kawy.

*Próbkę numer... dostarczoną w dniu... stanowi fragment włosowaty lotki drugiego rzędu *Meleagris gallopavo sylvestris* – dużego ptaka grzebiącego z rodziny [kurowatych](#), zamieszkującego wschodnią część [USA](#) od stanu [Maine](#) i [jeziora Ontario](#) po [Południową Dakotę](#) i północny [Teksas](#). Na podstawie badań... metodą... powtórzonych przez zespoły pod kierownictwem... w dniu... i w dniu... stwierdzam, że dostarczona próbka pochodzi z XV wieku.*

Robert wpisał łacińską nazwę do Wikipedii. Okazało się, że to inna nazwa indyka amerykańskiego...

Tego samego, który uratował życie pielgrzymom w Massachusetts. Indianie nauczyli przybyszów, jak na nie polować i jak je przyrządzać.

Dzięki nim przetrwali. Dziś amerykański indyk jest symbolem Święta Dziękczynienia.

– Bingo! – powiedział Robert i wypił kawę jednym haustem. Była gorąca i zaparło mu dech w piersiach. – To już jest dowód! – wychrypiął, gdy odzyskał głos.

A potem wyłuszczył jej, w czym rzecz. Nadia dotknęła jego twarzy i uśmiechnęła się promiennie.

Wiele wskazywało na to, że poczciwy indyk uratował życie także żeglarzom Jana z Kolna. Trudno zakładać tak dramatyczne okoliczności, ale prawdopodobnie biali przybysze, idąc za przykładem tubylców, włączyli te dorodne ptaki do swojego menu. Tym sposobem część lotki jednego z nich zaplątała się między stronice dziennika pokładowego i przetrwała kilka setek lat w ściegu spajającym poszczególne karty. Dzięki temu mogła stać się jednym z najważniejszych dowodów na obecność autora manuskryptu w Ameryce. Właściwie na Nowej Ziemi, nazwanej Ameryką dopiero wiele lat później.

Sięgnął do komputera i odszukał pliki z tekstem tłumaczeń. Po chwili odnalazł ten, w którym jeden ze studentów profesora Konkola dokładnie relacjonował spostrzeżenia Jana na temat obserwacji dzikich ptaków, którymi się żywili.

– Posłuchaj, co pisze Jan z Kolna... – powiedział. – „Samce są znacznie większe od samic.

Upierzenie samca jest czarne, pokryte brązowo-białym prążkowaniem. Głowa i szyja naga, pokryta brodawkami. Korale i grzebień dobrze wykształcone. Największe okazy, jakie upolowaliśmy, ważyły do dwudziestu funtów. Gniazdują na ziemi”... Dobra, dalej to już szczegóły...

Zerknął jeszcze raz do orzeczenia pracowni biologicznej. W dalszej części raportu podano cechy charakterystyczne gatunku. Opis opierzenia i gniazdowania pokrywał się z opisem w manuskrypcie.

– Wszystkie poprzednie ekspertyzy mikrośladów – powiedział Robert – mogły być poszlakami.

Mocnymi, ale jednak poszlakami... Mówię tu o plamce krwi, okruchu tytoniu, papierze, korze brzozy...

Sassafras to już mocniejszy argument, ale lotka amerykańskiego indyka z XV wieku to konkret.

Oczywiście, że można go podważyć, ale biorąc pod uwagę cały zespół poszlak, nie będzie to łatwe.

– Raczej na fotkę Jana z Kolna pod Statuą Wolności nie masz co liczyć  
– powiedziała Nadia z kamienną twarzą i po chwili oboje wybuchnęli śmiechem.

– To by świadczyło na niekorzyść mojej teorii...

Ożywili się i żartowali, świetnie się bawiąc. Robert, mimo nieprzespanej nocy, nie czuł zmęczenia.

Był szczęśliwy. Wszystko wskazywało na to, że badania nad manuskryptem zakończą się sukcesem.

Oczywiście, najważniejsze w tej chwili było odzyskanie rękopisu, ale był on już w rękach policji, więc jego powrót do klasztoru w Tórshavn stanowił tylko kwestię formalną.

Trzymali się za ręce. Nadia spojrzała na niego...

– Uwielbiam cię takiego...

– Jakiego?

– Otwartego, szczerego, jak się cieszysz...

– Nie zawsze jest z czego.

– Ale teraz masz powody do prawdziwego zadowolenia.

– Tak, teraz tak...

Chwyliła go mocniej za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Będiesz ze mną? – Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Na twarzy Nadii odmalowała się niepewność. – A więc jednak nie... Po tym wszystkim...

– Tego nie powiedziałem. Zastanawiam się tylko, czy to pytanie zostało właściwie postawione.

– A twoim zdaniem, jak powinno brzmieć?

– Czy to ty, młoda, piękna kobieto, przed którą teraz otwiera się całe życie, chcesz być z mężczyzną mającym większość życia za sobą, bez majątku...

– Wszyscy się starzejemy. A ty jeszcze nie masz pięćdziesiątki. Przed tobą sukcesy, poważne sukcesy zawodowe...

– Dziękuję. Zabrzmiało jak wróżba Cyganki. Cokolwiek ma to wspólnego z prawdą, zawsze miło usłyszeć.

– Robert, będziemy razem?

Znów między nimi zapadło milczenie.

– Przeniesiesz się do Polski? – zapytał.

Zmarszczyła czoło i uniosła brwi.

– Wygląda na to, że gdy skończą się wakacje, w Kopenhadze niewiele będę już miała do roboty. A do rodziców zawsze mogę polecieć samolotem z Gdańska. To przecież tylko godzina lotu...

Uśmiechnął się.

– Zdaje się, że masz rację... Ale ja mam tylko trzy pokoje, w bloku...

– A myślisz, że ja w Kopenhadze miałam pałac? Moje mieszkanie również składało się z trzech pokoiów.

– Wygląda na to, że potrzebuję jeszcze jednej twojej deklaracji.

Spojrzała na niego pytająco.

– Czy jesteś gotowa... nauczyć się polskiego?

Otrzymał kuksańca, aż jęknął, i zaraz potem zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Bezapelacyjnie. Możemy zacząć już zaraz...

Pocałowała go w usta i kelnerka, która całą scenę widziała zza baru, zaczęła klaskać, a para siedząca obok dołączyła się do owacji, jakby chciała usankcjonować w ten sposób zawarte przymierze.

Pocałunek, jak słynne polskie „gorzko-gorzko” na weselach, trwał kilkanaście sekund, a do rzeczywistości przywołał ich sygnał nadchodzącej poczty w komputerze Roberta. Był to list od Vincenziego.

Włoch skwitował przesłane przez Roberta materiały krótkim podziękowaniem... Mimo to był zdania, że jedyną możliwą wyprawą, która mogła dotrzeć w okolice północnych wybrzeży Labradoru, mogła być owa hipotetyczna ekspedycja Pininga i Pothorsta, w której Jan Skolnus pełnił co najwyżej funkcję sternika, ale nie ma ani jednego zweryfikowanego dowodu na to, by dotarli do stałego lądu Ameryki.

Tym razem IP genuńczyka zarejestrowano na serwerze w Messynie!

Nowicki uznał, że trzeba o tym fakcie powiadomić podinspektora Velgura. Zapłacił rachunek i poszli na komendę policji. Chciał to załatwić jeszcze przed obiadem, by popołudnie spędzić razem z Nadią w jej zacisznym pokoju, o ile – rzecz jasna – emerytowana pani nauczycielka nie będzie miała nic przeciwko temu.

Podinspektora spotkali na parkingu. Właśnie przyjechał z domu, gdzie odsypiał nieprzespaną noc.

Przywitał ich bez uśmiechu, jakby miał im za złe, że jeszcze zawracają mu głowę, choć poświęcił im najcenniejsze godziny swojego snu.

Usiedli w jego pokoju i gdy bez cienia ciekawości na twarzy wysłuchał rewelacji Roberta, zawołał protokolanta. Chłopak w mundurze wsunął się

cicho do pokoju i podał Velgurowi faks.

– Właśnie przyszło z Interpolu.

– Z Interpolu? – zadziwił się podinspektor. – Toż to historyczna chwila, chłopcze, pierwszy raz w trakcie mojej służby Interpol czegoś od nas chce...

Zatopił oczy w tekście i jego mina spoważniała. Przeczytał pismo ponownie i odłożył na biurko.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer, który widniał na dole arkusza. Gdy po drugiej stronie ktoś odebrał telefon, powiedział tylko:

– Nie rozumiem, w jakim celu ta osoba ma być zatrzymana. My nie mamy wobec niej żadnych zarzutów, a bez sankcji prokuratora, według naszego prawa, nie mogę jej trzymać w areszcie dłużej niż 48 godzin. – Słuchał, co mówi rozmówca po drugiej stronie. – Nie – zaprzeczył gwałtownie, jakby wszedł komuś w słowo. Był naprawdę zdenerwowany. – Nie możemy jej wydać bez orzeczenia ekstradycji. Dziś jest piątek, trzecia po południu i za chwilę wszyscy wychodzą z prokuratury. Albo już wyszli. Będą dopiero w poniedziałek. Jak ją zatrzymam, to i tak w niedzielę o trzeciej będę musiał ją wypuścić. Więc cała akcja jest o kant... Nawet jak mi prześlecie wniosek o ekstradycję, sąd może się zebrać najwcześniej w poniedziałek, a do tego czasu mogę ją... wie pan... – Znow słuchał. – No, jeśli to jest tryb nadzwyczajny i pan sprawi, że nasz prokurator wyda wniosek dziś, a najpóźniej jutro, to gratuluję samopoczucia. No, oczywiście, w takim razie... Nie mam innego wyjścia. Chciałem się tylko upewnić, że na tym wam zależy. Żegnam, inspektorze. I zachęcam do odwiedzenia Wysp Owczych – jego głos odzyskał spokojne brzmienie. – Są malownicze i spokojne. U nas na pewno pan wypocznie...

Robert w jego głosie nie wyczuł kpiny, raczej ton rutynowej formułki. Nagle podinspektor drgnął, jakby w słuchawce usłyszał hałas. Pokręcił głową. Odłożył słuchawkę na widełki.

– Co za niecierpliwy facet. I takiego kogoś zrobili inspektorem Interpolu. Niesłychane... – Przerzucił kilka kartek leżących na biurku. – Zanim pana oficjalnie przesłucham, profesorze, na okoliczność serwera tego Włocha, Vincenziego, jestem zmuszony dokonać pewnej formalności... – Po czym zwrócił się do Nadii: – Panno Nastazjo Gordiejewa... Na wniosek kierownictwa Interpolu jest pani zatrzymana, powtarzam: zatrzymana, a nie aresztowana, w celu wyjaśnienia pani udziału w zorganizowanej grupie przestępczej działającej na terenie Europy i

Ameryki Północnej, podejrzewanej o dokonanie szeregu przestępstw określonych w artykułach kodeksów karnych obowiązujących na terytorium Danii, Niemiec, Włoch i Stanów Zjednoczonych.

– Przecież ja nigdy nie byłam w Stanach – wyszeptała blada Nadia.

Popatrzył na nią ze współczuciem.

– To już wyjaśni pani prokuratorowi, o ile w ogóle tu przyjdzie. Nic nie mogę zrobić...



Gdy Nadię odprowadzono do aresztu, Robert zapytał, czy może przynieść jej niezbędne przybory, takie jak szczoteczka do zębów, mydło, ręcznik, jakieś kosmetyki...

– Pewnie, że tak – powiedział Velgur. – I w ogóle niech pan po nią przyjdzie w niedzielę o trzeciej, bo, jak znam życie, to będziemy musieli ją wypuścić i tyle...

Następnie odebrał od Nowickiego zeznanie. Profesor skopiował treść postów na forum i ich numery IP. Wszystko to, zgodnie z zapisem protokołu, przekazał inspektorowi.

– Jeszcze dziś wyślemy to do Kopenhagi, bo tam prowadzą śledztwo w sprawie zniknięcia profesora Kalessona i to ich broszka. Wystąpili już do władz w Reykjaviku o ekstradycję Siergieja. Zapewne wszystko rozstrzygnie się w przyszłym tygodniu. Sprawdzili, że ten Kuzancew jest poszukiwany międzynarodowym listem gończym. Cholera... Nie powinienem tego panu mówić, ale u nas na Wyspach i tak wszystko się roznosi lotem błyskawicy. Lepiej, że pan to wie z pierwszej ręki, bo jakby się pan dowiedział w jakimś barze albo od listonosza, to... ten Siergiej okazałby się pewnie seryjnym mordercą zabijającym małe dziewczynki na tle seksualnym, a pani Nadia pewnie gotowałaby z nich zupę... – Uśmiechnął się gorzko. – Niech się pan nie martwi. Nic jej nie będzie. Prokurator weźmie pod uwagę, że sama się do nas zgłosiła.

Robert jeszcze tego samego popołudnia przyniósł niezbędne drobiazgi.

– Mógłbym się z nią zobaczyć? – zapytał Velgura.

Podinspektor potrząsnął głową.

– Nie da rady, przepisy... Niech pan poczeka do niedzieli.



Nie mógł w to uwierzyć. Przecież mieli spędzić cudowne popołudnie i namiętny wieczór... Żałował, że nie zlekceważył tej informacji od Vincenziego... Znow okazało się, że nie warto być nadgorliwym.

Gdyby odłożyli tę wizytę na komendzie do poniedziałku... Gospodyni Nadii mogła się nie zgodzić, by u niej nocował, a wtedy wynajęliby hotel, więc podinspektorowi Velgurowi zajęłoby sporo czasu ustalenie miejsca ich pobytu. Być może wszcząłby postępowanie dopiero w poniedziałek, nie chcąc psuć sobie weekendu... A tymczasem Nadia jest w areszcie i jej los, wbrew temu, co beztrząsliwie twierdził wiceszef policji, wcale nie przedstawiał się różowo.

Jeszcze godzinę temu trzymał jej dłoń, ona natomiast obejmowała go czule i całowała. Słyszał jej śmiech, miał przed oczami błyszczące brązowe oczy, a teraz Nadia siedziała w celi i czekała, aż jej los rozstrzygną jacyś obcy ludzie, którym zabierze mnóstwo czasu, by zorientować się, co w potoku różnych relacji jest prawdą, a co fałszem. Jak długo to potrwa?



Gdy tylko wszedł do domu zakonnego, brat Grden rzekł oficjalnie, że oczekuje go przeor, a potem szeptem dodał poufale:

– Wściekły jak osa.

Jak należało przewidzieć, rozmowa z ojcem Roscoe nie należała do przyjemności. I Nowicki wcale się nie dziwił staremu zakonnikowi, bo przecież miał swoje racje.

– Strata eksponatu to jedna sprawa, ale druga... nawet nie chcę myśleć, jak Farerczycy będą plotkować o panu i tej kobiecie, przez którą stało się to nieszczęście. Na tym ucierpi nie tylko pana reputacja, bo to pana sprawa, ale opinia klasztoru i całego kościoła katolickiego na Wyspach... Pan nawet nie wie, jakie oni mają ostre języki, a jaką wyobraźnię, która z igieł zrobi widły...

– Może nie będzie tak źle – Robert próbował przekonać przeora.

– Przecież już informacja o aresztowaniu rezydentki groźnej grupy mafijnej z Rosji jest w internecie, a wpisów przybywa z każdą minutą.

– Niedługo znajdą sobie inny temat...

– Mam nadzieję. Ale w poniedziałek jest Olavsøka, dzień św. Olafa, święto narodowe.

– No i dobrze... Rozerwą się i zapomną... – Robert uśmiechnął się, sądząc, że w ten sposób rozładuje sytuację.

– Ale skąd! – syknął zniecierpliwiony przeor. – Dopiero będzie okazja, by na spotkaniach drążyć temat, dociekać, snuć domysły, które urosną do rangi legendy. I zapewniam pana, że nie fakty przetrwają w pamięci tych ludzi, ale właśnie owe insynuacje.

Robert rozłożył ręce.

– Przykro mi, nie sądziłem, że nieefektywne badania naukowe prowadzone bez specjalnych środków i nakładów mogą narobić tyle zamieszania.

– Sam pan widzi... – sapnął przeor. – Jedyna pociecha, że za kilka dni odbędzie się wielkie doroczne polowanie na grindwale, bo podobno ich stada pojawiły się w pobliżu Streymoy... A wtedy, jak pan zapewne wie, nie ma żadnych innych tematów. Poza tym jednym. Oby jak najszybciej ogłosili rozpoczęcie łowów...

Gdy przeor się uspokoił i wylał już wszystkie swoje żale, ich rozmowa stała się bardziej rzeczowa.

Aby go udobruchać, profesor zapewnił, że manuskrypt Jana Żeglarza po spełnieniu określonych formalności wróci z powrotem do prawowitego właściciela.

– A te... przygody z pewnością wpłyną nie tylko na jego wartość historyczną jako eksponatu, ale również sprawią, iż jego cena nominalna ogromnie wzrośnie na rynku antyków. Tym samym zbiory biblioteki klasztornej, nie powiększając się, staną się cenniejsze.

– Niech pan da spokój, profesorze...

– Poza tym sam kontekst kradzieży, gdy zostanie już wyjaśniony do końca, sprawi, iż księga, poza swoją bezcenną wartością historyczną, znakomicie wpisze się swoimi dziejami we współczesny kontekst...

Przeor machnął ręką.

– Dobrze, już dobrze, bo i tak mnie pan zagada...

Od tej chwili do ich rozmowy wkraśl się akcent humoru i wyglądało na to, że sprawa kradzieży manuskryptu nie powinna zaciążyć na ich wzajemnych stosunkach, bo tego Robert by nie chciał. Na koniec jeszcze zadeklarował pomoc w inwentaryzacji zbiorów bibliotecznych przewiezionych w skrzyniach z bazy wojskowej NATO.



– I bardzo panu za to dziękuję, profesorze, bo brat Grden, złoty chłopiec, choć nieco niesforny, nie jest takim fachowcem jak pan. Pańska wiedza z pewnością pozwoli określić właściwą wartość tych ksiąg.

Z tego, co widziałem, są tam różne okazy, jakby pakowano je do skrzyń bez najmniejszego rozeznania, jak popadło. Ale mogło tak być, bo biblioteka została uporządkowana dopiero w latach pięćdziesiątych.

Nowicki kiwnął głową.

– Może i lepiej, że będzie pan pracował na miejscu, bo... wie pan, jak to jest... Jeśli mniej będzie pana widać w mieście, to i plotki szybciej ustaną.

– A czy w takim razie mógłbym korzystać z internetu na terenie klasztoru?

Był to dla ojca przeora trudny orzech do zgryzienia, ale argument, który sam przytoczył, ostatecznie przeważył. Jeszcze tego samego popołudnia Robert podpiął swojego laptopa do kabla w gabinecie przeora.

Wciąż myślał o Nadii i prawdę mówiąc, nie bardzo potrafił się skupić na pracy. Nawet nowe fragmenty tłumaczeń, które otrzymał od studentów Konkola, nie poprawiły mu humoru.



*Jan pisał dziennik pokładowy codziennie po zmroku, który następował z każdym dniem coraz szybciej. Od wyruszenia „Sarny” minęły cztery miesiące. Miejscowi pozwolili Janowi opuścić wioskę, na pożegnanie wręczając mu przyrząd do puszczenia dymu, który marynarze nazwali fajką. Przed odejściem z wioski nawet wspólnie ją palili, w kilka osób. Dym omal nie zadusił Jana, ale byłoby niegrzecznie, gdyby odmówił, tym bardziej że, jak tłumaczył Ingulkok, który po niego przyszedł, wspólne palenie owej fajki oznaczało dla nich zawarcie pokoju. Teraz między nimi nie mogło być już walki, choć nie musieli się lubić. Taki mieli zwyczaj i wierzyli w to. Fajkę wręczyli Janowi na dowód zawartego pokoju oraz po to, by mógł z każdym, kogo spotka, zawrzeć dzięki dymowi przyjaźń. Nie bardzo to rozumiał, ale najważniejsze było, że oni to honorują. Dzięki temu przybysze byli teraz bezpieczni, choć było ich o połowę mniej.*

*Po powrocie do obozu zarządził odwrót. Na brzegu postawili krzyż z drzewa z informacją dla Jakuba Brzozy, by szukał ich nowego obozu o jakiś tydzień pławby, idąc na południe wzdłuż brzegów.*

Po sześciu dniach żeglugi po spokojnym morzu znaleźli dogodnie miejsce na lądowanie. Było tam sporo drzew i dużo zwierzyny. Niedaleko od brzegu widać było ławice ryb. Tam Jan podzielił ludzi na dwie grupy. Część z nich zostawił na nowym miejscu, by gromadzili żywność, a na „Marinę” wziął tylko niezbędną załogę i odeszli wzdłuż brzegu, na południowy zachód. Żeglarski nos podpowiadał mu, że niedaleko powinno być przejście zachodnie. Nawet śniło mu się, że wpływają w zatokę, ona zwęża się, a po kilku milach przed nimi odkrywa się szeroki ocean. I po kilku dniach dobijają do Indii... I wtedy usłyszał we śnie głos króla Christiana. Siedział na tronie, obok niego książę Henryk Żeglarz, a wraz z nimi mistrz Toscanelli...

– Może to sam Pan Bóg otworzył ci te ziemie, byś mógł odkryć owo przejście – rzekł książę Henryk.

– Czasem myślę, czy to nie przez Niego tak długo błądziliśmy po tych wodach.

– Czemu niby... przez niego? – zapytał Toscanelli.

– Z zemsty, że wywinąłem się ojcu i nie poszedłem na służbę do klasztoru.

– A to bardzo być może – rzekł poważnie król Christian. – Ale nie powiadaj tego ludziom. Pomyślą, żeś przeklęty, i łatwo może bunt powstać.

Nazajutrz po tym śnie ruszyli na „Marinie” szukać owego przejścia do Indii. I po tygodniu znaleźli zatokę. Taką jak we śnie. Poptłynęli w głąb lądu, do zwężenia, aż znaleźli się na rzece. Potem warunki żeglowania okazały się niemożliwe, było zbyt płytko i wąsko, więc poszli pieszo w głąb lądu szukać drugiego brzegu. Nie znaleźli drugiego brzegu, ale spotkali tubylców. Zachowywali się przyjaźnie. Nie udało im się jednak dowiedzieć, jak daleko ów drugi brzeg się znajduje. Miejscowi dowodzili, że nawet idąc na zachód przez kilka tygodni, co zdarzało im się czynić w przeszłości, nie napotka się żadnej wielkiej wody. Jan zarządził odwrót. Zdając sobie sprawę, że brakuje im środków na zaangażowanie się w poszukiwania dalszej drogi, postanowił wrócić do obozu.

Wieczorne pisanie dziennika przerwało Janowi szuranie kroków i chrząknięcie. Był to Szymon Bosman.

– Tak?

– Zapasy żywności już prawie gotowe. Ludzie kończą wędzić mięso. Pojutrze moglibyśmy rozpocząć załadunek.

– Poczekamy jeszcze kilka dni. Okręty Brzozy powinny być już blisko. Wszak to jesień.

Bosman chrząknął, jakby obawiał się reakcji dowódcy na to, co chciał powiedzieć. Wreszcie jednak przełamał się.

– A mnie się zdaje, że te statki tu nie dopłyną. A bez nich i zaopatrzenia, na które liczymy, ta zima może nas zgubić. Myślę, że straty w ludziach będą poważne.

– Dlaczego uważasz, że Brzoza nie dopłynie?

– Bo gdyby miał być, to już by był.

– A zatem, co się stać mogło?

– Diabły morskie nie śpią, a nadchodząca zima im sprzyja.

Jan zamilkł. Spojrzał na kalendarz, który miał rozłożony na pościeli. Dumał przez chwilę.

– Poczekamy jeszcze tydzień. Jeśli ich nie będzie, zarządzę odwrót... Tymczasem trzeba kontynuować gromadzenie żywności i wody. Dopilnuj tego.

– Rozkaz...



Następny fragment, jaki Robert otrzymał od tłumaczy, był bardzo krótki:

Od czterech dni jesteśmy w drodze do Danii. Jakub Brzoza nie dopłynął na miejsce. Jest jeszcze nadzieja, że płynąc na powrót tą samą drogą, trzymając się blisko brzegu, spotkamy się z nim. Ale coraz częściej w to wątpię. Jak na razie mamy dobrą pogodę i sprzyjające wiatry. Za dwa miesiące, z końcem grudnia, powinniśmy być w Kopenhadze.

W ten sposób kończyła się treść ocalonego manuskryptu.



Niepokoił się o Nadię. Próbował zabić czas, pracując w bibliotece. Porządkowali i katalogowali zawartość skrzyń przywiezionych z bazy NATO.

– Przydałby się odkurzacz... – rzekł profesor.

Brat Grden uśmiechnął się.

– Akurat dobrze pan trafił. To ja tutaj jestem szefem od odkurzania. I nikt nie robi tego lepiej niż ja...

– Liczę na brata.

– Spoko...

Samo odkurzenie nie wystarczyło, trzeba było jeszcze każdy egzemplarz wytrzeć lekko zwilżoną szmatką. Dopiero potem zabrali się do segregowania woluminów. Wieczorem było już jasne, co odzyskali. W większości były to księgi w języku duńskim i niemieckim z XVIII i XIX wieku. Przeważały dzieła teologiczne i rozprawy filozofów chrześcijańskich. Były też perełki, greckie wydania dzieł Platona i Arystotelesa oraz kopia kodeksu watykańskiego, pochodząca prawdopodobnie z początków XIX wieku.

Na osobny stół odkładali poszczególne tomy kronik klasztornych. Niektóre pochodziły nawet z XIV wieku i były zdobione pracochłonną ikonografią.

Robert odszukał tom zawierający rysunki płaskorzeźb na wsparciach ław kościelnych, których odnalezienie kosztowało go tak wiele trudu. Ponownie je sfotografował, obiecując sobie, że dokładnie przyjrzy im się po powrocie do swojego pokoju.

Zajął się pozostałymi tomami kronik. Segregował je według sygnatur. Opisywał i katalogował, a następnie ustawiał na półce w pomieszczeniu, które służyło do ich przechowywania. Gdy uporał się z ponad trzydziestoma tomami, okazało się, że pozostały dwa bez żadnych sygnatur. Z pierwszym poradził sobie dość szybko. Wydarzenia opisane w wyraźnej, prostej łacinie były dokładnie umiejscowione w czasie i obejmowały lata trzydzieste siedemnastego stulecia. Posiłkując się datami poszczególnych zapisów, odnalazł właściwe miejsce w szeregu na półce. Najprawdopodobniej zatarł się napis na okładce.

Z ostatnim tomem jednak nie wiedział, co począć. Nie było w nim żadnych dat, zapisany był regularnym pismem i na pewno nie była to łacina. Autor nie silił się na ozdobną kaligrafię, choć kształt liter świadczył o wyrobionym charakterze i wprawnej dłoni pisarza. Rozmyślając nad sposobem oznaczenia wieku rękopisu, przejrzał po raz kolejny poszczególne strony, szukając wskazówki. Nic, po prostu rzędy liter układających się w wyrazy i zdania. Żadnych akapitów, tylko czasami zapis kończył się w połowie strony, a nowy zaczynał na następnej. W ten sposób można było oznaczyć części. Nieomylnym znakiem początku nowego

„rozdziału” było również bardziej regularne pismo, świadczące o wypoczętej ręce.

Przeglądając strony, nagle natrafił na coś znajomego. Szukał w zapisie wyrazu, który wydał mu się podobny do czegoś, na co niedawno musiał się natknąć, ale mimo iż przebiegł tekst dwa razy, nie potrafił wychwycić tego elementu. Przerzucił kilka stron i w pewnej chwili zobaczył napisane łacińskim alfabetem kaszubskie przysłowie „Gde ksazo raja abo zaraciwaja tam slebu ne dowaja”. Ale to nie było pismo Jana z Kolna! A zatem czyje? Do kogo należał rękopis i w jaki sposób trafił do klasztoru na Wyspach Owczych?

Przekartkował księgę do końca, łudząc się, że może znajdzie jeszcze jakąś wskazówkę. Na ostatniej stronie, gdzie kończył się tekst, nie było podpisu ani daty. Do karty była za to przeklejona odrobina wyblakłej substancji, prawdopodobnie roślinnego pochodzenia. Nowicki poszedł do swojego pokoju i przyniósł żyletkę oraz nylonowy woreczek. Kilka minut później wypreparował próbkę, którą postanowił wysłać do analizy w laboratoriach uniwersytetu w Oslo.

Brat Grden pożegnał się i poszedł do swojego pokoju przed kompleta, twierdząc, że jutro będzie tak samo piękny dzień, jak i ten miniony, i że nazajutrz dokończy to, czego nie zdołał zrobić teraz. Robert nie chciał jednak czekać do jutra. Był niecierpliwy. Jego dociekliwość i pasja badacza nie pozwoliłyby mu teraz zostawić tych materiałów bez sprawdzenia wszystkiego do końca.

Ślęczał więc nad znaleziskiem. Czyżby była to dalsza część historii Jana Żeglarza zawartej w manuskrypcie? Na to pytanie mógłby odpowiedzieć jedynie profesor Konkol. Robert dokładnie sfotografował wszystkie strony foliału, a następnie wrócił do pomieszczenia, w którym przechowywano woluminy kronik. Przeglądał wszystkie, które skatalogował tego dnia, licząc, że może wcześniej coś przeoczył, że znajdzie jeszcze jeden tom napisany po kaszubsku. Niestety, w żadnym z woluminów nie odnalazł ani jednego takiego fragmentu. O piątej rano zdecydował się na jeszcze bardziej karkołomny krok. Choć nie był grafologiem i nie miał doświadczenia w dziedzinie pismoznawstwa, stwierdził, że pewne cechy pisma autora były dość charakterystyczne, i pomyślał, że jeśli sporządził je kronikarz klasztorny, cechy takiego pisma można by odnaleźć w innych tomach zbioru kronik. Wówczas mógłby ustalić, kim był kronikarz i w

jakich latach prowadził zapiski, i w ten sposób potwierdzić lub wykluczyć, że odnaleziony tekst ma znaczenie dla prowadzonych przez niego badań.

Sięgnął więc do tomów kronik spisanych w 1478 roku. Niestety, rozczarował się. Cofnął się o rok, a nawet dwa lata i również nic nie znalazł. Wówczas sprawdził 1479 i 1480. Także nic. Albo autorem nieoznakowanego woluminu nie był kronikarz, albo tekst w domniemanym języku starokaszubskim dotyczył innego okresu i innej sprawy. Już chciał zamykać pomieszczenie z kronikami, gdy zauważył, że jeden z tomów lekko wystaje z szeregu innych. Próbował go przesunąć w głąb, by wyrównać rząd, ale coś przeszkadzało. Wyjął go więc, by sprawdzić, czy jego oprawa jest ponadwymiara. Rzeczywiście, okładki były szersze. Odruchowo przerzucił kilka kartek i dostrzegł charakterystyczny zawijas przy literach „A” i „S”. To było to samo pismo! A w każdym razie bardzo podobne. Litery były stawiane pod tym samym kątem nachylenia i miały podobną manierę. Spojrzał na datowanie. Wpisy pochodziły z lata i jesieni 1481 roku. Na ostatniej stronie widniał podpis: „Sporządził kronikarz klasztorny, matka Enkrata, franciszkanka”.

A zatem matka Enkrata... Ciekawe, z jakiego powodu wybrała sobie to imię? Z greckiego oznaczało wstrzemięźliwość...

Enkratystami byli członkowie różnych sekt [gnostyckich](#) z połowy II wieku... Człowiek, zgodnie z ich nauką, składał się z materii i duszy, przy czym dusza mogła być nieśmiertelna tylko wtedy, gdy została zaakceptowana przez Boga. Nie każdy mógł dostąpić takiego zaszczytu. Czy matka Enkrata, służąc Wielkiemu Pasterzowi i jego owczarni na Wyspach, *nomen omen*, Owczych, czuła się godna i warta dostąpienia takiego zaszczytu? A może swoje imię wybrała z innego powodu? Ważniejsze dla Roberta było jednak ustalenie, kim była? I skąd znała język kaszubski? Bardzo wiele poszlak łączyło ją z Janem Żeglarzem. Czy czytała jego manuskrypt? Co skłoniło ją do napisania księgi w języku kaszubskim?

Nowicki sfotografował łacińskie teksty kronik spisane ręką Enkraty, by zyskać materiał porównawczy mogący potwierdzić lub wykluczyć, iż oba rękopisy sporządziła ta sama osoba.

Usłyszał dzwony. Mnisi zaczęli śpiewać Anioł Pański. Była szósta rano.



W komendzie policji był kilka minut przed piętnastą. Nadii nigdzie nie było, więc wszedł do środka, by zapytać, o której ją wypuszczą. Podinspektor Velgur miał dla niego złe wiadomości.

– Sprawa okazała się bardziej skomplikowana, niż myśleliśmy na początku... – rzekł poważnie. – Prokurator miał wszelkie dane, by wydać nakaz aresztowania. Prawdopodobnie pani Gordiejewa zostanie przetransportowana do Kopenhagi, gdzie toczy się główne śledztwo.

Nowicki nie krył zaskoczenia.

– Co się stało?

– Zeznania tego Siergieja Kuzancewa poważnie ją obciążają. Według niego to ona była inspiratorem kradzieży rękopisu. Stwierdził, że działała na czyjeś zlecenie i zwerbowała go za sto tysięcy koron... Do tego pojawiły się nowe dane dotyczące jednej z akcji ich grupy w Niemczech przed dwoma laty. Podobno to Nadia była szefową grupy. To drugie potwierdza także osadzony w Monachium jej dawny współpracownik i kochanek, niejaki Aleksiej...

– Ale przecież to nielogiczne. Gdyby tak było, nie uprzedziłaby mnie i nie zgłosiłaby się do was...

Velgur rozłożył ręce i uniósł wysoko brwi.

– To już wyjaśnią prokurator i sąd.

– Jak długo to może potrwać?

– Kto wie? Kilka dni, tygodni...

– I przez ten czas Nadia będzie siedziała w areszcie?

– Nie wiem, profesorze. O tym zadecyduje prokurator...

Gdy Robert się uspokoił, przynajmniej na tyle, by opanować drżenie głosu, zapytał:

– Będzie można ją odwiedzać?

– Nie sądzę, ale może prokurator się zgodzi. Będzie pan mógł go o to zapytać już jutro.

Prokurator nie był jowialny jak podinspektor Velgur i nie chciał rozmawiać o Nadii. Zgodził się na wyjazd Roberta, pod warunkiem że profesor zostawi swój adres w Polsce.

– Być może będzie pan potrzebny jako świadek podczas sprawy. Sędzia może pana wezwać, jeśli uzna, że zeznania złożone do protokołu mu nie wystarczają – wyjaśnił.

Sprawdzenie wiarygodności danych Nowickiego, potwierdzenie adresu zamieszkania i miejsca pracy zajęło pracownikom gdańskiej komendy

policji kolejną dobę. Wreszcie Robert stawiał się przed obliczem prokuratora, podpisał stosowne oświadczenia i otrzymał pozwolenie opuszczenia archipelagu.

Zapytany o widzenie się z Nadią, prokurator stwierdził, że nie jest to możliwe na obecnym etapie śledztwa. Za kilka dni miała być przewieziona do Kopenhagi.

– Mogę jej zostawić list?

Prokurator przez chwilę się zastanowił, ale w końcu ponownie pokręcił głową.

– Może pan, ale nie zostanie dostarczony.

Robert zachnął się.

– Po prostu chciałbym się pożegnać, wyjeżdżam i nie będę miał z nią żadnego kontaktu.

– Proszę napisać na adres aresztu śledczego w Kopenhadze. Tam już sędzia śledczy podejmie decyzję, czy przekazać jej list czy nie.

Rozmowa była skończona. Misja Nowickiego na Wyspach Owczych również. Na „Norröne”

odprowadził go Dalmor.

– Co z Iną, odezwała się? – zapytał rybaka.

– Dzwoniła.

– I co? Dlaczego nic nie mówisz?

– Bo niewiele zrozumiałem.

– Kiedy wraca?

– Po rozprawie, na której sąd ma uznać jej męża i syna za zaginionych.

– Będzie wolna.

– Też mi się tak zdaje... Może się chajtniemy...

– Czy mam się czuć zaproszony na ślub?

Na twarzy Ryszarda pojawiło się ożywienie.

– A przyjedziesz?

– Jakby wypadło w wakacje, kiedy nie będę miał zajęć ze studentami...

– Na razie to tylko pobożne życzenia. Nie wiem, co powiedziałyby na taką propozycję. Ale jak wróci, zapytam.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo, nie zmarnuj tego.

Dalmor popatrzył na Roberta z uśmiechem.

– A ty nie zmarnuj swojej szansy.



Z twarzy profesora zniknął uśmiech.

– Sam nie wiem, czy jest jeszcze jakaś szansa.

– Zawsze jest, sam to mówiłeś.

Robert pokiwał głową.

– Ja ciebie też trzymam za słowo – rzekł Ryszard.

– Przecież ci go nie dałem.

– Dobra, dobra... – Rybak poklepał go po ramieniu.

– Nie tak mocno, bo uszkodzisz mi bark, niedźwiedziu.

Jakoś tego dnia nie było im za bardzo do śmiechu. Pożegnali się uściskiem dłoni.

Dalmor zadał jeszcze jakieś grzecznościowe pytanie, ale Robert nie odpowiedział i Rysiek uznał, że nie należy drażnić tematu, bo to może sprawiać przyjacielowi ból.

– Napiszę do ciebie za jakiś czas. Może tu jeszcze wpadnę...

– Jakby co, zawsze możesz się u mnie przekimać kilka dni. Wybierzemy się na rybki, nie biznesowo, tylko tak bardziej rekreacyjnie...

– Kto wie?

– A, swoją drogą, nie myślałem, że wśród fanów Lechii można spotkać sensownych facetów.

– Ej, ty!

– Nawet jeśli mają dyplom uniwersytecki – brnął z premedytacją, chcąc najwyraźniej ożywić Roberta.

Ten zaśmiał się.

– Ty się jednak prosisz dzisiaj...

– Spoko, profesor... Za kilka dni rusza liga, zobaczymy, czy też będziesz taki bojowy po pierwszych derby...

– To będą jakieś derby? – puścił oko Nowicki. – Myślałem, że spadliście do drugiej ligi...

– Jeszcze długo nie, ale wam może się to przydarzyć.

Znów podali sobie dłonie.

– Napisz, co z Iną... Kiedy ślub.

– Dam znać.

Godzinę później Robert oglądał Tórshavn z górnego pokładu promu. Malało z każdą chwilą, aż w końcu zniknęło, łódź skrył się za linią horyzontu i niedługo potem zapadła ciemność.



## Enkrata

Po powrocie do Gdańska wpadł w zwyczajowy rytm pracy. W instytucie historii organizowano nowy rok akademicki, rozdzielano zajęcia i grupy studentów. Dyrektor uparł się, że w tym roku Robert powinien wziąć seminarium magisterskie. Nie protestował, tym bardziej że otrzymał zapewnienie, iż będzie mógł wybrać sobie dziesięciu studentów z tych, którzy się do niego zapiszą.

– A jeśli nikt się nie zapisze? – był pełen wątpliwości.

Dyrektor uspokoił go.

– Myślę, że będzie ich w nadmiarze. Zrobiłeś się ostatnio popularny...

– Wiedzą?

Dyrektor uśmiechnął się porozumiewawczo.

– A jak myślisz?

Po kilku miesiącach nieobecności w kraju musiał uporządkować swoje sprawy. Zabrało mu to nieco czasu, ale w końcu mógł wrócić do pracy nad manuskrytem. Otrzymał wiadomość od ojca Roscoe, że prokuratura przekazała foliał do klasztoru za pokwitowaniem i z zastrzeżeniem, że jeśli okaże się on niezbędny podczas procesu sądowego w Kopenhadze, klasztor zobowiązuje się go dostarczyć na rozprawy do okazania świadkom. Przeor był szczęśliwy, że jego bezcenny rękopis wrócił na swoje miejsce, i od tego czasu trzymał go w kasie pancерnej w swoim gabinecie.

Profesor Konkol przekazał Nowickiemu oficjalne tłumaczenie manuskryptu, strona po stronie, z pełnym opracowaniem i uwagami. Robert zlecił tłumaczenie na norweski. Przy okazji zweryfikował finalną wersję Konkola z tym, co przesłali studenci. Nie było znaczących różnic, w każdym razie nie na tyle, by miało to wpływ na ostateczne ustalenia. A zatem praca studentów okazała się bezcenna. Teraz mógł już zabrać się za spisywanie wniosków końcowych.

Nie było pory dnia, by nie myślał o Nadii. Początkowo jego wrażenia były ambiwalentne. W jego myślach raz było więcej Nadii dobrej, uczciwej, ale niefortunnie zamieszanej w brudną aferę, a innym razem jawiła mu się jako ktoś, kto świetnie panuje nad swoim losem i manipuluje innymi dla osiągnięcia korzyści. Z czasem jednak przeważył w nim obraz takiej Nadii, do której tęsknił. Delikatnej, spokojnej, szlachetnej, może nieco zagubionej, ale z potrzebą kochania i bycia kochaną. Z tym było mu łatwiej.

Pewnego popołudnia zadzwonił do podinspektora Velgura.

– Jak ona się czuje? – zapytał.

– Była przybita, gdy wyjeżdżała.

– Zostawiła dla mnie jakąś wiadomość?

– Nic o tym nie wiem – rzekł Velgur.

– A może mi pan chociaż powiedzieć, czy kontaktowała się z kimś przed wyjazdem?

– Oficjalnie na pewno nie, bo nie miała takiego zezwolenia.

Robert zamilkł. Liczył, że może dała znać Dalmorowi.

– Profesorze – usłyszał w słuchawce – niech pan do niej napisze na adres aresztu śledczego w Kopenhadze.

– Tak zrobię, dziękuję inspektorze.

Napisał długi list jeszcze tego samego dnia. Nazajutrz rano wysłał go poleconym.

Mijały dni. Każdego popołudnia, gdy wracał do domu, zaglądał do skrzynki pocztowej. Wśród rachunków i ulotek zdarzyły się dwie widokówki z wakacyjnymi pozdrowieniami od dawnych znajomych, ale koperty ze znaczkiem królowej Danii nie było. Na adres instytutu również nic nie przyszło.

Rozpoczął się nowy rok akademicki i bieżące sprawy pochłonęły go do tego stopnia, że o Nadii myślał rzadziej, a gdy zbliżał się do swojej skrzynki pocztowej, nie odczuwał już przyspieszonego bicia serca.

Pod koniec października odebrał telefon od radcy konsulatu Królestwa Danii w Gdańsku. Pani o miłym głosie pytała, czy zechciałby odwiedzić ich placówkę.

– W jakim celu?

– W przyszłym tygodniu będziemy gościć przedstawiciela naszej prokuratury, który prowadzi śledztwo w sprawie kradzieży manuskryptu w Tórshavn. Wynikły pewne nowe okoliczności i w związku z tym

chcielibyśmy zapytać, czy zechciałby pan odpowiedzieć na pytania naszego gościa?

Spotkanie odbyło się przy kawie, ciasteczkach i pozornie nie miało nic wspólnego z przesłuchaniem.

Ot, po prostu przyjacielska rozmowa z atrakcyjną panią nadkomisarz. Nie było protokolanta, ale miał wrażenie, że każde słowo notował dyktafon. Nie musiał niczego podpisywać i nie był uprzedzony o karaniu za fałszywe zeznania, a mimo to było oczywiste, że wszystko, co powie, może mieć ogromny wpływ na czyjś los.

Pytania nadkomisarz krążyły wokół rudowłosej Rosjanki. Chciała wiedzieć, jak się poznali, prosiła, by zrelacjonował niemal minuta po minucie tę chwilę, gdy znalazł ją pobitą przed wejściem do nocnego klubu. Pytała o wrażenia, jakie wywarła na nim, jeszcze zanim ją poznał, a tylko widywał w mieście.

Znaczenie miały, zdawało się, najdrobniejsze szczegóły. Nawet to, jak Nadia się ubierała, jakiego koloru był jej plecak, czy jej komputer posiadał jakieś charakterystyczne cechy. Sporo pytań dotyczyło także ich stosunków z Siergiejem i tego, co Nadia o nim mówiła. Jak go poznała, jakie miała z nim kontakty po wyjeździe z Rosji, co opowiadała o Aleksie i ich wzajemnych relacjach z Siergiejem. Nowicki udzielał wyczerpujących informacji. Na koniec podkreślił dwa razy, że manuskrypt został odzyskany wyłącznie dzięki szybkiej i zdecydowanej interwencji Nadii. Pani nadkomisarz przyznała:

– Tak, to jest jasne. Gdyby sprawa, w której toczy się śledztwo, dotyczyła tylko kradzieży księgi i próby jej nielegalnego wywozu, pani Gordiejewa byłaby już na wolności. Wynikły jednak inne wątki, które musimy zbadać.

Nie odpowiedziała na żadne pytanie profesora, zasłaniając się tajemnicą śledztwa.

– Rozmawiała pani z nią? – Nadkomisarz przytaknęła. – Jak ona się czuje?

– Ma zapewnione warunki zgodne z przepisami i regulaminem.

– Kiedy mógłbym się z nią zobaczyć?

– Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Pani Gordiejewa odmawia wszelkiej współpracy.

Nowicki był zaskoczony i rozczarowany.

– Trudno uwierzyć – rzekł z niedowierzaniem.

– To są fakty – powiedziała stanowczo nadkomisarz. – Widocznie ma powody.

Robert pokręcił głową. Nie był przekonany.



W połowie listopada dostał e-mail od podinspektora Velgura, który przesłał mu linki do kilku artykułów, jakie ukazały się w duńskich mediach. Ich przedruki zamieściły angielskie i włoskie portale.

Profesor zagłębił się w ich anglojęzycznych wersjach.

Portale opisywały lipcową kradzież manuskryptu na Wyspach Owczych, toczące się śledztwo, zaginięcie profesora Kalessona, udział Siergieja i Nadii w sprawie, a także prace badawcze prowadzone przez profesora z Polski.

Najważniejszy był jednak wątek kryminalny. Reporter, powołując się na dane z prokuratury, donosił, że wszystko wskazuje na to, iż sprawa kradzieży manuskryptu ma swoje źródło w... Genui, a tropy wiodą do osób związanych z zacnym skądinąd Bractwem Krzysztofa Kolumba. Dochodzenie niezbitnie wykazało powiązania tej organizacji z członkami włoskiej mafii, a przez nich z zorganizowanymi rosyjskimi grupami przestępczymi, działającymi na terenie zachodniej Europy. Badania Nowickiego, z punktu widzenia Bractwa, zagrażały jedynej i już ugruntowanej teorii, jakoby odkrywcą Ameryki był Krzysztof Kolumb. Aby temu przeciwdziałać, postanowili je uniemożliwić.

*Z pozoru brzmi to jak spiskowa teoria dziejów – pisał dziennikarz – ale to tylko pierwsze wrażenie, bo jeśli zgłębimy przyczyny, dla których powstało Bractwo, i dowiemy się, co legło u jego genezy, wcale nie będzie to takie oczywiste. Książę Di Colafori przeznaczył ogromne sumy, w tym dochody dwóch swoich banków, na finansowanie Bractwa Krzysztofa Kolumba, którego zadaniem było kultywowanie pamięci po słynnym genueńczyku. Mówiło się, że rodzina Di Colafori była spokrewniona z Kolumbem. Chwała jego dokonań sphywała więc pośrednio na nich.*

*W celu popularyzacji postaci słynnego odkrywcy wydawano sporo pieniędzy, choć ostatnio już nie tak wiele jak w przeszłości. Niemniej, dla takich ludzi jak profesor Vincenzi z Genui były to kwoty, dla których warto było zaryzykować nawet swój autorytet naukowy. Istnieją bardzo poważne poszlaki świadczące o jego udziale w inspirowaniu kradzieży manuskryptu.*

*Oddanie gdańskiemu żeglarzowi miana „odkrywcy Ameryki” pozbawiłoby profesora Vincenziego znacznych zysków i wpływów i postawiłoby pod znakiem zapytania jego badania nad piątą wyprawą Kolumba do Ameryki. To z kolei mogłoby oznaczać początek końca jego kariery. Profesor Vincenzi podjął więc działania, które początkowo miały na celu ośmieszenie badań profesora Nowickiego. Gdy jednak Polak zyskał mocnego sojusznika, słynnego mecenasa badań historycznych, duńskiego potentata stoczniowego Sigmunda Petersena, postanowił na własną rękę przejąć kontrolę nad badaniami Nowickiego. Korzystając z pośrednictwa mafii, wynajął rosyjskiego przestępcę, Siergieja Kuzancewa, a ten z pomocą swojej współpracownicy, którą podsunął Polakowi jako kochankę, uzyskał dostęp do wyników jego badań.*

*Przez nią kontrolował poczynania polskiego profesora, mogąc w razie konieczności uniemożliwić ich kontynuację.*

*Profesor Vincenzi pragnął zdyskredytować badania Nowickiego, wszczynając negatywną dyskusję na łamach forum internetowego odwiedzanego przez autorytety w dziedzinie historii z całego świata.*

*Założył kilka fałszywych kont mailowych na nazwiska swoich współpracowników, a także emerytowanych profesorów historii. Popęłił jednak błąd, ponieważ posłużył się nazwiskiem badacza, który już od roku nie żył. Ten fakt, odkryty przez polskiego naukowca, sprawił, iż profesor Vincenzi stanął w kręgu podejrzeń.*

*Tymczasem na scenie dramatu pojawił się profesor Ingmar Kalesson z kopenhaskiego uniwersytetu, który był konsultantem Petersena. Zaginął podczas rejsu promem Smyril Line „Norröna” na Wyspy Owcze, gdzie po zbadaniu manuskryptu miał wydać o nim opinię. Petersen postanowił, że na jej podstawie podejmie decyzję o rozpoczęciu finansowania badań Polaka na Wyspach. O udział w zniknięciu Kalessona podejrzewany jest wspomniany już Siergiej Kuzancew. Obaj panowie wspólnie bankietowali podczas rejsu do Tórshavn, co zapamiętało kilku pracowników obsługi pokładowej, w tym barman jednej z kawiarni, który serwował obu dżentelmenom drinki. Z jego obserwacji wynika, że Kuzancew namawiał do picia Duńczyka, który nieco się wzbraniał. Następnie obaj wyszli na pokład, podtrzymując się jak para starych przyjaciół. Od tej chwili nikt więcej nie widział profesora. Kilka dni później zaginął także oryginał rękopisu średniowiecznego żeglarza. Bez oryginału wszelkie ustalenia i dowody*

*byłyby nie do zweryfikowania, a tym samym teoria o odkryciu Ameryki przez Jana Scolnusa pozostałaby na zawsze tylko hipotezą.*

Następnie podany był życiorys profesora Vincenziego ze szczególnym uwzględnieniem epizodu, jakim było przyznanie mu grantu Fundacji Nansena.



Profesor Harald Svenson zadzwonił do Roberta tydzień później.

– Właśnie skończyliśmy posiedzenie rady naukowej Fundacji Nansena – powiedział. – Wobec zaistniałych faktów musieliśmy zweryfikować naszą majową decyzję co do przyznania grantu profesorowi Vincenzemu.

Norweg opowiedział Nowickiemu o najnowszych ustaleniach śledztwa prowadzonego w sprawie kradzieży manuskryptu. Dowody winy Włocha były już teraz bezsporne.

– Afera ze zleceniem kradzieży to tylko jedna z przyczyn naszej decyzji – powiedział. – Już wcześniej poprosiliśmy go o przedstawienie oryginałów dokumentów stanowiących podstawę jego badań. I wie pan, co się okazało? Vincenzi, pracując nad wyjaśnieniem okoliczności piątej wyprawy Krzysztofa Kolumba, wspierając się naszymi środkami i oczywiście potężnymi sumami Bractwa Krzysztofa Kolumba, po prostu, uważa pan, fabrykował dowody i manipulował interpretacjami już istniejących, by potwierdzić swoją tezę. Zatrudnił najlepszych fałszerzy, by sporządzili od nowa kilka tabliczek manuskryptu z Puri. Tym sposobem w tekście pojawiły się dane niezbędne do potwierdzenia teorii Vincenziego. Analitycy z laboratorium zorientowali się, że popełniono fałszerstwo. Nie od razu, dopiero po przebadaniu oryginałów dokumentów zgłoszonych do badań. Włocha zgubiła zachłanność. Chciał koniecznie postawić kropkę nad „i” i kazał dopisać cały rozdział na oryginalnym materiale, jak się później okazało, atramentem sporządzonym według dawnej receptury. Fałszerze byli fachowcami najwyższej klasy.

– Dlaczego Vincenzi zdecydował się na oszustwo? Tylko dla sławy?

– Nie sądzę, uważam, że powody były jak najbardziej merkantylne – rzekł profesor Svenson. – Jako członek elitarnego Bractwa Krzysztofa Kolumba liczył, że po udowodnieniu piątej wyprawy Kolumba na kontynent amerykański i jego dotarcia do Indii, jako najwybitniejszy badacz spuścizny słynnego genuęczyka stanie na czele Bractwa, zyskując

tym samym poważną, choć nie całkowitą kontrolę nad jego ogromnymi finansami. Wiadomo, że pieczę nad nimi sprawuje Colafiori, ale Vincenzi stałby się znaczącym partnerem i miałby dużo do powiedzenia na temat przyznawania funduszy na różne cele i badania. Niech mi pan wierzy, profesorze, Vincenzi nie jest fanatykiem. Jest na to zbyt inteligentny.

Działał dla zysku. A że wierzy w bezwzględną moc pieniądza, nie miał skrupułów co do zasad.

– Co teraz?

– Właśnie, dochodzimy do istoty sprawy, dla której pozwoliłem sobie niepokoić pana telefonem. Rada naukowa cofnęła grant Vincenzemu. Jest propozycja, aby te pieniądze przekazać na badania finalisty, który zdobył największą po Vincenzim ilość pozytywnych opinii rady, czyli pańskie... Zanim to jednak nastąpi, musimy dopełnić wymogów proceduralnych przewidzianych w statucie. To się wiąże z ponowną prezentacją i przesłuchaniem. Najpierw jednak chciałbym pana poprosić o uzupełnienie raportu, który dostałem latem. Jako załącznik potraktujemy tłumaczenie manuskryptu, z którym zresztą już się zapoznałem. Ale muszą go przeczytać także pozostali członkowie rady naukowej fundacji. Potem wyznaczymy termin spotkania.

– Ale to będzie zupełnie inny temat...

– Pozwoli pan, że się nie zgodzę. Wręcz odwrotnie. Pan dowiódł, iż istnieją nowe dokumenty w sprawie wyprawy Pininga i Pothorsta, która była przewodnim tematem pańskiego poprzedniego wniosku. Przecież w manuskrypcie Scolnusa pojawiały się, i to kilka razy, wątki dotyczące wyprawy obu Niemców. Jan z Kolna, podążając ich tropem, dostarcza nam sporo nowych wiadomości o ich podróży, i choć nie są one na razie zweryfikowane, istnieje ogromna szansa, by wniosły nowe elementy do całej historii.

– Właściwie ma pan słuszność...

– A ja już z góry się cieszę, że pańskie badania przyniosą, oprócz szczegółów dotyczących Pininga i Pothorsta, także nowe odkrycie dotyczące pańskiego rodaka.



Kilka dni później Robert znalazł w swojej skrzynce awizo na pocztę. W okienku pokwitował odbiór przesyłki. Był to zwrot listu, który nadał na



adres aresztu śledczego w Kopenhadze. Na odwrocie koperty widniała pieczęć informująca o odmowie dostarczenia przesyłki i podpis naczelnika aresztu.

Napisał mail. Przecież prędzej czy później Nadia będzie miała dostęp do internetu. Wtedy przeczyta.

Przez pierwsze dni natrętnie sprawdzał swoją pocztę po kilkadziesiąt razy dziennie.

Niestety, nie było odpowiedzi. Nie miał też potwierdzenia, że jego list został wyświetlony na jej komputerze.



Debata Nowickiego z radą naukową Fundacji Nansena była rzeczywiście tylko formalnością. Profesor po wygłoszeniu piętnastominutowego wykładu otrzymał jednogłówną decyzję na przyznanie grantu.

Zatwierdzono ją przez aklamację. Potem wraz z Petersenem i Svensonem usiedli przy kawie.

Sigmund Petersen, jak na biznesmena, który odnosił sukcesy w przemyśle stoczniowym i z historią nie miał do czynienia w sposób zawodowy, świetnie orientował się w dziejach epoki wielkich odkryć geograficznych. Był przy tym dowcipny i potrafił oczarować słuchacza celnymi anegdotami.

– Pamięta pan tę przedłużającą się chwilę podczas ogłoszenia wyników przyznania tegorocznego grantu?

– Tak, rzeczywiście...

– Nasza dyskusja nad wyborem laureata była dość burzliwa – przyznał Petersen i wymienił spojrzenia ze Svensonem. Po czym uśmiechnął się i dodał: – Z reguły nie wtajemniczamy uczestników konkursu w nasze zakulisowe sprawy, ale tym razem odstąpię od zasady, tym bardziej że rzecz dotyczy sytuacji, w której wszyscy się znaleźliśmy.

– Zamieniam się w słuch – zaciekał się Polak.

– Już od pewnego czasu dochodziły do mnie niejasne informacje dotyczące Bractwa Krzysztofa Kolumba. Nie chcę powtarzać plotek, chodzi raczej o opinie, które na temat wyników prac przez nich sponsorowanych wyrażały znane autorytety. Jedna czy dwie pomyłki właściwie mogą zdarzyć się każdemu, trzecia to, powiedzmy, niefortunny zbieg

okoliczności, ale u nich naciąganie faktów miało miejsce nagminnie. A wszystko to służyło bardziej lub mniej lansowaniu na siłę zasług Kolumba, nawet w takich dziedzinach, do których z pewnością on sam nie zgłaszałby specjalnych pretensji. Mówię tu choćby o organizowaniu ewangelizacji na odkrytych przez siebie ziemiach, któremu rzekomo miał się poświęcać bez reszty. Niestety, trafiłem na silny sprzeciw wśród członków rady. Moje argumenty zostały odrzucone. Uważano, że wyjaśnienie okoliczności piątej wyprawy Kolumba do Indii może stanowić największe odkrycie ostatnich lat, i zostałem przegłosowany. Podczas jednej z przerw w debacie wspólnie z profesorem Svensonem postanowiliśmy wysłać pana do klasztoru w Tórshavn, gdzie za namową przeora zainteresowałby się pan kilkoma księgami, których zbadanie mogłoby wnieść sporo nowych elementów do historii Pininga i Pothorsta. Przy czym liczyliśmy przede wszystkim na pańskie studia nad kronikami klasztornymi. Jak było wiadomo od dawna – stanowiły prawdziwą kopalnię wiedzy o żeglarzach i ich podróżach w tamtym rejonie Atlantyku. Na Wyspach Owczych zatrzymywali się bowiem wszyscy, którzy płynęli na Islandię i na Grenlandię lub stamtąd wracali. Pining i Pothorst również musieli tam uzupełniać wodę i żywność, a być może także dokonywali tam jakichś napraw. Było prawie niemożliwe, by wyprawa trzech wielkich okrętów z osadnikami nie została w jakikolwiek sposób odnotowana przez kronikarzy.

Duńczykowi zależało na wyjaśnieniu okoliczności ich wyprawy, gdyż odbyła się pod auspicjami króla Danii Christiana I Oldenburga. Udowodnienie tezy, że oni pierwsi lądowali na stałym kontynencie, byłoby wkładem Danii w odkrycie nowej ziemi. Tak się złożyło, że do tej pory kroniki klasztorne nie zostały zbadane. Zdołano je zaledwie skatalogować, i to po części, bo, jak wiadomo, brakujące woluminy zostały odnalezione dopiero z inicjatywy polskiego uczonego w bazie NATO.

Temat badań Roberta mógł więc być świetną okazją do spełnienia marzeń przeora zakonu franciszkanów, który od dawna namawiał profesora Svensona, by przydzielił kogoś do studiów nad kronikami.

Vincenzi napawał się swoim sukcesem, udzielając wywiadów, gdzie tylko się dało, i odcinając kupony od tego, co miał dopiero zrobić, tymczasem odkrycie polskiego profesora w Tórshavn przeszło najśmielsze oczekiwania Petersena i Svensona. Okazało się, że legendarny Jan z Kolna, którego istnienia do tej pory żaden poważny badacz nie brał na serio pod uwagę, również wypłynął z Kopenhagi z błogosławieństwem króla Danii

Christiana I. I to wypłynął śladem wyprawy obu Niemców, a zatem dane zawarte w dzienniku jego podróży mogły wnieść wiele nowego do rekonstrukcji wyprawy, która wyruszyła rok wcześniej.

Wraz z rozwojem sytuacji oraz wyjawianiem coraz to nowych faktów, Petersen zaczął rozważać wsparcie badań Nowickiego już nie tylko nad wyprawą Pininga i Pothorsta, lecz również nad manuskryptem Jana Żeglarza. Potrzebował jednak argumentów, jak choćby stwierdzenia autentyczności rękopisu. W tym celu wysłał do Tórshavn swojego konsultanta, profesora Ingmara Kalessona z uniwersytetu w Kopenhadze, który na miejscu miał wydać opinię. Niestety, historyk, jak wiadomo, nie dotarł już na Wyspy Owcze.

– Sądzi pan, że to morderstwo?

– Trudno uznać to za zbieg okoliczności, choć... ostatecznie wykluczyć się tego nie da. Wiem, że profesor był abstynentem od ponad dwudziestu lat. Tymczasem z zeznań świadków jasno wynika, że podczas rozmowy z Siergiejem pił, i to sporo. Ale wszystko będzie jasne dopiero po odnalezieniu profesora, żywego lub martwego.

– To może nie nastąpić zbyt szybko.

– Jeśli ciało zostało wyrzucone za burtę w nocy, może nie zostać nigdy odnalezione. Na korzyść Siergieja świadczy fakt, że z kabiny nie zniknęły rzeczy Kalessona, a to dla takiego przestępcy jak Kuzancew nie stanowiło najmniejszego problemu. Walizki profesora mogły przecież łatwo znaleźć się za burtą, tym bardziej że bulaj jego kabiny bezpośrednio wychodził na ocean i znajdował się trzy metry nad wodą, w nocy nikt nie usłyszałby plusku spadających pakunków. A jednak tego nie zrobił, dlaczego?

– Może zabrakło mu czasu, nie mógł wejść do kabiny Kalessona, bo ktoś kręcił się na korytarzu...

– Nie, na korytarzu, zresztą jak na całej „Norrönie”, jest stały monitoring.

– Może był... zepsuty?

– Nic z tych rzeczy. Jedyna przerwa w rejestrowaniu nastąpiła około czwartej rano, gdy operator wymienił kasetę do zapisu, bo poprzednia się skończyła. To mogło trwać około minuty.

– A zatem zagadka?

– Miejmy nadzieję, że jednak kiedyś zostanie wyjaśniona... A tymczasem prawo mówi, że dopóki nie ma ofiary, nie ma mowy o

zabójstwie. Tym sposobem może się okazać, że niedługo Siergiej znów pojawi się na wolności.

Robert przerejestrował bilet, by mieć międzylądowanie w Kopenhadze, w której chciał spędzić kilka godzin. Na lotnisko w Oslo odwiózł go Svenson. Jego sekretarka pomagała w załatwieniu formalności w biurze linii lotniczych SAS.

– Jeszcze raz gratuluje, profesorze. – Svenson z uśmiechem wyciągnął rękę do Roberta przy pożegnaniu. – *À propos...* Idąc tropem, który zawarł pan w swoim raporcie, pracujemy nad możliwością ponownego otwarcia relikwiarza w Kirkjubøur.

– Naprawdę?

– To jeszcze potrwa, ponieważ trzeba zdobyć wszystkie wymagane zezwolenia: od władz państwowych, kościelnych, służby ochrony zabytków, konserwatora, a nawet od urzędu kontroli sanitarnej. Formalności zabierają mnóstwo czasu...

– Byłoby to bezcenne dla badań, gdyby można było zajrzeć do relikwiarza, tym bardziej że w dokumentach jest pewna nieścisłość. Wewnątrz znajdowało się podobno siedem przedmiotów, a opisano tylko cztery. Nie wiem, czy ustalenie tej różnicy może mieć wpływ na wynik naszych badań, ale trzeba to sprawdzić.

– Właśnie to robimy... Czy myślał pan, by wynająć mieszkanie w Tórshavn? Przypuszczam, że spędzi pan tam trochę czasu... A warunki grantu pozwolą na to w zupełności.

– Nie wiem, czy potrzebuję całego mieszkania, choć pewnie byłoby to ułatwienie... Wie pan, profesorze, czego najbardziej brakowało mi podczas pobytu na wyspach? – Svenson spojrzał na Roberta z zaciekawionym wyrazem twarzy. – Swobodnego dostępu do internetu.

– Pan żartuje... – roześmiał się Norweg. – Teraz taka bariera już nie istnieje.

– To wspaniale, choć muszę przyznać, że nie żałuję... Dzięki temu, że codziennie musiałem szukać dostępu do internetu, poznałem... ciekawe osoby.

Robert pochwycił uważne spojrzenie profesora Svensona.

– Domyślam się, o kim pan mówi... – Norweg uśmiechnął się wyrozumiale.

Nowicki zarumienił się i nie kontynuowali już tego tematu. Przy wejściu do rękawa samolotu jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie.

– Proszę napisać, w jaki sposób zaplanował pan dalsze prace badawcze. Musimy sporządzić odpowiednie dokumenty, by uzyskać płynność finansową.

W Kopenhadze Nowicki wylądował o dziesiątej rano, a ostatni samolot do Gdańska odlatywał po dziewiętnastej. Miał więc przed sobą cały dzień. Wziął taksówkę i udał się do aresztu śledczego. Ponad godzinę czekał, zanim wyszedł do niego officer. Kazał mu iść za sobą i Robert myślał, że za chwilę zobaczy Nadię, ale okazało się, że trafił do gabinetu szefa ochrony. Czekają tam już dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach, którzy chcieli wiedzieć, kim jest i w jakim celu pragnie się widzieć z Nadią Gordiejewą. Czuł się jak na przesłuchaniu, tym bardziej że jeden z mężczyzn próbował przyjąć wobec niego postawę jak policjant wobec przestępcy.

W końcu nie zezwolono na spotkanie.

– Co ona takiego zrobiła, że wciąż zabraniać jej kontaktu ze światem?

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Jeden z nich uśmiechnął się prowokująco.

– Takie są przepisy – powiedział – a pan nie jest nikim z rodziny.

Po wyjściu z budynku Robert wszedł do pierwszej budki telefonicznej, którą zobaczył. Była w niej książka telefoniczna Kopenhagi. Niestety, nie znalazł w niej nikogo o nazwisku Gordiejew.

Potem przyszło mu do głowy, że może jej rodzina mieszka gdzieś na przedmieściach? Zadzwoił więc do Tórshavn, do podinspektora Velgura, pytając o adres rodziny Nadii.

– Pan oczekuje ode mnie zbyt wiele... – usłyszał.

– Panie inspektorze, proszę mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego zabraniają mi widzenia?

– Pani Gordiejewa, podobnie jak Kuzancew, mają wzmocnioną ochronę.

– Z jakiego powodu?

– Nie czyta pan gazet?

– Nie wiem, o czym pan mówi...

– Próbowano zatrzymać Vincenziego, ale uciekł. Są podejrzenia, że ktoś mu w tym pomógł. Szukają go. Interpol i Europol rozesłały już listy gończe.

– Ach tak... Ale co Nadia ma z nim wspólnego?

– Nie mam pewności, bo nie biorę bezpośredniego udziału w dochodzeniu, ale wydaje mi się, że ten nadzór został wzmocniony z obawy,

że ktoś może zechce wyrzucić presję na pani Nadii i skłonić ją do zmiany zeznań.

– Vincenzi?

– Raczej ktoś z jego możliwych przyjaciół.

Późnym wieczorem był już w domu. Wziął prysznic i przed snem sprawdził na komputerze pocztę.

Była przesyłka od Svensona, który donosił, że po powrocie z lotniska otrzymał wynik kolejnych badań mikrośladów i niniejszym go przesyła...

Zajrzał do tekstu z ciekawością, ale okazało się, że była to ekspertyza płatka róży. Przecież otrzymał ją już kilka miesięcy temu. Popatrzył na datę wydania opinii, była dzisiejsza. Porównał więc oba werdykty i okazało się, że są identyczne. Widocznie jakaś laborantka wykonała badanie tego samego mikrośladu dwa razy... Zdarza się. Nie zaprzętała sobie tym więcej głowy, bo wszystkie jego myśli zajmowała Nadia.

Bał się, że poprzez fałszywe zeznania Siergieja i Aleksa mogła zostać wplątana w kłopoty, z których tak łatwo się nie wykaraska.



Kilka dni później odebrał telefon od profesora Konkola.

– Przepraszam cię – usłyszał. – Zupełnie mi to umknęło... Na jutro, najdalej na pojutrze będziesz to miał gotowe.

– Co takiego?

– No, ten manuskrypt...

– Zaraz, o czym ty mówisz?

Konkol wyjaśnił, że chodzi o rękopis Enkraty, znaleziony między tomami kronik klasztornych.

– Wprawdzie przesłałeś mi to już w lipcu, ale odłożyłem pracę na później, bo miałem wyjazdy, sympozja, potem początek roku akademickiego i w końcu wypadło mi to z głowy. Nie przypomniałeś i tak to sobie leżało. Dopiero trzy dni temu dostałem z Oslo rachunek do podpisania. Wtedy skojarzyłem, że nie wykonałem jeszcze roboty. Będziesz to miał na jutro.

– Ja także zapomniałem. Powiedz, co to jest?

– Oczywiście stara kaszubszczyzna, ale pisana inaczej niż poprzedni manuskrypt...

– Co to znaczy?

– Autorka, bo to kobieta, używa prostszych transkrypcji fonicznych...

– A tak, jednym zdaniem, dla niefachowca?

– Zasady pisowni języka kaszubskiego ukształtowały się stosunkowo niedawno i w czasach, kiedy powstawały oba teksty, oficjalna pisownia jeszcze nie istniała. Tak więc Jan z Kolna i siostra Enkrata, pisząc po kaszubsku, uprawiali wolną amerykankę, jak byśmy dziś powiedzieli. Ale tekst pisany przez Enkratę był łatwiejszy do odczytania, bo stosowała uproszczone sposoby zapisu fonicznego. Często, by zrozumieć o jakie słowo jej chodziło, musiałem wypowiadać je głośno na kilka sposobów, bo, jak wiesz, pod koniec XV wieku również język polski nie był jeszcze językiem pisanym. Ale Enkrata trzymała się konsekwentnie określonych zasad, wziętych zresztą z niemieckiego, więc jeśli udało się odczytać raz pewien ciąg liter, wiadomo było, że za każdym razem gdy je spotykam w tekście, odnoszą się one do tego samego słowa lub określenia. Natomiast Jan pisał to samo słowo na różne sposoby.

– Dobrze, wszystko rozumiem... Powiedz mi, czego dotyczy tekst?

– To trudno tak jednym słowem... To jest po prostu historia tej kobiety.

– Marcin! – rzucił ostrzegawczo, bo czuł, że traci cierpliwość. – Czy jest w niej coś wyjątkowego?

– Trudno powiedzieć, co może być wyjątkowego dla językoznawcy, a co dla historyka epoki...

– Czy jest coś, co wiąże tę historię z manuskrypcem Jana z Kolna?

– Cierpliwości, aleś ty w gorącej wodzie kąpany. Może tak, a może nie. Dopiero zacząłem tłumaczyć.

Jak tekst będziesz miał na talerzu, wnioski sam wyciągniesz.

Gdy dwa dni później otworzył plik z tłumaczeniem tekstu Enkraty, poczuł podniecenie, jakby stanął naprzeciw wejścia do jaskini kryjącej tajemnicę.



*To mój ból, tajemnica mojego serca i mojego życia, które poświęciłam innym. Muszę ją jednak przed śmiercią ujawnić i wydać z serca dla spokoju własnej duszy, a także, by pogodzić się z Bogiem i wyznać prawdę, jakoby nawet mogła być grzechem obciążającym moją duszę śmiertelnie.  
Kochałam*

*Jana bardziej niż Jezusa Chrystusa, bardziej niż Pana Boga naszego... Czuję, że gdy wyznam moją tajemnicę, mój grzech nie obciąży spokoju umierania. Może po tym oczyszczeniu będzie mi lżej...*

Siostra Enkrata zdecydowała się na wyjawienie swojej tajemnicy dopiero trzy lata po śmierci Jana Żeglarza. Wprawdzie została kronikarką klasztoru franciszkanów rok po jego pogrzebie, ale z wyznaniem zwlekała przez kolejne dwa lata. Na początku nie wiedziała jeszcze, czy zapisy są sprawdzane i jak często. Dopiero potem zorientowała się, że ma bezgraniczne zaufanie przełożonej i przeora. Udało jej się wygospodarować kilkanaście kart papieru, a zakonny introligator złożył je, przyciął i zszył, będąc przekonanym, że tworzy księgę wydatków i rachunków. Tymczasem Enkrata zaczęła pisać w niej historię swojego życia i miłości.

*Zanim wstąpiła do klasztoru i przybrała imię Enkraty, nazywała się Marynia i była córką bogatego gdańskiego kupca Augusta Nagela, który marzył o przyszłości dla niej u boku któregoś z patrycjuszowskich synów, i to nie ostatnich...*

*Tymczasem dziewczyna zadurzyła się w chłopcu od rybaka, może i nie najgorszego urodzenia, ale żyjącego z dala od domu, rodziców i majątku, które poświęcił tylko dlatego, by nie iść do klasztoru.*

*Cóż zatem mógł dziać? Tatko mu nie zarzucał, że nieporządny, bo i na pewno swoje zalety posiadał, ale kiej mu było do córki zamożnego rodu, choć może i bez herbu? Tak więc, gdy Marynia utyskiwała, że za żadnego innego nie pójdzie, nikt nie dawał temu wiary. Pójdzie, wnet jej się odwiedzi ten gołowąs i tyła go będą widzieli!*

*Gdy Jan wypłynął w morze, ojciec próbował ją wyswatać za duńskiego armatora.*

*– Nie!*

*– No dobrze, rozumiem, córuś. Nie ten, to będzie inny...*

*Następnym kandydatem był syn bogatego kupca zbożowego z Gdańska. Chłopiec gładki, uśmiechnięty, tryskający dobrym zdrowiem i humorem, a i uczony. Na naukach bywał w Niderlandach, do tego pobożny...*

*– Nie, tatku, pójdę ino za Janka.*

*– Dajże spokój, córuchna, jakaż to przyszłość przy takim chudopacholku? Toż on nawet uczciwej szaty nie ma, którą mógłby przywdziać, jak między ludzi idzie...*

*– Mimo to jego chcę!*



– Ot, durna dziewczka, uparła się i na przekór ojcu i swojej własnej przyszłości postępuje.

Ojciec nabzdyczył się niczym bąk i rzekł, że teraz to on nie ustąpi.

– Koniec fanaberii. Pójdiesz za młodego Ferbera i basta! Jeszcze mi będziesz dziękować, jak ci pierwsze cholery miną.

Maryni cholera jednak nie minęła. W przeddzień uroczystych zaręczyn oświadczyła, że idzie za furtę klasztorną Bogu służyć. I tak też się stało. Ksiądz proboszcz z pobliskiego kościoła Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny, który stawiali prawie od stu lat, a końca budowy wciąż jeszcze nie było widać, orzekł, że nie wypada się woli boskiej przeciwstawiać. Tym sposobem pan August Nagel musiał wyszykować ukochanej córce wyprawkę i po uroczystym przyjęciu pożegnać ją u bram klasztoru franciszkanek.

Nowicjat dla pańskiej córki nie był łatwy. Marynia przelknęła niejedną łzę i były nawet chwile, kiedy żałowała, że nie wydała się za młodego Ferbera, ale było już za późno. Złożyła śluby. Mijały lata i z siostry stała się mateczką. Nie zapomniała jednak o Janku. Wciąż przechowywała ususzoną różę, którą dostała od niego podczas odjazdu do Elbinga. Wciąż miała przed oczami jego zrozpaczony wzrok, gdy wrzucił ją do powozu przez otwarte okno, wprost na jej kolana.

Jan pływał po wielu morzach świata, odwiedzając porty na jego krańcach, a Marynia, przybrawszy imię Enkraty, służyła Bogu w różnych konwentach. Tym sposobem zawędrowała do Hiszpanii, potem do

Danii. Stamtąd przełożona wyprawiła ją wraz z siostrą Gwalbertą na Wyspy Owcze. Do pomocy przy robotach przy budowie katedry i klasztoru. Przy męskim klasztorze ojców franciszkanów posługę pełniło kilka franciszkanek. Nie chodziło, rzecz jasna, o murowanie i ciosanie kamieni, ale o prace pomocnicze, gotowanie strawy robotnikom, pranie ich ubrań, pielęgnację chorych i inną pomoc.

Codziennie żarliwie modliła się, by jeszcze raz przed śmiercią mogła zobaczyć Jana. Pewnej nocy śnił jej się bardzo wyraźnie, jakby był przy niej. Odważny to był sen, a może nawet grzeszny, ale stwierdziła, że przyniósł jej radość. Nie myślała, że to upodobanie do występku może być grzechem.

Wszak miłowała tego człowieka od dzieciństwa! I tego ranka, na początku grudnia 1477 roku, gdy obudziły ją klasztorne dzwony, nieco wcześniej bijące niż zazwyczaj, zobaczyła w pobliżu przystani w Kirkjubour

*okręt widmo z podartymi żaglami i połamanymi masztami. Mnisi, którzy wysłali tam dwóch rybaków, czekali na wieści z pokładu. Kim byli przybysze? Korsarzami, których na morzu spotkało nieszczęście, czy ograbionymi przez piratów kupcami? A może na okręcie była zaraza?*

*Wieści uspokoiły przeora. Na pokładzie przebywało pięciu podróżników, którzy cudem wyrwali się z oka cyklonu. Potrzebowali pilnej pomocy, bo właściwie już żaden z nich nie trzymał się na nogach, a dowódca umierał.*

*Jakie było jej zdumienie, gdy w dogasającym admirale rozpoznała swojego ukochanego Jana? On również poznał ją w przebłysku świadomości. Jej widok dodał mu sił. Wybłagała u przeoryszy pozwolenie, by mogła się nim opiekować. Ta zezwoliła, bo rozumiała, że dni, a może nawet godziny ранnego żeglarza są policzone i że lżej mu będzie umierać, jeśli w ostatnich chwilach zobaczy przy sobie kogoś, kto pochodzi z tych samych stron. Enkrata nie odchodziła niemal od jego łóżka. Nie na wiele się to jednak zdało. Po tygodniu duch od niego odszedł, a dwa dni później przestał dawać oznaki życia. Na zwierciadelku przystawionym do ust nie pojawiła się ani jedna smuga pary, pulsująca na szyi tętnica znieruchomiła. Serce nie biło. Zmarł z wyczerpania.*

Enkrata opłakała śmieć Jana obfitymi łzami. Studiowała jego dziennik okrętowy. A swoją historię opisała w tomie kronik, który nie był sygnowany. Jakby tom wyrwany z dokumentów klasztoru, a jednak tak silnie tkwiący w jego historii, stanowił znaczący element jego dziejów.

Enkrata dobrze rozumiała język kaszubski, którego nauczyła się od Gretki, swojej pokojówki.

Decydując się na opisanie swoich dziejów, pewnie pod wpływem lektury dziennika Jana, również wybrała ten język. Zrobiła to zresztą z tego samego powodu co ukochany, by tekst nie mógł być odczytany przez współsiostry i współbraci.

Enkrata zdecydowała się opisać dzieje swojej miłości do Jana Żeglarza dopiero trzy lata później, gdy nauczyła się go wspominać ze spokojem. Pogodziła się z myślą, że jej miłość na zawsze zostanie niespełniona i właściwie powinna uznać ją za wielki dar, który dało jej życie. Bo przecież uczucie mogło ją ominąć, jak wiele osób, które nigdy nie zaznały smaku prawdziwej miłości, choć życie spędzili obok siebie, bardziej lub mniej obojętni. Opisując te romantyczne dzieje, do księgi włożyła jeden z płatków róży, którą przez te wszystkie lata przechowywała jak największy skarb. Drugi płatek włożyła do manuskryptu Jana Żeglarza, a trzeci – jak napisała

w swojej relacji – do etui z fajką, która należała do Jana, a którą udało jej się zachować w swojej celi. Nie chciała, by wszystko, co posiadała, znalazło się w trumnie, choć zgodnie z ówczesnym ceremoniałem żeglarskim, a kaperskim w szczególności, tak właśnie powinno się stać.

Ten dar, symbol pokoju wręczony Janowi przez tubylców z Nowego Świata jako dowód odkrycia nieznanych dotąd ziem, chciała mieć przy sobie, by przypominał jej o wielkich dokonaniach ukochanego.

Był potwierdzeniem spełnionych marzeń Jana. Po jego śmierci manuskrypt i fajkę trzymała u siebie w celi. Do biblioteki klasztornej trafiły dopiero po jej śmierci, która nastąpiła osiem lat po odejściu Jana.

Jak wspominała w jednym z fragmentów, zdecydowała się na opisanie swojej historii, aby uporządkować myśli, nazwać do końca to, co nienazwane, móc spojrzeć na przeszłość z perspektywy i postarać się ją zrozumieć. Pisząc, wspominała tamten czas, może i bolesny chwilami, ale jednak najważniejszy w jej życiu. Gdy pisała o Janie, odzywały obrazy, słowa, zapachy... Znów słyszała jego głos, to, co mówił, widziała jego oczy, była blisko niego i z nim. Dzięki porządkowaniu wspomnień wróciła do najwspanialszych chwil swojego życia. Zmieniła się, częściej miewała dobry humor, nawet podległe jej siostry uważały, że z matką Enkratą zaczęło dziać się coś dobrego. W jej oczach pobłyskiwały żartobliwe iskierki, a humor dopisywał, co objawiało się w promiennym uśmiechu. I nawet potrafiła spojrzeć przez palce na niedociągnięcia młodszych siostrzyczek. Częściej wybaczała, rzadziej karała...

W jednym z fragmentów pod koniec tej swoistej spowiedzi wspominała, że gdy pielęgnowała Jana, odżyły w niej młodzińcze emocje. Chciała, by kiedy wyzdrowieje, w co wierzyła do końca, zabrał ją ze sobą. Była zdecydowana opuścić klasztor, by resztę życia spędzić u boku ukochanego mężczyzny.

Niestety, nigdy nie wstał z łoża. Pozostałe dwa z pięciu płatków ususzonej róży schowała w szkaplerzach. Jeden nosiła na piersiach do końca życia. Drugi włożyła do trumny Jana.



Tym sposobem Robert poznał dzieje pięciu płatków róży. Gdy sobie to uświadomił, przypomniał mu się list od Svensona z rzekomo powtórzoną ekspertyzą. Szybko ją odszukał i sprawdził daty. Tak, wszystko się

zgadzało. Opinia biegłych dotyczyła próbki przekazanej pod koniec jego pobytu w Tórshavn, czyli tej wyprzepracowanej z rękopisu Enkraty. To tylko potwierdziło relację zakonniczy.

Niewyspany, ale zadowolony, że udało mu się poznać jeszcze jeden wątek historii Jana Żeglarza, parzył poranną kawę, gdy usłyszał dźwięk przychodzącej poczty. Odezwał się emerytowany profesor Siemion Uljanow, który donosił, że po konsultacjach z kolegami interesującymi się językami ludów Syberii i Indian Północnoamerykańskich rozszyfrował słowo „mawani”.

Jan użył go w opisie swojego pobytu u tubylców na Nowej Ziemi, wkładając je w usta jednego ze współwięźniów.

*W języku narodu Lakota „mawani” oznacza „ja chodzę” – pisał Uljanow. – „Mani” znaczy „chodzić”, a „wa” to infiks oznaczający pierwszą osobę.*

Robert szybko odszukał ów fragment w tłumaczeniu profesora Konkola. Ranny jeńiec, któremu nikt nie dawał więcej niż kilka dni życia, nagle wstał i obwieścił światu: „ma-wa-ni”. A zatem był to Lakota, który znad wielkich jezior, gdzie wówczas mieszkał jego naród, zawędrował aż nad ocean Atlantycki. Co tam robił i co go skłoniło do tak dalekiej wędrówki? Indianie nie znali wówczas koni i było jasne, że mężczyzna musiał pokonać cały dystans na własnych nogach. W jakim celu to uczynił? Dlaczego miejscowi go uwięzili, a potem, według swoich zwyczajów, pielęgowali, by odzyskał zdrowie i siły, skoro w rezultacie zamęczyli go torturami? Z jakiego powodu był taki radosny?

Tego, jak i wielu innych aspektów historii Jana z Kolna Robert nie był w stanie wyjaśnić. Byłoby to możliwe, gdyby lepiej poznał kulturę tamtego ludu. To wszystko było przed nim. Grant rozłożono na najbliższe trzy lata. Czekają go mnóstwo pracy. Planował, że po zakończeniu roku akademickiego przeniesie się do Tórshavn, co zresztą już ustalił z dyrektorem instytutu. Szef nie robił żadnych trudności.

Fakt, iż Nowicki był stypendystą Fundacji Nansena, pośrednio okrył sławą nie tylko instytut historii, ale także i jego samego. Za każdym razem gdy wymieniano nazwisko Roberta w prasie, przede wszystkim tej zagranicznej, wymieniano także instytut historii i nazwę uniwersytetu, a to przysparzało sławy i jemu, jako bezpośredniemu przełożonemu Nowickiego.

W marcu Robert dostał list od Dalmora, który potwierdził wcześniejszą wiadomość od Svensona, że niedługo nastąpi ponowne otwarcie relikwiarza w Kirkjubøur.

Uśmiechnął się. Wiedział o tym doskonale, ale najważniejsza dla niego była druga część listu.

Najpierw aż podskoczył z radości, ale potem zapął w nim ostygł. Postanowił, że zrobi wszystko, aby pojechać do Tórshavn, choć na kilka dni. I że to, co ma tam do załatwienia, zrobi ze spokojem.



Otwarcie relikwiarza urządzono bez specjalnej pompy. Ogrodzono budowlanym płotkiem ścianę ruin katedry, w której mieściła się wnęka z relikwiami, i turyści myśleli, że zrobiono to z powodu jakichś prac konserwatorskich, więc nawet tam nie podchodzili. Po odkuciu tablicy z płaskorzeźbą, co uczyniono ostrożnie, by nie uszkodzić cennego wizerunku, odsłonięto skrytkę. Wewnątrz, wśród przedmiotów, których się spodziewali, ponieważ ich opis był zawarty w protokole otwarcia z 1908 roku, mieściła się szkatułka z napisem „Johannes Navigatorus 1477”. Znalaziono w niej srebrny samorodek z wyobrażeniem postaci zapewne jednego z bożków indiańskich. Był też zmurszały pokrowiec z fajką wykonaną z gliny.

Etui było zdobione srebrnymi okuciami zwieńczonymi turkusami.

Trzecim przedmiotem był prymitywny kompas w drewnianej obudowie. Na krawędzi wyryto napis: „Apostolus Navigatori Johannes 1477”.

– To wszystko zabieramy ze sobą do naszych laboratoriów – zdecydował Svenson.

– Zostawcie mi chociaż zdjęcia – poprosił Nowicki.

– Oczywiście, wieczorem sporządzimy szczegółowe charakterystyki tych przedmiotów. Zostaną zmierzone, zważone i wstępnie opisane. Resztę danych otrzyma pan w ekspertyzach od naszych fachowców.

– Będę czekał z niecierpliwością.

– Spodziewam się, że to również rzuci nieco światła na wyprawę Pininga i Pothorsta. Myślę, że posługiwali się takim samym lub bardzo podobnym sprzętem nawigacyjnym. Zbadamy jego możliwości, sprawdzimy zakres błędów dokonanych pomiarów. Może to choć w części wyjaśni zagadki związane z przebiegiem tamtej wyprawy.

– Ja również na to liczę – rzekł Robert. – Dziękuję.

– Największe podziękowania należą się panu. Wykonał pan wspaniałą robotę.

– Miałem po prostu szczęście.

– I to jest właśnie ten łut, bez którego nawet najtrudniejsza praca nie przynosi efektu. A panu się poszczęściło. Zostaje pan w Tórshavn?

– Muszę jeszcze wrócić do instytutu do Gdańska, ale w czerwcu będę tu znowu. A teraz, korzystając z okazji, chciałem rozejrzeć się za mieszkaniem.

– Świetnie! A tu – podał Nowickiemu maleńkie pudełeczko – specjalny prezent dla pana.

Robert rozpakował kartonik i w jego oczach pojawił się błysk. Był to modem do laptopa, który można było podłączyć przez gniazdo USB.

– Umowa jest opłacona na rok z góry. Zasięg jest na całym terytorium archipelagu.

– Nawet pan nie wie, jakie to ważne...

– Wiem, bo mi to pan już powiedział. Tylko że – mrugnął porozumiewawczo – posługując się tym gadżetem, będzie pan miał chyba mniej okazji do zawierania interesujących znajomości?

Uśmiech na twarzy Roberta nieco przygasł. Później w klasztorze odbył się uroczysty obiad, którym ojciec przeor podjął profesora Svensona i Roberta. Chwalił się, że znów ma u siebie drogocenny manuskrypt i że jednemu z braci najbardziej biegłych w łacinie polecił przewertować karty kronik klasztornych pisanych w latach po śmierci Jana Żeglarza i mateczki Enkraty.

– Nic wielkiego nie odkryłem – rzekł – ale i ja mam pewien niewielki wkład w ten wasz sukces.

Proszę sobie wyobrazić, że Enkrata wiele mówiła o wielkości Jana i przez pewien czas pamięć o nim na archipelagu była pielęgnowana. Uważano go za wielkiego odkrywcę, który potwierdził swoim wyczynem świętość i sukces św. Brendana, jako że – podobnie jak irlandzki zakonnik – dotarł do nieznanych lądów.

Uważano, że to te same ziemie, co być może nawet było prawdą. Po śmierci zakonnicy pamięć o nim powoli zbladła. Jeszcze przekazywano ją z pokolenia na pokolenie, ale z czasem zapomniano o szczegółach. Ponieważ wciąż porównywano jego wyczyn do dokonań św. Brendana, po stu kilkudziesięciu latach obie postaci zlały się w jedną. Fajkę wraz z innymi relikwiami zamurowano w ścianie niedokończonej katedry po objęciu

rządów przez Duńczyków. Byli innowiercami i zakonnicy nie chcieli, by święte przedmioty ucierpiały od heretyków.

Podczas rozmowy odezwał się telefon komórkowy Svensona. Wystarczyło kilka słów.

– Może pan skorzystać ze swojego gadżetu. Moi ludzie wysłali do pana wiadomość.

– Co takiego?

Norweg uśmiechnął się tajemniczo.

– Proszę odebrać i przeczytać.

Robert szybko uruchomił komputer i ściągnął pocztę. Laboratorium chemiczne w porozumieniu z laboratorium biochemicznym przesłało ekspertyzę atramentów, którymi pisany był manuskrypt.

Profesor Knuttsen, główny dyrektor laboratorium donosił, iż badania inkaustu, którym spisana jest pierwsza część manuskryptu, dowodzą, że wyprodukowano go w warsztatach Kopenhagi. Tym samym inkaustem pisano kroniki miejskie w XV wieku. Uprawdopodobnia to tezę, że wyprawa Jana Żeglarza wyruszyła z Danii i odbyła się pod auspicjami króla Christiana I. Do sporządzenia rękopisów zawartych w drugiej części księgi użyto innego barwnika.

Badacze ustalili, że to specjalny pigment wyrabiany z pewnej rośliny rosnącej do dziś w szuwarach w okolicach Bostonu. Indianie używali go do rytualnego barwienia twarzy. Był to poważny dowód. Jan musiał nawiązać z nimi kontakt, skoro posługiwał się ich wyrobem.

Svenson, wznosząc toast, rzekł uroczyście:

– To jest sukces, profesorze Nowicki. Gratuluję!

Godzinę później, przy kawie Svenson opowiadał:

– Tekst manuskryptu Jana Scolnusa zawiera sporo danych na temat okoliczności wyprawy Pininga i Pothorsta, ale nie dowodzi ostatecznie, czy ląd, na którym obaj poszukiwacze stanęli suchą stopą, był stałym kontynentem czy jedną z wysp atlantyckich. Przecież Jan Scolnus znalazł kwit żywnościowy tylko o dwa dni żeglugi na południe od Grenlandii. Mimo to wiemy, że dotarli do Grenlandii i najprawdopodobniej odeszli na południe. Na owej wysepce ślad się kończy. Taka jest nasza wiedza na dziś. Ale jeśli założyć, jak uważał Jan z Kolna, że wyprawy mogły się rozdzielić na dwie, a nawet trzy części i każda mogła udać się w innym kierunku, powinniśmy nadal szukać ich śladów.

Ojciec Gilbert zafrasował się.

– Trudno powiedzieć, czy moje kroniki klasztorne mogą przynieść odpowiedź na wasze pytania, panowie profesorowie.

– Być może poszlak i dowodów powinniśmy szukać także poza Tórshavn, w innych miejscach. Ale gdzieś są, na pewno pozostały jakieś ślady... Problem w tym, że na razie nie potrafimy ich albo odszukać, albo odczytać.

Nowicki nie miał dziś ochoty na dłuższe rozmowy. Był zmęczony, a poza tym miał jeszcze coś do załatwienia. Pożegnał się z przeorem, obiecując, że przed wyjazdem jeszcze go odwiedzi, i wyszedł.



Usiadł przy stoliku pod oknem. Widział, jak z promu wysypują się turyści. Zaciekawiała go postać pewnej kobiety. Wiatr rozwiewał jej włosy, ona otuliła się anorakiem, próbując je okiełznać i schować pod kapturem. Jakby znajomy gest...

– Co podać? – usłyszał za plecami.

Ten głos! Odwrócił się. Najpierw zobaczył strój kelnerki, ciemną spódnicę i biały fartuszek. Poczul, jak gwałtownie zabiło mu serce. Podniósł się, ale ona cofnęła się pół kroku i powtórzyła:

– Co podać?

– Dwa koniaki – wydusił z siebie, wpatrując się w jej oczy.

Kiwnęła głową, przyjmując zamówienie. Na jej twarzy nie było nawet śladu uśmiechu. Opadł ciężko na fotel i nie zaprotestował, gdy odwróciła się i odeszła. Po chwili przyniosła alkohol i oba kieliszki postawiła na stoliku.

– Nadiu – szepnął.

Patrzyła na niego zimnym wzrokiem.

– Wiedziałaś, że tu jestem?

– Ryszard mi napisał... Myślałem o tobie cały czas.

– Ja o tobie też... Ale to nie było dobre.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

– Przyjechałem po ciebie. Zabieram cię.

– Dokąd?

– Do mnie, do Gdańska.

Pokręciła głową.



- Chciałem ci opowiedzieć ostatnią część historii o Janie z Kolna.
- Pamiętam, jak się tym pasjonowałaś.
- Chcę dokończyć ci tę historię.

Popatrzyła na niego.

– Robert... Przyjechałam tutaj, bo właśnie w tym miejscu jestem spokojna. I wolna, wreszcie. Zostanę tutaj.

– Ale przecież kiedyś planowaliśmy...

– To było dawno.

– Dla mnie nic się nie zmieniło.

– Wiem, że do mnie pisałeś. Najpierw nie mogłam odpowiedzieć, a potem... stwierdziłam, że już nie chcę. Bo...

W jego oczach pojawiło się pytanie.

– Bo doszłam do wniosku, że nie pokonam całego świata, wszystkich przeciwności... I pogodziłam się z myślą, że co ma być, to będzie.

– A jednak odnalazłem cię...

Rozłożyła ręce.

– Byłam przekonana, że już więcej cię nie zobaczę. I ta myśl sprawiła, że odzyskałam równowagę.

Poczułam, że jest mi dobrze, jeśli niczego nie pragnę i nie oczekuję. A teraz, kiedy cię zobaczyłam...

Spojrzał na nią uważnie.

– Nie utraciłam tej równowagi, nie zemdlałam, nie ugięły się pode mną nogi.

– Nic nie poczułaś?

Uśmiechnęła się tym swoim ciepłym uśmiechem, do którego tak tęsknił, położyła przed nim rachunek i odeszła. Czekał, aż znów wyjdzie, ale zamiast Nadii pojawiła się inna kelnerka. Zapytał o nią.

– Koleżanka już wyszła – powiedziała z uśmiechem. – Skończyła pracę i wyszła.

– Niemożliwe – wydusił z siebie. – Kiedy będzie?

– Pewnie jutro, jak zwykle.

Wracał do hotelu ze spuszczoną głową. Nie zauważył, że stoi w pobliżu grupki turystów i przypatruje mu się. Gdyby podniósł wzrok, zobaczyłby, jak się uśmiecha, a w jej oczach płoną radosne iskierki.

Zarzuciła swój plecak na ramię i wolno ruszyła za nim.



**Wydawnictwo Bukowy Las poleca**

**Kornelia Stepan**

*Żona astronoma*

Powieść o astronomii i miłości na tle XVII-wiecznego Gdańska.  
Historia pierwszej kobiety astronom, żony Jana Heweliusza

**Samuel Black**

*A ziemia płonie*

Cesare Borgia, Niccolo Machiavelli i Leonardo da Vinci w powieści o pokusach, zdradach i morderstwach – prawdziwej sztuce renesansu



## ANDRZEJ DUDZIŃSKI

jest pisarzem, scenarzystą telewizyjnym,  
reżyserem filmów dokumentalnych, reporterem.

Ma dwie wielkie pasje - uporządkowanie  
i opisanie najwcześniejszych śladów polskich  
w Ameryce oraz Kaszuby. Pierwszą realizuje,  
publikując książki, drugą – tworząc filmy  
dokumentalne.





# MANUSKRYPT JANA ZEGLARZA

Robertowi Nowickiemu nie przyznano prestiżowego grantu norweskiej Fundacji Nansena, sponsorującej badania historii wielkich odkryć geograficznych. Otrzymał za to możliwość zbadania pewnego manuskryptu, który przez setki lat spoczywał w archiwach klasztoru franciszkanów na Wyspach Owczych. Tym samym wkroczył na drogę zaskakujących i niebezpiecznych odkryć, nie tylko historycznych.

Jakie tajemnice zawiera ów stary manuskrypt? Jaki jest sekret płatków róży? Czy niespełniona miłość sprzed wieków może odżyć w sercach tych, którzy poznają jej historię? Co łączy Wyspy Owcze, wybrzeża Labradoru i Gdańsk?

*Manuskrypt Jana Żeglarza* to opowieść o odwiecznych namiętnościach, spełnionych marzeniach i zawiedzionych nadziejach – wpleciona w wielką historię. Jej akcja rozgrywa się nie tylko współcześnie, ale także w XV-wiecznym Kolnie, gdzie dorasta przyszły żeglarz i odkrywca Jan, rówieśnik Krzysztofa Kolumba...



Partner:



ksiazki.wp.pl

książki  
www.ksiazki.wp.pl

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Biura Księgarska



Wyceny  
dyskonty

# Spis treści

- [Okladka](#)
- [Skrzydełko](#)
- [Karta tytułowa](#)
- [Karta redakcyjna](#)
- 1 [Tórshavn](#)
- 2 [Fundacja Nansena](#)
- 3 [Księgi](#)
- 4 [Dalmor](#)
- 5 [Robert](#)
- 6 [Autor manuskryptu](#)
- 7 [Ucieczka](#)
- 8 [Źródła](#)
- 9 [Kobiety](#)
- 10 [Sagres](#)
- 11 [Relikwiarz](#)
- 12 [Patenty](#)
- 13 [Swaty](#)
- 14 [Pożar](#)
- 15 [Oczekiwanie](#)
- 16 [Święte Oficjum](#)
- 17 [Nadia](#)
- 18 [Wyprawa](#)
- 19 [Burza](#)
- 20 [Grenlandia](#)
- 21 [Lody](#)
- 22 [Nowa ziemia](#)
- 23 [Mikroślady](#)
- 24 [Polowanie](#)
- 25 [Sponsor](#)
- 26 [W kręgu podejrzeń](#)
- 27 [Nocna wizyta](#)
- 28 [Pożegnania](#)

29 [Enkrata](#)

30 [Polecamy.](#)

[Kornelia Stepan Samuel Black](#)

[Skrzydelko](#)

[Okładka](#)